

Żegnaj, Lwowie !

Kiedy szurnęły ciężkie drzwi i założono na nich skobel, poczuliśmy się wszyscy jeszcze gorzej. Bydlęcy wagon stał się jeszcze bardziej mroczny, jedyne dwa okienka pod sufitem, po jednym na dwóch przeciwległych ścianach i w przeciwległych rogach, prawie wcale nie dawały światła, umieszczone ponad górną półką, tak zwaną "marą".

Nieszczęśni "pasażerowie mimo woli", a raczej po prostu wbrew woli, z trudem oswajali się z mrokiem. Kufry, walizy, toboły i tłumoki zajmowały cały środek wagonu oraz wiele miejsca na marach. Tu i ówdzie ktoś z nich przysiadł, ale wielu szukało możliwości znalezienia na marach miejsca dla siebie, jeśli już kto na tyle ochłonął i na tyle oswoił wzrok z mrokiem.

Z zewnątrz docierały rozmaite chałasy: szuranie ciężkich drzwi sąsiednich wagonów, wrzask rozmaitych komend po rosyjsku, ukraińsku i po polsku, płacz dzieci, krzyki i wołania dorosłych.

Mała dziewczynka rozpłakała się:

- Ziuteńka chce do domu!-

- Och, moja Ziuteńko! Moja maleńka! My wszyscy chcemy do domu!- zrozpaczona matka wzięła dziecko na ręce, a nam serce ścisnęło się jeszcze bardziej: taka rozpacz!..

Tymczasem już się znalazłam na górze obok Cioci, która zajęła miejsce pod okienkiem, tuż przy mnie przycupnęła Mama, miałam nadzieję, że Tata też się tu zmieści i coś położyłam na znak, że miejsce zajęte, wciągnęłam Cesię na górę:

- Będziemy razem Cesi, wiesz! -

- Tak. Dobrze. - dosłyszałam ledwie wyszeptaną odpowiedź.

- O, tu musi być nasza babcia! - i energicznie, pani płacząca przed chwilą wwindowała drobną staruszkę.

- Pewnie jeszcze sama się zmieści i chyba także tamta młoda - pomyślałam, ale się przeliczyłam.

- Babcia jest chora na serce i musi leżeć na materacach: o, tak! - i lokowano już materace, a reszta balastu żywego musiała się skupić tak, że już nie było miejsca dla Taty

- No, cóż, pewnie się zmieszczę na dole - zgodził się.
 - I my też na dole - zawołali dwaj chłopcy, wnukowie staruszki.

- Ja też tu zostanę - poinformowała matka.
 - I ja - dodała pani w czerwonym kapeluszu z piórkiem.
 - Mila, ty też! - zawołał nieco starszy chłopiec.
 - Tak i ja i Jaś. Nie będziemy musieli wdrapywać się na górę.

Towarzystwo po drugiej stronie również już się jakoś loko-
 wało. Matka z dwoma synami tak podobnymi, że nikt nie miał
 wątpliwości. Ten starszy pewnie jest w moim wieku, pomyślałam.

I ta pani z Ziuteńką i trochę większym synkiem.

I siwiejąca pani, w drugim kącie.

Ale oto z ~~pha~~łasem rozsunięto drzwi znowu.

Spisano nas, poinformowano, że nasz wagon ma numer 38, po-
 liczono, że jest nas tylko trzydzieści dwoje, a w innych wa-
 gonach dwukrotnie więcej, ale faktycznie z powodu tych wszy-
 stkich bagaży niemal igły nie było gdzie wetknąć.

Tymczasem ruch na zewnątrz wzrastał. Chłopcy przy tamtym
 okienku mieli bezpośredni kontakt z peronem. Mnóstwo ludzi
 przebiegało nim, wykrzykując nazwiska, aby odnaleźć swoich.
 Co chwilę chłopcy wywoływali je w stronę wagonu.

- A może nas szukają? -

- A może napisać i rzucić kartkę przez okno? Ktoś weźmie
 i odniesie? -

- Tak, tak, piszcie! -

- Piszcie prędko! Ludzie biorą te kartki! Może zdążą je
 donieść! - zachęcali jedni drugich.

Wszyscy rzucili się do pisania.

- Och, my przecież wcale nie mamy naczyń! Ani jednego
 garnka, ani jednej łyżki! - oprzytomiała Mama.

- Napisz do Babci i Cioci Juli, może ktoś przyniesie -
 doradził Tato

- Nie macie pościeli - przypomniała Ciocia Iza.

- Mamy po jednej poduszce - skorygowałam

- A czym się okryjecie? -

- Patrz, ludzie brali i materace i nawet ktoś miał maszy-
 nę do szycia - Mama zreflektowała się teraz.

- Naturalnie! Ja tam brałam wszystko. Wszystko! Tylko me-
 bli nie pozwolili ruszyć, ani dywanów - powiedziała pani z
 piórkiem.

- A myśmy też wszystko brali i z odzieży i z pościeli i dużo z gospodarstwa domowego - dodała kobiecinka siedząca na jakimś kufrze.

- Mój zięć bardzo dobrze wszystko popakował -

- To pani z zięciem? - zapytał Tato

- Tak, córka siedzi na Zamarstynowie - rozpłakała się.

- Dawajcie kartki! Piszcie kartki! Piszcie po kilka, bo nie wiadomo kiedy która dojdzie! - gorączkowali się dwaj bracia przy okienku.

- No, ja na szczęście mam wielki gar smalcu, dziesięciolitrowy, to na jakiś czas wystarczy, dzieci lubią i babcia też - mówiła córka staruszki chorej na serce.

- Smalcu? - zastanawiałam się - A nasza marmelada, którą Tato wczoraj wyfasował w pracy, została! Dwa kilo! I paluszki! Pełna rynka w "bratrurze" - nie mogłam powstrzymać żalu - i chleb! Bochen dwukilowy!... Jaka szkoda!...-

- Ta, joj! A ja durna, zostawiłam taki duży bochen i ukroiłam tylko tę całuskę na drogę! - lamentowała Mama, a ja sama sobie nadziwić się nie mogłam, że patrzyłam na to i nie zabrałam. Dobrze, że chociaż ten słoiczek róży wzięłam, półlitrowy!

- Macie nowe kartki? - wołali chłopca

- Śpieszcie się, bo odpędzają ludzi od okien! -

- Czy mogę zajrzeć? - odważyłam się.

- Ależ tak, proszę bardzo! - dwaj bracia zrobili mi też miejsce przy okienku, bo "nasze" było w stronę torów.

Nagle pociąg gwizdnął przeraźliwie i równocześnie szarpnął tak, że ludzie się przewracali.

- Jedziemy! -

- Żegnajcie! Bądźcie zdrowi! -

- Żegnajcie! Wróćcie zdrowi! -

- Zostańcie z Bogiem! -

→ Jedźcie z Bogiem: Wróćcie! -

Ryk, szloch, zgiełk, hałas, zamieszanie, rozpacz i szaleństwo.

Pociąg nabierał szybkości, więc chciałam już się wycofać, ale matka chłopców zachęciła mnie....

- Zostań, zostań, popatrz...

- Dziękuję - odpowiedziałam z wdzięcznością

- Już żadna z tych kartek nie zdąży... zasępiłam się.

- Może jeszcze gdzieś stanie? -

- O, dojeżdżamy do Żółkiewskiej! Rampa!

Pociąg zatrzymał się na przejeździe. Tłum ludzi podbiegł do rampy. Krzyki, wołania, machanie.

- Chłopaki! Nie dajcie się! - krzyknął mój rówieśnik. - Nie dajcie się na Sybir! - wołał z rozpaczą, jak gdyby sam mógł tego dokonać, gdyby to na niego wypadło...

- Andrzej! - zaczęła jego matka i pokiwała głową.

- Chłopaki!.. - szarpnięcie i zgrzyt i świst lokomotywy, przeraźliwie przenikliwy, zagłuszyły wszystkie okrzyki i wołania.

- Jedziemy na Podzamcze! Na Podzamcze! - gorączkowałam się

Na dworcu Podzamcze pociąg stanął. Teraz to właśnie okienko znalazło się od strony torów i skarpy na tyle stacji, tuż u podnóża domu Stankiewiczów. Wychyliłam się i zawołałam do kobiety, która myła okna pociągu stojącego tuż przed nami.

- Czy może pani pójść do tego domu na górze? Na pierwsze piętro! Może ktoś wyjdzie? -

Pobiegła pośpiesznie i za moment zjawiała się na szczycie skarpy Marysia z rodzicami i bratem.

- Marysiu! Wasz słoik i Ali pudełko są u nas w piwnicy, w paczce pod książkami. Pójdź koniecznie do mojej cioci na Sieniawską i to odbierzcie z Mącznej. Tak się martwiłyśmy, że to Wasze i nie mamy jak doręczyć -... wołałam.

- Co wam trzeba? - huknął jej ojciec

- Pamiętajcie; w dużej pace...- wołałam

- Co podać, mów prędko - wołała matka Marysi

- Przyniosę! Co przynieść?-krzyczał Jarek

- Pod książkami w rogu... - przekrzykiwałam

- Daj spokój, to nieważne! - złościła się Marysia

- Dobrze! Odbierzcie to! I Ali też! Dziękuję!...- zaczęłam, ale znów zgrzyt, szarpnięcie i odjazd

- Żegnajcie! - machałam

- Bądźcie zdrowi!- wołali

Patrzyłam na ostatnie widoki Lwowa, uczyłam się ich na pamięć i dziękowałam Ostrobramskiej okaleczonej przez bombę wieży, że nas tak długo, tak najdłużej żegna. Na jak długo?

- Ani jednego garnka, ani jednej łyżki!- Mama nadal dziwiła się sobie, gdy wróciłam dosłownie z niczym.

- A ja mam scyzoryk - pocieszył Tato

- To może byśmy zjedli tę całuskę? -

- Z różą! - odpowiedziałam

- Cukier krzepi - skonstatowała ciocia Iza, a ja zastanawiałam się nad tym słodkim śniadaniem, z przedwojennej róży, że życie nie szczędzi goryczy. Wtedy w czerwcu, gdy tę różę ucierałam, z cukrem, życie było, takie bardzo zwyczajne... Takie czasy, nigdy już nie wrócą! Nigdy...

- Piątek, trzynastego kwietnia! Feralny dzień - westchnęła pani w kapeluszu z piórkiem, a mnie aż zabolął fizycznie ten wisielczy humor samego sformułowania "pani w kapeluszu z piórkiem" - w tym bydlęcym wagonie, w podróży na Sybir! Czy to nie śmieszne? Albo ta nieszczęsna całuska odkrojona od dużego chleba! Abyśmy się przypadkiem nie podźwigali! A te nieodżałowane paluszki! Pełna rynka! Czyżbym się bała, że nam zaszkodzą - zimne? Właściwie to się nic nie jadło w domu przez te ostatnie dwa dni. Na prawdę nic.

Sama rozprawa Wandy, dwa dni trwająca, nie pozwoliła Rodzicom myśleć o jedzeniu. Ciocia Iza solidnie gotowała obiady: ziemniaki na ten pierwszy dzień, a potem, z nich, nietkniętych nawet, na drugi dzień - paluszki. Będą mi się śniły dniami i nocami, ale nie mogłam być aż tak nieprzyzwoita aby jeść, skoro takie nieszczęście nas spotkało: Wandę - zasądzono na pięć lat. Pewnie też wywiozą Ją na Sybir. Teraz to już wiemy. Wczoraj mogliśmy się jeszcze łudzić, że nie.

Ludzie wydobywali żywność i zaczęli się posilać. A potem wynikła sprawa ubikacji. Nie, nie było. Zamiast tego nad otworem w podłodze, tuż u naszych stóp, małe cztery deseczki tworzyły pionowe obramowanie malutkiego korytka. I co tu robić z tym fantem?

- Mogę dać jedno prześcieradło, aby je jakoś rozwiesić - ofiarowała się matka Andrzeja. - Zasłoni się!.

- Strasznie ją lubię - ucieszyłam się w myśli

- Ja dam drugie - podchwyciła matka Ziuteńki.

- Ojej, a myśmy nie zabrali ani jednego! - znów zmartwiła się Mama.

- I poszewek na te poduszki, też nie - pomyślałam z goryczą. - Ani pierzyn, ani jednego koca, czy choćby pled lub szal i tylko po jednym swetrze na sobie, ani żadnych ciepłych sukienek czy bluzek i spódnic.

No, cóż! Prosiłam już wcześniej, abyśmy się popakowali, już wtedy, gdy 10 lutego 1940r. był ten pierwszy wywóz osadników i leśników, w którym znalazła się cała rodzina Marcina Drozda, kolegi z liceum pedagogicznego, jak się okazało: do Krasnojarska na Sybirze. Ale Mama nie pozwoliła. Tak, tylko że w decydującej chwili powinnam była bardziej energicznie przeciwdziałać. I rozsądniej. Przecież nawet na biwak bierze się menażkę, kubek i łyżko-widelec i nóż fiński! Popisałam się, nie ma co! Za co my to wszystko gdzieś tam kupimy? Na nas czworo Tato ma wszystkiego razem dwadzieścia cztery rubla! Polskich pieniędzy było w sumie w chwili aresztowania nas trzysta sześćdziesiąt złotych, co sprawdzono i skonfiskowano bez rubla za zwrot, choć wymiana obowiązywała 1 rb = 1 zł. Przepadło! Tyle najważniejszych rzeczy brak! Jak będzie można się bez nich obchodzić? Ani miednicy, ani wiadra, nie mówiąc o szaflikach, balii, tarze do prania itd! Ile jednak tego wszystkiego człowiek w domu ma! A teraz!

Na jakiejś stacji, około południa, usłyszeliśmy duży ruch podczas postoju. Otwarto nagle drzwi i pozwolono trzem osobom z naczyniami wyjść po obiad i wodę. Jedno wiadro zastaliśmy w wagonie z przeznaczeniem na wodę czystą, poza tym nikt nie miał żadnego wiadra. Naczynia jakoś wygrzebano z tobołków i wybrano najwiękrze. Trzech mężczyzn wydelegowano z nimi.

- A umyćcie to wiadro porządnie! - zawołała za nimi panna Mila, siostra tego młodego chorego na anginę. Medyczka, jak mnie poinformowała Cesia, rok niżej na studiach od brata, tegoż z anginą.

Potem dostarczono nam parę brył węgla i trochę drewna, aby napalić przed nocą w małym żelaznym "okrągłym" piecyku, a także kawałek świecy "bo są tu małe dzieci".

Dzieci. Ziuteńka - dwuletnia i czteroletni brat Loluś. Helenka, czarna i kędzierzawa w wieku około ośmiu lat. Jest z matką. Następnie to wnukowie babci tej z materacami: Stach jedenastoletni i Jurek, lat trzynaście. Cesia starsza o pół roku, samotna. Matka jej zmarła, gdy Cesia miała cztery lata i od tego czasu wychowywała ją siostra ojca, która właśnie musiała wyjechać i tej nocy u Cesi nocowała o rok starsza jej kuzynka. Na szczęście o innym nazwisku, więc ją pozostawili.

Kazik, brat obojga medyków, miał lat 16, tak samo, jak Jurk, brat Andrzeja, mojego rówieśnika. Właśnie ukończyłam osiemnaście. Mila była na czwartym, a Jaś / ten z anginą / na piątym roku medycyny. Dowiadywałam się stopniowo.

Ich zabrano dosłownie od łoża konającego ojca, który też, tak jak i matka, był na liście do wywiezienia. Jako rodzinę oficerską, bo starszy brat ich był oficerem. Ojciec był jak najbardziej "czarnoroboczym" - woźnym w Wydziale Medycznym naszego Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Reszta osób w wagonie to dorośli.

Przyniesiono wiadro wody do podziąku dla wszystkich, okropną kaszę zaprawioną okropnym olejem, ale gęstą, oraz jakąś niby herbatę do picia i natychmiast znowu zaryglowano drzwi.

Panie zajęły się rozdzielaniem żywności.

Potem ktoś rozпалиł i przynajmniej zrobiło się trochę ciepiej.

My tzn. młodzież szkolna czasem schodziliśmy z "mar", aby rozprostować kości i wtedy rozmawialiśmy na dole. Staszek miał ustną harmonijkę i grał na niej "Serce w plecaku", co Kazik z małym Jurkiem wyśpiewywali. Od tej pory ta piosenka, ich ulubiona, najbardziej przypomina mi właśnie tę podróż w wagonie Nr 38 i chyba się jej tam właśnie nauczyłam.

Andrzej z Jurkiem byli Warszawiakami i dopiero parę ostatnich lat mieszkali we Lwowie. Ich ojciec był oficerem i mieli o nim wiadomość że jest w Kozielsku. Ojciec Staszka i Jurka, kapitan, był w niewoli w Starobielsku.

Opowiadaliśmy o ostatnich wydarzeniach, wspominali szkołę, do której tak niespodziewanie już dzisiaj nie poszliśmy, chociaż wieczorem spakowałam teczkę!

- Aż strach - zauważyłam - jak to nasze całe życie przeszło do czasu przeszłego, wszystko właściwie już się zmieściło i zamknęło w czasie przeszłym. Jeszcze wczoraj ktoś mnie zapytał i powiedziałam "chodzę do Liceum pedagogicznego" i to było aktualne, wydawało mi się, że jeszcze długo będzie tkwić w owym czasie teraźniejszym, ale już tak nie jest. to już należy do przeszłości... Czas przeszły niedokonyany...

- Ta, co ty bałakasz? - zapiszczał Kazik z oburzenia. - Ta ty się nie bój, zaraz będzie czas przyszły będzie, będzie!

- Aż ciekawość człowieka bierze, jaki? - dorzucił Staszek

- Założę się że nienajlepszy - pomyślałam - Ale co Wanda ma mówić, sama? - Oby się chociaż nie dowiedziała o naszym wywiezieniu, bo się tam biedna na nic zamartwi w więzieniu.

- E, pewnie lepszy od terazniejszego - rzucił Jurek, ten poważniejszy.

A pociąg, ciągnięty przez jedną lokomotywę od przodu, drugą popychany od tyłu, sapał i gwizdał, szarpał i stukotał, szarpał i potrząsał nami, jak gdyby podejrzewał, że ten zimny dzień kwietniowy obdarzył nas za małym wstrząsem.

Wagon Nr 38

Wieczorem Ziuteńka długo płakała w wielkim rozżaleniu:

- Ziuteńka nie chce tak iść spać. Ziuteńka musi się wykąpać!

- Widzisz, nie mamy wody, nie mamy wanienki - matka przygarnęła małą

- Nie jesteśmy w domu - Lolus pomagał perswadować.

- Do domu! Do domu! - rozżaliło się dziecko jeszcze bardziej rozpaczliwie.

- Ona jeszcze nigdy w życiu nie kładła się do snu bez kąpieli - tłumaczyła się matka - a Lolus najwyżej parę razy, gdy chorował...-

- Ta, umyć dziecko tą odrobiną wody, dokoła nosa, no, tak po żydowsku! - ktoś doradzał

- Po żydowsku? Pruecież jesteśmy Żydami, ale moje dzieci nigdy nie były brudne - zawołała matka gorąco. - Jak dotąd!..- dodała z goryczą.

- I taki sam los nas spotkał jak i was! -dodała jej sąsiadka, czarnowłosa kobieta, ta z Helenką. - I żonami oficerów!- dorzuciła dumnie.

- Nie, ja tylko tak..., tak się mówi, nie chciałam zrobić przykrości. Żal słuchać, że dziecko tak płacze... -

- A co do wody, to przecież strasznie mało. Wypada po pół kwaterki na osobę... - męski głos zażegnał

- My ci zaśpiewamy, dobra? - zapalił się Kazio

"Tę piosenkę, tę jedyną

Śpiewam dla ciebie, dziewczyno " zaczął dość piskliwie, a Staszek zaraz wyjął swą harmonijkę i przygrywał dmuchając w nią z całych sił.

- Mój Boże! Takie dzieci - na taką poniewierkę - Mama zaplotła ręce w ciężkim zamyśleniu, a ja patrzyłam na poważną twarzyczkę Cesi, samotnej między obcymi, rozumiejącą bardzo dośroście swą zwielokrotnioną tragedię, to znów na matki tych dzieci, którym wojna zapowiedziała najgorsze z ludzkich doświadczeń losu i wyrwania siłą z kraju.

- Nie ma co - ktoś się odezwał - trzeba "rychtować" spanie, bo szkoda świecy. -

- - Ta, pewnie! Nie wiadomo, czy jeszcze kiedy dadzą! -

I tak na pół po omacku wszyscy szykowali legowiska sobie lub dzieciom. Na ogół ludzie mieli swoją pościel, poduszki, pierzyny lub kołdry, ale my rozeszliśmy sobie starą kapę na deskach, drugą dałyśmy Tatowi. Ciocia Iza owinęła się w swoją kołdrę. Mama, ja i Cesia umieściliśmy głowy na dwóch poduszkach i każda z nas okryła się własnym płaszczem. Za Cesią, na materacach, stękała staruszka, nękana uporczywym, głębokim kaszlem.

- Niech się mama wyżej podsunie! - z dołu wspinała się jej córka - O, tak, i dobrze okryć się pierzyną! -

- Oj, Jadziu! Jadziu! - staruszka zaniosła się kaszlem przerywanym przez szloch

- Dam mamie kawałek chleba ze smalcem, to załagodzi! - pani Jadwiga szukała ratunku

- Daj, dobrze, daj - skwapliwie wykaszlała babina i zajęła się tym chlebem z wielką nadzieją i małym skutkiem.

Za okienkiem niebo ciemniało, stukot kół wpijał się w mózg, zimno dokuczało gorzej niż twarde leże, zaduch otumniał.

Aż tu nagle z głębi udręczenia wypłynęło jakieś słodkie wspomnienie ulubionej przez Wandę melodii. Zasłuchałam się, zapamiętałam we wzruszeniu. Jak Ona lubiła to grać!

- Ależ tak! To przecież Ogińskiego! Polonez.. "Pożegnanie ojczyzny!.. - Nie dziwiłam się słysząc po obu stronach tłumione płakanie: to przecież pożegnanie Ojczyzny...

- Jak to dobrze, że Bóg stworzył noc ciemną! - pomyślałam. - Jak to dobrze! - Nigdy przedtem nie myślałam, że ciemność może być dobrodziejstwem.

A melodia poloneza wypływała z udręczonej pamięci i otulała mnie swą słodyczą i melancholią, kazała nie słyszeć złośliwego stukotu kół, tłumionych pochlipywań płaczu, niemal tak odrywała mnie od wszystkich dźwięków, jak ciemność nocy od koszmarnego widoku wnętrza bydlęcego wagonu wraz z całą jego zawartością wrzuconą ręką okrutnego losu na pastwę udręki.

Nocą stukot kół tłumił różne inne odgłosy, ale zdołałam zauważyć, że nie tylko ja budzę się często. Brak powietrza

aż zastanawiał wobec zimna. Twarde deski coraz bardziej dukały, a płaszcz nie wystarczał na przykrycie ścierpniętych nóg. Mama pojękiwała na wpeł przez sen, skulona taka i tak bardzo biedna. Po drugiej stronie Cesia czasem rzucała się przez sen.

Biedne dziecko! Właśnie ukończyła czternasty rok. I zabrali takie dziecko bez żadnej rodziny. Sama jedna między cbcymi. Co ją może czekać w tym sierocym życiu?

Staruszka na materacach kilkakrotnie dostawała ataku kaszlu, strasznego, głębokiego. Ta podróż nie wyjdzie jej na zdrowie. Jak bardzo się musi męczyć, i stara i chora.

Po drugiej stronie na parach też od czasu do czasu ktoś świecił zapałkę i widać było jakiś ruch. Niektórzy usiłowali się przedostać do tego korytka u naszych stóp, za prześcieradłami i potykali o toboły i ludzi rozłożonych na podłodze, na środku wagonu.

Pociąg zwalniał lub przyspieszał za każdym razem szarpiąc tak gwałtownie, jak gdyby chciał się otrząsnąć z tej masy pasażerów, jak gdyby chciał ich powyrzucić i pozbyć się balastu. Czasem przeraźliwym gwizdem wybuchał pełnym niezadowolonia i wystukiwał swe wszystkie wrogości przeciwko nam, jak gdybyśmy mu się sami narzucili.

Noc wlokła się dziesiątkami kilometrów, które pogłębiały przepaść między naszym ~~życiem~~ dotychczasowym, a tą tragiczną niewiadomą, której rozmiaru jeszcze nie znamy, ale smak pełen goryczy już zaczynamy odczuwać.

-

Świt wolniuteńko wsączał się w okienko i oczy zaczynały coraz więcej szczegółów wyławiać otaczającej rzeczywistości. Oto owe dwa prześcieradła upięte w "niby parawan". "Minimum egzystencji" - jak to kiedyś Leon nazwał parawan. Zaliste: minimum!

Oto blade twarze, zupełnie odmienione, szaro-żółte i zagubione jakieś, jakby oderwane od ludzi, jakby żyły jakimś osobnym życiem, jeżeli w ogóle żywe. A oto ręce! Jedna leżąca bezładnie, zastygła w bezruchu. Inne poruszające się w pułmroku, poszukujące, czynne. A te ręce uczezione różańca przesuwają się po nim, a wydają się trzymać tak mocno, jakby tonący chwycił rzuconej mu na ratunek liny. I jeszcze ręce tu-

łace małą główkę ufnie w nie złożoną, z buzią przywartą do rąk, które chronią jak mogą przed okrucieństwem świata. Półki mogą...

Nagle szarpnięcie, zgrzyt i pociąg stanął, by znów szarpnąć i ruszyć nagle z przeraźliwym gwizdem.

Teraz już się wszyscy pobudzili.

Ruch. Chodzenie za "niby-parawan". Nie absolutnie to nie przyczynia się do oczyszczenia powietrza! Trudno.

Zaczyna się krzątania: zmiana pozycji, zwijanie legowisk, poprawianie garderoby, czesanie. Nie, mycia nie ma, bo brak wody, może dadzą, kto wie?

Gdy ruch na dole trochę się już zmiejszył, schodzimy i my z górnej półki. Część tobołów umieszczono pod ścianami i można trochę postać, rozprostować nogi. Z dolnej półki wygrzebał się Tato i pyta nas, czyśmy nie zmarzły. Następnie wysunął się stamtąd Kazik, za nim Jurek ze Staszkiem, a z górnej drugiej strony dołączyli Andrzej z Jurkiem.

Ciocia Iza siedzi skulona przy swoim okienku i od czasu do czasu ogłasza nazwę mijanej stacji kolejowej. Mama zatrzymała się chwilę na dole, rozmawia z Tatem i z tą panią, która wczoraj siedziała w kapeluszu z czerwonym piórkiem. Jej mąż, sędzia, został w jesieni aresztowany i ona jest sama. Pani Maria Rygłowska. Ma mnóstwo waliz, wzięła ze sobą bardzo dużo odzieży i rzeczy, pomagano jej w pakowaniu się.

Babcia na materacach zanosi się kaszlem i płacze. Pani Jadwiga usiłuje usadzić matkę wygodniej.

- Wiecie coś? - mówi Kazik - Ta może byśmy coś zaśpiewali?

- "Kiedy ranne", tak jak w koszarach - mówi Staszek i wyciąga harmonijkę.

- Trzy cztery! - komenderuje Kazik

- "Kiedy ranne wstają zorze,

Tobie ziemia, Tobie morze,

Tobia śpiewa żywioł wszelki..." zaczynają chłopcy

- "Bądź pochwalon, Boże wielki!" - dołączają po kolei inni i po chwili cały wagon rozbrzmiewa śpiewem modlitewnym.

- A teraz "Kto się w opiekę..." - prosi inna babcia, ta z dołu.

- Kochanowski...- myślę ze wzruszeniem

"Kto się w opiekę odda Panu swemu,
 A całym sercem szczerze ufa Jemu,
 Śmiało rzec morze: mam obrońcę Boga
 Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga...
 żadna straszna trwoga! "-

- Mamusiu! Ja się nie boję! - krzyczy Lolus, ten cztero-
 letni Żydek

- Nie, synku, nie boisz się...- zgadza się matka

-I Żiuteńka nie boi z mamusią! - tuli się do niej małe,
 bardzo małe dziecko

- Nie, nie boi się... - matka gładzi małe główki.

Pani Helena, ta druga Żydówka, ociera ukratką łzy.

- No, to teraz wojskowe! - woła Staszek, gdy już pieśń
 Kochanowskiego dobiegła końca.

- Od razu widać, że oni mieszkali całe życie w koszarach:
 ta, czy nie mam racji? - śmieje się Kazik i zaciąga po ły-
 czakowsku

- Ta, pewnie! - odpowiadają dumnie Jurek ze Staszkiem,
 zadowoleni z tego "całego życia", które liczyło jedynaście
 i trzynaście, a według nich aż "naście" lat.

- "Z czyjejs piersi się wyrwało! " zaczęli

- A co jeszcze znacie? - zapytałam, gdy ukończyli

- To może to: "Na polskiej granicy". Znacie?

- Nie. Nie znam. -

- To się nauczycie! -

- "Na polskiej granicy" - ścisnęło mi się serce. -

Przejeździemy tę naszą polską granicę, Boże, Boże! A te głu-
 otasy nic nie rozumieją... - Tym lepiej... -

- Trzy, cztery! - padła komenda

- "Na polskiej granicy chłopców zaciągają,
 Chłopców zaciągają.

Niejednej dziewczynie i niejednej wdowie

Serca zasmucają, serca zasmucają.

Nie smuć się dziewczyno, nie smuć sama siebie!

Nie smuć sama siebie!

Ja za roczek, za dwa, ja za dwa, za roczek

Powrócę do ciebie, powrócę do ciebie"

- A czy my powrócimy? - pomyślałam aż do bólu serca.

"A jak nie powrócę, listy będę pisał,

Listy będę pisał.

Ty będziesz czytała, ty będziesz płakała,

Ja nie będę widział, ja nie będę słyszał..."

pytała

- Ziuteńka nie będzie płakała? - /malutka matki i tuliła się do niej, a buzia drżała w podkówkę

- Nie, nie będzie Ziuteńka płakała! - uspokajała ją

- Ziuteńka ma mamusię i dużego brata! - oznajmił Lolus i dziecko uciszyło się od razu.

- "Starsza siostra brata miała!" - zaczął Kazik

Teraz Jurek wziął harmonijkę, a Staszek wyśpiewywał z zapałem i z przytupywaniem.

Ale potem towarzystwo przygasło z zmarkotniało, niektórzy przycupnęli na parach, reszta zaczęła rozmawiać.

- Dadzą dzisiaj jeść, czy nie dadzą?

-Muszą dać! Pewnie na większej stacji...-

W Tarnopolu pozwolono wyjść czterem mężczyznom z wiadrem i naczyniami. Wrócili z wiadrem wody, chlebem, kaszą i jakąś dziwną herbatą i zaraz pociąg ruszył. Panie rozdzieliły żywność i po odrobinie wody. Chleba wypadło po kawałku na osobę, ja ze swojego zdołałam wykroić trzy małe kromeczki. Kasza znowu była obrzydliwa, z jakimś ohydny olejem i wzięłam jej ledwie odrobinę, a i tego nie mogłam przełknąć.

Okazało się, że w starej torbie na zakupy mieliśmy kilka cebul. Mama ucieszyła się: - Będą do chleba! -

- Witaminy! - z aprobatą powiedziała Ciocia Iza przyjmując cebulę, tak samo jak i Tato.

- Ja nie, dziękuję - wymówiłam się i marzyłam o tej róży utartej, ale nie śmiałam o niej szepnąć. Powoli delektowałam się tym, pożał się Boże, wojennym chlebem, smakując każdy kęs jak najdłużej, aby się nim jak najbardziej nasycić. Nie popijałam jedzenia, bo by się za wcześnie ukończyło. Mieliśmy jedyny garnuszek, więc zamówiłam sobie ostatnią kolejkę w rodzinie, co dawało mi szansę picia dowolnie długo.

Gdy zaczęłam ostatnią kromeczkę, Mama przypomniała sobie o tej róży. Ucieszyłam się i cieniutko, oszczędnie posmarowałam nią chleb, w kolejności po Cioci i Mamie. Tato odmówił: - Wolę papierosa - wyjaśnił i ułamał pół, aby drugą połowę zaoszczędzić na później. Ciocia zrobiła to samo.

Cesię zabrały panie na dole. Wszyscy zajęci byli posiłkiem. Siedziałam na tej swojej górze i patrzyłam. Niektórzy

rzucili się z miejsca na jedzenie, a teraz tępo przypatrywali się swoim pustym naczyniom, albo tym, którzy jedli z rozważą, ba - z namaszczeniem i nawet z ociąganiem się.

- Ta, jaka jest, to jest, ale łyżka w niej stanie! - rzuciła uwagę babcia, ta z dołu i pracownicy żuła wydzielając sobie porcje kaszy.

- Żeby chociaż tak nie śmierdziała! - zaskrzeczała babcia na materacach i zanosła się kaszlem tak, że aż mocniej chwyciła miskę oburącz, aby jej nie wypadła.

- Zakaszle pół wagonu - pomyślałam z przerażeniem i od razu zrobiło mi się niedobrze. Ale właśnie w tej chwili Tato podsunął mi garnuszek: - Pij! - powiedział, co wykonałam natychmiast.

- Miski najlepiej wylizać chlebem, bo nie ma czym umyć! - doradził ktoś z dołu i zobaczyłam, że chyba wszyscy wpadli na ten pomysł, bo niektórzy już dojadali ostatnie okruchy.

Potem ktoś zapalił w tym żelaznym piecyku, ktoś tam od czasu do czasu podkładał, ktoś grzał jakieś odrobiny zaoszczędzonego jada czy herbaty.

Znowu pozłaziliśmy z półek, aby się pokręcić po dole, poruszać, porozmawiać.

Dorośli głośno medytowali nad naszym losem, snując różne domysły i przypuszczenia, zamartwiając się lub pocieszając na wzajem.

My oczywiście opowiadaliśmy sobie o szkole, wakacjach, obozach harcerskich i o książkach. Cesia, która jak się okazało była nad wiek odczytana, oznajmiła nam, że jedna z jej dwu walizek zawiera same książki.

- Stasia, moja cioteczna siostra, chociaż bardzo płakała, wyjęła z szafy moją bieliznę i trochę sukienek i pakowała mi to wszystko do jednej walizki, abym miała na drogę. A tę drugą walizkę porwał mi żołdak i całą napakował książkami z tatusia biblioteki. Wcale nie wiem, jakie. Bardzo ciężkie. Bardzo... Może będziemy tam mogli czytać. Tatuś miał bardzo dużo książek. Wiele już znam. Ja swoje też miałam bardzo ładne... - mówiła.

- Tak, z pewnością będziemy chcieli jak najwięcej czytać tam, na tym zesłaniu - zapalił się Andrzej.

- Zesłańcy zawsze wiele czytali: syberyjskie noce są przecie takie długie... - dodałam.

- Jasio mówi, że napewno nas wiozą do Irkucka - dorzucił Kazik

- Albo do Krasnojarska. Ten transport pierwszy z dziesiątego lutego, z osadnikami i leśnikami jest w Krasnojarsku. Pisała stamtąd rodzina mojego kolegi. Żywa była bardzo tam ostra, zresztą jeszcze trwa. - dodałam.

- Wielu Polaków było na Syberii, to wiemy z historii

- Byli nawet nad jeziorem Bajkał... -

- Tak, a czytaliście Ossendowskiego? - pytał Andrzej

- A Bronisława Piłsudskiego o ludach Syberii, szczególnie o Jakutach, to poważna rzecz, o zwyczajach i warunkach życia. Albo Goetla "Kar Chat", też bardzo interesująca powieść osnuta na tle prawdziwych wydarzeń... - przypomniałam sobie

- A o samej rewolucji: "Przedwiośnie" Żeromskiego -

- Albo "Ku swoim" Zofii Kossak Szczuckiej -

- Tak, trochę ma się pojęcia o tym kraju z książek -

- Jeszcze Sieroszewski... -

I tak świat książek przybliżał nam poznanie życia w dalekiej Azji, a kolejno opowiadane sobie na wzajem przeczytane kiedyś książki uchylały rąbka tajemnicy, którą niedaleka przyszłość dla nas szykuje, a równocześnie poprzez zainteresowanie losami bohaterów, przenosiły nas do innej rzeczywistości, odrywały od własnej.

- Tatku! - mówiłam później rozgorączkowana do Ojca - opowiadamy sobie książki o Syberii, Ja też znam ich dość sporo, ale nie wszystkie. A oni nie czytali tych, które ja znam. To bardzo wszystko ciekawe! Gdyby tak mieć tutaj te książki...

- Tak... Książki... - zadumał się Ojciec nad swoją życiową pasją - Książki! Opowieści... Samo życie wymyśla najdziwniejsze... - pokiwał głową.

- Życie? I ... nasze też? - podchwyciłam

- A pewnie, pewnie, że i nasze. Tak, oczywiście. -

- To może Tatko napisze o tym, o tym wszystkim, co tam będziemy przeżywać?... - dopytywałam

- A, pewnie, że to powinno być spisane, pewnie. Masz rację. Tylko, że do napisania potrzebny jest spokój... -

- Jak już wrócimy, Tatku! - prosiłam. - Jak już wrócimy. Tato tak świetnie umie o wszystkim opowiadać. I sam Tatko wierzy że to powinno być opowiadanie. Takie "dziwne koleje losu", jak to mi wróżył ten Tata kolega, /pan Harasym?/ astrolog... -

- Ach, to były wypisy z ksiąg pisanych w języku starocer-
kiewno-słowiańskim - uśmiechnął się do mnie. - Tak, tak ci
napisał i jeszcze " życie pełne walk " - pamiętasz? - spoj-
rzał badawczo

- O, tak, pamiętam! - śmiałam się uszczęśliwiona, że
i Ojciec to sobie przypominał. Oj, ile było wrzawy, gdy przy-
niósł nam te horoskopy wypisane ze starych ksiąg na podsta-
wie szczegółowej daty urodzin, włącznie z nazwą dnia tygo-
dnia i godziną. To było jeszcze w Boże Narodzenie 1938 roku,
w starym domu na Sieniawskiej. Horoskopy dla nas trzech i
dla Marylki.

Och, jak się Ciocia Julia wtedy zaśmiewała razem z nami,
jak mówiła do Mamy: - "Popatrz, Nusiu, jakie to mamy już
panny na wydaniu, o tutaj każda ma nawet rok ślubu podany!"
A potem jak się śmiała ze mnie gdy twierdziłam, że ja wcale
za mąż nie wyjdę. - "Ta, ta, ta!" - przedrzeźniała mnie dob-
rotliwie. - "Znamy już takie 'Śluby panińskie'! A czemużbyś
nie miała wyjść za mąż? Nie garbata, nie kulawa, nie ślepa,
nawet nie plegowata, a więc "znajdzie się taki głupi, co ten
towar kupi", jak mówi przysłowie! -

- A głupiego to ja nie zechcę! - oburzyłam się na to

- Ha! Tu cię mamy! Wylazło szydło z worka! - Ciocia Julia
aż klasnęła w ręce. - A widzisz: głupiego to ty nie chcesz,
ale gdyby tak nie głupi!.." -

Tak... Tak to sobie przekomarzałyśmy z Ciocią Julią, wtedy:
przed wojną. Ależ to całe wieki temu, choć jeszcze nawet
pół roku nie minęło...

- A w takim "życiu pełnym walk" trzeba pamiętać, że nie
wolno się poddać... - mówił Ojciec

- Wiem, jak w tej pięknej baśni o stromej i bardzo tru-
dnej drodze na szczyty, z której zawrócić nie sposób. I tyl-
ko wielka dzielność i wytrwałość umożliwi dojście do celu,
który da ratunek... - snułam dalej

- Tak, widzę że pamiętasz to, co najważniejsze z bajek
i baśni. Widzisz, co do książki, to staraj się w życiu mieć
oczy otwarte: obserwuj i pamiętaj. Na pewno nie wszystko bę-
dziesz mogła zrozumieć, ale staraj się to zapamiętać nawet,
gdy nie rozumiesz, bo to przyjdzie z czasem...-

- Dobrze, będę...

- Potem mi pewnie niejedno przypomniesz, do tej książki o zesłaniu. prawda? - przyjrzał mi się uważnie. - Bo musi być prawdziwa, musi. -

- I całe jej dzieje, trochę wydarzeń są jeszcze dla nas tajemnicą - powiedziała i pomyślałam, że nawet sam Autor nie zna ich jeszcze i nie wie jakie będzie zakończenie: czy szczęśliwe? Oby!...

W Podwołoczyskach każdy choć na chwileńkę chciał zajrzeć przez okno: ostatnia miejscowość przed Zbruczem, ostatnia ostatnia przed przedwojenną granicą. W chwilę później Zbrucz swoimi wodami oddzielił nas od naszej Ojczyzny.

W Wołoczyskach pociąg zatrzymał się na stacji na dość długą chwilę. Spodziewaliśmy się, że znowu pozwolą kilku osobom wyjść po wodę, a może i po żywność, ale obserwatorzy z okienka zawiadomili, że nic nie wskazuje na to. Natomiast wjeżdżając na stację minęliśmy studnię.

- Możeby tak nam ktoś wodę podał przez okno? - zwrócił się do Andrzeja z Jurkiem pan Marian Karmelita, ten wywieziony z teściową.

- Zapytajcie, nie mamy kropli wody! - wołały matki maluchów.

- Dobrze, przyniosą, ale mówią, aby im z okna snuścić wiadro na wodę - poinformowali bracia Kapańczyńscy, to znaczy Andrzej i Jurek.

- Już się robi! - zawołał pan Marian i od razu zabrał się do wiązania sznura do wiadra, które po chwili wylądowało za oknem.

- Śpieszcie się śpieszcie! - wołali chłopcy do uczynnych ludzi z peronu.

- Niebezpiektaş!... - usłyszeli w odpowiedzi

A potem czekaliśmy i nie doczekaliśmy się ani tej wody ani tego wiadra. Pociąg szarpnął i ruszył z kopyta wygwizdawszy swój złośliwie ironiczny chichot z naszej nieusprawiedliwionej naiwności i łatwowierności, a nam się chciało wyć do wtóru. Oto jak witają nas na tej ziemi obcej.

- Mamy nauczkę... - markotnieje inicjator

- I nie mamy ani jednego wiadra... - rozpaczają kobiety

- Ja mam litrową butelkę i pani ma trochę mniejszą...-

- A moja, to już będzie trzecia... -

-Ba! Lepsze to, niż nic... -

Przygnębienie ogarnęło nas dotkliwie. Jak to tak? Takich nieszczęsnych nędzarzy pozbawić wody? Co jeszcze nas czeka w tej drodze? Czego się jeszcze spodziewać?

Następna nauczka była wręcz tragiczna.

Na najbliższej stacji, gdzie pozwolono wyjść trzem osobom po żywność i wodę / w tych trzech flaszkach / podczas zamieszania panującego na peronie, jakaś młoda para souściła się z okienka wagonu na tyłach pociągu i ruszyła przed siebie na wzgórze, poza którym spodziewała się znaleźć ratunek. Tuż przed zniknięciem za pochyłością wzgórza posypały się za nimi strzały. Padli oboje, a wokół pociągu rozszalała się bieganina i wrzaski, przygnoniono pędem resztki tych wysłanych po żywność, którzy jeszcze do swych wagonów nie wrócili, zabroniono patrzeć przez okienka i pociąg znów ruszył z konyta szarpnawszy z całej siły.

- Ta, czegoż oni, głuptasy, doniero za Ztruczem się namyślili!... - lamentowała babcia Gajewska na dole i wszyscy byli tak poruszeni, że nawet chłopaczkom nie chciało się śpiewać.

Mały Jurek znalazł gdzieś w jakiejś kieszeni " Czing - Czang " - układankę cyfrową i po kolejnym każdemu pożycał do próbowania własnej zręczności. Potem ułożyliśmy z tego grę i graliśmy na punkty.

Wkrótce potem szarpnięcie pociągiem spowodowało upadek pani Jadwigi z górnej półki gdzie przysiadła przy matce, prosto na rozpalony do czerwoności piacyk. Ryknęła z bólu i strachu okropnie: przypiekła sobie całe przedramię na tym żarze. Mila i Jaś rzucili się na ratunek, Staszek rozpłakał się z żalu nad matką, Jurek pobiegł pomagać medykowi, babcia na materacach dostała strasznego ataku kaszlu, aż się złąkłam, że ducha wyzionie.

Długo w nocy słychać było jej tłumione jęki.

- Boże, czyż ludzie muszą się aż tak męczyć? - myślałam z przerażeniem i ciemność tej nocy zdawała się otaczać nas jakąś okrutną wrogością.

Ewangelia na niedzielę dzisiejszą

Pierwsza niedziela w transporcie okazała się trzecią niedzielą po Wielkanocy.

Ojciec pierwszy poprosił mnie o wyszukanie Ewangelii. Była własnością Wandy i pierwszą rzeczą od której Tato zaczął pakowanie owej nocą, gdy po nas przyszli. I oto włożył okulary i zagłębił się w czytaniu, a skończywszy siedział przez chwilę zamśloni bardzo i potem, nieoczekiwanie zabrał głos zwracając się do wszystkich, aby zechcieli posłuchać Ewangelii na niedzielę dzisiejszą czyli trzecią niedzielę po Wielkanocy.

Niektórzy przycichli, inni spojrzeli z mniejszym lub większym zainteresowaniem.

I oto wśród wzrastającej ciszy rozlega się coraz głośniejszymi głosami czytany tekst:

"... Maluczko - a nie ujrzycie mnie. I znowu maluczko - a ujrzycie mnie w pełni chwały..." i nagle głos Ojca się zakłamał wzruszeniem, a tu i ówdzie zerwał się nagły szloch lub bezradne pochlipywanie.

Wiele rąk wyciągnęło się po malutką książkę niosącą balsam nadziei właśnie tymi słowami rozpoczynającą szereg czekających nas niedziel oddalonych od kościoła, mszy, księży. Oto nasza wiara będzie naszą nadzieją i ratunkiem na tej ziemi obcej. Będzie naszym drogowskazem i podporą w zwątpieniu. Weźmiemy ją ze sobą na te wszystkie drogi tułacze, na całe życie.

Właśnie te słowa na tę niedzielę dowodzą, że nie jesteśmy opuszczeni przez Boga, ani skazani na zagładę. Oto wymiar właściwy tego, co nam, tej garstce ludzkości grzesznej przeznaczono:

" Maluczko - a ujrzycie mnie " - oczywiście to się rozumie, że wrócimy do Kraju, to zapowiedź. Będziemy ją pamiętać. Bierzymy ją sobie do serca, będzie jasnym promieniem pośród wszystkich ciemności, płomieniem wśród mrozów: nie da nam zginąć.

Nie pozwoli. Uratuje. Zmusi do przetrwania.

Maluczko...

W Saratowie

Gdy pociąg zwalniał Ciocia Iza zrobiła nam miejsce, abysmy z Cesią mogły też wyjrzeć okienkiem. Wolno zatrzymywał się niemal przed samym przejazdem, a ja z osłupieniem zobaczyłam znany sobie widok.

Oto jedzie z lewej strony tramwaj, zielono-popielaty, z prawej wielkie auto ciężarowe.

- Popatrz Cesi, teraz! Teraz! Zza tego auta wyjdzie kobieta w fioletowym płaszczu, w szaro-brunatnej kraciastej chuście na głowie, a potem to auto skręci w tamtą ulicę, ona się będzie oglądała za siebie i do niej dojdą jeszcze trzy osoby... - mówiłam gorączkowo do Cesi, która z zaciekawieniem wypatrywała zapowiedzianych wydarzeń

- Alu! Patrz: ta kobieta - zobaczyła zaskoczona

- A teraz, teraz auto tam skręca... -

- A ona się tak ogląda... Skąd ty to wiedziałaś, skąd?

- nie mogła nadziwić się

- Wiesz, to wszystko mi się śniło. Na prawdę. Ten tramwaj i ta kobieta... -

- Śniło? Wcześniej? - zszatanawiała się

- Tak, tak samo jak właśnie tu było... - sama nie mogłam ochłonąć ze zdumienia. Jak to tłumaczyć? Co na to psychologia? Czyżby to były figle pamięci? No, nie, bo naprzód wiedziałam co będzie za chwilę. Jak to możliwe? Dlaczego nie myślałam po tym śnie, że jest ostrzeżeniem i że wobec tego należało się jednak bezwzględnie spakować od razu do takiej dalekiej podróży. Przecież i odzież tych wysnionych postaci i ten tramwaj wskazywały na obcy kraj... Dlaczego przegapiłam taką rzecz?

- Zamyśliłaś się - skonstatowała Cesia

- Tak. Jeszcze jest wiele zjawisk na świecie, których nie rozumiem... Zbyt wiele.-

Wołgę przejeżdżaliśmy po ciemku. Dalekie światła po drugiej stronie ślicznie odbijały się w wodzie. Pociąg jechał wolno po moście, który wydał się bardzo, bardzo długi, a rzeka bardzo, bardzo szeroka, potężna. Przypomniałam sobie wszy-

stko co tylko wiem o Wołdze, ale i tak musiałam ją podziwiać. W uszach brzmiała mi rzewnie dumka ukraińska " Wołga, Wołga, ma' rodnaja ", do której melodii śpiewaliśmy naszą pieśń " Pośród wichrów i zamieci ", co z kolei wywołało tym większy przypływ tęsknoty za domem.

Już jesteśmy za siódmą górą, za siódmą rzeką od niego, a ile jeszcze nas ich czeka?

" Wołga, Wołga, ruczka, rzeka..." i " Hej! Uhm..." - pieśni burłaków " gdzieś mi tkąły w duszy tęsknymi tonami, a szerokie wody rzeki oddzielały bardziej od kraju niż całe kilometry dróg. Ileż wody upłynie zanim nam Los pozwoli powrócić? Jeżeli pozwoli... " Maluczko, a nie ujrzycie mnie i znowu maluczko, a ujrzycie..." Oby!...

Po trochę poznajemy współtowarzyszy niedoli.

Cesia Szakalska jest córką komendanta dzielnicowego posterunku policji. Zaczęła pierwszą klasę gimnazjalną. Zaopiekowała się nią panna Mila Dudek, ta medyczka, wraz z braćmi Jasiem / ten z anginą / i Kazikiem, do których na Piekarskiej doładowano do ciężarówki samotną półsierotę.

Pani Jadwiga Bokotowa, żona kapitana, jest matką Jurka i Staszka i córką babci kaszlącej na materacach.

Po naszej stronie, oprócz tych wszystkich i nas czworga jest jeszcze pani Maria Rygłowska.

Po przeciwnej stronie na górze, na przeciw nas są dwie samotne panie. W kącie pani Ostrowska, szczupła i siwa, a obok niej wysoka pani Aniela Białkowska, której mąż jest aresztowany. Pani Ostrowska ma w więzieniu syna, Tadzia.

Pani Kapałczyńska obu synów: Andrzeja i Jurka ma przy sobie. Oni we trójkę zajmują miejsce przy jedynym z tamtej strony okienku, na przeciw " naszej " babci na materacach.

Dolną półkę pod nimi " zamieszkują " pani Ewa Kiestenbaum z Lolusiem i Ziuteńką, obok pani Hanna Finkler z Helenką, dalej " babcia " Gajewska i jej zięć pan Marian Karmelita.

Cały środek szczelnie jest wypełniony najrozmaitszym bagażem. Ciężkie kufry należą do babci Jurka i Staszka Bokotów, olbrzymie kosze są własnością pani Gajewskiej, poza tym mnóstwo wielkich waliz posiada pani Rygłowska. W ogóle wszyscy mają wiele waliz i bagaży rozmaitego typu i kalibru.

Pani Ewa posiada miednicę. Nikt jednak nie ma wiadra. Ani na czystą wodę, ani na brudną.

My mamy najmniej bagażu: żadnych waliz ani kuferków ani koszy. Cały nasz dobytek to dwa tobołki zapakowane w stare kapy z łożek - na Rodziców i na mnie są trzy poduszki i trochę odzieży, garść pończoch wziętych razem z przędzą do czerowania. Ciocia Iza ma ze sobą walizeczkę z bielizną i jakąś odzieżą oraz pudło wypełnione tylko kołdrą. I to wszystko. Nie wiadomo, czy płakać, czy się śmiać z takiego naszego wyposażenia w nowe życie!

Środek wagonu na dzień urządzony jest tak, aby można było po zejściu z górnej półki lub wygrzebaniu się z dolnej półki choć trochę rozprostować kości, postać lub pochodzić po dwóch metrach przestrzeni pomiędzy bagażami i piecykiem żelaznym, który rozgrzany promieniuje ciepłem, tracąc je natychmiast po wygaszeniu ognia.

Noce są zimne. Sypiam więc nie tylko w mundurku szkolnym, w czym z domu wyszłam, lecz także i w swetrze, szkolnym fartuchu z rękawami, a nawet nawlekam na siebie długie, flanelowe, gimnastyczne spodnie, które cudem znalazłam w bagażu. Nie mam koszuli nocnej, tak samo, jak i Mama, która też na noc wkłada, co tylko się da, byle więcej. Przykryte każda własnym płaszczem, spod którego nogi uciekają, marzniemy, chociaż do siebie się tulimy obie, a ja z drugiej strony do Cesi wystrojonej w ciepłą i długą koszulkę nocną trykotową, na którą wkłada swetr. Niezależnie od tego pod spodem ma bieliznę dzienną, z pończochami włącznie. Do mnie tuli się chociażby z braku miejsca, bo materace kaszłacej babuni zajmują połowę szerokości półki. Myślałam, że córka będzie spała obok, bo tam miejsca wystarczyłoby obu, ale woli pani Jadzia spać na dole, bo jej matka straszliwie kaszle, a gdy czasem uśnie, rzuca się przez sen, tak że w rezultacie dla chorej materace z pewnością nie są zbyt szerokie. Całe szczęście, że je ma; bo w ciasnocie zakaszłałaby biedną i bez tego nie-szczęśliwą Cesię, która nawet ani słowem się nie żali.

Ręka pani Jadwigi stłuczona i spieczona wzdłuż całego przedramienia jest opatrywana przez pannę Milę lub pana Ja-

sia, który połyka lekarstwa przeciw anginie i stale przebywa na swej dolnej półce, aby nie narazić "towarzystwa".

Towarzystwo już się jakoś oswaja z sytuacją i poznaje ze sobą wzajemnie. Gdy wypuszczają raz na dobę po trzy lub cztery osoby, aby przyniosły żywność lub wodę, kobiety postanawiają, że ten przwilej pozostawią mężczyznom, bo i przynosić im łatwiej w tych garnuszczykach i przejść się powinni - nam łatwiej usiedzieć w miejscu. Tak więc mężczyźni wychodzą na zmianę, oczywiście wilczając kolejno chłopaków.

Tylko pani Janina nie przyjmuje do wiadomości tej decyzji. Gdy tylko pociąg staje, ona już pierwsza czeka przy drzwiach ze swoją butelką na wodę i z termosikiem, zawsze pierwsza się przepycha do drzwi, gdy tylko żelazna sztaba z nich opadnie, pierwsza zeskakuje z wysokości wagonu. W końcu babcia Gajewska zwróciła jej uwagę, że uzgodniliśmv wszyscy iż mężczyźni i chłopcy będą wychodzili na zmianę, a pani Janina za każdym razem tak się wkręca, że sama wychodzi, zawsze. Co gorzej: potem ani kropli wody do mycia, ani kropli tego niby wrzątku do picia nikomu nie daje, z nikim się nie dzieli, nawet nie chciała słyszeć, gdy dziecko płakało. A przecież wszyscy inni którzy wychodzą, rozdzielają na każdego sprawiedliwie i ani kropli więcej nie biorą dla siebie.

- W takim razie mnie już nie dawajcie, będzie więcej do dzielenia dla was! odpowiedziała urażona

- Pewnie, tylko że pani ma tę flaszkę półlitrową, a tu przy podziale wychodzi pół szklanki wody na osobę - ktoś tłumaczył.

- Nie trzeba było w Wołoczyskach dawać tego wiadra! -

- Ale wtedy pani tego nie mówiła! Sama pani doradzała, aby spuścić wiadro na sznurze! -

- A, dajcie mi spokój! - zezłościła się. - Wy wszyscy macie kogoś, a ja mam tylko mojego syna, który ma tylko mnie!

- I ja muszę to przeżyć, bo kto go będzie ratował, gdy go wypuszczą z więzienia? To bohater i ja muszę żyć, rozumiecie? - i rozplakała się.

Słuchałam z przerażeniem, własnym uszom nie wierząc. To tak postępuje matka bohatera? Tymczasem w wagonie stało się tak, jakby "kij w mrowisko". Oburzenie było powszechne. Jakoś

znalazłam się obok Tata.

- No, cóż. To nie jest godna postawa. Nie jest godna!...-

Spojrzałam w dół. Pani Fama coś mówiła do pani Ewy Kistenbaum, ale ta siedziała poważna na jakimś kuferku i tuliła czerną główkę tulącej się do niej Ziuteńki.

- To mała próbka, taki przykład tylko, jak się zaczyna walka o byt i o przetrwanie...- usłyszałam głos Cioci Izy.

Napotkałam wzrok Cesi, pochmurny, aż pociemniały ze zgrozy.

Tymczasem, gdy w jakimś momencie zrobiło się ciszej, usłyszałam, że Loluś, proszony o coś przez małą, mówi jej

- Dobrze! Dobrze! Już słuchaj:

" Stoi na stacji lokomotywa

Ciężka, ogromna, a pot z niej spływa:

Tłusta oliwa..." -

W sąsiedztwie najbliższym uciszyły się głosy, a przejęty czterolatek wyskandował rytmicznie cały wiersz Tuwima, słuchany przez coraz liczniejsze grono słuchaczy, z wielką uwagą i z uznaniem. Zaraz też chłopcy wciągnęli swą harmonijkę, cała młodzież skupiła się na dole, by pośpiewać i zrobiło się jakoś normalniej, choć podejrzewałam, że incydent pozostał zadrą w niejednym sercu lub ostrzeżeniem w pamięci.

- Chyba ta pani nie może być Lwowianką - myślałam. Przecież "... to miasto /według Makuszyńskiego / podzieli się ostatnim kawałkiem chleba, ostatnią łyżką strawy i ostatnią koszulę zedrze z siebie, jeśli jej komuś potrzeba." Przepuszczalnie nie zacytowałam tego bardzo dosłownie, ale że to prawda, widziałam we Wrześniu. Nie tylko widziałam, lecz też uczestniczyłam w tym osobiście i własnoręcznie, tak jak i wszyscy w mieście: cały Lwów.

Gdy radio ogłosiło, że Wojsko jest rozproszone, że oddziały pogubiły lub straciły swe kuchnie polowe i zaprowiantowanie, wtedy wszyscy wchodzili na główne ulice z wiadrami pełnymi zupy, z kubeczkami na nią i przechodzącym kolumnom żołnierzy podawało się zupę w tych kubeczkach. A oni szli i w marszu pili zupę, komuś zwracali kubeczki, które natychmiast napełniane trafiały do następnych rąk. Tak u nas na Łyczakowie od samej rogatki do końca trasy karmiło się Naszych żołnierzy. Kto miał, wynosił chleb. Ta zupa była

gotowana przeważnie nocami, a wodociąg już w pierwszych dniach września zostały unieruchomione po bombardowaniu i długie godziny stało się w kolejkach do nielicznych studni ulicznych, z których dźwigało się wodę do domu w wiadrach lub baniakach.

Początkowo zupy były z ciastem lub z kaszą, ale gdy tego zabrakło, to już tylko jarzynowe z ziemniakami i z zasmażką. Ale były. Nikt nie myślał o tym, aby sobie swoją kaszę zostawić, czy cokolwiek. Wszyscy gotowali swoją zupę, nawet i nocami, chociaż wtedy naloty były najgorsze i trzeba było schodzić do piwnic - prowizorycznych schronów.

Połowa ludności biegała z tą zupą dla żołnierzy, połowa wyrwała bruk z jezdni i płyty z chodników i ustawiała w poprzek ulic barykady "przeciwczołgowe" - jak nam mówiono. Ojciec mój normalnie pracował w drukarni, Mama gotowała, a my wszystkie trzy nosiliśmy wodę, biegały z zupą, lub pracowały ciężko przy barykadach. Śmiałam się nawet, że co mi ręce zczernieją przy obieraniu ziemniaków na te zupy, to się potem "wypumeksują" chodnikowymi płytami przy barykadach.

Jestem pewna, że nikt wtedy tak nie rozumował, jak "ta pani Janina z butelką i z termosikiem". Do ostatniego dnia, do 22 września, w którym do miasta wkroczyły wojska sowieckie, w samo południe, wśród rozpaczliwej ciszy ogłuszonego beznadziejnością miasta...

Nie trzeba było nikomu żadnych haseł w rodzaju "Jeden za wszystkich - wszyscy za jednego", ani apeli, ani nawoływania. Wszyscy razem usiłowaliśmy ratować nasze miasto i siebie nawzajem. To się po prostu czuło, to było zrozumiałe samo przez się...

A tymczasem wyczerpywał się repertuar piosenek, albo zapął głodnych śpiewaków i tylko wzrastał, zda się, stukot kół, przedrzeźniających urywek wiersza:

"... A dokąd to, dokąd?!..."

Po pierwszych przedwiosennych chłodach i nocnym mrozie, w miarę posuwania się na wschód, coraz mniej już się marzło,

choć ukończyły się przydziały węgla, czy drewna. Natomiast w wagonie było coraz duszniej i coraz gorzej męczył nas odór drewnianego korytka wylotowego, pełniącego nader nieudane funkcję ubikacji utworzonej z dwóch prześcieradeł.

Zapisywaliśmy nazwy większych stacji w usiłowaniu stworzenia sobie mapy podróży, ale okazało się, że żadnych ważniejszych map nikt nie posiadał. Jaka szkoda!

Licząc od Lwowa mijaliśmy Tarnopol, Podwołoczyska i graniczną rzekę Zbrucz. Potem te nieszczęsne Wołoczyska, Winnicę, Kijów, Kursk, Woroneż, Saratów i Uralsk. Tu już serce ścisnęło się na myśl, że oto żegnamy się z naszą Europą.

Brak wody odczuwaliśmy szczególnie dotkliwie. Brudni z trudem odmawialiśmy sobie ostatnich kropli wody, od ust je sobie odejmując, aby choć oblizać nią twarz lub przynajmniej przemyć oczy. Dokuczliwy półmrok panujący w pociągu zdawał się tuszować nasze / pożałuj Boże! / stałe niedomycie. Babcia na materacach coraz gorzej znosiła coraz dłuższe ataki kaszlu, skarżąc się, że już brak jej chustek do flegmy. Cesia, śpiąca przy niej, potakiwała ze łzami w oczach. Pani Jadwiga starała się tłumaczyć wszystkim, że matka jej choruje na " dusznicę sercową ", a panujący zaduch powoduje pogorszenie.

Któregoś ranka obudziło nas dziwne poruszenie. Wszyscy starali się domyśleć co się dzieje, nad słuchując głosy z zewnątrz. Potem Andrzej z Jurkiem wołali, aby zajrzeć przez " ich " okienko, przez które widać - o dziwo! - śnieg, chociaż zdawało się, że zanoszą się na upalny dzień. Jadąc dalej oczom patrzących ukazała się wielka tafla wody.

Gdy pociąg przystanął obserwatorzy dopytali się konwojentów, że to jest morze Aralskie i połacie soli, okalające brzegi po wyschnięciu wody.

Dyskutowaliśmy nad tym morzem Aralskim, czy to chodzi o jezioro Aralskie, czy może o morze Azowskie, ale potem wyjaśniło się, że oni jezioro Aralskie nazywają morzem, ze względu na zasolenie.

Upały zaczęły nam dokuczać we dnie, ale noce nadal były chłodne i kuliliśmy / Mama, ja i Cesia / nogi wystające spod

naszych płaszczy.

Kiedys zaczął padać deszcz, a choć słyhać było uderzanie kropel tuż nad głową o dach wagonu, co uważałam za zjawisko nader nieprzyjemne, wkrótce w ślad za Ciocią Izą uznałam dobroczynną zaletę deszczu. Ciocia, prawie bezustannie wcisnięta w swój kąciK przy okienku, wpadła na pomysł, że przecież można sobie umyć ręce, wystawiwszy je na deszcz. Natychmiast po kolei korzystaliśmy z tego odkrycia, a było przy tym faktycznie pełno radości i krzyku.

Potem były widoczne tylko bezkresne równiny porośnięte rzadką jakąś roślinnością ni to trawą, ni małymi i skąpymi kępami niskich krzewów. Gdzieś tam na takiej pustyni zatrzymano pociąg, pootwierano wszystkie wagony, rozsuwając szeroko drzwi i nawoływano do opuszczenia ich. Nikt nie wiedział o co chodzi: czy chcą nas tu zostawić i pociąg odjedzie bez nas, czy będą może kontrolować lub zabierać nasze bagaże, toteż domysłom nie było końca. Jednak rozkaz trzeba było wykonać i wszyscy zeskaKiwali z wysokich wagonów na tor.

Nasi konwojenci zachęcali nas do chożenia, poruszania się i korzystania ze sposobności życia ruchu i powietrza. Po chwili całe to nasze ludzkie mrowie zaczęło biegać wzdłuż pociągu w obie strony i odszukiwać dawnych znajomych spoza swego wagonu.

Przez chwilę obserwowałam, wstrząśnięta głównie wyglądem przymusowych pasażerów transportu. Przede wszystkim w oczy rzucała się żółta bladość wszystkich twarzy, na których widać też było i niedożywienie i niedomycie - najdelikatniej mówiąc. Odzież bardzo różnaita, wygnieciona, wyszurana i nieświeża. Oczy - uważne, poszukujące, niespokojne, mocno podsinione.

Spotkałam Damianę Kaliszczak, z naszego liceum pedagogicznego oraz Nuckowskie Marysię i Helę - wywiezione z matkami i siostrami. Strasznie smutne są takie spotkania:

- Boże! Wy też!?

- I was też wiozą?

Z wielu stron słyssało się podobne powitania, widziało jak ludzie padali sobie w objęcia, czasem z płaczem, przeplatanym pytaniem o innych.

Chyba parę kwadransów trwała ta przerwa na przechadzkę i zapędzono nas z powrotem do wagonów.

Gdzieś dalej na pustyni pociąg zwolnił, zaś Ciocia przy swoim okienku i Kapałczyńscy / Andrzej i Jurek / przy swoim zaczęli wołać, że przy naprawie torów równoległych pracuje duża liczba jakichś mongolskich robotników. Skupiliśmy się przy tych okienkach, udostępniając sobie nawzajem ten widok tym bardziej, że pociąg stanął. Nędzni to byli biedacy: obdarci, wychudzeni okropnie, brudni, brodaci, w dziwnych czapkach na głowach. Ujrzawszy nas wyciągali do nas ręce z głośnym błagałym krzykiem i gestem wymownym, a zrozumiałym jak świat długi i szeroki, żebrali o żywność. Trudno było zrozumieć ich mowę, ale nadbiegł jakiś mniej stary i wołał po rosvjsku, aby rzucić im chleb lub jakieś jedzenie.

Ze zgrozą zaczęliśmy gorączkowo się radzić. Chleba nie mieliśmy ani okruszyny, bo rankiem dano nam go bardzo mało, ale kasza tegoż dnia była tak wbitnie śmierdząca, że tylko niektórzy z nas zdołali ją zjeść i reszta pozostała, jako że niepewni jutra nie zdecydowaliśmy się jeszcze jej wyrzucić.

- Dajmy im tę kaszę! - ktoś odsunął myśl
- Ale w czym? Garnka nie można dać! -
- Może w jakąś płachtę? -
- Ja mam gazetę! -
- Dobrze! Dawać tę gazetę! -

Ktoś poświęcił kilka kartek gazety / jeszcze z Polski / i wszystką kaszę na nią z garnka wygarnięto. Pociąg zaczął gwizdać i można się było spodziewać szarpnięcia i odjazdu. Nie było czasu do namysłu. Ktoś nam, tym przy samym okienku, podał gazetę z kaszą. Rzuciliśmy jak najostrożniej, ale z wysokości okienka umieszczonego pod sufitem cały pakunek już spadając porozdzierał się i wstrętna, lecz tak bardzo upragniona zawartość runęła w brudny piach.

Boże! Nigdy nie zapomnę uszczęśliwionego ryku węgłodzonych. Rzucili się na kaszę, brudnymi rękami czerpali z tej kępki wbitej w piach i z płaczem rzucaли się do polykania jej, byle prędzej, byle jeszcze trochę.

- Jezus, Maria! - jęknęła Mama. - Nas też to może czekać!.
- Nie, to pewnie jacyś więźniowie!... -

- Patrzcie: kiwają do nas i dziękują, pokazując na serce..-
- Z innych wqgonów też im coś tam rzucono...-
- Tak, tak, nie tylko żywność...-

Przypomniały mi się moje własne grzechy w postaci grymasów przy jedzeniu, szczególnie w dzieciństwie... I naszej Babci utyskiwania, że " to grzech i obraza boska " tak grymasić, gdy wybrzydzałam na wszelki tłuszcz, którego nie cierpiałam. I wspomnienia Mamy, że w czasie wojny jadło się najczęściej tylko żur i pęczak, których wtedy brakło, później, ^{po wojnie} zaś nota bene nie gotowała. I Tata opowiadania, jak to podczas Wielkiej Wojny Światowej / nie mówiło się, podczas " " Pierwszej Wojny " ! Nikt nie myślał, że mogłaby się jeszcze kiedyś zdarzyć jakaś inna wojna " Wielka " i " Światowa " / na włoskim froncie gdzieś miał takie szczęście, że znalazł na ziemi starą skórę od chleba i omal się nie rozplakał z radości, a potem jadł ją przy jakiejś studni, delektując się nią i w dodatku wodą...

Wtedy takie wspomnienia jakoś nie bardzo przemawiały mi do rozsądku. Nawet Wanda czasem mi podszeptnęła ostrzeżenie: - Jedz, bo zaraz będzie o tej spleśniałej skórce chleba i o tej studni na włoskim froncie!...-

Bardziej do wyobraźni trafiało mi wspomnienie Mamy o tym, jak to w osiemnastym roku po całonocnym staniu w kolejce, na mrozie, po szklankę mleka dla paromiesięcznej Wandzi, wracała przemarznięta do szpiku kości, lecz uszczęśliwiona do domu i prawie u kresu drogi pośliznęła się i upadła, stłukła tę butelkę i wróciła do domu z płaczem - bez mleka...

Gdzieś po paru dniach, w głębokim stepie, szerokim po wszystkie brzegi horyzontu, urządzono nam drugi postój. I znów zamrowiło się wzdłuż pociągu, który liczył 58 wagonów. W tym 58-mym jechała Zuzia Accord zabrana z matką, babcią, siostrą Ewą i jej mężem. Zuzia chodziła ze mną do tej samej szkoły powszechnej PP Benedyktynek Łacińskich, do jednej klasy, Ewa zaś była w klasie Wandy. Znów spotkałam siostry Nuckowskie, już razem z obiema młodszymi: Janką i Lucią. Była z nimi Ela, tak jak i one z Rzęsny Polskiej, wywie-

ziona z rodzicami i z siostrą. cały ten ich wagon to byli mieszkańcy / wybrani / z Rzęsny Polskiej

Następnie, po jakimś czasie, przejeżdżaliśmy przez Taszkent. Miasto dość duże, z tramwajami. Później i dalej wszyscy kolejno oglądaliśmy z okienka Ałma Atę, dość wytrąceni z równowagi napisem, a raczej dwoma napisami nazwy stacji na budynku kolejowym. Jeden normalnie, po rosyjsku "grażdianką", a ten drugi - literami alfabetu rzymskiego - co odebraliśmy, że jest po polsku! Wtedy ktoś przypomniał, że już w Taszkencie była podana nazwa w dwóch językach. Dopiero dużo później, już po osiedleniu się w miejscu przeznaczenia, udało się nam ustalić, że ten drugi napis był po kazachsku, bo Kazachowie używają alfabetu łacińskiego z dodatkami kilku znaków literowych oznaczających głoski nie mieszczące się w abecadle rzymskim. Pamiętam takie przykłady: "toqyz" / ta trzecia litera brzmi jak głoska pośrednia między "h" i "r" / - cztery i "saqat" - zegar.

W roku 1941 zmieniono jednak pismo kazachskie i ustalono, że ich język może się posługiwać rosyjską grażdianką, a wyrazy kazachskie można świetnie zapisywać rosyjskimi literami. Tymi uwagami wybiegłam naprzód. Wróćmy jednak do transportu.

Ałma Ata jako miasto wydało nam się czymś bardzo ładnym, szczególnie po przebytych przez tamte dni pustkowiach stepowo - pustynnych. Miasto otoczone wiankiem gór, jakies dzień jasne i pogodne w jasnym słońcu, bogate w zieleni drzew i sadów przypominało mi nazwę "kosz pełen owoców", którą określano nasze polskie Zaleszczyki. Nie widziałam ich nigdy i nie mam pojęcia na temat porównań, tylko ta nazwa mi się przypominała...

To już zaczyna być obsesją, ale mimo woli wszystko kojarzy nam się z tym, co nam znane i bliskie sercu: z naszym Krajem, z Ojczyzną... Teraz rozumiem, że te nazwy nadawane naszej ziemi mają głębokie i uczuciowe znaczenie. Tak, tak:

"... ten tylko się dowie,
kto Cię stracił..." Rozumiem to teraz bardziej
niż całym sercem i wszystkimi myślami... Niestety! Nie ja
jedna! Nie tylko ja! Chyba : tysiące!.. Od duszącej się obok

chorej staruszki, tej "babci na materacach", poprzez małą, dwuletnią Ziuteńkę wciąż żalącą się na brak kąpieli bardziej niż na brak jedzenia, aż po niemowlęta z sąsiednich wagonów: w jednym jest dzieciak trzymiesięczny, któremu matka częściej suszy pieluszki, niż jest w stanie je uprać, /przynajmniej te zabrudzone /, toteż takie biedne maleństwo już cierpi i płacze dniami i nocami. Nie ulega wątpliwości, że także musi być głodne!... Biedna matka!...

W wagonie poprzedzającym nasz jest okienko otwarte właśnie to, które sąsiaduje z "okienkiem Cioci Izzy". Zjawia się tam dość często głowa chłopca, który na ciemnych włosach nosi czerwoną szydełkową czapkę. Potem okazuje się, że to Janusz, kolega Andrzeja Kapałczyńskiego. Od czasu do czasu prosi o przywołanie go do okienka i tak sobie rozmawiają, przekrzykując stukot kół i udzielając informacji między wagonami.

Czas jednak i tak się dłuży okropnie.

- Dokąd właściwie oni nas wloką? - wciąż ktoś pyta

- Do Irkucka na Syberii. Pewnie do Irkucka... Tam zawsze zsyłano Ploaków za zaborów - domyśla się pan Jaś Dudek

- Tych pierwszych, zabranych 10 lutego, wywieziono do Krasnojarska - przypomniałam.

- Właśnie w tamtym wagonie ktoś słyszał, że Taszkent, a potem Alma Ata nie chciały nas przyjąć, bo to przeważnie same kobiety z dziećmi, czyli za mało siły roboczej, jak na ich potrzeby - dodaje pan Marian Karmelita . -

- Już tam "na^{ły}wczasy" nas nie zabrali, ta pewnie! -

- Dobrze, że nas nie zostawili na tamtej pustyni...-

- Ale jeśli to prawda, że nas nigdzie nie chcą przyjąć, to czy długo nas będą telepać w tych bydlęcych wagonach i rzucać z miejsca na miejsce?...-

- Och! "Z miejsca na miejsce!" - A może byśmy tak to zaśpiewali? - podchwycił jakiś młody głos.

- Ta, joj! Już się robi! Ta, dawajcie organki, chłopaki!

- ożwił się Kazio Dudek.

I znów płynęły piosenki, przygrywała harmonijka, młodzież

starala się przekrzyczeć hałas y czynione przez pociąg i zuchowato nadrabiać miną, a dorośli wyrozumiale kiwali głowami z całkowitą aprobatą, jawną, i wzdychaniem ukrywanym.

Po dziewiętnastu dniach podróży pociąg zatrzymał się na stacji Ajaguz, w miasteczku położonym nad dość szeroką rzeką o tej samej nazwie. I tu jak na innych postojach, otrzymaliśmy jakąś żywność raz na dobę i raz na dobę wodę - jak wszędzie w tak bardzo niewystarczającej ilości. Inaczej tu jednak było, niż dotychczas bywało, mianowicie pociąg nie ruszał z miejsca. Nie wiedzieliśmy co to oznacza, ani czy się cieszyć z tego, czy martwić!

Przed wieczorem konwojenci kolejno zdejmowali żelazne sztaby i rozsuwali wagonowe drzwi, w towarzystwie jeszcze paru cywilnych osób, prowadzonych przez rosyjskich oficerów i przedstawicieli NKWD / Narodnoj Komitet Wnutriich Dieł /.

Sprawdzono obecność pasażerów, zaznaczając jakieś notatki w długich wykazach i na listach, liczono ponownie, pisało na arkuszach i na koniec poinformowano nas, że jeszcze tę noc prześpiemy w pociągu, a nazajutrz będziemy się zbierać".

Ba! Prześpiemy! Oczywiście niewiele już tam było tego spania! Szum i gwar opanował cały pociąg. Wagony "sprawdzone" zbyt mocno interesowały się sąsiednimi oraz same były przedmiotem zainteresowania. Toteż okienka były oblegane i prowadzono rozmowy pomiędzy wagonami.

W tym całym hałasie i zamieszaniu właściwie z ulgą myśleliśmy o opuszczeniu wagonów. Tylko, że było w tym jedno małe "ale":... ale tu dawano coś do jedzenia przez cały czas raz na dobę! Jakże to było, ale było... Ile tego było, to też wiadomo: zawsze rozpaczliwie mało, ale było... A teraz: co dalej? Gdzie będziemy? Jak? Czy tam się da coś kupić? A przede wszystkim: za co? Gdzie będziemy mieszkać, gdzie i jak pracować itd, itp.

- W każdym razie - pomyślałam sobie - jeden etap zesłania już zakończony. Podróż dobiegła końca i jesteśmy w jakimś nieznanym Ajaguzie. Przynajmniej dobrze, że nad rzeką: będzie woda!...-

Chociaż już dawno nie rzúcało pociągami i ustał stukot kół, wciąż jeszcze miało się wrażenie, że jedziemy i ten stukot mocno szumiał w głowie, jak gdyby wcale nie ucichł. Noc zapadła, od leżenia na twardych deskach kości bolały stale, umordowane i niemyte ciała nie znajdowały wypoczynku, roje myśli odpędzały upragniony sen, a gwar panował wszędzie taki, że z pewnością tej nocy nie można było nazwać ani cichą ani spokojną.

Od brzasku ruch tubylców wokół pociągu stale wzrastał. Widzieliśmy nadciągające furmanki ciągnięte przez woły zaprzężone chomątami i Kazaców - furmanów. potem przednie wagony pociągu otworzono i wyładowano pasażerów, których bagaż umieszczano na tych furmankach. W zamieszaniu, ruchu, hałasie i pokrzykiwaniach trwało to blisko pół dnia, zanim odeszli zesłańcy za swymi tobołami i całym dobytkiem.

- A co z nami? Co z tą całą resztą? - wołały zaniepokojone głosy i zdenerwowanie panowało ogólne.

- Patrzcie: podjeżdżają samochody! Ciężarowe! -

- Może to po nas? -

I rzeczywiście. Teraz kolejno nas wypuszczano, liczone, spisano i kazano się ładować do samochodów, gdzie nas razem z rzeczami coraz ciasniej upychano - aż do ostatnich ludzi i tobołów. Ruszyliśmy na południowy-wschód szosą już przy zapadającym zmierzchu. Ciemniało coraz szybciej, a wkrótce nad nami zapalały się gwiazdy na ciemnym niebie, które jak olbrzymia kopuła okryło całą ziemię. Wielki Wóz... ten sam... oby tam poniósł nasze myśli!...

Około czterech godzin musiała trwać ta jazda, w czasie której też porządnie nam wytłukło kości umęczone. Pod koniec samochód skręcił na boczną drogę, ku północy, za paru innymi i już wkrótce znaleźliśmy się na jakimś placyku, gdzie nasi zdążyli zacząć wypakowywanie się.

Dokoła widać było, spoza tubylców skupionych by nas obejrzeć, parę jakichś niewielkich chat, a w niektórych okienkach nawet słabe światła.

Zdawało nam się jednak, że cała ta osada, niesłychanie poruszona naszym przybyciem, wyległa, aby nas zobaczyć. Może nawet nie tyle powitać, ile pooglądać. Nie było ich dużo,

ale były matki z dziećmi na rękach i kilku starców i starszki w dziwacznych nawojach na głowie. Ogólne podniecenie potęgowało nasze wyładowywanie się, nawoływania, bieganina do innych ciężarówek, a przede wszystkim plątanie się dzieci i to nie tyle naszych, bardzo wymęczonych podróżowaniem, co tubylczych, zachwyconych niezwykłym wydarzeniem oraz odpowiednim zamieszaniem. Noc dolewała oliwę do ognia.

Stałam przy naszych śmiesznych wszystkich trzech tobołkach, z Mamą, Ciocia ze swymi dwoma przy nas, gdy Tato wrócił z rekonesansu i zabrał nas ze sobą do oświetlonego wewnątrz budynku. Był tam sklepik, czy stołówka i okazało się, że Ojcu udało się wycupić zupę, na którą nas zaprosił. Cudownie: jeszcze była dość ciepła, z jakimiś liśćmi kapusty i ziemniakami. Mieliśmy prawdziwe szczęście, bo wystarczyło jeszcze dla paru osób po nas. Przyznam, że wstydziłam się, iż przeze mnie zabrakło komuś, ale aż się trzęsłam do tej zupy i byłam równie wdzięczna jak i zachwycona nieoczekiwaną zaradnością Tata.

Potem wszyscy kręcili się na tym podwórku, czy placyku, aż nam powiedziano, że można się położyć i przespać, tuż za chałupkami, wprost na stepie, bowiem wozy /"podwoły"/ będą dla nas gotowe o świcie i zabiorą nasze rzeczy na miejsce przeznaczenia - za daleko, abysmy sami zdołali unieść. Toteż zaczęto myśleć o skorzystaniu z tych rad, aby się chociaż położyć, bo w tym ruchu i hałasie trudniej mieć nadzieję na sen.

Zobaczyłam, że Nuckowskie też się tu znalazły, one zaś widziały Dankę Kaliszczak z matką i siostrą tam na stacji Ajaguz, gdy ich rzeczy załadowano na furę, czyli pojechały w inne strony. Rozmawiałyśmy chwilę i zaraz wracałam do Rodziców, gdy nagle jakiś chłopak, Kazach, złapał mnie za rękę, aby popatrzeć na zegarek, przyłożył go do ucha, roześmiał się i coś zaczął tłumaczyć, śmiejąc się i gestykulując. To wszystko działo się tuż przed otwartymi drzwiami chaty, w smudze światła. Nic nie rozumiałam, więc on szarpnął mnie i biegiem pociągnął do wewnątrz.

Zanim zdołałam otworzyć usta do krzyku, oburzona i prze-
rażona, że chce mi odebrać zegarek, już znalazłam się w oś-
wietlonej lampą stajenną izbie, gdzie oprócz paru ławek był
też stół a na stole zegar. Uf!

- "Poniał?" - zapytał i dalej gadał po kazachsku, śmie-
jąc się i gestami pokazując mi różnicę czasu na zegarkach:
różnica czterech godzin! Był zachwycony, gdy zrezygnowałam
z polskiego czasu i przestawiłam zegarek na czas azjatycki
/ środkowoazjatycki/.

Pokiwałam mu głową, tak jak on i wróciłam do swoich.

Tymczasem tubylcy świętowali już 1 Maja. Przez całą noc.
Trochę śpiewali, ale przede wszystkim interesowali się nami.

A my rozkładaliśmy jakieś legowiska i wpatrzeni w wygwieź-
dzone niebo staraliśmy się odpocząć, by nabrać sił na jut-
rzejszą drogę i dalsze Nieznane.

Niedaleko od nas zwróciłv moją uwagę dzieci: dziewczynka
i chłopczyk modląc się głośno, kończąc:

- I za naszego kochanego tatusia! -

Ta niewielka osada, w której spędziliśmy pierwszą noc poza pociągiem, to była jedna z ferm należących do sowchozu / czyli: państwowe gospodarstwo rolne / Tas-Bułak, co oznacza w tłumaczeniu Kamienny Klucz. Ferma nosiła nazwę Łaj-Bułak i była Drugą Fermą w tym kluczu, oddalona około 20 km od Centrali. Zdążyliśmy jeszcze rzucić okiem na osadę. Parę chałup większych tuż przy znanym nam placu i kilkanaście lepianek glinianych - to chyba wszystko. Dachy słomiane, ale nie takie, jak u nas.

Furmanki i poganiacze wołów już czekali, gdy oddzielono dwie grupy polskich rodzin: jedną, która miała zostać na miejscu, na tej Drugiej Fermie, czyli w Łaj-Bułaku /między innymi Janusz z matką i bratem młodszym/, drugą, przeznaczoną na Trzecią Fermę zwaną Tiki-Bułak od grupy ponad stuosobowej, którą skierowano do Centrali. W tej grupie byliśmy i my.

Jakoś poupychano bagaże na nieczużych wozach, co się dało, poprzywiązywano i cała kawalkada ruszyła za Kazachami nie szcędzącymi wysiłków i batów, by zmusić woły do ciągnięcia przeładowanych fur.

Droga wiodła głównie przez płaski step, porośnięty niskimi kępami zdrewniałych krzaczków o długich i ostrych kolcach. W paru miejscach przebiegała przez faliste wzniesienia przechodzące w poprzek drogi. Była to droga polna, ubita, grunt ~~nie~~ gliniasty. Chały - lepianki pewnie budowano z tej gliny.

Woły wlokły się z tępą bezmyślnością, okładane biczami przy akompaniamencie kazachskich okrzyków. Ludziom również nie śpieszyło się w tym marszu, który wydawał się nie mieć kresu. Całkiem małe dzieci jakoś umieszczono na niektórych wozach. Te trochę większe szły, najczęściej trzymając się matczynych rąk, jak na przykład Jerzyk Nowak, ten czteroletni chłopczyk, którego modlitwę odmawianą z matką i trochę starszą siostrą Dziunią słyszałam w nocy. Kazik Dudek, Jurk i Staszek Bokotowie szli początkowo bardzo dziarsko, przygrywając na zmianę na harmonijce i podśpiewując, ale też i oóżniej nie tracili animuszu, lecz trzymali się dzielnie. Pani Kapałczyńska z Andrzejem i Jurkiem została w grupie wyznaczonej do Tiki-Bułak - owczej fermy Nr 3.

Wreszcie ostatni odcinek drogi schodząc lekko w dół uka-

zał oczom naszym niezbyt liczną osadę. Najbliżej leżał niewielki prostokątny placyk, na którego przeciwległym, krótkim boku rozciągał się dość długi, parterowy budynek. Drugi, mniejszy znacznie, ograniczał placyk tuż pod wzgórzem. Dwa inne domy stały po obu stronach dłuższego boku placyka. Dalej, w głębi rozsiane były małe lepianki, za nimi rozległy płaski step, a na horyzoncie, daleko, po północnej stronie, pasmo sinych, skalistych gór.

Od długiego budynku, ku zachodowi, ciągnęła się droga a przy niej lepianki, mimo mniejszych lub większych odległości między sobą, przypominające wieś typu "ulicówka". Tam droga lekko biegła pod górę, a reszta osady wyglądała, jak gdyby przycupnęła w kotlinie.

Gdy na placyku powieczano nam, że zamieszkamy w Klubie, czyli w tej środkowej części najdłuższego domu, który właśnie otwierano, usłyszałam szept Cioci, skierowany do mnie:

- Idź, zajmij miejscę w kącie! -

Bez namysłu skoczyłam, zajęłam obszerne miejsce w kącie dla nas, przy krótszej ścianie, obok nas dla Nuckowskich, przy dłuższej zaś ścianie, pod oknem dla rodzin Dudków i Bokotów oraz Cesi, którą razem przygarnęli pod swą opiekę. Za mną rzuciła się cała hurma ludzi, którzy starali się zabezpieczyć sobie miejsce na swe legowiska i bagaże przy ścianach. Dla stu osób nie wystarczyło. Ci, którzy weszli później, rozkładali się na środku dość długiej sali. Na przeciwległym jej końcu, licząc od nas, wznosiła się niewielka scena, też już wypełniona po brzegi. Między innymi tam znalazła się Lala Szmalówna, moja młodsza o rok koleżanka z gimnazjum SS. Nazaretanek, wraz z matką i siostrą Marysią, zwaną "Dyńcia", czternastoletnią. Na scenie też zamieszkała pani Lipszycowa z synem Frankiem, chyba studentem prawa. Ją Mama rozpoznała, jako koleżankę z młodości, z kursu szycia i haftu. Żydówka, bardzo spokojna i bardzo przyzwoita osoba. Syn również: inteligentny, zrównoważony.

Jeszcze nie wszyscy uplasowali się na swoich miejscach, a już schodzili się goście: tubylcy. Trochę tam było rodzin rosyjskich lub rosyjskich Ukraińców, reszta: Kazachowie. Oglądali oni nas bezceremonialnie, dotykali, klepali, macali

nasze ubrania i cmokali z uznaniem nad gatunkiem materiału, nie przestając przy tym rozmawiać między sobą oraz mówić coś do nas. Harmider i rozgardiasz był ogólny. Powiedziano nam że w tej sali klubie będziemy mieszkać na razie /"poka"/ i trzeba się urządzić, możliwie szybko, bo Centrala szykuje nam niespodziankę.

Nawet nie zdążyliśmy sobie zaprzętnąć głowy, gdy już wywoływano do tej niespodzianki: do "bani"

Było to chyba epokowe wydarzenie! Naprzeciw Klubu w tym niedużym budynku u stóp drogi prowadzącej z Łaj-Bułaku /i z Tiki-Bułaku/, był urząd pocztowy, a za nim niewielka łaźnia czyli "bania", dwuizbowa, pełna naniesionej i nagrzanej wody w kotłach! Dano nam korytka czy dzierże, a nawet różgi z płołunu, aby się porządnie wszorować. Jak święto, to święto!

Potem nawiązano pierwsze kontakty polsko-rosyjskie lub kazachske w celu zdobycie żywności i zaczęło się nowe życie - "na razie".

Strasznie się martwiłam, że jesteśmy prawie bez pieniędzy, bo cóż to znaczy 24 ruble na cztery osoby! No, a nawet nie tyle, bo przecież za zupę w Łaj-Bułaku Tata zapłacił. Zwróciłam się do Niego z pytaniem, co zrobimy i oto okazało się, że pani Ewa Kiestenbaum przed opuszczeniem wagonu podeszła do Tata i przepraszając za mieszanie się do czyichś spraw, wręczyła mu dwieście rubli, ponieważ słyszała, ile mamy i wiedziała znikomą wielkość naszych trzech tobołków.

- Nie mogę przyjąć pożyczki, przecież nie wiemy co dalej, ani kiedy będę mógł zwrócić!.. - wymawiał się Ojciec.

- Nam nie trzeba. My mamy dość pieniędzy i wszystko co było w domu, z wyjątkiem mebli. Oddacie mi, państwo, po wojnie! - odpowiedziała - tylko proszę o dyskrecję. -

- Boże, jaka szlachetna! - wzruszyłam się - A przecież jest Żydówką i nasz naród nieraz im porządnie nadokuczał!..-

- Wszędzie są ludzie i ludziska. Ważna jest kultura i serce. Miłosierdzie jest piękną zaletą - rzekł Tata.

I tak dzięki miłosierdziu, z najmniej oczekiwanej strony, mogliśmy przeżyć ten najpierwszy okres.

Po kilku dniach, w czasie których nasze panie gotowały sobie coś tam na kuchniach polowych własnej roboty, naśladowających polowę kuchnie harcurskie dość nieudolnie z powodu różnych braków, przekazano nam malutką izdebkę z niewielką kuchnią, która mieściła się tuż za ścianą, pod którą nasza rodzina miała swoje legowisko.

Niestety! Wejście do tej kuchni było przez drzwi, obecnie już otwarte, przy których swe legowisko miała pani Nuckowska z czterema córkami, z czego byłam tak dumna, zdobywszy dla nich owo upragnione miejsce przy ścianie. Teraz zostały stamtąd usunięte w stronę drugą, dalej od nas, gdzie za panią Sochacką z dwoma młodymi swnami uplasowała się rodzina Eli, tej którą poznałam na tym drugim postoju, w stepie, gdy spacerowałam z Marysią i Helą Nuckowskimi. Ela była ze swymi rodzicami i starszą siostrą Felą - Wojciechowscy.

Teraz wszyscy przechodzili środkiem sali, ścieżką między legowiskami jak najbardziej zwiżanymi na dzień i pomiędzy najróżnorodniejszymi bagażami, do tej kuchenki, gdzie gwar-ny ruch trwał nieustannie, bo każda rodzina żywiła się we własnym zakresie i własnym przemysłem, czym zajmowały się zwykle matki, ale było też dość dużo osób samotnych, przeważnie kobiet. Toteż każdy chciał znaleźć miejsce na niewielkiej płycie kuchennej, najchętniej przy cudzym ogniu, a to prowadziło do nieporozumień i spięć, z powodu ogromnych trudności w zdobywaniu opału.

Jeszcze w pierwszym dniu pobytu, gdy nie wszyscy mogli pomieścić się w łaźni, wiele osób zdążyło odwiedzić pocztę, gdzie podano nam adres:

Republika: Kazachstan, okręg Semipałatyński, rejon: Urdżar sowchoz Tas-Bużak, Centrala. Dowiedziałam się przy okazji, że te góry, widoczne na dalekim horyzoncie, nazywają się Tarbagataj i są odnogą Tienszanu. Powiedziano nam, że możemy pisać do swoich rodzin we Lwowie, nawet wysyłać depesze i bardzo wiele osób natychmiast wysłało telegramy, listy lub pocztówki, aby zawiadomić o swym obecnym adresie.

My nie uczyniliśmy tego, po radzie rodzinnej, /a nie byliśmy w tym odosobnieni/, aby nie narażać nikogo na los

podobny do naszego. Wywieziono bowiem rodziny wojskowych, policjantów i rodziny aresztowanych, więc obawialiśmy się, że nawiązując kontakt z rodziną, możemy tym samym niejako ich zdemaskować, przyczynić się do wpisania jej na listę rodzin zesłańców, co mogliby odpokutować - wbrew naszej woli.

Ten pierwszy wieczór w Tas-Buľaku, po przebytej drodze, kąpieli i urządzaniu się na zdobytym skrawku podłogi Klubu, po krzątaniu przy zdobyciu i przyrządzeniu sobie czegokolwiek do zjedzenia, nadchodził wolno, witanv jednak westchnieniem za wypoczynkiem. Sala przypominała mi mrowisko, pełne nieustannego ruchu: niez mordowani goście obserwującv nas z dzieciinną ciekawością i z rozbrajającą szczerością pytający o wiele rzeczy swym dociekliwym: "Nymymy bar?", co nam ruscy przetłumaczyli /"Co to jest?"/, w końcu wymęczyło to nas do upadłego. Pierwsze matki zaczęły układać jakie takie legowiska dla swoich dzieci.

Zanim inni poszli za ich przykładem zauważyłam ruch po tej stronie, gdzie zakotwiczyła rodzina państwa Wojciechowskich i przy nich następna, też z Rzęsny Polskiej, z blondynką z warkoczami, niebieskocką do której, jak słyszałam, Wła mówiła: "Jańciu!.." Tam też podeszła Hela, a do mnie Marysia, z zapowiedzią, że właśnie uradzono urządzić nabożeństwo majowe, bo przecież to już maj!

- "Chwalcie, łaki umajone,

Góry, doliny zielone..." -

rozległ się śpiew, początkowo paru tylko, lecz przepięknych głosów: Jańci i Eli, potem coraz liczniejszych, głośniejszych i pewniejszych.

Przeważnie dzieci, które jeszcze nie leżały i młodzież podchodziła do śpiewających, by powiększyć ich gromadkę. Po chwili śpiewali już wszyscy, z wyjątkiem tych kilku rodzin żydowskich, a wzruszenie tak bardzo było powszechne, że widziałam, iż i tam ukradkiem ktoś otarł łzy.

- Za nasze całe rodziny: aresztowanych, wywiezionych i tych pozostałych, którzy nie wiedzą też, co ich jeszcze czeka! - rzekł ojciec Eli - i zaintonował:

- Pod Twą Obronę!... - co wszyscy podjęli, niektórzy z płaczem ukrywającym, który już ledwie dał się poskromić przy strofach innej pieśni:

- "Do Ciebie dzieci wygnane wołamy:

Zlituj się, zlituj! Niecni się nie tułamy!..."

Gromadce tubylców widocznie tłumaczenia tym razem były zbędne. Kiwali wyrozumiale głowami, niektórzy jeszcze poklepalili tych, czy tamtych spośród mieszkańców klubu i wychodzili do siebie i do swoich spraw.

- Zaczął się oto nowy rozdział tej Tata powieści - myślałam sobie - i to właśnie w ten sposób, w jaki powinien się zacząć: od modlitwy... Nawet więcej, bo od wspólnej modlitwy, a nawet od wspólnego nabożeństwa, odprawianego zgodnie przez tyle ludzi, mimo, że nie ma tu z nami żadnego księdza.

- Wiesz, pan Wojciechowski jest organistą w naszym kościele, w Rzęśnie Polskiej - powiedziała mi Helenka.

- A może był? - pomyślałam sobie, ale to się nie nadawało do wyrażenia na głos.

- Trzeba jeszcze pójść policzyć gwiazdy - podpowiedziała mi Ciocia Iza po "majówce" - bo potem będzie okropnie długa kolejka do tej jedynej wygódki, no i w dodatku zbyt ciemno, aby tam można wejść bezpiecznie! - dodała.

Tak, tak!.. Cudowne gwiazdy na niebie i taka okropna, przyziemna rzeczywistość../"C'est la vie"/ - "To jest życie"..

Tymczasem Mama już rozłożyła na podłodze nasze obie stare kapy z łóżka, jedną na drugiej, przygotowała poduszki, rzeczy wyjęte z tych kap zawiązała w zmysłny tobołek i włożyła do plecaka jednego, razem z drugim, pustym, bowiem okazało się, że mamy aż dwa. Ciocia ulokowała się znów w samym kąci pod oknem, na połówce swej kołdry, której drugą połowę zdołała się przykryć. My we troje nadal okrywaliśmy się każdy swoim płaszczem. Nie było dużo wygodniej, niż w wagonie, ale przynajmniej nie szarpano i nie kołysano nas tak, jak tam.

Rodzina Dudków rozłożyła swe leże głowami przy oknie, Cesią Szakalską w poprzek nóg Cioci Izy, moich i Mojej Mamy. Za nią spała panna Mila, dalej Kazik i pan Jaś, następnie rodzina Bokotów, z babcią na materacach na końcu.

Za nimi jacyś następnii, dalej ta młoda matka z Dziunią i Jerzykiem i to już mniej więcej była połowa długości sali. Naprzeciw były wejściowe drzwi.

Przy innych ścianach też ciasno poukładani wszyscy pokotem, zaś śródek, przystosowany rozłożonymi legowiskami do odpoczynku nocnego, ledwie pozostawiał wąziutkie przejście, którym idąc trzeba było uważać, aby nikogo i niczego nie nadepnąć.

Babcia na materacach rozpaczliwie zanosila się kaszlem, Pani Jadwiga parokrotnie świeciła zapalną, by poprawić matce mimo wszystko niewygodne legowisko. Od czasu do czasu jakieś dziecko zapłakało, być może przez sen, a poza tym tu i ówdzie słychać było chrapanie, niektóre z przyświsłem, niektóre pełne westchnień, a nawet jakieś bulgoczące, ni to śmiechem niesamowitym, ni tłumionym łkaniem.

- Ależ słuchowisko pod tytułem "Odgłosy ciemnej nocy" - usiłowałam sobie w myśli obrócić w żart całą rozpacz ludzką z tak nadludzkim wysiłkiem szukającą chwili zapomnienia, które powinien przynieść sen ze sobą.

Od rana zaczęło się już zwyczajne życie. Przed świtem już pierwsze ranne ptaszki kroczyły przejściami ku drzwiom, aby zejść do wygódki, zbudowanej jak się okazało na nasz przyjazd za budynkiem klubu, który trzeba było obejść.

Kolejna krzątająca wiodła ludzi w stronę kuchenki, dokąd przechodzili współmieszkańcy nasi wzdłuż legowiska mego Taty, zamykającego nasz rodzinny teren zakwaterowania.

Tam zaczynało się żmudne i długotrwałe rozpalanie gałęzi wilgotnych przeważnie, przy pomocy małej ilości słomy, a nadmierna jej oszczędność często zmuszało do ponownej próby rozpalania, czyli okazywało się marnotrawstwem zarówno tejże słomy, jak i zapalniczek. Wszystko miało swoją wartość, którą należało cenić.

Następny ruch powstawał przy wstawaniu i zbieraniu się.

Tę czynność już dość często obserwowali z wielkim przejęciem nasi skośnoocy goście, dziwiąc się, dlaczego tak się fatygujemy tym codziennym zmienianiem odzieży na noc wieczorem, a potem rankiem znowu, na dzień. Niewątpliwie też i spo-

sób nasz przebierania się pezy wszystkich wzbudzał ich niekłamany zachwyty, wyrażany czasem śmiechem, czasem "szturchaniem" się łokciami. Nie wiem, czy byli tak ubawieni naszymi nawykami do przwzwoitego przebierania się, czy wysiłkami nieobnażania własnych ciał na oczach obserwatorów przwzwoitych lub uparcie wyczekujących, w każdym razie czuło się, że uważają to za świetne widowisko.

Nieopodal naszej kwatery płynęła rzeczka, w tym miejscu głęboka: miejscami aż do połowy łycki, a nad nią mostek prowadził w stronę kilkunastu kazachskich lewianek. Do tej rzeki rankiem chodziło się myć, stąd czerpało się wodę do picia i gotowania, tu się też prało i poilo było oraz liczne owce. Pamiętam ten pierwszy ranek, po pierwszej nocy i poranne mycie kilku naszych pań nad tą rzeczką. Wszystkie starały się umyć jak najdyskretniej, no i po oblucjach odbytych w łaźni poprzedniego dnia "na mniejsze dekolty", jak to mówiła pani Marysia. Myły szyję, nie zdejmując bielizny. Z wyjątkiem jednej. Ta rozebrała się do pasa i chlupała z wielką satysfakcją.

Strasznie się zawstydziałam za nią, że tak się odważyła na widoku, przy wszystkich /mężczyzn przy tym nie było - ale mogli nadejść! / i to w biały dzień. Jeszcze bardziej za siebie, że rzuciłam okiem w tamtą stronę. Właśnie frasowałam się, że to nie ładnie, gdy usłyszałam:

- Ależ pani ma śliczny biust! Byłby model dla rzeźbiarza!
- Bardzo piękny! -
- O, dziękuję za komplement - roześmiała się chwalona
- Pewnie pani nie karmiła swa sama? - zainteresowała się inna z pań.
- Ależ przeciwnie! Naturalnie że karmiłam! To najzdrowiej!-
- No, no! Taki biust mieć po dziecku! To satysfakcja!.. -
- Ta, przecież ta pani jeszcze młoda...-
- Ile? -
- Ach, już trzydzieści sześć! Grześ już ma szesnaście lat...~
- Ale ten biust to ma pani wprost alabastrowy!-
- Och, jakież to okropne! Czyż te kobiety muszą tak mówić o takich rzeczach? - zastanawiałam się spłoszona i śpie-

sznie uciekałam, postanawiając, że będę chodziła się mvc nawet o wiele dalej, ale sama, bez słuchania takich kłopotliwych wynurzeń. - Albo z koleżankami, z Helą i z Marysią, abyśmy po kolei mogły się swobodnie mvc, gdy dwie inne, zwrócone w dwie różne strony, będą pilnowały, czy ktoś nie nadchodzi, aby się wtedy bodaj rącznikiem okręcić. Tak! To najlepszy pomysł: one też chodziły do klasztornej szkoły, więc będą rozumiały. Poza tym podobnie urządziły się w kąpielni w łaźni w tej drugiej izbie. Tam poszły rodziną i potem my po kolei!

W sali już urzędowali nasi zwierzchnicy: "uprawiającuszczy, paliwod, precediatel, agronom i brygadier". Troje Rosjan, dwóch Kazachów, a potem jeszcze jakiś urzędnik biura.

Wszyscy oni mówili do nas głosem panów i władców, zaczynając od nakazów, kończąc na zakazach:

Mamy zadomowić się w Tas-Bulaku na stałe.

Dadzą nam pracę, bo "kto nie robotaje, toj nie kuszaje". Mamy się zachowywać "prawilno", czyli podporządkowywać władzy, radzieckiej władzy ludowej, jaką reprezentują. właśnie oni, z przedstawicielem NKWD na czele.

Nie wolno nam opuszczać tego sowchozu. Wolno poruszać się na terenie Centralnej fermy, która nosi starą kazachską nazwę Sigizbaj.

Wolno nam pójść na inną fermę tylko po zgłoszeniu tego u władz.

Wolno nam prosić o zezwolenie na pójście do kołchozu, gdyby rzeczywiście okazało się to konieczne. W sowchozie wszystko należy do państwa, nie wolno niczego brać, bo to jest "kazionne" /państwowe/.

Znowu nas liczone, od fajkowane na spisach, znaczone według wieku, zapisywano zawody i zapowiedziano zapewnienie pracy.

Któryś z władców zwrócił uwagę na zawód Tata:

- A, to wy "naborszczyk"? /drukarz/. A u nas jest drukarnia, to zaraz tam pójdziemy. I robota się znajdzie i będziecie mogli kupić co dzień "pajok" chleba 800 gramów, jak tylko będzie w sklepie, bo wy już będziecie

"roboczyj czełowiek". A jak chleb będzie, to każdy niepracujący może kupić go 200 gramów... -

- A dla dziecka? Ile dla dziecka? - pytano

- "rybiata?" Także po 200 gramów, jak nienracujący...-

Po czym zabrano Ojca do drukarni, a ja poszłam za nimi, aby zobaczyć, gdzie to jest. Otóż była w tym samym budynku, w którym w środkowej części panoszył się nasz klub, tylko od strony kuchenki. Wejście przez drzwi, do których prowadziło pięć schodków w górę, w tej krótszej ścianie budynku. Tam szło się ciemnym korytarzykiem, było kilka izdebek, a w jednej z nich drukarenka. Pozostałe stanowiły mieszkania dla Rosjan.

Drugie skrzydło budynku mieściło w sobie paruizbowe biuro /"kantora"/, siedzibę władzy sowchozu.

Nasi mężczyźni zainteresowali się sposobem zdobywania opaku i dowiedzieli się, że można chodzić po gałęzie stepem w kierunku północno-wschodnim, czyli w stronę tych dalekich gór. Tam rosną krzewy /"karagaj"/, które można samemu wycinać, ale nie karczować. Trzeba wziąć ostry nóż i sznurek do związania gałęzi, aby je przynieść na plecach. Droga prosta, odległość dość spora, około 3 km, za cmentarzem, który jest troszeczkę bliżej.

Zaczęły się więc wędrowki mężczyzn i chłopaków naszych po te gałęzie, zaś przeważnie kobiety penetrowały całą osadę w celu zdobywania jakiegokolwiek żywności. Dzieciaki, towarzyszące tym wędrowkom błyskawicznie uczyły się głównie nazw w języku kazachskim i zdobytym zapasem słownictwa pomagały dorosłym, albo między sobą bawiły się w takie scenki, rozmawiając mieszaniną polsko-rosyjsko-ukraińsko-kazachską, czasem jeszcze z domieszką żargonu żydowskiego.

Nasi nieustanni goście bardzo często występowali z propozycją kupienia czegoś od nas. Skoro jednak okazało się, że pieniędzy mają bardzo niewiele, a kupić za nie cokolwiek też jest trudno, zaczął się handel wymienny.

- Najlepiej wybrać się do sklepu i zobaczyć, co tam wogóle można kupić - orzekła Ciocia.

- Tak, może mają jakieś garnki - łudziła się Mama.

Poszliśmy tą drogą na zachód, którą widziałyśmy z górki,

schodząc od strony Łaj-Bułaku. Wiodła trószkę pod górę, na początku mijając ledwie parę lepianek po prawej stronie. Nieco dalej, po lewej stronie zobaczyliśmy drewniany ustęp, który miał tylko dwie ściany, równoległe do drogi, oraz dach. Wewnątrz były drewniane sedesy z czterema otworami, po dwa po każdej stronie: od przodu i od tyłu. Była też w nim drewniana podłoga. Obiekt ten był raczej nie używany, ale nie sprawiał wrażenia nieukończonego. Widocznie te dwie równoległe ściany i daszek były wystarczającym zabezpieczeniem i komfortem, czemu nie mogliśmy się dość nadziwić.

- To taka tutejsza "sławojka" - powiedziała Ciocia.

- I za daleko i zbyt otwarte - zmartwiła się Mama

- Altanka czteroosobowa! - wyłośliwiłam się ja.

Niedaleko stamtąd już lepianki towarzyszyły obu stronom drogi, tak gliniaste w kolorze jak i grunt wokoło. Niektóre jakoś się trzymały, inne wyglądały na zanadnięte, małymi okienkami ledwie nad ziemię patrzącymi w świat, sprawiały nader smutny widok. Dzieci pętające się przy nich także świadczyły o niedostatkach mieszkańców.

Około kilometra od klubu, po prawej stronie drogi minęliśmy dwa domy pokryte dachami przypominającymi nasze dachówki. Do tych domów wchodziło się po paru schodkach, a okna też były większe, nie tak minimalne i wmurowane bezpośrednio, jak w tych kazachskich lepiankach. Okazało się, że tam mieszkała rodzina rosyjskie.

Niedaleko stamtąd już był sklep : Kooperatywa.

Lokal jednoizbowy, z ladą i wagą na niej. Za ladą potężny Mielnikow. Na półkach " Kirpicznej czar " - jak się okazało suszone i prasowane niby owoce lub ogryzki z nich, co zaparzało się wrzątkiem i piło jak niby - herbatę. Poza tym sklep jeszcze rozporządzał filcowymi " pimami " - wysokie buty z prasowanego filcu, usztywnionego na " twardo ", które można było nabyć tylko na specjalne talony otrzymywane przez robotników "traktorowego parku", znajdującego się dalej, za sklepem. To tyle. Nic więcej na razie /"poka"/.

- Chleb może będzie, a może nie, trudno wiedzieć - odpowiedział sprzedawca.

- No, to nie wydamy tu zbyt wiele! - oznajmiła Ciocia

- I nie podźwigamy się! - westchnęła Mama, wskazując swą pustą siatkę na zakupy.

- A może by wziąć ten "kirpicznyj czaj" raz na spróbowanie - odważyłam się - ludzie to kupują ... -
- Można raz spróbować. Mleko byłoby lepsze...-
- Nie ma rady. Trzeba wyciągnąć coś ze swoich rzeczy i wymienić na jakąś żywność - decyduje Ciocia.
- A no, nie ma rady. Trzeba... - godzi się Mama.

Jeszcze podeszliśmy kawałek drogi za sklep, bo pokazano nam, że tam jest szkoła. Budynek dość długi, parterowy. Za nim, w małej lepiance jest piekarnia. Zamknięta z powodu braku mąki.

Wracamy. Potem wygrzebujemy z rzeczy, co się nada do sprzedania, a równocześnie z czego nam najłatwiej zrezygnować. Po debatach i naradzie bierzemy z Ciocią jakąś jej koszulę dziennej, zaplątane w naszych rzeczach Dzidki białe sandaalki /za małe na każdą z nas/ i moją sukienkę "chłópkę" z zielonej kory w różowe kwiatki oraz białą bluzeczkę do niej, z organytny. Za radą Cioci z tak ładnymi rzeczami poszliśmy do Rosjan. Sukienkę i bluzeczkę od razu wzięła Rosjanka w pierwszym domu, za dwie miseczki / po około 1/2 litra / mąki i nieduże wiaderko ziemniaków / liczyła, że to pół pudła, czyli 8kg/. Swej koszulki Ciocia nie pokazała, w obawie, że kupująca nic już nam nie doda.

Dzidki sandaalki okazały się za małe i gospodyni skierowała nas do nauczycielki, Lidii Iwanowny.

Tam byliśmy elegancko przyjęte. Młoda i ładna nauczycielka nie kryła zachwyty nad sandaalkami, że i wygodne i eleganckie:

- Tylko gdzie ja będę w nich paradowała? Po tych drogach?! Nadają mi się tylko na wyjazd do Ałma-Aty... W lecie się tam wybiorę. Takie sandaalki to luksus... Mogę dać za nie najwyżej 25 rubli... -

Byłam bardzo rozczarowana. Myślałam o stu rublach. Ale Ciocia oceniła sytuację inaczej:

- Widzisz, że na nikogo tutaj się nie nadadzą... Lepiej wziąć, co się trafia, bo nikt inny tego nie kupi... -

Tymczasem Lidia nie pozwoliła nam odejść. Na kuchenkę postawiła patelnię z tłuszczem, błyskawicznie poobierała ziemniaki., surowe pokroiła w plasterki, wrzuciła na rozgrzany tłuszcz i przykryła drugą patelnią.

Dziwiłam się, że bez wody, bo nie znałam tego sposobu. Poza tym trudno ukryć, że chciwym okiem patrzyłam na te obie patelnie, które chociaż bez imadła czy ucha, byłyby niewątpliwie uszczęśliwiły Mamę / przynajmniej jedna z nich /, bo wciąż czyniła sobie gorzkie wyrzuty, że nie zabrała z domu żadnych naczyń, poza tym jedynym, półlitrowym garnuszkiem, a teraz musi chodzić i pożyczać od pań garnek na zupę, gdy której już nie jest potrzebny.

- "Skoworotki?" - zapytała Lidia, gdy usiłowałam dopytać się, gdzie to można kupić - w Alma-Acie. To bardzo praktyczna rzecz, bo można w nich ziemniaki gotować, po nakryciu, nawet w popiele... - i zaprosiła nas na gotową ucztę. Nie muszę dodawać, jak mi było żal, że Mamy nie było z nami!...

Ciocia pokazała swą koszulę, ale Lidia jej nie kupiła, chociaż zachwycała się białym haftem na niej. Przy okazji nadmieniła, że wyjątkowo jej podoba się biały haft na białym tle, ale do sprzedania lepiej byłoby wybrać coś kolorowego, wielobarwnego.

Zaraz potem Ciocia wygrzebała spośród swych rzeczy kolorową mulinę i wszystkie swe koszulki dzienne oraz nocne wzbogaciła o różne kolory, co się rzeczywiście bardzo tubylcom podobało. Szczególnie te nocne koszule miały powodzenie, bo "starczyły za bluzkę i koszulę równocześnie". Sprzedawała je kolejno, dość dobrze.

Mama dowiedziała się od pani Nuckowskiej, że kupuje mleko u pewnej Rosjanki, która może jeszcze litr dziennie komuś odsprzedać i uzgodniła z nią, że będzie brała. Po trzy ruble za litr. - To już będziemy mieli stale mleko - ucieszyła się Mama i sama pilnowała tego.

Ojciec wrócił z pracy, zadowolony. Warunki bardzo prymitywne, drukarenka bardzo mała, ale pomieści drugiego zęćero i pracy wystarczy. Tutejszy, młody chłopak wspominał coś o pogłoskach mówiących o przeniesieniu tej drukarenki do Urdżaru, miasteczka powiatowego, ale to nic pewnego, a tymczasem dobre i to. Lepsze niż sianokosy. Był optymistą i swoje wywody zakończył przysłowiem:

- "Uwidim, skazał ślepoj głuchomu". -

Podobało mi się to przysłowie. Dowcipne. Dotychczas poznaliśmy już jedno, które wyrażało myśl zależnie od postawionego przecinka w zdaniu:

"Prywykniesz nie zdochniesz", czyli tak "na dwoje babka wróżyła", jak Pytia Olimpijska:

"Idziesz na wojnę nie zostaniesz zabity"

Tymczasem tutejszym "Przyzwyczajysz się nie zdochniesz" poczęstowali nas tu przedstawiciele władzy, w odpowiedzi na gorzkie wymówki tych rodzin, które z trudnością wciskały się ze swoimi tobołami na środek sali Klubu i nie mogły pomieścić się w tym tłoku, po zakotwiczeniu.

Po kilku dniach zjawiło się znowu kilku dygnitarzy, z ważnymi minami i arkuszami w rękach, by wyczerpać oficjalne zarządzenie.

Otóż postanowiono kilka rodzin przenieść na pierwszą fermę, odległą 8 km od Centrali.

Wyczytano: panią Nuckowską z czterema córkami. Strasznie mi było przykro rozstawać się z zaprzyjaźnioną rodziną. Z Marysią i Helenką chodziłam do tej samej klasy przez całe cztery lata gimnazjum, a potem do liceum pedagogicznego. Marysia, o rok starsza ode mnie, do gimnazjum zdawała po siódmej klasie szkoły powszechnej, zaś Helenka, o dwa lata młodsza od niej, poszła o rok wcześniej do szkoły i po szóstej klasie zdała też do gimnazjum. Przed wojną byłam jedną z bardzo nielicznych koleżanek, które odwiedziły je w domu, bo od rogatki Janowskiej, do której dojeżdżał tramwaj /Nr 3/ było trzeba iść 4 km do Rzęsny Polskiej. Mieli też tam państwo Nuckowscy własny domek: dwa pokoje, kuchnia, weranda i ogród znacznie mniejszy od naszego, na Sieniawskiej, pod Wysokim Zamkiem, ale bardzo ładnie utrzymany i wspaniale wykorzystany na wszystkie jarzyny, krzewy owocowe i parę owocowych drzew. Od furtki do domu wzdłuż ścieżki dwie grządki kwiatowe dostarczały kwiatów sezonowe od wiosny do późnej jesieni.

Poznałam, oczywiście ich ojca, bardzo dbającego o rodzinę, dom i ogród, któremu poświęcał wiele czasu, jako że był na emeryturze - po służbie w policji. Właśnie z tego powodu został aresztowany, a reszta - wywieziona. Matka ich, gdy je odwiedziłam w Rzęsnie, zaprosiła mnie tam na kilkudniowy pobyt czego wcale wcześniej nie spodziewałam się. Poradziła, by córki zatelefonowały do nas i poprosiły moją Mamę w jej imieniu o pozostanie na dłużej i tak się stało. Oprowadziły mnie po Rzęsnie, odwiedziłyśmy kościół, spędzałyśmy koniec

wakacji 1936r w ogrodzie, gdzie na koniec zrobiłam parę fotek swiomy Kodakiem - "Bebe"/za 12 i pół złotego/kupionym za pieniądze zaoszczędzone na tramwajach i składane pilnie przez cały rok. Ileż to razy trzeba było chodzić piechotą, by nie wydawać tych piętnastu groszy na bilet ulgowy? Tramwaje!... Czy kiedyś jeszcze w życiu usłyszę ich pisk i zgrzyt na zakrętach, co mnie tak zawsze irytowało? Ha! Teraz już nie!... Minęło!...

Śpośród osób wytypowanych na tę pierwszą fermę też zauważyłam rodzinę panny Maryli Antonow. Już mi ją pokazały przyjaciółki. To właśnie ją zawiadomili we Lwowie, gdzie miała swe mieszkanie, sąsiedzi rodziców, że staruszków jej rodziców zabrano do transportu. Panna Marylka natychmiast pojechała do naczelnika NKWD z prośbą, by pozwolono jej dołączyć się do wyjazdu z rodzicami, starymi i potrzebującymi jej opieki.

- Z czego będą żyli? Przecież ja muszę pojechać, aby pracować za nich! Muszę dostać pozwolenie! -

Wielce zdziwiony i zaskoczony naczelnik nie mógł uwierzyć:

- Chcecie jechać na zsyłkę? Nikt wam nie każe! -

- Ale nie zabraniajcie! Dajcie na piśmie! Prędzej! -

I otrzymała. Tymczasem wszyscy współpracownicy z jej biura zapakowali cały jej dobytek, / z wyjątkiem mebli, bo nie było wolno / na duży samochód i to wszystko zdążyli wpakować do wagonu, w którym starzy rodzice już siedzieli, jeszcze na dworcu Czerniowieckim. Panna Marylka zdążyła, a staruszkowie sami nie wiedzieli, czy się z tego cieszyć, czy płakać.

Podobnie i w tej chwili. Nikt nie wiedział, czy to lepiej, czy gorzej dostać się na tę inną fermę.

Wzięto też rodzinę Mazurów: Matka, Weronika, starsza dość znacznie od Zośki, Staszek młodszy od Weroniki, naszej rówieśnicy, Janek-garbusek i jeszcze dwoje młodszych, oraz obie Dobrzańskie z matką, państwo Lubuszkowie, pani Kożuszkowa z synami i jeszcze kilka rodzin z tamtego, dalszego końca sali. Dano im podwody i żegnani, odprowadzani, wyruszyli tą drogą na zachód, poza sklep i park maszynowy.

Mniej głosów uczestniczyło w wieczornych śpiewach pieśni maryjnych i litanii, a przygnębienie i niepewność losu odczuwaliśmy wszyscy.

Gdzieś tam, u którejś Rosjanki mieszkającej przy drukarni, znalazła kąć dla siebie rodzina państwa Fiszerów. Marylka, moja rówieśnica, śliczna brunetka, razem z rodzicami wywieziona była za brata, Kazimierza, studenta medycyny aresztowanego za podejrzenie o trockizm. Znałam ją ze szkoły, bo chodziła do Gimnazjum i liceum im. Asnyka / II Państwowe Żeńskie we Lwowie /, które mieściło się w szkolnym budynku przy ul. Sakramentek, gdzie powstało Liceum Pedagogiczne - "moja" szkoła.

Samotnie była też wywieziona pani Bronisława Stanek, nie pamiętam, ale chyba żona policjanta. Spokojna niska blondyna, uczesana w warkocz, z tyłu upięty w "kugielek".

Dzień upływał dość beznadziejnie. Na ugdówkach po chałach i lepiankach kazachskich w poszukiwaniu żywności na drodze wymiany za odzież. Na kilkakrotnym bieganii po chleb, do sklepu, bez względu na to, że wiadomości o dostawie okazywały się fałszywym alarmem, na pętaniu się tu i tam z Elą, Jańcią, albo Cesią i jej rówieśnicą Matyldzią Kierępką, która opowiadała o Dobrzańskich, znanych z podróży w jednym wagonie. Mazurówie, Dobrzańskie, Kierępka i Sochaccy - to rodziny policjantów. Także pani Ania Nowakowa, ta z Dziunią i Jerzykiem, z dziećmi, z którymi bardzo się zaprzyjaźniłam, opowiadając im bajki. Obok niej była pani Korzeniewska, samotna i bardzo do nich przyłgnęła. Dużo starsza od pani Ani, zajmowała się nieraz dziećmi, gdy matka wyprawiała się na dłuższe sprawunki. Tej przynajmniej pozwolono zabrać jak najwięcej rzeczy z domu. Miała olbrzymi wiklinowy kosz, jakikufier, dużo odzieży, naczyń, a nawet nie tylko wiadro, jak wielu innych, lecz także dużą miednicę - jak za ledwie parę osób. Ba! Nawet posiadała nożyczki, a to się trafiło bardzo nielicznym: my cierpieliśmy na te wszystkie braki, uciążliwe w życiu codziennym.

W sąsiedztwie pani Ani Nowak /"Nowakowa młoda"/ osiedliła się na środku podłogi rodzina o tym samym nazwisku /"Nowakowa starsza"/: Danka - w moim wieku, Kazik o rok czy dwa młodszy i Jirka chyba 13 lat. Też rodzina policyjna. Danka leczyła się od roku na gruźlicę, nawet przerwała naukę, przez kilka miesięcy była w Worochcie. Reszta była zdrowa. Kazik swą gęstą i kędzierzawą czuprynę ozdabiał czapeczką w stylu mycki, uszytą z górnej części pończochy damskiej, stąd chłopcy /"Bokociaki"/, dla odróżnienia go od Kazia Dudka, mówili na

Kazika Nowaka " Kazik w pończosze ".

Jańcią, ta ślicznie śpiewająca, była z matką i rodzeństwem młodszym: Michał - chyba 14 lat, młodsza Olga i jeszcze młodszy Paweł. Ich ojciec, pan Goryluk, był dozorcą więziennym, za co został aresztowany.

Po drugiej stronie wejściowych drzwi gniotły się rodziny: pani Kublinowa z synem Wackiem, studentem II roku prawa / przed wojną /. Na początku chodził w kapeluszu, niewątpliwie w celu dosztukowaniu sobie wzrostu. Dziewczynki nazwały go " Wackiem w kapeluszu ". Aresztowanym w tej rodzinie był ojciec, prawnik / chyba adwokat /. Obok pani Marchutowa, żona sędziego, z czternastoletnią Krysią, ładną i wysoką dziewczynką, oddzielała swym legowiskiem poprzednich od pani Kijanowskiej, żony aresztowanego dziennikarza / Tato go znał i wyrażał się o nim z szacunkiem/, wraz z córkami: Banką, kuleczką, trochę młodszą ode mnie i Ewą, młodszą o kilka lat, krzykliwą i nieposłuszną, co już zwróciło uwagę w drodze z Łaj-Bułaku do Sigisbaju.

Między tymi rodzinami dochodziło czasem do głośnych nieporozumień na temat przestrzeni życiowej, gdy legowiska jednych wydawały się drugim szersze w porównaniu z własnymi. Kiedyś, ale to już później, gdy wymęczenie warunkami faktycznie nie sprzyjało panowaniu nad sobą, któraś z tych pań rzucała ze złości jajkiem w tę drugą. Musiała być doprowadzona do ostateczności, skoro nie wahała się ponieść takiej straty!

Gdzieś tam naprzeciw, na środku sali, gnieździła się pani Łabędzka z synem Władysławem. Była Jugosłowianką, żoną polskiego dyplomaty, uwięzionego. Nie wymawiała głoski "ł", która w jej ustach brzmiała, jak "l" i czasem były kłopoty, przy podawianiu nazwiska oraz imienia swego. Oczywiście dla wszystkich był " Władziem ". Ci, którzy jechali w jednym wagonie z nimi, byli niestrudzeni w opowiadaniu nocnej przygody pani Łabędzkiej. Swoje leże miała w wagonie na górnej półce, podobnie jak my: w najbliższym sąsiedztwie okropnego koryta, z tym że ich wagon posiadał oprócz tego specjalne wiadro.

Pewnej ciemnej nocy, zmuszona potrzebą, pani Łabędzka po ośmiu omacku schodząc z górnej półki, trafiła stopą nie na ziemię. Śpiących obudził jej rozpaczliwy krzyk:

"- Władziu! Ja wpadła do władla ! -"

Nie słyszałam ani jednej osoby, która by to opowiadała to bez zarykiwania się od śmiechu. Ten okrzyk miał czarodziej-
/ską moc i w najgorszych chwilach wzbudzał głośny wybuch we-
sołości. Z wyjątkiem ... autorki.

To właśnie jej się dostało sporo ironicznych uwag od pani Sochackiej, która podparłszy się pod boki huknęła w stronę pani Łabędzkiej:

- Ta, co paniusia robi? Ta, nie można "trochu" skropić tej ziemi, albo tych gałęzi piołunu przy tym zamiataniu? Ta, nie widzi paniusia ila tu tego prochu i kurzu leci na te wszystkie legowiska? -

- A przepraszam... - zreflektowała się żona dyplomaty.

Ale po chwili donośne oburzenie pani Sochackiej huknęło na cały klub:

- Ta, ludzi, trzymajcie mnie, bo nie mogę! Ta, co ta "hrabinia" wyprawia?! Taż ona kropi po ziemi srebrną łyżeczką ma-
lutką, od kawy i to z tej malutkiej porcelanowej filiżanki, "Bih me!" Widział kto taki durnoty!?"-

Biedna "hrabinia"! Tyla prób dostosowania się do tak nie-
ludzkich warunków i na koniec... kpiny! Swoją drogą trudno było nie zobaczyć całej śmieszności w tej sytuacji, bo na tle brudnej i zatłoczonej sali drepcząca pani skrapiająca srebrną łyżeczką z eleganckiej filiżanki, by pozamiatać to wiech-
ciem piołunowym wyglądała, jak przysłowiowy kwiatek przy kō-
zuchu.

Nieopodał pani Łabędzkiej umiejscowiła się młoda matka z trzymiesięcznym Bolciem Rogala, którego płacz nie pozostawał bez związku ze skutkami odbytej podróży. Oprócz kufra i to-
bołów miała olbrzymi kosz pełen męskich kapeluszy, które sprzedawał jej mąż, posiadający swoją bukę z kapeluszami na placu, chyba Krakowskim.

- Ta, co to pani Rogalowa targała te kapelusze? Ta, kto to tutaj kupi? - ubolewała nad nią pani Sochacka.

- Ta, niech oni leżą! - odpowiedziała właścicielka - Jeść nie wołają, a może się doczekają lepszego losu... Może mi one pozwolą mojego Bolcia wykarmić, kto wie... - nie traciła nadziei...

- No, ta pewnie! - włączyła się pani Mańkowska i otuliła

się płaszczem szczelniej, aby zamaskować brak sukieneczyny, którą właśnie przed chwilą zdarto z niej niemal siłą, a że cena za tę odzież wydała jej się raczej ponętna, pozostała w samej bieliźnie, co skrętnie okryła płaszczem, zanim zdołała wygrzebać gdzieś inną garderobę. Była to matka pięcioro dzieci, zabiedzonych i wiecznie głodnych i zakatarzonych.

Wybiegnę tu nieco na przód, do późniejszego wydarzenia, którego nie chciałabym pominąć. Przeniesiona z kilkoma innymi rodzinami do rejonowego Urdżaru, pani Rogalowa zdołała tam całe miasteczko wystroić w swe kapelusze i za zarobione pieniądze, po sprzedaniu niemal wszystkiego, co posiadała, załatwiła sobie z szoferem po cichu przejazd jakąś ciężarówką z Urdżaru co najbliższej stacji kolejowej / 173 km: Ajaguz /, gdzie nabywszy bilet do Ałma-Aty, wybrała się z Bolciem na rękach w samotną podróż powrotną do domu. Z Ałma-Aty nabyła bilet do Taszkentu i tak etapami, by nie zwracać uwagi, mówiąc plątaniną ukraińsko-rosyjską, dotarła aż do Lwowa, gdzie zamieszkała u matki.

Najprawdopodobniej mogłaby się tam ukrywać, gdyby nie odwiedzała rodzin wysiedleńców, aby im opowiedzieć o warunkach, w jakich żyją ich bliscy w Kazachstanie. W rezultacie schwytaną odstawiono pod konwojem do miasta Okręgowego: Semi-pałatyńska, gdzie sądzona już nie jako "burżujka" posiadająca własny sklep z mężem / aresztowanym wcześniej /, ale dodatkowo jako uciekinierka z zesłania, "zarobiła" pięć lat więzienia. Dała znać, że najważniejsze, iż Bolcio został u babki, więc jest uratowany.

Nie wiem, jakie były jej dalsze losy po sierpniowej amnestii w 1941r., ani... czy doczekała jej.

W sąsiedztwie pani Mańkowskiej i jej rodziny przycupnęła rodzina pani Stupnickiej - babci, z mężem, córką i wnuczką Basią, ledwie dwuletnią. Już trochę mówiła, ale widać było, że jest bardzo wytrącona z równowagi i wystraszona stałym tłumem w ciasnocie żyjącym, ruchem i hałasem, a także skośnookimi gośćmi, bezustannie wciskającymi się pomiędzy łogowiska, dotykającymi wszystko i usiłującymi wytargować wszystko, co się tylko da. Basia nieustannie trzymała się babci, jeśli nie za rękę, to chwytła jej spódnicę, a drugą rączką

tuliła do siebie swą lalkę Fajusię, jedyną zabawkę, którą miała.

Fajusia / otrzymała imię po dziadkowej fajce, jak mi wyjaśniła babcia / wzbudzała zachwyty polskich dzieci, jakoś rzeczywiście całkowicie pozbawionych zabawek, o których pewnie w krytycznym momencie nikt nie miał głowy pamiętać. Dzieci kazachskie chyba specjalnie przychodziły na nią popatrzeć niesamowicie zdumione, bo niewątpliwie nie widziały dotychczas lalki w swym kilkuletnim życiu. Dziadka małej Basi prawie nie pamiętam, matki też nie mogę sobie przypomnieć, ale była chyba razem z nimi.

Pamiętam, że babcia Basi nieraz wzbierała się do Nowotroj-ska, bo pożyczła od nas plecak na tę wyprawę.

Dość szybko z tamtego końca sali wyprowadziła się pani Czupkiewiczowa z córką. Matka niska, przysadzista, żona policjanta. Córka wyższa, o porcelanowej cerze i szatynowych włosach lekko wijących się, bardzo ładna, ale wyglądająca napewno dużo doroślej niż na szesnaście lat, o których obie mówiły. Pani Czupkiewiczowa załatwiła sobie posadę sprzątaczkę / oborszczyca / w biurze sowchozu i uzyskała izdebkę w sąsiadującym domku, samodzielna, na siebie i córkę. Zmieściły się tam dwa łóżka, stół, krzesło, była nawet kuchenka - to chyba wszystko jako własność "urzędu".

Za taki luksus sprzątaczką harowała w biurze, które ~~po-~~ nie nigdy w historii swego istnienia nie przeżywało takich porządków i takiego codziennego sprzątania.

Pani Baczyńska została wywieziona z dwiema córkami Marią i Zofią, obie były na studiach, obie bardzo muzykalne. Chyba rodzina oficerska. Mieszkały we Lwowie na Piekarskiej, a teraz w pobliżu sceny.

Obok dwie samotne panie, z naszego wagonu: pani Aniela Białykowska i pani Maria Rygłowska, właścicielka tego wiśniowego kapelusza z piórkami i mnóstwa kufków i waliz.

Gdzieś tam też osiadły dwie siostry: starsza, pani Stasia Krukowa, drobna, poważna brunetka, z synem Mietkiem, chyba 7 letnim i wyższa, przystojna, też brunetka, Helena Koncewiczowa. W pociągu zaprzyjaźniły się z Jurkiem Kuźmichem, mniej więcej ich rówieśnikiem /25 - 30 lat/, Ukraińcem i nawzajem

sobie pomagali: on przynosił karagaje na opał, one zajmowały się gotowaniem, czy praniem i razem wędrowali do Nowotrojaska, z czego jednak Helena wkrótce musiała zrezygnować, osłabiona chorobą płuc.

Z nimi najbardziej żyła się pani Basia Rowicka lat 32, która podczas zabierania jej na zesłanie zdołała ubłagać o zezwolenie na pozostawienie dwuletniej / może czteroletniej ? / córeczki matce we Lwowie. Matka zaopatrzyła ją w rodzinne złoto, z nadzieją, że to jej pomoże przeżyć zesłanie. Niestety. Nie przeżyła nawet siedmiu miesięcy, a śmierć jej, chociaż już nie pierwsza w Tas-Bułaku, napełniła wszystkich prawdziwym smutkiem. Była szalenie dzielna, kulturalna i uczynna, początkowo pełna życia. Potem zmogła ją choroba i nostalgia. Dużo mówiło się o tym, że ofiarowała przy świadkach złoty pierścień jednemu wraczowi / lekarz czy felczer? / w szpitalu w centrali, za opiekę i z prośbą o ratowanie jej życia, ale był bezsilny. Resztę przyjaciółki obiecały oddać kiedyś jej matce i córeczce, za którymi do końca tęskniła rozpaczliwie.

Przed zabraniami wybranych ludzi na pierwszą fermę była z nami rodzina Lubusków. Wandzia, chyba szesnastoletnia, chodziła najczęściej w harcerskim mundurku i miałyśmy o czym mówić: obozy, zbiórki, wycieczki, piosenki. W tamtych latach bardzo byliśmy przywiązani do harcerstwa - naszej ulubionej organizacji, traktowanej jak najbardziej serio, solidnie i z entuzjazmem. Brat jej był młodszy.

Wandzi matka kiedyś zwierzyła się paniom w kuchni, że najbardziej jej żal, iż tyle lat z mężem oszczędzali i kupili piękne mirtowe meble oraz fortepian, za który ostatnią ratę zapłacili w sierpniu, tuż przed wybuchem wojny.

- Namawiał mnie mąż na futro, ale ja nie, tylko te meble i fortepian, aby dzieci nauczyły się grać, aby w domu było tak pięknie! I to wszystko trzeba było stracić !...

- załamywała ręce.

- Już bebechy się w człowieku przewracają ! Jakby nikt nic nie miał ! Ta tylko o tych swoich mirtowych meblach i o tym fortepianie na cztery ręce !... - przedrzeźniała ją któraś później.

Zrobiło mi się bardzo przykro. My też zostawiliśmy fortepian. Tato kupił dla nas za swoje honorarium po wydaniu: "Historii drukarni i stowarzyszeń drukarskich we Lwowie" nad czym siedział prawie pięć lat, oczywiście po pracy zawodowej. Szperał po archiwach i bibliotekach, studiował różne sprawozdania, plany, protokoły, autentyczne relacje i materiały historyczne, aby upamiętnić plon ludzkiej pracy i działalności. I za gotówkę kupił najdroższy fortepian, jaki był w sklepie, firmy *Hamburg* i z trzema pedałami. Pamiętam: miałam już prawie pięć lat.

Kiedys rozmawiając z panią Lubuskową usiłowałam jak najdelikatniej dać jej do zrozumienia, że zdaję sobie sprawę z jej rozżalenia, iż tyle lat oszczędzania i tyle lat poszło na marne.

- Mogę sobie wyobrazić, jak nani przykro... Te wymarzone meble i jeszcze na dodatek ten fortepian na cztery ręce...-

- Jak możesz!? - krzyknęła oburzona - I ty też pozwalasz sobie na takie kpiny!? Dlaczego?! - i odeszła natychmiast bardzo wzburzona.

Stałam, jak głupia, gdy nadeszła Ela.

- Co się stało? - zapytała, uważnie przyglądając mi się. Opowiedziałam z detalami.

- Ojej! Ale strzeliłaś gafę! Pomyśl: "fortepian na cztery ręce!" Ta, pomyśl tylko, jak to wypadło!...-

- Ta, joj! - jęknęłam, stuknąwszy się w czoło!... - Ależ ciemna masa ze mnie! Jak bezmyślnie chlapnęłam! Jak łatwo kogoś zranić - rozpaczałam.

Ale właśnie nawinęły się Jańcia i Cesia, za nią Kazik Dudek, który nigdy nie tracił humoru i cała afera została skwitowana salwą młodego śmiechu. Jednak znalazłam okazję, by przeprosić za swój nietakt, a nauczkę i tak miałam, co mi się słusznie należało.

Inną przygodę miałam z babcią Tabaczyńską, która znalazła się tu z córką i wnuczką Wandą, starszą o parę lat i nie garnącą się do nas.

Dość wcześnie po naszym przyjeździe przygotowany dla nas ustęp okazał się rozpaczliwie niewystarczający.

Żywność bywała rozmaita, jaką gdzie komu się udało zdobyć,

niekoniecznie świeża, czy zdrowa, często niegotowana, chleb czasem bywał gliniasty, warunki sanitarne opłakane i biegunka dokuczała już większości z nas.

Którejś nocy, zmarznięta i zaspana, obolała od niewygodnego spania w ciasnocie i na ziemi, musiałam zwlec się i pogalopować za własną potrzebą. Noc była ciemna, zbiegłam więc ostrożnie ze schodków przy drzwiach, potem nierówną dróżką, wytężając wzrok, gdy nagle, za zakrętem domu zobaczyłam przy słabym świetle księżyca, wyłaniającego się spoza chmur, coś, co zatrzymało mnie na miejscu.

„Przecież to nie może być koń? Biały koń?— zastanawiałam się, przystając.

- Ta, to coś, jakby długie, chude, białe nogi, w górze kończą się czymś, co wygląda, jak / z przeproszeniem! / pupa... Ale : gdzie ta reszta?! Jezus, Maria! Ta, to chyba potowa szfowicka! Ta dolna. Tylko! Ale gdzie ta górna?!-

Stałam, jak wryta, przerażenie sparaliżowało moje ruchy, już nawet nie myślałam o tym, po co tak śpiesznie dążyłam w stronę tej okropnej wygodki, której nazwa miała diabelsko ironiczny wydźwięk, gdy nagle biała półzjawa przede mną zajęczała ludzkim głosem:

- Boże! Litości! Nie wytrzymam tego bólu!- i natychmiast jęk wywołał właściwą reakcję zbuntowanych jelit.
- Taż, to babcia Tabaczyńska!- odetchnęłam z ulgą, niepomna już jej cierpienia, a staruszka wyprostowywała się, gdy podeszłam bliżej.
- Czy już pani przeszło?...-
- Tak, tak, już lepiej- zapewniała- Już idę do domu...-
- Zaraz pani pomogę, jak wrócę- zdążyłam powiedzieć, ale zanim wróciłam, babcia sama doszła do schodków, na których przysiadła.

Weszliśmy razem do sali, pełnej zaduchu, ciasnoty, ciemności, pojękiwań, czy pokaszliwań i stłoczonych ludzkich ciał, pokotem przitulonych do wspólnej podłogi.

Na scenie oprócz pani Schmalowej z Lalą i z Dyńcią, pani Baderowej z Grzesiem, mieszkało jeszcze rodzeństwo: pani Ama z bratem Fredem. Ona wysoka, przystojna, szczególnie piękne miała duże, zielone oczy, w ciemnej, bogatej oprawie. Mimo, że brunetka, nie sprawiała wrażenia, że należy do rasy semickiej, co u jej brata rzucało się w oczy. Oboje bardzo muzykalni, podobnie jak i pani Jasia Espenhan, w jakiś sposób z nimi spokrewniona, chyba przez swego męża i męża pani Amy, którzy byli przyczyną ich wywiezienia. Mieli około trzydziestu lat.

Pana Fredka dość wcześnie zapędzono do pracy w "traktornym parku",

razem z Ludwikiem Kasprzakiem, który był z matką, żoną polćcjanta. Ludwik dawał sobie tam lepiej radę, ponieważ dostosował się do robotników miejscowych, mianowicie chodził zawsze wysmarowany, jak oni "czarnoroboczyj", w przeciwieństwie do Freda, dbającego o czystość osobistą i o wygląd odzieży.

Ludwik dość jawnie zachwycał się śliczną Izą, która mniej jawnie pokpiwała sobie z tego, ale na wszelki wypadek nie dawała mu katęgorycznej odprawy.

Jeszcze do tych mieszkańców na środku sali muszę dodać rodzinę spolszczonych Niemców: Dreifür. Był tam ojciec z córką Hedwigą, niezamężną, dobrze po trzydziestce i z siostrą, też niezamężną, chyba po pięćdziesiątce. Wszyscy bardzo wysocy i grubokościści, on - z długą i gęstą brodą.

Pana Dreifüra zapędzono do czyszczenia stajni po owcach, czyli owczarni /"koszar"- w miejscowej nomenklaturze/, gdy owce zostały z nich wyprawdzone przez Kazachów na wypas w daleki step. Był inżynierem z zawodu, o czym powiedział swym zwierzchnikom i zabrał się do tej roboty z wielkim namysłem, mówiąc, że to wszystko musi najpierw wymierzyć, wyrysować plany, wykalkulować w jaki sposób ta robota ma być wykonana. Nigdy nie doszliśmy do tego, aby dowiedzieć się, w jaki sposób, jakimi argumentami potrafił przekonać "władze" do swych metod, że zdołał aż całe trzy dni spędzić na rysowaniu planów, obrachunkach i opędzaniu się od natrętów! Przecież zachodzili ciągle, a do pracy wyciągali, kogo tylko się dało i to zawsze przy zautomatyzowanych nawoływaniach :

- "Dawaj pobystrej! Dawaj skorej! - brzmiały jak nakręcona na jeden motyw katarynka.

Może po prostu wyniosła postawa, bardzo pewny siebie, władczy, tubalny głos i sam wzrost inżyniera, sprawiający, że na Kazachów, najczęściej znacznie niższych, niż ludzie naszej rasy, patrzył dosłownie z góry, działały hamująco na ich zwykłe wymyślania.

O ile bowiem ludność prywatna była nam jeśli nie przychylna, to niewątpliwie pozbawiona wrogości, o tyle wszyscy przedstawiciele jakiegokolwiek władzy traktowali nas, jako zesłańców, czyli jak im wyjaśniono: albo burżujów-krwiopijców, albo wrogów radzieckiej władzy i kontrrewolucjonistów, a więc z lekceważeniem, nieżyczliwie, czasem nawet ze złośliwością zazdrosnych i tępych ludzi pierwotnych.

Kiedy już nasza umiejętność dogadywania się z Kazachami mieszaną polsko-rosyjsko-ukraińsko-kazachskim żargonem pozwalała na prowadzenie rozmów z tubylcami, często uzupełniającymi swój rosyjski język wstawkami po kazachsku, opowiadaliśmy sobie co nieco o własnym życiu, czy warunkach bytowania.

Pierwszą w naszym środowisku taką towarzyską pogawędkę z dwoma owczarzami /"czabanami"/ zrelacjonował nam Wacek, zwany do niedawna "Wackiem w kapeluszu", którego już nie posiadał, bo poświęcił go na rzecz kawałka baraniny, ku zachwytowi matki.

- Jakie duże było wasze stado?- chciał się dowiedzieć stary czaban.

- Jakie stado?-dziwił się Wacek.

-No, wasze! Owce, barany. Może krowy?-

-Moje? Ta, skąd? Ja nie miałem żadnych!...-

-A wasz ojciec, matka? Rodzina? Musieli mieć przecież...-dociekał

-Nie! Nic podobnego.-

-A więc za co was tu przywieźli na zesłanie /Zsyłkę/? Przecież mówią, że wy bogacze, burżuje i krwiopijcy!...-

- Ta, gdzie tam! My spokojni ludzie. Mieszkaliśmy w dużym mieście, pracowali, uczyli się w szkołach...-

-A, to wy tam mieli dużo domów i fabryki i sklepy?-

- Nie, my nie. Tylko zwyczajnie, mieszkanie, nie dom. I praca..-

- A skąd te wasze rzeczy? Takie ubrania! Takie naczynia! Przecież to nie mogło być tylko z waszej pracy!- dopytywał jeden.

-Słuchaj! My tu także pracujemy. Wszyscy. Widzicie. I nikt nie może zarobić tyle, żeby mieć aż tak dużo, jak wy macie!- wtrącił drugi.

- Ani nic takiego dobrego! Ot, tyle co na sobie, czasem jeszcze drugie portki na zmianę, ale to już nie każdy ma..-

- I ledwie wystarczy na ten chleb, czy mleko i kartoszki. Mało kto ma krowę w sowchozie...-

- A jak jeszcze są dzieci i żona, to trudno wykarmić, a jeszcze trudniej odziać...-

Porównywali mocno zawiedzeni, żęim nie mówią w sposób zrozumiały. Chcieli się dowiedzieć od młodego cudzoziemca, ale jego wywody nie mieściły się im w głowach i pozostawały w r^głębokiej sprzeczności z całą własną wiedzą ich o świecie i z doświadczeniem życiowym.

Parę innych czabanów dołączyło do się do rozmowy, zasypywali Wacka pytaniami, po swojemu obmacywali jego ubranie, cmokali nad gartunkiem, podziwiali spidne sandały i kiwali głowami, wierząc, lub niedowierzając-.

Dowiadawali się o zawody, szczególnie naszych mężczyzn, dziwili, że aż tyle kobiet nie pracuje zawodowo, chociaż i u nich tolerowano w każdej rodzinie jedną gospodynię domową /"domochadziąjkę"/, zwykle matkę, wychowującą dzieci i prowadzącą całe to "pozał się Boże" gospodarstwo domowe, co ze względu na konieczność wystawiania po kolejkach, było czynnością nader czasochłonną.

W końcu dali się przekonać, że cały ten nasz transport został przedewszystkim oskarżony o polskość, która była głównym zarzutem

i największą winą wobec państwa Radzieckiego.

- A, to was tak tu przesiedlili, jak tych Bułgarów, w 1914 roku z ich kraju. Oni zasiedlili połowę Nowotrojska-któryś wreszcie zrozumiał.
- Nieraz słyszymy o tym Nowotrojsku- podchwycił Wacek. -Gdzie to jest?-
- A, tam- wskazywali na północny zachód- Drogą za kooperatywą i poza traktornym parkiem...-
- A potem długo, długo przez step, równo, dalej trochę pod górę, a na koniec stromo w dół...- mówili.
- I już stamtąd widać cały kołchoz, ten Nowotojsk.-
- Tutaj to jest sowchoz, to znaczy, że wszystko jest "kazionne", państwowe: i cała ziemia, i te owce i to wszystko, ni^gtu nie jest nasze. ...-
- A nam za robotę płacą, bo my nie na swoim...-
- W kołchozie wszyscy pracują razem na spółdzielczym gruncie, w polu i na siamokosach, potem odstawiają część plonów dla państwa, tyle ile im każą, a resztą sami się dzielą, według tego, ile kto pracował. We wsi spółdzielczej chłop ma chałupę, kawałek gruntu i może sobie trzymać świnię, czy krowę, czy parę owiec. Co tam sobie wykarmi...-
- A domochadziajki sadzą sobie na swoich działkach ziemniaki, jarzyny i mogą to też i sprzedawać, bo to jest ich...-
- To znaczy, że tam można pojechać po żywność?- Wacek się upewniał,
- "Da, da! Można", jak wam dadzą podwodę...-
- Możecie prosić, niech wam "uprawlajuszczy" da. Jak on każe, to dostaniecie, bo on tu rządzi...-
- Na długo to trzeba? Na godzinę, dwie? Daleko to?-
- A, no, będzie ze dwadzieścia pięć kilometrów. Trzeba na cały dzień, bo tam wieś dość długa, a tak od domu, do domu, to wam długo zejdzie, aby każdy coś kupił, czy sprzedał...-

I zaczęły się najpierw pielgrzymki do przewodniczącego, do biura, z prośbą o tę podwodę, a po zbyt wielu bezowocnych stataniach... piesze wyprawy do Nowotrojska, na handel wymienny, po żywność. Ale to jeszcze nie od razu.

Jeszcze w tym pierwszym okresie kołatało się do wszystkich lepierek miejscowych i tych paru rosyjskich domków, niczym domokrążcy handlarze, z nadzieją na zdobycie czego, z tym jedynym wyjątkiem, żeśmy nie wołali owego słynnego: "Handełe! Handełe!", z którym pejsaci brodacze, najczęściej w charakterystycznych, płaskich, czarnych czapkach, obszytych rudym lisim ogonem, odziani w długie, czarne chałaty, sięgające do ziemi, wkraczali w studzienne i mroczne pod-

wórka starych, lwowskich kamienic, ku wielkiej radości licznej dzieciarni całej biedoty, gnieźdzącej się w piwnicznych suterrenach i ku demonstracyjnej irytacji wszechwładnych stróżów, ostatnimi czasy awansowanych do bardziej czczigodnej, w ich mniemaniu, nazwy dozorców lub dozorczyń.

Byliśmy równie zdeterminowani, łażąc od domu, do domu, jak nasi przedwojenni handełesi, może czasem mniej nahałni, czy pomysłowi, z pewnością mniej utalentowani w kupieckim rzemiośle, ale chyba nie mniej wytrwali.

Kiedyś wybrałam się z Mamą, aby zdobyć cokolwiek z żywności za kolejną letnią swą sukienkę. Przeszliśmy ten mostek za naszym ustępem, a raczej za tragiczną pozostałością jego, otoczoną ze wszystkich stron straszными śladami ludzkiego pobytu, na czym żerowały chmary much i żuczków-gnojaczek i skierowałyśmy się na prawo, w stronę osiedla/"chutoru"/ kazachskiego.

Słońce dość mocno prażyło i wiele półnagich dzieci ganiało się między lepiankami, których drzwi były przeważnie otwarte, właśnie wprost na słońce. Przed jednymi drzwiami leżał ogromny, czarny owczarek stepowy, kudłaty, co zdawało się jeszcze czynić go większym. Na progu siedziała stara Kazaczka, w wielkim, niegdyś chyba białym, charakterystycznym zawoju na głowie.

-Assalimalejkum!- zawołałam, zanim podeszłyśmy bliżej, blada i dumna ze znajomości powitalnego pozdrowienia w jej rodzimym języku.

Jeszcze mój triumfalny głos drżał w powietrzu, gdy nagle, jak najbardziej nieoczekiwanie, pies skoczył w moją stronę, przednimi łapami rzucił się na me barki z taką siłą, że aż się zachwiałam i wyszczerzył zęby tuż przy mej szyi, ziejąc mi prosto w twarz swym gorącym oddechem.

-Jezu!- ledwie zdążyłam pomyśleć- Koniec!-

-Jezuuu?..- ze wszystkich sił wrzasnęła za mną Mama tak rozpaczliwym piskiem, że we mnie serce zamarło.

Pies na ułamek sekundy zatrzymał swą rozdziawioną paszczę na włos od ofiary. Momentalnie Kazaczka zawołała na niego, a krzyknęła tak głośno i rozkazująco, że zdumiony potwór odwrócił swój straszny łeb i krwawymi oczami spojrział w jej stronę.

W tym momencie wysunęłam się spod jego ciężkich łap, Mama doskoczyła i porwała mnie w objęcia, pobladła i roztrzęsiona, a stara Kazaczka zapędziła psa do komórki, przyległej do izby w lepiance, głośno wyrażając swoje przejęcie:

-Oj, ba joj! Oj, ba joj!- co okazało się odpowiednikiem naszego, lwowskiego "Ta, joj!"-

Mama poklepała ją po ramieniu, tutejszym przyjaznym gestem, co

zostało skwitowane tym samym. oraz dopełnione mocnym kiwaniem głową, zgodnie z miejscowym zwyczajem.

Ale ja już znałam parę słów po kazachsku:

- Rachmet! Rachmet, bajbisza, Rachmet! /Dziękuję! -Bajbisza, to kobieta, ciotka, forma zwracania się do starszych kobiet/

Moje bogate słownictwo najwidoczniej podobało się staruszce, bo z kolei mnie polkepywała. Kiwając głową powtarzała owo słowo "Rachmet", w kontekście wielu innych, niezrozumiałych dla mnie słów, ale dopiero o wiele później dowiedziałam się, że jest ono raczej rzadko używane.

Stara zaprosiła nas do swej lepianki, jednoizbowej, jak prawie wszystkie. Na lewo od drzwi był piec kuchenny, z wbudowanym dużym czarnym żelaźniakiem/"czegun"/ zamiast płyty kuchennej. Na środku izby stał okrągły, niezbyt duży stół, niezbyt duży, na niskich nóżkach, chyba trzydziesto-centymetrowych. Dalej, za tym stołem, na przeciw drzwi, znajdowało się na ziemi legowisko, zasłane kołdrą, wykonaną z pozszywanych kawałeczków różnych szmatek, niczym strój Arlekina, mocno już sfatygowaną.

Po prawej stronie od drzwi, zwrócone w stronę południa i podwórka, znajdowało się jedyne, małe okienko, z zamazaną szybką, wlepioną bezpośrednio w gliniasty mur, co uniemożliwiało otwarcie okna. Kąt między okienkiem, a drzwiami, zajmowało wiadro z brudną wodą, przy nim, przy nim znane nam już gałęzie piołunu, związane jakimś strzępem szmaty na miotłę, oczywiście tak jak i nasza, bez kija.

-Siadajcie!- zaprosiła nas gospodyni, gestem wskazując na polepę przy stole, a sama gawędząc, jak gdyby ją ktoś rozumiał, kucnęła przy piecu kuchennym i podłożyła kilka kawałków wyschniętego nawozu krowiego na tlejący się ogień.

Usiadłyśmy z Mamą na ziemi, podciągnęły nogi kolanami pod brodę i obserwowały, jak wrzuciła dwie garście ziarna jaglanej kaszy do suchego żelaźniaka i z dumą pokazała, że wkrótce zaczęły w nim podskakiwać. Gdy już się uprzyżyły, pokazywała mi i pouczała:

-Tara.-

-Tara- powtórzyłam?-jagły.

- Pschan. Czik. - Surowe. Prażone.- zrozumielałam.

- Pitaż- pokazała mi odrobinę pszenicy, a ja powtarzałam poznane nazwy, ku obupólnemu zadowoleniu.

Po chwili staruszka zalała prażoną kaszę czarką mleka, a potem drewnianą łyżką, wydłużoną w poprzeczną stronę, nabrała gotową kaszę do trzech czarek, do których dodała po trochę zimnego mleka.

-Pewnie surowe- pomyślałam bez zachwyty

-Uczta!- orzekła Mama.

-Głód najlepiej jeść gotuje.- przypomniało mi się.

Dobroduszna paplanina staruszki i miłosierny poczęstunek pozwoliły nam ochłonąć po emocjach spowodowanych spotkaniem z groźnym owczarkiem. Za sukienkę otrzymałyśmy dwie czarki kaszy jaglanej, chyba mniej więcej trzy szklanki, którą Mama skwapliwie przesypała do czystego, szmacianego woreczka, bo nauczyłyśmy się już, że trzeba mieć takie, gdy się wybiera na sprawunki. Papieru nie było, ani opakowań żadnych, trzeba było mieć swoje.

Kabały

Pani Zofia Jaworska, cicha i najczęściej zaczytana w swej ewangelickiej Biblii, na swoim legowisku w środkowej części sali, postawiła kabałę sobie, a potem obserwującej to pani Korzeniewskiej, tej zaprzyjaźnionej z panią Hanią Nowakową i jej dziećmi. A potem, skoro to się już raz zaczęło, wszystkie niemal panie kolejno wsłuchiwały z wielkim przejęciem powtarzające się wróżby:

-Nowina! Wielka nowina w drodze!-

-List! List z wiadomością!-

-Ważna wiadomość. Wkrótce!-

-Pieniądze. Duże pieniądze już w drodze!-

- Dużo listów, małe pieniądze...-Jakieś fanty, pewnie paczki...-

Wąskie legowisko pani Zofii zmieniło się nagle w jakąś arkę nadziei

- Naprawdę jeszcze nigdy tak karty nie wróżyły wszystkim pomyślnie jak dziś!- cieszyła się wróżbiarka.-Tylko nie dziękujcie, bo się nie spełni! Zauroczycie!-śmiała się, gotowa podtrzymać na duchu tych zagubionych w niepewności jutra.

-Ta, może i wywróżą! Jakąś zmianę losu...-

- A, no, niektórym stoi wyraźnie podróż, o tu, tak jak pani, ale innym nie...-

-Ta, tę podróż to już paniusia w tamten piątek zapowiadała! No, i co? I nic!...-

- A mówiłam, żeby nie dziękować!...-

-O, znowu list. Wiadomość urzędowa. Pieniądze, duże pieniądze...-

- Wierzysz w te kabały?- zapytała mnie Ela konspiracyjnym szeptem.

-Ta, gdzie?- po lwowsku odpowiedziałam, śmiejąc się z posądzenia.

-Ale to lepsze niż te sprzeczki tu w sali o decymetr miejsca, o przesunięcie jakichś tobołków na ziemi, albo w kuchni o dwa patyki na rozpałkę, o jedną zapałkę, o przestawiony garnek...-

- Właśnie, przynajmniej mają o czym dyskutować...-

-A przede wszystkim mogą się czepiać nadziei...-

- Choćby ziarnka nadziei, nawet gdyby była taka absurdalna, jak te wielkie pieniądze i ta mała podróż...-

-Chwileczkę! Przecież nie wróży tego wszystkim. Jednym to, drugim tamto, następnym znów co innego...-

-Oczywiście: "jak stoi w kartach.Sprawiedliwie!"- cieszyliśmy się, że tej niepozornej dotychczas pani Zofii udało się wprowadzić inny nastrój wśród całej tej codziennej beznadziejności. I to nie tylko jakieś zainteresowanie wzajemnie swoimi losami, lecz także pewną wynikającą z niego życzliwość ludzką, dość często narażoną na zachwianie, lub zapomnienie. Ileż może zdziałać najmniejsza choćby iskierka nadziei, gdy ludzie zaczynają się nią dzielić!...

Przeniesienia

Małe podróże faktycznie były niektórym pisane.

Znowu przegrali nasi zwierzchnicy/dygnitarze/, jak mówiliby między sobą/, ze spisem, czytali, liczyli nas, spisywali, by wreszcie oznajmić, że miasto rejonowe, Urdżar, zgłasza gotowość przyjęcia pewnej ilości rodzin polskich z całego sowchozu Tas-Bułak. Zaczynają właśnie od nas, jako od centrali. Na początek pozwalają nam się zgłaszać dobrowolnie, to znaczy tym spośród nas, którzy jeszcze tutaj nie pracują. Można się naradzić.

-A bo tam będzie lepiej? "Łutsze"?- ktoś zapytał.

-" No, ładno! Charaszo!"- zapewniali.

- A, bo to im można wierzyć?- padło retoryczne pytanie.

- Ta, gorzej, to już nie może być!- zawyrokowała pani Mańkowska i znów szczerzej zawinęła się płaszczkiem, jako że i tym razem korzystając z nieoczekiwanej okazji, sprzedała znowu swą sukienkę bezpośrednio ściągniętą z żywego modelu.- Biorę swoje dzieci i jadę!-

Pięcioro dzieci tępo przysłuchiwało się głosowi matki, niebardzo rozumiejąc o co chodzi.

- Ja też jadę! Zapiszcie i mnie!- podeszła pani Rogalowa- Biorę mojego Bolcia i jadę! I biorę te kapelusze, bo "oni" tu leżą i nikt ich nie kupi! Ciemny naród! Co miasto, to miasto! Zapiszcie i mnie - deklarowała się zdecydowanie i od razu chciała wynosić toboły.

-No, "charaszo!" Ale nie teraz! Podwoły będą jutro rano. Skoro świt!- hamowali dygnitarze jej pośpiech.

- Niech wam będzie jutro. Lepiej, niż tu gnić w tym tłumie, wszyscy razem na kupie! I to jeszcze z takim małym biedactwem, chorym, jak mój Bolcio...Może tam choć lekarstwo się znajdzie, bo mu tu i sam wracz nie pomoże, jak nie ma czym leczyć!- pełprorowała.

-"Da, da, poprawno!"- zgodził się sam naczelnik, który wiele zro-

zumiał, choćby z samej gestykulacji, a rzuciwszy okiem na niemowlę, nie wątpił o potrzebie leczenia.

-To i my się decydujemy- zgłosiła się pani Kurylukowa po naradzie z Jancią i młodszymi dziećmi- Zapiszcie!-

- I mnie z córką- podeszła pani Fanny Finkler z Helenką, dość osamotniona po rozstaniu z panią Ewą Kiestenbaum, którą skierowano do Tiki Bułaku, odmawiając zgodę na pozostawienie ich razem, chociaż obie o to prosiły. A może właśnie dlatego.

Zgłosiła się też rodzina Waligórskich i babcia Tabaczyńska.

- "No, ładno! Chwatit!"- osądzili dygnitarze- Może jeszcze będą z innej fermny.

-Ta, ludzie! Ta, nie boicie się?- lamentowała pani Sochacka- Ta, nie wiecie, co was tam czeka!-

- A tu, to niby wiadomo?- odpaliła pani Rogalowa, która przysiadła na piasku, na narożniku kosza z kapeluszami i tuliła kwilącego Bolcia.

-Ta, czemu nie? Wiadomo, co jest, a czego nie ma...-

- Ta, właśnie o to chodzi! Już wiadomo: jest brud, smród, nędza i beznadzieja! Dlatego właśnie jadę do tego tam Urdżaru!-

-Ale tak sami, między obcych? To już lepiej w kupie, wśród swoich- rozważała pani Kierepkowa.

- "Kto nie ryzykuje...-

- "...ten nie siedzi w kryminale!"- dokończył ze śmiechem starszy Sochacki, Jóźko.

- A tam już są Polacy. Tak nam tu piszą.- włączył się przedstawiciel władzy.

Ożywione dyskusje

Reszta mieszkańców klubu debatowała, naradzała się, rozważała "za i przeciw", grupkami stała przy drzwiach wejściowych jeszcze po wyjściu "naczalstwa". Dalsze dyskusje przeniosły się do kuchni, lub na legowiska rodzinne, gdzie zdawało się, że wahaniom, wątpliwościom, sprzeczkom i uzgodnieniom nie będzie końca.

- A my? - zapytałam swoich.

- Tato pracuje. I tak nie wezmą. Mówili, że tylko ci, którzy tu jeszcze nie pracują.- wyjaśniała mi Ciocia.

- I mamy to mleko! Litr mleka co dzień, to już coś!- dodała Mama.

- No, tak... W mieście może być trudniej: będzie przeludnione...- dorzucił Tato.

- Tu jeszcze ktoś ma krowę, ziemniaki...-

- I do tego Nowotrojska można będzie się wybrać...-

- Drukarnia? Jeśli ją naprawdę przeniosą?- wysuwałam swe wątpli-

wości.

- Wtedy pewnie i ja będę przeniesiony, czyli też cała rodzina.-

- Może i tak...W każdym razie tu mówią o żniwach, to znaczy, że będzie bliższy dostęp do zboża. W mieście głód jest zupełnie beznadziejny... Chyba jednak na wsi bezpieczniej...-

- Wiem, że sprawa jest przesądzona, tylko, że i tutaj ludzie nie wyglądają na sytych, czy dokarmionych. Chociażby same dzieci: krzywicze, często zakaprawione, owrzodzone, wybie-
dzone takie...-

Nagle w naszą rozmowę wdarł się krzyk, toteż poderwałam się z ziemi na równe / wciąż jeszcze, niestety, zbyt-grube!/ nogi.

W pobliżu jedyne, długiego stołu i przysuniętej do niego, długiej ławy, stanowiących szczyt, jedyne zresztą, luksusowego umeblowania sali, szamotali się dwaj bracia. Krzyk podniosła matka:

- Przestańcie! Przestańcie, batiary jedne! Czy wy podurnieli?- i złapawszy tę niby-miotkę piołunową, trzepnęła jednego i drugiego, choć ją przewyższali dobrze o głowę.- Przestańcie, do jasnej, ciasnej!- Zdołała ich rozdzielić, a Bolek odepchnął Józka z całej siły, aż ten zatoczył się do tyłu.

- A, to ci awantura arabska!- piskliwie zawołał Kazio Dudek, zachwycony, że się wreszcie coś ciekawego dzieje i zacierał ręce z widocznego ukontentowania.

- Ja ci jeszcze pokażę! Ty, ty, tysmarkaczu!- wrzasnął Józko do brata/ młodszego o dwa lata/ i z całej siły rzucił w niego matczynym czajnikiem, stojącym na stole.

-Ta, joj!- Bolek złapał się za czoło, z narastającym guzem, od razu wielkości i koloru śliwki.

-Ty draniu! Ty, batiaru! Mój czajnik! Rozwalił mi mój czajnik!- desperowała matka obu bohaterów bratobójczej walki, nie pomna ich ran poniesionych, z ubolewaniem oglądając dość spore wgłębienie, wgniecione w aluminiowym ~~czajniku~~, dużym imbryku.

- Ta, nic mu nie będzie! niech pani patrzy: jest "całościowo" zrobiony! Nie puścił w szwach! Dobry czajnik!-uspokajała ją pani Kierepkowa.

- Moje czoło! Moje czoło!...- westchnął Bolek.

- Matyldziu! Zmocz koniec ręcznika, niech sobie przyłoży!- pani Kierepkowa nie traciła głowy i zwróciła się do córki, śpieżącej zobaczyć sensację. - A, o co im poszło?- nie wytrzymała.

- Ta, pokłócili się o ten Urdzar! A ja i tak się stąd nie ruszam, chyba, żeby znów na siłę brali...Durnie jedne!..- irytowała się matka.

- Ta, to tak już jest. Nie ma jedzenia, nie mają co robić, to i "duryca ich się czepia", jak to u nas mówią...-

- Całe szczęście, że choć czajnik był pusty!- zauważyła pani Kurylukowa, przechodząc do kuchni.

- Ta, właśnie! Ty lepiej, Jóźku, przynieś wody w tym czajniku! A, gdzie on się podział?..-

- Wyleciał! Wyleciał na dwór, jak durny!-

- I co ja z tymi batiarami mam? Przydała by się tu ojcowska ręka! Oj, przydała!...- rozżaliła się kobiecina nad tą swoją dolą, znękana bitwą rodzinną " na miotłę i czajnik".

Pierwsze wiadomości

Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażenia po odjeździe współmieszkańców do Urdzaru, ledwie ci bardziej zaradni, ze środka sali przesunęli się pod ścianę na miejsce Kuryluków, a inni z ulgą rozprzestrzenili na miejsca zwolnione na środku, gdy już chłopcy: Bokociaki z Kaziem Dudkiem, wpadli na salę z największą z dotychczasowych sensacji:

- Byliśmy na poczcie! Naczelnik odbiera telegramy! Ze Lwowa!..-

- Depeszuje Alma Ata! Przekazuje te telegramy ze Lwowa!-

- Depesze ze Lwowa! Do nas! Do naszych!-

- Są odpowiedzi na nasze telegramy do Lwowa!...-wieść powtarzano sobie z ust do ust, w sali, na scenie, w kuchni.

Kto żyw, zrywał się z ziemi i wszyscy wybiegali na pocztę. Panie w kuchni poodsuwały każda swój garnek na gliniasto-ceglany brzeg, blacha została pusta.

- Żeby tylko ogień nie wygasł, bo tak strasznie ciężko się rozpala- martwiła się pani Aniela Białkowska, wychodząc ostatnia.

- Ja dopilnuję- ofiarowała się Mama- Do nas nic nie może być na tej poczcie...Nie pisaliśmy do nikogo, nikt nie ma naszego adresu...Nie wiedzą może, czy jeszcze żyjemy...- rozżaliła się, ale już wszystkie panie poleciały.

- Polecę też, zobaczę. Dobrze?- gorączkowałam się.

- Idź, idź! Ja tu tymczasem ugotuję mleko. Kuchnia wolna i blacha gorąca! Mam parę ziemniaków i pożyczyłam garnek! Ugotuję zupę!- cieszyła się z tak niezwyklej sytuacji w kuchni, zawsze przepełnionej

W całym klubie, oprócz Mamy, została tylko babcia na matrecach, płacząca od duszącego ją kaszlu, ale uciekłam, rozgrzeszając się, że przeceiż i tak nic nie poradzę na to.

Tymczasem z poczty już Misza-listonosz wypraszał cały tłum, bo mimo uciszających szeptów uniemożliwiano pracę naczelnikowi poczty, "długiemu Mielnikowowi", zwanemu tak w odróżnieniu od kierownika sklepu, "grubego Mielnikowa"

Przeją budynkiem jednak panował rejwach nie z tej ziemi. Już sami

Polacy wystarczali aż nadto, do czynienia zamieszania, ale oczywiście dołączyła się jeszcze grupa tubylców, zwabiona niesamowitym podnieceniem i chmara dzieciaków wszech nacji, toteż zgłęb powstawał co raz większy.

- Ciszej! Ciszej! Ciszej, mówię!- darł się Misza, gdy po chwili nieobecności zjawił się znów na progu.

- Słuchajcie! Słuchajcie!...-

- Cicho, do jasnej, ciasnej!-

- On już coś ma! Niech przeczyta!-

- Dajcie posłuchać!-

Misza, wymachując kartką papieru, wreszcie zdołał doczekać się jako tako przytłumienia szumu.

- Familia Bader! Jest?-

- Tak, tak!- skwapliwie wołano.

- A więc słuchajcie: " Pieniądze, list i paczka wysłane. Piszcie! Bądźcie zdrowi!" i jakiś tam podpis..."-

Pani Baderowa wyciągnęła rękę ponad czyimiś głowami.

- Następna!- zawołał młody chłopak, wychylając się z poczty i podała kartkę listonoszowi.- Będą jeszcze inne- dorzucił.

- Familia Fiszer! Jest?-

- Jest, jest! Marylka przeciskała się przez tłum.

- Dla was pieniądze będą dzisiaj, Telegraficznie. Jak naczelnik skończy odbierać z Alma Aty...- O, jeszcze: Bronisława Stanik!- sylabizował listonosz.

- Stanek! Stanek! - wciąła pani Bronia, wśród ogólnej wesołości.

- A, niech to kaczka kopnie: tak przekręcać nazwisko!...-

- Następna!...- i tak dalej, i tak dalej.

Obdarowani czekali na wypłatę, inni już mieli nadzieję, że i do nich coś dotrze, opowiadali sobie, czego i od kogo mogą się spodziewać i ożywieniu i rozmowom nie było końca.

-A nie mówiłam?- pani Zofia promieniała radością ze spełnienia tytułu pomyślnych wróżb.

Niestety przyszła również depesza ze złą wiadomością. Zmarł ojciec rodzeństwa Dudków, których zabrano od łoża konającego. Nie przeżył tego dnia. Dwoje starszych zdawało sobie sprawę z beznadziejnego stanu chorego, ale fakt był bardzo bolesny. Tyle tylko, że z tego względu pozostawiono przy nim ich matkę, figurującą na liście do wywiezienia.

Biedny Kazio pogonił gdzieś na górkę, poza "gliniane dołki" skąd wykopano glinę na cegły. Służyły teraz za "ustronne miejsce" dla osiedla, pozbawionego wygodki, o której pogłębienie, czy przeniesienie nie można się było doprosić, aninie było czym samodzielnie

wykonać bez łopat i narzędzi.

- Teraz już chyba można by napisać do Lwowa, do rodziny?- zastanawiała się Ciocia Iza. - Albo do Dzidki i Leona, przecież nie są we Lwowie, tylko w Grzymałowie...-

- Nie! Nie do Dzidki, bo przecież o nią pytali, jak nas zabierali z domu- zastrzegła Mama.

- To chyba już lepiej na Sieniawską: Babcia starszka po osiemdziesiątce, to chyba raczej już nie siła robocza, więc nie wywożą. A Julia da sobie z nimi radę, jako Ukrainka...- rozważał Ojciec.

- Chyba trzeba napisać, bo tu poginiemy... Już niebardzo jest co wymieniać, czy sprzedawać... Nie ma za co żyć... Ludzie piszą, że wysyłają paczki. Żeby tak nam przysłali: naczynie i wiadro na wodę i odzież się nam kończy... Żeby tak cukier, mąkę, kasze, różne mogą być kasze...- rozmarzyła się Mama. Biedna...

- I mydło! Koniecznie mydło! dużo mydła!- rozпалиła się Ciocia.

- A jak będą listy pisać, to mogą do każdego włożyć jedną fotografię...- bujała i ja w obłokach, pogrążona w stałej tęsknocie.

- Dobrze. Napiszemy. Trzeba kupić na poczcie korespondentki. Póki są, bo jak się wszyscy rzucą teraz do pisania, to może zabraknąć- Ciocia nabrała zapału do czynu i pomyślała, jak zwykle, praktycznie.

- Wiesz co- Mama zwróciła się do Tata- Może by lepiej telegrafować? Ludzie wysyłali telegramy i już dostali telegraficznie pieniądze. A nam się już wszystko kończy! Te nasze tobołki były takie małe!... To przeze mnie! Tak głowę straciłam i nie chciałam nic brać, bo myślałam, że nie przeżyjemy, nie wierzyłam, że to się da przeżyć...- znów zaczęła rozpaczać.

- Najlepiej Tato napisze depezę, a ja więcej napiszę na kartce!- włączyłam się- Polecę po te pocztówki- rwałam się do akcji.

- A, to dobrze. Na, masz tu rubla i kup mi cztery!-poprosiła Ciocia- Kupię i nam, mam te pieniądze, cobyły na chleb, bo chleba nie było-

I zaczęła się szczęśliwa era korespondencji. Częste pisywanie i długie, dwumiesięczne oczekiwanie na odpowiedzi, bo z wyjątkiem okresu zimowego list szedł miesiąc w jedną stronę. Były radości z otrzymywanych listów, czasem zmartwienia napływającymi wiadomościami, ale zawsze wzrastające poczucie wspólnoty i przynależności do tych, którzy pozostali i za którymi tęsknota była dojmującym cierpieniem.

Czekało się przez te przeciętnie dwa miesiące na każdą odpowiedź, ale już ta sama choćby możliwość czekania dawała nam nadzieję, a nawiązanie kontaktu z rodziną, z przyjaciółmi, było niemal że błogosławieństwem dla nas, rzuconych na takie dalekie odludzie, gdzie otoczenie składało się głównie z obcych, o ile nie wrogów, albo z takich samych skazańców, jak my, zesłanych na okrutną walkę o byt, w której już można było napotkać różne postawy życiowe.

Kto nie był aż tak daleko od Kraju i to aż w takiej nędzy, ten nie może sobie w ogóle wyobrazić, ile radości sprawiał każdy list, każdy najmniejszy nawet dowód pamięci, objaw gotowości niesienia dobrego słowa. To było nasze podtrzymanie na duchu, a to znaczyło tak bardzo wiele, nieraz bywało ratunkiem przed zwątpieniem, przed załamaniem. Tak się tęskniło do życia tamtego, do tamtych kontaktów, może nie mniej, niż do tej materialnej pomocy, na którą liczyło się właściwie tylko od rodziny, bo wszyscy tam mieli swoich bliskich, którym czuli się zobowiązani pomagać, ratować.

Nawiązywały się tu, na zesłaniu, nowe nasze kontakty i przyjaźnie, wśród ludzi skazanych na podobne bytowanie, ale tamte, dawne, pozostawały stale bliskie naszym sercom. Z tamtymi ludźmi znało się latami...

Napisałam do swojej klasy w liceum pedagogicznym, adresując na klasę, zespołowo, na wszelki wypadek, aby nikogo nie narażać. W niecierpliwości oczekiwałam odpowiedzi.

Wyprawa do Nowotrojska

Wypłacono Ojcu za pracę. Niewiele to tam tego było, ale było! Postanowił wykorzystać wolny dzień i wybrać się z nami do kołchozu. Ciocia Iza nie czuła się na siłach towarzyszenia nam, zresztą była dużo starsza od Tata.

- Zostanę, idźcie beze mnie tym razem. Postaram się tę resztkę jagieł ugotować na wieczór, to już będzie, jak wrócicie.- powiedziała.

- Może uda ci się wcześniej wcisnąć do kuchni, to już je zjedz, bo my tam przecież coś zdobędziemy- doradziła Mama.

Zabraliśmy oba plecaki, po jednej koszuli damskiej od każdej z nas trzech, do sprzedania, torbę na zskupy i woreczki szmaciane na żywność. I jeszcze ten jedyny słoik, półtorakwaterkowy, w którym mieliśmy tartą różę, wykończoną jeszcze w wagonie.

Zerwaliśmy się jeszcze przed brzaskiem, aby możliwie jak najwcześniej dotrzeć do miejsca przeznaczenia, bo to był dzień wolny od pracy "dekadówka", gdyż wtedy jeszcze co dziesiąty dzień był dniem wypoczynku, a dopiero później zmieniono ten system na tygodniowy, z przywróceniem wolnej niedzieli. Spodziewaliśmy się, że kołchoz może być liczniej odwiedzany, niż we dni robocze, ale Tato nie miał wyboru. Poza tym chcieliśmy uniknąć upału.

Droga wiodła nieomylnie za traktornym parkiem, widać że uczęszczana droga przez rozległy step.

- Jaki ten step dziwny! Trawka na nim ledwie byle jaka i rzadziej sienka, a te zdrewniałe krzaczki karagaju, o takich złośliwych kolcach, szpilkowatych i zadziornych, zdają się bronić tej nędznej trawki i tej ziemi... Myślałam, że step, to musi być obszar gęstej,

i bujnej trawy, w której jeździec na koniu jest niewidoczny.- dumalam głośno, jeszcze pełna energii i sił: bez obciążenia.

- Jak u Sienkiewicza w "Ogniem i mieczem"?- śmiał się Tato- ale tutaj to nie są stepy naddnieprzańskie...-

- Szkoda, byłoby bliżej..-

- A co to tam jest? Popatrzcie!- Mama wskazywała coś na lewo od drogi.

-Ach, to tutaj! Wiem!...- oznajmił Ojciec- Słyszałem- to jset ta spalona wieś. O, widzicie? Resztki wypalonych murów tych lepianek.-

- A, tak, nawet widać, sterczą opalone kominy!.-

- Aha, te czarne. I dalej też widać jakieś resztki lepianek...-

- Co się tu działo? Zaraza jakaś? To chyba nie mogło bardzo dawno być, bo te wysuszone na słońcu i niewypylane cegły już by się rozmyły na deszczach. W Tas Bułaku są stare lepianki, które aż przysiadają na ziemi, od deszczu, śniegu i mrozu. Gdyby te były palone podczas rewolucji, to już by z nich i śladu nie było...-

- Nie! To w trzydziestym szóstym roku był bunt na Ukrainie. Wtedy mnóstwo ludzi wywieziono stamtąd na Sybir i tu, do Kazachstanu.-

- A, to o tym mi ta babuszka opowiadała, zanim jej sym przyszedł- Mama aż wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

- A nieurodzaj był wtedy i tam i tutaj, gdzie liczy się na drugi spichlerz. I te bunty przeniosły się także i w te rejony. Tamteb chutor został spalony karnie, właśnie za bunt...-

- A ludzie? Co się stało z ludźmi?-

- Aresztowania, wyroki, stłumienie buntu..-

- Ludzie tutejsi pamiętają to jeszcze, ale wolą nie mówić- dodała Mama.

- To jest totalizm. Coś się chyba uczyłaś już o tym?-

- Tak, wiem... To wszystko straszne...-powiedziałam i zamyśliłam się nad losem nietylko tych ludzi...

Parę godzin szliśmy tą polną, a raczej stepową drogą. Bezchmurne niebo tworzyło wielką, okrągłą, kopułę, a horyzont dokoła zataczał rozległy, równy okrąg. Niczym na płaskim talerzu, pod olbrzymim klebszem. Tylko daleko, na prawym skrawku północy wznosił się siny, groźny masyw oddalonych gór.

Potem droga skręciła nieco w prawo i nagle stanęliśmy na skraju przemierzonej równiny, która bardzo stromo schodziła długą, kamiennistą drożyną między ostrymi skałami dość daleko w dół. U podnóża rozciągało się obszerne, zielone pole, dalej, za tym polem ciągnęła się długim pasmem wpoprzek naszej drogi wieś, skupiakąca się dość blisko szarej drogi.

- Oto już widać ten Nowotrojsk!- usłyszałam.

- Drzewa!- zobaczyłam-Patrzcie, drzewa! Prawdziwe drzewa!- nie

mogłam się dość nacieszyć- "U nas w Tas Bułaku" nigdzie nie ma ani złamanego drzewka!...-tłumaczyłam się z tego wybuchu.

- Jeszcze spory kawał drogi- rozważała Mama.

- Conajmniej ze dwa kilometry do tych pierwszych chałup- oceniał Ojciec.

- Tu trzeba bardzo uważać, bo stromo. Może ja pójdę pierwsza?-

- Tak, idź, ale patrz pod nogi!-

- O, tędy, Mamo, tu na ten kamień, a tam się żwir osypuje i jest strasznie ślisko...-

I tak schodziliśmy uważnie, ale chyba nam urosły skrzydła, od nadziei zdobycia żywności.

- Ach, coś się przecież zje!- nie mogłam się powstrzymać.

- Chodźmy najlepiej do Bułgarów- radził Ojciec-Słyszałem, że mają jarzyny-

- I pieką chleb! Widziałam: biały chleb, już nasze panie przynosiły- entuzjasmowała się Mama.

Doszliśmy wreszcie do pierwszych chat i lepianek. Gdzieś tam już nas zatrzymywano i proszono do domów, ale z kupowaniem za pieniądze było bardzo ciężko.

- Zaczniemy od tamtego, najdalszego końca- zdecydował Tato- To tam są Bułgarzy.

Bułgarskie chaty, chociaż także budowane z niewypalanej gliny, sprawiały znacznie lepsze wrażenie. Dachy były porządniejsze, często obite deskami, nie z samych tylko gałęzi i słomy, jak u Kazachów. Podwórka mniej zaśmiecone, tu i ówdzie nawet rosły jakieś kwiatki.

Wnętrza lepianek kazachskich wyglądały podobnie, jak u tej znajomej bajbiszy z tym strasznym psiskiem. Różniły się między sobą najwyżej ilością legowisk do spania, ilością czarek drewnianych, rzadziej fajansowych i drewnianych łyżek o kształcie chochelek, czasem o parę żelaźniaków. Do wielkiej rzadkości należał czarny, żelazny imbryk, zaś samowary spotykało się u Rosjan i Ukraińców. W niektórych chatach Kazachowie mieli po jednym, rzadziej po parę gwoździ wbitych w futrynę drzwi, gdzie wisiała jakaś kufajka, jeśli nie pełniła funkcji okrycia, bo wtedy leżała na legowisku. Kazachskie lepianki najczęściej bywały jednoizbowe, rzadko ~~były~~ oddzielano je od jakiejś małej sionki wejściowej.

Bułgarzy prawie wszyscy budowali w swych domach małe sionki, lub półsionki, oddzielone od właściwej izby mieszkalnej. Wnętrze takiej izby mieszkalnej składało się wszędzie u Bułgarów z dwóch części. Ta pierwsza, bliższa wejścia, albo drzwi, jeśli były, miała normalną tutaj wszędzie, glinianą polepę, ale znacznie gładszą, porządniejszą i z zasady zamiecioną, nie zaśmieconą.

To tu była kuchnia, z blaszaną płytą i z fajerkami, do których

wpuszczano żelazne czeguny, a nawet często imbryk. W tej części stał też stół, niski, jak u Kazachów, a czasami wysoki, jak u Rosjan, a wtedy były tam też jakieś stołki do siedzenia. W kącie wiadra.

Druga część izby miała całą podłogę podwyższoną o jakieś trzydzieści do czterdziestu centymetrów, na całej przestrzeni, przy ścianie równoległej do drzwi i przylegała do dwóch ścian po obu bokach. Była cała zasłana kołdrami, wykonanymi ze skrawków materiałów, lub jednolitymi, przypominającymi pikowane kufajki. To było legowisko dla całej rodziny. Po nim nawet dzieci nie wchodziły w obuwie. Na skraju można było siedzieć wygodnie, z nogami opuszczonymi na podłogę. To już był niemal komfort, w porównaniu z wnętrzami lepianek Kazachów i zastanawiałam się, dlaczego tego nie naśladowali. Bułgarzy także nie posiadali szaf, ale prawie wszędzie widziało się duży kufer lub mniejszy "czamadańczyk" i wyposażenie w sprzęt codziennego użytku różniło się nieco lepszym standartem.

Zasadnicza zaś różnica w życiu Bułgarów polegała na ich umiejętnościach ogrodniczych. Uprawiali swe działki; na nich sadzili: marchew, cebulę, kapustę, dynię, groch, pomidory, oprócz ziemniaków, na których Kazachowie poprzestawali, nie trudniąc się innymi uprawami. Daremnie dopytywaliśmy się o pietruszkę, seler, porę, kalarepy, czy kalafiory- tego tam nie było, bo się nie udawało ich uprawiać, choć Bułgarzy znali też i te jarzyny, w każdym razie ci starsi, jeszcze ze swej ojczyzny. Pszenicę i proso siali zarówno Bułgarzy, jak i Kazachowie.

U Bułgarów też można było zobaczyć ule i Mama już wiedziała o tym od pań, które kupiły tam miód, toteż dlatego przezornie wzięliśmy ze sobą ten słoik, z wielką radością napełniony tam miodem. Był wspaniały, nadzwyczaj aromatyczny, zebrany na stepowych ziołach, a z wyglądu przypominał biały, niecałkiem jeszcze zastygnięty, świeży, wierzowy smalec. Stanowił prawdziwy luksus, zwłaszcza wobec braku cukru, którego nie dowożono wcale, więc po prostu nie było. W końcu można żyć bez cukru, choć wtedy nie żyje się słodko.

W którejś z najdalszych bułgarskich chałup dokonałiśmy wymiany naszych koszul za parę miseczek mąki i za miód. Po drodze udało się kupić ziemniaki i czarkę jagły. Na koniec Ojciec pokazał, że zostało dziesięć rubli.

Właśnie wtedy wyszła z jakiejś chaty Bułgarka i zaproponowała nam chleb. Biały chleb, własnego wypieku, na kwasie. Śliczny, pachnący, wyrośnięty i świeży! Po pięć rubli za bocheneczek. W tej samej chwili Ojciec zobaczył wielkie liście, suszące się na płocie ogrodzenia.

- Tytoń?- zdziwił się.

- "Da, da! Tabak!"- potwierdziła.

Zaskoczona patrzyłam na oboje Rodziców. Czyżby poświęcili resztę

pieniędzy na tytoń? Kosztem chleba? Niemożliwe!...Czekałam niecierpliwie, być może z inteligentnie rozdziawionymi ustami, z przejęcia, ale aż drżałam do tego widoku i zapachu chleba. Nie zabierałam jednak głosu.

- Za pięć rubli chleb i za pięć tytoń!- zdecydowała Mama, a ja nie śmiałam już nic powiedzieć, ale aż zatkało mnie ze zdziwienia, że Mama tak szybciusieńko sama podjęła decyzję i tak kategorycznie ogłosiła wyrok. I to zupełnie wbrew moim przewidywaniom: taki!

- No, cóż- dodała- są ziemniaki, troszkę mąki, kaszy, nawet miód, to jedzenia mamy dość. Jeszcze i ten chlebek...- westchnęła.

- Ale co to dla mężczyzny takie nasze małe porcje? Przynajmniej czasem zapali sobie i zaćmi jakoś ten głód...- wyjaśniła, gdy Tato poszedł za gospodynią po te tytońowe liście.

Byłam pełna podziwu. Mama!... Przecież od samego opuszczenia domu, nawet wcześniej jeszcze, od dnia rozprawy Wandy, gdy nie było kiedy zjeść cokolwiek, stale była rozpaczliwie głodna. Jeszcze się wprawdzie jadało co dzień, czasem aż dwa razy nawet, ale co to było za jedzenie! I jakie śmiesznie małe ilości!...Już sama ta cała podróż przecież tak nas strasznie wygłodziła i osłabiła, a i później nie mieliśmy żadnych możliwości, czy sposobu, aby wzmocnić te nadwątłone siły. Niestety, wręcz przeciwnie!...A tu reszta pieniędzy: pół na pół -chleb i tytoń... Ileż wyrozumiałości i poświęcenia zawierała ta mamina decyzja.

Droga powrotna była strasznie ciężka. Szliśmy wolnym, lecz równym krokiem, aby tracić jak najmniej sił. Ojciec wziął na siebie największe ciężary, Mamie i mnie pozwolił nieść nie więcej, jak po wiaderku ziemniaków, co obliczano, jako pół puda, czyli osiem kilogramów. Byliśmy po posiłku: mleko oraz "lepioszki", czyli placki z mąki i wody, pieczone na płycie kuchennej. A jednak dźwiganie okazało się okropnie uciążliwe. Jeszcze, póki szło się kotlinką, można było wytrzymać, ale potem...

Zrozumiałam, dlaczego nasze panie, jako poprzedniczki na tym szlaku, nazwały tę kamienistą drogę pod górę "istną Golgotą", co niedawno uważałam za niemal bluźnierstwo. Kręta ścieżka wiła się zakosami czasem po ostrych głazach, raniących nogi, czasem po pokruszonych warstwach żwiru, na których ślizgały się nogi tak, że nadzwyczaj trudno utrzymywało się równowagę. Żebyż chociaż nie było aż tak sfrasznie stromo!

- W tych mesztach na słupkowym obcasie tak się szło w dół, jak na palcach... Myślałam sobie, że pod górę to już będzie wygodniej, a tu aż tak ślisko...- żaliła się Mama, za którą szłam, gotowa ubezpieczać.

- Ten odcinek najgorszy. Dalej już nie będzie tak źle... Tylko

pod tę górę tak trudno...- Tato dodawał nam otuchy.

Ciężar plecaka zdawał się przełamywać mnie w pół, nogi plątały się w usiłowaniach, aby nie donuścić do obsunięcia się do tyłu, w dół. Równocześnie ból głowy narastał, choć miałam wrażenie, że już osiągnąłem swe szczyty. Miałam uczucie, że cały ten olbrzymi ciężar zwalił mi się na głowę i gniecie ją niemożliwą, żelazną obręczą. W oczach latały mi jasne płatki, ciało ogarniała omdlewająca słabość. Bałam się, że się nie dowlokę do szczytu góry. Z przerażeniem zastanawiałam się, jak Mama zdoła iść dalej. Zrezygnowaliśmy z odpoczynku na tej stromizmie, chcieliśmy ją mieć jak najprędzej już poza sobą. Kosztowała nas tyle wysiłku? Wreszcie zdobyliśmy ten upragniony szczyt! Zrzucili ciężary z ramion i usiedli, by odpocząć i nabrać sił.

- Uf! Najgorsze za nami- Tato nadrabiał miną.

- Jeszcze pewnie ze dwadzieścia dwa kilometry...-myślałam ogłupiała z wysiłku- Jak damy radę?...

- Jeszcze trochę posiedźmy...- usłyszałam szept Mamy.

- Jak tamte panie chodziły?- zastanawiałam się- No, mówiły, że to tak ciężko... Tylko, że one nie są aż tak wygłodzone aż do tyłu tygodni, może nie są aż takie słabe. Mają te swoje rzeczy do wymiany, a to jest ten ratunek, nam pozostaje konieczność większego ograniczenia się i trzymania w garści... Muszę! Muszę wytrwać. Muszę.-

- Już nasza depesza musiała dojść do Lwowa...- przypomniał Ojciec- Pewnie też będą wysyłać paczki...-

-Tak! Już wiele osób ma wiadomości, że paczki wysłane- podchwyciłam.

- Jak Bozia da doczekać... Tyle się tam zostawiło...- westchnęła Mama.

Trzeba było wyruszyć i dźwigać to brzemię, z którym dowlókłszy się do Sigizbaju, padliśmy, niesamowicie utrudzeni, na swe legowiska, gdzie już Ciocia sama podała nam mleko i pokroiła przepyszny nowotrojski chlebek.

I tę i wszystkie następne wyprawy Mama odchorowywała: bóle w krzyżach i rwa kulszowa, na którą, pamiętam, chorowała jeszcze w czasach mojego wczesnego dzieciństwa, na co dopiero w Topolnicy na wakacjach, jakiś niepozorny doktor dał Mamie wspaniałą receptę. To musiał być rok 1928... zamierzchła, niepowtarzalna epoka...

Co do mnie, zawsze płaciłam za wyprawy do Nowotrojska krwotokami, co także w tych nowych warunkach było prawdziwym nieszczęściem...

A mimo wszystko możliwość zdobywania żywności w tym kołchozie był ratunkiem dla nas, zesłańców, bez czego trudno sobie wyobra-

zić, czy przeżycie tego okresu byłoby tam wogóle możliwe.

Najgorszą ze wszystkich dla moich Rodziców była któraś z następnych wypraw, w której nie uczestniczyłam, zabrana już do roboty przy sianokosach, od czego nie było odwołania. W drodze Mamie ośłamała się całkowicie jeden siupkowy obcas, gdy już wracali, pod górę i od połowy tej kamienistej ścieżki, a potem przez wszystkie kilometry stepu musiała kuśtykać w obuwiu na dość wysokim słupku u meszta jednego, u drugiego bez obcasa. Zdecydowała się w końcu na złamanie tego drugiego, ale nie dali rady, choć próbowali oboje. Na tej trasie ponad dwudziesto kilometrowej i z ciężarem na plecach było to tak uciążliwe, że wróciła z tej wyprawy nieprzytomnie splekana.

Sianokosy

Rozpoczęła się prawdziwa batalia werbunkowa nas, czyli "darmozjadów" do roboty. Zbliżały się sianokosy i wreszcie chcieli mieć z nas siłę roboczą.

"Nada rabotat! Dawaj. sobierajsia! Dawaj, wychadi! Dawaj, wstawaj! Dawaj skorej!"- urządzano nam co dzień pobudkę dobrze przed brzaskiem.

- Niczego nie dam i nigdzie nie wychodzę!- odpowiedział kiedyś na to jakiś zirytowany głos.

- To po co wy nam tutaj? Pociście przyjechali?- złościł się któryś z władców.- Na co wy nam, skoro nie pracujecie?, na co?- grzmiał

- A, to nas odeślijcie! Bardzo słusznie! My się zupełnie zgadzamy! My się tu nie prosili! My chcemy wracać!- zakrzyczano go ze wszystkich stron.

- Wracać? "Kuda?" A pracować to nie? Darmo nasz chleb wyjadać? Burzuje!..-

- My darmo? Płacimy za każdy kęs!-

- My nie potrzebujemy waszego! Mieliśmy swój własny! Zapracowany u nas!-

- Darmo to wy nam odebrali nasze domy, wszystko, co musieliśmy zostawić!...- sypało się zewsząd.

Małe dzieci, rozbudzone tak bardzo przedwcześnie, zaczęły płakać, ich matki tręciły głowy, niektóre zwymyślały natrętów, ruch zrobił się niesłychany.

- My wystosujemy raport na was, że odmawiacie pomocy przy sianokosach!- zagroził Kazach.

- A my wystosujemy petycję do samego waszego Stalina, że nas bezprawnie zabrano tu, na tę całą "zsyłkę", a wy jeszcze nas tutaj

gnębiecie!-

- I nasze dzieci! Co wam dzieci winne?-

- A piszcie, piszcie!-

- No, do roboty! Nie idziecie?-

- Niby kto? Matki z maluchami? Czy te staruchy?...-

- A młodzież? Młodzież musi pracować! "Kto nie robotaje, ten nie kuszaje", nie wiecie?-

- A kto nie je, ten nie ma siły do roboty! -

- Dajcie jeść, to pójdziemy!..-

I ta pierwsza awantura stała się precedensem i powtarzała się każdego dnia przed świtem.

Ostatecznie pewnego dnia przyszli prosić, że to i zapłata będzie i wyżywienie jest na sianokosach, bo każda brygada robocza ma tam na miejscu stołówkę, w stepie, że każdy człowiek musi pracować, a im już wiadomo, że my mamy pobyt u nich na pięć lat, więc nie ma co liczyć na sprzedawanie swoich rzeczy, bo na długo to nie wystarczy...

- Ludzie! Nie damy się!- padło hasło.

- Przyjdą paczki, będą pieniądze, rodziny nas nie opuszczą!-

- Będą nas ratować! Nie dadzą zginąć! Przeżyjemy!...-

- Popatrzcie na nich samych: ile mają za tę swoją pracę? To nędzarze! Gdyby im płacono, nie żyliby aż w takiej nędzy!-

- Mówili nam ci z pierwszej fermy, że tak im obliczano zarobki, że do tych sianokosów musieli dopłacić, niby za stołówkę! Jeszcze grozili sądem i więzieniem!.-

- Sami widzicie, czego oni się dorobili na tej swojej pracy! A nam wyliczają zarobki jeszcze mniej. Widzicie, co mają w chałupach, w czym chodzą i co jedzą! Za co więc mamy harować i niszczyć tę swoją odzież, która jeszcze nas przyodziewa, a może też wykarmić!-

- Nie idziemy! Nie mogą nas zmusić!-

- Oj, mogą, mogą! Wszystko mogą... Nie zapominajcie, że jeszcze są lagry i więziona, a my jakoś jeszcze jesteśmy na tej "wolnej zsyłce" Chcecie iść do więzienia, czy do lagru? - ktoś usiłował zreflektować zatrzęcionych.

- A, to tam przynajmniej muszą karmić: raz na dobę, ale muszą!-

- Dziękuję uprzejmie!-

- Karmić? Jak nas w transporcie...-

- Ale! Stęchła kasza ze śmierdzącym olejem! I najwyżej wystygły ten "ichni kipiatak"!-

- Czy to wpgóle można nazwać jedzeniem, takie paskudztwo?...-

- Ale się jadło! Ale było! A tu ci nie dają nic! Całkiem nic!-

I znowu dyskusjom nie było końca.

Po paru takich pobudkach Ciocia Iza zwróciła się do Rodziców:

- A mnie się wydaje, że Ala mogłaby pójść...-

---Ta gdzie?!- oburzyła się Mama.

niz

- A do roboty. Na te sianokosy. Przecieżnie ma tu co jeść. Nie ma pieniędzy, trzeba zarobić. Co jeszcze można sprzedać? Musi się zostawić tę resztę rzeczy, do przebrania! Adam sam nie zarobi na całą rodzinę, sami widzicie, ile dostał tej pensji i ile co kosztuje! Trudno. Nie widzę innego wyjścia. Przecież mówią, że tam za robotę płacą i na miejscu jest stołówka, to już można się przeżyć. I sama zje tam i tu będzie lżej...- wyrzucała z siebie wszystkie najdoczniej przemyślane i nagromadzone argumenty.

- E, tam! Przecież słyszałaś, że na pierwszej fermie zaciąnęli pod przymusem kilkoro naszych i nic im nie wypłacili, a wręcz przeciwnie, kazali dopłacać niby za tę zupełną dziennie, na którą nie zarobili. Oszustwo i koniec. Czysty wyzysk. Zresztą nikt nie idzie.-

- Nigdzie nie pójdzie- poparła Mama- widzisz, jaka słaba...-

- Zawsze coś tam by zarobiła, to by i zjadła...-

- Nie ma o czym mówić- kontynuował Tato- Zarobić nie dadzą, słyszałaś, wczoraj słyszałaś wprost od tych, których już tak nabrano...-

- Przesada!- nie dowierzała Ciocia.

- Do reszty się wykończy... I tak jak to choruje po każdym tym Nowotrojsku...- rozczuliła się Mama nade mną.

- Przesada...-

-Ubrania poniszczyli, buty podarli, a tego się tu nie kupi!- Tata nie rezygnował z wyjaśnień.

- Przesada... Gdybym to ja miała osiemnaście lat, to bym się nie ociągała. Poszłabym do każdej roboty: żadna nie hańbi...-

- A, to możesz iść. A nie myśl, że dadzą ci coś zarobić! To co za sens? Chcą mieć darmową siłę roboczą i tyle!- wybuchł Ojciec.

- Wysługiwać się za darmo?- dorzuciła Mama.

Wzajemne niezrozumienie narastało. Wszyscy głodni, niewyspani, zdenerwowani, obolałe kości też dawały się we znaki i rozdrażnienie utrudniało jakieś dojskie do ładu. Nad rodziną zawisła chmura gradowa.

Do burzy zaś doprowadziła rozpaczliwa decyzja Cioci. Zgłosiła się na ochotnika na udział w sianokosach. Nie musiała, bo chronił ją wiek: powyżej pięćdziesięciu pięciu lat! Umówiła się z Hedwigą Dreifur.

- Jak możesz?- oburzył się Tato na starszą siostrę.

- Trudno... Jeśli młodym się nie śpieszy... Aby choć zarobić bieżąco na ten chleb, to już warto...- upierała się.

- Jak możesz? Czy ci nie wstyd? Wyrwać się na ochotnika i wysługiwać za poniewierkę? Widzisz, że nikt nie idzie! Nikt tego nie robi-

-Oni jeszcze mają co jeść! Jak im się skończy, sami będą prosić

o byle jaką pracę za kawałek chleba...-

- Przecież dzielimy się z tobą ze wszystkim...-Mama chciała Ciocię powstrzymać, ale ta poczuła się urażona:

- Nie musicie. Zarobię sobie sama. Panna Hadwiga też idzie do tej pracy i korona jej z głowy nie spadnie!.- ucięła Ciocia i poszła. Nie dała się przekonać.

Strasznie było mi głupio i przykro, że to przeze mnie! Byłam jednak naprawdę chora przez to podźwiganie się i miałam żal do Cioci, że nie przyjmuje do wiadomości, chociaż Mama powiedziała, o co chodzi, aczkolwiek o takich sprawach nie mówiło się, bo to nie wypadało. Poza tym, z drugiej strony wiedziałam, że biedna Ciocia Iza znalazła się wogóle tutaj z naszego powodu, bo dopisano Ją do naszej listy dopiero przy nas, gdy nas zabierano. Widocznie nie była przewidziana do wywiezienia na to zesłanie /za aresztowaną bratanicę!/, ale pecha miała, że zamieszkała z nami i że, jako niezamężna, miała to samo nazwisko, co mój Ojciec. To wystarczyło. Oprócz tego dozorczeni kamienicy, Pilarska, wprowadziła żandarmów, którzy po nas przyszli, właśnie przez pokój Cioci, zamiast drugim wejściem, przez kuchnię. To już ostatecznie przesądziło sprawę. Podobno czyhała na mieszkanie po nas. Potem okazało się, że "podzieliła się" z nami wieloma rzeczami, pozostawionymi w domu, tak, że rodzina nasza sądziła, iż zabraliśmy sporo swoich rzeczy, bo ich nie zastali, gdy otrzymali od dozorczeni klucze do naszego mieszkania. Ale to już osobna historia...

Po dwóch tygodniach obie dobrowolne uczestniczki sianokosów wróciły z nietęgimi minami. Pracowały tam od świtu, do zmroku /4-19/, z krótką przerwą na obiad, składający się z zupy, czasem też z chleba, jeśli dowieziono, za co trzeba było każdorazowo płacić, bo nie wydawano posiłków na kredyt, jako że zarobki nie pokrywały kosztów. Toteż wróciły, gdy zabrakło im pieniędzy. Przekonały się na własnej skórze, niestety, że słyszane wcześniej pogłoski nie były wcale przesadą. Miały o tyle szczęście, że jakaś podwoda, jadąca ze stepu do Sigizbaju, zgodziła się je zabrać. Były w dość żalonym stanie i nie zdołały by dojść tych kilkunastu kilometrów o własnych siłach. Gorzki okazał się ten chleb, na który tak liczyły.

Jurek

Mniej więcej parę dni przed powrotem Ciocia z sianokosów Mama zwróciła uwagę na jakiegoś młodego człowieka, który wszedł do sali klubu, rozejrzał się wszędzie uważnie i skierował swe kroki na sam środek, tam, gdzie nie było żadnych rzeczy ani żadnego legowiska. Tam położył się na podłodze, z rękami pod głową i przespał cały dzień, mimo normalnego ruchu i hałasu kilkunastu mieszkańców i nadal niekończących się wizyt ciekawych tubylców w różnym wieku,

bynajmniej nie chodzących cichutko i na paluszkach! Wieczorem zniknął na moment, by wrócić na to samo miejsce, znów paść, jak stał, niewątpliwie z zamiarem spania.

W tej właśnie chwili moja Mama, wychodząc z kuchni z pożyczonym garnkiem i własną (w nim) zupą, rzuciła okiem na środek sali i zobaczyła, że on się przewraca na ziemi z boku na bok, czyli nie śpi.

- Podejź do tego biedaka i zapytaj, czy nie zjadłby trochę zupy- zwróciła się do mnie.

- Mama pyta, czy nie zjadłby pan trochę zupy?- przekazałam bez namysłu.

- Ba! Też pytanie! Ależ tak!...- usiadł natychmiast.

Zupa była ubożuchna: kartoflanka, ale zaprawiona zaprażką. Na zasmażkę nie było tłuszczu. Nie była też zbyt gęsta, o czym się zwykle marzyło, ale "za to" była osolona, na co sobie nie zawsze można było pozwolić. Zniosłam mu w pożyczonym talerzu, podałam łyżkę, też pożyczoną. Dostał taką samą porcję, jaką Mama zostawiła dla każdego z nas: półtora chochli. Było to ^{nasze} całodzienne wyżywienie. Spojrzał na mnie w milczeniu, potem w tę stronę, z której przyszłam. Po chwili odniósł naczynie Mamie:

- Dziękuję pani! Bardzo dziękuję!- i po chwili już znów chrapał.

Najjutrz rano dostał śniadanie: gorącą "kawę zbożową", niestety bez cukru, ale zabielaną mlekiem. Znów taką samą i tyle samo, co i my. Chleba nie było.

Dziękując Mamie przedstawił się:

- Horodyski. Byłem na sianokosach, bo zabrali mnie z fermy. Wyczerpałem pieniądze. Odmówili mi przedwczoraj jedzenia, zabrałem się i odszedłem. Matka z siostrą są w Tiki Bułaku. Jutro mam tam pojechać, ma być podwoda i mam tam zawieźć jakiś sprzęt dla fermy.

W południe przyjechała jakaś arba z Tiki Bułaku i pani Horodyska, której już jakiś Kazach dał znać, że syn jest w Centrali, podała dla niego paczkę.

O przedwieczornej godzinie ~~stałam~~ siedziałam z Elą na schodkach wejściowych do klubu i strugałam krótki, lecz dość gruby kij, ku wielkiej radości znaleziony gdzieś na ziemi, koło łaźni. Zdołałam już dać go przełupać wzdłuż na pół, bo właśnie, gdy przechodziłam koło poczty, spotkałam mieszkającą w tym domu małą Kazczkę. Niurwala już znała mnie też po imieniu, byłyśmy w dobrej komitywie. Pokazałam jej ten kij, wyjaśniłam, o co chodzi i u niej jakiś chłopak "dziabnął" mi go siekierą. Pożyczyłam od Tata scyzoryk i uszczęśliwiona zabrałam się do strugania łyżki z tego kija.

- Czołem, cześć, czuwaJ!- powitał nas głos jakiegoś młodego eleganta, zbliżającego się wesoło od strony rzeczki. Głos wydał mi się

znajomy, ale osoby nie poznawałam.

- O, a pan z której fermy?- zapytała z zainteresowaniem wychodząca z klubu jedna z eleganckich pań.

- Z trzeciej- odburknął zapytany i zwrócił się do mnie:

- Co to pani struga?-

- Łyżkę. To ma być łyżka- odpowiedziałam, przyglądając się zaskoczona odkryciem, że to jest ten sam młodzian, który tak strasznie zmordowany przeleżał bez jedzenia cały dzień i przespał całą dobę na środku podłogi klubu.

- Ach, z trzeciej? To z Tiki? Porywam pana, bo chcę wypytać się o znajomych...- i gawędząc wzięła go pod rękę, prowadząc w stronę swojego kąta.

- Widziałas te jego białe spodnie?! Czym to tutaj będą prac! Mydła w spółdzielni nie ma i mówią, że od bardzo dawna nie było...- zastanawiała się praktyczna Ela.

- Może mają w zapasie - domyślałam się, pilnie strugając tak, aby nie śmiecić, lecz strużyny zbierać na podolek i dodać potem Mamie do opału, na rozpałkę, jako że się człowiek uczył nie marnować najmniejszej nawet rzeczy.

- Czy mogę także robić łyżkę? Z tej drugiej części patyka?- usłyszałam niespodziewanie.

- O, już pan uszedł z porwania?- zdziwiła się Ela.

- Ta, pewnie! Dzisiaj, gdy człowiek wyszorowany i przebrany, to od razu: " Skąd pan jest? A jak panu na imię?" i zaraz " "panie Jureczku, to, panie Jurku, tamto..." Ale jak człowiek leżał tu głodny, brudny, pół żywy, w zasmarowanym ubraniu, jak nieboskie stworzenie, to wtedy żadna z tych tam dam nie zauważyła nawet przez dobę, że leży człowiek... jeszcze żywy i ledwie żywy...-

- A jednak suknia zdobi człowieka...- zauważyła Ela.

-"Syty głodnego nigdy nie zrozumie"- dodałam przysłowie.

- No, właśnie! Tak sobie pomyślałem...Ta biedniutka kartoflanka była najwspanialszą ucztą w moim życiu! Na sianokosach ledwie rąz dziennie jadło się byle co, człowiek się słaniał i tak, a w ostatnim dniu już i tego nie dali! Nagadałem im i poszedłem! Tylko, że nie wiedziałem wcale, że to aż taki szmał drogi!...Najbliżej było tu, do Centrali... Ale mnie zmogło... Gdyby nie pani...-

- O, to nie ja! To Mama...-

- No, właśnie! Nie wiem, jak bym dalej wyglądał...-

- Ale teraz już lepiej?- dowiadywała się Ela.

- Tak, dostałem paczkę od mamy, bo podałem z sianokosów kartkę do Tiki.Przysłała mi ubranie, trochę placków i najważniejsze:mydło i gęsty grzebień.-

- No, to pan ożył teraz...-

- A, tak! Wyszorowałem się tam za chutorem w tej rzeczce i zro-

biłem czystkę z wszami! Wreszcie!..-

- ???-

- Sto dwadzieścia dwie! Uf! Człowiek mógł oszaleć!...-

- O, to je pan liczył?- śmiała się Ela

- A było co! Przez ostatnią noc deszcz lał niemożliwy i skorzystałem z zaproszenia Kazachów do ich budy. Ciasno było okropnie, bo to tylko taka mała narzędziownia, którą traktor wiezie za brygadą roboczą, no i tam mnie tak oblażło! Całe ubranie i na dodatek jeszcze włosy, oszaleć można!...-

- Ludzie, ratujcie- jęknęłam, odczuwając nagle swędzenie całego ciała z samego wrażenia tylko.

- A jak nie pada, to gdzie się śpi?- pytała Ela.

- Pod gwiazdami. Jak dowiozą gałęzie, to pozwalają zrobić szałas. Nazywają to "bałagan". Ale tych gałęzi przgwieźli bardzo mało i ledwie wystarczyło dla kucharki/Rosjanki/ i na prowiant, razem, a tego niewiele, jeśli dowiozą...-

-I tak wszyscy harują na głodno?-

- Nie wszyscy. Niektórzy mają jakieś lepioszki z sobą, albo chleb. Albo rodzina coś podaje, -kiedy jedzie wóz na fermę, bo czasem dowożą mąkę, czasem kartofle, do tej kuchni stołówkowej, czasem baraninę. Ale oni się boją porzucić pracę, bo im za to grozi sąd i wlepiają dwa lata " za progul", czyli naruszenie przepisów. To jest najlżejsza kara, ale ją dają, aby utrzymać ludność w ryzach...-

Rozgądał się, strugając równocześnie łyżką, swoim scyzorykiem, z drugiego kawałka, a my słuchałyśmy tej bezpośredniej relacji, na żywo przekazywanej nam z sianokosaw. Biedna Ciocia! Na co się naraża.

Jurek okazał się naszym rówieśnikiem: rocznik 1922, był uczniem pierwszej licealnej, Ósmego liceum we Lwowie. Wywiezieni "za ojca", oficera. Zosia młodsza od brata o sześć lat. Jurek był bardzo muzykalny, grał na fortepianie i zaraz wiele wspólnych tematów znaleźli z Elą. Był bardzo odcytany, inteligentny i bezpośredni, ale trochę obcesowy. W szkole należał do harcerstwa, był kiedyś na obozie drużyny żeglarskiej, co wywarło na nim niezapomniane wrażenia.

W Tiki Bułaku zatrzymano rodzinę Kapałczyńskich, więc zapytałam o nich.

- Andrzeja porwali do wypasu owiec. Jurek nie ma więcej, jak szesnaście lat, czyli jeszcze nie mogą go zmusić do pracy.-

- A pani Józefa?- Trzyma się dzielnie. Tylko, że wychowywała synów na dżentelmenów, co im teraz nie wychodzi na dobre!...-

- Jakt to? Jak to rozumieć?-

- Obaj chłopcy uwziali, że im nie wypada patrzeć na to, jak panie same dźwigają wodę aż z rzeki. To ponad kilometr, pod górę. Z pełnym wiadrem. Gdy więc zaczęli wyręczać wszystkie współmieszkanki

ze swojej kwatery, to już sobie dośpiewajcie resztę same!-

- Pewnie się podźwigali?- zmartwiłam się, mając własne doświadczenia w tej dziedzinie.

- Chyba nie mieli ani chwili spoczynku?- domyślała się Ela.

- Ba! Żebyż tylko! Jeśli ktoś sam wody nie dźwiga, to też jej i nie oszczędza! Jeszcze niektóre panie miały pretensje, że muszą czekać, bo niby ktoś inny ważniejszy „i te de!” Jak to damy potrafią zakończył z ironią.

- O, antyfeminista?- śmiała się Ela.

- Raczej : obserwator. Już dość dużo się nauczyłem! Nawet tutaj, w tak krótkim czasie...-

- Chyba życie faktycznie da nam dobrą szkołę...-

I tak opowiadając sobie i gawędząc, wystrugaliśmy po jednej łyżce: obie dostała Mama, jawnie uradowana z nieoczekiwanego wzbogacenia naszego stanu posiadania, bo na nas czworo, jedyna łyżka, oprócz tatowego scyzoryka, stanowiła cały nasz zapas sztućców.

Wogóle wyliczanie tego wszystkiego, spośród najkonieczniejszych rzeczy codziennego użytku, których nam strasznie brakowało, trwało by strasznie długo, niemal, jak niekończący się rejestr.

Odszkodowanie za meble.

Po okresie nadchodzenia depesz z Polski oraz telegraficznie przysyłanych pieniędzy, wzrosły nasze emocje, związane z niecierpliwym oczekiwaniem na listy i paczki.

Pieniądze zaczęły nadchodzić nie tylko od rodzin.

Kiedy nas zabierano, zadano nam pytanie, czy chcemy swoje meble i pozostawiane rzeczy przekazać komuś na własność, czy może życzymy sobie, aby zostały "z urzędu" sprzedane, a pieniądze wysłane nam, pod przyszły adres.

Po naradzie, nie wierząc zresztą w owe przśłanie nam pieniędzy, Rodzice zdecydowali, że zapisują wszystko Babci. Mieli nadzieję, że licząc się z jej wiekiem, nie wywiozą Staruszki, a Ona wszystkie nasze rzeczy oczywiście przekaże Dwidce. Dziadka Wzięła z domu, wychodząc za mąż, ze sobą dwie walizki najkonieczniejszych swoich rzeczy, głównie własną odzież i to nie wszystką. Chyba nie liczyła się ze stałym pozostaniem w Grzymałowie, gdzie Leon "na razie" miał posadę we młynie, więc ostatecznie nienajgorszą, jak na czas wojenny.

Liczne rodziny zesłańców nie miały jednak komu pozostawić swoich mebli. Wszystkie inne rzeczy zabierano ze sobą. Im to właśnie jednak meble " sprzedano z urzędu" i te pieniądze teraz faktycznie przysyłano do Kazachstanu, uczciwie i oficjalnie.

Między innymi, pamiętam, że taką rekompensatę za meble otrzymała

pani Baderowa, kilka innych rodzin, przeważnie oficerskich, oraz pani Lubuśkowa, za te swoje oplakiwane, mirtowe meble i ten nie-szczęśny "fortepian na cztery ręce", jak to nader inteligentnie kiedyś chlapanęłam, niczym papuga. Takie odszkodowanie, pamiętam, przyniosło komuś pięćset rubli, innym tysiąc, a jednej rodzinie aż półtora tysiąca. Pewnie wycena urzędowa tych mebli zależała w jakiś sposób od ich jakości i ilości. Te poważne kwoty były bardzo zasadniczym ratunkiem dla zesłańców, którym je wypłacono.

Równocześnie jednak tubylcy, na wieść o tym, zorientowani w zasobach materialnych wielu Polaków, natychmiast podnosiły ceny własnych towarów, czyli tego skromniutkiego asortymentu żywności, który sami posiadali tak skąpo. To z kolei bardzo dotkliwie odbiło się na możliwościach wyżywienia się, czyli przeżycia pozostałych zesłańców. Znacznie pogorszyły się warunki tych, którym rodziny we Lwowie przyjęły meble na przechowanie, bo doraźnej pomocy za nie nie mogli oczekiwać. Niedożywienie narastało, awitaminoza panowała powszechnie, nawet u tych zasobnych w gotówkę, którą sobie sami wydzielali raczej oszczędnie, z uwzględnieniem przyszłości, nikomu bliżej nie znanej.

Inni po prostu już zaczęli cierpieć głód w mniejszym lub większym stopniu. Z biegiem czasu paczki z Polski stały się właściwie jedynym ratunkiem dla wielu, którzy bez tej pomocy i finansowej, nie byli by w stanie przeżyć.

Wreszcie nadeszły i dla nas pieniądze. Leon przysłał telegraficznie pięćset rubli za sprzedany fortepian. Uczciliśmy to wyprawą do Nowotrojska, we troje. Mama stwierdziła, że trzeba się raz jakoś lepiej odżywić i kupiła kurę, o czym dawno marzyła, tym bardziej, że we wspólnej kuchni w niejednym garnku gotowała się kura, lub rosół, zwykle z ziemniakami, ale bywało, że i z marchewką, czasem także z kluskami. Zdobyliśmy się też na marchewkę! Kupiliśmy mąki więcej, niż ziemniaków, mimo że znacznie droższa, ale na dłużej wystarczała, a chodziło nam o to, by się znowu tak nieludzko nie podźwigać, bo przy tak osłabionych siłach niewielkie były nasze możliwości. Jeszcze nabyliśmy chleb, ten biały, nowotrojski, wspaniały chleb i suszony serek owczy, a nawet trochę masła! Słowem: zakupy luksusowe! Obliczaliśmy to wszystko, na ile co wystarczy i starali się nie przekroczyć ciężaru, jakiemu zdołamy dać radę bez późniejszego, nadmiernego odchorowywania.

Potem, naturalnie tak drogie wyżywienie wydzielano się sobie bardzo przezornie i powściągliwie, ale o ileż to było bogatsze od katoflanki, z samych kartofli, wody i soli, czym żywiliśmy się dość długo. Teraz dodawała Mama do niej zacierkę, czyli skubane kluski z wody i mąki, która, chociaż czarna, tak pożywnie zasilala zupę. Czasem

kupowało się u miejscowych Kazaczek parę jajek, a ciasto na jajku, to już ze zwykłej kartoflanki czyniło "królewski obiad"!

Najczęściej słyszało się rozmowy na temat jedzenia, którego właściwie wszystkim było za mało, ale różnice w jakości wyżywienia jednak były dość znaczne, co rzucało się w oczy w kuchni, szczególnie, gdy ktoś mógł gotować strawę częściej, niż raz na dobę. Kuchnie polowe, nader prowizoryczne wprawdzie, ratowały w znacznej mierze sytuację; jeśli nie padał deszcz, lub wiatr stepowy nie udaremniał wysiłków przy rozniecaniu ognia. Paliło się głównie "kiziakiem", czyli wysuszonym nawozem, różnego rodzaju, o co też nie było łatwo, bo nawet i tego brakowało wobec istniejącego przeludnienia.

Utrapienie

Nasze, polskie dzieci szybko zaakceptowane przez tubylcze, nie chodziły do szkoły, bo ich do tego nie zmuszano. Cała dzieciarnia korzystała z dość dużej swobody. Nie było żadnych przyczyn, by im tego bronić: nie groziły tu żadne niebezpieczeństwa.

Miejscowa szkoła była dwujęzyczna: rosyjska i kazachska, obie mieściły się w jednym, wspólnym budynku i pracowały na dwie zmiany, tak że stale jakieś dzieci przebywały w szkole i jakieś inne, wolne, ganiały po całym osiedlu, gdzie Polacy wciąż jeszcze stanowili atrakcyjne urozmaicenie życia na tym odludziu, dla jego stałych mieszkańców, z których wielu poza tym świata nie oglądało.

Swoją przyjaźń z tymi dziećmi tasbułackimi nasi chłopcy w pierwszej kolejności opłacili ciężką koniecznością zrezygnowania z wszelkich fryzur: Staszka i Jurka Bokociaków oraz Mietka Kruka ostrzyżono do skóry, Kaziowi skrócono włosy do najmniejszego minimum. Od tej pory Jurek nosił wojskową furażerkę, tamci dwaj- białe. Widziałam, że chmurnie spod oka obserwowali, jakie to wrażenie sprawi na ludziach, ta ich przymusowa łysina. Szczególnie Jureczek, już trzynastoletni, musiał nad tym ubolewać, bo miał zwyczaj starannie czesać się z przedziałkiem. Ulgę sprawił im fakt, że nie czyniono uwag na ten temat, chyba w sensie: "O, jak to pomysłowo i praktycznie na te upały!". Najczęściej jednak po prostu nie zauważano.

Niestety! Brak mydła, powszechna wszawica u tubylców, stale nas odwiedzających, często przebywających, by poobserwować nasze życie, nasze wizyty handlowe w ich domach, wyczekiwanie w ciasno stłoczonych kolejkach /"ogonkach"/ w spółdzielni, nieraz po kilka razy dziennie, w nadziei otrzymania choćby tych dwustu gramów chleba, /a czasem po coś innego/ wkrótce nas wszystkich naraziło to i na

to przykre utraoienie.

Doszło do tego, że każdy dzień wszyscy rozpoczynali dokładnym i wnikliwym przeglądem całej swojej odzieży, przed jej włożeniem. Wieczorem było za ciemno. Bardzo rzadko, ale zdarzało się, że w sklepie można było nabyć gęsty grzebień, w okropnie tłocznej kolejce, oczywiście, bo skoro dowieźli, zbiegał się cały Sigigbaj, a także przybysze z ferm, jeśli akurat mieli szczęście znaleźć się właśnie w Centrali. Wydawano po sztuce na osobę, a była to rzecz codziennego użytku, lecz niezbyt trwała.

Widziałam przerażona za pierwszym razem, gdy Matyldzia mnie specjalnie wyciągnęła, by mi to pokazać, jak Rosjanki w dzień wolny od pracy siadały na tych kilku schodkach, wiodących do budynku od strony ich mieszkań i drukarenki, siadały z długimi, spiczastymi, kuchennymi nożami w rękę. Każda z nich na jednym schodku, tak, by głowę sąsiadki mieć na wysokości własnych kolan. Jedna drugiej grzebała systematycznie we włosach, tym nożem i na jego końcu tłukła wszy paznokciem. A potem się zmieniały, aby dokonać oblucji tej, która siedziała najwyżej, czyli nikt jej nie "iskał". To taka solidarna pomoc sąsiedzka, przy której było dużo śmiechu i paplaniny.

Co do Kazaczek, to miały na to swój sposób. Nie chciałyśmy wierzyć, gdy nam Jurek opowiadał, ale później nieraz miałam okazję też taką rodzajową scenkę widzieć na własne oczy.

- Zobaczyłem, jak starucha ściągnęła koszulę z dziecaka, przewróciła ją lewą stroną do góry, wzięła w obie ręce, naprężyła i wzdłuż szwów przejechała się po nich kilkakrotnie w zębach, kłapiąc szybko zębami. Odzieżowe to się kryją w szwach. Potem tylko wypluła, strzepała koszulinę i już było po wszystkim - opowiadał.

- Makabra!...- jęczałam z obrzydzenia.

- Jak można wymyślać aż takie paskudne kawały?- śmiała się Ela, też trochę skonsternowana.

- Ależ nie, to nie kawały! To rzeczywistość azjatycka...-zaprzeczał

Kawały

- A jeżeli chodzi o kawały, to mi się przypomniał jeden.- mówił Jurek.- Otóż bogaty Arab zafundował sobie drugą żonę na stare lata. Stara, iskając go, wrywała mu po jednym czarnym włosie, aby nie czuł się zbyt młody. Młoda zaś przy takiej okazji, wrywała mu po jednym siwym, aby nie wyglądał zbyt staro. Wkrótce wyłysiał. Sąsiad zauważył to z nieukrywaniem zadowoleniem: "Gdybyś nie zgłupiał i nie kupił młodej, byłbyś nie wyłysiał! Ale widocznie zlitowałeś się nad swymi leciwymi rówieśnikami, którzy ci zazdrościli tak bogatego jeszcze owłosienia, że sprawiłeś im aż taką uciechę na starość, iż oglądają ciebie najbardziej łysym ze wszystkich!"-
- To i ja coś opowiem!- przypomniał sobie Ela- W pociągu, na prze-

ciw siebie siedzieli dwaj pasażerowie. Rudy zwrócił się z kpina do łysego : " Nie dała Bozia włosków, nie dała!" Na to łyśy: "Oj, dawała, dawała! Ale takich, to ja nie chciałem: były rude!"-

Bardzo mi się to podobało, a każdy kawał wzbudzał głośną wesołość. Strasznie chętnie rzucałyśmy się z Elą na kawały, zresztą nie tylko my! Na każdą śmiesznościkę, na najmniejszą szczyptę humoru. Cała nasza młodzież /do niedawna przecież "młodzież szkolna"/ potrafiła zaśmiewać się z kawałów nawet wielokrotnie słyszanych, czy powtarzanych. Sam ten już fakt, że one wciąż jeszcze nas bawią, pobudzał nas do śmiechu, podobnie jak owo historyczne : "Władziu, ja wpadła do władła!"

A już naszym ulubionym repertuarem była gadka Elą, która cytowała ją odpowiednio na zmianę głosem "dorosłym" i rolę dziecka, głosikiem piskliwym, na koniec zmieszonym z płaczem:

"...-Masz tu, synku, dwadzieścia groszy...-

- Dwajeścia groszy!-

- Na cztery bułki-

- Na śtery bułki -

Wkrótce male wrócił z dwiema bułkami, więc matka pyta:

- A gdzie dwie bułki?-

- A-u-o dwie bułki!-

- Słuchaj! Dałam ci dwadzieścia groszy...-

- Dwajeścia groszy-

- Na cztery bułki -

- Na śtery bułki .-

- A ty przyniosłeś dwie bułki...-

- Dwie bułki -

- A gdzie dwie bułki?...-

- A-u-o dwie bułki!- i tak w kółko.

Chociaż samo wspomnienie naszych, lwowskich, chrupiących zewnątrz, i puszystych wewnątrz bułeczek aż bolało" uciskiem w dołku" od chronicznej żądzы jedzenia, to jednak wciąż te "Cztery bułki" były dla nas źródłem dobrego humoru. Cesia, Matyldzia, chłopaki, nawet Dziunia i Jerzyk Nowak, czteroletni, prosili o tę "gadkę". Podobnie, jak piosenkę " Raz wleciał pies do kuchni", co się nigdy nie musiała kończyć. Tę znałyśmy także i w wersji ukraińskiej, chyba od Matyldzi, której matka była Ukrainką : " U popa była sobaka, win jejo lubył..." Nie pamiętam już, czy to świadomie, czy podświadomie ale wszyscy bardzo skwapliwie słuchali i stale byli gotowi słuchać kawały, dowcipy i żarty. Być może to była jakaś reakcja przeciwko wszystkim trapiącym nas kłopotom i całemu balastowi smutków.

Prorocze sny

Panią Kierepkową pamiętam szczególnie w związku z proroczymi snami. Któryś z wieczorów w klubie, gdy jeszcze dusiło się w nim stłoczonych sto osób, zakończył się głośną awanturą, uwieńczoną czyimś atakiem serca i ogólnym, męczącym, gorzkim przygnębieniem.

Nazajutrz rano, a dzień powitał nas deszczem, pani Julia wstała na całą swą wysokość pokaźnego wzrostu i ponad większością, leżącą jeszcze pokotem na ziemi, zaczęła swoją przemowę, głosem donośnym i dżącym ze wzruszenia:

- Ludzie! Ludzie moje kochane! Posłuchajcie, bo to bardzo ważne! Mam wam wszystkim coś do powiedzenia!..-

Zwróciłam uwagę, że wszyscy zaintresowali się i zaczęło słuchać.

- Otóż śniła mi się Matka Boska!- zawołała- Naprzód stała na ołtarzu z rękami złożonymi. A zaraz potem ja patrzę, a Matka Boska wyciąga do mnie ręce, jest żywa i przemawia: " Dlaczego nie pomagacie sobie w tej strasznej biedzie i w nieszczęściu? Kochajcie siebie nawzajem, bo jesteście otoczone wrogością! Ona was zniszczy, jeśli sobie nie będziecie pomagać! Nie dajcie się ponosić złości! To wam nie ulży w waszych cierpieniach! Bądźcie dla siebie wyrozumiałe! Każda cierpi i każdy i każdemu trzeba okazać cierpliwość i serce! Tylko zgoda pomoże wam to wszystko przeżyć. Bądźcie dobre dla siebie, bo złości na świecie za dużo. Bądźcie dobre, aby przetrwać. Módlcie się i nie traćcie nadziei. I dla was zaświeci słońce!...-

I właśnie akurat w tej chwili pierwsze promyki słońca przedarły się przez chmury i zajaśniały w oknie. Na sali zrobiło się prawie całkiem cicho.

- I Matka Boska zeszła z ołtarza, aby mnie otulić...- kończyła pani Kierepkowa, a zobaczywszy ten blask słoneczny na oknie, rozplakała się rzewnie.

Cisza zrobiła się na sali, a niektóre panie też ocierały łzy. Wrażenie było głębokie i przy gotowaniu w kuchni śniadania kobiety jakimś nieśmiałym gestem odstępowały sobie miejsce na blasze, dając pierwszeństwo tym, ~~które~~ które szykowały je dla śpieszących do pracy, co najczęściej bywało mimo wszystko punktem zapalnym.

Potem jeszcze parę razy prorocze sny powtarzały się pani Julii, ale już nigdy nie sprawiły aż takiego wrażenia. Na koniec któraś z pań położyła im kres:

- Ta, przestałabyś już tak ciągle prorokować, kobito! Czy ci się samej nie znudziło takie wymyślanie? Zostaw wróżby kabalarce...-

- Ta, "Bih me," że ja wcale nie wymyślam! Jak babcię Kocham! Ale jak nie, to nie! Co mi się śniło dobrego, tym się chciałam podzielić, ale jak tak...- I już nikt nie słyszał więcej o jej snach.

Pierwsza paczka

Już wiele osób otrzymywało paczki ze Lwowa, ale my, po późniejszym o miesiąc nawiązaniu kontaktów, wiedzieliśmy, że dłużej trzeba będzie czekać. Wiedzieliśmy już, że idą dwa miesiące, a dozwolona ich waga wynosi osiem kilogramów.

Aż tu ktoś przyniósł wiadomość, że mamy do odebrania na poczcie paczkę! Pierwsza paczka! Ileż to radości, już przy samym kwitowaniu, przynoszeniu, rozpakowywaniu! Wiedzieliśmy, że zgodnie z prośbą Mamę, będą w niej naczynia. Myśleliśmy, że głównie naczynia, ale przy okazji, coś tam przecież w nich będzie.

- Pewnie kasza, jakaś kasza, a może i niejedna... Kasza to najpraktyczniejsza do wysyłania, dlatego wszyscy dostają....- Mama snuła przypuszczenia.

- Może dodadzą trachę cukru, jeśli uda im się kupić, oczywiście, bo już i za naszych czasów tam było o cukier trudno...-domyślałam się, z przymieszką złudzenia.

- Sądzę, że te garnki poowijają w odzież, w ciepłą odzież- Ciocia, gdyby mogła, to by im chciała podpowiedzieć.

- Przydały by się nasze harcerskie łyżko-widelce. Aluminiowe, nie ważą dużo - dodałam, wciąż sama sobie robiąc wyrzuty, że nie pamiętałam o tym przy pakowaniu, ani nie przygotowałam wcześniej.

Pierwsza paczka! Pamiętają o nas, spełniają nasze prośby... Wzruszenie mnie chyba udławi...Niecierpliwie, ale z nakaznym opanowaniem wypruwamy nici zeszytego płótna, którym jest przezornie obszyta. Nie trzeba tych nici przecinać, bo szkoda, przydadzą się, są takie potrzebne, a kupić nie ma gdzie. Porządnie opakowana, już przez płótno wyczuwa się skrzyneczkę zbitą z desek. To dobrze, bo naczynia są zabezpieczone.

-Pewnie Wujcio Dziunio zrobił tę skrzyneczkę- konstatuję

- Pewnie- przytakuje Mama

- Deseczki też się przydadzą: będą na półeczki, jak nam dadzą kwatery, jak obiecują- mówi Tato i po wyjęciu skrzyneczki z płótna ostrożnie scyzorykiem wydobywa gwoździki, tak, aby ich nie zniszczyć.

-No, już!- odsapnął.

- Wreszcie mamy garnki! Już nie będę musiała czekać i prosić i pożyczać!- Mama wyjmując drżącymi rękoma, odwijając ściereczkę, którą je owinięto.

- Ten jest najlepszy na zupę. Ojej, ten czerwony ronderek nie jest wcale nasz!...-

- Ale jaki ładny!-wyraziłam uznanie.

- Ale to tej sąsiadki, nie mój! Ona zostawiła na przechowanie,

gdy uciekała z dziećmi przez zieloną granicę do matki... To jej...-
martwiła się

- Pewnie Ciocia Jula myślała, że to nasz- uspokajałam.

- O, pani Kapuścieńska z pewnością nie miałaby pretensji, gdyby się dowiedziała, że jej ronderek trafił aż tutaj, na zesłanie- dodała Ciocia Iza- Sama pewnie też przysłałaby paczkę...-

- O, czajnik!-

- Ten czajnik też nie nasz!...Półtoralitrowy chyba...-

- Pewnie dlatego ten przysłali, że aluminiowy, a więc lekki- domyślała się Ciocia.

- A, no, może. No, ta banieczka na mleko, to moja. Przyda się!-

- Litrowa, dobra-

- I jeszcze jest rynka...lubiłam ją na mięso...-

- I talerz głęboki, blaszany, może być też zamiast pokrywki, bo nie ma żadnej-

- Już, to wszystko. Było osiem kilo.- oznajmił Ojciec.

- Aha... Nic więcej...-

- No, same te deski ile ważyły!...-

- Ano, dobre i to, bo już nie mogłam, z tym pożyczaniem dać sobie rady...-

- A ze ściereczki będzie można poszyc woreczki...-

- Garnki już są, tylko, że akurat dzisiaj nie mamy co do nich włożyć...~

- To ja pójdę z banieczką po mleko, a Mama... pożyczę trochę mąki, na zacierkę, dobrze?-

- A, no, dobrze... pożyczą, co mam zrobić...-

- Ta następna paczka idzie żywnościowa, jak nam napisali- przypomniał Tato.

- Jak dostaną wiadomość, że paczki otrzymujemy, to już teraz będą nam przysyłali. Tyleście tego tam pozostawiali, że nawet i sama choćby ta ocieź już wiele uratuje. Będą przysyłać- dodała Ciocia.

- Jak Bozia da doczekać...- westchnęła Mama.

Cesia

Cesia Szakalska otrzymała parę paczek od swojej cioci, głównie z odzieżą, przeważnie z zimową. Bardzo się nimi cieszyła, biedula mała i zaproponowała pani Jadwidze i pannie Mili sprzedanie jakichś swoich rzeczy, w celu zdobycia żywności, bo przecież dzielili się z nią swoją, zarówno Bokotowie, jak i Dudkowie, którzy obiecali jej swoją opiekę. Obie panie poradziły Cesi zatrzymanie odzieży i napisały listów do rodziny, z prośbą o paczki odzieżowe i żywnościowe.

-Widzisz- powiedziała panna Mila- Ja pracuję w szpitaliku i jako pielęgniarka mam tam już jakieś wyżywienie, czyli w domu już nie tyle mi trzeba.-

- Jeszcze na razie mamy , więc ty sprzedawać nie musisz- dodała pani Jadwiga- Musisz jednak mieć jakieś ubranie, bo ta jedyna walizka rzeczy na długo ci nie wystarczy. Sama widzisz, jak to tutejsze słońce wszystko przepala i jak to szybko odzież się rozłązi, gdy jej nie ma dość na zmianę...-

- No, właśnie! Całą drugą walizkę załadowali mi tymi książkami!] to tak bez sensu, bez kompletu: jeden tom "Potopu", drugi tom "Eman-cypantek" i większość książek tatusia, do których chyba nigdy nie dorosnę!..., ubolewała Cesia.

- Dorośniesz, dorośniesz! Już przecież masz czternaście lat i robi się z ciebie pannica. Jeszcze trochę, a bluzeczki zrobią się za ciasne- śmiała się panna Mila- Tak, tak! Napisz, aby ci przysłano odzież już raczej na wyrost, a teraz niczego z twoich rzeczy nie będziemy sprzedawać. Nie wiadomo, czy kiedyś do tego nie dojdzie.-
-A jeśli ci chodzi o to, że my się dzielimy z tobą tym jedzeniem, to możesz też poprosić i o żywność, przyda się. Ważne, żebyś miała się w co ubrać, żebyś była zaopatrzona, bo dalej nic nie wiadomo...-

- Już napiszę. Moje ciocie są bardzo dobre, zwłaszcza ciocia Stasia i ciocia Hania. Będą ratowały mnie, chociaż zdaleka, tak jak panie ratują mnie tu, na miejscu...-wzruszyła się mała i zabrała się do pisania listów.

Po kilku dniach rzuciła mi się na szyję:

- Ach, Alu! Wiesz, że moj tatuś żyje! I jest na wolności! Ukrywa się. O, popatrz:napisał list, podał adres zwrotny ciorci i podpisał się : "twoja kochająca babcia"! A ja żadnej babci nie mam, wcale! I to jest tatusia pismo...-

- A widzisz! Jakie to szczęście dla ciebie!...- cieszyłam się serdecznie i wszyscy podzielali radość te nadzwyczaj dzielnej i dobrej dziewczynki.

- A ciocia Stasia pisze: "Twoja babcia czasem do mnie wpada, ale raczej to ja ją odwiedzam, bo zawsze jestem poinformowana, kiedy u kogo mieszka, odkąd nie ma własnego kąta. "Widzisz?... Kochani tacy... Też tam mają nielekk...-Dzieliła się wiadomościami i zabrała do pisania do " babci", ciotek i kuzynki Stasi, która ją zegnała w tę noc wywozu.Opiekunowie Cesi też otrzymali listy od jej bliskich, z podziękowaniami i błogosławieństwami.

Matka pani Jadwigi

Pani Jadwiga gotowała dla ich wspólnoty. Panna Mila Dudek pracowała w szpitalu, jej bracia, pan Jaś i Kazik chodzili po prowiant do Nowotrojska, a także po gałęzie na opał, często zabierając ze sobą Staszka i Jurka Bokotów, którzy też po trochę już starali się przynosić, na swych wątlých, chłopięcých plecach.

Ich babcia, zwana "babcią na materacach" właściwie już gasła w oczach. Mila czasami przynosiła jakieś lekarstwo z "bolnicy", ale to nie pomagało, tyle, że chora widziała, że starają się jej pomóc.

Materace leżały wprost na podłodze, a nie na siatce łóżka, jak kiedyś w domu. Kurz stale unosił się z podłogi, zaduch panował w sali niepodzielnie, okna ctwieralne tylko po tej stronie, w której były drzwi, nie dawały żadnego przewiewu, ale jeszcze dopuszczały odór z byłego ustępu, skąd też i muchy, pasące się rojami, nadlatywały istną plagą. Normalny ruch dzienny w tym zbiorowisku ludkim powiększały szwędania się zwiedzających i niweczyły i tak nader rzadkie chwile jakiego takiego spokoju.

W takich warunkach staruszka, niezdolna już do samodzielnego wstania, nie mająca sił nawet usiąść, szarpana okrutnymi atakami głębokiego kaszlu, przeżywała w męce swoje ostatnie dni.

Nie pamiętam już szczegółów, związanych z jej śmiercią. Pamiętam tylko szalone trudności ze zdobyciem byle jakich desek na trumnę - za jakąś nieprawdopodobną cenę, bo drzewa tam nie rosną, a sprowadzanie ich się nie opłaca, gdyż ani skąd, ani czym.

Nie widziałam tam żadnego rosyjskiego pogrzebu. O kazackich słyszałam, że obywają się bez trumny, sadzają swych zmarłych w grobie przystosowanym do siedzącej pozycji delikwenta, zwracanego twarzą w kierunku Mekki, bo chociaż oficjalnie panował ateizm, nieoficjalnie przestrzegano dawnych tradycji.

Za biedną, skromniutką trumną podążał kondukt wszystkich zesłańców z Sigizbaju oraz tych z innych ferm, którzy dotarli na ten dzień do Centrali. Na cmentarz szło się mostkiem za rzekzkę, chutorem kazachskim, poza lepiankami, na północny wschód, około dwa i pół kilometra stepem, w kierunku tego dalekiego pasma Tarbagataju.

Po drodze z lepianek wychodzili mieszkańcy, popatrzeć, nieliczni dołączyli do końca pochodu.

Smutny, bezdrzewnołysy cmentarz, z grobami oznaczonymi kamieniem, z dawnymi, zapadłymi już kurhanami Kazchów, przyjął nas przenikliwym stepowym wichrem, który zdawał się dokuczliwie naigrywać z ludzkich tragedii. Na skromnym, z ziemi twardej ubitym grobie, postawiono pierwszy na całym cmentarzu, drewniany krzyż, pierwszy polski napis informował o dwóch datach, w których mieściło się całe życie, wyr-

wane polskiej ziemi.

Czas zatarł nazwisko oraz obie te daty w mej pamięci. Przez mgłę pamiętam rysy twarzy, dobrze pamiętam sylwetkę drobnej, pochyłonej staruszki, o wiele lepiej wyraz cierpienia, a najlepiej ten dojmujący, dudniący kaszel, o którym po latach dowiedziałam się, że był spowodowany gruźlicą, a nie dusznicą bolesną, czego nie ujawniano, by uniknąć popłochu, w sytuacji nie do przeciwdziałania. Ten klimat okazał się zabójczy dla osób starszych, cierpiących na gruźlicę, a równocześnie bardzo zdrowy dla młodych, z tą samą chorobą. Były przypadki, że ci zdołali w zupełnie dobrym stanie przeżyć tam tych sześć lat zesłania i wróciwszy do Kraju, zapadli na zdrowiu, co wkrótce skończyło się zejściem.

Mówiono mi, że tak się stało, między innymi, z Danusią Nowak...

Śmierć matki pani Bokotowej była pierwszym takim przypadkiem w naszym środowisku, w Tas Bułaku, w Centrali.

Sianokosy w Centrali

Lato w pełni. Sianokosy w całym stepie realizowano siłami tubylców, ale już coraz powszechniej zapędzano i nas, zmuszając rozmaitymi sposobami. Z wielu ferm ściągano naszych zesłańców do licznych brygad roboczych.

Wreszcie, pod groźbą więzienia /czego jeszcze nie braliśmy sobie zbyt do serca/, w końcu pod presją wstrzymania sprzedaży chleba wszystkim Polakom, zdołano i nas zmusić.

Z tym chlebem nie bywało zbyt wesoło. Teoretycznie przysługiwało nam po dwieście gramów na osobę niepracującą, trzysta na głowę rodziny, osiemset dla pracującej, ale zawsze go brakowało. W praktyce czasem dostało się ^wśój przydział dopiero za piątym razem w danym dniu, bo się tak chodziło, na wiadomość, o dostawie chleba, a czasem i wtedy nie wstarczyło. Poza tym, na przykład, gdy Ojciec pracował i należało mu się osiemset gramów, a ja szczęśliwie dotarłam na czas do lady, nie mogłam nawet marzyć o tym, aby od razu otrzymać pozostałe przydziały dla pozostałych osób w rodzinie, bo w pierwszej kolejności otrzymywali zatrudnieni. W każdym razie Gruby Mielnikow przestrzegał tego, jeśli chodziło o Polaków. Innym wydał czasem już dla całej rodziny, chociaż z kolei to nie odbywało się, w początkowym okresie przynajmniej, bez naszych protestów. Potem przekonaliśmy się, że lepiej nie reagować.

Groźba odmawiania naszym chleba, mimo wszystko trafiła nam do przekonania. Nie mogliśmy narazić wszystkich i wytypowani podjęli pracę.

Nasz brygada, „Chadziajska” pracowała na innych ~~wskazywanych~~ zasadach, niż wszystkie inne, rzucone w step, dokąd wyjeżdżali ze swy-

mi tobołkami, na długie tygodnie, daleko od ferm, by ukończywszy sianokosy w wyznaczonym terenie, przenieść się na kolejne stanowisko.

Nasza brygada "gospodarska" zrywana przed brzaskiem ze snu co dnia wyruszała w określony rejon, w promieniu około czterech kilometrów wokół Centrali, dokąd wracała na nocleg. Oczywiście my piechotą, a nasz rosyjski brygadier, nazwiskiem Gałysz, czasem dosiadał wołu i jechał na oklep, a czasem, ale w nadzwyczajnych wypadkach, nawet konia. Różniliśmy się też od stepowych brygad brakiem stołówki i nasze wyżywienie była wyłącznie naszą osobistą sprawą. Przynajmniej nie kazano nam dopłacać.

Pierwszego dnia, gdy o brzasku wygoniono nas do roboty, miałam straszny pecha, o dalekosiężnych skutkach. Z powodu biegunki spóźniłam się w najbardziej nieodpowiednim momencie, mianowicie zdążyłam po rozdaniu narzędzi.

- Co ty sobie myślisz? Jak możesz przychodzić tak późno? Co to za robotnica z ciebie?!- krzyczał na mnie Gałysz. Był wściekły: to strata czasu! - Tak nie wolno!- krzyczał, wręczając mi widły.

- Chorowałam...- usiłowałam dojść do głosu

- Nie ścierpię symulacji!- wrzeszczał

- Ale dajcie mi całe widły!- zawołałam- zorientowawszy się, że mi wręczył połamane.

- Nie dam. Nie ma!- triumfował w żywe oczy.

- Ale te są połamane! Do niczego!- protestowałam energicznie

- Dobrze ci tak! Spóźniłaś się! Nie ma!- przekrzykiwał zły.

Moi współtowarzysze wybuchnęli śmiechem, rzuciwszy okiem na te nieszczęsne widły. Z czterech zębów pozostały dwa skrajne całe oraz ćwierć jednego ze środkowych, obok całkowicie odłamanego. Faktycznie śmieszne: bo i do czego to? Tylko, że mnie daleko było do śmiechu.

- Ale popatrzcie! Przecież tym się nic nie nabierze! Jak niby ja mam tym pracować?!- zdenerwowałam się na serio.

- To ty się popatrz!- otworzył szeroko szopę narzędzia.

Faktycznie nie było żadnych. Ani wideł, ani grabii...

- A pracować to masz tak, aby innym dorównać!" Poniała?"- huknął groźnie, aż się uciszyły żarty i śmiechy i wszyscy wyruszyli.

Całą siłą woli zmusiłam się, aby się nie rozbeczeć ze złości i z bezsilności. I trochę z rozżalenia, że nikt a nikt nie odezwał się ani słowem w mojej obronie. Ja bym tak nie mogła...

- Jutro przylecę pierwsza. Najpierwsza! Wezmę najlepsze widły!- przyrzekałam sobie w duchu. -Choćbym miała biegunkę! Choćbym nawet wiedziała, że nie zdążę!..- obiecywałam sobie zdesperowana i upokorzona, zresztą z nadzieją, że już tej biegunki nie będzie.

Gałysz pilnował, abym nie hamowała tempa pracy. Stał nade mną,

ze złośliwą satysfakcją i popędzał, a ja się tym naprawdę przejmowałam i musiałam namachać się chyba ze sześć razy więcej, aby moja kopiczka dorównywała innym. Nawet obie siostry Baczyńskie wyraziły mi swe współczucie, ale inni woleli udawać, że nie zauważają, pozostałych zaś to ~~nie~~ dotyczyło, nie obchodziło. Ostatecznie każdy wolał pogodzić się z faktem, że zły brygadier już znalazł sobie kozła ofiarnego, czyli przypuszczalnie, nowego ~~nie~~ będzie szukał.

- Oho! Jutro się już nie dam!- pocieszałam się przez cały dzień, który dobrze dał mi się we znaki. Późnym wieczorem obolałe kości sama nie wiedziałam, w jaki możliwy sposób ułożyć na bezlitośnie twardej podłodze.

- A nazajutrz Gałysz dopilnował osobiście, aby te szczerbate widły już na stałe przypisane zostały do mnie. Mój protest był bez znaczenia, a wszyscy tak szybko odchodzili ze swoimi widłami, że można było sądzić, iż rwą się do pracy ze wszystkich sił, niepomni niczego.

Po tygodniu zbuntowałam się.

- To niesprawiedliwie! Niech co dzień kto inny bierze te połamańce!-

- Ty tu nie wyjeżdżaj ze sprawiedliwością! To ty się spóźniłaś! - krzyknął Gałysz.

-- Ale to było jeden raz!-

- A było, było! Za to tobie się należy, a nie innym!- huknął

- Ale ja wcale nie jestem najsilniejsza ze wszystkich! -

- "Moje dieło maleńkoje", Nic mnie to nie obchodzi!- odpalił.

- A ja chcę mieć porządne widły! Rozumiecie? Normalne widły!- krzyczałam już ze złości.

- Oto marzenia współczesne młodej damy...- zażartował dowcipnie któryś z naszych dżentlmenów, co inni przyjęli z ulgą, bo cóż mogli innego począć w tak niezręcznej sytuacji? Żart wydawał się zwalniać ich z powinności solidaryzowania się ze /słabą naprawdę / dziewczyną...

- A ty już do nich przyzwyczajona...- usłyszałam jeszcze i wyrwałam do przodu sama, z tymi diabelskimi widłami, aby nikt nie zobaczył, że łza się w oku kręci. Ze złości, prawdę mówiąc, chciało mi się ryczeć w głos.

- Do licha!- wściekałam się w duszy - Słabo mi się ciągle robi... Za cały boży dzień zjadam mniej, niż połowę tego, co oni mają na samo śniadanie... Dobrze, że mają, Bogu dzięki, niech, tylko, że ja tak bardzo nie mam siły... Ledwie wlokę się na miejsce, a tam aż taka harowa!... A potem jeszcze aż taka droga powrotna...- rozczulałam się tak, że mi jasne płaty latały przed oczyma, aż wystraszyłam się, że padnę.

- Nie! Do licha! Nie dam się! Nie będę już więcej żebrała o te widły! U tych a samolubów też nie! Schowam sobie do kieszeni swoją krzywdę! Ciocia Iza miała rację :

to jest walka o byt!

Każdy myśli o sobie. Ratuje swoją skórę! A ja się nie dam! Właśnie, że nie! Od czego silna wola? Stać mnie na to. Zniosę i to. Tylko, że tak postępują Polacy? Kosztem takiego zdechlaka, jak ja?...Trudno. Przykro... Ale żebrać nie będę! Ani o te głupie widły, ani o żadną litość!...-

Pełna zaciętej goryczy resztkami sił ciągnęłam do końca roboczo-dniową. Znosiłam nawet te ich "perykurki". -A, niech tam!...-

Przerwa na papierosa, czyli jak najdłuższe palenie, po odpowiednio celebrowanym skręcaniu go z kawałka gazety i tytoniu, wygrzebywanego powoli z woreczka, stanowiła chwile wypoczynku dla palaczy. Tylko. Niepalącym nie przysługiwała! To była tylko "perykurka"! W rezultacie wiele osób zaczęło palić, bo każdy chciał chociaż chwilę wypoczynku uszczknąć w tym piekielnym upale / + 40, + 60°C / Szkada mi było tych kobiet i młodych dziewcząt, które w ten sposób wciągnęły się do palenia, co mnie nie dotyczyło zupełnie. Pewnie ze względu na noszony mundur harcerski, a także i dlatego, że wiedziałam, jak Ciocia Iza i Ojciec ciężko znosili brak tytoniu.

Tej nocy bardzo długo nie mogłam zasnąć. Wierciłam się z boku na bok, odczuwając boleśnie twarde leże na ziemi, obolałe wszystkie kości nie znachodziły możliwej do wytrzymania pozycji, ramiona ciążyły, stawy dłoni, łokci i barkowe zdawały się siedliskami bólu. Głowa znowu ciążyła, czuła się wciśnięta w przyciasną obręcz żelazną i miałam wrażenie, że ból wysadzi mi łzawiące oczy..

Dokuczliwa, lepka duszność, pochrapywania, postękiwania i beznadziejny smutek wypełniały ciemność tej nocy, wepchanej do wspólnej klatki naszych kilkudziesięciu zmordowanych ciał.

A przez długie godziny nocne przewijał się niestrudzenie przeraźliwie smutny śpiew nocnego stróża, starego Arbajbaja, zawodzącego kazachską pieśń o monotonie powtarzającej się melodii, która płakała na kilku bemolowych tonach:

- "A-a-a-a-a!...

A -a!

A-a-a-a-a-aaaa..."

Tę melodię słyszę jeszcze we wspomnieniu, wyraźnie, przejmująco, Nieraz śni mi się nocami, jak żywa i budzę się wtedy spłakana przez sen. Nie od razu wracam do rzeczywistości i przytomnieję na tyle, by dziękować Bogu, że już "tamto" jest poza mną.

Niurwala

Znałam już dość dużo kazachskich słów. Trochę od naszych dzieci, polskich, trochę od kazachskich, a także i z tych kontaktów handlowo-wymiennych. Najwcześniej zaprzyjaźniłam się, o ile to

tak można nazwać, z Niurwałą. Małaczarnula miała około dziewięciu lat. Oczy jej tak były czarne, że nie widziało się, gdzie się kończy iaczówka, a gdzie żrenica zaczyna. Była wyjątkowo czysta. Żywa, o pogodnym usposobieniu. Nieraz, gdy szłam na pocztę, biegła mi na przeciw, wołając uradowana:

- "Kajda barasen? / Dokąd idziesz?/- już mnie tego nauczyła.

- Assalimalejkum, Niurwala!- wołałam ze śmiechem, a potem szłyśmy razem i rozmawiały. Niurwala chodziła do szkoły kazachskiej, ale rosyjski znała, sąsiadując z rodziną Długiego Mielnikowowa na poczcie. W szkole jeden z języków był wykładowym, zgodnie z narodowością uczniów, ten zaś drugi obowiązywał w obu szkołach od piątej klasy. Dzieci od małego porozumiewały się swobodnie oboma, w przeciwieństwie do starszków, którzy z reguły drugiego nie rozumieli wcale. Moja mała przyjaciółka zawsze starała się mi przekazać jakieś nowe słowo, a często też pytała i o polskie wyrazy, zwykle nazwy przedmiotów co ją bardzo absorbowало- Miałyśmy z tym dużo uciechy.

Do dziś pamiętam poszczególne wyrazy: „kyzymka”- dziewczynka, „bała” - dziecko, „baładar”- chłopiec, „bej”- mężczyzna, mąż, „Bajbisza”- kobieta, ciotka, „ani”- matka, „ata”- ojciec, zaś Alma Ata - to ojciec jabłek / bo tam rosną , w przeciwieństwie do stepu /. Cechy pozytywne: dobry, ładny, grzeczny- to „dżaksy”, zaś negatywne- „dżiaman”. Przy kontaktach handlowych królował nad wszystkimi zwrot "bar ma"- czy jest? i ciszyliśmy się z odpowiedzi: Bar - jest /są/, a martwili , gdy brzmiała "Dżok" - nie ma. Chleb lub placek, podpłomyk, to był „nan”, jajka - „dżymurka”, mleko- sut, woda- suu, ręka -koł, szkoła - mekteb, dom -ij- bułak -klucz / posiadłości ziemskich/. Umiałam kilka, czy kilkanaście prostych zdań, z których pamiętam : " Ijda baram"-idę do domu. Mała Kazaczka przyłgnęła do mnie pewnie dlatego, że lubiłam dzieci.

Elcisa

-O, ty z pewnością nie mogłaś dokonać innego wyboru. jak tylko za wód nauczycielski- śmiała się kiedyś ze mnie Ela, obserwując dzieci, machające powitalnie do mnie sprzed lepianek, mijanych po drodze.

- Takie były moje plany życiowe...- wzdychałam, niczym miech kowalski, tylko że rozżalona w głębi serca.

- A, no, "Człowiek myśli, Pan Bóg kryśli", jak mówią Górale- dodała Cesia, która często towarzyszyła nam, tym razem w drodze do spółdzielni.

- "Góralu, czy ci nie żal?.." - odezwało mi się w pamięci.

- " Hej, górynasze, góry! Nasze pikne lasy!

Hej! Kany się podziały stare, dobre, czasy?...- zaśpiewała Ela, zawsze gotowa do śpiewania, a śpiewała ślicznie, i dalej poszłyśmy już śpiewająco.

To było jeszcze przed moją pracą na sianokosach. Elę na razie ominęły, była o te trzy miesiące młodsza ode mnie i nie miała jeszcze ukończonych osiemnastu lat. Te decydujące urodziny obchodziła w dniu świętego Antoniego, trzynastego czerwca. Właśnie poprzedniego dnia my byliśmy w Nowotrojsku.

- Momo!.. Eli urodziny są dzisiaj. Chciałabym złożyć jej życzenia.. zwróciłam się nieśmiało, ale Mama w lot mnie zrozumiała:

- Wiesz co? Dam ci dla niej kromkę nowotrojskiego chleba...-

- Cudownie!... ucieszyłam się

- Z miodem!- dokończyła Mama, a ja aż oniemiałam z zachwytu, bo taka hojność niemal graniczyła z bohaterstwem. Bez przesady...

- Oni, biedacy, na cztery osoby zdołali ze sobą zabrać tylko te dwie walizki rzeczy... Oj, nabiedują się, nabiedują, tak jak i my... Chyba nikt tutaj spośród wszystkich naszych w całym Tas Bułaku nie został aż takim kompletnym nędzarzem, jak te nasze obie rodziny: państwa Wojciechowskich i nasza... To i w kuchni się widzi, co tam kto pitrasi i tutaj w sali, co się i jak często je. I wiadomo, kto idzie po jaki prowiant: pożyczają od nas ciągle te nasze plecaki, bo nam nie są tak często potrzebne, to niech kto inny korzysta...- dzieliła się Mama swoimi spostrzeżeniami, krojąc i smarując biały przysmak.

- Sto lat, Elcisa!-bo tak ją nazwałam z przyjaźni - z życzeniami od mojej Mamy i od nas! Obyśmy jak najprędzej wrócili do domu, do Lwowa!-

- Bój się Boga! A cóż to za niespodziewana uczta!- ucieszyła się solenizantka.

- Z Nowotrojska...-

- Dziękuję! I życzenia najlepsze i ten dodatek najśłodczy!-dodała, niemniej ode mnie wzruszona hojnością Mamy.

Mimo zacieśniającej się przyjaźni z Elcisą, nie zwróciłam się nawet jej ze swoich kłopotów z widkami. W klubie nikt z mieszkańców nie wiedział o tym, bo nie przyznałam się, a inni chyba też nie mieli się czym chwalić.

Co dzień przed brzaskiem z coraz większym wysiłkiem znosiłam hałaśliwe pobudki:

-"Dawaj, młodzioż! Dawaj, sobierajsia w rabotu! Dawaj skorej!"-

Trzeba się było zwlec i iść po te idiotyczne pseudowidły i wlec do tej nieludzkiej harowy. Dziwiłam się, że zamiast przyzwyczać się i znosić ją coraz łatwiej / jak się kiedyś uczyłam w psychologii, takiej ciekawej, aż żal, że ledwie "liznęłam"!/, mnie to przychodziło coraz trudniej, każdy następny dzień wydawał się dłuższy i cięższy od poprzedniego.

Wreszcie wymyśliłam sobie coś na pociechę: otóż połamane widły są przecież lżejsze od całych! A więc mam za to mniej do dźwigania na

przestrzeni całej drogi od ferymy do kolejnego terenu kopiczkowania! To już jest coś!... Coś na pociechę, przynajmniej, tyle. Omotałam się w ten kokon poczucia krzywdy i karmiłam zawziętą satysfakcją, że się nie skarżę nikomu, nawet Mamie.

Mama

Z tego własnego kokonu nie raczyłam zauważyć, że Mama jest właściwie całkowicie zdana na siebie. Ojciec, jeśli nie wracał z drukarni zbyt późno, wybierał się poza cmentarz, po gałęzie na opał. Trzeba było chodzić po nie coraz dalej, bo szybko trzebiono zarośla i coraz więcej krzewów ubywało. Tato nigdy nie był zbyt silny, niewiele na raz mógł nałamać i przydźwigać na plecach. Dlatego starał się chodzić częściej. To, co przynosił, wystarczało na mamine potrzeby.

Najczęściej była to jedna zupa dziennie, przeważnie kartoflanka, czasem mniej rzadka, ale zaprawiona zaprażką, czy też zasmażką, gdy zdarzyło się Mamie zdobyć kój wołowy, lub barani. Czasem ziemniaki symboliczne pod względem ilości, nadawły zupie jedynie posmak, ale za to wzbogacona była zacierką z czarnej mąki. Rzadko, ale trafiała się czasem kasza jaglana, którą wtedy Mama oszczędnie podsypywała kartoflankę, a ta miała zupełnie inny smak i była urozmaiceniem naszego menu. Rzadko ziemniaki" jako takie" stanowiły danie obiadowe, a w takich przypadkach nie marnowało się wody odcedzonej z nich, choćby ze względu na sól.

Rano i wieczorem Mama starała się ugotować coś do picia, po wykończeniu tak zwanej kawy zbożowej, a potem kirpicznego czaju, był to "kapiatok", zabielanym mlekiem, jeśli było. Na to powtarzające się w naszej mowie stosowanie nazw, czy wyrazów rosyjskich, Ciocia zwracała zawsze uwagę:

- Co za wyraz? Przecież po polsku wrzątek! Po prostu : wrzątek! Nie pozwalajmy sobie na zachwyszczenie polskiej mowy, bo się nam tu ludzie całkiem zrusyfikują! Szczególnie dzieci! Posłuchajcie, jak dzieci już mówią! Co to za polszczyzna! co za język!...-

-No, tak... tylko, że u nas wrzątek , jako taki nie był napojem.. A do tego Kazacha mogę mówić "uprawlajuszcy", trudno sobie wyobrazić "panie przewodniczący", a zaś "paliwod", to wcale nie wiem, co to za funkcja i jak by się nazywała po polsku...-

Tymczasem Mama dokonywała cudów, aby rodzinie dać jeść. Po wyprawach do kołchozu miała już co gotować i trochę było lepiej, dla poratowania sił. To był jednak straszny wysiłek.

Jeszcze za pobytu pani Nuckowskiej nauczyła się Mama od niej gotować prażuchę. Mąkę zrumienioną w rondlu na sucho, zalewało się wodą i mieszając gotowało na jednolitą masę. Była wspaniała, lekko osolona, a już szczytem marzeń i luksusu, było dodanie do niej choćby odrobiny masła.

Wkrótce wypróbowano, że do prażuchy można dodawać kartofle, co się kalkulowało znacznie taniej.

- Wiesz, - zwierzyłam się kiedyś Elcisie - jak wrócimy do Lwowa, ugotuję pełny garnek prażuchy! I to z samej mąki, bez ziemniaków!-

- Tak! I pewnie podasz z masłem!-

- Pewnie. Może nawet i z cukrem, co? Będzie pyszna! Jak mamłyga. Lubiąś?-

- Wolałam kaszę hreczaną...-

- A jak ja mogłam nie lubić kartoflanki? I to jakiej!..- miałam sobie sama za złe, po niewczasie.

- E, tam! Lepiej zmieńmy temat. Niewarto mówić o jedzeniu! Wciąż tylko o tym gadają... Lepiej opowiedz jakąś książkę!..- Ela przerwała drażliwy temat i słusznie.

-Masz rację- zawstydziałam się.

Babuszka

Mama rozpoczęła wędrówki po okolicznych chatach i lepiankach na własną rękę. Cioia Iza wypożyczała książki od Cesi i uciekała od rzeczywistości słaba i złamana. Ja byłam od świtu do ciemności w pracy.

Mamie udawało się zdobyć czasem trochę mąki, tak czarnej, jakiej w życiu nie widziała, albo jakies|jagły, czasem jakiś łój, czy cebulę, to już był rarytas : witaminy! Czasem zdobyła parę jajek, zapamiętawszy ich egzotyczną, kazachską nazwę. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile musiała wykrzesywać z siebie nadzwyczajnej dzielności, słaba taka i zawsze nieśmiała.

Kiedyś, gdy zmordowana usiłowałam usnąć, w czym rozpaczliwy ból głowy był najgorszą przeszkodą, usłyszałam po ciemku, że Mama usiłuje stłumić łkanie. Nie miałam siły przyznać się, że słyszę. Nie zdobyłam się na to.

Nazajutrz był dzień wychodny, początkowo zezwalano na to i do pracy nie ciągnęli. Sprowokowałam rozmowę z Mamą tak, by się dowiedzieć czy coś specjalnego się stało, czy to tylko nadmiar tych naszych codziennych warunków był przyczyną łez.

- Mama dziś wygląda bardzo zmęczona. Czy były jakieś kłopoty?-

- Nie, dlaczego?...-

- Może ktoś dokuczył w kuchni?...- pytałam

- Mnie? Nie, skądże! Nigdy mi tam nikt słowa marnego nie powie..-

- Faktycznie- pomyślałam- przecież Mama jest tam najkrócej, nikomu wody nie zamąci, zawsze wszystkim schodzi z drogi...-

- Ale miała Mama jakąś przykrość...- nią ustępowałam, starając się dotrzeć do sedna sprawy. Martwiłam się tym, co mi ta babuszka opowia-

dała. Ta sama, u której już kupowałam jagły... Treaz jej syna nie było w domu, więc się rozgadała...-

- Co ona opowiadała? Co takiego? I jak Mama ją rozumiała?...-

- Rozumiałam... Aż za dużo rozumiałam! Mówi po ukraińsku. Opowiadała, co tu przeszli...-

- W czasie rewolucji? Dawno tu są?-

- Ona? To już dziesięć lat. Nie, nie w czasie rewolucji. W czasie buntu. Oni to nazywają kontrrewolucją i bezlitośnie tłumią siłą. Mówiła, że głód panował straszny, a za bunt palili całe osiedla, tak że ludzie uciekali, jak kto stał, żeby tylko uratować życie. Uciekali w te góry. Kamieniste, puste. Tam nawet już trawy nie było do jedzenia. Ginęli z głodu... Dochodziło do tego, że matki po kryjomu zabijały młodsze dzieci, aby te starsze wykarmić...- Mama rozplakała się z przejęcia.- Trupów też się nie grzebało...-

- Ależ, Mamo! Nam to nie grozi! Mamy przecież rodzinę! Nie dadzą nam zginąć, nie dopuszczą...-

- A choroby, brud, brak mydła!.. Mówiła, że wszy gnieździły się nawet w brwiach, potrafiły ludziom uszy poobjadać...- nie mogła się uspokoić.

- Nam nie dadzą zginąć! Przecież poczta dowozi coraz więcej paczek i nam będą przysyłać: Dżidka z Leonem i Ciocia Jula. Babcia dopilnuje, Marylka i Olek są w domu, pomogą! Będą nas ratować. Tak, jak cały Lwów karmił nasze Wojsko we Wrześniu, tak teraz będą pomagali nam przeżyć to zesłanie. A wojna też się skończy!...-

- Kiedy?...-

- A tymczasem może Tata przeniosą z tą drukarnią do Urdżaru, to tam może być łatwiej...- usiłowałam wzbudzić jakieś nadzieje, sama dość tym wszystkim przejęta.

- A już najgorsze ze wszystkiego, to że się tak tutaj wszyscy wszystkiego boją. Babuszka prosiła mnie o jakiś medalik, albo chociaż papierowy obrazek święty, bo ona wierząca. Mówi, że obiecały sobie z inną staruszką włożyć po śmierci medalik za koszulę, ale błagała, aby nikomu nie mówić, nawet jej rodzonemu synowi, bo się boi...-

- A ma jeszcze kogoś?-

- Nie. Ma tylko jego jedyne! Czwooro dzieci straciła podczas epidemii. Ma jedyne syna i boi się go! Pomyśl tylko! Mówi, że dzieci donosiły na swoich rodziców, a potem tych rodziców rozstrzelano!...-

- W naszej ewangelii było parę obrazków, można jej dać...-

- Usiadła na progu otwartych drzwi, aby zobaczyć, kiedy jej syn będzie nadchodził. A gdy go zobaczyła, zaczęła od razu wychwalać władzę radziecką i dobrobyt, jaki dzięki niej mają!...Prosiła, abym

jeszcze przyszła...-

- Możemy poprosić, aby nam przysłano szkaplerzyki...-

- Tak... Ale co nas tu jeszcze czeka?...- Zastanawiała się Mama, a ja już myślałam o tych nieszczęsnych widłach, jako o przykładzie, że nie tylko od obcych człowiek może dostawać ciągi, lecz i swoi w tej walce o byt mogą kogoś stratować po drodze i nie zauważyć tego wcale.

Praca codzienna

Tymczasem cała ta nasz brygada chadzajaska już wpadła w rutynę. Jak nakręcone automaty. Obudzeni, stęrali się wszyscy przełknąć, co kto miał i już lecieć do magazynu, gdzie Gałysz, wręczając nam widły, liczył nas za każdym razem, sprawdzając, czy nie ma symulantów. Chorych nie wznawano.

Pewnego razu Wacek Kublin, chętnie śiewający, zaintonował na melodię znanej, legionowej pieśni:

- "Naprzód, brygado chadzajaska!

Widły do góry swe wznies!

Żadna nas siła radziańska

Zniszczyć nie zdoła, ni zgnieść! ...

- "Nu, ładno, ładno! Charaszo!- pochwalił Gałysz i bohaterska grupa, zbrojna w swe widły / nota bene : całe! / pomaszercowała we właściwym kierunku, a ja podążyłam za nimi, kuśtykając i kulejąc, bo coraz bardziej poranione nogi, usiane coraz gęściej ropniakami, do reszty pozbawiały mnie młodzieńczej fantazji, na którą innych było stać. - " Czy umrzeć nam przyjdzie na polu,

Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć...- wtórował Wackowi Jaś Dudek, a Jurek Kuźmicz dołączył swój krok do nich, wychodząc na czołówkę pochodu tych dwudziestu kilku osób, z których większość ocknęła się z niewyspania i apatii przez ten zbiorowy śpiew.

Któregoś dnia Gałysz obwieścił, że siano w kopiczkach odeszło, Centrala przyśle w step podwodę i teraz się będzie skierdować.

Zaczął się od ściągania tych kopiczek na jedno miejsce. Potem zwoziło się te odleglejsze i nakładało na coraz wyżej rosnącą skierdę, na którą już po jakimś czasie podawało się siano widłami, stojąc na wozie, tym osobom na gorze, które pod komendą Gałysza pozostawały tam, aby odpowiednio układać i ubijać to siano na wysoki i rozległy graniastosłup. Taki ubity, by go silne stepowe wichry nie ruszyły.

Ciężka to była praca, w okropnym, dławiającym kurzu, drażniącym i wywołującym bolesny kaszel. Nawet oczy bolały od kurzu, a niemiłosiernie słońce prażyło dojmująco. Nie dało się unikać nieustannie-

go urażania ropiejących kończyn, bo każde zadrapanie raniło się z powodu awitaminozy. Wczesnym latem przynajmniej można było ratować się szczawiem ze stosunkowo niedalekiej, kwaśnej łąki. Ale już dość dawno wybujał i wysechł na słońcu, więc to się nam urwało.

Tego wieczora wlekliśmy się do domu, niczym nie przypominając dziarskich śpiewaków, wyruszających do pracy o świcie. Na pociechę przypomniałam sobie, że Elcisie jeszcze trochę pozostawało do tej obowiązującej pełnoletności. Po przekroczeniu jej za odmowę pracy grożono nam "progułem".

Marylka

Proguł spotkał Marylkę Fiszer. I to nie za pracę! Stojąc któryś raz z rzędu w jednym dniu w kolejce po chleb, którego wciąż brkło, zezłoszczona na przepychającą się Rosjankę, skrzyczała ją, że pcha się bez kolejki. Doszło do awantury i Marylka ośmieliła się powiedzieć:

- Łaski nam nie robicie i tak samo możemy kupować, jak i wy! Nie prosiliśmy o to, by nas tutaj przywozić. Mogliśmy zostać u siebie. U nas pies miał lepiej, niż tutaj, u was mają ludzie!-

Nawet gdyby ktoś złożył na nią takie doniesienie/"donos"/, to już byłoby wystarczającym obciążeniem. A co dopiero przy świadkach! Na nieszczęście dużo ich było, obrażonych na tę śliczną Polkę, młodą, elegancką w porównaniu z łachami większości i traktującą tubylców z góry.

- Gardzi ludem roboczym, "biłoruczka"! Wróg sowieckiego sojuza!- Wystarczyło. W nocy przyjechali milicjanci aż z Urdżaru, pod broń i aresztowali oskarżoną za zbrodnię obrazy stanu. Potem okazało się, że przysądzili jej trzy lata. To była oczywiście nauczka dla nas wszystkich, poinformowano nas o tym. Ze ściśniętym sercem widziałam rozpacz jej matki i zgnębienie ojca. Wywieziono ich razem, jako rodzinę aresztowanego ich syna, studenta medycyny we Lwowie, jesienią 1939 roku. Wanda potem opowiadała, że zarzucano mu trockizm, co słyszała od kogoś z tej samej paczki, zaliczonego do tej samej "sprawy". Nie wiem nic o jego dalszych losach, ale trockiści uznawani byli za zdrajców komunizmu, traktowani gorzej, niż "antykomuniści", a z tymi się nie patyczkowano.

Teraz rozumiałam przyczyny panicznego strachu "babuszki od jagieł"
Władza miała wszędzie swoje oczy i uszy.

Paszporty

Mniej więcej w tym okresie sprowadzono do nas fotorgafa. Równie-
sił czerwone płacht

sił czerwoną płachtę na zewnętrznej ścianie budynku klubu i wszystkim obowiązkowo wykonał fotografie paszportowe na tle tej płachty. Oczywiście trzeba było zapłacić z miejsca. Fotografie później przyniesiono nam gotowe, a tło na nich nie wyglądało najgorzej.

W biurze wręczono nam paszporty. Opiwały pięcioletni pobyt w Tas Bułaku, jako na "wolnej zsyłce", bez prawa przeniesienia się.

Zdjęcia były bez retuszu, a tak artystycznie piękne, że jedne panie z przekonaniem uznały, że przedstawiają same "kirpicznyje roże" / morda prosząca się o cegłę!/, inne zaś upierały się, że wyglądamy na nich, jak siedmiokrotne morderczynie. Nie śmiałam podważać tych opinii, które skromnie uzupełniłabym, dodając, że : obdarzone beznadziejnym kretynizmem, a do tego najczęściej i piegowate i zezowate. Nie mogłam się nadziwić zdolnościom wykonawcy! Jak on to potrafił? Gdyby tak z tych fotek wykonać tableau albo album, każdy byłby święcie przekonany, że to jest zespół skretyniałych więźniarek i zidiociałych więźniów, ze słusznym zarobionym wyrokiem dożywocia albo stryczka.

Co do tych wpisanych nam pięciu lat, to właściwie nikt, lub mało kto w nie wierzył. Polskie "byle do wiosny" było najpowszechniejszą opinią. Optymiści byli zdania, że powrót nastąpi przed zimą, bo "przecież oni sami zdają sobie z tego sprawę, że nikt z nas tego nie przeżyje: mrozy w granicach -40 do -60°C!" Pesymiści utrzymywali, że wcześniej nas nie wypuszczą, a tylu lat faktycznie nikt nie przeżyje i dodawali, że "na ciocię Franję i ciocię Andzię nie ma co liczyć / Francja i Anglia/, jak w 1939 roku.

Po ożywionych dyskusjach napisano wielką, wspólną petycję do Stalina, zaopatrzoną wszystkimi podpisami i wysłano ją listem poleconym. Odpowiedzi oczywiście nie było, zresztą, prawdę mówiąc, nikt się jej nie spodziewał. Wszyscy byli przekonani, że swój pobyt w Kazachstanie zawdzięczamy właśnie przede wszystkim Stalinowi, ale ostatecznie nasze przekonania nie miały znaczenia i wszyscy zgodzili się, że taka petycja nic nie zaszkodzi i trzeba ją złożyć dla samej zasady.

Ciocia Iza

Nas wywieziono 13 kwietnia, w piątek, a w najbliższy poniedziałek przyszło urzędowe pismo do Cioci Izy, na nasz lwowski adres: Mączna 14, że rząd radziecki uznaje jej pracę, jako nauczycielki ludowej na wsi pod Grodnem. Przepracowała chyba trzydzieści lat. Zatwierdzono jej prawo do stałej emerytury, którą będzie otrzymywała, jak dotychczas. Ucieszyła nas ta wiadomość, nawet podbudowała. Niestety. Na tym się skończyło. Nie otrzymała jej nigdy.

Ciocia chwyciła się jednak, jak tonący brzytwy, tej nadziei, że skoro przeznano jej emeryturę i pismo w dodatku wysłano na ad-

es lwowski, a do listy naszej, przy naszym wywiezieniu została na miejscu, przy nas dopisana, to wszystko jest potwierdzeniem faktu,

iż niesłusznie została wywieziona przez pomyłkę. Ostatecznie nie czuła się odpowiedzialna za działalność swojej dwudziestodwuletniej bratanicy. Napisała więc w tej sprawie do Lwowa, do tamtejszych ówczesnych władz i do Moskwy, ale żadne odwołania nie doczekały się odpowiedzi. Nie sądzę, aby rzeczywiście łudziła się nadzieją. Chyba robiła wszystko, co uważała za swą powinność.

Od jakiegoś czasu prosiłam Mamę, aby "moją" kwaterkę mleka stawiała mi na kwaśno, z dnia na dzień, zaś poranne "picie" piłam bez mleka, cokolwiek to było. I przestrzegaliśmy tego. Widocznie Ciocia nie zauważyła tego, że rano dodtaje "śniadanie" bez mleka, bo zwróciła na to Mamie uwagę, mówiąc, że mnie faworyzuje. I tak z mojej przyczyny doszło znów do gorzkich słów, aż poobrażały się na siebie nawzajem. Nie brałam w tym bezpośredniego udziału, dowiedziałam się później.

Biedna Ciocia... Sama miałam do niej żal o to, że Wandę ironicznie raz nazwała "bohaterką-spódniczarką", przez którą wywieziono rodzinę. Nigdy też Ciocia nie darzyła mnie szczególną sympatią. Najlepiej lubiła Dzidkę, już dorosłą i nauczycielkę. Co do mnie, to byłam niewątpliwie dość nieznośnym dzieckiem, zawsze otoczona chmarą dzieciaków z ulicy, które zapraszałam do naszego ogrodu, gdzie nie tylko hałasowałyśmy "jak w lesie", ale nieraz, przeskakując przez grządki, pozostawiały na nich liczne ślady. Ciocia nie miała cierpliwości do dzieci, a pracy w ogrodzie poświęcała dużo czasu i zapału, zaś po obiedzie lubiła godzinkę się zdrzemnąć w ciszy, z czym dzieciarnia wcale się nie liczyła. Wytrzymała Ciocia u nas rok.

To nie był lekki rok dla osoby samodzielnej i samotnej. Była wtedy "w zawieszeniu w czynnościach służbowych", za karę. Mianowicie otrzymawszy na wsi pismo z Ministerstwa Oświaty i Wyznań Religijnych o przyznaniu jej zaszczytnego wyróżnienia w postaci odznaczenia Żelaznym Krzyżem Zasługi za dwudziesto-pięcioletnią pracę pedagogiczną i propozycją przysłania pieniędzy na koszt Krzyża i jej przesyłkę, odpisała, że dziękuje za zaszczyt i informuje uprzejmie, iż w tej samej wsi policjantowi przysłano Żelazny Krzyż Zasługi za pięcioletnią jego pracę w polcji, nie wymagając od niego zwrotu ~~całkowicie~~ kosztów, żadnych, toteż ona rezygnuje. Za to właśnie pozbawiona została pracy. Przyjechała więc do jedyne go brata, bo nikogo innego nie miała. Żyła z własnych oszczędności, bo była zawsze oszczędna i odkładała na starość "i na czarną godzinę".

To był rok 1932 i kryzys nasilał się. Wkrótce mój Ojciec został też bez pracy. W końcu Ciocia zwróciła się z prośbą o pomoc w od-

zyskaniu posady do swego kuzyna, Macieja Rataja i od września pozwolono jej wrócić na wieś, do tej samej szkoły.

Gdy przeszła na emeryturę, wróciła do Lwowa i zamieszkała osobno, na Sobieszczyźnie. Cioica Iza była tą właśnie osobą w rodzinie, która poparła moją decyzję pójścia do Liceum Pedagogicznego, po ukończonym gimnazjum. Poza tym radzono mi humanistyczne, a ewentualnie później dwuletnie Pedagogium. Za egzamin wstępny dała mi nagrodę: dwadzieścia płotych! Prosiłam Dzidkę o pomoc w zakupach i za te pieniądze kupiłam: sandaalki skórzane / 12zł/ i skórzaną torebkę /8zł/, wszystko granatowe i w pierwszorzędnym gatunku. Luksus! A Dzidka dokupiła mi do tej torebki literkę "A", którą kupiec przytocował i dała mi swą elegancką, granatowo-białą sukienkę z jedwabnej kory... Jak to było dawno..

A teraz Ciocia ma takie ciężkie życie...Ale mleka to ja nie dostawałam. *Więcej, więc przykro, że tak sądziła...*

Sianokosy w Dżyldykara

Wkrótce rodzinne kłopoty z mlekiem straciły aktualność. Nasza brygada robocza skończyła swą działalność na całych terenach należących do Sigisbaju i rozparcelowano nas po innych, w znacznych odległościach, gdzie już musiało się pozostać i nocować.

Tym razem już dotyczyło także i Elcisé. Razem z kilkusobową grupą dołączono nas do sianokosów na obszarze pierwszej fermy: Dżyldykara. To właśnie tam próbowała swoich sił Ciocia Iza i stamtąd przyszedł Jurek Horodyski, więc już wiedzieliśmy, czego się można spodziewać i dostałyśmy z domu trochę pieniędzy.

Postanowiłam przede wszystkim dopilnować przydziału porządnych widel, bo już zaczynałam mieć obsesję, na sam dźwięk tego wyrazu. Tymczasem przydzielono nas do grabienia, z czego byłam całkiem zadowolona. Niestety! Znowu ten sam powód przyczynił się do tego, że do przydzielonego traktora przybiegłam ostatnia! Spośród pięciu pozostało dla mnie akurat właśnie to jedyne siodełko pozbawione oparcia! - "Niczewo"- odpowiedział mi traktorzysta- Odleciało. A skąd ja ci wezmę inne? - dziwił się moim pomysłem.

- Tam, do licha! Ale mam pecha! Mogę sobie pogratulować inteligencji i przystosowania się do nowych warunków!- I pocieszyłam się myślą, że przynajmniej nie wspomniałam Eli o tych widłach, bo uważałyby mnie za kompletną fujarę życiową.

Zaczęła się nowa praca. Pobudka o trzeciej. Kipiatok dla wszystkich bezpłatnie. Do tego, co kto ma, we własnym zakresie. My z Elą miałyśmy z domu aż po cztery placki, wielkości dłoni, bez palców. Podłomyki z wody i mąki, ale wyrosnięte, na sodzie / z paczki/.

Obiad/około pierwszej : zupa z baraniny /tylko, bo ziemniaki i mąka już się wykończyły/, ale osolona. Dostawało się porcję : półlitrową chochlą "zupy" z jakimś flakiem baranim, przyrośniętym do kości, albo nadzianym na patyk, aby było jak trzymać.

- Wiesz, mówiła Elcisa- jak już mamy ten flak na kości, to i tę kość trzeba wyssać do ostatniej kropli i z chrząstki ją ogryźć, bo to pożywne : sole mineralne!..-

Na kolację, za którą w przeciwieństwie do obiadu, nie płaciło się, też był tylko wrzątek, ale my nigdy nie wracaliśmy na czas, aby go dostać. Nasz traktorzysta miał wyszkolonego pomocnika, więc jeździli na zmianę i to od trzeciej nad ranem, do dwunastej w nocy, bo chcieli wyrobić normę i więcej, a było ich dwóch na ten jeden traktor. W nocy pracowali przy zapalanej latarni, uwieszanej przy traktorze. Jeździli najczęściej na czwartym biegu, aby jak najwięcej przejeździć i siana zagrabić. We dnie na zmianę przesypiali godziny najgorszego skwaru. Nam nie dawali czasu na odpoczynek. My na tych swoich siodełkach pracowaliśmy bez zmąany, nadążając dwóm traktorzystom.

Na początku traktorzysta komenderował, jak mamy wszyscy razem, równocześnie naciąkać pedały. Potem już kazał nam na zmianę wołać:

- Raz! Dwa! Raz! Dwa! Raz! Dwa!...- przez osiemnaście do dwudziestu / częściej/ godzin na dobę!

Podczas każdej roboczo-dniówki kilkakrotnie do traktora podjeżdżał woziwoda z beczkowitzem. Woda dla traktora. Ewentualnie dla traktorzysty. Dla nas nigdy.

- " Da czto wy poduryli?!"- odpędził nas przy pierwszej próbie skorzystania z wody.

Głowy osłaniałiśmy podwójnym chustkami, chłopcy, czapkami. Kurz panował niesamowity, a spoceni, wyglądaliśmy tragikomicznie: zaczerwienione oczy, chore od kurzu, same łzawiły, rozmazując się po twarzy. Ropniaki na kończynach nie chciały się goić. Całe nasze odpoczynki ograniczały się do obiadowej pory, ale i tę nasz traktorzysta skracał nam do minimum, przyjeżdżając pod kuchnię późno, pod koniec wydawania zupy, aby nie tracić czasu na czekanie w kolejce ponad czterdziestoosobowej. To samo było z chlebem, który należał nam się co dzień, a przez okres dwóch tygodni, mojego z Elą pobytu tam dowieziono cztery razy.

Po krótkiej przerwie obiadowej, zwykle półgodzinnej, znów siadałiśmy na swe siodełka i pedałowali, na komendę pozostawiając za traktorem równe rzędy zgrabionego przez siebie siana.

Gdy dowieziono wodę , a traktorzysta zatrzymawał traktor, my, wszyscy pięcioro zsuwaliśmy się błyskawicznie ze swych siodełek, padali pod nimi, chowając głowę przed słońcem i usypialiśmy momentalnie, wykorzystując czas postoju, który trwał tylko tyle, ile

trzeba było do nabrania wody wiadrem z beczki i wiania jej do chłodnicy, co już osobiście wykonywał traktorzysta. Po "napojeniu traktora" przechodził klejno koło nas, by oprócz krzyku, kopniakiem obudzić wszystkich śpioków skutecznie. I wyruszyliśmy w następny rejs.

Zdarzyło mi się raz, że wbrew usilnym staraniom, nagle zasnęłam podczas pracy. Normalnie przez cały czas musiałam obiema rękami trzymać się tego siodełka/ żelazne i rozgrzane!/, z powodu braku oparcia, ale widocznie przez sen rozluźniłam uchwyt i spadłam. Elcisa i najbliżej siedzący Grisza, ruski chłopak, młodszy od nas, z pierwszej fermy, narobili wrzasku, przerażeni, że mnie grabie pochwyć i powloką. Traktorzysta zatrzymał traktor, a zorientowawszy się, co się stało, ruszył w moją stronę. To znam raczej z opowiadania. Sama zaś pamiętam, że się znalazłam w jakiejś dość głębokiej wyrwie w ziemi i zanim zdołałam zrozumieć, co się dzieje, już mnie kopniak w bark przywołał do porządku, a traktorzysta, sprawdzwszy w ten niezawodny sposób, że jeszcze żyję, nachylił się i podał mi dłoń, abym dała się wyciągnąć z dołka. Nie zapomniał mnie przy tym skrzyknąć, że wszystkich narażam na stratę czasu.

Z tym czasem to było kiepsko. Mieliśmy około czterech godzin na dobę na sen, ale my, dziewczęta nie mogłyśmy zrezygnować z porządnego umycia się. Wąska struga stepowej rzeczki, głębokiej o tej porze roku do wysokości pół łydki, płynęła mniej więcej w odległości pół kilometra od naszego szałasus. Powróciwszy do niego w nocy, po pracy, porywałyśmy mydło / okropne/ i ręcznik i biegły po ciemku, aby pod osłoną nocy wykopać się w zimnej wodzie przed snem. Tubylcze towarzystwo opowiadało sobie o tym, jako o szczególnie idiotycznym dziwactwie, ale trzeba przyznać, że nigdy nam nikt w tym nie przeszkadzał, a to już było dla nas bardzo wiele.

W czterech szałasach, które zajmowaliśmy, Polacy, sypialiśmy w ten sposób, że przy obu wejściach zajmowali miejsca nasi chłopcy, pozostawiając środek dla dziewcząt, dla ich poczucia bezpieczeństwa.

Przed naszym przybyciem zdarzyło się kiedyś, że Kazachowie popili się kumysem i podczas, gdy naszych chłopców jeszcze nie było, wpadli do szałasus dziewcząt, które w popłochu uciekły gdzieś daleko w step i dopiero rankiem je tam odnaleziono. Od tej pory chłopcy objęli opieką swe rodaczki. "Bałagany", budowane z gałęzi /skąpo/ i siana, wyścielone były sianem, na którym spało się wygodniej, niż na podłodze, nie licząc kleszczy.

Pewnej nocy lunął obfity i gwałtowny deszcz. Brygadzista pozwolił wszystkim skryć się do budy narzędziowni. Obie z Elą pamiętałyśmy doświadczenie Jurka Horodyskiego i wolałyśmy przemoknąć do nitki.

Porzucenie stanowiska pracy

Sierpień smażył nas niemiłosiernie. Praca wysysała z nas resztki sił. Pieniądze się wyczerpały, przy ostatnim zakupie całej porcji chleba, właśnie szczęśliwie nam dowiezionego. I Ela i ja odłożyłyśmy po połowie, na drugi dzień, bo już "zupy" nam odmówiono: tylko za gotówkę.

Obliczyłyśmy, że za tyle godzin pracy na dobę, musiałyśmy zarobić na tę chochlę pseudozupy dziennie. Nasz traktorzysta z pomocnikiem, jako "stachanowcy" zarabiali na wynagrodzenie z premią. Nam jednak wyjaśniono, że dzieląc zarobki na pięcioro grabiących, nie pokryjemy kosztu wyżywienia. Normalnie. Obliczono już tak niejednym Polakom, tym i Jurkowi i Cioci i pannie Hedwidze, więc traktowano nas "sprawiedliwie", jak wszystkich Polaków.

Gdy zbudzono nas z głębokiego snu, jeszcze było ciemno. Napół śpiąca siadałam na to swoje siodełko, gdy Ela zawołał do mnie:

- Coś się dzisiaj wydarzy, Alu! Zobaczysz, coś się dzisiaj odmieni!-

- O? Czy miałaś proroczy sen?- włączyła się Helenka Nuckowska, którą już tu zastałyśmy, podczas, gdy Marysię zatrudniono przy kopiczkowaniu.

- Ach, słyszałam i ja o tym, słyszałam!- Wandzia Lubuska obudziła się z niedokończonych drzemki, kontynuowanej pewnie w chodzie.

- Nie! To nie żarty! Nawet mi się nie zdążyło nic przyśnić, bo za krótko! Ale dziś jest szóstego sierpnia!- wołała Ela.

- Już?-

- Dopiero?- dziwili się słuchacze

- A co to ma do rzeczy?- Przecież jeszcze nas nie kontrolowali i nie policzyli zarobków...- zaczęłam

- Dziewczęta! Przecież dzisiaj jest święto Przemienienia!..-

- Przemienienia?- pytałam równocześnie z Helenką, też klasztornejgo chowu i też nie pamiętającą.

- Ależ tak! Przemienienie Pańskie i nam się musi coś odmienić! Zobaczysz, przekonasz się!-

- Oby!... westchnęłam i złapałam się pośpiesznie siodełka, aby nie spaść, bo traktorzysta zapalił ciągnik i szarpnął energicznie.

Już poprzedniego dnia zjadłyśmy ten swój zaoszczędzony, ostatni kawałek chleba i już zostałyśmy bez niczego. Na śniadanie wystarczyć musiał sam wrzątek. Łudziłyśmy się nadzieją, że przy obiedzie coś się może odmienić. Jednak zupy nam odmówiono. Brygadzysta nie zezwolił. Traktorzysta doręczał pożycznie od kogoś pieniądze.

- Nie możemy, bo nie mamy z czego oddać!-

- "Prawilno"- przyznał

- "A ty mołczy! Twoje dieło maleńkoje!" huknął na niego brygadzysta- A wy, dziewczęta, wyciągnijcie ze swoich zapasow domowych! Już my wiemy dobrze, ile Polacy i mają i dostają! A za darmo, to my jeść nie dajemy!...-

- Jak to " za darmo!?" Pracujemy po dwadzieścia godzin na dobę! Każda jedna na grabiach tyle pracuje godzin, ile traktorzysta razem z pomocnikiem!...-

- A co wy się równacie z traktorzystą?!

- A zapasów z domu my nie mamy żadnych. Niby skąd?-

- Ale słuchajcie! One już dzisiaj nic nie jadły, bo nie mają-- wołała Helenka

- I wczoraj wykończyły ledwie resztki, z przedwczorajszego chleba!..- dodała Marysia

- No, "ładno: moje dieło maleńkoje". Do roboty!- huknął brygadier i ruszył, na znak, że sprawa rozstrzygnięta.

- Pójdziemy, jeśli dacie jeść. Zarobiłyśmy na to...-

- Zarobiły : na progu! Wiecie, ile wasza robota jest warta? - wmieszał się agronom, który nadchodząc już słyszał część dyskusji-
- A. no, nic nie warta! Nawet tej zupy nie warta! Dlatego musicie płacić.-

- Jak tak, to my idziemy do domu!..-

- Właśnie! Idziemy. Nie mamy siły pracować na głodno...-

- A nasza praca nic nie warta, to się bez niej obejdziecie!..-

- A, no, to zobaczymy! A wy, co? Jazda wszyscy do roboty!...-
Władze, we wściekłym humorze, rozpędziły robotników przez kotła, gdzie umownie było miejsce uznane za stołówkę.

- Co zrobicie?- gorączkowo pytały nas siostry Nuckowskie.

- Idziemy do mamy!-

- To ryzyko!-

-Weźcie choć tę lepioszkę...-

- Nie, nie! To wasza ostatnia, a chleba nie dowieźli, nie wiadomo, jak jutro...-

- Dziękujemy! Lećcie już!-

- Jak dojdziecie? Weźcie ten placek!-

- Nie, nie, w domu dostaniemy zupę... Lećcie, bo się na was skrupi..-

- Bądźcie zdrowe!-

- Bądźcie zdrowe!... pobiegły do roboty.

W drogę!

- Przynajmniej dodrzeżie mamy takie niewielkie węzłki z bielizną! Nie podźwigamy się!- pocieszała Ela, gdy opuszczaliśmy szafas.

- Czy wiesz, że to jest około dziesięciu kilometrów?-
- A co innego możemy poradzić?... Trudno.-
- Chodźmy, nie ma wyjścia...-
- Nie będzie tak tragicznie: bliżej, niż do Nowotrojska!...-
- Znacznie bliżej. Tam jest dwadzieścia pięć...-
- I tam z ciężarem i pod górę...-

- A tu płasko i równo...- pocieszałyśmy się i ruszyły równym krokiem, przeżuując w myślach groźbę proguzu, co po aresztowaniu Marylki przestało wydawać się pustą pogrózką.

Słońce lało się nam na skołatane góry, poranione nogi nabrzmiałe od ropiejących ran coraz gorzej niosły nas przez szeroki, bezlitosny step. Ból głowy, świdrujący na wylot, nie zasługiwał na wzmiankę, bo podejrzałyśmy, że głównie wynika z głodu i przegrzania.

Droga wydawała nam się wydłużać, zamiast skracać. Gdy doszłyśmy do wniosku, że musi być już połowa jej za nami, zdecydowałyśmy się na krótką chwilę wypoczynku.

- Tylko nie możemy się położyć, bo byśmy usnęły i słońce by nas wykończyło!- zastrzegłam.

- Oho! Zaraz byśmy posnęły! I mogły obudzić się dopiero w nocy... Boję się, że nam wystarczy oczy zamknąć i już by się spało!-

- No, właśnie! Nie ma co! Lepiej chodźmy, aby jakoś prędzej dobrnąć
- Słusznie! Chodźmy!-

Szłyśmy coraz słabsze, coraz ostrożniej starały się stawiać obolałe nogi, przewrażliwione na każde dotknięcie byle dźbłem i już zaczynające odmawiać posłuszeństwa. Pragnienie paliło.

- Wiesz, tu gdzieś chyba była jakaś mała sadzawka, po tej stronie. Musimy się trochę napić, bo nie dojdziemy... To nas wzmocni...-

- Tak, tak! Napić i ochlapać...-
- Ale gdzie ona jest!?...-

Chyba uszłyśmy następną godzinę i sadzawki nie było. Widać. Normalnie byłam na pragnienie znacznie bardziej wytrzymała, niż na głód. Tym razem jednak czułam, że coś dziwnego się ze mną dzieje.

W oczach robiło mi się na zmianę przeraźliwie jasno i okropnie ciemno, nogi drżały, usta popękały i wyschły, a język, kołkowaty, był spuchnięty i bolesny.

Spojrzałam na Elę:

- Elcisa?...-

- Jeszcze trachę!...- uśmiechnęła się- Trzymaj fason: tak po lwowski!...-

-Tak...Dziękuję...- i wlokłyśmy się dalej.

- Popatrz!- zawołałam, zobaczywszy jakby obniżenie gruntu - Tu?...-
- Brawo!- popędziła
- O, Jezu!...- jęknęłam, gdy podeszłam bliżej.

Duże połacie gładko wyschniętego mułu, popękane głębokimi, nierównymi szczelinami. Niżej nawarstwienie zielonoburego kożucha, a dalej od brzegu, niżej, bura, gęsta ciecz.

- E, to woda, tylko na dnie jest muł, to ta woda tak wygląda, jak brudna...- uspokajała mnie Ela i odłożywszy swe zawiniątko z garderobą, uuknęła, by rękami zaczerpnąć tej wody. Ochlapała twarz.

- Czy myślisz, że ją można pić?- zastanawiała się.

- Myślę, że nie... Ale będę piła... i piłam to gęste, cuchnące, paskudztwo, wdzięczna Niebiosom, że jest : mokre! Piłam, przekonana, że chyba bez tego padnę, bo mi krew przestanie w żyłach krążyć.

Ela poszła w moje ślady, chociaż bez entuzjazmu. Ochlapaliśmy się, ile się dało, wychwalając dobrodziejstwo wody w ogólności, a tej, w szczególności i wierząc w jej krzepiącą moc, poczłapałyśmy dalej.

W pewnej chwili zobaczyłyśmy, że przed nami ktoś się zbliża. Nie zwalniałyśmy, ani nie przyspieszały krku, idąc jak automaty. Zbliżał się jeździec na koniu.

- Kazach!...-

- Tak... Uprawlajuszcy!...- rozpoznała Ela, ale szłyśmy dalej.

- A wy tu co? Dlaczego nie na sianokosach?- bardziej się oburzał, niż pytał.

Wyjaśniłyśmy uczciwie.

- Wobec tego wracajcie! - zastąpił nam drogę-

- Każecie im wydać nam jedzenie?...-

- " Zduryliś?!"-Jeszcze czego? "wot" płacić musicie! Pracować musicie. Nie wolno zejść z roboty! "Eto proguł!" Nie wolno! Nie rozumiecie!? Wracać natychmiast!- złościł się coraz gorzej, nie mógł pojąć, że ktoś śmie nie słuchać władzy, że się nie boi.

- Słuchajcie: ile kilometrów stąd do sianokosów, do brygady?- zapytała Ela spokojnie, jak gdyby nie na nas się złościł i nie nam wygrażał.

- A chyba dobrych piętnaście- odpowiedział zaskoczony

- A do Centrali?- strzeliła niezwłocznie

- A ze dwa, więcej nie będzie- powiedział, a ona już nie dała mu przyjść do słowa :

- Toż mówimy wam po ludzku: wczoraj rano jadłyśmy po "kusoczku" chleba i od tej pory nic. Dzisiaj nic i wczoraj już też nic. Od wczoraj rana! I uszłyśmy taki szmat drogi. A tu mamy dwa kilometry do domu, do mamy. To jak wy nam każecie wracać taki kawał drogi o głodnym pysku? Na taki żar? ...-

- Nie mamy siły. "Poniał?" Nie damy rady: za daleko...- dodałam i ja coś od siebie, zachwycona wystąpieniem swej nadzwyczajnej przyjaciółki.

- Ja wam pokażę! Ja was nauczę! Przeklęte polaczki!!- pienił się

z wściekłości, a my poczłapałyśmy w wytkniętym kierunku, z samopoczuciem bohaterskim, że nie dałyśmy się zastraszyć, ani nie narażyły do zmuszenia nas do powrotnego przebycia tej samej drogi, w której chyba byśmy już padły.

Dowlokłyśmy się wreszcie, dostały coś tam do jedzenia, od Matek, które nie miały nam co podawać w step, ale w domu jakąś tam zupinę jeszcze pitrasily co dzień. Zmordowane zmusiłyśmy się jeszcze do kąpieli w "naszyn" bezpiecznym miejscu, za osiedlem, w rzeczce, aby w końcu rzucić się na swe legowisko i zapaść w upragniony sen.

Zagrożenie

Tymczasem nasi rodzice poważniej od nas potraktowali pogróżki. Fakt, że nie my pierwsze opóściłyśmy robotę, niczego nie zmieniał. Ciocia z Hedwigą poszły pierwsze, dobrowolnie, to zupełnie co innego. Jurek Horoćycki wrócił na swoją fermę, gdzie od razu poszedł do roboty. Nasze odejście, gdyby je pozostawiono bezkarnie, stałoby się precedensem, na co nie pozwalają władze. To jasne. Przywieźli sobie bezpłatną siłę roboczą. Zresztą możliwe, że obliczanie należnych nam zarobków, było wymysłem miejscowych kacyków, dbających o korzyść własną. Kto im to mógł udowodnić?

W każdym razie groźba sądu zawisła nad nami poważnie i Rodzice łamali sobie głowy nad sposobami ratunku. Uwięzienie Marylki Fiszer było wystarczającym ostrzeżeniem i przykładem

Nazajutrz pozwolono nam się wyspać do syta, z czego korzystałyśmy obie w całej pełni, aż do godzin przedpołudniowych, nie słysząc wcale, co się dzieje na jawie. Po jakimś spóźnionym śniadaniu, za radą Rodziców udałyśmy się obie do szpitala po pomoc dla tragicznie poranionych nóg i po zaświadczenie lekarskie, zwalniające nas z pracy. Panna Miła już zdążyła coś wspomnieć wraczowi na nasz temat, on zaś liczył się z jej zdaniem, bo zdążył się na niej poznać.

Obejrzał nas dokładnie, polecił Mili wydać nam maść ichtiolową, a że nogi przedstawiały rzeczywiście straszny widok i na takich stopach trudno było stanąć, wydał nam zwolnienie na trzy dni. Każdej.

Leczyłyśmy nogi. Mama poświęciła ścierkę na opatrunki. Staraliśmy się siedzieć jak najwygodniej, albo i leżeć, byle szybciej wrócić do sił i nogom pozwolić wydobrzeć. Miałyśmy okazję poczytać i odespać zaległości, odsapnąć po tamtej harówce, która dla mnie nie była pierwszą.

Tymczasem nasze władze szalały. Przedstawiciele tych władz po kilka razy dziennie wpadali sprawdzać nasze "sprawki" /zaświadczenia/ i u nas i w "bolnicy", wygrażali nam, Rodzicom, Polakom i zapowiedzieli sąd pokazowy za zerwanie dyscypliny pracy. Stwierdzili przy

tym, że jeśli rzeczywiście nie symulujemy choroby, to jest ona rezultatem naszego marszu przez step, wtedy, gdy /samowolnie!/ odeszliśmy z brygady, a nie jedną z przyczyn, jak to my przedstawiliśmy wraczowi, który i tak wiedział, co myśleć.

Panna Mila powtórnie zaopatrzyła nas w maść.

- Byłoby dobrze wymoczyć rany w kali-hyper-mnganicum, ale nie mamy tego, ani niczego innego w szpitalu- powiedziała.

- Maść dobrze nam robi...- Dziękujemyś...-

-Najlepiej, gdybyście mogły brać witaminy. To z braku witamin tak się każde zadrapanie rani. Napiszcie do Lwowa, może zdobędą i przysła. To bardzo ważne, byłby najlepszy ratunek, bo przy tym wyżywieniu...- radziła.

Trzy dni minęły szybciej niż nasze kłopoty zdrowotne. Pokuśtykałyśmy do szpitala. Oprócz nóg, Ela najwidoczniej odchorowywała tę podejrzaną wodę z sadzawki, z tej sadzawki, jak mówiła z humorem. A ja miałam swoje kłopoty innego rodzaju.

- Rozumiem- powiedział doktor na nasze racje.- Ale mnie zabroniono wydawać zwolnienia na dłużej, niż na trzy dni. Nie dam. Nie wolno. Nie mogę.-

- Idźcie dzisiaj się pokręcić przy robocie, a jutro przyjdziecie po nowe trzy dni...- poradziła nam panna Miła

- -Jeśli chodzi o sianokosy, to niemożliwe: ani jak doJść, ani czym dojechać, ani jak tam podołać...-

- No, właśnie! Tym lepiej. Zgłoście się do byle czego tu, na miejscu, a jutro przyjdźcie...-

Zrobiła się już pora przedpołudniowa i zastaliśmy w biurze tylko paliwoda. Nie wiedział, co z nami zrobić, więc postarałyśmy się, aby wpadł na pomysł wyznaczenia nam sprzątania terenu wokół biura i klubu, jako że będziemy "na oku". Chociaż nie wysilałyśmy się specjalnie, to jednak ta krzątania na słońcu wyczerpała nas, tak wciąż byliśmy słabe.

Nazajtrz zdaobłyśmy zwolnienie na następne trzy dni, przy czym lekarz wyraził przekonanie, że to już wystarczy i że dojdziemy do siebie. Wiedzieliśmy, że nie można nadużywać, chociaż daleko nam było do dojścia do zdrowia.

- Co zrobimy, jak się skończy ta ciuciubabka?- zastanawialiśmy się.

- Wciąż szachują nas tym sądem...-

- Mogą to zrobić...- stwierdziła Fela, siostra Eli, którą też do pracy zabierano co dzień.

- Najgorszy to przewodniczący sołchozu. Mówi, że złożył na nas raport- martwiłam się

- Niewątpliwie to zrobił. Chce się wykazać dyscypliną...-

Gdy skończyła się ważność zwolnienia lekarskiego, Elę zatrudniono

przy spisie narzędzi, mnie posłano do magazynu zbożowego.

Przy pszenicy

Do magazynu miałam się zgłosić razem z Kazikiem" i Pończosze". Praca nasza polegała na ładowaniu "płaszczadki" / pszenicą, którą traktorzysta przewoził z jakiegoś magazynu do jakiegoś składu. Przyczepa była bardzo duża i musieliśmy ją we dwójkę napełniać. Sypało się, nabierając ziarna z ziemi, wiadrami, naepłnianymi na płasko po sam wierzch, co określano na pół puda, a przy tym obowiązywało nas liczenie tych wiader, bo z końcem roboczodniówki traktorzysta musiał to zapisywać.

Muszę przyznać, że pszenica była wyjątkowa, wprost dorodna. Grube, złote ziarna, o rozczulającym zapachu. W tym pierwszym dniu nie uprzedzono nas, do jakiej pójdziemy roboty, tylko gdzie i do kogo mamy się zgłosić.

- Ach, tobie, to dobrze!- westchnął Kazik, przypatrując się memu mundurowi harcerskiemu, który chętnie nosiłam do pracy, ze względu na rękawy, dające się podwijać lub opuszczać oraz kieszenie, na chusteczkę do nosa, a także ewentualnie pieniądze.

- Dlaczego?-

- Masz tyle tych kieszeń...-

- Aha. Ta na chusteczkę, a do tej zmieściła by się nawet kromka...-

- A do wszystkich: pszenica!- odpowiedział

- Pszenica? A po co?-

- Dla mamy...-

- Na kawę zbożową? Jak Kneppa?- domyślałam się inteligentnie

- Może być na kawę; już by mama wiedziała, co z nią zrobić-śmieł się- ale ja nie mam kieszeń!...-

-Nie mów! Brałbyś?-

- Ta, czemu nie?...-

- Przecież to kradzież!...-

- Phi! A oni nam mało pokradli! Co tam, trochę pszenicy? Wiesz, jak mama by się ucieszyła?...-

- Ba! Wcale nie wiem. Nie jestem tego taka pewna. Zawsze nas uczyła, że: "Cudza własność, to rzecz święta!"...-

- Jaka ty śmieszna! Co za cudza? "Kazionna" i my też "kazionni"!...-

Na tym dyskusja się skończyła, ponieważ zaczęła się praca. Nie była lekka, jeśli chodzi o dźwiganie pełnych wiader z ziemi i wsypywanie ziarna do przyczepy. Pod koniec dnia miałam całkiem dość.

- Napełniaj kieszenie!-doradzał Kazik- Jutro mogą dać nas do innej roboty i taka okazja się już nie trafi! Szkoda! A to dziś ostatnia tura!-

- Ta, joj: ostatnia tura, ostatnia szansa! Wiesz co? Przysło mi coś na myśl! Nabiorę tę pszenicę dla ciebie. Dla twojej mamy...-

- A dla swojej nie?- zdziwił się.

- Nie. Nigdy nie widziałam, by robiła z tego kawę...Poza tym, gdybym to brała dla nas, to byłaby kradzież. A skoro nie dla nas, to dobry uczynek!- tłumaczyłam młodszemu koledze, pełna sześcero go podziwu dla własnego pomysłu i rozumowania.

- No, wiesz! Aleś to skombinowała! Ta, to paradne!-

Zachwycona uznaniem zabrałam się do spełniania tego dobrego uczynku, zastanawiając się głęboko nad rolą w nim mojego mundura i rozważając uczciwie, czy tok moich myśli nie zasługuje na miano jezuickiej polityki. Ale żał mi było i tej okazji /"Okazja czyni złodzieja!" i tej pszenicy, z której by nikt z umęczonego narodu polskiego nie miał skorzystać. Przypominałam też sobie, ku pokrzepieniu serca, że przy magazynie, ładowaczowi tamtejszemu, z podartego worka sypnęło się wprost w kałużę dobrych parę wiader ziarna, na co, sprawdzwszy, że nikt nie widzi, machnął tylko ręką:

- "Niczewo"-

No, więc jeśli oni sami tak marnują...

Jeszcze przez dwa dni pracowaliśmy w ten sposób. Kazik miał przy sobie dwa worki. Jeden, napełniony pszenią, zrzucił z przyczepy, gdy jechaliśmy do składu, w południe, drugi, wieczorem, a za każdym razem już tam czekała Irenka, by zabrać to do domu. Ja przestawałam na wypełnianiu dwóch kieszeń, dla nich. Czułam się nie tylko rozgrzeszona, lecz wprost szlachetna! Nie przychodziło mi do głowy, że pszenicę można jeść /przecież nie było młyna!../ i że moja rodzona Mama jest głodna. Ojciec i Ciotka, stara, także. Nie wymyśliłam sobie, że ja sama mogłabym tej kradzionej pszenicy nie spożywać, ale Rodzinę nakarmić. Nie zapytałam, oczywiście Ich o zdanie, bo się wstydziałam, byłam raczej skryta i nie przyznałam się do tych swoich "dobrych uczynków" nikomu. Ani nigdy nie wspomniałam o tych workach Kazika, "W Północzose", który był pewny mojej dyskrecji. Uważał wprawdzie, że jestem paradna, ale że można na mnie liczyć, w czym w duszy przyznawałam mu rację.

Wyjście z opresji

Dni mijały i przewodniczący sołchozu napomknął kiedyś od niechcenia, że w przyszłym tygodniu przyjedzie ktoś na ten sąd nad nami, z Urdżaru.

Mama popłakiwała bezradnie, Ciocia, zdenerwowana, robiła sobie "gkręta", co uważała za rzadki luksus i szafowała tym skąpą ręką, a Ojciec, idąc po gałęzie na opał, dokąd nigdy nie chciał mnie za-

bierać ze sobą, abym się znów nie podźwigała, zapewnił, że coś już tam wymyśli.

I rzeczywiście!

- Jutro pójdziecie do szkoły i powiecie kierownikowi, że wydano nam paszporty na pięcioletni pobyt i postanowiłyście się nauczyć obu języków: rosyjskiego i kazachskiego!- oznajmił.

- Przecież tu mają tylko siedem klas!- zawołałam zaskoczona.

- I co z tego? Niech was zapiszą, do której chcą...- dowodził.

- Tak! To może być wyjście! Macie prawo się uczyć...- Ciocia zaaprobowała.

- A czy to się uda? W moim wieku?- wątpiałam

- Spróbuj, co ci to szkodzi?- namawiała Mama.

- Dodrże. Spróbuję!-Postaram się- i poszłam z tym w kąt państwa Wojciechowskich.

Matka Eli poparła ten pomysł, Fela rozważała za i przeciw, ojca nie zastałam, a Ela siedziała na ziemi milcząca i markotna, co jej się rzadko zdarzało.

-Elicsa? Jak myślisz? Wykręcimy się szkołą?- dopytywałam

- Czy ja wiem... Zobaczymy jutro... Zastanowię się...-

Nazajutrz pofatygowałam się do szkoły sama.Ela poszła w przeciwnym kierunku: do lekarza. Zmogło ją, za dużo tego dobrego. Rozchorowała się, miała temperaturę, a to się liczyło.

W szkole zapukałam do drzwi kierownika i wystąpiłam z lekcją nauczoną w domu.Zdziwienie jego nie miało granic.Zawołał jakieś dziecko z podwórka i wysłał po nauczycielkę: Lidię Iwanownę.

- O, ludzie, ratujcie!- Lamentowałam na jej widok w duszy- Toż to ta sama, która Ciocię i mnie poczęstowała smażonymi ziemniakami, gdy kupiła od nas Dzi²dk¹ sanda¹łki za dwadzieścia pięć rubli!... Czy nie zgadałyśmy się przypadkiem, że ciocia jest byłą nauczycielką, a ja przyszłą? Że już byłam w liceum pedagogicznym? Ależ tak!...-

Na wszelki wypadek nie zabierałam głosu, gdy kierownik relacjonował z czym przyszłam.Naradzali się zaaferowani, gdy nadszedł młody, wysoki nauczyciel.

- A w której ty byłaś klasie, tam u was?- zapytał

- U nas inaczej, nie wiem, jak to powiedzieć...- bałam się pòpsuć sprawę.

- A ile masz lat?-

- Osiemnaście.-

- Ot, i kłopot! U nas w tej szkole to taka młodzież do piętnasu, szesnastu...-

-Tak, wiem, ale ja chcę się uczyć rosyjskiego i kazachskiego...

- Do której klasy ją dać?- zastanawiał się kierownik, co od-fajkowałam w myślach na swój plus, że nie odmawia.

- - A jak z matematyką? U nas jest trudna. Czy dasz radę?- pytał ten młody.

7 Spróbuję-

- Język kazachski zaczyna się w piątej klasie. Może dać ją do piątej?- zaproponowała Lidia Iwanowna.

- I może poradzi sobie jakoś z tą matematyką- powątpiewał młody.

- No, niech będzie do piątej!- zawyrokował kierownik z ulgą, że sprawę rozstrzygnięto.

- Jutro przyjdź do szkoły o dziewiątej: początek roku szkolnego. Zapiszemy ciebie do piątej rosyjskiej.-

- Dobrze, przyjdę, dziękuję.-

- Wracając do domu, z radości wszystkim napotkanym kazachskim małuchom pokazałam, jak się strzela z palców i jak robię "Żabkę" ze złożonych rąk, które wydawały piszczący odgłos, za czym dzieci przepadały i o co mnie zwykle prosiły, odpowiednim gestem, próbując nieudolnie naśladować. Uf! Wedziałam, że udało się wykręcić szkołą!

W szkole

I tak się zaczęła moja niezwykła przygoda w tej niezwykłej szkole. Nigdy w życiu nie uczęszczałam do podobnej, nie dlatego, że mała, wiejska i dwujęzyczna. To ta jej atmosfera, ta swoboda dzieci i tolerancja nauczycieli, traktowanych za pan brat.

Rok szkoły wszystkie klasy powitały wespół, na podwórku szkolnym, bo korytarz był za mały. Potem rozeszliśmy się do klas. Tam na przeciw dwóch rzędów czteroosobowych ławek stał stół i krzesło nauczyciela, a nad tablicą szkolną portrety: Stalina i marszałka Woroszyłowa, po obu stronach czarno-białej fotografii herbu ZSRR. Spośród dwóch okien jedno posiadało małą kwaterę do otwierania. Jedyne drzwi prowadziły na korytarz, długości budynku, po którego jednej stronie znajdowały się klasy.

W klasie dziewczęta zajęły miejsce po jednej stronie, chłopcy po drugiej i jedna ławka została wolną,

Mnie zaprosiła do swojej ławki dziewczynka z gładko przylizanymi włosami, uczesanymi w równy przedziałek na środku. Zoja Skokowa, lat dwanaście, zamieszkała w budynku poczty. Po drugiej stronie siedziała blondyniasta Marusia. Czułam się mocno "przerośnięta" i zdawałam sobie sprawę, że wzbudzam sensację. Dziewczynki zadawały mi wiele pytań, na które odpowiadałam głównie po polsku, a gdy nie rozumiały, oryginalnym żargonem ukraińsko-rosyjskim, przyjmowanym z życzliwą cierpliwością i wyrozumiałością.

Chłopcom nieraz uszy rosły w naszą stronę, a czasem słyszając moje błyskotliwe i wielojęzyczne odpowiedzi, dawali głośny upust hałaśliwej wesołości, popychając się nawzajem lub poszturchując łokciami.

- Nasza nauczycielka, to Lena- mówiła mi któraś
- A Lidia Iwanowna?-
- Znasz ją? Uczy nas rosyjskiego.-
- A taki wysoki, jasnowłosey, młody?- pytałam
- To Fiedor Iwanowicz Cepko!-
- Uczy nas przyrody i matematyki.-
- On ma dziewiętnaście lat!- dziewczynki udzielały informacji
- Jest jeszcze Siemion Siemionowicz, to ten rudy od rysunków.

- Uczyłaś się przyrody? A jak ty z rachunkami?...-
Gwar niesamowity tłumik odgłos dzwonka ręcznego, którym pewnie ktoś z całej siły potrząsał, idąc korytarzem.

Weszła wychowawczyni, Lena, niska, przysadzista, chyba po trzydziestce. Nieco ociężała w ruchach i w mowie. Lidia była grabna i ładna i poznać było, że pochodziła z miasta.

Sprawdziła obecność, upewniła się, jak się nazywam, podała plan godzin i zapowiedziała, ile pieniędzy przynieść na zeszyty i podręczniki.

Z podręczników najlepiej podobała mi się gramatyka rosyjska, porządnie i systematycznie opracowana, wyróżnionym drukiem podająca regułki o częściach mowy, zaopatrzona w liczne przykłady. Książki były tanie, drukowane na gazetowym papierze, niektóre w usztywnionych okładkach. Do przyrody i kazachskiego ^{ilustrowane} zeszyty miały cienkie okładki i ciemny papier. Piasało się w nich atramentem własnego wyrobu, z ołówków kopiowych. Miał fioletowy kolor. W pulpitych ławek- pracowicie porżniętych, porysowanych i wydrapanych, były specjalne wgłębienia na kałamarze, których nie było, a przeróżne buteleczki, różnych rozmiarów, nie wszystkie mieszczące się we wgłębieniach, przyczyniały się do tego, że pulpity bywały zalewane atramentem.

Wynalazek

Nauczycielka rozdając dzieciom książki i zeszyty radziła obłożyć je gazetą. Na drugi dzień zobaczyłam, że podpisano je wprost na gazecie, na druku, czego sama nigdy bym nie wymyśliła. Kiedy wyjęłam swoje, zrobił się szum, który

wkrótce przemienił się we wrzask, bo chłopcy szli po ławkach i po pulpitych, przepychając się, do naszej ławki, gdzie Zoja wymachiwała moim zeszytem. Poświęciłam bowiem jedną kartkę z kratkowanego zeszytu, wycięłam z niej etykiety, które obramowałam podwójną linią, atramentem, wypisałam, co należało i wycyganiwszy od Mamę łyżeczkę mąki, na ugotowanie kleju, poprzyklejałam na wszystkie okładki.

- Wynalazek! wynalazek! - uznali koledzy.

Musiałam całej klasie i nauczycielom tłumaczyć, jak się z mąki robi klej, który trzyma! Niż wiedzieli, że trzeba zagotować, bo robili na surowo i nie trzymał!

Doprawdy trudno mi orzec, czy oni dziwili się bardziej, czy ja. Naturalnie większość koleżanek w dowód przyjaźni przybiegła do mnie do klubu, aby im porobić i ponalkejać nalepki. Wykazałam na tyke przytomności umysłu, że uprzedziłam, iż pożyczone nożyczki /od pani Nowakowej/ musiałam już oddać, a kleić mogę, dopóki mi wystarczy ten klej, który mam.

Cała piąta klasa chodziła dumna, jak paw, w glorii wynalazku : etykiety, Nawet siódmoklasiści wpadali popatrzeć i wkrótce nowa moda zapanowała w szkole.

W tym kasie do kooperatywy dostarczono kredki ołówkowe, w sześciu kolorach. Tato mi dał na nie i za moim przykładem cała klasa zakupiła kredki, z czego rysownik i przyrodnik cieszyli się, jak dzieci.

Trudna matematyką, przed którą mnie delikatnie ostrzegano, miała aktualnie w programie mnożenie liczb trzycyfrowych przez trzycyfrowe. Bywało, że doprowadzała, szczególnie dziewczynki do łez, choć nauczyciel był spokojny i cierpliwy.

Język kazachski posługiwał się jeszcze alfabetem łacińskim, z paroma dodatkowymi literami, co u jednych uczniów wywoływało hałaśliwy śmiech, inni głośno krytykowali, że to za trudne i bez sensu. Uczył tego rodowity Kazach, podobno dawniej całkiem możliwy, według dzieci, dopóki mu się w głowie nie przewróciło, oć kiedy gdzieś w mieście kupił sobie nową koszulę. Była granatowa, jedwabna /szczyt elegancji/ i lśniąca /szczyt marzeń/ oraz zapinana na cały szereg guściciusienko przy sobie poprzyszywanych białych guziczków /szczyt szczytów!/ Napełniła go taką pychą, że zaczął gardzić całym światem, który naturalnie pękał z zazdrości.

Bogactwo nieraz wzbudza nienawiść.

Kaligrafia

Jednym z przedmiotów nauczania była kaligrafia. Lena kaligrafowała na tablicy jakiś wyraz, starannie tłumacząc, że wszystkie kreski pisane w dół mają być grubsze, co się da wykonać przez mocniejsze naciskanie pióra na papierze, a przy pisaniu w górę pióro lekko prowadzić, aby kreski były widocznie cieńsze. Kredą na tablicy to nie wychodziło wcale, bo kreda była twarda, a tablica mocno sfatygowana. Za to dobrze było widać pochylenie wszystkich liter w prawo i pod jednym i tym samym kątem.

- Macie w tych zeszytach do kaligrafii takie równoległe linie pochylone- pokazywała- Z tymi poziomymi, ma których piszecie, tworzą takie pochyłe kratki. Trzeba tak pisać, aby litery mieściły się w nich i pochylały tak, jak te ukośne linie na kartce. Rozumiecie?-

- Napiszcie mi na wzór jeden wyraz w zeszycie!-chłopiec z pierwszej ławki

- I mnie! I mnie!- zerwali się wszyscy chłopcy i już włązili na ławki, aby podejść bliżej.

- Cicho! Siadajcie! Już! Napiszę każdemu, kto będzie siedział na miejscu i to z zamkniętymi ustami!- zapowiedziała energicznie i /o,dziwo!/ skutecznie.

Marusia zajrzała do mojego zeszytu:

- O, jak ci się udało! Napisz tak i mnie!-

- Na wzór napiszę- zgodziłam się.

- I mnie też!- Zoja podsunęła swój zeszyt.

- Popatrzcie, to nie trudno!- pokazałam, a gdy mozolnie ~~zab~~ zabrały się do roboty, już następne dziewczynki podsuwały swoje.

Lena kolejno siadała na czterech chłopięcych ławkach, by pisać po wyrazie chłopakom, którzy robili miny, zaciskając ostentacyjnie usta, by nie stracić życiowej szansy.

W pewnej chwili ktoś otworzył, a raczej uchylił drzwi zzewnątrz, ukazała się głowa kierownika szkoły, kiwnął nią i zniknął.

- Co to?- szepnęłam do Zoji-

- Pewnie chciał zobaczyć, dlaczego jest tak cicho...-ale głośny dźwięk dzwonka zagłuszył dalsze wyjaśnienia.

Jeszcze we Lwowie, gdy do programu od stycznia 1939 wprowadzono język rosyjski, lamentowałam, że nie dam sobie z nim rady.

- Przecież macie ukraiński w liceum- pocieszała mnie moja przyjaciółka, Ala Dawidowicz- To trochę podobne, powinno być ci łatwiej.-

- Może trochę, ale się miesza, niektóre litery są inne, a z tymi "jerami" zamieszanie... Wole już francuski, albo łacinę. Tego, co nam Klaudia mówi, nic nie rozumiem...-

- Słuchaj, przecież to słowiański, więc wiele wyrazów już z samego brzmienia można się domyśleć, bo so jakos podobne...-

No, więc starałam się. Kiedyś, gdy szłam do spółdzielni, jacyś chłopcy mnie mijali i usłyszałam "Krasiwaja barisznia"...

- Co to mogło znaczyć?- zastanawiałam się? Doczego to podobne? "Krasiwaja", chyba do ukraińskiego "krasna", czyli chyba czerwona... A "barisznia" to coś jak wiśnia? Phi! Step całkiem łysy i gdzie tu niby czerwona wiśnia? Sens jest, ale zastosowania nie widzę!

Innym razem usłyszałam na poczcie słówko "chwatit". Bez kontekstu, więc nie mogłam się domyśleć, bo to było do kogoś i tylko tyle.

- Do czego to podobne? Chyba "chwycić"? Właśnie wysłałam pocztówkę do Ali, więc gdzieś tam z boku zapytałam o to słowo, bo matka Ali znała rosyjski.

Wyszędłszy z poczty spotkałam Niurwałę.

- "Niurwala, czto eto takoj "chwatit"?- zapytałam.

- O! "Eto :Bolsze nie nada!- wyjaśniła uradowana- a po kazachsku: "Bołde, dołde, dżetede!"-

- "Rachmet" Dziękuję! Rozumiem:" Dość, Dość, wystarczy- Zanim- po dwóch miesiącach nadeszła odpowiedź od Ali, już mogłam jej napisać, że to słówko znam w obu tubylczych językach.

Na lekcji przyrody Fiodor Iwanowicz Cepko napisał na tablicy temat lekcji.

- "Fiodor Iwanowicz! Adin wopros!"- zawołał uczeń

- Żadnych pytań teraz! Po wykładzie!- przeciął kategorycznie i klasa się uciszyła.

- " Właga" jest potrzebna ludziom do życia...- zaczął

- Co to może być?- zapytała mnie Irenka Nowak, która też się zapisała do piątej klasy

- Co to może być?- zapytała mnie Irenka Nowak, która też się się zapisała do piątej klasy, odpowiedniej do jej wieku, i siedziała ze mną w ławce, dzięki uprzejmości koleżanek.

- "Właga"... brzmi podobnie jak "władza", ale to chyba "właść"?- myślałam -Nie wiem..-

- Bez tego nie mogą żyć ani zwierzęta, ani rośliny..-głosił wykład.

- Woda...-

- A skąd ona się bierze?- pytał nauczyciel i odpowiedział : z wody!...-

- Wilgoć! Irenko!..-

- A wy dajcie możecie zadawać pytania od razu. Jak tylko nie rozumiecie jakiegoś słowa. "Poniali?"- zwrócił się nauczyciel do wszystkich uwaga cudoziemskich uczennic, co nawet swawolni koledzy pozostawili bez komentarzy.

Lekcje rysunków

Najwspanialsze ze wszystkich były lekcje rysunków, podczas których cały żywioł dziecięcy klasy piątej wybuchał niepohamowaną siłą.

Rudy, niezbyt wysoki Siemion Siemionowicz wszedł do hałaśliwej klasy niezauważony. Dopiero, gdy trzasnął z całej siły dziennikiem o stół, chłopcy zakończyli boksowanie, trochę mniej krzyczeli i dzieci zajmowały miejsca w ławkach.

- Siemion Siemionowicz! Czy wy wiecie, że my mamy kolorowe kredki!- już się ktoś dzielił nowiną.

- Tak, kredki! Mamy kredki!...-

- Mamy sześć kolorów!-

- Będziemy malować kredkami?- rozlegało się z wszystkich stron.

- „No, ka, ładno! Dawaj potisze!“...- zaczął

- Zoja, co muć dać ? Co to " potisze?"- dowiadywałam się

- A, to nie krzyczcie, uspokójcie się!...-

- A jego nazywają " potisze", bo on tak ciągle woła!- Rajka, siedząca przede mną odwróciła się, by mnie wtajemniczyć

Tymczasem nauczyciel usiadł przy stole i głośno myślał:

-A, co to takiego my mamy w programie na dzisiaj?"Potisze!"

A, wot! /"potisze! Potisze!/ My mamy w programie jabłko! Będziecie rysować jabłko! Słyszycie? JABŁKO!-

- A my nie widzieli!-

-Jak wygląda jabłko?-

- Nie będziemy rysować! Nie znamy!-

- Pokażcie nam to jabłko!-

- A, to trzeba jechać aż do Alma Aty...Zabierzcie nas do Alma Aty! Lidia Iwanowna może wie...- krzyczało to jedno przez drugie

Aż biedny rudzielec stracił cierpliwość i znów strzelił dziennikiem w stół, aby korzystając z chwilowej konsternacji zawołać:

- Potisze! Dawaj..oto w programie co stoi? Jabłko! To znaczy trzeba rysować jabłko! Ot, co! "Poniali?"-

Poprzez szum dziecięcych głosów przedarł się okrzyk Iwana z ostatniej ławki, też już nieco przerośniętego, jak na piątą klasę i aktualnie najwidoczniej przechodzącego mutację:

- Siemion Siemionowicz!- zaczął donośnym basem- Czy wy zdurzyli?- huknął swe retoryczne pytanie, a Irenka złapała mnie za rękę, z wrażenia zaczerwieniona aż po białka oczu.

- Zwróć uwagę, że zwrócił się z uszanowaniem, prze"wy", a nie przez "ty"- zdążyłam jej powiedzieć.

- A jakże my mamy rysować coś, czego my nigdy nie widzieli?- kontynuował logicznie i wytrwale, choć głos zmieniał mu się w coraz cieńszy pisk.

- A tak " so wsiem", to co to właściwie jest jabłko?- ktoś rzucił pytanie.

- Jabłko to jest owoc No, taki owoc do jedzenia...-

-Aha! Jak arbuzy i dynie?...-

- No, taki owoc czerwony, albo żółty. Albo zielony... wyjaśniał dalej

- No, to się namyślcie, czy czerwony, czy żółty, czy zielony?- zirytował się któryś z uczniów

- To niby jakim kolorem rysować?...-

- A może tak pół na pół zielony i czerwony?- ktoś zakpił

- Może być, "Prawilno"! Potisze!"-

-Żebyśmy choć raz widziały takie jabłko!- mówiła Klaudia za mną- A może wy widziały?- i po chwili liczne twarze i kilka szarpających rąk zwróciło się w naszą stronę.

Irenka roześmiała się, ja nie zdążyłam ani mrugnąć, gdy już słychać było:

- One widziały! Te Polki widziały jabłko!-

- No?- nauczyciel zbliżał się do nas: -Narysujecie?-

- Tak, narysuję..- ale zanim zabrałyśmy się obie do rysowania, już chłopcy, skacząc po ławkach ze wszystkich stron

, Przekazili po pulpitych, cisnąc się i popychając, aż dziewczynki zaczęły pisać i odganiać niesfornych kolegów.

- Tak, to ja nie mogę. Podusimy się. Narysuję i pokażę, jak wszyscy usiądą na swoich miejscach- powiedziałam, pomna przykładu Leny na lekcji kaligrafii, pewnie nie tak poprawnie, jak zdecydowanie i przy poparciu wymownymi gestami. Usłuchali.

Nauczyciel zatrzymał się przy naszej ławce. Irenka narysowała kształt jabłka ołówkiem.

- O, tak. To jest to!- Zachęcał

Ja zaczęłam kredką.

- Dlaczego fioletową? Czy jabłko jest fioletowe?- pytała Zosja zaciekawiona.

- Nie, jabłko nie, tylko cień zobacz, jak ja to robię...- A teraz na to kolor czerwony, a z drugiej strony jeszcze nie jest zaczerwienione, tylko zielone, bo czerwieni się od słońca...-

- Widziałas może, jak rosną? Tak jak pomidory?...-

- Nie, nie na krzakach. Na drzewach. Śpiewacie przecież

" Rozkwiwały jabłonie i gruszy"...-

- "Da, da! Katusza!...- Marusia się włączyła

- No, właśnie! O jabłoniach, a na tych jabłoniach rosną

jabłka...-

- A u nas nie rosną- westchnęła Rajka

- Ale są arbuzy i dynie i pomidory...- przyznała Irenka, kredkując swoje jabłko.

- Drzewa w stepie nie rosną...- powieziałam z żalem

- A jabłonie są w Alma Acie- przypomniał nauczyciel

- I tam, u nas, w Semipałatyńsku też rosną...- zaczął mały Griszka Kuszczij, nowy, bo dopiero od niedawna ojca jego z całą rodziną tu przeniesioną, chyba do pracy w zakładach naprawczych; zdaje się był inżynierem, może technikiem. w każdym razie to była rodzina inteligencji miejskiej,

- " Da, da u nas w Semipałatyńsku..." któryś z chłopców zaczął przedrzeźniać, aż mi się żał małego zrobiło.

- "potisze, potisze! -

- U nas, we Lwowie / to nasze miasto / też rosną!- nie wytrzymałam, łypnąwszy okiem do Irenki.

Nauczyciel doczekał się, wziął w rękę mój zeszyt rysunkowy w którym już czerwieniło się jabłko ze światłocieniem oraz w przekrojach : podłużnym i poprzecznym.

- Oto macie jabłko, jak żywe! I przekrojone: tędy i tamtędy!-
demonstrował "Potisze"- To jest jabłko! A to chudożnik...-
- A to co?- szepnęłam, myśląc: "chudziak?"...-
- Artist!- odpowiedziała mi Zoja.
- Popatrzcie i na to! - Marusia i Klaudia podsunęły zeszyt
Irenki, ale dzwonek, równocześnie z owacją klasy zagłuszyły
resztę, więc rudzielec, wzięwszy oba zeszyty, ruszył do wyjścia.

Po lekcjach zatrzymał mnie kierownik szkoły:

- Ty, chudożnica, chodź na zebranie teraz! Do siódmej klasy.-
Zebranie było niemal tak żywe, jak lekcja rysunków. Uczniowie,
po kilku z każdej klasy, wybierali samorząd. Wszyscy nauczyciele
uczestniczyli w zebraniu. Po dokonanych wyborach kierownik
zapowiedział, że Siemion Siemionowicz chciał zebrać głos.
Udzielono mu.

- Ja mam taką propozycję. Mamy w szkole "priamo chudożnika"
Wobec tego trzeba robić gazetkę ścienną. Pisać artykuły, malować
i to się powiesi na ścianie i wszyscy mogą czytać. No, a potem
wyślemy na konkurs gazetek szkolnych. "No? A?" - i zademonstrował
arcydzieła nowych uczennic, owe jabłka, dumny z odkrycia
niebывałych talentów. Pomysł i kandydatury rysownika i
zastępcy-pomocnika przyjęto z ożywieniem. Nie muszę dodawać,
że na zadanie domowe musiałam rysować w trzydziestu zeszytach
jabłka.

Następnym razem: różę.

Kiedy w programie " stało, jak byk, że trzeba rysować szafę,
już nie jeden głos zadawał niedyskretne pytanie nauczycielowi:
"Czy wy zduryli?", przekrzykując inne: "Czto eto takoj?"

Zafrasowany Siemion Siemionowicz, przekrzykując głośne objawy
zainteresowania młodzieży tematem objaśnia wytrwale:
- Szafa, rozumiecie, /"potisze, potisze!/" to jest taki mebel z
drzewa, znaczy się drewniany, i stawia się pod ścianą, aby w niej
wieszać ubrania..."-

Nagle jakiś głos przerażony donośnie zapiszczał:

- "Oj, ba-joj!" A to w czym chodzić? Nago?!-co wywołało głośne
uznanie. Obie z Irenką widziałyśmy, że takiego mebla nie było na
tym stepowym, dalekim odludziu, a do tego faktycznie nietylko nie
był dzieciom znany, lecz najczęściej, wobec stanu posiadania,
całkiem zbędny, zaledwie w paru domach zastąpiony jakimś
drewnianym kuferkiem.

Tak... O wielu troskach i smutkach można było zapomnieć w
tej szkole... A tymczasem życie toczyło się dalej.

Szykowanie kwater

Młodego drukarza zabrano do pracy przy kombajnie na żniwach, drukarenkę zamknięto, a Ojca przerzucono do pracy na chutorze kazachskim, po drugiej stronie rzeczki, gdzie władze zdecydowały się poświęcić jedną owczarnię na zlokalizowanie Polaków, zajmujących lokal klubu, bez którego latem mogli się obejść, co zimą było nie do pomyslenia.

Tato, pracując przy przeróbce, czy raczej dostosowaniu owczarni na kwatery dla Polaków, został zatrudniony niejako w charakterze chłopca do podawania cegieł tym, którzy pracowali, jako miejscowi murarze.

Cegły wykonywano w sposób nieskomplikowany. Do ~~doku~~ z gliną wlewano wodę i nawóz krowi i wpędzano wołu, aby chodząc na powrozie, wymieszał to na jednolitą masę. Z braku wołu tę pracę wykonywały trzy kobiety, własnymi nogami. Mokra, ciężka glina chłodziła nogi, już po jednym dniu tak obolałe, że nocą utrudniały sen.

Wymieszaną gliną napełniano drewniane formy, z których uformowaną zawartość wysuwano na trawę, ustawiając każdą na słońcu, osobno, aby wyschła. Wysuszona ze wszystkich stron stanowiła już gotowy materiał budowlany.

Każda taka surowa cegła, niewypalana, była bardzo ciężka. Przynoszenie i dźwiganie ich, podawanie w górę do rąk murarza to była praca pewno ponad siły mojego Ojca. Kiedyś nie zauważył, że odbiorca jeszcze jej nie chwycił i ciężka cegła spadając zraniła boleśnie wielki paluch u nogi Tata. Ledwie dokuśtykał do lekarza, choć stamtąd było dość blisko, a potem z trudem dowlóknął się do domu.

Nogę moczył, zmieniał opatrunki, chodził kulejąc do pracy bo zwolnienia nie otrzymał, gdyż zbyt wielu Polaków je już miało.

Długa owczarnia, jak wszystkie inne tutaj, miała jedyne wejście w jednej ze swych krótkich ścian. Okien nie było. Przeróbka polegała na podzieleniu całości na pięć części, dobudowanymi ścianami, wewnątrz. Każda z tych części została przeznaczona na osobne trzy pomieszczenia: środkowe, małe - do którego wiodły dorobione drzwi zewnętrzne i dwa, większe po obu stronach tegoż korytarzyka, do których prowadziły drzwi wewnętrzne. To były właściwe izby mieszkalne, z małym okienkiem, o szybcie wmurowanej / wlepionej gliną / bezpośrednio w mur.

Wszystkie drzwi i okienka zwrócone były ku południowi, tak samo, jak we wszystkich lepiankach tego kazachskiego chutoru. Dawne wejście do tej byłej owczej stajni zamurowano. Dach wykonywano z gałęzi takich samych krzewów, jakie służyły za opał, ale zwieziono ich mało, nałożono skąpo, za rzadko, zarzucono słomą zbyt oszczędnie i zalepiono gliną.

W każdej kwaterze zbudowano kuchnię z takich samych, nie wypalonych cegieł, o takim samym palenisku, bez osobnego pod nim miejsca na popiół, bo nie było rusztów. Kuchnia posiadała jedyne drzwiczki, pojedynczo. Brak płyt kuchennych murarze chcieli zastąpić cegłami, co pan Wojciechowski pierwszy spenetrował. W traktornym parku wygrzebał na złomowisku różne kawałki blach i z tego później z Ojcem ułożyli pseudopłytę kuchenną, wybierając najmniej zardzewiałe części. Od paleniska prosto w górę, na dach, wychodził kawałek rury blaszanej, jako komin.

Interesowaliśmy się tymi naszymi przyszłymi kwaterami, zastanawiając się, jak zdołają nas tam wszystkich upchać.

Znowu przeniesienia

Władze nie myślały się tym martwić. Pewnego dnia przyszli do klubu nasi dygnitarze, z gotowymi listami, według których porozsyłali znów grupy Polaków po następnych dziurach. Tym razem na czwartą fermę.

Pamiętam, że między innymi, na chutor "Górne" tej fermy skierowano panią Marchutową, wywiezioną, jako żonę aresztowanego sędziego, wraz z córką Krysią. Była to ładna czternaśtolatka, wysoka szatynka, o wijących się włosach i dużych, niebieskich oczach, o szczególnie pięknej oprawie. Miła i koleżeńska. Prosiła, by ją nazywać Kiki, jak niegdyś w dzieciństwie, gdy w szkole to imię Krystyny było zbyt popularne.

Chyba też tam wysłaną młodą Żydówkę z tym małym synkiem, Igiem, który miał wadę wrodzoną: źle osadzone obie kości biodrowe; Trudno było mu chodzić normalnie, tylko biegał, kołysząc się, jak kaczką. A może oni wcześniej wyjechali do Urdżaru, nie pamiętam, mogę się mylić.

Nie pamiętam też kiedy Centralę opuściły pani Langowa z córką / Magdaleną?/, bardzo inteligentną i miłą studentką, chyba filozofii. Utykała na jedną nogę.

Na chutor "Dolne" czwartej fermy, gdzie hodowano mleczne krowy i świnie, przeniesiono też parę rodzin, wśród nich panią Kijanowską, z Danką, młodszą o dekadę rok i o parę lat młodszą Ewą, krzykliwą i niesforną. Zdaje mi się, że także pani Bronisława Stanek też się tam znalazła.

Od decyzji władz nie było odwołania.

Dzieci

- Wiesz,- zwróciła się do mnie Zoja- jak już się wypro-
wadzicie z klubu, to może kiedyś znów przyjedzie kino...-

- Właśnie! Przyjechało raz do nas kino! Czy widziałas
kiedyś ruchomy film? I dźwiękowy?!- włączyła się Marusia.

Irenka uśmiechnęła się, patrząc porozumiewawczo:

- U nas są kina, dużo kin...- ale nie słuchały

- Był film o Wielkiej Rewolucji. Wspaniały! Wszystko,
jak żywe: ruszali się, mówili, strzelali... Jak żywe!...-

Żał mi było tych dzieci...Kiedyś mała Niurwał zapytała,
czy widziałam miasto, gdzie domy" stoją jeden na drugim,
a dach jest jeden, na samym wierzchu". Jak bezbadziejnie
zubożone jest ich życie, tak daleko oderwane od świata.

Małe dzieci zawsze wzruszały mnie swoją bezradnością,
zależnością od dorosłych i ufnością, jaką w nich pokłada-
ły. Tu kazachskie maluchy patrzyły zwykle smutno czarnymi,
początkowo bezręszymi oczkami, o powiekach zgrubiałych
na brzegach i wyraźnie zarysowanej fałdzie mongolskiej.
Często płakały, co sam fakt nieprzestrzegania higieny
wystarczająco mi wyjaśniał. Nie miałam i nie miałam z cze-
go zrobić tam jakichkolwiek zabawek, których całkowicie
były pozbawione, podobnie zresztą, jak i nasze, polskie
dzieci. Mała Basia ze swoją lalką Fajusią stanowiła wyją-
tek, a jej lalka, niegasnący obiekt zainteresowania;
ale naszym dzieciom przynajmniej mogłam opowiadać bajki,
w rzadkich już teraz wolnych chwilach, za którymi prze-
padały. Potem, słyszałam, że sześciolatnia Dziunia opo-
wiadała je młodszemu.

Nie było też co marzyć o cukierkach dla dzieci. Przez cały
okres pobytu w Tas Bułaku, tylko czterokrotnie dowieziono
je do spółdzielni, a ponieważ cukier zjawiał się tam w tym
czasie tylko trzy razy, co tak samo wydawano po dwieście
gramów na osobę w kolejce, nie dla wszystkich wystarczało,
a gdy po wielogodzinnym czekaniu już się to zdobyło, to
trzeba sobie było dzielić.

trzeba było sobie racjonalnie wydzielać. Na przykład cukierek z zasady stawał się kolacją.

Dzieciom tubylczym swą sympatię okazywałam zwykle, gładząc je po buziach / po włoskach bym się nie odważyła, to było ryzykowne, choć nie było w tym ich winy/ i uśmiechając się oraz przelotnie zabawiałam tym strzelaniem z palców, znanam mi od Mamy i "żabką", która nie przestawała im się podobać, biedactwom. Nieraz, gdy mijane prosiły mnie o to niezrozumiałymi słowami i zrozumiałym gestem, myślałam, że to całe ich szczęście, że nie mają pojęcia, jakie może być dzieciństwo człowieka na normalnym świecie i nie mają pojęcia o tym, jakie nieszczęśliwe są w istocie w tym klimacie nieludzkim, w tych warunkach urągających higienie, w tej nędzy takiego bytowania.

O nasze dzieciaki matki starały się, jak tylko mogły, by nie głodowały, a przede wszystkim o ich higienę osobistą, jak tylko to było możliwe, aby były myte, kąpane, strzyżone, przeglądały im co dzień odzież i włosy. Te dzieciaki, które pamiętały swój dom i życie przed wywiezieniem, miały już swoje doświadczenie życiowe, ale równocześnie i wspomnienia szczęśliwego życia, o którym marzyły, opowiadały, tęskniły. Miały już ten sobie dostępny świat bogactwa psychicznego, za który płaciły tęsknotą, jak ta dwuletnia Ziuteńka w podróży, za wieczorną kąpielą.

Gazetka ścienna

W szkole uczono nas marszowej pieśni bojowej, której chwytliwa melodia wkrótce rozbrzmiewała po całym osiedlu:

" Bronia kriegka i tanki nasze bystre!"

/ tego wiersza nie pamiętam/

" W stroju stojat sowieckoje tankisty,

Swojej lubimój radiny syny..."

Refren jej umiłał mi czas/ według śpiewaków/ gdy zatrzymana po lekcjach, poświęciłam się ilustrowaniu gazetki:

" Grimiat agniom, błyskajet światłom stali.

Pajdut maszyny w jarostnyj pachod,

Kągda nas w boj poszłot towarisz Stalin

I pierwyj marszał w boj nas powiediot! "

Przy tym akompaniamencie powstawał pierwszy, historyczny numer. W kąciku, w rubryce " Z życia naszej szkoły" już wypię-

sano rodzimą satyrę na niegodziwego chłopca z pierwszej fermy, który jako jeden z pięciorga uczniów na całą szkołę, ku zazdrości wielu innych, otrzymał w darze parę bucików, o których każdy marzył, bo kupić nie było gdzie. Grono pedagogiczne go wytypowało, bowiem faktycznie tych osiem kilometrów z Dżyldykara do Sigisbaju w jedną stronę trudno na bosaka przemierzać w jesienne i zimowe pogody.

Satyra tak mniej więcej wyglądała/ w moim tłumaczeniu/:

" Nie chodził Pietia do szkoły,
Bo nie miał bucików.
Dostał... więc zamiast w klasie,
Siedzi przy strumyku,
Bo niby po co mu się
Nad zadaniem głowić ?
On woli na swobodzie
Ryby sobie łowić,
Za co pochwali go matka
I braci gromadka!..
I jutro też na ryby
Pójdzie, znów wesoły!
Bo gdy już buty dostał,
To po co iść do szkoły?!..."

- - Narysuj tutaj, jak Pietia łowi ryby!- pokazano miejsce
- I koniecznie te jego nowe buty! Żeby było widać!...-
- Ależ ja go nigdy nie widziałam. Nie wiem, jak wygląda...

wysuwałam zastrzeżenia

- Zwyczajnie, ma jasne włosy, żółtą kredką będzie akurat..
- Ma głupią gębę- dorzucił przyjaciel Piotra
- A włosy takie krótkie, nastroszone do góry, tak:-inscenizowała siódmoklasistka.

- I grzywa, o tak, na ukos- dodała inna
- Jeszcze perkaty nos...-
- I uszy! Uszy odstające na dwa boki...- dorzucano aby nie brakło charakterystycznych szczegółów.

- Dobrze! świetnie już go sobie mogę wyobrazić- śmiałam się z tej pilności w odtworzeniu portretu bohatera.

Podkreślając dobitnie podane cechy urody, wyrysowałam go siedzącego w pozycji "trzy czwarte", na nadbrzeżnym urwisku, z długim kijem w ręce. Na końcu kija znalazła się potężna ryba, inne, drobniutkie, pływały w słoiczku, obok. Cienkie, o kanciastych kolanach nogi chłopca zwisały z tego urwiska, zakończone wspaniałymi, czarnymi, lśniącoymi buciorami, z któ-

rych blizy promienie na wszystkie strony.

- „Charaszo! Otliczno” Oto cały Pietia! Jaki prawdziwy! Jaki podobny! Jak żywy!..-

- A te buty! Wspaniałe buty! Aż szkoda dla takiego!..-

- A te ryby! Takie ryby!..- komitet redakcyjny docenił walory kolorowej karykatury.

- A to ja tam dzisiaj zajdę do niego! Aby ten durak wiedział! - ofiarował się sąsiad Pieti.

- Prawilno!- zgodził się Siemion Siemionowicz.

- Skończycie dzisiaj? - zapytana Lidia Iwanowna, wychodząc z klasy kazachskiej, już po lekcji - i podeszła, aby zobaczyć, a po chwili dołączył pan Cepko i razem wyrażali swą aprobatę dla pierwszego numeru „Naszej Gazetki”, na której, u góry, coś tam dopisywał autor poematu, u dołu coś kończyła jedna z siódmej klasy, a ja rysowałam kolorową ramkę z gałęzi i kwiatków, co zakończywszy, oznajmiłam, że muszę już iść.

- Jeszcze chwilę!- zatrzymywali

- Robi się ciemno, a kazachskie psy są na noc spuszczone.

Rozszarpią mnie...- oponowała.

- A jeszcze tu i tu trzeba coś dorysować!..-

- To już musisz ty, aby jedną ręką!..-

- Odprowadzimy!- dodał nauczyciel.

I dotrzymani słowa. Więcej: dotrzymani mi towarzystwa, niosąc zapaloną latarnię stojącą, taką, jaką traktorzyści zawieszali sobie nocą na traktorze, podczas pracy. Te „fanari” miały szkiełko odrutowane i uchwyt do noszenia. Czułam się godnie wyróżniona! Tuż przed klubem spotkałam Elę, Cesię, Matyldzię i Irenkę, które, zaniepokojone moją długą nieobecnością, wybrały się na przeciw.

- Ale parada!- Irenka pierwsza zobaczyła pochód.

- „Nu, ka”... prowadzimy chudożnicę, aby jej psy nie zjadły!-

- „ Da, da!” A to nie byłoby komu tego namalować w gazetce!- tłumaczyła uczciwie moja obstawa, poczym pożegnawszy jasnie oświetloną osobę i jej towarzyszkę życzyła nam dobrej nocy.

Na drugi dzień Pietia przygalopował do szkoły pierwszy, jeszcze przed jej otwarciem, którego się nie mógł doczekać. Gdy zobaczył swój wizerunek i przeczytał poemat, chciał od razu odedrzeć tę rubrykę:

- To muszę pokazać mamasy i dzieciakom w domu i na całej fermie, co wy sobie myślicie!”- protestował, gdy mu przeszkodzono. Dopiero Lidia Iwanowna zdołała go przekonać, że gazетка jest przewidziana do wysłania na konkurs, do samego Semipałatyńska, co jakoś zrekompensowało jego zawód.

- Ty! Polka! Gdzie ty mnie widziała, że ja taki, jak żywy? - zaszczycił mnie protekcyjnym tonem pytając z piedestału swojej sławy i poklepał po ramieniu, nim, zdumiona, zdołałam odskoczyć. I chodził bardzo pilnie do szkoły, póki mógł podziwiać portret i hymn na swą cześć stworzone, obnosząc uroczysto swoją ważność, bijącą blaskiem promiennym, niczym ów blask butów na gazetce, czując się wreszcie raz w życiu dowartościowany.

Ale życie jest bezwzględne i obowiązki rodzinne w pomocy wyżywienia czeredy rodzeństwa, skierowały znów jego obute kroki w stronę rybnej rzeczuki. To jest życie...

Deszczowa niedziela w klubie.

Czas biegł nieodwołalnie i jesień ogarniała już step.

Do Nowotrojska wychodziło się później, ale trzeba było zrezygnować z odpoczynków po drodze i pobyt w kołchozie skracać do minimum. Już mi się goiły rany na nogach, pozostawiając tylko sine blizny, ale noga Ojca, z tym opuchniętym i sinym paluchem, wciąż obolałym, skłoniła go w końcu do wyrażenia zgody, by poprosić panną Milę o zbadanie, czy kość nie została uszkodzona. Na szczęście nie wyglądało na to. Pracował nadal na budowie, jak to szumnie nazywano. W niedzielę planował wyprawę ze mną do Nowotrojska.

Już w nocy wiedzieliśmy, że nic z tego. Deszcz rozpadał się ulewny. Przeciekł przez dach klubu i zalewał ludzi na ich legowiskach, budząc nieszczęsnych i siejąc popłoch. Tu i ówdzie zapalano zapalki, ktoś poświęcił ogarek świeczki, przysłanej ze Lwowa, bo na miejscu nie było, ktoś podstawił naczynia pod przecieki z dachu, aby nie mokły posłania, które pośpiesznie odsuwano na miejsca suche lub niezagrażone.

Nocna sążnista ulewa przerodziła się w uprzykrzony, nieustanny, jesienny deszcz. Mieszkańcy klubu siedzieli otępiali na swych zwiniętych na ziemi legowiskach, snuli się pomiędzy nimi, zatrzymując się dla wymiany kilku zdawkowych uwag, omijali garnki, miednicę, pani Nowakowej Ani i cebrzyk : starszej pani Nowakowej, do których kapało z dachu. Łazili między kuchnią, gdzie sprawdzali, czy się pali i czy się znajduje miejsce na płycie, a wejściem do sali, by zobaczyć, czy się deszcz nie uspokaja.

Nawet w kuchni nie miały panie ochoty do romów czy płóteczek, markotne i udręczone trudnościami w utrzymywaniu płomienia pod blachą.

płomienia pod blachą, skąd wiatr dmuchał dymem prosto w twarzę.

W sali przejścia na podłodze zdeptane były błotem, panował półmrok i zaduch, a rytmiczne kapanie z dachu metalicznie brzmiało na różne tony.

Pani Jaworska bez przekonania siliła się na pomyślne kabały, a pani Kierepkowa napomknęła coś na temat błogosławieństwa dobrych snów, oczekując daremnie, że to kogoś zainteresuje.

Ela zajęła się pisaniem listów, przy swym okienku. Cesia przycunęła przy okienku Cioci Izy, gdzie usiłowała czytaniem książki znieczulić ból zęba, a ja położyłam się z bólem głowy i nadzieją na sen.

Zamiast snu narzucały mi się okolicznościowe rymowanki, nie pierwszy raz: już kilka wierszyków miałam gdzieś w ukryciu, nagryzmołonych na jankich świstkach. w chwilach nudny, jak na przykład ten, pisany w dniu imienin Wandzi, inspirowany nimi, powstawał w drodze z Nowotrojska, skaracając mi znacznie poczucie czasu.

"Kołysanka" powstała pod wrażeniem nocy, spędzonej w Łaj-Bułaku, pierwszej poza wagonem, Inny odzwierciedlał noc naszego rozstania ze Lwowem. Te rymowanki, uważane za osobistą słabość, miałam nadzieją kiedyś pokazać Ali/gdy wrócimy/, przekonana, że ona nie wyśmiej.

Częste bóle głowy, które dokuczały mi od dzieciństwa, co przypisywano anemii lub niestrawności, ostatnio stły się zupełną plagą. Niestety Mama cierpiała na nie, chyba znacznie gorzej. Nie skutkowały żadne okłady, czy kompresy z zimnej, czy gorącej wody.

- Może poprosić o proszki od bólu głowy, jak będę pisała do Lwowa?-radziłam się Mamy.

- Nie wiadomo, czy dostaną... Poprosić możesz, ale czy to coś nam pomoże?...Przecież to głównie z głodu...- dodała ciszej.

Kilka proszków udało się gdzieś zdobyć Jarkowi, a Marysia wyjaśniła, że zleciał cały Lwów i więcej nie znalazł. Doszły na wiosnę, bo zimą paczki szły pół roku.

A deszczowa niedziela w klubie pozostawiła zapis w zeszytach z rymowankami.

Korespondencja. Rodzina.

Przychodziły już listy od rodziny. Napisała Dzidka, czasem Leon, rzadko Ciocia Jula, a był też list od Marylki i Olka, jej dzieci.

Leon napisał, że ostrzeżony pewnego wieczora, zdążył razem z Dzidką niespostrzeżenie wyjść z domu i ukradkiem wyjechać zabierając znikomą ilość swych najkonieczniejszych rzeczy. Później otrzymał wiadomość z Grzymałowa, od swej gospodyni, pani Michuckiej, że faktycznie w nocy przyszli, aby ich aresztować.

We Lwowie, oczywiście poszli do naszego domu, na Sieniawską, gdzie po jednej stronie mieszkała Babcia i Wuj Tadek, po drugiej zaś Wuj Dziunek, starszy syn Babci, z Ciocią Julą, Marylką i Olkiem. Wojna opóźniła remont domu po pożarze / kwiecień 1939 r. / i po babcinej stronie były tylko "ślepe podłogi", bo o deski było strasznie trudno z różnych względów. Ciocia sprzedała maszynę do szycia, aby zdobyć pieniądze i w ich części domu już podłogi ułożono.

Wciąż niepewni jutra, Leon i Dzidka zdecydowali się na rozłąkę. Ona wyjechała na wieś, by objąć posadę w Mukaniach w szkole, gdzie uczyła Zocha Ciesielska, a jej brat był kierownikiem. Leon zabezpieczył się, wstąpił na kurs dla nauczycieli języka rosyjskiego, organizowany dla kandydatów przez ówczesne lwowskie władze oświatowe. Przeżywszy dziewięć lat swego dzieciństwa na Ukrainie rosyjskiej, potem sowieckiej, skąd z całą rodziną powrócił do kraju w wieku lat dwunastu, w 1923 roku, znał język dobrze i to go naprowadziło na ten pomysł. Pozostał u naszej Babci.

Ciocia Jula donosiła, że jest w stałym kontakcie z adwokatem, któremu Ojciec, znając go, powierzył obronę Wandy. Ciocia znała go również, był Ukraińcem także. Uspokajała nas w imieniu pana Skibińskiego, że jest dobrej myśli, bo złożył apelację i ma nadzieję uzyskać zmniejszenie wyroku, z tych pięciu lat.

Sama Ciocia żyła, jak w transie: jak najczęściej starała się odwiedzać matkę, mieszkającą u córki z mężem, na Łyczakowie. Okazało się, że ma raka gardła i sprawa była beznadziejna.

Marylka zadawała egzaminy w trybie przyspieszonym, ponieważ medykom dano takie terminy, aby jaknajszybciej uzyskać wielu lekarzy. Olek, siedemnastoletni, przeniósł się z trze-

ciego do ósmego gimnazjum, a stamtąd do byłej szkoły Urszulanek, gdzie, jak wszędzie zlikwidowano klasztory i wprowadzono koedukację. Tam polonistką była nasza, znacznie starsza kuzynka, Zosia Drewniewska.

Lolek

Najczęściej ze wszystkich pisywał Lolek Sawkiewicz, student drugiego roku Politechniki Lwowskiej, sympatia Wandy ze świetlicy starszoharcerskiej. Pochodził z Sosnowca, gdzie miał rodziców i brata, od których oddzieliła go nowa granica. We Lwowie mieszkał na stacji u teściowej swego brata, która mieszkała z córką. Zanim nas wywieziono, bywał bardzo częstym gościem, wciąż z nadzieją uzyskania jakichś wiadomości o Wandzi. Potem zachodził na Sieniawską, by dowiedzieć się także i o nas. Z Leonem znali się ze świetlicy.

Gdy napisaliśmy wreszcie do Babci i otrzymał nasz adres, pisywał długie listy, o wszystkim, co się działo w rodzinie, wśród przyjaciół i znajomych, we Lwowie i na świecie, od którego byliśmy odcięci. Narazając się na represje zatrzymał radioaparat, by słuchać wiadomości z Londynu, które nieraz pisał w skrócie na maszynie, rozdawał wśród przyjaciół, a często też wkładał nam do listów.

Brak mi słów, do wyrażenia wdzięczności, za te wszystkie listy! To był najżywszy i najbardziej spontaniczny nasz kontakt ze Lwowem, ze wszystkim, co odczuwaliśmy ze smutkiem, jako świat miniony. Wszystkie listy przyjmowaliśmy ze wzruszeniem, z wdzięcznością i zrozumieniem, ale też ze świadomością że nie są pozbawionej tej intencji "ku pokrzepieniu serc". Lolka listy, bezwzględnie szczere, nie omijały nawet jego osobistych rozterek, czy poczucia bezsilności, które musiał dźwigać na swych dwudziestu paru-letnich barkach.

Nawet skomplikowane sprawy rodzinne, pomijane, lub ledwie wzmiankowane przez Dzidkę, czy Leona, Lolek nam potrafił wyjaśnić, z całym zrozumieniem, że interesuje nas najdosłownie w świecie wszystko, co się tam dzieje i przykro nam, gdy czujemy się od nich odsunięci. I tak już nas życie odsunę-

ło na boczny tor! Nieraz poszczególne wiadomości z różnych listów składaliśmy razem, niczym mozaikę, aby dojść do tego, co się tam dzieje, czy o co chodzi. Najczęściej dopiero list Lolka wyjaśniał sprawę w kilku konkretnych zdaniach i nie trzeba się było głowić, gubić w domysłach i denerwować niezrozumieniem treści właściwej, czy też intencji autora listu.

Dzidka przyjeżdżała do Lwowa co dwa tygodnie, z czym Babcia łączyła pienne nadzieje na zaprowiantowanie ze wsi, o co nie było łatwo. Leon, który pozostał na Sieniawskiej, "bo się nie miał gdzie podziac", jak pisał, dawał Cioci Juli na swe wyżywienie część otrzymywanego stypendium. Był to dla niego duży wydatek, dla Cioci mały udział w_e wzrastających kosztach. Babcia, zawsze żywiąca się głównie mięsem, musiała na starość rezygnować z dawnych nawyków. Dzidka, gdy wpadała, robiła pranie i sprzątanie, bo tym nie było komu się zajmować. Potem zwykle koleżanki pisały mi w ten deseń:

- Widziałam twoją siostrę w kościele, ale nie śmiałam podejść, bo płakała...- Nie wątpię, że było jej ciężko.

Babcia zaczęła odczuwać dolegliwości sercowe. Początkowo ukrywało przed nią nasze wywiezienie, ale gdy Ciocia Jula, zamiast Mamy wzięła do prania rzeczy Staruszki i Wujka Tadzka, który był dla niej szwagrem, Babcia wyliczyła sobie, że nikt od nas, z Mącznej nie odwiedził jej od trzech tygodni i zaczęła dopytywać się, co się właściwie z nami stało.

W końcu zdenerwowała się, że pewnie nic innego, tylko cała rodzina uległa zaczadzeniu. Podreptała na stronę domu Wujka Dziunka i Cioci i zobaczyła tam nasze meble. Te same, piękne meble, które Wujek Dziunek, uczeń szkoły Kenara /której nie ukończył z powodu Pierwszej Wojny/ osobiście i własnoręcznie zrobił i wyrzeźbił, w zakopiańskim stylu, naszej Mamie na wyprawę...Widok naszych mebli u Wujostwa kompletnie Babcie załamał. Musieli powiedzieć jej prawdę, która nią wstrząsnęła.

Gdy już daliśmy znać o sobie, Babcia wyczekiwała listów, interesowała się zawartością wysyłanych paczek, doradzała, czasem coś dodała. Nasze listy czytała pilnie, a że już sama nie pisała, prosiła, by mi napisano, że czeka, a gdy wrócimy, położy mnie na dwa tygodnie do łóżka, będzie pielęgnować i gotować same przysmaki, abym po tej niewoli mogła wrócić do sił. Mamę, dla której raczej zawsze była tylko wymagająca i nie okazywała serdeczności, kazała w każdym liście od siebie pozdrowić, co Mamę zawsze wzruszało do łez.

Wujkowie obaj nadal pracowali w babcinej strażnicy kominiarskiej, jako kominiarze, po ojcu, do czego Babcia, jako wdowa bez innych środków utrzymania, obu nakłoniła.

O Wujku-Tadku Lolek napisał, że mu kiedyś opowiadał o kłopotach finansowych uniemożliwiających skończenie remontu. Wszystko złoto babcine, obu wujków i Cioci Juli, a było tego dość, zastawili w miejskim lombardzie latem 1939r. /przy

ul. Wałowej/, potem nie zdążyli odebrać i przepadło, tak samo jak resztki oszczędności w POK oraz cały wkład asekuracyjny.

-Całe życie człowiek składał na czarną godzinę- zakończył- ale nie przewidział tej czerwonej!...-

Młodzież

Młodzież szkolna, pozbawiona nauki religii w szkołach, pozbawiona we Lwowie licznych klasztornych szkół średnich, zbierała się samorzutnie w kościołach, gdzie w niedziele odprawiano dla niej po kilka Mszy św. z kazaniami obejmującymi cykl wykładów z dogmatyki i z etyki katolickiej. Dawne uczennice Nazaretanek oraz przeważna część młodzieży z Łyczakowa najliczniej gromadziła się teraz w kościele Karmelitów, na górcie, u wylotu ulicy Kurkowej, którą przejeżdżał tramwaj numer cztery, na Wysoki Zamek, jadąc przez całe miasto aż z ulicy 29 listopada.

W tym kościele był obraz św. Tadeusza, patrona spraw bezradziejnych, którego kult właśnie w owym czasie bezradziejnym szeroko się upowszechnił.

Tam kiedyś Lolek odnalazł moje przyjaciółki: Alę Dawidowicz, potem też Marysię Stankiewicz i nawiązał z nimi kontakt, o czym wiedziałam z ich relacji: przekazywali sobie informacje i listy Marysi bratowa z matką i dwuletnią córeczką też zostały wywiezione.

Marysia miała zwyczaj pisania listów przez kilka dni, co dzień po trochę dodając, niby taki rejesrt aktualności, pełen różnych wieści, napływających dzień za dniem. Też było co czytać, tylko, że przychodziły rzadziej. Czasem spisywała nowe kawały, z których jeden pamiętam, jako charakterystyczny dla tamtych dni.

" Na mityngu władze ~~zapisywały~~ zapowiedziały zapisywanie ochotników do bezpłatnej pracy na rzecz radzieckiego związku. Spędzeni ludzie patrzą w ponurym milczeniu. Po dłuższym oczekiwaniu zgłasza się jakiś stary:

- Ja ! Mnie zapiszcie! Mogę pracować za darmo, dla was!-
- Ot, charaszo! Ile godzin?..-
- Dwanaście.-
- Kiedy?-
- Co dnia. W swoim zawodzie...-
- Oto i przykład dla wszystkich! Charaszo! Zapisujemy! Jaka wasza specjalność?-
- Grabarz!-

Początkowo, ci pierwsi, otrzymujący listy, czytali je prawie w całości na głos, na całą salę. Tak silna była potrzeba dzielenia się każdym okruczem wiadomości ze Lwowa, z Kraju, o który przecież mieliśmy dość powodów, aby się martwić i niepokoić. Potem już odczytywało się fragmenty wiadomości ogólnych, pozostawiając rodzinne we własnym kręgu. Rzadko przysyłane kawały cieszyły się ogromnym powodzeniem, bo mało kto raczył nimi zesłańców, nie wiedząc, na co u nas trafią, czy nie spowodują rozgoryczenia zamiast przynieść odrobinę pociechy.

Gdy je ktoś dostał, odczytywał powiele razy w spółmieszkańcom i znajomym z innych ferm, ciesząc się, że tam naród nie upada na duchu, mimo wszystko. Bywało, że dzieci bawiły się, odgrywając scenki, zaczerpnięte z kawałów.

Nowina

Kiedyś Ciocia Jula napomknęła w liście, że "Dzidka spodziewa się dziecka". W tamtych czasach wyrażenie "jest w ciąży" uchodziło w słownictwie lekarskim, poza tym, w mowie potocznej uważane było raczej za wulgarne.

- Powariowali! Jak mogą? W takich czasach! przecież jest wojna!...- oburzyła się Ciocia Iza, a Mama rozplakała się i wyszła.

Czekałam w napięciu, co na to powie Tato, gdy wróci z pracy. Przeczytał list też słowa i zaczął skręcać papierosa.

- Przejęty...- pomyślałam, ale w końcu nie wytrzymałam, odważyłam się pierwszy raz w życiu sprowokować rozmowę z Ojcem na taki temat. Naturalnie reprezentowałam pogląd Cioci Izy, której nie było w jej kąciku, bo gdzieś wyszła. Mama była w kuchni.

Ojciec przyjrzał mi się uważnie.

- To nie tak... Tak nie można... Mówisz, jakbym słyszał Izę...-

- Naturalnie, że Ciocia tak uważa. Czy nie ma racji?...-

- Widzisz, ona patrzy na to inaczej, nigdy nie miała męża.. W małżeństwie dwoje ludzi się kocha i takie zbliżenia są normalne. Pan Bóg stworzył miłość, a dzieci pochodzą z miłości.

To jest główny cel małżeństwa...-

- Ale przecież jest niewola i wojna i wszystko jest nienormalne...-

- No tak, na świecie tak... Dlatego tym bardziej ludzie w domu dążą do zwyczajnego życia, uciekają do swojej miłości od tego wrogiego świata, w niej szukają ratunku. Popatrz, ile

małżeństw zawierano u nas w sierpniu, w przededniu grożącej wojny i we Wrześniu i teraz też nam o tym piszą...-

- Ale dziecko? Co oni zrobią z dzieckiem? Jak można narażać dziecko na wojnę...?

- Wiesz, jak już się tak stało... to bardzo ludzkie. Nie można tego potępiać. Polska była ponad sto lat w niewoli. Cały naród wyginąłby, gdyby się nie rodziły nowe pokolenia. Przecież to jest życie. Pomyśl!...O, widzisz: Wandzia urodziła się podczas wojny, i Marylka u jednej cioci, Dziunka u drugiej, to już tylko w tej rodzinie... Wojna zabija ludzi, ale nie zabija miłości, ani wszystkich uczuć ludzkich... Przynajmniej nie zawsze: na szczęście... Oby im się tylko tam wszystko dobrze ułożyło...-

- No, właśnie, bo nie są razem i nie mają własnego kąta...-

- Może się okazać że to przyczyni się do jakiegoś ustabilizowania ich życia, nawet w tych warunkach. Trzeba się modlić...-

Podziękowałam za te wyjaśnienia, poszłam sobie je przemyśleć, a potem przeanalizowałam z Elą. Wykazała z miejsca znacznie doroślejszy ode mnie punkt widzenia: miała już we Lwowie trzy siostrzenice, córki najstarszej swej siostry, Józefy.

- Nie cieszysz się? Przecież zostaniesz ciocią, tak lubisz dzieci!- śmiała się, a mnie myśl o dziecku i Dwidce rzeczywiście rozczuliła.

A wkrótce potem Ciocia Jula przeproszała za wprowadzenie nas w błąd, bo coś źle zrozumiała.

Potem jednak była też i prawdziwa wiadomość, czekanie wśród nadziei i obaw i na koniec tragedia: „córeczka, zbyt słaba, aby żyć”, jak nam napisano, zdołała przeżyć tylko godzinę: tyle, że położna zdążyła ochrzcić ją Marą Magdalena Zofia, a na grobie, gdzie została pochowana, na Życzakowskim Cmentarzu u stóp wzgórza Powstańców z 1863 roku, widnieje tylko jedna data: 24 . III. 1941. Pogrzeb odbył się w dzień moich dziewiętnastych urodzin.

Paczki

Otrzymaliśmy kilka paczek odzieżowych, z domu, przeważnie zawierających nasze własne rzeczy, ale też i po trochę kaszy, czy cukru, co tam mogli. W którejś była prasowana kawa zbożowa, lekko słodzona, jaką kiedyś dostawało nasze wojsko. Do jednej mój szwagier, Leon, dołączył piękny przedwojenny zeszyt, oprawny w płótno introligatorskie, abym mogła pisać dziennik. Gdybym zaczęła od chwili bieżą-

cej, może byłabym kontynuowała systematycznie, ile możliwości w takich warunkach, ale chciałam zacząć od początku, więc cofnęłam się o jakieś pół roku i pogubiłam się. Zeszyt wykorzystałam na wierszyki.

Paczki najczęściej i najlepiej pakował Lolek, który poza obowiązkami studenckimi, którym starał się jakoś sprostać, okresowo pracował, w charakterze technika elektrycznego, czy jak tam się udało. To go zresztą później uchroniło od poboru do Armii Czerwonej, gdy brano chłopców z 1919 rocznika, co spotkało na przykład paru moich kolegów.

Kiedyś znalazłyśmy w paczce dwie damskie, płócienne koszule dzienne i dwie nocne, nowe, bardzo praktycznie uszyte ściąganiem koszulowym, w którym weszkom trudniej udawało się kryć, niż w podszewkowym, ku naszemu zadowoleniu. Lolek napisał, że uszyła nam je druhna Feluchna Huss z siostrami, a prócz tego ukończyła zaczęty przez Wandzię sweterek, który jej podano do więzienia, razem z dwiema nowymi sukienkami, letnimi, też szytymi przez Hussównę i z ciastkami kruchymi od Marysi Stankiewicz, specjalnie w tym celu pieczonymi. Takie miałyśmy tam przyjaciółki!

Do pierwszej rozprawy Wanda siedziała w więzieniu śledczym / dawniej wojskowym/, na Zamarstynowskiej. Po rozprawie, od 13 kwietnia 1840r., do początku października tegoż roku, przeniesiona do więzienia karnego, przy ul. św. Zrygidy, do czasu wywiezienia na Sybir. W tym więzieniu już można było się starać o pozwolenie dostarczenia więźniom paczek. Zezwolenia wydawał urząd NKWD, przed którym stale czekały wielogodzinne kolejki, by po uzyskaniu zezwolenia przestać co najmniej noc w kolejce, już przed więzieniem. Marysia kilkakrotnie zdobyła się na to, Także dostała Wandzia paczkę od sióstr Ciesielskich z których Marysia była najbliższą przyjaciółką Dzidki, Ciocia Jula też kiedyś podała sama, a potem już raczej szykowała, zaś wystawianie w kolejkach już Lolek brał na siebie.

Marysia Stankiewicz przysłała i nam parę paczek. Do jednej dołożyła kruche ciastka, specjalnie upieczone, jako wysoko kaloryczne. Po zimie dotarły do nas, jako zbita i cuchnąca masa, zapleśniała tak, że zapachem bdbzieliła zawartość całej paczki. Przeżywałam głęboką rozterkę, czy ostrzec ją przed powtórzeniem podobnego eksperymentu, czy podziękować za wspaniałą ucztę, aby jej nie sprawić przykrości. Podobnie było z wielkim pudłem od cukierków / firmy Hazel/, które w transporcie pękło wzdłuż do samego dna.

Przeczenie

W jakiejś paczce, otrzymanej jeszcze przed opuszczeniem klubu, znalazła się niebieska sukienka Wandzi, z której była taka dumna, kupiwszy ją sobie sama, po maturze. Gotowa, wełniana, z długimi rękawami.

- O, tę trudno będzie wam sprzedać : za mała i za wąska na tutejsze kobiety- orzekła Ciocia Iza.

- Nie jest na sprzedaż! To przecież sukienka Wandy!- oburzyłam się.- Ja ją zatrzymam dla niej- wyjaśniłam, widząc pytającą wzrok Mamy.

- O! Ale... - Ciocia chciała coś powiedzieć i urwała.

- Staram się nie sprzedawać rzeczy Wandzi, To są jej. Swoje sprzedawałam i będę. Jej... w ostateczności i na samym końcu. Mają być dla niej, kiedy już będzie z nami...-

- O czym ty mówisz?...- spłoszyła się Mama.

- Ach, nic...Ale ja wiem, że będziemy razem...-

- Piszą przecież, że będzie apelacja, więc nie wywożą ich na Sybir...- zaniepokoiła się Mama, która się tego najgorzej bała.

- Z tym się jednak trzeba liczyć... To nie jest niemożliwe. myślała Ciocia głośno- Ale żeby miała trafić tutaj?... To już najmniej prawdopodobne...-

- Być może... Ale ja wiem, że tak się stanie. Ja to czuję- upierałam się

- Miałaś proroczy sen?- zaciekała się Ciocia.

-Nie! Tylko mam przeczenie. Więcej : pewność.-

- Jak tak, to już nie ma o czym mówić - zgodziła się ustępliwie, lecz spojrzała badawczo.

- Pewnie sądzi, że mam bzika- domyśliłam się. -Ale skąd mi się to wzięło? Sama nie wiem... Tylko tyle, że od samego początku podsuwałam do wymiany swoją osobistą garderobę, zatrzymując, jak drugo się dało Wandzi sukienki, które w końcu z braku własnych, zaczęłam sama nosić, choć były dużo krótsze od moich. Swoje lubiłam długie do pół łydki, w dodatku byłam wyższa.

Opanowana całkowicie nieuzasadnioną nadzieją przyjazdu Wandy do nas, systematycznie segregowałam i pieczołowicie przechowywałam wszystkie listy, nie tylko jako pamiątki, czy antidotum na tęsknotę, ale także dla Wandzi, aby miała co czytać, wiedziała o wszystkim i przekonała się, jak o niej pamię-

tają i jaka jest kochana.

Parę razy zdarzyło mi się z tym przeczuciem zdradzić, ale spostrzegłam kiedyś czyjeś porozumiewawcze spojrzenie, więc uważałam na siebie, aby znów z tym nie wyskoczyć i nie narażać się na politowanie.

Doprawdy nie wiem sama dlaczego, skąd wzięła się taka moja pewność, bo wtedy jeszcze nie było żadnych przesłanek, usprawiedliwiających ją. Więźniów wywożono z Polski przeważnie do lagrów, albo do więzień, ale nie dodłączano ich do zesłańców na kilkuletnie osiedlenie, których nie trzymano pod karabinem

Przeprowadzka

Wreszcie budowa została ukończona i pozwolono nam samym zdecydować, kto z kim będzie te kwatery zajmował. Przewidywano dziesięć do dwunastu osób na jedną izbę, tyle, ile legowisk da się tam rozłożyć na ziemi. Kazano nam wymalować sobie tam ściany i polepy gliną i potem wyznaczono dzień przeprowadzki na ósmego października. Klub był pilnie potrzebny, gdyż planowano w nim zorganizowanie kursu dla traktorzystów.

Parę dni wcześniej, w jakiejś banalnej wymianie paru zdań, Kazik Nowak, przechodząc koło mnie, stojącej z naszymi dziewczętami, zapytał mnie od niechcienia:

- Czy pamiętasz, kiedy był ślub twoich rodziców?-

- Tak, za parę dni rocznica: ósmego października 1910 roku.

- W porządku- i odszedł.

W chwilę potem, wróciwszy na nasze locum, zobaczyłam, że Mama jest bardzo czymś poruszona i ociera łzy.

- Co się stało -

- Nic, nic!.. Tylko tak mnie to wzruszyło...- zaczęła.

- Co? Co takiego?-

- Że są jeszcze ludzie uczciwi! Wyobraź sobie, nawet nie zauważyłam, że przy szorowaniu garnków piaskiem nad rzeczką, zgubiłam obrączkę. Spadła mi, zrobiła się za duża... Aż tu podchodzi pani Nowakowa i pyta mnie, czy niczego nie zgubiłam. I oddaje mi tę moją obrączkę, bo ją znalazła!...-

- Jak to dobrze, że tam jest wygrawerowany monogram Tata i Wasza data ślubu!...- powiedziała i zrozumiałam, o co chodziło Kazikowi.

- No, właśnie! To ją naprowadziło...-

A teraz to wydarzenie naprowadziło mnie na pomysł, zaakcentowania tej rocznicy w domu. Wstałam jedna z pierwszych i poleciałam po chleb, modląc się, po drodze, by udało mi się zdo-

być. Szczęście mi dopisało! To już coś! Potem wystroiłam się w tę niebieską sukienkę Wandzi. Widocznie sporo schułam, bo pasowała na szerokość, tylko że była mocna kusa. Ale i tak celebrowałam w niej śniadanie, niecodziennie obfite, bo z chlebem.

Zaraz potem przebrałam się, bo trzeba się było przeprowadzić. Na początek zaniósłam nasz jedyny mebel: skrzyneczkę od naczynia, z tej pierwszej paczki. Poza tym tyle tego naszego majątku było, że biorąc po jednym tobołku na osobę, można było od razu wszystko przenieść, ale nie było pośpiechu więc się przespacerowałam parę razy.

Gdy zwróciłam się do Cioci z pytaniem, co i w jakiej kolejności jej zabrać, wybuchła bomba: oznajmiła, że umówiła się już z panną Hedwigą, i zamieszka z Dreifürami, a nie z nami.

Wiem, że parę razy przygadali sobie z Tatem, ale tak się chyba w rodzeństwie może zdarzyć. Jednak ostatnie pretensje były bardzo świeże. Poszło o pieniądze, przysłane przez pannę Marysię Ciesielską, przyjaciółkę Dziuki, na imię Cioci, która przyjęła je jako osobisty dar dla siebie.

- Jak to ładnie, że okazała się taka wdzięczna, choć pewnie nie było to łatwe - powiedziała Mama, myśląc o tych wakacjach, gdy gościła u nas pannę Marysię, gdy my wyjeżdżałyśmy na obozy harcerskie lub kolonie, aby mogła sobie spokojnie studiować do swych egzaminów w ogrodzie, żeby w ciszy pustych pokoi, zamiast w dusznej oficynie, pełnej rodzeństwa.

Ojciec też był przekonany, że adresowała na imię Cioci, myśląc że może z jakichś względów lepiej, aby nie wszystko było na jedno imię. Był więc niemile zaskoczony, że Ciocia nie dała ich do wspólnej kasy.

Pomogłam tymczasem cioci przenieść rzeczy, jak chciała, z nadzieją, że gdy Tato przyjdzie, to się ze sobą dogadają i nie dopuszczą do rozbicia rodziny. Byłam zbyt mało wyrobiona, a może i zanadto trzymana na dystans, by spóbować serdecznymi słowami rozbroić sytuację i biedna, dumna Ciocia postawiła na swoim.

Otrzymaliśmy kwaterę w pierwszym wejściu, ale nie narożną: tam zamieszkały rodziny: Sochackich, matka z Józkiem i Bolkiem, pani Kußlinowa z Wackiem i pani Cesia Jąworska ze swym szwagrem, Karolem, bratem męża, który był aresztowany.

W nowej kwaterze

Jak już zawczasu ustalono zamieszkaliśmy z rodziną Wojciechowskich, razem siedmioro, bez Cioci Izy, ale u nas zakotwiczyły panna Maryla Antonow i Marysia Nuckowska, stale mieszkające na pierwszej fermie: Dżyldykara, ale zapisane na kurs traktorzystów w Słgiszbaju. Do domu chodziły na niedzielę, bo we dnie powszednie, zajęte od rana do późnego wieczora, miały za daleko. Zajęcia teoretyczne odbywały się w sali klubu, praktyczne w traktornym parku.

Wkrótce przekonaliśmy się, że w klubie, sypianie no drewnianej podłodze nie było najgorsze. Kwatera nie posiadała takiego luksusu. Zascielaliśmy polepę tą samą starą kapą z łózką i twardo było tak samo, za to ciągnęło zimno od ziemi. Okienko, pod którym spały siostry Wojciechowskie i obie Marie, było szczelnie wlepione w ścianę, ale drzwi nie miały żadnych klamek. Te zewnętrzne, od korytarzyka, czy raczej sieni, otwierane na zewnątrz, po przysunięciu, zamykało się przez wsunięcie patyka w szparę, między drzwiami a futryną, tak aby je uszczelnić. Te wewnętrzne, z naszej izby do sieni wspólnej z sąsiadami, zawiązywaliśmy na noc sznurkiem. Na dzień nie było warto: wchodziło i wychodziło, także tubylec, tak jak w klubie, więc nie fatygowaliśmy się z wiązaniem tego sznurka, aby się zbyt wcześnie nie przetaił i nie przerwał! Na noc przywiązywaliśmy się go do jedyne go gwoźdźca, który do pewnego stopnia pełnił funkcję klamki od wewnątrz.

Nadal za jedyną pościel posiadaliśmy po jednej poduszce na osobę, bez poszewek, które wcześniej od odzieży zostały wymienione i przejedzone. Okrywaliśmy się każdy własnym zimowym płaszczem.

Nasi współmieszkańcy mieli po jednej pierzynie na dwie osoby i coś tam więcej pod spód. Pan Wojciechowski był dość zaradny. Zdążył zanrzyżnić się z pracownikami kuchni szpitalnej, rąbał im gazecie na opał, przynosił wodę, za co go tam poczęstowano zupą. Teraz zdobył jakąś szerszą ławę, którą przystawił wzdłuż kuchni, co służyło za pryczę dla pani Wiktorii i męża. Wychudzeni, jakoś się mieścili, zadowoleni, że nie na glinie.

Młody drukarz wrócił z "chlebooborki" i Ojcu polecono pomóc mu w likwidowaniu drukarni i pakowaniu całego tego "maj-

"majdanu" do przeniesienia, do Urdżaru. Dostarczono nawet jakieś paki i dykty.

Spółdzielnia otrzymała kufajki dla traktorzystów, dostarczone w skrzynkach. Parę takich skrzynek udało się Ojcu po tajemnie kupić od Grubego Mielnikowowa, następnie od drukarza parę dykt i trochę gwoździ i zrobił z tego pryczę, nie tak szeroką, jak wysoką, bo takie tylko deseczki mógł użyć na nogi, i podpórki na środku. Skrócić nie było czym.

- Robinzon Cruzoe miał więcej narzędzi!...- wzdychał.

Dykty umocowane na ramach nie tworzyły zbyt mocnej pryczy, toteż kładliśmy się raczej ostrożnie, ale zachwyceni, że nie na ziemi, na której jednak cztery osoby w naszej kwaterze sypiały, związując swe legowiska na dzień, aby było się jak poruszać po izbie.

Mama lub Panna Fela starały się w jakiś cudowny sposób rozniecić ogień pod fatalną kuchnią, w czym brak "cugu" i wiatr w oczy, wybitnie przeszkadzały, doprowadzając do łez.

Próbowaliśmy z Elą je w tym wyręczyć, ale nam zarzucono nieoszczędność w użyciu słomy, czy siana, wyznaczanego na rozpałkę; biedne, nieraz mokre patyczki i kiziak nie były łatwym materiałem opałowym w tej dziadowskiej kuchni.

Noce były już bardzo zimne, toteż palenie, z konieczności raz dziennie, opóźniano tak, aby choć przynajmniej mieć złudzenie ciepła przed nocą, aby udoko się z tym usnąć. Po wygaśnięciu ognia natychmiast trzeba było zatkać komin, od zewnątrz. Zwykle Ela wyraziła na dach, który wzdłuż całej frontowej ściany baraku był dość wysoko, a wzdłuż całej tylnej nisko tak, że nietrudno było się wdrapać, by zatkać komin, znajdujący się opodal.

Noc Wszystkich Świętych

Wieczorem deszcz coraz bardziej przewbierał na siłę. Zmarznięta, przytulona do Mamy, ogrzewanej z drugiej strony przez Ojca, zdołałam usnąć bardzo późno. Noc zapadająca już wcześniej ciągnęła się długo, czarną beznadziejnością, tęsknotą i smutkiem przepełniając serce.

Nagle zerwałam się z pierwszego snu z przerażeniem, chłasnęta czymś zimnym, mokrym i ciężkim, niespodziewanie, prosto w twarz. Nie! Nie byłam aż tak opanowana i kulturalna, aby nie wrzasnąć!... W tej samej chwili zdarzyło się to także innym. Tato zapalił zapalniczkę:

- Glina! Z dachu! Rozmokło przez ten deszcz...-

- Muszę wyjść- jęknęłam

- I ja też...- odezwała się Ela.

Wsunęłam nogi w swe przemoczone półbuty, przygotowane, jak zwykle tak, by trafić do nich po ciemku, narzuciłam płaszcz na nocną koszulę i równocześnie z Elą chwyciliśmy za sznurek u drzwi. Drzwi od sieni odsuwałyśmy ostrożnie, nie więcej, niż to konieczne, by się przecisnąć, bo ulewa szalała. Musiałyśmy wyjść. Ustęp zbudowano nam w pobliżu naszego końca baraku, znów zbyt płytki, aby starczył na długo i rychło nie nadający się do korzystania. Biegało się za barak...

Wróciłyśmy natychmiast, niestety bardzo przemoczone. Tym mokrym i ciężkim płaszczem okrywałam się zrezygnowana, gdy już zorientowałam się, że i tak dzieje się niedobrze. Gлина chlapała z dachu gęstymi strugami, spadała grubymi kawałami, pozostawiając w dachu dziury, którymi ulewa poczyniała sobie całkowicie bezkarnie i bez pardonu. Mlaskające spadanie wątpliwej jakości materiałów budowlanych tłumilo wzdychania mieszkańców, usiłujących po ciemku wymacać mniej zagrożone ulewą miejsca i na nie się przesunąć

Mokre i zimne nasze okrycia, coraz cięższe, nie zdołały zabezpieczyć nas, ani ochronić. Martwiłam się, jak będzie wyglądał płaszcz, jak będzie można w takich chodzić, bo całkiem nam się zniszczą.

- Jaka szkoda, że nie mamy namiotu, albo chociaż plandeki- usiłowałam sama siebie rozweselić, ale nie zdobyłam się na głośne przyznanie się do wisielczego humoru, tym bardziej, że przyszło mi na myśl, iż nasze Matki niewątpliwie się modlą. Chyba już nikt nie usnął tej nocy, choć nie przerywano milczenia, aby dać komuś możliwość usnięcia.

Dzień zaduszny dopiero około południa przestał płakać deszczem. Dachy nie można było naprawiać, był rozmoknięty, ani jak tam wejść, bo groził zawaleniem, ani co to tam kłaść. We wszystkich kwaterach tak samo. Ktośniał, starał się suszyć pościel, jeśli wystarczyło opału.

Następną noc już nie było poprzednich kłopotów. Mróz ścigał wilgoć w tej dachowej glinie, tylko zimny wiatr ze świstem hulał po świecie i po skostniałych z zimna, skulonych i tulących się do siebie mieszkańców izby, do której z diabelskim chichotem wdzierał się licznymi dziurami ażurowego dachu.

Mama, zmęczona do upadłego, jakoś usnęła snem ciężkim i przespała całą noc w jednej pozycji. Ojciec starał się stłumić

kaszel i po tym, oraz po nierównym oddechu poznawałam, że nie spał. Ja też tak przemarzłam, że nie mogłam usnąć. Wybił mnie ze snu ten stepowy wiatr, i kaszel Ojca, i tłumione przez sen smutne pojękiwania pani Wojciechowskiej, której przewlekła biegunka nie zezwalała jeść i powodowała dokuczliwe bóle całej jamy brzusznej. We dnie nigdy się nie przyznawała aż do takiego stanu choroby, ale nocą, przez sen jęk zdradzał nieraz jej dolegliwości.

Przez dwa tygodnie Ojciec i ja prawie nie sypialiśmy z powodu zimna. Mamą wtulona między nami, jakoś usypiała, choćby z samego osłabienia.

Jeszcze chodziłam do szkoły, marząc zwykle o tym, aby dostać zapowiedzianą paczkę z całymi półbucikami dla Ojca i dla mnie.

- Czy ja kiedyś doczekam tego, by wkładać obuwie suche na nogi, a nie mokre? Stale mokre, bo nawet nie ma gdzie wysuszyć, a zresztą w nocy też się wychodzi na deszcz...-myślałam i wyobrażałam sobie, że trudno, aby było gorzej...

W szkole wszystko szło zwykłym trybem. Przybyło im kilkoro polskich uczniów, z których pamiętam, że Grześ Bader, szesnastoletni uczeń Lwowskiego gimnazjum zapisał się do siódmej klasy a pani Stasia Krukowa zapisała Mietka do pierwszej. Miał już osiem lat, co dla miejscowych było właśnie wiekiem szkolnym. Inne polskie dzieci nie garnęły się do szkoły i ani matki, ani władze nie zmuszały nikogo. Co do Grzesia, to sądzę że matka przekonała go, że to może być ochroną przed zmuszeniem go do pracy, bo był wysoki i dobrze zbudowany, a w takich przypadkach stwierdzano nieprawdziwość podanego wieku i nie było sposobu.

Gazetki ściennie weszły do zwyczaju szkoły i ilustrowałam mi dwie następne, lecz już nie tak atrakcyjne, jak ta pierwsza.

Zima

Przed połową listopada jedno popołudnie i noc wystarczyły, na pokrycie stepu śniegiem tak wysokim, że tylko my, na skraju baraku zdołaliśmy otworzyć zewnętrzne, otwierające się na zewnątrz i to wspólnymi siłami obu braci Sochackich, przy pomocy Karola i Wacka, bo warstwa śniegu była tak gęsta, że te drzwi zatarasowała. Jeszcze przy naszym, narożnym wejściu to było możliwe, bo wiatr trochę nie pozwolił osiąść aż tak, jak wzdłuż całego baraku: aż po dach.

Cała czwórka dzielnych chwatów pod przewodnictwem Jóźka przekopała wąż w tym śniegu, przy użyciu patelni, miski

i jakiejś pokrywki, aż do następnych drzwi, skąd mieszkańcy nie byliby w stanie się wygrzebać. Za to musieli zrewanżować się sąsiadom dalszym i tak aż do końca całej tej "owczej stajni", jak powszechnie nasi zwali ten pseudo barak.

Śnieg był tak świeży i czysty, że nabieraliśmy go pełne garnki, zamiast przekopywać przejście do rzeczółki, lecz okazało się, że naturalnie na to trzeba więcej ciepła, czyli opału, a z tym trzeba się było liczyć.

Stałe chodzenie w padartym i mokrym obuwiu, tym samym w domu i do wyjścia, nasiąkniętym mroźną wilgocią, musiało skończyć się chronicznym katarzem i przeziębieniem, a że wszyscy kichali, kaszleli i mieli chrypkę, nie brało się tego pod uwagę, zresztą nie było lekarstw.

- Przydałby się miód...- marzyłam skrycie, a że marzeniom można popuszczać wodze, to i śniło mi się łóżko, zwyczajne, kiedyś, w tamtej epoce, a do tego napar lipowy i ciepły piec.

- Oby wreszcie nadeszły te pierzyny- wzdychała Mama, a ja nie miałam zbyt wielkiej nadziei, wobec zawianych dróg.

Poczta jednak kursowała, sanna z Urdżaru, przez północny trakt, drogą przez Aleksandrowkę i Aksakowkę, czasem z małymi przerwami, po których doręczano nam więcej listów.

Wysyłanie paczek.

W wielu listach pisano, że ograniczono wysyłanie paczek. We Lwowie cofnięto zezwolenie na przyjmowanie paczek do Kazachstanu, tłumacząc, że urzędy pocztowe nie nadążają i brak wagonów na nie. Czy to nie cudowne miasto? Aż tak się dzielić, aż tak ratować tych dalekich zesłańców! Podobnie, jak to Wojsko, maszerujące we Wrześniu... Wysyłano odzież i żywność, zaś o nią było trudno już przeszłej jesieni. My sami żywiliśmy się przed wywiezieniem głównie kartoflami, zupą i chlebem którego nam nie brakło, dzięki Marysi Stankiewicz, mieszkającej na wspólnym podwórku z piekarnią "Ziarno", gdzie co dnia kupowała aż pięć bochenków, dla rodziny i przyjaciół. Czasem nawet Jarek nam przywoził rowerem...

Cukier, jeśli się trafił, w wielogodzinnej kolejce, sprzedawano po ćwierć kilo, o herbatę, czy kawę było nawet trudniej. Apteki wyczerpały swe zapasy. A jednak ludzie przysyłali, pomagali, ratowali, choć nie jestem pewna, czy mogli zrozumieć, wyobrazić sobie, że jest aż tak strasznie.

Braki żywnościowe i problem wyżywienia miasta, a może też względy polityczne były przyczyną zaprzestania przyjmowania paczek ze Lwowa, skąd pochodziło najwięcej zesłańców w Kazachstanie. Z całej naszej Małopolski wschodniej wytypowano dwa miasta: Stryj i Stanisławów, gdzie urzędowi pocztowemu wolno było je przyjmować. Stryj leżał bliżej.

Cudowne i kochane miasto rzuciło się na tę okazję, może i w obawie, że i to mogą cofnąć. Mimo wielu trudności znalazły się osoby, które podejmowały się trudu przewożenia i wysyłania paczek, najczęściej ze Stryja i to, zgodnie z duchem lwowskim: bezinteresownie! Od tych kilku osób, które im powierzały paczki, brały w sumie tylko zwrot kosztów przejazdu, na które zleciodawcy chętnie się składali.

Dla Lolka, który dotychczas ciężar wysyłania paczek, połączony, oczywiście z wystawianiem w kolejkach, brał na siebie to była dodatkowa uciążliwość. Już nie tylko pakował i wysyłał, co tam było do wysłania, ale musiał też znaleźć i umówić się z kimś, kto wybierał się do Stryja. Ludzie informowali się i pomagali sobie, jako, że "Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi".

Druki

Ze Lwowa można było wysyłać druki. Wobec tego przysyłano mi, głównie Lolek, paczki z książkami. Zwykle po kilka. Od Lolka dostałam spory zestaw z biblioteczki klasyków dramaturgii, w małych wydawnictwach Zuckercandla: Szekspira, Ibsena, Schillera i innych. Od Ali dostałam Kossak Szczuckiej: "Puszkarka Orhano" i "Teddy płynie przez dwa oceany", nie pamiętam autora. Leon przysłał Kossak Szczuckiej "Krzyżowców", co już znałam i nie miałam ochoty na powtórne czytanie, bo bardzo mnie to przygnębiało. Moja pierwsza nauczycielka, Martusia Kleszczyńska przysłała mi powieść bez autorki: "Blichtr i złoto".

Ojcu Lolek przysyłał parę razy grubą "Historię WKP3", w twardej, niebieskiej okładce, na której tylnej stronie piisał adres, nie owijając w papier. Książka tylko była przewiązana ciasno sznurkiem. Ostatnia z zapowiedzianych nie doszła. Może ktoś powąchał i rozwiązał sznurek? Z całego trzonu katek pozostawiał tylko tyle papieru, ile tworzyły niezadrukowane brzegi. Część zadrukowana, aż po margines, zastąpiona była mocno ubitym tytoniem. Tato cieszył się z tych książek.

Oczekiwane pierzyny jednak doszły w połowie listopada! Co zaradzić! Uratowały nas od skrajnego wyczerpania. Zdawało się że ta bezsenność, choć spowodowana tylko zimnem, a nie cho-

robą, już wykończy Ojca i mnie, wcale nie mniej groźna od głodu. Pierzynami cieszyliśmy się ogromnie. Nic więcej w tej paczce nie było, ale jakie to szczęście, że zdążyła przed najcięższymi zawiejami! Jak się okazało na wiosnę, te jesienne paczki szły do nas od czterech do sześciu miesięcy!

Z zapowiedzianych Cesi Szakalskiej ósmiu, doszły przed zimą tylko trzy paczki, częściowo z tą zimową odzieżą, na którą tak liczyła. Biedula. W tym wieku rozwojowym z wielkim trudem znosiła stałe niedożywienie, chociaż na szczęście to nie był jeszcze właściwy głód: tam jadano trzy razy dziennie, a na obiad oprócz jakiejś zupy było to drugie danie, przynajmniej kartofle, ale czasem nawet baranina, czy kura. Ale co to znaczyła kura dla siedmiorga niedokarmianych? W tym pan Jaś, dźwigający od switu do zmroku sześćdziesięciokilowe worki z parteru na piętro, do wagi / Razem z siedemnastoletnią Lalą Schmallówną, zmuszomą do tej pracy za matkę i z Panną Marysią Baczyńską !-/. Zdrowym apetytem cieszył się też Kazio, szesnastoletni, a także Jureczek i Stachunio, z których, śmiem twierdzić, każdy sam był zdolny uporać się z całą kurą. Na raz!

Szczególną niedogodnością był dla nas brak wiader, których ani my ani nasi współmieszkańcy nie posiadali: ani na czystą ani na brudną wodę. Wreszcie zdecydowałam się wspomnieć o tym w listach. Marysia tym się przejęła. Napisała, że we Lwowie i w całej okolicy wiadra się nie zdobędzie, ale wysyłają nam jedenestolitrowe pudło blaszane- z dorobioną rączką, do noszenia, zamiast wiadra. Gdy dotarło na wiosną pęknięte wzdłuż, nie nadało się do niczego, ale i tak nę wyrzucaliśmy, bo to przecież kawałek blachy, to jeszcze może do czegoś się nada.

Kłopoty i nieporozumienie

Stepowe mrozy i wichry, brak wygodki i mokre, podarte buty doprowadziły do przeziębienia pęcherza.

Kiedyś, jeszcze na samym początku naszego pobytu w spóźniełni pojawiły się nocniki, chyba cynowe, bardzo grube, ciężkie, walcowato proste, jak garnki, różniące się od nich tylko płaskim i szerokim brzegiem. Tubylcy krytykowali takie "durackie posuda", że ile to trzeba będzie czekać, zanim w nich coś zakipi, ale zorientowawszy się, że Polacy gotowi są wykupić, też stanęli w kolejce, więc Gruby Mielnikow zaczął wydawać po jednym. Niektóre panie faktycznie używały, później, jako garnki, o co w kuchni dochodziło do nowych

scysji, że z powodu tej wymownej obwódki zajmują za dużo miejsca, no i gotowanie trwało znacznie dłużej.

Przybiegłam wtedy do Mamy, z wiadomością o okazji kupienia, zwłaszcza, że niełatwo przychodziło nam to pożyczania naczyń.

- Może się przydać: nie mamy żadnego garnka! Nasze panie to kupują!...- relacjonowałam pośpiesznie.

- Ale jak w czymś takim gotować?...- zastanawiała się Mama.

- A może przyda się właśnie jako nocnik, w zimie?- odważyłam się zdradzić ze swoją niewiarą w powrót przed zimą.

- Co ty opowiadasz?- zdziwiła się Mama, nie podchwytyjąc tej zimy.-Czy ty myślisz, że tu, przy stu osobach, rzeczywiście będziesz z tego korzystała na sali?!... A, widzisz! A na dwór to przecież niepotrzebne!-

- A wiele pań kupiło, nawet pani Nuckowska...-

- Ależ dziecko, przecież pieniądze się kończą!... Teraz nie możemy... Może kiedyś później...-

A później już wcale nie było. Szkoda mi było tej straconej okazji. Trudno. Teraz, na te straszne mrozy, spotęgowane starym stepowym wichrem, trzeba było prosto z łóżka / ba, z wyrka, albo z legowiska na ziemi!/, wskakując w zimne i mokre buty, wybiegać "za chałupę", jeśli to się nazywało chałupą, i doziębiał się w ten sposób. I to po kilkanaście razy na noc, bo przy przeziębionym pęcherzu, człowiek sam nie wiedział, czy to faktyczna potrzeba, czy tylko ból...

Zatanawiałam się nad możliwością ratunku w tej sprawie. Mama nie zdecydowała się na zrezygnowanie z któregoś z naczyń, chociaż do gotowania zwykle wystarczało jedno, ale na wodę w domu też trzeba było je mieć. Marzyłam o tym, aby było w domu wiadro na brudną wodę, albo nocnik, a wówczas, jak w innych kwaterach, na noc wystawiałoby się to do sieni i uchroniło od konieczności wychodzenia na wicher. Kpiłam z tych swoich marzeń, lecz to mi niewiele pomogło, a nieosiągalny nocnik, podobnie jak proszek owadobójczy, wata, lignina i mydło, należały do naszych marzeń niezrealizowanych, którym jedynie można było przeciwstawić skromne bogactwo, niemniej bardzo ważne: posiadanie gęstego grzebienia! Nie! Nie można było sobie pozwalać nawet na te bezgłośne lamenty! "Bołde, bołde, dżetede, czyli chwatit" dość!

W końcu wykombinowałam. Nie mogłam napisać tego do Dzidki, bo nie mieliśmy wcale jej adresu, tylko Leon odbierał listy, które przekazywał jej po przeczytaniu...więc to było

dla mnie zbyt krępujące, zresztą tak samo z Lolkiem, który stał się dla mnie bratem... Też z tego względu nie prosiłam Marysi: miała braci i ojca, no i wstydziłam się, szczególnie Jarka. Na Marysi mogłabym polegać, starałaby się jakoś zaradzić... Nie mogłam obarczyć tym Ali, bo to byłby kłopot ponad jej możliwości... Poza tym kogo możnaby obarczyć taką prośbą?

- Zostaje mi tylko Ciocia Jula- rozważałam:- Tak, nikt inny! Jest na tyle wyrozumiała, że się ani nie zgorszy, ani nie obrazi... Z pewnością poradzi... Niezależnie od tego, co tam zaszło między nią a Dzidką, a może tym bardziej zechce nam okazać swą dobrą wolę i pomoże w biedzie... Napiszę!-

Wysłałam tę prośbę wyjątkowo listem poleconym. Opisałam sytuację, jak mogłam, jak tylko potrafiłam: tłumaczyłam, że jest jedyną osobą na świecie, do której śmiem zwrócić się z tak żenującą prośbą i z całym naciskiem prosiłam o zachowanie dyskrecji na ten temat. Liczyłam na ten ratunek.

W odpowiedzi / i to nerychłej, a normalnie nadchodziły po dwóch miesiącach! / Ciocia wspomniała mój ten list, z komentarzem od siebie:

- "Cieszymy się, że widocznie nie jest wam tak źle, skoro Ala ma takie pomysły i trzymają się jej aż takie kawały. Oczywiście nie bierzemy tego na serio, bo przecież byle puszka po konserwie może zastąpić nocnik! Uśmieliśmy się z tego porządnie...- "

A my obie z Mamą opłakałyśmy ten list rzewnymi łzami... Mamie już wcześniej przyznałam się, o co prosiłam Ciocię i nawet pochwaliła, bo sama też uważała, że dość już tej męki. Czekala... I taki zawód!... I jeszcze: "Uśmieliśmy się!..." A gdzie ta dyskrecja, o którą tak prosiłam? Tak dobitnie pisałam, że nie mam kogo o to prosić!... To mnie rozżaliło do reszty.

Mama podchwyciła co innego:

-- "Cieszymy się, że widocznie nie jest tak źle!..." oraz: .."była puszka po konserwie!" - Jaka puszka? Po jakiej konserwie? Ani jedna nam się tu nie trafiła! Niby skąd? W żadej paczce, ani w tym niby sklepie... No, i w dodatku: "nie jest tak źle"... Mój Boże!... Czy ona może w to wierzyć!?!...-

Straszny czułam żal do cioci Juli, za ten zawód sprawiony Mamie i za to upokorzenie mnie, że nie dotrzymała dyskrecji!.. Swoją drogą, że nikt z poinformowanych nie zrozumiał, że to nie kawał, tylko czarna rozpacz?

Chyba już potem do Cioci nie pisałam wcale. Spotkałyśmy się po osiemnastu latach... Odwiedziłam oboje starsuszków, Ciocię z Wujkiem razem z Wandzią. Dopiero wtedy dowiedziałam się, że wówczas Ciocia nie "miała głowy" do zastanawiania się nad moim listem: umierała jej matka. Przeczytawszy pobieżnie moją prośbę, wzięła ją za /głupi/ żart... A ja jej odpowiedź - za wygodny wykręt...

Czasami nieporozumienie wznosi mur niechęci między ludźmi na długie lata...

Zapałki

Gdy wychodziłam z poczty, czekała na mnie Niurwala:

- Czy macie zapałki?- zapytała

- Mamy! Właśnie wczoraj były w spółdzielni i sprzedawali po pięć pudełek- informowałam

- Tak, moja mama też kupiła. Ale kazała się zapytać, czy macie wasze, polskie zapałki?-

- Nie wiem na pewno, ale zdaje mi się, że mój Ojciec jeszcze ma jedno pudełko- powiedziała, zastanawiając się czy je zostawił na pamiątkę lub na czarną godzinę.- Dlaczego pytasz?

- Ktoś mówił, że wasza każda jedna świeci! Mama chciała zobaczyć. Da trzy pudełka nasze, za jedno wasze, jeśli możecie dać.-

- Zapytam ...-

Tato wysłuchał i dał mi to ostatnie pudełko:

- To niezła propaganda! Tak, te ich są bardzo tandetne. Trzy, cztery, odpadają, na jedną dobrą. A nasze, to chłop dzielił na cztery, z oszczędności i każda taka ćwiartka świeciła...-

- Tak, pamiętam, jak byłam na naszej szkolnej praktyce w szpitalu, to nawet w wolnej chwili pomagałam jakiemuś choremu w tym rozmnażaniu zapałek!- ucieszyłam się, poddanym mi pomysłem.

- Jak chcesz, możesz jej dać...- wręczał mi pudełko, ale zrobiło mi się żal mu odbierać, więc nadebrałam połowę do ruskiego, by trochę zostało.

- Niurwala! Przyniosłam! To ostatnie pudełko. Coś ci pokażę...-

- Nie, nie!" Trzytyr! Podajdzi!" /poczekaj!/ Chodź, pokaż mojej mamie!- i zawołała ją.

Pokaz udał mi się znakomicie: ćwiartka zapałki polskiej za-
jaśniała płomieniem, Kazaczka po~~w~~dstawiła fanar, aby zapalić,
a mnie wcisnęła trzy pudełka zapałek, zdobytych we wczoraj-
szej kolejce:

- Rachmet, kyzymka, rachmet!- podziękowała z uśmiechem,
wkładając trzy ćwiartki zapałki do polskiego pudełka, z cały-
mi.

Słownik

Wreszcie nadeszła wcześniej przez Leona zapowiedziana
książka.

- Jaka gruba! Będzie co czytać- zachwyciłam się, niosąc ją
z poczty- Wiesz, Elcisa, już dostałam od niego książki, na
imienienny, we Lwowie: duży mszał rzymski, w całości polsko-
łaciński / były bardzo upowszechniane w tych czasach/, a dru-
ga, to "Świat rzeczy wielkich i małych". Arcy-ciekawa o wynalazkach
najróżniejszego typu, z licznymi obrazkami...-

- I pewnie drogie...- domyśliła się słusznie.

- Słownik niemiecko-polski i polsko-niemiecki!- rozczarowa-
nia nie mogłam ukryć. Bez samouczka lub podręcznika...Po co?
Dlaczego nie zapytał się Dwidki, albo Cioci, czy Olka, jakiego
języka uczyłam się w gimnazjum? Domyślam się, że rosyjs-
kich pewnie tam brak, bo chyba cała Polonia z Kazachstanu pro-
si o nie, ale po co mi ten? Nie znam niemieckiego wcale. Ale
nawet gdybym znała, to tak bez podręcznika? Można wysyłać po
kilka książek, więc dlaczego ta jedyna, to właśnie taka?..-

Nie mogłam się dość nadziwić takiemu pomysłowi szwagierka,
którego inteligencja, czytanie i intelekt imponowały nie tyl-
ko mnie, aż czułam się onieśmielona.

- Zaiste, wolałabym coś do czytania! Szkoda było fatygi
i pieniędzy, na wysyłanie czegoś tak tutaj bezużytecznego!-
zwierzyłam się Eli i Cesi, którym nikt książek nie przysyłał,
chociaż ze Lwowa wolno było bez ograniczeń.

- Gdyby to był atlas...- marzyła Cesia, której zbiór przy-
padkowych książek nie zawierał tej upragnionej pozycji.

- Ba! Atlas, to nawet ruski wartoby mieć! Moznaby chociaż
sobie pojeździć po świecie: ~~pa~~łcem po mapie!- śmiała się
Ela, też zawiędziona, bo czekała już na książkę, tak jak ja.

Nieoczekiwanie tym słownikiem zachwyił się Kazio Dudek:

-Chłopaki!- wołał w natchnieniu do Bokociaków!- Wicie, co?

Będziemy się uczyć niemieckiego! Razem! Ostatecznie do szkoły tu nie chodzimy, bo człowieka nie zmuszają, to w porządku, ale nie ma sensu, aby człowiek tak całkiem żył bez żadnej nauki, jak ten "durak"! A niemiecki, ta, nam się i w naszej szkole przyda, jak już wrócimy! Ta, nie?...-

- Fajnie!- poparł go Jureczek- zapytają mnie, jaki język w wybieram, aj ja powiem :niemiecki! I już pójdzie mi łatwiej!-

-Oho! Ta, ja się wcale nie przyznam, że już świetnie znam! A jak mnie zapytają, to aż się sam pan w szkole zadziwi!...- rozmarzył się Stachunio.

- A kto was będzie uczył?- wtrąciłam

- Sami!- jeń nastolatek zawyrokował

- E, to chyba za trudno...- zreflektował go starszy braciszek

- Wiecie co? Poproszę Jasia! Miał w gimnazjum niemiecki! Na pewno nie odmówi!-- unosił się Kazik

- Ta, kiedy? Wychodzi, gdy jeszcze ciemno i wraca, gdy już ciemno...- zauważyła Cesia.

- To jedno, a drugie: czy będzie w stanie? Po takiej harówie?- nie dowierzałam.

- No, tyle, żeby nam dał wskazówki, poradził...-

- Ta, właśnie! A w niedzielę to może i przepyta...-nie trącili zapachu.

Pan Jaś, nagabywany kilkakrotnie przez entuzjastów nauki zbył ich na koniec pytaniem:

- A jakieś słówka już umiecie? Bez tego "nie pajdiot!"

Chłopcy wzięli to sobie poważnie do serca. Pożyczyłam im słownik na czas nieograniczony, chyba że nadejdą podręczniki.

- Szkoda, że to nie francuski. No, i książki... Możliwym to z nimi przerabiać. A przede wszystkim z Elą i z Cesią. A także z Matyldzią, która mi się zwierzyła, że "będzie gryzła książki" jak wróci, bo czuła się mocno niedokształcona, choć była już w siódmej klasie.

- Wiesz co, Alu? -spotkał mnie kiedyś Staś - Już wkrótce zaczniemy te lekcje z panem Jasiem!...-

- O? - ucieszyłam się- Macie już jakiś podręcznik?-

- Ta, gdzie? Nie... Ale pamiętasz, on obiecał zacząć, gdy tylko się nauczymy trochę słówek...- wyjaśniał.

- I co? Wypisaliście już jakieś? A skąd wiecie, które?-

- Ta, po co? Uczymy się po kolei; ze słownika, jak leci! Już umiemy wszystkie słówka na literę "A" i dochodzimy do końca, no, niech będzie, że do połowy. "B"!--

Cwiczenia w pisaniu

Matyldzia też pałała żądzą wiedzy. Na razie czytała łatwiejsze z książek i ograniczała się do pisywania "na brudno" listów, które przynosiła mi do poprawiania. Do swych ćwiczeń w pisaniu, jak to nazywałam, wykorzystywała tytułowe i końcowe kartki "Dzieł Stalina", którymi kiedyś spółdzielnia była dość obficie zaopatrzona. Na tych kartkach było dość wolnego miejsca do pisania. "Dzieła" wykupili Polacy, ile kto mógł.

- "Wot, charaszo!" - cieszył się Gruby Mielnikow - Wszystkie książki sprzedane! Dawniej nam latami zalegały półki... -

- Swoją drogą : jaki to dziwny naród! - wyraziła swą opinię jego żona: - I będą czytać aż tyle? My sami nie dali temu rady - wyznała w zamyśleniu.

Dziwny naród ani myślał o czytaniu!.. Papier! Nawet na rozpałkę było go szkoda! Na tych mało zadrukowanych stronach można było pisać, a poza tym... Włecie jeszcze były jakieś chwasty liściaste, na początku, potem trawa zastępowała papier toaletowy, ale w zimie...

Matyldzia była niepewna swej ortografii, gramatyki i stylu, natomiast pewna niudolności w pisaniu i pełna zapału do prowadzenia korespondencji, zresztą niezbyt licznej. Ukraińska polszczyzna matki, aktualnie powszechne naleciałości obcojęzyczne, dość rychło wtapiane w nasz powszedni język, dopełniały miary. Co innego Cesia, nad wiek odczytana, która miała już swój styl i znacznych trudności w wypowiedaniu się na piśmie. Ta była w pierwszej gimnazjalnej.

Przerezagowywałam z Matyldzią jej listy, traktując usterki jako okazję do wyjaśnień, które przyjmowała z uwagą i wzrastającym odczuciem potrzeby dokształcania się w przyszłości. Tymczasem brała się do czytania, co, przypuszczalnie dawniej uważała jedynie za obowiązek wobec szkoły.

Kiedyś Bolek podpatrzył to nasze pisanie listów i krążąc i kołując przyznał się do prośby, a bym mu odpisała "do tańkiej jednej Janki", na co zgodziłam się, pod warunkiem, że własnoręcznie będzie przepisywał. Mianował mnie swoją sekretarką i cieszył się z dyskrecji i pomocy, aż do odjęcia nas od kontaktów ze Lwowem.

Cddane do przechowania

Z początkiem listopada, gdy mi się wykończyły moje jedyne półbuty, Mama zauważyła:

- Chyby nie bęcziesz w takich chodziła do szkoły? Podarte ten od spodu, ten także i z wierzchu... Gdzież ty tam wysiedzisz w czymś takim?...-

- Może nadejdą te, o których Łolek pisał...- miałam nadzieję: - Nowe! I dla Tata i dla mnie. Skórzane!..-

- Jeśli zdążą przed zimą...-

- Szczęście, że Mama ma te buciki pani Stankiewiczowej!.. I na dodatek Marysia pisze, że cieszą się z tego...-

- No, tak... Dali na przechowanie...- Mama wątpiła, czy to dla nich też takie szczęście- i stracili je, niechący...-

- Tato na nie natkną się, przy pakowaniu. Myślał, że to są mamine: taki rozmiar, akurat pasują. A Marysia pisze, że jej matka nie ma pretensji: rozumie...- tłumaczyłam, nie po raz pierwszy.

- A, no tak... Tak samo, jak z tą czekoladą...- westchnęła Mama.

- Najważniejsze, że ich złoto wróciło do nich i Ali też...- Zmieniłam temat, bo mi się zrobiło głupio, na samo wspomnienie tej czekolady.

Mianowicie przyniosła ją Marysia, dwie spore tabliczki gorzkiej czekolady, dwie pary sznurowanych bucików swej matki razem ze złotem do przechowania u nas, bo u nich już mieszkali nieproszeni lokatorowie, których się obawiano. Złoto, gdy zawiadomiłam, gdzie było ukryte, Ciocia Jula pozwracała. Buciki i czekolada, zapakowane w pośpiechu, przez Ojca, znalazły się z nami w Tas Bułaku, a właściciele, których przeprosiłam listownie, prosili, by przyjąć to od nich.

W dniu swoich imianin wymyśliłam, że poczęstuję Elę, Cesię i Matyldzię kawałkiem tejże czekolady. Zwróciłam się z prośbą do Mamy, która wydożyła ostatni jej kawałek.

- Co, tylko tyle? Co się stało?- zawołałam zaskoczona.

- Wiesz, przyznam ci się, że to ja tak się ratowałam, podczas tej biegunki...- zawstydziała się Mama.

A ja, zamiast ją przytulić i przeprosić, że myślałam o koleżankach tylko, i poczęstować ją resztą, no prostu ją zabrałam aby podzielić według swego planu, a na domiar złego, czułam

mocno zawiedziona, że tak mało, aż trudno było dzielić!.. Nie chciałam przyjąć do wiadomości, że przecież ta czekolada była faktycznie jedynym ratunkiem w chorobie, wobec braku lekarsw. Zawsze łakoma na słodocze, czasem od Mamy dostawałam "laskę" czekolady, zamiast słodkiego rogalika / za tę samą cenę: dziesięć groszy/ i przyzwyczaiłam się, że to mnie podsusza łakocie, jak gdyby to mnie się wszystko należało!...

Bywają takie sprawy, które człowiek zawsze będzie miał na sumieniu: niby mała rzecz, a wstyd. Nieodwracalny. I nie do narpawienia.

Puzderko

Gdy podczas bombardowań wrześniowych nakazywano schodzić do schronu, rodzice zdecydowali, że trzeba zabierać ze sobą najwartościowsze rzeczy. Oczywiście ja pamiętałam głównie o fotografiach, ale polecono mi zrobić małe zawiniątko ze złota. Wobec tego z dużej kasety wyjmowałam kolejne puzderka, by z każdego wyjąć pierścionek, kolczyki czy brożkę, umieścić je razem z łańcuszkami i branzoletkami w jednym pudełku, łatwym do przenoszenia, a te puzderka poprosiłam i dostałam, pod warunkiem, że w razie potrzeby będę gotowa je oddać.

Puzderka zamykały się na zameczki "fikuśne", zatrzaskiwane lub zapinane, po branzoletkach były większe, inne małe, różnego koloru, kształtu i fasonu, więc pracowicie wypełniałam je stalówkami, z uwzględnieniem ich rodzajów, spinaczami i innymi swoimi szkolnymi skarbami w tym typie.

Pamiętam, właśnie Wandzia zastała mnie przy tym, gdy weszła do pokoju, przy Mącznej, gdzie mieszkaliśmy po pożarze:

- Co robisz z tym całym kramem?-

- Ta, nie widzisz? Do każdego puzderka chowam co innego...

Gdyby tak jakaś rewizja wypadła, byłyby niezła próba cierpliwości dla nieproszonych gości, co?- żartowałam, zachwycona swym dowcipem - bowiem to już był październik i rewizje nie należały do rzadkości w mieście.

- Ojoj! Ta, uważaj, abyś nie wywołała wilka z lasu!- zawołała moja siostra i śmiałyśmy się obie.

- Czeka! Trzeba odpukać w niemalowane drzewo!-

- Można w niemalowane i nie drzewo!- rżąc z uciechy popukałam się w czoło.

A potem, gdy nas zabierano i przeprowadzano rewizję, stanął nade mną żołnierz z bagnetem, nasadzonym na karabin i wygarniając z mojej półki te puzderka po biżuterii, kazał mi otwierać te z nich, których sam nie potrafił. Nie wiem, kto miał głupszą minę: Czy ja, z niewczesnym poczuciem humoru / Wywołałam wilka z lasu! /, czy zaskoczony kontroler tych dziewczęcych skarbów: stalówek, redisówek, kolorowych pinesek... A zioto było w piwnicy.

Jedno puzdereczko znalazło się w kieszeni mojego fartuszka szkolnego, w którym, przygotowana z wieczora do półścia rano do szkoły, wyjechałam w świat.

Griszka Kuszczij

Któregoś dnia przyniosłam ze sobą do szkoły parę lwowskich stalówek w puzdereczku po pierścionku. Dzieciom bardzo się podobało, szczególnie że się zamyka na specjalny zatrzask.

Griszka Kuszczij, ten mały z Semipałatyńska zaprosił mnie kiedyś w imieniu swej matki, bym przyszła posłuchać muzyki, bo mają patefon i płyty. Termin był nieokreślony:

- " Zachaditie kagda niebut, w lubimoje wremia" / Bądź kiedykolwiek, w dowolnym czasie /.

Griszka zobaczył mnie raz przez okno, gdy z Flą wracałam ze spółdzielni, już trzeci raz w tym dniu bez chleba, który zapowiedzino za dwie godziny i wyskoczył, by nas zaprosić. Mieszkał dość blisko sklepu, w jednym z tych dwóch domów / zamieszkałych przez rodziny Rosjan /, które miały podłogi. To zaproszenie było nam na rękę: postanowiłyśmy tam poczekać na chleb, tym bardziej, że w domu u nas się nie paliło i namarzyłyśmy się dość.

Młoda i miła matka Griszki posiedziała trochę i porozmawiała z nami. Widać było, że nie przyzwyczała się do stepowej rzeczywistości i mieszkania w nowych warunkach, w nieznanym otoczeniu małego osiedla. Nie mówiła, ale odczuwałyśmy jej życzliwość i zrozumienie właśnie z powodu tego oderwania od dawnego życia i środowiska. Zachęciła synka, aby nam urządził koncert z płyt i poszła do swych zajęć domowych, do kuchni, bowiem mieli samodzielnie pokój z kuchnią.

Płyty były różne. Przeważnie melodyjne ludowe pieśni rosyjskie, parę z filmów, a jedną odłożył na sam koniec.

- To moja ulubiona: " Dzięwuszka z gór" -
- "Tangolita!" - rozpoznaliśmy po paru taktach znane, przed-

wojenne tango, o dość bałalnych słowach, ale ładnej, śpiewnej melodii. Znana nam z Kraju!... Ela zaczęła ją śpiewać, swym ślicznym, dziewczęcym sopranem, a chłopiec promieniał z zadowolenia, że tak poznałyśmy się na jego wybranej piosence.

Gdy Rodzice doszli do wniosku, że muszę zrezygnować z chodzenia do szkoły, wzięłam jakieś tam drobiazgi dla paru dziewczynek na pamiątkę, a pudełeczko jubilerskie dałam Griszce.

- Mnie to dajesz? Mnie? Takie ładne! Nie szkoda ci?- nie mógł uwierzyć

- Gdyby miało mi być szkoda, tobym ci nie dała!-

- Ale co ja ci mogę za to ofiarować?...- zaczął

- Nic, chcę tylko, abys miał pamiątkę, bo widziałam, że ci się to podoba- uspokajałam go.

- Tak, bardzo miła pamiątka...- dał się namówić.

Przyniósł potem szklaną kliszę:

- Zobacz:" Eto karawan na pustyni!" - przeczytał napis, pokazując mi kliszę pod światło. Kolorowa, mała, wielkości pudełka od zapalek. - Ładne, co?-

Pochwaliłam.

- A to dla ciebie pamiątka. Ode mnie. Musisz przyjąć!- nie dał mi przyjść do słowa, aż się zaczerwienił z przejęcia.

Przykro mi było pozbawiać dzieciaka widocznie jego skarbu. Zorientowałam się jeónak, że odmowa byłaby jeszcze większą przykrością.

- Dziękuję, dziękuję ci, Grzesiu! To będzie śliczna pamiątka od ciebie, ale ja i tak będę ciebie pamiętała- zapewniłam szczerze i dotrzymuję słowa.

U nas także, w normalnych czasach dzieci mają własną ocenę wartości różnych przedmiotów, z których jakieś mogą być dla postronnych rzeczą bezwartościową, a dla dziecka są po prostu skarbem. Ale tam, wtedy dzieci miały doprawdy tak mało, były pozbawione tak wielu rzeczy, że aż mi było ich żal.

A ten mały Griszka, inteligentny chłopiec, który rozumiał pogorszenie warunków bytu i zmiana losu oderwała go od dawnych kolegów po to, by nowi przyjęli go niezbyt życzliwie,

już miał na swym jedenastoletnim koncie życiowe doświadczenie, już wiedział, co to tęsknota, gdy wspominał:" U nas w Semipałatyńsku", za co mu dokuczano.

Mała i skromna klisza z karawaną na pustyni gdzieś już mi przepadła w setkach przenosin i przewodzących przez kraje i kontynenty, nie dotrzymała mi kroku. Pewnie i obraz na niej już się zatarł i zbladł. Ale czas nie zatarł wspomnienia o małym chłopcu, który mi ją ofiarował z prośbą, abym go pamiętała. Czas który wyznaczają już dziesiątki lat.

Gdzie jesteś, mały Griszka Kuszczij z Semipałatyńska?

Jakie były późniejsze twoje losy?

Czy pozwoliły ci powrócić do miasta, które nosiłeś w swym dziecięcym sercu?

Godzinki

Ojciec wracał z pracy tuż po piątej po południu, a raczej to już było wieczorem, który wcześniej zapadał. W naszej izbie pan Wojciechowski zawiesił na parapecie drzwi małą lampkę naftową, nr 5, na gwoździu, zdobytym, tak jak i ta lampka, jakimś cudem. Nasze przyszłe traktorzystki, dzięki kontaktom z traktorzystami, czasem zdobywały trochę ropy naftowej, której w sprzedaży nie było, toteż światło świeciło się u nas bardzo krótko, zwykle tylko przy rozwijaniu tych legowisk na ziemi, które na dzień się zwijało. Zwykle wtedy właśnie nadchodził mój Ojciec i Mama dawała ten gorący posiłek: "kolacja z obiadem za jednym przysiadem".

Światełko małej lampki było zbyt nikłe, aby można było przy tym czytać, toteż te beznadziejnie długie wieczory, w najkrótszych dniach już od trzeciej godziny po południu, trudno było czymkolwiek się zająć. Do tego dochodził mróz.

Pan Wojciechowski, jako organista z zamiłowania, znał wszystkie pieśni kościelne, litanie i modlitwy, zawsze gotów był darzyć nas tym bogatym repertuarem.

Gdy wprowadziliśmy się tam w październiku, zaczęło się od wspólnego odmawiania różańca. Co wieczór jedna cząstka, czyli pięć dziesiątek. Ta specjalna modlitwa, polegająca na rozmyślaniu, sprawiała mi nieraz wiele trudności w utrzymaniu odpowiedniej dyscypliny wewnętrznej, wobec własnych, rozbieganych i nieposłusznych myśli, wciąż uciekających gdzieś we własne rewiry. Najłatwiej dawałam im radę, gdy przypadła Część Bolesna, do której psychicznie najlepiej się przystosowałam.

Kiedy jednak nasz współlokator zaczynał śpiewać "Godzinki" nie byłam w stanie utrzymać myśli na wodzy. Nie mogłam pozbyć się uczucia, że swym upartym zawrozczeniem ze swej ciemnej niejako otchłani, niczym z zimnego grobu, musimy się strasznie Niebiosom naprzykrzać, tak, aby już choćby na odczepnego wymusić owe "przybycie ku pomocy". Zachrypnięte głosy wydawały mi się jakąś niegodną prowokacją i szczególną perfidią: : "Jakimi głosami nas obdarzyłeś, Panie, takimi Cię chwalimy"...

Zdawało mi się, że te "Godzinki" zakłócają spokój Panu Bogu i całemu światu, jak uprzykrzone brzęczenie natrętnych much, których się pozbyć nie sposób. Gdybym mogła, uciekłabym, ale to też nie byłoby w porządku, tak samo, jak i uczestniczenie w nich z braku innych możliwości. Czułam się nastroszona wewnętrznie kolcami i ani trochę nie zdołałam sobie wyobrazić, że TO się może Panu Bogu podobać, że cierpliwie znosi, "jak Go błaga lud", zawódząc owe "Godzinki"... Marzyłam o ciszy, w której każdy mógłby po swojemu, sam, prywatnie pomodlić się, a nie był mimowolnie do tego wciągany przez kogoś. Żadne inne śpiewy, czy pieśni, nie działały tak na mnie, jedynym wyjątkiem stały się te "Godzinki", które z narzuconą sobie rezygnacją przyjmowałam za pokutę.

Mieszkaliśmy już w tak nielicznym i to dobranym dobrowolnie gronie, że tam, w stuosobowej sali nawet marzyć o tym było trudno! A jednak nieraz człowiek tęsknił do chwili samotności, potrzebował tego. Wszędzie było się razem, nawet najintymniejsze czynności ludzkie nie miały praktycznie szans na samotność.

Mycie się : do późnej jesieni w rzece. Potem... co to, prawdę mówiąc, było za mycie!? Bez miednicy, bo tę pożyczaliśmy raz na tydzień... Nawet, gdy jedna drugiej polewała wodę, to na dworze, bo przecież nie mieliśmy wiadra na brudną wodę.

Gdyby nie te braki, można by się swobodnie myć po ciemku... A tak, te dłużące się godziny pobożny ojciec mej przyjaciółki starał się wypełniać pożytecznie: modlitwą, co całej tej pobożnej rodzinie pomagało w przetrwaniu. A ja czułam się nieraz pusta i gubiłam treść płynących słów.

Do końca życia "Godzinki" będą mi przypominały ciemne i bez nadziejne, zimne i głodne wieczory w Sigizbaju.

Sposób na podeszwę

Ostatecznie któregoś ranka, podczas marszu po chleb odpadła mi zupełnie jedna podeszwa, druga trzymała się dziwnym sposobem wzdłuż jednego boku. Ludzie wracali ze spółdzielni bez chleba, bo już zabrakło, więc zawróciłam z drogi i dobrnęłam do domu z tą jedną podeszwą w ręce.

Gdy Ojciec wrócił i zjedliśmy supę, pokazałam, póki się świeciło, swe buty. Przyznał się, że pamiętał o ich stanie i myślał nad tym cały dzień, przewidując, że mogę zostać bez tych marnych półbutów, nawet. Wyjął z kieszeni dwa kawałki drutu i jeden gwóźdź, a także pożyczone w drukarni obcęgi. W każdym biednym półbucie zrobił po jednej dziurze w jego wierzchniej części, na nosie / o ile był na nos /, a potem tym samym gwoździem przebił po jednej dziurze na wylot każdej podeszwy, z przodu. Patrzyłam dość zaciekawiona rezultatem:

- Nigdy bym czegoś takiego nie wymyśliła!- przyznałam obiektywnie - W ^{czasach} dzieciństwie czasem przychodził na naszą ulicę druciarz i wołał po podwórkach: " Garnki drutować!", ale, żeby buty, to nie słyszałam...-

- "Potrzeba jest matką wynalazków"- skromnie odpowiedział mój pomysłowy Tato, poczym przeciągnął druty przez oba otwory, ścisnął końce drutu obcęgi i zakręcił tak, aby się trzymało. Drut nie był zbyt zardzewiały, ale był dość mocny. Zakręcony sterczał ponad palcami, nadając obuwiu wygląd nosorożca. W tym lewym, jeszcze nie stanowił jedynego połączenia z podeszwą, w tym prawym, podeszwa trzymała się tylko na tym drucie, lecz się trzymała, czyli nie musiałam więcej nosić jej w ręce! Żałowałam wprawdzie, że nie było więcej tego drutu, a to chyba w myśl przysłowia " Pozwól kurze grzędę, jeszcze wyżej siędę", więc trzeba się było cieszyć i tym.

Pomysł Ojca okazał się niezły, wykonanie, choć, jak sam przyznał, nieco nieudolne, lecz pełne jak najlepszych intencji, ale mimo wszystko, w tak druciarsko-szewskim spreparowaniu buta należało przewidzieć wykorzystywanie go nie częściej niż raz na dobę w drodze do spółdzielni, co w obie strony niewiele przekraczało trasę dwóch kilometrów.

Ostatecznie musiałam zrezygnować z chodzenia od szkoły. Lidia Iwanowna kilkakrotnie przysyłała po mnie Zoję Skokową i Marusię, którym często towarzyszyły inne dziewczynki.

Miały okazję podziwiać moje obuwie, o czym poinformowały nauczycielkę, która zachęcała do wytrwania. Niestety, kłapiące chodaki nigdy nie wysychały, przeziębiona byłam okropnie, kaszel zdawał się udusić, a do lekarza nie było po co się wybierać, bo nie było lekarstw, o czym wiedziałam od Mili. Najgorsze były przymusowe spacery nocne. Na szczęście nasz posiłek w owym czasie składał się z porcji zupy grochowej dziennie. Oczywiście uważaliśmy to za luksus / tak wysokokaloryczną / więc te porcje dziennie nie były zbyt obfite, lecz co za porównanie z taką nędzną krtoflanką!

Gdy dziewczynki ze szkoły wpadły zapytać mnie o zdrowie, zaproponowałam im rysowanie nadał ilustracji do gazetek ścienne, domyślając się, że to może być przyczyną, dla której namawiają mnie do pozostania w szkole.

Zawdzięczałam, bądź co bądź, tejże szkole uniknięcie sądu / pokazowego!/, więc nie chciałam być całkiem niewdzięczna. Także Eli, chorującej wprowadzie, tylko że nie zawsze się z tym liczone / upiekło się przy okazji.

Kilkakrotnie dzieci przynosiły mi papier, na którym, przypinawszy na paczuszce od naczynia, rysowałam, rozłożywszy arkusz na dykcie naszej pryczy, odsunawszy z niej kapę, która pełniła równocześnie funkcję materaca i prześcieradła, służąc nam za podsiólkę do spania. Któraś z tych koleżanek szkolnych zaprosiła do siebie :

- U mnie ci będzie wygodniej rysować: my mamy stół i krzesła. Chodź, pokażę ci, gdzie mieszkam...-ale na razie to ja pokazałam jej: swoje człapakki.

Kiedys głowiłam się nad problemem, jak narysować czołg.-Wybawił mnie z kłopotu Jurek Horodyski, który na kursie miał wolną niedzielę i mógł na to poświęcić czas, gdyż do Tiki Bułaku drogi były zawiane, czyli do mamy się nie wybierał, co mu się parę razy udało.

Dzięki tym moim człapakom przesiadywałam prawie całymi dniami w domu, chleb trafiał nam się bardzo rzadko. Za to miałam dość czasu do pisania listów, do czego wykorzystywałam zeszyty zakupione dzięki szkole.

Likwidacja drukarni

Raz dziennie wybierałam się po chleb, póki Tato pracował, bo przysługiwał ten "roboczy" przydział: osiemset gramów.

Tylko ja byłam w stanie pójść, bo Mama była zbyt słaba, aby oprzeć się wichrom: nie doszłaby. Żałowała, że nie mogła mi pożyczyć bucików, bo były o dwa numery za małe. Każdego dnia zgadywałam, jaką wybrać porę, kiedy trafi się ta właściwa okazja, ale wobec znikomych szans rzadko mi się to udawało. Tymbardziej było mi żal, że już kończyła się ta praca Ojca. Kazano pakować cały majątek drukarenki do przenosin, do Urzędaru.

Wańka, młody Ojca kolega po fachu, nauczył starszego, jak trzeba pracować, bo już zorientował się, że nie zostanie przeniesiony do pracy w swym zawodzie, z którego był taki dumny w swoim środowisku, gdzie jeszcze analfabetyzm nie należał do rzadkości. Zdawał sobie sprawę z tego, że władze sołchozu zatrudnią go natychmiast tam, gdzie wciąż brak było sił roboczych, czyli w magazynach zbożowych, do których stale wszystkich zaganiano i będzie od świtu do nocy dźwigał sześćdziesięciokilowe worki z parteru na piętro do wagi, skąd je zsuwano do transportu. Nie miał się zaiste do czego śpieszyć.

Dzięki jego pomysłowości i umiejętnemu przystosowaniu się do realiów życia codziennego, co świetnie znał, zaczęli obaj solidarnie pakować swe kasty, czcionki i cały sprzęt tak, by w każdej chwili, ze względu na częste kontrole pracy, coś właśnie aktualnie zawijać i pakować i bezpośrednio po dokonaniu inspekcji przez miejscowych dygnitarzy, rozpakowywać i rozwijać. Zapewniał, że "Liczy się, że pracujemy: sami to widzą i sprawdzają!"

Nie wiem, czy ów Wańka znał historię płaszczka wiernej Penelopy, ale jego system pracy bardzo im to przypominał.

Listy

Listy stanowiły kontakt z rodziną, przyjaciółmi, koleżankami i kolegami, ze znajomymi, a nawet z nieznanymi, którzy brali adresy, aby pisywać, dodawać otuchy, podtrzymywać na duchu, czasem nieść realną pomoc materialną. Niejednokrotnie spotykałam się z powtarzanym przysłowiem: "Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie"; bo nieraz zdarzało się, że kogoś zawiódła rodzina, a jak najbardziej niespodziewanie odzywali się obcy ludzie, przepełniając wdzięcznością rozgoryczone skądinąd serca.

Listy informowały nas o wielu sprawach, o których nie byliśmy wiedzieli, i zapewniały nas o czyjejs pamięci, co było dla nas szalenie ważne i istotne, bo bałóśmy się, aby o nas nie zapomniano w tak okropnym nawale wojennych wydarzeń

Bywały rozmaite. Te najpierwsze zaszokowane dolą zesłańców niespokojne o los nasz, często zaczynały się od takich słów, które nas wprawiały w zakłopotanie: " Nasi Męczennicy!" , " Nasi Bohaterowie", Najdrożsi nasi bohaterscy Rodacy!"

Kiwaliśmy głowami, słuchając tych listów, początkowo odczytywanych głośno, w tej stuosobowej sali, bo wszyscy chcieli wiedzieć, co tam " u nas we Lwowie", a otrzymujący gotowi byli dzielić się. Wiele pań wzruszało się do łez, reszta słuchała z pełną wyrozumiałością dla autorów tych listów i ich starań, aby wyrazić swe uczucia.

Do nas też takie, te pierwsze, przychodziły.

We Lwowie ludzie przekazywali sobie wiadomości o nas, fragmenty listów odczytywano znajomym i nieznanym, nawet w kolejkach, o czym nam pisywano.

Do swojej klasy w Liceum Pedagogicznym wysłałam karteczkę z informacją, którą i jak długo trwała nasza podróż oraz gdzie się znajdujemy i aby nikogo nie narażać, zakończyłam ogólnymi pozdrowieniami dla wszystkich.

Napisały do mnie koleżanki i koledzy, każdy osobno, prywatnie, a te z liceum podały mój adres koleżankom, z którymi wcześniej chodziłam do gimnazjum, zanim rozeszłyśmy się do różnych szkół, czyli ostatnio nie byłyśmy w kontakcie ze sobą

Z pedagogicznego odezwała się Marta Wieczorek, z którą siedziałam w jednej ławce i Kazia Kulik, obie poprzednio z gimnazjum Nazaretanek, jak ja. Marta opisywała życie szkolne i klasowe. Kazia pisała o koleżankach i nauczycielkach, a mój adres dała Siaśce Bilińskiej, z którą sąsiadowała na Lewandówce, skąd razem dojeżdżały do szkoły, przy ulicy Unii Lubelskiej.

Z Siašką właściwie poznałam się bliżej na kolonii szkolnej. Teraz jej listy przenosiły mnie w całkowicie inny świat, bo ona zaręczyła się i żyła tym wydarzeniem, jakby oderwana od rzeczywistości. Jej narzeczony, Leonid, studiował prawo przed wojną, potem, jeśli się nie mylę, zaczął o jakąś посадkę która, jak się później okazało, nie uchroniła go od poboru do Armii Czerwonej, gdy przed Wielkanocą 1941 roku brano rocznik dziewiętnasty.

Z dawnych nazaretanek odnalazły mnie listy: Saby Pęskiej, Myszki Żurowskiej, Janki Siedlik i Oleńki Diezius, które już były w różnych liceach, dostarczały rozmaitych wiadomości, każda w odmiennym stylu.

Saba też zatytułowała do mnie tak uroczyście i z namaszczeniem, wstrząśnięta tym, co nas spotkało. Poprosiłam natychmiast, aby darowała sobie stawianie mnie na piedestale męzczeństwa i odtąd pisywała zwyczajne, zawsze bardzo serdeczne listy, przeważnie o koleżankach, młodzieży naszej i o tym, co się tam dzieje, chociaż w naszym mieście działo się niewesoło.

Saba, kochana Saba... Miała wybitne zdolności literackie i postanowiła się, że poszła do liceum przyrodniczego. Jej wierszem pisana, śliczna "Szopka Wigilijna dla Chorych", przyjęta serdecznie przez prowadzącego Skrzynkę Chorych w Rozgłośni Polskiego Radia we Lwowie, księdza Michała Rękasa, została w całości nadana w 1937 roku. Szesnastoletnia autorka, skromna i pokornego serca, w cichości duszy przeżywała ten swój sukces. Zdawał się zapowiadać tak wiele...

Ksiądz Rękas to była firma. Był pierwszym projektodawcą radiowego "Koncertu Życzeń", który ze Lwowa odbił całą Polskę i przerósł wszelkie, najśmielsze oczekiwania autora pomysłu i Rozgłośni. W założeniu, u podstaw pomysłu, chodziło o sposób zdobycia środków finansowych dla chorych, potrzebujących materialnego wsparcia, na co przeznaczony był dochód. Za złotówkę można było przesłać komuś życzenia z dowolnie wybraną piosenką, toteż repertuar tych koncertów bywał bardzo bogaty i urozmaicony, bo o wyborze decydowali nadawcy życzeń. Ksiądz Rękas cieszył się wielką estymą i wystąpienie pod jego patronatem było wielkim wyróżnieniem.

Myszka, strasznie zawsze żywa, impulsywna, o rozmaitych nieoczekiwanych, zwariowanych pomysłach w szkole, w domu czuła się nielubiana przez ojczyma, który nie miał do niej cierpliwości ani wyrozumiałości dla tej bujnej natury, od samego początku małżeństwa jej owdowiałej matki. Jej listy odzwierciedlały obie te strony życia, w które byłam wtajemniczona, bo przyjaźniłyśmy się w gimnazjum. Rozumiałam ją dobrze, a chociaż trudno mi było coś jej poradzić, to przynajmniej wiedziałam, że się może spotkać z tym moim zrozumieniem.

Oleńka pisywała ze sobie właściwą nutką specyficznego humoru. Na przykład pamiętam takie sformułowania: "Irka Otto spadła z balkonu drugiego piętra, by złamać rękę na balkonie

o piętro niżej, a poza tym ^{jej}nic się/nie stało. " Albo: " Nasza panna Wandeczka wyszła za mąż za doktora. Jest dużo starszy i łykowaty. " Cieszyłam się z tych listów, uważając, że ta zwięzła informacja i charakterystyka różnych osób, o których Oleńka pisała, najlepiej charakteryzowała samą autorkę. Jak szkoda, że nie przeżyła wojny, wykończona przez Gestapo..

Z Janką urwał się kontakt już po pierwszej wymianie listów i to niewątpliwie z mojej winy. Tu zacytuję z "Powrotu taty:

- A jak się stało, opowiem", ale muszę to poprzedzić relacją z pewnego wydarzenia :

Okruchy dla piesków

Zdarzało się, że Gruby Mielmikow po sprzedaży chleba, który pieczony w wielkich, pięciokilowych bochenkach, krojono i rozważano na ladzie, na te przepisowe porcje po 800 lub po 200 rgamów, łaskawie zgadzał się sprzedać te nagromadzone na ladzie okruszki. Płaciło się za nie tak samo, jak za chleb, ale pobłażliwie traktował wtedy te przepisy.

Pewnego dnia- stojąc już przy ladzie / w drutowanych człapakach/ straciłam nadzieję na właściwy chleb, ale jeszcze miałam szanse na te okruszki, jeśli sprzedawca zechce je sprzedać, oczywiście, bo to zależało od niego.

W domu wykończyło się wszystko do dna: ani jednego ziemniaka, ani łyżki mąki... Pustka!. Modliłam się w duszy o tę dość sporą ilość okruszków, bo to była ostatnia dostawa chleba na ten dzień. Już je miałam dostać, bo przede mną stała pewna pani, co do której byłam pewna, że takich zmiotków z lady nie będzie jadła, gdy nagle ona odsunęła moją rękę z pieniędzmi:

- Cwileczkę, panienko! Ja stoję pierwsza!- zawołała oburzonym tonem- Jak tak można?!-

- Czy... czy pani to naprawdę będzie jadła?... - zapytałam ze ściśniętym gardłem, po cichu, chociaż ludzie już się rozeszli.

- No, wiesz!..Przecież wiesz, że mam te psy i pieski! Takie wdzięczne stworzenia, tak prawdziwie przywiódzały się, że muszę je karmić. A w kolejce byłam przed tobą!-

- "Da, da!"- włączyła się żona Mielmikowowa- "Prawilno! A tobie mada rabotat!" to do mnie...

Nie zdołałam wydobyć z siebie więcej głosu. Opiekunka sforypsów podstawiła woreczek na okruszki z wagi i ośesza dumne ze

swego litościwego serca.

Wszyscy już dawno zniknęli. Wichura przewiewała mnie na wy-
lot i targała mną tak, że się zataczałam, miotana ze wszystkich
stron. Chodaki nie ułatwiały marszu, kończyny mi skaczaniały,
nos zdawał się z lodu. Śnieg sypnął wielkimi płatami, nagły
i tak gęsty, że już nie widziałam tej postaci, która mogła wy-
przedzać mnie o kilka kroków.

Wlokłam się z rozpaczą w sercu. Powinnam była tej całej pa-
niusi prosto w twarz rzucić prawdę:

- Wydziera mi to pani dla psów, a co ja zaniosę Matce? Nie
jadła nic dzisiaj! Nic!.. A wczoraj i co dzień, mniej zupy i
i gorszą cę tych paninych piezków!...- Rozbeczałam się z powo-
du tego spóźnionego refleksu.

- Zaraz: a może, kto wie? Polecę, wytłumaczę, przekonam!-
postanowiłam i usiłowałam to zrobić.

Gdzie tam! podeszwa wywijająca mi się- potknęłam się, upadłam
i znowu, wiatr mną przewracał z diabelską siłą i głośnym,
mroźnym świstem.

- Proszę pani! Hop, hop!- wołałam, aż zachrypłam, ale wia-
cher znosił w przeciwnym kierunku.

- A, bodajby lichy wzięło te wszystkie osy i pieski!- zła-
pałam się na pobożnym życzeniu.

- No, nie! To nie wina tych stworzeń, tylko takiej jednej
idiotki, która nie umie walczyć o byt!...- zanosilałam się od
płaczu, wyrzutów sumienia, wstydu własnej głupoty i tępej
niezaradności.

- Boże, wybacz mi! Boże! Zlituj się! Co ja powiem Mamie?...
Znowu nie mam nic...-

Wlokłam się już zobojętniała w końcu, wytężając wszystkie
siły, aby przynajmniej się uspokoić. Przestałam rozpamięty-
wać z żalem, że jest parę takich pań, które specjalnie obie-
rają ziemniaki grubo, by z tych łupin gotować strawę dla
psów, które czasem częstowane są chlebem lub plackiem! Nie,
nie zazdrościłam im jeszcze, ale chciałam też...

Mamie wystarczył jeden rzut oka, gdy stanęłam w progu...
Nie pytała o nic... Te głodne oczy widziały wszystko.

A potem pani Bokotowa przysłała dzieci z pytaniem, czy nie
trzeba nam ziemniaków, bo może pożyczyć.

To się pamięta przez długie lata.

Zerwana korespondencja

List Janki nadszedł właśnie tym wydarzeniu. Pisała w ten deseń:

... " Nie masz pojęcia, jakże ci zazdroszczę tego męczeństwa, tego bohaterstwa i wszystkich cierpień za Ojczyznę, na jakie jesteś, jesteście wy wszyscy skazani... !"é

Nie wytrzymałam i odpisałam od razu, co sobie myślałam, w odpowiedzi na takie gadanie, bo cały list był w takim tonie. Żadnych wiadomości, o nikim i o niczym, nic z tego, co człowiek chciałby się dowiedzieć, tylko takie puste bzdury! Te powyższe zdania zacytowane są niemal dosłownie, reszta niewiele odbiegła pod względem treści i stylu.

- Kochana Janko!- odpisałam- Nie mam pojęcia, jak możesz nam "zazdrościć męczeństwa za Ojczyznę"! Nie wiem, co Ojczyźnie przyjdzie z tego, że my tu skazani na zesłanie i walkę o byt, zaczynamy już sami ze sobą, Polacy, tę walkę o byt toczyć! Że człowiek człowiekowi potrafi wyrwać od ust kawałek chleba, wyrwać nawet okruchy chleba głodnemu, aby nakarmić swoje pieski, "bo to takie wdzięczne stworzenia"! Ba, nawet dziecko potrafią oszukać dla własnego zysku : widziałam na własne oczy, bezsilna. Nie wiem, jaką chwałę Polsce przynieś się fakt, że kochane Rodaczki, doprowadzone cierpieniami do kresu sił, po prostu zaczynają się ze sobą kłócić, są o krok od nienawiści. A zdarza się nawet że parę "zaradnych" urządziło się tak, aby tylko przeżyć, bez względu na cenę hańby...

Co za znaczenie dla Zbawienia Ojczyzny ma to, że żyjemy tu o głodzie i chłodzie, w brudzie, poniżeniu, śpimy w smrodzie, bez pościeli i bez bielizny pościelowej, na glinie, nawet mamy wszy! - Zastanów się dobrze nad tym, co mi napisałaś! Czy na pewno jeszcze nadal zazdrościsz nam takiego losu? To całe męczeństwo i bohaterstwo bardzo pięknie i szlachetnie może wyglądać z daleka, ale taki los jest nie do pozazdroszczenia i wrogowi bym nie życzyła!!

Napisałam ci, co mamy. Gdybym chciała wyliczać, czego nam brak, nie starczyłoby mi papieru, ani sił, i nie miałabys cierpliwości do czytania... "

To było tyle dobrego na raz! Gdybym się nie obawiała, że posądzi mnie o żebranię, dopisałabym jeszcze mniej więcej:

"Zamiast zazdrościć nam męczeństwa, wolałabym na twoim miejscu pomyśleć w jaki sposób /najmniej kłopotliwy/ w nim ulżyć: choćby dołożeniem czystej kartki do listu, na odpowiedź, przśłaniem fotografii ze szkolnych lat, lub widokówki Lwowa, paru znaczków pocztowych, czy obrazka świętego, których tak wiele jest w każdym domu, a tutaj sprawiłyby radość, nie mówiąc już o książkach." Tego jednak nie napisałam. Na jej miejscu sama bym się domyśliła...

Na tym zakończyła się ta korespondencja.

Spotkałyśmy się po siedmiu latach. Tego incydantu nie pamiętała wcale...

Korespondencja z kolegami

Staszek Podusowski, z naszej klasy, napisał parę razy, a potem tę korespondencję przejęła jego siostra, Marysia, której nie znałam osobiście. Młodsza o parę lat. Pisała głównie o życiu młodzieży i wydarzeniach w mieście, a wszystko nas interesowało.

Staszka pamiętam szczególnie z tych perypetii, jakie przechodził w marcu 1940 roku, w związku z narzuconymi nam "Wyborami" do Rad t.zw. "Zapadnej Ukrainy". Obowiązkowy udział w tych wyborach obejmował wszystkich, którzy ukończyli osiemnaście lat, co według prawa sowieckiego uznawano za dojście do pełnoletności, inaczej, niż w przedwojennej Polsce, gdzie wiek dwadzieścia jeden lat stanowił o tym, co dopiero po wojnie uległo zmianie.

Wybory ogłoszono na dzień dwudziestego czwartego marca, z czego osobiście korzystałam, bo moje urodziny były o dwa dni później! Staszek ukończył swój osiemnasty rok o dwa dni wcześniej i "miał za swoje!" Rodzice jego uznali, że bezpieczniej, dla uniknięcia represji, będzie, jeśli na te wybory pójdzie.

I tu się zaczęła cała kołomyjka! Musiał w tym celu najpierw uzyskać "paszport" /dowód tożsamości/. Załatwianie zajęło mu mnóstwo czasu, odsyłano go od Annasza do Kaifasza, wszędzie musiał czekać, tłumaczyć, wyjaśniać, przechodzić różne koro-wody, przesłuchania i td i tp, do niemożliwości. Do szkoły wpadał, aby nie narazić się na poważny i dalekosiężny w skutkach zarzut bojkotu szkolnego, usprawiedliwiając swą nieobecność, przedkładając dowody załatwiania sprawy. Do urzędów nosił legitymację szkolną, z poświadczoną aktualnością, słowem, można było dostać kręćka!

- Aleś ty się mądrze urządziła!- powiedział mi kiedyś, w przelocie, galopując przez korytarz szkolny, z jakimś świstkami w ręku, wdychając z pełnym podziwem uznaniem dla tej mojej mądrości i z żalem, nad swoją dolą.

- O?- zaciekawiałam się zaskoczona niespotykanym komplemencem, nie potrafiłam się bowiem, o co chodzi.

- No, że urodziłaś się o te twoje dwa dni różniej, oczywiście! I masz z tym wszystkim spokój! ...- zaczął, wskazując na papierki, ale nie słyszałam, co tam dalej klarował, bo się strasznie zmieszałam tym, że spiekłam raka, nieprzyzwyczajona wciąż jeszcze do koleżeńskiej poufałości chłopaków.

- Swoją drogą-pomyślałam sprawiedliwie, że nie przypominam sobie, żeby to była moja zasługa!- ale naturalnie nigdy nie chlapanęłabym głośno czegoś takiego, co nie uchodzi!

Władek Piciński pisywał listy, które niewątpliwie uważał za romantyczne i przysyłał mi swoje wiersze. Ten, który był przeznaczony do pamiętnika, przypominał mi Asnyka :

- " Cóż ci mam wpisać, luby Aniele?

W twych marzeń bukiet jaki wpleść kwiat?

Bo kwiatów pięknych jest bardzo wiele,

Jak ty wiośnianych w rozkwicie lat

I jak ty, pięknych, luby Aniele..."

I dalej było jeszcze:

" Kochaj Ojczyznę całym zapałem

....

Ona niech będzie twym ideałem... " -

Reszta utonęła w niepamięci czasu.

Po tym liście, który nota bene czytałam z Elcisą, zwracałyśmy się czasem do siebie przez "Luby Aniele", zachwyciły "bukietem marzeń" i naszym "wiośniwym rozkwitem lat", a cały ten romantyczny język wprawiał nas nieodmiennie w dobry humor, chociaż nie rozśmieszał, jak ulubione "Cztery bułki".

W końcu, na licznie ponawiane prośby, posłałam Władkowi jeden ze wych wierszyków, bo jakoś się tam dowiedział, że pisuję.

Zupełnie inaczej przedstawiała się korespondencja z Leszkiem Przybylskim. Zaczął od tego, że bez żadnych komplementów uznał mnie za jedną z najbardziej koleżeńskich dziewcząt w klasie. Chyba chodziło o jakieś rysunki, którymi go poratowałam w krytycznym momencie, zresztą nie pamiętam. List nie świadczył o cierpliwości do pióra, ale o koleżeńsko wy-

ciągniętej do mnie dłoni i o praktycznej pomysłowości nadawcy:

..." -Zamiast znaczków pocztowych, w które chciałem Ciebie zaopatrzyć, w obawie, aby się nie posklejały, wkładam do listu pięć rubli, z prośbą, abys je przyjęła, jak od kolegi, jak od przyjaciela. Pisz, bo czekam na Twój list. ...- "

List był polecony. Bardzo mnie wzruszył. Równocześnie czułam się ogromnie zakłopotana:

- Jak mogę to przyjąć? Nie wypada!... Ale odesłać? Za dobre serce odpłacić w ten sposób? Tak nie można... Co robić?...-

Wiedziałam, że Leszek, który pochodził z Komarna, we Lwowie mieszkał na stacji, na Łyczakowie, bo dojeżdżanie było zbyt uciążliwe. Wiedziałam też, że w tych czasach, gdy tak ciężko było o zaprowiantowanie, chłopcom na stacjach nie powodziło się zbyt dobrze. A tu : pięć rubli... Żeby to jeszcze od koleżanki. Ale od kolegi? Zawsze to chłopak... Siedziałam i dumałam, co z tym fantem zrobić, gdy nadeszła Mama:

- Nad czym tak dumasz?-

Zaczęłam onowiać i wyjęłam ten banknot z koperty.

- Leć po chleb! Jest! Zdążyś! Nie miałam ani kopiejki, właśnie chciałam gdzieś pożyczyć, nie wiedziałam od kogo... Leć!...- mówiła, rozglądając się po sali, bo to było jeszcze w klubie, ale już biegłam, nie czekając.

Zdążyłam! Dostałam pełny przydział! Byłyśmy z Mamą uszczęśliwione.

Dziękuję ci, Leszku!

Przychodziły od niego listy polecane, a ja notowałam sobie ^w karty, z nadzieją, że gdy się kiedyś spotkamy, sroćbuję "wybrnąć z honorem".

Gdy po roku, w czerwcu 1941 r. byłam tak chora, że sądziłam, iż dni moje, jeśli nie godziny są już policzone, napisałam do Dzidki, starając się możliwie pisać pogodnie i opowiedziałam jej o Leszku i o tym, że w sumie nazbierało się tego aż trzydzieści sześć rubli, niby z zapytaniem, co mi radzi w tej sprawie zrobić. Z wielkim trudem zbierałam myśli, z największym wysiłkiem wiązałam je w słowa i zmuszając się do natężenia całej siły woli tak jakoś, mimo chodem, usiłowałam przekazać siostrze coś, co uważałam za sprawę do załatwienia.

Leżałam wówczas w Tiki Bułaku od kilku dni z temperaturą

powyżej 39°C i ciężkim porażeniem słonecznym. Łeb, jak połamany czerep, pękał mi z bólu, oczy same łzawiły i wylażyły na wierzch. Nie miałam nadziei na ratunek. Dlatego chciałam przekazać swoją wdzięczność, aby doszła, zgodnie z moją intencją, niczym ostatnia wola.

To był mój ostatni list, pisany przed agresją hitlerowską na ZSRR. Korespondencja z Lwowem została zerwana.

Wierszyki

Listy od Ali, mojej młodszej przyjaciółki od czasów nazaretańskich, listy przychodziły dość często, co bardzo sobie ceniłam. Jej to właśnie wysłałam drobnym maczkiem napisane moje wierszyki, które tam do tej pory powstały. Nie wszystkie. Takie rymowanki o realiach życia zbyt drastycznych, nie wydawały mi się odpowiednio do dzielenia się nawet z Alą. Ot, tylko te o tęsknocie, marzeniach o powrocie. Pisywałam właściwie je sobie, ale skoro moja przyjaciółka pytała, znając tę słabość i prosiła, by jej przysłać, to wysłałam. Strasznie się krępowalam tej pisaniny i dorosłym nie przyznawałam się do niej, najwyżej najbliższemu przyjaciółkom.

Nie przyszło mi do głowy, aby posyłając Ali zaopatrzyć wierszyki zastrzeżeniem: "Czytaj sama!", czy też: "Nie pokazuj nikomu!" Uważałam, że to się rozumie samo przez się: byliśmy przecież przyjaciółkami.

Ali nie przyszło do głowy, że mam coś przeciwko i natychmiast moje wierszyki pokazała Lolkowi, którego wprawdzie traktowałam po przyjacielsku, ale nie aż tak poufale, by się zdradzać z tymi wierszykami.

On z kolei nie domyślał się, że wkroczył na teren zbyt intymny, nie wiedział, jak do tego podchodzę i w liście do nas poświęcił temu wiele miejsca i uwagi, "jak gdyby nigdy nic"!

Poczułam się strasznie zbita z pantałyku! Na dodatek Mama, skończywszy czytać list od Lolki, przecierając okulary, zwróciła się do mnie:

- Dlaczego ja nic o tym nie wiem?... To ty układasz wierszyki? A ja ich nigdy nie widziałam...- Była bardzo zdziwiona i rozżalona.

- O, Jezu! Ale wpadłam!- pomyślałam z wielką przykrością.- I co ja teraz pocznę, nieszczęśliwa?...-

Nie było wyjścia: musiałam pokazać. Mama czytając, tak jak się obawiałam, ocierała łzy.

Zastrzeżenia i uwagi

Listy od Leona, bardzo konkretne, zawierały sprawozdania z losów jego, Dzikki, trochę o sytuacji w naszym domu, na Sienawskiej. Najbardziej jednak poruszyło mnie to, że prosił, abym do Dzikki pisała pogodne listy, nie martwiła jej niczym, bo i tak sama się wszystkim zamartwia i zadręcza, co powinno być jej oszczędzone, szczególnie ze względu na jej stan.

Czytałam to zmieszany mi uczuciami. Z jednej strony wzruszyła mnie ta jego troskliwość.

- Jaki opiekuńczy! - myślałam z zachwytem. Ale zaraz potem napadły mnie wątpliwości:

- Pozwala, aby co dwa tygodnie przyjeżdżała z zapadłej wsi aby mu zrobić pranie? To podróżowanie w takich warunkach nie szkodzi na "ten stan"? I gdzież ta troskliwość? To chyba taka męska konsekwencja... Tam i woda jest na miejscu, i białe, miednice, wiadra... Czy to sobie nie można z siebie przeprać? W normalnych warunkach...-

Bardzo zabolalo mnie to, że prosił, abym Dzikki nie martwiła... Mój Boże!... Czy nie mógł tego ominąć? Czyżbym ja pisała, że głodujemy? Nigdy! Z własnej pilności unikałam tego tematu i nigdy nie pisałam żebraczych listów. Skoro rodzina pytała, co nam przysłać, co najbardziej nam potrzebne, czego najbardziej brak, wtedy odpowiadałam na te pytania, najczęściej po radzie z Mamą. Wyliczałam te rzeczy z odzieży, czw pościeli, które zostały, bo to były nasze. Gdy pytali o żywność, to wyliczałam kaszy, mąkę, cukier i potaż, jako najpraktyczniejsze, herbatę, jako walutę najłatwiej wymienną oraz mydło, jako konieczność niezastąpioną. Ale pewnie chodziło im o to, by nie wysyłać rzeczy zbędnych, bo liczył się każdy kilogram wysyłki, a sami pytali!...

Oczywiście pisałam, że są trudności w zakupieniu chleba, że po żywność chodzimy do Nowotrojska, skąd ją trzeba sobie przynieść, ale nie podawałam tych wszystkich strasznych szczegółów, aby nikt nie myślał, że się naprasza i nie odejmował sobie od ust, aby nas nakarmić. Nie wtajemniczałam ich w to, że tak bardzo często musieliśmy się cieszyć, że mamy jeszcze przynajmniej raz dziennie "choć coś" do zjedzenia, ani nie pisałam, co to i przede wszystkim ile tego wypadało na osobę!..

A już najbardziej dotknęło mnie to, że Dzikka miała otrzymywać moje listy, pisywane na adres Leona, bo jej adres nam

nie podał/, po przeczytaniu ich przez niego. "Cenzura mę-
żowska" dobiła mnie. Zastrzegając, by wszystkie prośby kierować
osobiście do niego, w osobnym liście, a pomijać je w listach
do Dzidki..

Bwiam zbyt niewypierzona, aby dorosnąć do tolerancji, ego-
izacji i... nie sferą nie do przebiecia. Musiałam prze-
analizować cały ten problem. Wolałam nie z Mamą podzielić się
swymi uwagami i żałami. Skazałam na nie Elcisę. Wysłuchiła
uważnie i z powagą zaczęła:

- "Niewiasto! Porzuć matkę swoją i ojca twego i idź za mę-
żem swoim!" uczy Ewangelia... Teraz mąż jest jej najbliższą
rodziną. Siostra może dopiero zajmować dalsze miejsce, następ-
ne po rodzicach. Taki już jest porządek na tym świecie. Zresz-
tą, sama wiesz, że jesteśmy tak daleko... i nigdy nie wiadomo...
Ona właściwie ma teraz tylko jego: męża...-

- No, tak, ale...- chciałam coś tłumaczyć

- Czekaj! Zrozum, staraj się zrozumieć... Pomyśl sama. Czy
nie chciałabyś ty, czy tobie samej, nie byłby najbliższy właś-
nie mąż, gdybyś go miała?...- przemawiała tonem dorosłej oso-
by, bo przecież miała zamężną siostrę!

- Co, ja? Nigdy? Nigdy w życiu nie wyjdę za mąż i nigdy nie
będę miała męża!...- przekonywała ją gorąco.

- A to niły dlaczego?- przypatrzyła mi się badawczo

- Bo... bo bym się wstydziła...- przyznałam z zakłopotaniem

- Ta, joj! No, a ta "twoja sympatia"?...- wtrąciła zdziwiona

- O, to zupełnie co innego!...-

- O, to już nie jest bez znaczenia...-

- Nie, nie tak, jak myślisz!... Zresztą powiem ci prawdę:
śrośnie go lubię... Nawet modlę się, aby był zdrow i szczęś-
liwy, aby życie ułożyło mu się dobrze...-

- To już coś!...- mruknęła

- Nie! Aby miał jak najlepszą, kochającą żonę!...- jak przed
przyjaciółką, wykradałam najskrytsze myśli

- Jak najlepszą, kochającą żonę?- podchwyciła

- Tak. Właśnie. Naturalnie!...-

- A czy ty przypadkiem jej nie widziałaś?- zapytała z nie-
winną miną.

- ???-

- W lustrze!- strzeliła niegodziwie

- Ta, joj! Żeby tam choć raz w życiu zobaczyła coś ładnego!
Ale z tobą nie da się poważnie! Jesteś rozbrawająca!- i skoń-
czyło się żartami i śmiechem.

Listy kuzynów

Swój miły list Marylka zakończyła takim zwrotem, który pewnie miał optymistycznie podtrzymać nas na duchu:

- Mam nadzieję, że się jakoś tam ułoży u was, "bo przecież wszędzie są ludzie."-

- Rzeczywiście!- oburzyła się Mama.- Ludzie! Ci, którzy co dnia, jeszcze przed świtem, po ciemku dobiegają się z krzykiem i naganiają wszystkich do pracy? Co dnia się awanturują, że nie potrzebują tutaj nas "darmozjadów", jak byśmy się tu do nich sami prosili! A pracować i to jak! /trzeba u nich za darmo! I to są ludzie? Jeszcze straszą sądami, łagrami, więzieniem i bieda wie czym! I to nie tylko straszą: Marylkę Fiszer zamknęli w więzieniu, że powiedziała prawdę! Na trzy lata!...-

- Prawda, święta prawda...- włączyła się pni Wiktoria, skulona na swym wyrku.- Widzą, że tu naród ginie i jeszcze chcą dobiegać tym wiecznym wyganianiem do roboty... O płodnej gębie! I bez butów, bez tych kufajek, jakie sami noszą, w tych naszych zimowych płaszczkach, wiatrem podszytych, dobrych tam, na naszą, polską zimę, a nie na te stepowe burzany...- wtuliła się w swój półkożuszek, bo się jeszcze nie paliło pod kuchnią.

- Tak, to wszystko prawda!... Tylko skąd tam Marylka może o tym wiedzieć? Przecież oni nie mają pojęcia...- chciałam załagodzić.

- No, to niech nie wypisują takich bzdur, jak nie mają pojęcia!- i Mama rozplakała się.

Zdarzało się to coraz częściej, a ja, chociaż mi się to też zdarzało / skrycie/, bo nerwy nie dopisywały, czułam się bezsilna i /wstyd wyznać/ coraz bardziej zniecierpliwiona...

Ołka list dość długi, pisany świetnym stylem, pełen dowcipnych zwrotów, o których wiedział, że je docenię i uwag podadresem rządzących tam wówczas władz i relacji z aktualnej sytuacji w mieście, szkole i w domu, był właśnie taki, jak jego autor. Odpisując, wspomniałam, że w pobliskim Tiki Bułaku przebywa Jurek Horodyski z "ósmej budy", do której wtedy i Olek uczęszczał i napisałam, że on mi wystrugał dla Mamę łyżkę z patyka, z czego się ucieszyła. Uważałam to za rodzaj ciekawostki, dodanej do informacji o pobycie Jurka.

Po paru miesiącach Jurek ze śmiechem pokazuje mi list od kolegi szkolnego:

- " Cieszymy się, że pracujesz w fabryce łyżek- pisał.-
Wiemy, że praca tam chroni przed różnymi innymi możliwościami
W dodatku fabryki pewnie otrzymują swe przydziały żywnościowe
i odzieżowe, a więc łatwiej ci będzie otoczyć opieką matkę
i siostrę..."-

- Popatrz sama: skąd niby tam się wzięła taka wiadomość?-
zachodziła w głowę.

- Chyba nie z mojego listu do ciotecznego brata?- zastana-
wiałam się i opowiedziałam o nim.

- Ta, jej! Ta, to tylko stąd! Ta, ja nikomu nie wspominałem
o żadnej łyżce, ani mi to przez myśl nie przeszło! Popatrz,
jak powstają plotki!...- uśmieśliśmy się porządnie.

Niestety, zaczęły się szerzyć i tu i tam, nie zawsze aż
tak nieszkodliwe i zabawne. Zdarzały się bardzo nieprzyjemne
i kłopotliwe też.

Poczta

Oderwani od normalnego życia, skazywani albo na nadludzką
harówkę, która nas wykańczała, albo na beznadziejną beczyn-
ność, żyliśmy oczekiwaniem każdego przyjazdu poczty. Czytali-
śmy wielokrotnie te swoje listy otrzymywane, dzielili się, je-
śli przynosiły nadzieję, analizowali, czytali, zwłaszcza na sa-
mym początku, między wierszami, póki nie przekonaliśmy się,
że nie są cenzurowane wcale. Zналиśmy fragmenty na pamięć.

Gdy napisałam do Marysi Stankiewicz pierwszy list, by prze-
prosić, że mamy ze sobą te ich rzeczy, porwane przez pomyłkę
i w pośpiechu, zwracałam się właściwie do całej tej rodziny.
Oprócz Marysi, napisał też do mnie i Jarek. Widocznie wspom-
niałam coś o naszych złudzeniach, że wrócimy przed zimą, bo
doradzał, aby raczej starać się zabezpieczyć na nią, niż li-
czyć na wcześniejszy powrót. Samotnie w stepie oblałam ten
list rzewnymi łzami, buntując się przeciw takiemu pesymizmowi

Nie odpisałam mu, tylko w liście do Marysi dodałam:

- Dziwię się Jarkowi, że swymi pesymistycznymi przewidywa-
niami tak łatwo ludziom odbiera nadzieję.-Tylko tyle.

Potem w paczce od Marysi znalazłam pudełeczko z proszkami
od bólu głowy, na którym napisał, że właściwych "Kogutków"
nie ma w całym Lwowie, ale te mogą je zastąpić. Tylko tyle.

Więcej się nie odezwał.

Około Wielkanocy 1941 roku, został zmobilizowany, jak pra-
wie wszyscy nasi chłopcy z rocznika 1919, do Czerwonej Armii.

Lolkowi udało się uzyskać odroczenie, jako że był właśnie zatrudniony: przy zakładaniu przewodów elektrycznych w budynku na Łąckiego, gdzie było więzienie.

Marysia napisała, że Jarek "odbywa służbę" na Kaukazie.

Życie religijne

Najwięcej na temat życia religijnego młodzieży szkolnej pisała Halka Nikiel, najbliższa koleżanka z klasy i przyjaciółka Marysi Stankiewicz, z którą chodziły do Liceum Pedagogicznego o rok wyżej ode mnie. Była zapaloną członkinią Sodalicji Mariańskiej, którą w szkole, a potem poza nią prowadził nasz młody katecheta, ksiądz Stanisław Bizuń, zawsze poważny i pomocny. Z nim też potem nawiązała się korespondencja między siostrami Nuckowskimi i chyba z Damianą Kaliszczak, która trafiła do innego sołchozu: Mem Bułak, gdzieś w rejonie Ajaguzu, daleko od nas tak, że od czasu transportu nie spotykaliśmy się wcale.

Listy Halki zdawały mi się przynosić zapach kadzideł, melodie pieśni Maryjnych i widok wnętrza katedry łacińskiej we Lwowie, którą obie z Marysią szczególnie lubiły. / A ja: ormiańska/.

Po wojnie Halka odwiedziła mnie raz, będąc w Krakowie. Osiem lat nie przedzieliło nas mostem i znalaziliśmy wspólny język, jak w młodości. Wkrótce potem Halka wstąpiła do klasztoru, gdzieś na Dolnym Śląsku.

Powiew poezji

Siostry Nuckowskie przyniosły mi kiedyś list, dołączony dla mnie do ich listu. Od Tadeusza, ich stryjecznego brata. Kończył studia polonistyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie należał do grupy studentów, czynnie zajmujących się poezją. Mieli nawet swój "Wieczór Młodej Poezji Lwowa" zorganizowany w maju 1939 roku, w którym prezentowano poezję Tadeusza Nuckowskiego, Marii Petry, Jerzego Hordyńskiego i innych.

Ale Marysia i Helenka jeszcze wcześniej, w 1936 roku namówiły mnie, abym im pożyczyła swój notesik z wierszykami, a potem uprosiły, bym pozwoliła pokazać Tadeuszowi. Były tam gryzmoły od piątej klasy, czyli jedenastu lat począwszy, a ja byłam dopiero w drugiej gimnazjalnej!

Strasznie się wstydziałam i tej swojej nieudolności i tych prób, lecz zastrzegły, że wytłumaczą, a w końcu zastrzeżęły mnie mocnymi argumentami, że Tadeusz będzie podchodził do tego, jako do prób dziecka w pisaniu wierszyków, że interesuje go sposób, w jaki staram się wyrazić swoje myśli, w danym wieku, że uczą się analizowania, więc mu na tym zależy, żeby coś autentycznego dostać do ręki i wreszcie, że przecież mnie nie zna osobiście, więc wcale nie muszę się tym przejmować, ani czuć zażenowana.

Skapitulowałam.

Jak prawdziwy krytyk podszedł do moich rymowanek z absolutną powagą, analizując każdy szczegół: dobór wyrazów, poszczególne zwroty, plastyczność opisu, chwalił bezpośredniość, ganił nabuzność stylu /-0, więc uważa, że mam styl?-/ , pouczył, że nie same rymy i rytmy stanowią poezję, czego nie rozumiałam, że można z nich rezygnować. Był na tyle uprzejmy, że zachęcał do dalszego pisania, co mi przyniosło znaczną ulgę. Ta powaga w podejściu do moich rymowanek bardzo mnie zaskoczyła, bo sama podchodziłam do nich z pobłażliwym przymiśleniem oka, a ta pracowita i cierpliwa krytyka w moim głębokim przekonaniu nie warta była fatygi i zadziwiła swą wnikliwością.

- O, Jezu! że też mu się chciało aż tyle pisać na temat tych moich nieudolności! Ledwie kiedyś, bardzo onieśmielona, odważyłam się je wam pokazać...- jęknęłam, gdy mi Marysia z Helenką przyniosła parę arkuszy epistoły, zapewniając, że Tadeusz uznał, iż "mam żytkę" i powinnam nad tym popracować. To było bardzo uprzejme z jego strony, i pewnie znacząco na wyrost też.

Jak to dawno, jeszcze trzy lata przed wojną...

A teraz napisał, jak gdybyśmy się dawno znali, choć właściwie spotkaliśmy się jedynie raz, przy tramwaju, z którego z Helenką wysiadałam, gdy on wsiadał. Przysłał mi swój nowy wiersz w sytlu biblijnym, refleksyjno-filozoficzny, przekraczający moje możliwości zrozumienia, ale bardzo piękny.

A przed Świętami, inny:

" Przełammy się opłatkiem białym..." i potem w każdym liście jakiś wiersz, bardzo pełen tej niedosiężnej, prawdziwej poezji. I zawsze jakaś zachęta do pióra i pisania. Wydawał mi się taki daleki i poważny, a równocześnie w jakiś swoisty sposób przyjacielsko opiekuńczy, a jego listy, oderwane

od codzienności i wprowadzały w atmosferę wyjątkową, niepowtarzalną i wdzięcznie docenianą. Wypełniały pewną lukę, takie całkowicie odmienne od wszystkich innych. Z przyjemnością wracałam do nich, a także dzieliłam się nimi z Marysią oraz z Helenką, gdy się czasem zjawiała u nas.

Sprawy przyziemne

- Wieszco? - zwierzyłam się Eli- marzę o tym, aby skoro po ciemku praktycznie nic nie można robić, można było teraz pożyć się i przespac cały ten czas, hurtem, aż do powrotu! Wstać dopiero na tę wypatrywaną wieść, jak na głos pobudki, jak na dźwięk trąb jerychońskich!...-

- Oj, ba joj!- zarząła Elcisa no kazachsku- To taki jest obecnie ten twój " marzeń bukiet"?-

- Ta, pomyśl tylko! Gdyby tak teraz przespac ciurkiem cały sen na zapas, odespac wszystkie przyszłe swoje sny, całe spanie całego swojego przyszłego życia, ile tylko by się w danym czasie zmieściło... Teraz, gdy utopieni w tych ciemnościach kilkunastogodzinnych nocy, wydłużających się przez przymusową bezczynność, kiedy człowiek marnuje tak strasznie dużo czasu, gdyby skomasować teraz to spanie i już później nie marnować na nie czasu, ileż to by nam się w przyszłości tego czasu zwróciło do wykorzystania!- zapalałam się swoim praktycznym pomysłem.

- Ho, ho! Ale wtedy, to dopiero by nas kości bolały! Mnie od leżenia na glinie, a ciebie, od całej tej komfortowej dyktacji waszej rodzinnej pryczy!- chichotała, wyłuskując zawzięcie ziarną humoru, z czego tylko się dało.

- No, wiesz! Ja tu się głowię nad racjonalizatorskim pomysłem, coś ci zwierzam, w prawdziwym natchnieniu, a ty tak bez uszanowania i od razu przyziemnie!...-

- A, niby jak, gdy na ziemi sypiam, to i przyziemnie podchodzę do wielu spraw- śmiała się z gry słów.

- To że na ziemi, to jedna bieda. Gorsza, że przy Marysi...

- E, niekoniecznie zaraz muszę się zarazić! Ona ma własne przykrycie...- uspokajała } poważniejąc, trochę mnie, a trochę siebie.

- Chyba masz rację... Ale ten jej świerzb to zdaje się nie tylko ją doprowadza do szału! Nas może też doprowadzić! Jak się zaczyna drapać po nocach, to czasem więcej narobi hałasu niż ten uparty wiatr, co to nam śwista w sam komin!...- narze-

kałam.

- Płakała wczoraj przez sen, aż ją zbudziłam, bo mi się jej zrobiło żal. Najgorzej się czuję gdy po przemarznięciu już się trochę zaczyna ogrzewać: wtedy swędzenie najgorzej ją męczy i nie może się powstrzymać od drapania- opowiadała Ela. - Wiesz, świerzbi draży sobie korytarze w żywej skórze! Br! Dziękuję za takich gości!...-

- I qui wracz, ani panna Mila nie dali jej nic na to? Przecież wybierała się do "bolnicy"?- pytałam.

- Nie, lekarstwa im się skończyły. Panna Mila obiecała przynieść, jak tylko dowiozą. Ona dopilnuje. Na niej można polegać.-

- Tak, bardzo solidna, tylko kiedy dowiozą? "Czekaj tatka latka!"- martwiłam się. W rzeczywistości jednak rozumiałam Marysię jedynie "teorytycznie". Praktycznie zaś rozumiałam po roku, dopiero, gdy przesziłam to samo, dosłownie : na własnej skórze. A to kolosalna różnica!

Kańcza

Jeszcze z początkiem jesieni kilkakrotnie zdołaliśmy się wybrać do Nowotrojska: Rodzice ze mną. Kiedyś, gdy Mama nie czuła się na siłach, Ela wybrała się z nami. My najczęściej kierowaliśmy się na koniec tej wsi, gdzie osiedlili się Bułgarzy. Tam jeder z nich, wiekiem zbliżony do Tata, zachęcał nas do stałego przychodzenia i dla nas zatrzymywał groch, który kupiliśmy tam parokrotnie.

Był to artykuł bardzo drogocenny dla nas ze względu na swe walory odżywcze, nigdzie prawie nie spotykany, a utrzymywany w dość przyzwoitej cenie, sądzę że z sympatii dla mego Ojca. Ratował nas, oszczędnie wydzielany matczyną ręką, przez kilka zimowych tygodni. Dorodne ziarna tego grochu po ugotowaniu dochodziły do wielkości małych /polskich, oczywiście/ czereśni, a w smaku, to było "niebo w gębie"! W tym dobrym okresie litrowy garnek zupy, najczęściej z czarnymi kluskami, stanowił nasze całodzienne wyżywienie dla trzech osób, a nierzadko Mama rozprowadzała taką grochówkę wodą, aby z tej powiększonej ilości zająć trochę Cioci.

Obok lepianki tegoż Bułgara mieszkała rodzina Kazachów. Tam też przyjmowano nas życzliwie, zawsze można było coś nabyć za jakieś szmatki: odzież, czy poszewki, a nawet pieniądze. Młoda Kazaczka miała dwoje dzieci. Dwuletni synek, imieniem Kańcza / z acentem na to pierwsze "a" /, którego

którego zwykle nosiła na rękach, chodził przy niej krok w krok, gdy krzątała się przy "kirpicznej" herbacie dla nas, lub tulił się do matczynych nóg. Pięcioletnia Hańcza / z acentem na to końcowe i wydłużone "a" / najczęściej stała z boku, smutna. Gdy raz podbiegła do matki, by też przytulić się do jej nogi, została ze złością odtrącona.

- Dlaczego? Dlaczego?- zwróciłam się do matki odtrąconej dziewczynki, cichutko połykającej łzy, co mnie tak uderzyło, bo dzieci raczej miały w zwyczaju uzurpowanie hałaśliwych protestów.

- W odpowiedzi zalał mnie potok słów, z których zrozumiałam tylko "dżaman" i że matka jej nie lubi. Nie chciałam się mieszać w sprawy rodzinne, nie wiedziałam, o co chodzi, może matka wcześniej była, lub bywała niegrzeczna, ale było mi jej żal, co dziecko wyczuło.

Gdy przychodziliśmy tam, co parę tygodni, jeśli tylko to było możliwe, ze względu na drogę oraz nasze możliwości, Hańcza nieśmiało podchodziła do mnie z niemym pytaniem w oczach i przytulała się do moich nóg, tak samo, jak Kańcza do matczynych. Gładziłam ją po smutnej buzi, czasem cicho mówiłam do niej, raczej, gdy matka nie zwracała uwagi:

- "Hańcza dżaksy. Hańcza dżaksy kyzymka" / Hańcza dobra dziewczynka/, bo głęboki smutek tego dziecka wydawał mi się wystarczający, by dać jedno dobre słowo.

Pewnego razu, z początkiem zimy, Kazaczka zaproponowała nam, abyśmy zabrali sobie na zawsze pięcioletnią Hańczę!, a mąż jej, który właśnie nadszedł, jak najbardziej poparł tę propozycję. Ojciec z miejsca odmówił, tłumacząc nasz niepewny los, i co tu ukrywać, nasze borykanie się z nędzą, która może nas wykończyć.

- Tu, w kołchozie jest żywność. Tam, w sołchozie brakuje. Nasz los jest zły i my tutaj jesteśmy obcy. Wy jesteście tu u siebie, między swoimi.- wyjaśniał, co starałam się, jak mogłam, tłumaczyć. Zrozumieli, ale mieli zawiedzione miny, a matka patrzyła z żalem, doskonale zdając sobie sprawę o co chodzi. Nie wątpię, że bez wahania odeszłaby od rodziny.

Młoda i miła Kazaczka wydała mi się nagle macochą ze strasznej bajki. Wciąż myślałam o tym biednym, nielubianym dziecku, aż zdecydowałam się poważnie porozmawiać z Tatem:

- Ja bym ją wzięła do nas...-
- Czym nakarmisz?... Sama widzisz...-
- Oddam połowę swej porcji! Co dzień...-
- To już z pewnością nie wystarczy do przeżycia : ani tobie, ani dziecku.-
- Ale potem może nie będzie tak źle? Może nadejdą te paczki będą przychodzić częściej, zima się skończy...- targowałam się jeszcze.
- Ale nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej...-
- Tato to mówi?...-
- Paczki mogą nie dojść... Wszystko jest możliwe... Zima może być straszna... Co możesz zapewnić temu dziecku, co?...-
- Lepsze traktowanie, trochę ciepła rodzinnego...-
- To jest potrzebne z pewnością. Ale nie za cenę głodu, który w każdym razie mniej jej tam zagraża...- dodał ze smutkiem
- Więc Tato tak myśli?... A przecież Mamie mówił Tato, że wkrótce to się zmieni...-
- Słuchaj! Mamie koniecznie musi się dodawać trochę nadziei. Widzisz, jaka jest słaba... Musi się ją pocieszać, potrzebuje tego bardzo. W rzeczywistości jednak nie jest zbyt wesoła... Nie można wcale ręczyć za to, jak długo jeszcze będzie się jadło codziennie... Nie można wziąć tego dziecka, aby jeszcze bardziej dzielić to, co nam się udaje jeszcze zdobywać z takim wielkim trudem! Chcesz Matce ujmować i nam: tobie i mnie? Z czego?...-
- To może później, jak już będziemy wracać do Polski?...- zagadywałam, bo mi się zrobiło wstyd.
- Nad tym radzę ci się dobrze zastanowić. Pomyśl: to jest dziecko mongolskiej rasy, z której nie wyrośnie...-
- To nic! Nauczę ją po polsku, będzie chodziła do szkoły, adoptujemy ją, zamieszka z nami we Lwowie i będzie szczęśliwa
- galopowałam, nadążając za myślami.
- Czy możesz ręczyć? Czy już nawet dzieci w szkole nie będą jej dokuczać, przezywać Mongołką, czy Azjatką, okazywać jej swej pogardy? Dzieci potrafią być okrutne... Czy środowisko rówieśników zaprzyjaźni się z nią? A później, jako dorosła panna, czy nie będzie miała prawa pokochać jakiegoś chłopca, Polaka? A sądzisz, że on na pewno odwzajemni? Czy możesz ręczyć, że ona sama, po latach nie powie ci w rozpacz: -
- "Po co braliście mnie od swoich, tu do obcych, dla których ja zawsze pozostanę obca?"...-
- Nie pomyślałam o tym...-

- Tak, wiem... A trzeba: To wielka odpowiedzialność..
Zbyt wielka, aby nie przeanalizować jej pod każdym względem.
To : życie ludzkie...- zamyślił się Ojciec, a ja rozważałam
to wszystko, co mi powiedział i musiałam przyznać rację,
z wdzięcznością, że uczył mnie nie kierować się impulsem,
udził rozważli w podejmowaniu decyzji, aby nie były zbyt po-
chopne, nieodwracalne i pozwoliły uniknąć wielu nieprzewidzia-
nych zmartwień i problemów, które mogłyby spowodować..

Święty Mikołaj

Był już początek grudnia. Gdy wychodziłam z poczty, spot-
kała mnie Niurwala.

- Wiesz, Ala,- zwróciła się do mnie, śmiesznie zmiękczaając
wymowę mego imienia- mam gnuby patyk! Zrób mi z niego łyżki-
tak jak zrobiłaś dla twojej mamy...-

- Pokaż. Dobrze, naćaję się, wystrugam i przyniosę ci, jak
przyjdę znów na pocztę. Patyk przełupano mi i w domu zabrałam
się do roboty.

Burza przetrzymała nas przez parę dni, poczty nie dowożono,
lecz gdy się uspokoiło, wybrałyśmy się na pocztę we trzy:
z Elą i Cesią. Wstąpiłam do Kazachów i wręczyłam obie łyżki
swej małej pupilce.

Jej matka właśnie robiła "bałursak": ciasto i wody i mąki,
wyrobite i utoczone na wałek, grubości trzech palców, kroila
w poprzek i wrzucała do wielkiego "czeguna", wmurowanego
w kuchnię, w którym kipiał barani łój. Zrumienione były goto-
we do jedzenia.

- Poczekaj, dam ci trochę- powiedziała, udzierając spory ka-
wał gatety i wsypała mi do niej ten gorący przysmak.

- Rachmet, bajbisza! Rachmet!- podziękowałam

- Rachmet, kyzymka!- dziękowała ona mnie, wskazując na łyżki,
a Niurwala błyskała w uśmiechu swymi oczami, jak węgiel.

W drodze powrotnej rzuciłyśmy się na ten bałursak.

- To już masz świętego Mikołaj!- zawołała Ela.

- Ach, co? Faktycznie...-

- Jutro! Jak to inaczej bywało...- westchnęła Cesia.

- Oho! Resztę muszę zostawić! Zrobię Im prezent, podpusz-
kę, z tego...- wpadło mi na myśl, rychło w porę!...

Niewiele tego było... po cztery kawałeczki, dla obojga...

Gdybym wcześniej pomyślała, może dałaby się jeszcze porcyjka
zrobić dla Cioci.

Ranek szóstego grudnia Mama wcale nie chciała zapłacać no
pod poduszkę

Rankiem Mama wcale nie chciała zaglądać pod poduszkę i prędeziej namówiłam Tata. Wreszcie, gdy zobaczyli, co jest w papierowych zawiniątkach, oboje, na prześcigi, chcieli dzielić się ze mną. Nie wierzyli, że już jadłam, a mnie wstyd palił, bo rzuciłam się, zanim pomyślałam o Nich...

Zaczęłam więc opowiadać jak to w dzieciństwie z Wandą postanowiłyśmy przekać w nocy na świętego Mikołaja.:

" - Znowu w tym roku przespałam...- żaliła się Wandzia rano, rozpakowując swą paczkę.

- A ja nie!- chwaliłam się.

- Ta, nie gadaj! Co? Jak?- dopytywała się.

- Usłyszałam go ciemku, że idzie...-

- I co? Widziałaś?- nie dowierzała.

- No, nie mogłam zobaczyć, bo było całkiem ciemno! Ale złapałam świętego Mikołaja za rękę, jak mi wsuwał prezent pod poduszkę...-

- Nie może być! No, i co?- niecierpliwiła się.

- I pacałowałam w rękę!-

- Bujasz!-

- Nie bujam! I wiem coś: nosi obrączkę! A, widzisz! Skąd bym to wiedziała? No, skąd?!-

Gdy potem Wandzia to opowiedziała przy obiedzie, wszyscy się bardzo cieszyli, a ja byłam taka szczęśliwa! I jeszcze uzupełniłam, że Święty Mikołaj pogładził mnie no głowie i ci-cho odszedł.

- Pamiętam to...- westchnęła Mama.

Najgorsza jest niepewność

Parę dni później między kilkoma innymi listami był jeden od Leona. Już podałam Mamie listy od Lolka i sama ostrożnie otwierałam ten, aby nie uszkodzić koperty i mieć ją do przewrócenia na drugą stronę, na odpowiedź, gdy Mama, wycierając okulary, nie zauważyła, iż z tej koperty wypadła mi nieduża karteczka, z napisem " Dla Ali" na wierzchu. Zaciekawiona Rozłożyłam ją i przeczytałam:

- " Mojego następnego listu nie pokazuj Mamie." I podpis. -

Karteczkę schowałam niepostrzeżenie. Nie mogłam się doczekać powrotu Ojca. Wyszłam na przeciw; opowiedziałam. Staraliśmy się mnie uspokoić, ale widziałam, że był bardzo poruszony. W nocy spał bardzo mało.

To były straszne dni. Nawet przestałam się wysilać i na nic...

nadrabiać miłą. Z czystym sumieniem zwałałam wszystko na ból głowy, która faktycznie dokuczała mi do niemożliwości. Bardzo mało sypiałam. Nie mogłam. Dręczyły mnie najróżniejsze domysły i podejrzenia.

Co to takiego mogło się stać, że trzeba ukryć przed Mamą? Pewnie coś zięgo z Wandzią? A może z Dziwką? Aresztowaną? A może z Babcią?... Czy przypadkiem po apelacji nie podwyższyli Wandzi wyroku? Jezus, Maria! Chyba jej nie skrzywdzili tam w więzieniu jeszcze gorzej?! Boże! Co się tam stało?, CO? - Wreszcie nadszedł ten list, oczekiwany w najwyższym napięciu.

Babcia

List zawierał wiadomość o śmierci Babci: dnia 25 października 1940 roku. Zaopatrzona Najświętszymi Sakramentami zmarła w wieku osiemdziesięciu czterech lat...

Boże, Wybacz mi! Rozbeczałam się z ulgą. Biedna moja kochana Babcia! Staruszka nie doczekała naszego powrotu, po którym tak wiele sobie obiecywała. Kochała nas po swojemu, chociaż była despotką. Musiała nią być, skoro owdowiała po dziesięciu latach małżeństwa, zostając sama z czwórką dzieci... W tamtym dziewiętnastym wieku... Wieczne odpoczywanie...

Tak strasznie, tak panicznie się bałam o Wandę! Słyszałam, że w więzieniach czepiają się różnych metod i umierałam ze strachu, aby jej nie spotkało to, co dla dziewczyny może być najgorsze... Nie, nie oceniałam stopnia nieszczęść, a jednak...

Teraz tylko trzeba będzie uważać, aby Mamie tego smutku oszczędzić... Ale Mama intuicyjnie wyczuwała, że coś się stało. Tego samego wieczora, gdy doszedł ten zapowiedziany list, zaczęła się zamartwiać, dopytywać i żalić, aż Ojciec wyjawia prawdę. Widziałam, że rozpacza. Zdawało mi się jednak, że to już lepsze, ta smutna wiadomość, niż takie straszne domysły, jakie gnębiły mnie przez ten czas, a nie wiadomo, jakie jeszcze mógł przeżywać Ojciec...

Chyba jednak to jest słuszne twierdzenie, że "Najgorsza pewność jest lepsza od niepewności"...

Napisaliśmy więc zaraz i na Siemiewską i do Lolka, że Mama już wie i prosiliśmy o szczegóły. Tato miał rację, że miała prawo wiedzieć. To przecież Mamy Matka.

Babcia chorowała ostatnio na serce. Przez ostatnie dwa ty-

godnie nie mogła chodzić, leżała, nogi jej puchły. Sprowadzono lekarza, potem, na Babci życzenie, księdza, po odwiedzinach koleżanek Dzidki, która była na wsi. Do Babci przyszły: Marysia Ciesielska i Fela Hussówna, która miała brata księdza i niedawno przeżyła śmierć swej matki. Ona odważyła się rozmawiać na ten temat, bo wszyscy obawiali się, aby Babcia nie miała o to żalu, albo się nie wystraszyła... Sama przyznała, że myślała o tym i zastanawiała się, jak poprosić, aby nie robić zamieszania i kłopotu. Ciccia Julia, która z Wujem Dziunkiem była przy Babci w krytycznym momencie, opisała to Mamie... Te wszystkie wiadomości należały się Mamie... Bardzo kochała swą Matkę i była najlepszą córką...

Wanda

A potem nadeszła wiadomość, że Wanda już miała rozprawę apelacyjną, na której adwokat wywalczył zmniejszenie wyroku o dwa lata. Następna, że wywieziona na Sybir.

- Wiesz, że tych trzech lat wliczają okres od samego początku, od dnia aresztowania, czyli od ósmego lutego, a więc już ponad pół roku ma za sobą...- pocieszał Ojciec Mamę.

- Jak ona to wytrzyma, biedula...-

- W lagrach muszą karmić. Gdyby nawet tylko raz na dobę, to jednak muszą...-

- Tak... ale : Sybir!...-

- Dostała do więzienia, jak nisaliłam, kilka paczek z odzieżą- przypomniałam- Trochę bielizny, ten sweterek, który sobie robiła, a Feluchna skończyła i uszyła jej parę sukienek i z domu, gdy ją zabierali, wzięła gruby swetr. A jak do nas przyjedzie, to się przecież podzielimy...- pocieszałam.

- Masz!.. Ta znowu swoje!...- Mama załamana ręce, aż się ugryzłam w język, a Tato wtrącił:

- Ona może być w domu prędzej od nas! My mamy pięć lat, a Wanczi została już połowa z tego- uspokajał, więc skorzystałam i wymknęłam się za Elą do sieni.

W lagrze

Przysłano nam z domu kartkę, pisaną przez Wandę do Babci, /która już nie żyła/ bo to był koniec października, 1940 roku.

Wandzia pisaka po rusku, że jest zdrowa, w obozie, z kolegami, Zawiadomiła, że jej wolno pisać jedną kartkę na trzy miesiące, ale ma prawo otrzymywać korespondencję w języku rosyjskim lub ukraińskim oraz paczki. Prosiła o jasik do spania dziękowała za paczki, podane do więzienia i pytała o nasz adres.

- To znaczy, że wie o naszym wywiezieniu- podchwyciła Mama.

- Może to i lepiej, nigdy nie wiadomo...- zauważyła pani Wojciechowska.

- Pewnie, że lepiej...Piazą, że już jej nasz adres podali.-

- Kartka Wandzi do Lwowa szła miesiąc...- zaczęłam oblicza-

- Więcej- sprawdził Tato: mogła być przetrzymana...-

- Do nas ten list ze Lwowa miesiąc... Razem dwa i pół. A może tak ten jasik wyślemy jej stąd!? Dam swój. Będzie szybciej niż stamtąd!-

- A, to faktycznie mógłby stąd dojść szybciej!-

- Wyślemy Wandzi paczkę!- ucieszyłam się.

- Ta, z czym?...- Mama wysunęła zasadnicze wątpliwości.

- Mamy jeszcze resztę tego grochu-

- A czy to wiadomo, czy ma gdzie ugotować?...-A nam się ta reszotka kończy... Więcej nie będzie, sama słyszałam, co Bułgar powiedział. Już nie ma...-

- Napiszę, zapytam, czy tam ma gdzie gotować...-

List mój to był istny majstersztyk! Jeśli nie wiedziałam, jak swe myśli wyrazić słowami i literami rosyjskimi, to próbowałam ukraińskimi, a w końcu, jak i to nie chciało wyjść, to polskie wyrazy pisałam któryś z tych alfabetów, i dobra jest! Wysłałam korespondentką poleconą, z nadzieją na większą gwarancję doręczenia.

Lagier znajdował się w okręgu Nowosybirsk, w rejonie Maryńska, a nosił nazwę "Wierchnyje Czebuły". Licząc od nas, to na północny wschód, jeszcze dalej, za Semipałatyńskiem. Tam, we Lwońcu znaleźli to na mapie.

Nasze miejsce pobytu także zlokalizowali, mniej więcej. Lorek wystudiował w atlasie, że my jesteśmy na terenach wykonywanych pod uprawę bawełny i zmartwił się, że taki klimat, gdzie bawełna rośnie, jest niezdrowy dla ludzi. Tymczasem bawełny nie było w szerokim promieniu w "naszym" Kazachstanie. A klimat był typowo kontynentalny i stepowy. Niestety, dla nas faktycznie niezdrowy,

Ciekawe, co tam wyszukali wokół tego Maryńska? Albo Nowosybirsk, bo to większe miasto. Sama jego nazwa jest coś wymowna i Mama powtarzała ją ze zgrozą: Nowosybirsk! Sybir!...

" Coś surzedają!"

W Tas Bużaku życie toczyło się dalej, utartym trybem.

Ktoś dał znać że coś przywieziono do spółdzielni, więc całe osiedle runęło biegiem, na prześcigi, niby to z głośnym śmiechem i żartami, lecz naprawdę z determinacją, byleby szybciej dopaść do kolejki, czyli zwiększyć szanse nabycia... nie wiedzieć czego! Oczywiście poleciałam także, owczym pędem, z Elą, Cesią i z Dydnią Schmallowną, a Matyldzia dopędziła nas po drodze.

Sklep był zamknięty od zewnątrz, a Gruby Mielnikow, zapytany o to, co przywieźli, huknął tylko, że " Człowiek mało nie umarł w drodze, więc musi mu dać herbaty"

- Chcecie, to czekajcie! Nie chcecie, to idźcie w diabły! Jak wam się podoba!- zakończył uprzejmie, a tłum zamilkł.

Wiatr dął od północy, więc wszyscy podsunęli się pod ścianę, gdzie i jak kto mógł, przykucnął, jak najniżej. Kucnęłam i ja tak, jak Kazaczki i Kazachowie.

- Ta, nogi ci zdrętwieją!- ostrzegła Matyldzia, podskakując, przytupując i kryjąc ręce w niedźlączny swój zarękawek.

- Już się trochę nauczyłam... Siedzieć na śniegu zimno, stać, to wiatr przewiewa, a ci tubylcy wypróbowali jednak najlepszy sposób- dowodziłam.

- Żebyż tylko było na co czekać!...- marzyła Cesia.

- Żeby wystarczyło pieniędzy!...- uzipełniła Ela.

7 Gdyby coś droższego, to ci dopożyczę- ofiarowała się Dydnią

I tak jedni w tępym milczeniu, inni rzucając od czasu do czasu jakieś zdanie, jeszcze inni w rozmaitych rozmowach, kraszących czasem śmiechem, ale częściej przekleństwami, czterech rodzimych językach, czekało się około dwóch godzin na ten towar nieznanym i osłoniętym tajemnicą milczenia wszechwładnego sklepiarza, który ani myślał uchylić jej rąbka.

- A może by tak tylko powiedział CO tam ma?- padła czwaja propozycja.

- A, ładno! Idź i zapytaj! Mądrala!- wołano z kilku stron.

- Wiecie, przypomina mi to wiec myszy, na którym jedna wystąpiła z wnioskiem, by kota zagryźć podczas snu, albo chociaż przywiązać mu dzwoneczek u szyi!- śmiałam się.

- No i co? I co?- pytała Matyldzia, nie przestając podskakiwać.

- Ha! Wniosek przyjęto. Wykonawcy nie znaleziono!...-

- Tę, rzeczywiście tak, jak tutaj: nikt się nie chce narazić-
W tej właśnie chwili pan i władca wkroczył na widowię.

Tłum zakotłował się wśród pisków, śmiechu, krzyku i popychania się. Nogi porządnie ni zdrętwiały, ale dziewczęta podały pomocne dionne.

- No, doczekaliśmy się!-

- Uf! Wreszcie!-

Całe towarzystwo runęło w otwarte drzwi, w które już my nie zdołaliśmy się zmieścić.

- A co tam "dają"?-

- Co przywieźli? Co mają? -

- Czy wystarczy i dla nas?...- padały pytania, także i tych którzy teraz nadchodzili, podawane z ust do ust, do wnętrza.

- "o-de-ko-lon-" skandowano odpowiedź, przekazaną ze sklepu.

- Kiej diabeł?-

- O-de-ko-lon - powtórzyłam, równie mądra, jak ten ktoś, kto mnie z tyłu szarpał.

Z trudem wyszli pierwsi naowcy. Z radosnym śmiechem triumfalnie nieśli ponad głowami tłumu, w wyciągniętych rękach po jednej, jedynej buteleczce.

- Co? Perfuma?- pękałam ze zdumienia.

- Woda kolońska!-

- Tylko tyle? Tylko to!?-

- Nic więcej?...-

- Niczewo!...- odeszli, pokrzykując coś tam do kogoś.

- Elcisa? Czekaemy?...- upewniałam się, nader gotowa do zrezygnowania i dezercji.

- No, teraz, to już pójdzie prędzej!- Cesia miała nadzieję.

- Wiesz, zawsze to środek dezynfekcyjny...- zaczęła Ela,

a Matyldzia praktycznie dodała:

- I jak kupują, to zawsze można wymienić za coś, bo tu dają po jednej buteleczce!-

- Ja też czekam, jak już tyle wymarżyliśmy się...- zdecydowała się Dyńcia.

- Macie rację: nie ma wykrętów!...-

- Popatrz! Tu popatrz!- Cesia chwyciła mnie za rękę. Paru tubylców otwierało swe buteleczki z tym środkiem dezynfekcyjnym i wlewało go sobie prosto w otwarte usta.

- Jezus, Maria! Potrują się!- zawołałam, struchlała z wrażenia.

Pożytki z wody kolońskiej

- Popatrz tu, popatrz!- Cesia chwyciła mnie za rękę.
 Paru tubylców, wyszedłszy ze sklepu, otwierało buteleczki z tym swoim środkiem dezynfekcyjnym i w otwarte usta wlewało sobie cało zawartość.
- Jezus, Maria! Potrują się!- zawołałam
 -"Niezapokojsia!" ktoś zrozumiał moje obawy i ścisną weso-
 łość przeleciała po tłumie.
- Ale będzie teraz wszędzie pachniało!...-
 W domu pochwalono nas za wytrwałość i decyzję zakupu.
- Matyldzia ma rację- dodała Fela, dmuchając w palenisko-
 Trzeba kupować wszystko, cokolwiek się trafi...-
- Szkoda was, żeście się tak wymarzyły, ale wrzątek już jest-
 zaraz dostaniecie,-dodała pani Wojciechowska, przyłulona do
 kuchennego pieca, na swej ławie.
- Tak, tak! Wypijcie, abyście nie dostały zapalenia płuc...-
 Mama także nadrabiała miną, mimo rozczarowania, że to nic do
 jedzenia.
- Ale wkrótce wstąpili czabani, z zapytaniem, czy im nie od-
 stąpiły tych naszych buteleczek wody kolońskiej,
- A, no: przynieście jagiły, albo mąkę, to się zamienimy!-
 Fela nie traciła głowy, co szczerze podziwiałam, lecz bez
 specjalnej nadziei na efekt.
- Przynieśli!
- " Tara bar" / są jagiły/- wołali z wyciąsko od progu.
 - Słowo się rzekło!- śmiała się Fela radośnie, odbierając
 z rąk jednego czabana czarkę kaszy i wskazując drugiemu moją
 Mamę, która skwapliwie podstawiła garnek na porcję jagiel.
 - Oj, ba, joj!- zawołała Elcisa-Ale będzie bal! Jak to dob-
 rze, że się tak lubią perfumować!-
 - Oj, ba, joj! - odpowiedzieli jej goście ze śmiechem
 i wyszli równie zadowoleni, jak my .
- Felciu! Ale ty tę kaszę podziel, na parę dni, do zupy...-
 doradzała jej matka.
- Tak, tak, naturalnie...- Fela była bardzo oszczędna.
- A ja wsypię dzisiaj tej kaszy trochę więcej : tak się na-
 marzyły...- moja Mama podchwyciła rozczarowaną minę Eli i tak

podpowiadała, aby dać dobry przykład.

- No, dobrze, może to i słusznie. Dobry przykład ...-

- Cuda działa!- dokończyła Ela z zapałem.

Nikt ze zwolenników wody kolońskiej nie uległ zatruciu. Za czasów naszego pobytu tam więcej takiej dostawy nie było, a więc nie było więcej okazji, by się biedny naród tubylców mógł jeszcze "perfumować".

Na progu

Nastaly większe mrozy i wykończył się nam opał. Czabani wy-pędzali owce na parę godzin, na udeptać śnieg, gdzie im pod-rzucano trochę siano. Lizały też tam śnieg, a sól dostawali w owczarni. Gdy owce zapędzono do owczarni, wybiegaliśmy z Ela i zbierały świeży owczy nawóz, by go w domu suszyć, na "kiziak", na opał. Czasem nie udało nam się umknąć w porę i dosta-ło nam się bólem od czabana. Zaczęli bardziej pilnować i sa-mi wykorzystywali teren owczego wybiegu, a raczej tych cennych pozostałości na nim...

Pod naszą kuchnią już zupełnie nie było czym palić. Krótkie dni Ojciec spędzał w drukarni, pracując ustalonym trybem zapa-kowywania i na przemian rozpakowywania wszystkiego, co tylko tam było. Pan Wojciechowski przeważnie całe dnie spędzał poza domem, pomagając przy kuchni szpitalnej za talerz zupy, czy choćby okazję do siedzenia w ciepłe. Obie nasze Matki i Fela siedziały w izbie opatulone, w płaszcze lub półkożuszek.

Po patyki czy gałęzie nie było możliwości iść piechotą, nie mieliśmy żadnych zapasów opałowch, słowem beznadziejność, bo cegiełki kiziaków, robione przez tubylców latem, doszły już do ceny pięciu rubli za sztukę, co przekraczało nasze możli-wości finansowe.

Ela i ja najczęściej stałyśmy sobie na progu sieni, przytu-pując i podskakując i opowiadałyśmy sobie na wzajem przeczyta-ne książki / częściej ja/ oraz oglądane filmy / częściej ona/

Nieraz Cesia, czy Matyldzia przystawały tam z nami, ale nie na długo, bo w domu one miały ciepłej. Zapraszały nas do siebie, ale wszędzie tyle było osób i rzeczy, taka ciasnota, że krępowałyśmy się pakować komuś na głowę jeszcze i my.

- Wcale się u was nie pali?- zmartwiła się Cesia.

- Niestety...-

- Przylecę na chwilę, tylko powiem pani Jadwidze, gdzie jestem- i pobiegła, do następnej sieni, którą ich kwatery dzieliła z obiema rodzinami Nowaków i panią Korzeniewską, zajmującymi izbę za naszą ścianą.

- Słuchajcie! Chodźcie do nas! Nie marznijcie tutaj!...-

- Dziękujemy, ale my się tak hartujemy!...-

- I pani Jadwiga przyjmie na swoją kuchnię, co tam macie dzisiaj do gotowania, bo jest miejsce na płycie i pali się.- wróciła Cesia rozpromieniona.

- O, dziękujemy!- i poszłyśmy zapytać.

- Ach, jak to dobrze! Co za szczęście!- ucieszyła się Mama

- A nam już pani Sochacka wzięła. Podziękuj, Cesi i od nas powiedziała pani Wojciechowska.

Nasza codzienna kartoflanka gotowała się u pani Bokotowej, zaś państwa Wojciechowskich u pani Sochackiej.

Bolek chętnie wychodził na próg pod pozorem przynoszenia informacji na temat zupy. Potem już bez tego, gdy nikt nie robił uwag na temat stania na progu. Wodził za Elą zachwyconymi oczyma i prosił, by śpiewała. Szczególnie lubił tango:

..." Jest jedyna jedyna,

Którą kocham najwięcej..."

a my żartowałyśmy w tym miejscu, że wszystkie inne trochę mniej. A drugą jego ulubioną była kołysanka:

..." Więc śpij, kochanie!

Jeśli gwiazdki z nieba chcesz,

Dostaniesz..."

" Śpij, kochanie", to była pierwsza nie pobożna i nie kościelna piosenka, na jaką się odważyłam w tym naszym wagonie- opowiadała mi potem Ela.

- W twoim wykonaniu musiał się nią zachwycić- domyśliłam się.

- A żebyś wiedziała, że się ucieszył... Przez cały ten pierwszy tydzień mój tato zaczynał wszystkie pieśni...-

-Pobożne i religijne- wtrąciłam

- Tak, oczywiście. I wszyscy śpiewali. Początkowo z wielkim przejęciem i wszyscy...-

- Wyobrażam sobie. Pani Nuckowska też jest bardzo religijna i jej cztery córki...-

- I Jańcia Goryluk...-

- Też ślicznie śpiewa i ma piękny głos...-

- I reszta też śpiewała. To brzmiało, jak modlitwa!.. To

było modlitwą...-

- Rozumiem. W tym przygnębieniu... A pewnie nawet Józek to wytrzymawał.-

- Tak, tak. Był bardzo zgnębiony... Tylko potem jakoś tak właśnie mnie zechciało się zwyczajnie sobie pośpiewać. Ale trochę się bałam tuła, że mi to weźmie za złe...- przyzmała się ze śmiechem

- Tę "pustotę"!
- dokończyłam powiedzonkiem ojca Eli i pośmiałyśmy się, zadowolone, że można pośmiać się z byle czego.

Pomoc sąsiedzka

Po kilku dniach Cesia przybiegła na nasz próg:

- Alu! Czemu nie przynosisz zupy do ugotowania? Macie już opak?

- Nie...-

- No, to już! Dawaj garnek!-

- Ale... pusty...-

- Co?- Cesia nie rozumiała.

- Nie u niego nie ma: no, nie ma co do garnka włożyć- powiedziałam z wielką przykrością.- Albo, nie! Czeka! Przyniosę wodę, na wrzątek! Chętnie się napijemy...- *oświadczyło mi się nagle*

- A, niech tam!...- zabrała garnek.

Po chwili przyniosła od pani Jadwigi osiem ziemniaczków:

- Pani Jadwiga może pożyczyć- pokazała Mamie - Jak ugotować?- zapytała Cesia.

- O, Boże!- wruszyła się Mama- Zaraz, zaraz Ala przyniesie. Na zupę.. Dziękujemy! Podziękuj, Cesiu od nas!- i zabrała się do obierania ziemniaczka, jak najcieniej.- Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie...-

Pani Jadwiga jeszcze kilkakrotnie pożyczala nam ziemniaczki i gotowała je na swojej kuchni. U nas nie paliło się przez okres dwóch tygodni! Wcale. Woda zamarzała w izbie. Mama kupka przynieszonego ukradkiem przez Elę ze mną owczego nawozu, zbieranego na opał, nie miała gdzie wysychać. Czekala na lepsze czasy.

W końcu pan Wojciechowski dogadał się jakoś z chłopcem, który zaopatrywał szpitalik w opał. Potem pomówił z Ojcem, który ciemnym wieczorem wytrał się pod szpital, gdzie nasz współlokator naszykował już parę większych gałęzi. Ojciec przyciągnął je do naszej sieni, gdzie we trzy z Felą i Elą pomogliśmy po-

piesznie polamać i po zatarciu wszystkich śladów, poukrywaliśmy je pod naszą pryczą i ławą państwa Wojciechowskich, przed dociekliwym okiem codziennych kontroli.

Następne dostawy udało się załatwić bardziej oficjalnie i już nie trzeba było umierać ze strachu, gdy nasze troskliwe władze robiły codzienny nalot na dom, głównie w celu wygania nas do roboty, ale przy okazji dla wysledzenia, czy nie damy dodatkowych powodów do czepiania się. Gdyby znaleźli tych parę gałęzi, tym razem na pewno się obeszcio by się bez sądu.

- No! Chyba już najgorsze za nami! Wreszcie się będzie palić w charupie!- cieszyła się pani Wojciechowska, gdy opłaczony dostawca przywiózł nam "topkę".

- O, tak! Nawet nie sądziłam, że będę się cieszyła tym beznadziejnym dmuchaniem w piec!- dodała Fela.

- Może ja spróbuję?- ofiarowałam się, zresztą nie po raz pierwszy, ale z jednakowym skutkiem.

- O, nie! To już nasza sprawa: twojej mamy i moja. Wy obie z Elzą pilnujcie, czy tam czegoś do sklepu nie rzucą! A może coś się tam trafi? Może chleb?...-

Taniocha

Pewnego razu przyszli Kazachowie z propozycją sprzedania nam ziemniaków. Nie znaleźliśmy ich, ale cena była dość niska i obiecali sami przynieść. Nie obrazili się, że powiedzieliśmy, nauczonymi doświadczeniem:

- Pieniądzy w tej chwili nie mamy, ale jak już przyniesiecie to będziemy mieli, bo się przez ten czas postaramy..."-

Przynieśli i wysypali w kącie, na ziemi, na dwie kupki, jak im Fela pokazała.

- Taż to taniocha!- cieszyła się

- Bogu dzięki!- westchnęła pani Wojciechowska.

- Bogu dzięki!- powtórzyła Mama- Będzie na jakiś czas...-

- O, po dwa wiadra, to już będzie na dłuższy czas!- Fela wyrażała swe zadowolenie.

Tego dnia byliśmy już po posiłku, więc naturalnie nikomu nie przyszło na myśl, by nadużywać żywności.

Nazajutrz naszą radość nieco zachwiały niezbyt efektowny wygląd ziemniaków. Były widocznie zmarznięte i przez noc odtajały.

...- Mama wypadła w popłoch.

- Nic się na to nie poradzi... Będziemy jeść, jakie są.-
zadecydowała Fela.

- A nie pochorujemy się?..-

- A mamy co innego?..-

Flakowato podgnięte przed ugotowaniem, po ugotowaniu łykowa-
to kaczaniaste, pachnące, bieda wie dlaczego naftą.

- Wiecie co? Możeby lepsze były pieczone?- Maryla Antonow,
wróciwszy z zajęć na kursie, próbowała doradzić.

- Pachną "karasina"- zauważyła Marysia Nuckowska.

- Co do pieczenia, to raczej trudno: podsypujemy te gałę-
zie kiziakiem! Jeszcze by lepiej pachniały! A z oparem musi-
my się bardzo liczyć...- tłumaczyła Fela.

- Ja mam pomysł! Najlepiej je wycisnąć, bo i tak z nich się
leje. Może wycieknie z nich ta cała "karasina", to przynaj-
mniej przyda się do lampy!- żartowała Ela.

- A możeby dało się to potrzebować na placki? Zawsze upiekły
by się na blasze...- rozważała Mama.

- To ja polecę pożyczyc tarko!- i powieglam do pani Nowa-
kowej starszej, gdyż widziałam, że Kazik sam je zrobił. Z ka-
wataki znalezionej blachy. Raz przy razie wbijał w nią młot-
kiem gwałtownie, położywszy blachę na progu, a potem, gdy już by-
ła dokładnie podziurawiona /"cała dziurawa!"/, wykręcił ją
tak, że te zadziory znalazły się po wypukłej stronie.

- Jesteś zaradny, jak Robinson Kruzoe na bezludnej wyspie!-
- skonstatowałam wtedy.

- A, no! Stara się człowiek, jak może: jedyny mężczyzna w
w rodzinie...- skromnie tłumaczył, a ja w porę ugryzłam się
w język, by nie chlapać: "szesnastoletni", bo to nie miało
nic do rzeczy.

Biedna Mama! Nie dopuściła mnie do tej roboty i więcej so-
bie pokaleczyła palce na tym domorosłym tarku, niż zdołała
utrzymać te wściekle kartofliska.

- Ale zawsze coś tam jest!..-

Placki były "jadalne, chociaż zjadliwe". Jednak ze wzglę-
du na straszną robotę przy ucieraniu ziemniaków o konsystencję
gumowatej trzeba było zrezygnować z tego; ostatecznie gotowa-
ło się je w łupinie.

- Kartofle w mundurkach! I to od razu już z zapachem przeciw-
molowym!- pokpiwała Ela, dmuchając i jedząc, w dobrym humorze

...bo i apetyt miała dobry i wszyscy po kolei ostrzegali, iż trzeba je zużyć możliwie najszybciej, zanim całkiem zgniją. A więc zużywaliśmy. I używaliśmy sobie! W każdym razie, jak to ujęliśmy lapidarnie "wprawdzie nie na jakość, ale za to na ilość!". Tylko tyle, że nie z najlepszym skutkiem...

- Cóż. Ostatecznie nikt się nie zatrzał na śmierć...- stwierdziła Fela, gdy już w kąciku, pełniącym funkcję spiżarenki nie było ani śladu.

- Na śmierć to nie... Ale lepiej na drugi raz na takie przemarznięte nie dać się skusić...- postanowiła Mama.

- A, no, nie udało się nam ta tamiocha...- westchnęła Fela.

- „Tanie mięso psi jedzą”- westchnęła pani Wojciechowska, co mi przypomniało Babcię.

Nieraz jednak nie było innego wyjścia i kupowało się świadomie przemarznięte ziemniaki.

Do Nowotrojska po śniegu

- Wiecie- pan Wojciechowski przyniósł nowiny usłyszane w szpitalu, w kuchni- Już ludzie chodzą do Nowotrojska. Po śniegu. Po samym wierzchu.-

- A, właśnie!- podchwyciła pani Kierepkowa- Właśnie ja tu po to przyszedłam. Chcę się wybrać z Matyldzią, ale tak same, w dwie, to trochę nas za mało. Bezpieczniej w kilkoro...-

- Tak, tak: zima, step, daleko...- zastanawiała się pani Wojciechowska.

- Ja bym noszła. Wszystko na wykończeniu. Tu nic nie można zdobyć... Pójdę, dobrze?- zwróciłam się do Mamy.

- Może też i Tato? Może weźmie dzień wolny?...- rozważała Mama.

- To trzeba mieć dwa dni! Tam nocleg. Inaczej się nie uda. Nie ma mowy, żeby zdążyć. Zanim słońce wszędzie, musi się dojść w jedną stronę...- przypomniała pani Kierepkowa.

- Tak! Ruscy to samo mówią!- potwierdził pan Wojciechowski.

- Na dwa dni, to będzie trudno...- Mama miała na myśli Ojca. Nie dostanie dwóch dni...-

- A może Tato weźmie wolne na sobotę, a w niedzielę byśmy wracali? To byłoby dobrze, prawda?- doradzałam.

- Tak, to byłoby dobrze- zgodziła się pani Kierepkowa- Może jeszcze ktoś dołączy.-
Ojcu jednak nie udało się uzyskać tego wolnego dnia.

Znalazł się natomiast inny mężczyzna dla opieki. Właśnie przybyli z pierwszej fermy Mazurowie: Weronka, najstarsza, Jaś, garbusek, ale bardzo zaradny i wygadany, co było tam dużą zaletą, bo z takimi się liczone, i Zocha, młodsza od nich, w moim wieku. Przenowowali po kwaterach polskich, aby z Centrali wyruszyć rankiem do Nowotrojska po żywność.

Wybraliśmy się wszyscy razem, gdy gwiazdzista noc zaczynała blednąć. Znanym traktem maszerowaliśmy dziarsko, niosąc swoje tobołki z rzeczami na wymianę i gotówkę, ile kto miał i pełną głowę marzeń na temat fantastycznego szczęścia i pomyślnych zakupach.

Mój plecak nie był zbyt wypchany, ani wcale nie był ciężki, ale miałam tam jakieś poszewki i sukienczynę z ostatniej paczki, w której przysłano mi /wreszcie!/ moje własne meszty, nie tak pełne wprawdzie jak półbuty, ale za to ra całych podeszwach. Były na słupkowym obcasie, pierwsze takie w moim życiu. I jedyne, jak dotąd.

Mimo ostrego mrozu, z którym liczyliśmy się i powbierali odpowiednio, szło nam się dobrze. Od czasu do czasu coś ktoś powiedział i nastroj dopisywał nam,

Wcześniej, niż mogliśmy się spodziewać noc całkowicie zbladła, gwiazdy poznikały bardzo szybko i nagle, gdzieś tam za "naszym" Tas Bułakiem, pozostawionym dość daleko za nami, wyskoczyło słońce. Szklista powierzchnia twardego śniegu zaiskrzyła się miliardem iskier.

- Ach, jak ślicznie! Jaki wysrebrzony świat!...- zachłysnęłam się zachwytem w duszy.

- Ojej!- przeraził się Jasiak- Trzeba galopem do tego Nowotrojska, bo zaraz się ta skorupa stopi i ugrzęźniemy w śniegu!

- No, właśnie: koniecznie! Mówią, że tego śniegu na stepie to jest ze dwa metry głęboko!...-

- Albo i więcej!...-

- Właściwie idziemy tak jakoś bez drogi!...-

- Chyba zgubiliśmy tę drogę?...- Weronka rozglądała się bez zachwyty.

- To chyba będzie tam!...- pani Kierepkowa wydłużyła krok i tak długi, jak na ten jej imponujący wzrost przystało.

- "Dawaj skorej!"- Jasiak przedrzeźniając naszych naganiaczy komenderował energicznie.

- Ludzie! Ratujcie!- zawołała w naszą stronę Matyldzia, która podbiegła do przodu i wysforowała się spory kawałek przed matką i nami.

- Co?! Co się stało?- biegliśmy do niej, a ona stała, jak wryta, z wyciągniętą ręką:

- Tam! Patrzcie: tam jest Nowotrojsk!...-

- Zgubiliśmy drogę...-

- Nie zdążymy!-

- Musimy zdążyć!...-

- Musimy! Nie ma co!-

- Trzeba jak najprędzej zjechać z tej góry!...-

Staliśmy na samej krawędzi stepu, który nagle urwał się tu przed nami, stromo zapadając się na szerokiej przestrzeni, tworząc długi brzeg groźnej góry.

- Zjechać! Ta, niby jak?...-

- A, byle jak, byle prędzej!-

- Tak! To jedyne wyjście!- wołaliśmy w pośpiechu.

- Ja zjadę na teczce, mam, tak?- pytała Matyldzia.

- Dobrze!. A ja na zarękawku...-

- Zocha, nie na płaszczu, bo może się zniszczyć- upominała Weronka siostrę.

-- No, to jazda! Ja siadam na czapkę!- oznajmił Jasiek.

- Fajno, ja też- Weronka za przykładem brata zrezygnowała z nakrycia głowy.

Mój berecik szkolny, przywiązany do głowy szaliczkiem, ~~nie~~ nie nadawał się do tego.

- Siadę na rękach!- zdecydowałam, bo pani Kierepkowa już po-
nagłała:

- Już, zjeżdżamy! Tylko bez paniki! w Imię Boże!...-

Ruszyłam w ślad za nimi z tej niespodziewanej góry. Strasznie stroma, gorsza, niż tam, gdzie wiodła droga. I strasznie długa. Prowadziła do kołchozu w połowie długości wsi, z innej strony, niż tamten, przetarty szlak. A dalej trzeba było jeszcze spory kawałek podejść.

- No, w Imię Boże!- przesunęłam się ze skraju i momentalnie zaczęłam zjeżdżać w dół, zdawało mi się, że na łeb, na szyję. Pęd powietrza rzucił mi się w twarz, a równocześnie na twarzy poczułam tysiące bolesnych ukłuc, jak gdyby igiełki ostrego lodu siekały mnie bezlitośnie.

- O, Jezu! Co to?- przemknęło mi przez myśl.

Po momencie zrozumiałam. To moje słupkowe obcasy szlifowały ostrą powierzchnię lodu, a te okruchy lodowe uderzały mnie w pędzie po twarzy. Po chwili pieczenie rąk stało się ni mniej ni mniej dokuczliwe. Nie wyjmowałam ich jednak spod siedzenia, w obawie utraty równowagi. Pędziłam, trzeba przyznać, z duszą na ramieniu. Ostatnia, za wszystkimi.

- A jak oni? - zaciekawiona, mrózając oczy, spjrzałam przed siebie.

- Oho! Sumą ruchem jednostajnie przyśpieszonym! A ja : z prz- przyśpieszeniem przypiekającym! - usiłowałam dodać sobie animuszu. - Ale : co to? O, do licha! Coś mi w oczach poczerwieniało?... Nie! To jakiś czerwony pas, cały szlak czerwony? Cała trasa! Co to jest?... - szukałam w myślach wyjaśnienia, gdy nagle ludzki ryk targnął powietrzem.

- Zośka?... -

- Zośka!... - pytałam i odpowiadałam sobie sama, a wszystko to zdało mi się jakimś makabrycznym snem.

- Właściwie nie muszę wcale się szczypać! Ból czuję bez tego. Nie śpię! - rozważałam.

Cała ta oryginalnie odbywana podróż z tej góry lodowej, niczym nie podobnej do uobrażeń o śliskim i gładziutkim lodzie, czy bajkowych górach lodowych, zdawała mi się trwać wieki.

- Ciekawe! Mówią, że w chwili śmierci człowiek zdąży zobaczyć całe swoje życie! Ileż ja tu już zdążyłam pomyśleć!?... - zagadywałam sama siebie w myślach, w obawie, że lada chwila, i ja też zacznę krzyczeć, a wtedy razem z Zośką ściągniemy lawinę śniegu na siebie, na nas wszystkich. Zagryzłam wargi.

- Uf!... - znalazłam się na dole, u stóp pani Kierepkowej, która pomagała Weronce podnieść Zośkę...

Biedna Zocha! Aby nie uszkodzić płaszcza, podgięła go do góry i zaczęła zjeżdżać na samych majtach... Spódnicy też było jej szkoda! Zaczęła więc na majtach, a skończyła na mięśniach pośladkowych, boi skóra zdarła się na tym lodzie, jak gdyby cały był ostrym i potwornie zadziornym tarciem.

To samo stało się z moimi dłońmi, na których u przegubów pozostały resztki zmarnowanych całkowicie rękawiczek, fruujących strzępkami wełny. Biedna Zośka! o ileż jej rany były większe! To nie w oczach mi poczerwieniało! To jej krew zarbarwiła nielitościwy lód.

- Biedaki! Biedaczki! Coście wy sobie narobiły!- rozżalały się nad nami matka z Matyldzią i Weronka.

- A, bo z dziewczynami to zawsze...- zaczął Jasiak, ale machnął ręką, w której trzymał swą czapkę, futrzaną przed chwilą, a teraz pozbawioną owłosienia po całej jednej stronie.

- Ta, joj!...-

Zarekawek pani Julii wyglądał podobnie.

- Nie ma co! Musimy iść!...-

- Już, bo się zapadniemy...-

- Ale : jak?- jęknęła Zocha.

- Czekaj! Nie sprzedamy tej poszewki, masz! Włóż ją sobie pod spódnicę, to zawsze trochę ochroni, nie będzie cię drapać pomagala siostra.

- Chodźmy już, chodźmy! Bo będzie jeszcze gorzej z nami wszędy!- niecierpliwiał się Jasiak. Pokrywa lodowa już powlekała się z wierzchu wodą.

Końcem buta odkuparam kawałek skorupy i puszystym śniegiem, zaczerpniętym spod niej, ochłodziłam pościerane dłonie.

- Popatrz, Zosiu! To przynosi ulgę!-

- Zrobię jej taki okład, jak znajdziemy nocleg- obiecała Weronka.

Dochodziliśmy do wsi i ubitych, wydeptanych ścieżek, gdy już już tafla lodu zaczynała nam trzeszczeć pod nogami.

Pokłosie

Od chaty do chaty, od lepianki do lepianki chodziliśmy, ~~z~~ załatwiać swoje zakupy i w poszukiwaniu noclegu. Matka Matyldzi znalazła miejsce dla trzech osób, więc zabrała mnie tam. Weronce też udało się gdzieś ulokować z Zochą, a Jasiak urządził się w pobliżu.

Na drugi dzień wyruszyliśmy dobrze przed brzaskiem i do Tas Bułaku zdążyliśmy zanim lód zaczął się topić. Zocha wylądowała w w szpitalu, bo gorączkowała i nie była zdolna do drogi na pierwszą fermę. Inne pacjentki z uznaniem podziwiałały ofiarę jazdy na pośladkach, śpiącą stale na brzuchu i koniecznie chciały asystować przy zmianie jej ppatrunków, aby na własne oczy obejrzeć jej odwrotną stronę medalu.

Moje ręce wygoiły się znacznie szybciej, niż można się było

spodziewac. Odchorowałam wyprawę, jak zwykle, w inny sposób, bo się podziurigałam. Wiele było wtedy mąki i kaszy jaglanej, które przyniosłam w plecaku, ale zbyt ciężkie to było na moje "zdechłe" siły.

Inny nabytek, bezpłatny, zawdzięczałam noclegowi. Z trudem pozbywałam się tego, na czym połamaliśmy się ostatni grzebień, toteż łzami oblewałam najbliższy list, pisany do Lw Lwowa, z prośbą o przysłanie nowego gęstego grzebienia:

.."- I może od razu nie jeden tylko, bo są liche i szybko się łamią..." dopisałam i list z taką prośbą wystawiłam wprost do Lolka, w obawie, by Ciocia Julia znów nie potraktowała mojej prośby za niewczesny żart.

Lolek był niezawodny. Zdobył i przysłał. Jeden, bo cały Lwów był zasypywany takimi prośbami. Podejrzywałam, że ^{gryźliwie} na miejscu mogły stać się przedmiotami codziennego użytku, skoro nasze mieszkania i nasze miejsce zajmowali nowi obywatele. Stąd.

Paczka do Wandzi.

Nie pamiętam już dziś daty, kiedy do tego doszło, żeśmy jednak Wandzi wysłali do lagru tę paczkę z jasiakiem. Oczywiście chodziło o pośpiech, aby otrzymała wcześniej, niż ze Lwowa, skąd trzeba było liczyć, że w okresie zimowym mogła dostać po kilku miesiącach. Jeśli o mnie chodzi, to głównie zależało mi na tym, aby to było coś bezpośrednio od nas, jako znak, że jesteśmy przy niej całym sercem.

Znając Wandę martwiłam się, że może sobie robić wyrzuty, iż to "przez nią" nas wywieziono. Jako rodzinę aresztowanej. Równie dobrze mogła być tą bezpośrednią przyczyną stać się Dzikka, czy nawet ja. Przecież wszystkie byłyśmy harcerkami, poczuwałyśmy się do swej polskości, gotowe dać temu czynne dowody. Jak prawie cała młodzież, zakochana w swoim mieście...

Oprócz jasiaka staraliśmy się tę skromną paczuszkę wypełnić "choć czymś". Dobre chęci niebardzo wystarczyły... Do małego woreczka, wielkości damskiej chusteczki do nosa, złożonej we czworo, nasypałam połowę z zapasu cukru, otrzymanego w paczce. Do niewielu większych półciennych woreczków po trochę mąki i kaszy, a ponieważ wyglądało to całkiem biedniutko, napisałam, że nie wiemy, co jej najbardziej jest potrzebne, więc dlatego wysyłamy wszystkiego po trochu, aby dopełnić paczkę. Ot, ta-

kie tam, mówiąc po lwowsku, pobożne "łajtowanie", czyli trele morele... Tak bardzo chciałam sprawić siostrze choć troszkę radości, bo sama zbyt dobrze wiedziałam, co znaczyło dla nas otrzymywanie paczek. Przecież ich wartość materialna bywała najczęściej po prostu ratunkiem, ale wartości poza-materialne były conajmniej tak samo ważne: świadczyły o czyimś sercu, chęci niesienia pomocy, o pamięci i staraniach o nas..

Potem nadeszła kartka od niej. Dziękowała. Cieszyła się z nawiązaniem kontaktu i prosiła, aby każdy osobiście i własnoręcznie do niej napisał, a szczególnie prosiła o to Mamę.

- Chcę się upewnić, że ja żyję, biedula!...- Mama miała rację: właśnie o to chodziło. Przez plotki...

Na ostatku omal się nie pobeczalam.:

- ..." Ta paczka od Was powiedziała mi bardzo wiele. Teraz wiem, jak żyjecie i jak Wam tam jest."...

- No, i masz!- złościłam się na siebie.- Zajątkowałam sprawę nader inteligentnie! Chciałam swoją siostrę przekonać, że mamy tu aż tyle różnorodności, bo niby wszystkiego po trochu, a ona przejrzała sytuację na wylot!-

I jeszcze to nie wszystko! W odpowiedzi na moje pytanie o groch, wyjaśniła, że owszem, mają żelazne piecyki i mogą sobie gotować, więc może być groch, jeśli rzeczywiście mamy sami dość. A tymczasem, my sami już od dłuższego czasu nie mieliśmy go wcale! Czas zrobił swoje...

Ze Lwowa pisano nam, że będą się starali Wandzi wysyłać paczki i już my nie powinniśmy się tym obarczać. Nie! już nie obarczaliśmy się tym więcej: było nam bardzo ciężko.

Szurka i Bała

Gdy już minął ten okres, w którym się nie paliło w izbie wcale, kiedy z powodu zamrożonego atramentu i odrożonych rąk zaniedbałam korespondencję, znowu, pomiędzy kolejnymi wyprawami do sklepu w pogoni za chlebem, zabierałam się do pisanego listów, o ile tylko zdołałam przy świetle dziennym.

Kiedyś w takim momencie weszła do izby Szurka, chwała trzy-nastoletnia córka czabana, jednego z tych paru rodzin Kazachów, którym przydzielono ostatnią, tę dziesiątą kwaterę w naszym "baraku", przerobionym z owczarni. Przeprowadziła ze sobą swego dwuletniego brata.

Stanęli sobie przy drzwiach, co było ich kazachskim zwyczajem.

jem i przypatrywali się wszystkim i wszystkiemu w naszej izbie, bez słowa. Nie działo się nic szczególnego. Moja Mama izała spodnie Ojca, bo przy minimalnych zasobach odzieży, posiadanej i pozostawianej sobie do noszenia, wszystko się tam bardzo prędko niszczyło. Pani Wojciechowska, chora, kulika się na swej ławie przy piecu kuchennym, w który Fela dmuchała zawzięcie, do siódmych łez. Ela, przycupnąwszy na swym legowisku, zwiniełym na dzień i leżącym na ziemi, pod oknem, pochłonięta była czytaniem książki.

Dwójka Kazachskich dzieci stała cicho przy drzwiach, patrząc z powagą na nasze ciche zajęcia, jak gdyby te były coś faktycznie ciekawego do oglądania. Szurka, dość wysoka, jak na wiek, skośnooka, o szerokiej, płaskiej twarzy i wybitnie wystających kościach policzkowych, gładziutko uczesana, z przedziałkiem na środku i z ciemnymi dwoma, cieniutkimi warokczykami, ciasno splecionymi do tyłu - Jakaż ona typowa! - pomyślałam. Mały Bała patrzył poważnie spod powiek, które już doczekały się rzęs. - Jakie typowe dziecko! - wyciągnęłam swój zeszyt rysunkowy, ten jeszcze ze szkoły, bo nie zużyłam go na listy, gdyż papier był zbyt twardy i gruby.

Narysowałam go i aż sama się zdziwiłam: był bardzo podobny, naprawdę!

Szurka poprosiła, abym jej pozwoliła podobiznę brata pokazać w domu. Po chwili wróciła, niosąc czarkę lakursaku, aby dać mi za to "fotorografię" małego. Powieszono ją na ścianie, między kilkoma autentycznymi fotografiami, których posiadanie, należące do rzadkości, zdawało się dodawać rodzinie pewnego splendoru. Bała uśmiechał się, co widziałam po raz pierwszy u tego dziecka, gdy pokazywał mi, że jego podobizna wisi na honorowym miejscu.

Portret Tami

Parę razy w ciągu tej zimy wybrałam się jeszcze z Ojcem do Nowotrojska. Za każdym razem odchorowywałam taką imprezę co najmniej przez dwa tygodnie, chociaż nigdy nie dźwigałam naprawdę wiele. Jednak sama droga była bardzo uciążliwa, tak że cokolwiek niosłam, przerastało moje nader wątłe siły. Byłam bardzo słaba, a choroby wyczerpywały mnie do reszty.

Przeziębienie i katar czekały lata i butów, bo te meszty,

o podeszwach startych na lodowej tarce, nie wysychały wcale, mokre i zimne ciążyły mi na nogach.

- Mój Boże! Czy ja kiedyś w życiu doczekam się suchych butów na nogach?...- marzyłam, jak o cudzie.

Prowiant, który zdołaliśmy nabyć w Nowotrojsku i ten nie-szczęśny chleb, stały cel naszych zbyt często bezcelowych wędrówek do beznadziejnej spółdzielni, zdobywany zwykle raz lub dwa razy w tygodniu, stanowiły skąpe wyżywienie i nigdy nie zapewniały ciągłości w posiadaniu jakiegokolwiek żywności. Te luki zawsze nas przerażały.

Właśnie w takiej sytuacji wpadłam na genialny pomysł "sportretowania" pięcioletniej jedynaczki Grubego Mielnikowowa, Tani.

- Jeśli biedni ezabani uraczyli mnie za podobiznę dziecka czarką bakursaku, to taki bogacz za jedynaczkę na pewno da mi porcję chleba. Albo czarkę jagieł, czy mąki...- rozumowałam dość logicznie, ale zbyt optymistycznie.

Weszłam, zapukawszy do ich domu i wyjaśniłam cel swej wizyty.

- A, no, możesz ją sobie rysować- zgodziła się łaskawie Mielnikowowa i powinnam była już wtedy wziąć nogi za pas.

Tania usiadła na stołku z całkiem głupią miną. Przyjrzałam się jej uważnie i starałam się ze wszystkich sił oddać ował dziecięcej twarzy, w obramowaniu ciemno blond grzywki, uchwycić wyraz jej oczu, raczej szeroko rozstawionych / ciemnych/, zarys drobnych i kształtnych ust i wpaść na trop podobizny, do modelu żywego.

W myśli podpowiadałam sobie: taki, a taki kierunek, taka proporcja, i td, i tp, a to głupie stworzenie wierciło się bezustannie, jak gdyby ją coś oblało /może faktycznie?/, lub jak na rozżarzonych węglach i mowy nie było o tym, by przestała wyczniać miny i grymasy i pozwoliła mi sukcesem zakończyć. Co prawda, "prawdziwej tancerce fartuszek nie wadzi," ale nie szczędziłam cierpliwości i wysiłków...

Licho tam! Ani mowy! Narysowałam jakąś głowę jakiegoś dziecka, a chociaż poszczególne elementy miały cechy podobieństwa, całość wcale nie przypominała modelu żywego.

Mordowałam się, a pewnie i Tanię, dość długo i przemawiałam sama sobie do rozumu:

- No, jeszcze trochę! Postaraj się! Musisz! O, to trochę zmień, tu popraw... Musi się udać!...

Musisz zarobić i coś przynieść Mamie! Jak to się uda, to będzie najlepsza reklama!... Można by tak i zimę przeżyć... - zachęcałam sama siebie wytrwale, tłumacząc równocześnie Tani, co aktualnie rysuję i usiłując zmobilizować małą do współpracy. Gdzie tam! To niesamowite dziecko miało w każdej minucie dziesięć twarzy!

- "No, ka? Skończyliś?"- zapytała matka genialnej modelki genialną portrecistkę i .. /O, ludzie!/ wniosła garnek kapuśniaku i kawał chleba na stół.

Zapachniało, aż się przeraziłam, że padnę i poczułam, że zbladłam. Ale ona, na szczęście, nie spojrzała na mnie, tylko zagładnęła do zeszytu.

- "Ładno, ładno!"- i zwróciła się do córki:- Tania! Siadaj do obiadu! Ojciec już idzie!-

Porwałam swe przybory i już mnie nie było. Płaszcz zapinałam już za drzwiami... Przechcałam drogę układałam sobie, że nabużam w domu:

- Powiem, że poczęstowali mnie obiadem! Nie miałam jak przyjąć kapuśniaku, ale tyle go tam zjadłam, że w domu przez cały dzień, nie, lepiej przez dwa dni już nic nie będę mogła jeść! Tak! Muszę tak powiedzieć!...-

Mama nie zapytała.

- Jedz! Dobrze, że jest...- i nalaza mi kartoflankę- Gorąca!

- Syty głodnego nigdy nie zrozumie...- powiedziała pani Wojciechowska.

- Skąd wiedzą?...- myślałam strasznie zawstydzona ... i .. nie wyrzekłam się tej zupki, chociaż jadłam ją z pogardą dla siebie, za niedotrzymanie szlachetnych zamiarów, dotyczących planowanego pobożnego kłamstwa.

Wybaczyłam sobie, że mi się podobizna nie udała. Trudno. Przeliczyłam swoje możliwości. Staralam się tak bardzo, że o to nie mogłam mieć pretensji. Wolno człowiekowi próbować, nawet jeśli jest tym beztalenciem. Nie wolno być zbyt pewnym, chociaż wolno marzyć. To jeszcze pół biedy... Najgorsze było to upokorzenie, że przy mnie przyniosła obiad... Nie zaprosiła!... Potraktowała, jak żebraka... Chociaż u nas żebrak dostawał... ale to było Tam... Teraz ten wstyd mnie palił. Dotknął osobiście i naradowościowo. To było najgorsze.

I ta gorycz, że nie wytrzymałam w postanowieniu, nie zapewniałam Mamy, że już jadłam i może wziąć tę moją porcję...

Nie zdobyłam się na to.

Kupię żonę albo okulary

Czasem odwiedzał nas Chińczyk, który z innej fermy przyjechał na kusa traktorzystów. Podobnie, jak tubylcy, miał zwyczaj stawać w drzwiach i obserwować. Poza dwoma pseudo-pryzami nie mieliśmy żadnego umeblowania i dosłownie nie było jak zaprosić gości, by usiedli. Chińczyk był bardzo wysoki, wbrew naszym pojęciom o Chińczykach, a wchodząc w nasze progi musiał się schylać, aby głową nie rozwalić nam futryny u drzwi.

Kiedyś zastał w domu Ojca i pana Wojciechowskiego i rozgadał się. Odsiedział pięć lat za nielegalne przejście granicy do Związku Radzieckiego. Uciekał od głodu, gdy podczas suszy wyjątkowo dotkliwej zmarniała mu cała uprawa ryżu. Był wtedy kilkunastoletnim chłopcem.

W więzieniu, a potem w lagrze trochę osłuchał się z językiem rosyjskim, trochę z kazachskim, tak że już mógł porozumiewać się z otoczeniem. O powrocie w swe rodzinne strony nie myślał wcale: bał się przechodzenia przez granicę i skutków, a co do głodu, to nie widział szczególnej różnicy. Poza tym otrzymał paszport, czyli oficjalne obywatelstwo, więc automatycznie uważał, że musi pozostać tam, gdzie go skierowano po zwolnieniu.

Uznał obu naszych panów godnych rozmowy ze sobą i udzielił tych informacji o sobie nie tak zupełnie bezinteresownie, jak można by przypuszczać. Otóż, zwracając się do Tata, zapytał wskazując na mnie, ile kosztowałaby ta "kyzymka", gdyby ją chciał uczciwie kupić na żonę? /!!!/.

- Alicja! Gratuluję zaszczytu!- zapiszczała Ela z niewinną minką.

- Ale pilnie czytasz i wcale nie podsłuchujesz, ty zazdrośnico jedna!- zrewanżowałam się przyjaciółce, całkowicie obojętnie, z uśmiechem.

- My nie sprzedajemy swoich córek- tłumaczył Ojciec poważnie wielkoludowi, jak dziecku.

- Dlaczego? Ja chcę uczciwie! Będę traktorzystą, będę zarabiał, będę odkładał. Ja mogę poczekać. Uskładałam i przyjdę-deklarowałam się z godnością.

- Nie, nie. U nas nie ma takiego zwyczaju...- usiłował Tato

wyperswadować mu to.

- Ja nie teraz. Jak będę miał wszystkie pieniądze. Wtedy od razu. Pojedziemy do urzędu i będzie kontrakt ślubny. Tylko, żeby nikt nie kupił: Ja kupuję! Ile kosztuje?- wykladał ~~konę na konę~~.

- Oho! "Howory do hory, a hora horaju!" /"Mów do góry, a góra górą"/ - zacytowałam ukraińskie przysłowie w przestrzeń.

- Wytrwały absztyfikant!- zauważyła Fela.

A on nie przestawał zapewniać Ojca, że jest porządnym człowiekiem. W dodatku : więzienie już ma za sobą, więcej mu nie grozi! /To atut! /

- Ile żon może mieć Chińczyk?- zainteresował się pan Wojciechowski.

- Elcisa! Teraz nastaw uszy!- zaalarmowałam, przejmującym szeptem. - Masz może jeszcze jakąś szansę...-

- Tutaj : jeden. W Chinach : nie jeden!-odpowiedział nasz gość z powagą- Dużo ryżu, dużo żon. Mało ryżu, nie trzeba dużo żon.- dodał.

- Biedaczka, przepadłaś...- zaczęłam, ale Fela reflektowała nas :

- Przestańcie, Sroki!...-

Gość się pożegnał, obiecując z własnej pilności, że wpadnie kiedyś znowu. Odwiedzał nas kilkakrotnie, ale sprawę proponowanej transakcji omawiał wyłącznie z moim Ojcem. Zjawił się po zakończeniu kursu, przed wyruszeniem na swoją fermę.

Tym razem leżałam chora i może dzięki temu dotarło do niego, że jego plany nie mają szans ani sensu. Przyjął to z powagą.

A potem nagle, nieoczekiwanie, wybuchnął głośnym śmiechem i wyciągając rękę w kierunku Mamy, podszedł do Niej:

- Okulary? Okulary!- zachwycał się , jak urzeczony.

- Te są moje!- uprzedziła Mama.

- Jak wasze, to sprzedajcie!- sięgnął po nie ręką.

- Nie, nie! Nie mogę! Muszę mieć do czytania, do pisania, do szycia...- tłumaczyła

- Ja w nich czytać! Ja czytać!- nalegał uparcie, aż Mama zgodziła się pozwolić mu tylko na chwilę przymierzyć.

- Wniebowzięty gość włożył okulary na nos, a zobaczywszy gazetę, wyjął ją delikatnie z rąk Feli i starał się czytać.

- "Nikak nie magu"- wyznał z głębokim żalem.

- Ale to nie jest chińska gazeta. A wy umiecie czytać po rosyjsku?- zapytała Fela, z wielką powagą biorąc gazetę z jego rąk, by podać mu ją we właściwy sposób, ponieważ trzymał do góry nogami, o ile litery mają nogi.

- Nie... po rosyjsku to ja nie umiem, ale w okularach... W okularach, to ja powinien czytać!...-wyznał rozczarowany.

Borsuki

Nie pamiętam już, czyje to było odkrycie, zresztą zupełnie przypadkowe. Któraś z pań / Jakubowska? Kublinowa? / w swoim obchodzie lepiarek kazachskich trafiła na scenę zdzierania skóry z borsuka. Stary czaban złapał go we wnyki, które zastawiał w stepie.

- Oho! Macie mięso! A to się wasza bajbisza ucieszy!- powiedziała nie bez osobistego zainteresowania.

- Mięso? To? Nie! Futro jest dobre. Będzie z tego czapka...- pouczał stary.

- Takiego mięsa my nie jemy: to takie zwierzę, jak stepowy pies- wyrwał się nieduży chłopak z wyjaśnieniem.

- Cicho bądź!- upomnął go dziadek.

- Nie jecie? Tego mięsa nie jecie?- dowiadywała się Polka, być może myśląc o wieprzowinie.

- Nie... ale my też nie jemy świńskiego mięsa, a wy to jecie. Chcecie, to wam mogę sprzedać tego borsuka bez skóry- podchwycił stary czaban. Jego wnuk już się nie odezwał, splunął z widoczną odrazą.

- No, a ile byście chcieli za tę sztukę?- pani kuła żelazo póki gorące.

- Ano, czy ja wiem?- podrapał się w głowę - Może tak dziesięć rubli?- zastanawiał się w głos.

- Co? Dziesięć?- nie mogła uwierzyć, że tylko tyle.

- No, to niech będzie pięć! Taniej nie dam! A to, widzicie, psy owczarskie tam podkarmiamy w zimie...- wyjaśniał, nie pojmując przyczyny zdziwienia.

- Pięć rubli...- odliczyła, szczęściara, gdy oprawca kończył swoją robotę. Chłopak coś zagadał do dziadka i roześmiał się, na co ten zareagował karcącym spojrzeniem.

- Będzie jeszcze? Na drugi raz? Przyjść?- dopytywała pani.

- Będzie, będzie! Nam potrzebne futro na czapki.-

I tak to się zaczęło. Czasem ktoś wstąpił z informacją o borsuku, czysem jakiś Kazach dawał znać, gdzie można dostać borsucze mięso. Parę razy i Mamie udało się z kimś na spółkę kupić połówkę, lub choć ewiartkę borsuka i był wtedy okres dań mięsnych, oszczędnie wygospodarowanych. Topiło się też tłuszcz, zwykle odstawiany na następny okres, bezmięsny, jako że dłużej dawał się przechowywać. Czasem zdarzało się nawet mieć na nim smażone placki. Luksus!

Kazachowie nadal pluli ze wzdargą na mięso borsucze, co im nie przeszkadzało w podnoszeniu ceny, która z końcem zimy dochodziła do trzydziestu rubli za sztukę. Tłumaczyli, że coraz trudniej w stepie o borsuki, skoro Polacy mają na nie apetyt!

Czasem bili owcę i udawało się kupić kawałek mięsa albo łożu. Ta rasa odznaczała się dużym zapasem łożu na ogonie, co sobie tubylcy szczególnie cenili. Był znacznie gorszy od wołowego, ale łatwiej osiągalny. Paranina bywała tam najbardziej popularnym rodzajem mięsa, a u Kazachów rzadko spotykało się coś innego. Początkowo hodowali trochę kur, które dzięki naszemu osiedleniu się pierwsze poszły pod nóż. pozostawiane w niewielkiej ilości, dla produkcji jaj.

Rzadko udawało się nam kupić wołowinę w Tas Bułaku. Trafiała się czasem w Nowotrojsku. Wieprzowina najbardziej upragniona ze względu na smalec, zdarzała się najrzadziej, tylko u "Ruskich", czyli Rosjan lub Ukraińców rosyjskich, bo Kazachowie, zgodnie z tradycją dawnych mahometan, nie jadaliby wcale wieprzowiny, podobnie jak i Żydzi, co miało swe uzasadnienie w tym klimacie z powodu niebezpieczeństwa zarażenia się wągrami. Przy tak ograniczonych możliwościach zdobycia jakiegokolwiek mięsiwa, borsuki zyskały sobie prawo obywatelstwa, nie tyle na naszym stole /bo nie mieliśmy stołów!/ ile w naszych garnkach. Pod tym względem mocno weszliśmy w parady biednym, poszkodowanym psom owczarskim!

W tym czasie jeszcze nie jedliśmy /na ogół/ psów. Ale już po roku byłam, niechcący, świadkiem pewnego nieporozumienia; bo usłyszałam taki strzęp rozmowy:

-... Czy lubi pani psy?..-

- Psy?.. Nie! Wciąż jeszcze mi nie smakują, nie mogę się nakłonić...-

Nie. To nie kawał. To fakt.

Wacus i mandolina

... " Musiałem cię zostawić!...
 Pojechać w świat daleki,
 Za lądy, góry, rzeki...
 Może na wieki..."

Usłyszaliśmy obie z Ela. wyszedłszy na próg sieni, ten
 rzewny śpiew.

- Mandolina?-

- Wacus!- zawołaliśmy równocześnie zdziwione i podniecone.

- Ale sensacja!- wyraziłam uznanie.

- Wspaniale!... Słuchaj!- entuzjasmowała się Ela i uolączwiała:

" Już nigdy...

Nie powrócisz, odeszłaś jak sen..

Już nigdy..."

Popłynęła melodia następnego tanga spoza drzwi sąsiedzkich.
 Wacek śpiewał z emfazą, akompaniując sobie rytmicznie na man-
 dolinie.

- Aż nogi same tańczą! Fantastycznie!- zademonstrowała Ela.

- Oj, ba joj! Muzyka!- zachwyciła się Matylczka, wyrastając
 przed nami.

- Ona ma zdolności wyczuwania na odległość, gdzie się coś
 ciekawego dzieje!- stwierdziłam obiektywnie.

Ale Matylczka już wpadła w rytm i starała się podchwycić
 i naśladować kroki Eli:

- Nauczcie mnie tańczyć! Moje złote! Nauczcie!...-

- Nie umiesz?...-

- Nie! Ta, gdzie? Ta, skąd? Ta, Kiedy?...- wyliczała żałośli-
 wie.

- No, tak: ma dopiero czternaście lat...-uzmysłowiłam sobie.

- O, popatrz: to tak...- zaczęła Ela, ale właśnie w tejże
 chwili otworzyły się drzwi, w których zjawił się Bolek, więc
 obie przystanąły w miejscu.

- Bolek! Skąd Wacek ma tę mandolinę?- zapytała Ela.

- Ta, pożyczyl od "Ruska"-

- Na długo?-zainteresowała się Matylczka niecałkiem bezin-
 teresownie.

- Ta, czy ja wiem? Jak się da...-

... "Bo zawsze będzie czegoś ci brak..." rozśpiewał
 się melodyjny angielski walc, zwany też bostonem

- Rozumu!- odpowiedział Bolek, zadowolony z dowcipu.

"- W samotności

Będzie ktoś ci

Się śnił..."-

Wacek nie przerywając grania starał na progach gestem zapraszającym wskazywać nam drzwi do izby.

- Nie, nie! Dziękujemy...-

- Nie, my tutaj...-

- Proszę zamknąć! Zimno tam będzie...- mówiliśmy wszystkie razem, nie chcąc tam robić zamieszania i zwiększać ciasnoty swoich przyjaciół.

- Waciuś! Ubierz się lepiej!...-

- Mama cię woła!- zauważył Bolek.

Wacek wrócił do izby, ale koncertu nie przerwał. Wygrywał cały repertuar przedwojennych przebojów i wyśpiewywał wszystkie wspomnienia i tęsknoty, przygrywając sobie na mandolinie, jakgdyby się bał, że mu ją zaraz odbiorą i dużo piosenek zostanie niewyśpiewanych jeszcze.

" - A mnie jest szkoda lata

I letnich, złotych wspomnień..."

Przyneśli kolejno polskie piosenki, zapełniając zapadający wieczór stepowy jakąś rzewną tęsknotą za naszym dalekim, nierealnym światem i złotymi wspomnieniami, zda się: z innej epoki.

Roboty na drutach

Cesia przyniosła wiadomość na nasz próg:

- Pani Jadwiga i panna Mila spruły stary swetr i robią z tego kamizelki-bezrękawniki dla chłopaków.-

- Szydełkiem? Ja też umiem... zaczęła Ela.

- Nie, na drutach. Mówią, że na to wychodzi mniej włóczki.-

- A skąd mają te druty?- dochodziłam.

- Jedną parę pani Jadwiga miała w swoich rzeczach. Drugą pożyczyła...-

- Ojej! Jakby ja chciała umieć... Pamiętam, jak się robi oczka prawe, ale tylko tyle...- wyznałam.

- Chłopcy są uszczęśliwieni.-

- Pewnie. Będzie im cieplej.-

Obie panie śpieszyły się z robotą i w dość krótkim czasie Kozik i bracia Bokotuta mogli nam zademonstrować swe nowe

bezrękwawiki.

- Wspaniałe: w warkocze!- przyglądałam się z podziwem, marząc o podobnych umiejętnościach, na które nie miałam nadziei.

- **Uraśnie!** **Mila** śmiała się, że większość dziewcząt zrezygnowała ze swych warkoczy, bo przy takim braku mydła lepiej mieć włosy krótkie, za to chłopcy będą mieli warkocze!- cieszył się Kazio.

- To bardzo skomplikowany wzór...- oglądała Ela.

- Nie taki trudny, jak się wydaje, tylko trzeba jakieś oczka przekładać na patyczek- informowała nas Cesia, która przyglądała się robotcie.

- Będę się musiała tego nauczyć! Ze mnie zawsze był zmarzluch, a teraz, to już do ikstej potęgi! Powinnam sobie zrobić dużo ciepłych swetrów i nosić po kilka na raz!- rozmarzyłam się na głos.

- Ta, na takiej zasadzie, to ja powinienem nauczyć się robić świetne kotlety, bo ze mnie wciąż taki żarłok, że mógłbym zjeść więcej kotletów na raz, niż ty byś mogła włożyć na siebie tych swetrów!- śmiał się Kazio i my wszyscy do wtóru, jako że wciąż jeszcze umieliśmy się śmiać.

- A wiecie, że w szpitalu Marusia prosiła Milę, aby ją nauczyła robić na drutach, ale nic z tego nie wyszło. Nie dała rady. Za trudne dla niej i zrezygnowała- opowiadał Kazik, dumny ze swej siostry.

- Tak, tutaj nie znajdują się na robotach ręcznych...-

- Niebardzo też jest z czego...-

- Kiedyś dziewczynki ze szkoły wpadły do mnie, gdy Mama coś katała, a ja cerowałam pończochy. I okazało się, że ich matki katają, co się da, ale sztuki cerowania wcale nie znają. Były bardzo przejęte, jak im pokazałam, jak to się robi, z pewnością pochwaliły się matkom, bo bardzo im się podobało to przeplatanie i fakt, że bez kawałka szmatki można pozbyć się dziury! Uważały to wprost za rewelację, że wystarczy mieć same tylko nici- opowiadałam, bo nam się to wydawało dziwne.

- Tak, tylko że i nici trudno tu nabyć...-

- Mówią, że dawniej bywały, ale odkąd są tutaj Polacy...-

- A no, tak. Polacy to nawet oczyścili magazyn ze wszystkich dzieł Stalina!...-

- "Co to za dziwny naród!"- zacytowałyśmy obie z Elą powiedzonko żony sklepikarza i znowu było nam wesoło.

Pszenna kasza

Jakiś Kazach wstąpił z propozycją sprzedania nam pszenicy. Po naradzie i obliczeniach Rodzice zdecydowali się i państwo Wojciechowsy też. Nawet ja nie zadawałam już głupich pytań: czy to na "kawę zbożową?", bo już wiedziałam, że można żywić się pszenicą bez pomocy młyna!

- Pani Nowakowa starsza ma młynek do kawy i mieli pszenicę na kaszę- powiedziała Ela, a ja sobie pomyślałam, że najprawdopodobniej wiem, skąd ją ma...

- A Kazachowie prażą na sucho całe ziarna w czegunach, aby były chrupkie i gryzą takie prażone: "pshan pitaj"-

-- W czegunach to można prażyć, albo w garnku aluminiowym ale nasze, emaliowane, jeszcze by się podpryskiwały. Szkoda garnków- zauważyła Fela.

Poszłam i pożyczyłam młynek, a potem pomagałam Mamie w mieleniu. Kasza pszaenna gotowała się, niestety, dość długo, zanim trochę zmiękła. Podobnie z pszenicą gotowaną w ~~całoci~~ która pożerała jeszcze więcej opału. Smakowała nam, przypominając kutię, lecz mimo tych rozczulających wspomnień częściej staraliśmy się mielić ziarna na kaszę.

- Do głowy czkowiakowi nie przyszło, że tyle sprzętu codziennego użytku tak rzeczywiście ułatwia pracę... Tyle wszystkiego się tam zostawiło!... Jak to mnie zatumanilo, że tak niczego nie brałam i nie pozwoliłam pakować!...- zaczęła Mama, więc pośpiesznie przerwałam:

- Oho! To się nazwa "robaczliwy pacierz", prawda, Mamo?- wyzłośliwiałam się, jak na dobrą córeczkę przystało.

- My też pakowaliśmy się "na chała draża"- włączyła się pani Wiktoria. - Sama pani widzi! To przede wszystkim zależało od tych, którzy przychodzili po nas. Niektórym rodzinom pozwalali zabierać wszystko...-

- Oprócz mebli...-

- Tak, oprócz mebli. A niektórzy pomagali nawet pakować: milicjant i żołnierz, tylko sam enkawudzista spisywał protokół-

- Czasem się trafili dość ludzcy, przeważnie, gdy zabierali matki z małymi dziećmi...- dodała Fela. - Jak na przykład pani Ani Nowakowej pomogli zapakować dosłownie wszystko, z wyjątkiem mebli. Zrobili wszystko, co mogli w tej sytuacji zrobić. Wiedzieli, co nas tutaj czeka...-

- Tak samo pomagał pani Kierstenbaum też z dwójką maluchów-

- I pani Nowakowej starszej pomagali, choć dzieci ma już większe i pani Bokotowej pozwolili wszystko zabierać...-

- Nawet materace i dywan...-

- A Cesię zabierali samą jedną i na dwie walizki załadowali jedną samymi książkami! Ani to do ubrania, ani do sprzedania!.. A to przecież dziecko!...-

- Oni sami byli zaskoczeni, że mają zabrać dziecko samo...?

- Nam też nie dali czasu na to całe pakowanie... I tak praca całego życia została nam odebrana...- westchnęła matka Feli i Eli- Oby tylko to życie jeszcze jakos uratować... Żal będzie leżeć w obcej ziemi...- dokończyła cicho.

- To prawda, ale nie można się poddawać. Teraz tak najgorzej, bo zima... I te paczki tak długo idą, od dawna już są w drodze... Z wiosną już nie będzie aż tak ciężko...- Mama usiłowała pocieszyć chorą, a może też wmówić sama sobie to, w co chciałyby wierzyć.

- A pani Nowakowa smaży placki z kaszy pszennej, zmieszanej z ziemniakami. Na tłuszczy z borsuka. Mówi, że smakuja, jak sznycle z mięsa! - meldowałam.

- To musi być ugotowaną kasza...-

- Tak, a ziemniaki mogą być gotowane, albo surowe, potarte-
-Trzeba będzie kiedyś spróbować- zgodziła się Mama.

- Owszem: kiedyś, jak już będzie trochę więcej opału- Fela myślała praktycznie, konkretami.

Ciocia Iza czasem przystanęła przed naszym progiem, zamieniła parę zdań i wracała do swej izby z Dreifu rami, panią Jaworską i nie pamiętam już, kto tam mieszkał z nimi. Czasem zanosila coś tam w kubeczku, czasem jakieś podplomyki i zwykle było mi wstyd i przykro, bo podejrzewałam, że przypuszcza, że nam się wiedzie nieco lepiej, a tylko nie chcemy się dzielić.

Sama borykała się ze swym losem, dumna i nieugięta, a tak bardzo samotna. Cała ta nasza nędza, zamiast bardziej zbliżyć brata z siostrą, jeszcze bardziej ich oddaliła od siebie. A ja, która powinnam ze wszystkich sił starać się załagodzić wzajemne pretensje, stałam się sama osobiście dodatkową kością niezgody. ..Że też nie doszłam wtedy do takich wniosków!.. Nie dorosłam do nich... A szkoda...

Iza

Kiedys na poczcie spotkałyśmy Izę. To było w tym okresie, gdy nam przez dwa tygodnie brakowało opału. Zapraszane przez Izę wielokrotnie, tym razem zostaliśmy obie z Elą wprost z poczty przez nią porwane:

- Taki mroź obłądny! Musicie wstąpić i zagrzać się trochę! Nawet nie widziałyście, jak my mieszkamy! - trzepała po drodze, a było bardzo blisko.

W izbie zastałyśmy matkę Izy. Pod kuchnią trzaskał ogień, a na blasze piekły się placki. Izba nieduża, po jednym łóżku pod każdą ścianą, w kącie, pod ścianą, piec kuchenny. Na środku stół, przysunięty do jednego łóżka, a przy stole dwa krzesła. Aż tyle mebli! Jak u ludzi... W naszych kwaterach ani stołu, ani krzesła, czy stołka, a pryncze należały do rzadkości. Przeważnie były tylko legowiska na glinie, gdzie niegdzie urządzone na dywanie i na tym się siedziało, albo na jakimś, czy koszu, jeśli kto miał.

Care to wyposażenie i izba należały do nieruchomości biura solchozu, a pani Czupkiewiczowa korzystała z tego, jako sprzątaczką biura. Izdebka pełniła zasadniczo funkcję "Izoy gościnnej" dla dygnitarzy przyjeżdżających służbowo do solchozu, bo to była ferma centralna. Tak więc ten niby dwuosobowy raj na ziemi miał swoją wysoką cenę. Wyłożono to sprzątaczkę jasno:

- Izba jest "kazionna" i łóżka też. Są dwa? Są. Jedno może być dla was, z córką, a drugie jest dla przyjezdnych gości. A jak się wam nie podoba, to się gdzieś przenieście do baraku, do polskich rodzin. - Sprawa wyjaśniona i zaratwiona.

To była raczej pusta teoria, bo przepełnienie i ciasnota panowały w każdej "polskiej kwaterze".

Gdy Iza nas przyprowadziła, właśnie ktoś z tych przedstawieli władzy opuścił już to służbowe łóżko po kilkudniowym pobycie i pozostawił trochę prowiantu: mąkę i masło!

Poczęstowano nas plackami. Wzięłyśmy po jednym, a Iza, wbrew naszym protestom, posmarowała je masłem. Ja nigdy nie używałam dużo tłuszczu i chociaż masło było rzadkim rarytasem, zdołałam wytłumaczyć, że posmarowała mi zbyt hojnie, a widząc, że Ela nie pogardzi, nadmiar masła przełożyłam na jej placek. Co ze uszczelnianiem ucieka: gorący placek z masłem!

Byłyśmy przekonane, że Iza, ani jej matka, nie orientują się, do jakiego stopnia i od jak dawna bylvśmy wygłodzone. Nie dałyśmy się jednak namówić na repetę. A potem, zapraszane stale, nie zdecydowałyśmy się na ponowne odwiedzenie, w obawie, aby nikt nie pomyślał, że przychodzimy się tam najeść. Co prawda z żalem rezygnowałyśmy z okazji zagrzania się w ciepłej i zacisznej izbie, gdzie można wygodnie siedzieć na krześle!

Potem przy tym stole zadomowił się klub brydżystów, czyli chłopców z kursu traktorzystów, przeważnie z drugiej fermy w Łaj-Bukaku.

A później, później, dochodziły do nas różne plotki na temat mieszkanek słuźbówki. Plotek nigdy nie lubiłam. Izie z matką pamiętam, że nas nakarmiły i ogrzały w tak trudnym okresie, a uczynek ten był, doprawdy, i miłosierny i bezinteresowny. Niech im to będzie policzone!...

.Matyldzia

Innym razem, też w bardzo trudnej i krytycznej sytuacji, gdyśmy obie z Elą zostały odepchane, przez silniejszych, od łądy z chlebem, którego dla nas zabrakło, zjawiła się Matyldzia. Przytupując i podskakując, po swojemu, jak zwykle, wołała do mnie, zanim doszła do progu:

- Zawołaj Elę! Zawołaj Elę!-

Automatycznie to uczyniłam, głównie z ciekawości, co za sensację ta Sroka tym razem przynosi.

- Patrzcie! Dostałam dwa placki! Ten jest dla was! Tamtego już nie ma, bo zjadłam!.- i z kieszonki wyciągnęła placuszek, podając nam na otwartej dłoni.

- Matyldziu!...-

- Coś ty?...-

- Musicie wziąć! Jedzcie!-

- Kochana...Dziękujemy!..- była taka roześmiana, szczęśliwa, że nie mogłyśmy odmówić.

- Co do mnie, to mam teraz serce posmarowane masłem i miodem- przyznajam.

- O? A to jak?- dopytywała ofiarodawczyni

- No, wiesz, jak nas odepchnięto od lady i nie dostałyśmy chleba...- zaczęła Ela

- Słyszałam...- szepnęła mała

- To wracając wydziwialiśmy, że to tak." człowiek człowiekowi wilkiem"...- tłumaczyła jej Ela.

- A, widzisz! Jeszcze są ludzie z sercem!...- dodałam ja, a Matyldzia rzuciła się nam na szyję, po kolei, dając dowód uznania, że w całej pełni zrozumieliśmy jej ofiarę. Nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że bez wysiłku zdołałaby zjeść takich placuszków spory talerz, ale wyrzekła się połowy swojej porcji, aby nas swym placuszkiem obdzielić.

Takie było serce tego dziecka.

Lolo i Bolo.

Wacusiowe koncerty na mandolinie umilały od tamtego czasu długie wieczory zimowe. Wypiewywał wszystkie szlagiery z wielkim zapalem, co doceniały głównie słuchaczki zza drzwi: my dwie z Elą, a przy okazji także Cesia, Matyldzia, czasem też *Marysia Schmall* lub *Irenka Nowak*, rzadziej *Danka*, czasem *Kazio Dudek* i obaj *Bokotowie*. W samej kwaterze najchętniej i najzyczliwiej te koncerty przyjmowała pani *Cesia Jakubowska*, a wykonawco, wzięczny za jej aprobatę, występował z coraz bogatszym repertuarem.

My z dziewczętami, na tym swoim progu, gdzie był istny azyl lubiliśmy sobie posłuchać, trochę pośpiewać / głównie Ela/, powspominać, czy pomarzyć. A czasem i potańczyć, po ciemku, u sieni na tym klepisku, gdy już w zimnie ustać było trudno, a nikt nie widział i nie "trzymał za złe"!

Wacusiowe piosenki zastępowały nam radio, czy jakąkolwiek inną muzykę, przynosiły wspomnienia, przenosiły w bezpowrotną przeszłość. Czasem *Kazio Dudek* przylatywał z harmonijką *Jurka Bokoty* i starał się wtórować pieśniom. Śmiałyśmy się z Elą, że to jest nasze życie towarzyskie.

Z naszej kwatery Eli ojciec miał nam to chyba za złe, ale matka była bardziej tolerancyjna:

- Ta, czego im bronić? Że tam sobie posłuchają, pośpiewają, pośmieją się?... Bogu dzięki i za to...- tłumaczyła. - Kto-

że to, a jaka to ta ich młodość?...-wzdychała ze smutkiem.

- E, dosyć tej pustoty! Lepiej by tu przyszły już na Godzinki!- demerwował się organista.

- Boże, wybacz mi: tylko nie Godzinki! Błagam!..- modliłam się pobożnie w duchu.- Wszystkie pieśni, litanie, byle nie te Godzinki, to taka pokuta...- Najczęściej jednak widocznie na tę pokutę zasługiwałam i byłam zmuszona ją odprawiać...

Gdyśmy tak sterczały w tych drzewach, nieraz mijali nas sąsiedzi: zamaszysta i zawsze energiczna pani Sochacka, żona policjanta, starszy jej syn, ten wojowniczy Józko, którego zapędzono do pracy w traktornym parku i Bolek, chyba dwudziestoletni, obaj z wykształceniem ograniczonym do szkoły powszechnej.

Pani Kublinowa z Kłackiem i pani Cesia Jakubowska, to była inteligencja. Był tam też Lolo, szwagier pani Cesi, znacznie starszy od Sochackich. Całkowicie niesamodzielny, bez odrobiny energii.

Lolo miał wielki i długi, barani kożuch, szubę pamiętającą lepsze czasy. Nie pamiętam, czy gdzieś pracował tej zimy. Raczej nie. Pamiętam tylko, że pani Cesia miała z nim mnóstwo problemów. Najgłówniejszy to jego higiena osobista.

Nikt nie grzeszył przesadną czystością: zima, mróz, brak miednicy, wody, opału, mydła, były tam wielkim utrudnieniem. Oni przynajmniej mieli wiadra, ale chyba niewiele poza tym.

Nikt jednak nie pozwalał sobie przynajmniej na zaniedbywanie przeglądu garderoby, co dzień i wyczesywania włosów, czytności absolutnie niezbędnych, dla stałego pozbywania się insektów, skoro brak było wszelakich środków tępiących je. Narażeni na stłoczenie w kolejkach musieliśmy się liczyć z tymi konsekwencjami, jakie z nich wypływały.

Nikt nie zaniedbywał samokontroli, z wyjątkiem Lolo. Brzydził się. Nie umiał sobie dać z tym rady. A już tragicznym siedliskiem stał się jego kożuch.

Nieraz niechcący słyszałyśmy przez drzwi głośne strofowanie niemożliwego, biednego Lolo, przez jego udręczoną bratową. Usiłowała daremnie namówić go do oddania jej swej bielizny do prania, do mycia się i przebrania, w czym donośny głos pani Sochackiej gorąco ją popierał.

A my obie z Elą, w charakterze mimowolnych świadków uczestniczące w dyskusji, jako słuchaczki, za drzwiami, zaczęłyśmy "pod Fredrę" układać satyrę:

" Lolo i Bolo w jednym stali domu.
 Szwagierka z Lolem, a rodzina z Bolem.
 Bolo spokojny, nie wadził nikomu.
 Lolo w kożuchu miał istną hodowlę..."

Nie pamiętam, czy istniał jakiś ciąg dalszy tego poematu ale pamiętam, że dalsze losy kożucha zatruwały nam życie. Na noc bowiem wyrzucano kożuch z izby do sieni, aby mróz uśmiercił całą hodowlę. Niebardzo wierzyliśmy w skuteczność tego działania i obawialiśmy się, że udzieli nam się coś z tego bogactwa Lola. Chyba jednak to nas nie spotkało.

- Przecież ten kożuch może mu ktoś ukraść!- martwiłam się, niezależnie od wszystkich wstrętów.

- Eee! kto by tam to chciał?- powątpiewał Bolek.

- Jeszcze się przeziębii i dostanie zapalenia płuc!..-.

- Takiego, to i licho nie weźmie!- usłyszałam.

Tymczasem przeziębiała się pani Cesia. Gorzej: złapała grypę, która strasznie ścięła ją z nóg. Wychudła, żółkła, postarzała się momentalnie. Gdy ją zobaczyłam po chorobie, już tym razem nie zaśmiewałam się, że mnie nabiera, przyznając się do swoich pięćdziesięciu trzech lat, podczas gdy dawałam jej trzydzieście pięć, bo nie mogłam uwierzyć, że ma więcej. Jedna grypa i z miejsca tych kilkanaście lat już delikwentce przybyło. Chorowanie w takich warunkach było niebezpieczne.

Pranie i góry pieprzowe

Kiedy Ojcu udało się ściągnąć z cmentarza trochę gałęzi na opał, Mama, uszczęśliwiona, postanowiła zrobić pranie.

- Pójdź, może tam któraś pani Nowakowa może pożyczyć miednicę!- zwróciła się do mnie.

- Tak, będzie miednica wolna za jakąś godzinę- przyszłam z odpowiedzią.

- Doskonale! Akurat mi się woda zagrzeje przez ten czas.

- Świetnie! Przyniosę!.-

Pożyczyłam wiadro wody od pani Sochackiej. Wodą napełniłyśmy wszystkie nasze garnki i do pożyczonych od pani Wojciechowskiej. Potem poszłam z wiadrem, po ubitym śniegu i peżnę zwróciłam właścicielce.

Gdy już była miednica i gorąca woda, najpierw Mama wykorzystwała to na kąpiel po kawałku. Potem w tej wodzie moczyła się nasza bielizna. Oczywiście osobista. Pościelowej nie

mieliśmy: przejedliśmy ją dawno, co do ostatecznej sztuki, bo nie było tego zbyt wiele, raczej żałośliwie mało!

Następnie banieczką litrową i butelką naniosałam wodę do uzupełnienia i napełnienia pustych naczyń. Gdy już nawet banieczka była pełna, jeszcze wyszłam z samą butelką, chociaż Mama zapewniała, że to nie jest konieczne.

- To już będzie na zapas, abym nie musiała iść zaraz po kąpieli! - cieszyłam się, oczywiście.

Urucając, pociągnęłam się, butelka wysunęła mi się z ręki i stukła się, na udeptanym śniegu. Zła na siebie i zmartwiłona taką stratą, skruszona-przyznałam się do niej.

- Trudno... A nie skaleczyłaś się? - Mama rzuciła badawczym okiem, aż się zawstydzłam. - Kąp się prędko, bo w tej wodzie upiorę resztę... - dorzuciła. - I jeszcze płukanie... -

Miednicę postawiłam na paczce po naczyniach, a pseudoparawan jeszcze wisiał po kąpieli Maminej.

Pranie Mama brała na swoje ręce:

- Ty byś wyszastała całe mydło od razu! A to trzeba najoszczędniej! Takie cenne... - dowodziła.

Okropne, gliniaste, wojenne, czarne mydło. o zapachu raczej cuchnącym... Najgorzej było z płukaniem włosów, do których się przylepiało i nie dawało się spłukiwać. Octu nie było. Żółtka, jeśli się zdarzyły jajka, też bym nie poświęciła na włosy!. Jedno jajko stanowiło podstawę klusek na kilka dni, gdy się już trafiło. Nawet do placków, jakichkolwiek, było szkoda jajka, bo się można było bez niego obejść, a placki się trzymały. A czasem po prostu gotowało się jajko na twardo, potem dzieliło na ilość osób i to było osobne danie pod nazwą: " jajko, jako takie"!

Poważnym utrudnieniem przy praniu była konieczność wylewania wody. Jeśli nie udało się pożyczyć wiadra na brudną wodę, trzeba było wynosić ją w miednicy, czyli otwierać szeroko ~~drzwi~~ drzwi, a potem nieść dość dużą miednicę wody, spory kawałek, aby chlusnąć nie przed samym progiem. ^{Widzieć}

Po jakimś czasie jednak coraz częściej rezygnowali z wylewania brudów dalej. Było ślisko, bardzo mroźnie i nie wszyscy wynosili brudną wodę na odpowiednią odległość od haraku. Zaczęto wylewać byle gdzie. Wzdłuż ścian baraku już po pierwszych obfitych opadach zostało w śniegu wykopane głębokie

przejsście, długie, jak korytarz, udeptane i stale udeptywane, zamarznięte. Wzdłuż tego korytarza ciągnął się równolegle do baraku, wysoki wał masy śniegu, podwyższony o te dosypane ilości śniegu, odgarnianego przy przekonywaniu przejścia.

Na ten wał śnieżny, w pierwszych dniach tak czysty, że brało się stamtąd śnieg na wodę, teraz zaczęto wylewać brudną wodę, która zamarzając zmieniała śnieg w długą, brudną hałdę.

- To urąga wszelakim zasadom higieny, estetyki i bezpieczeństwa pod względem zdrowotnym...- zamartwiałam się, bezsilna, bo już nawet interwencje obojga medyków, popierane głosami rozsądniejszych pań, nie odnosiły skutku.

- Co to za dziwny naród!- nie dosyć, że ustępu już nie ma to jeszcze pod progiem buduje sobie istny bastion przyszłej zarazy!- lamentowałam- Samo zdrowie!- dodałam z sarkazmem.

- Istne góry pieprzowe!- skonstatowała Ela. - A wiesz, z tymi Górami Pieprzowymi, to ja miałam taki ambaras!- przypomniało się jej.- Otóż zdawałam większą partią geografii i choć nauczycielka koniecznie chciała mnie na czymś zagiąć, jakos brnęłam z powodzeniem i już cieszyłam się, że będzie musiało mi dać dobrą ocenę. Pytałam o wszystko szczegółowo i widać było, że irytowała się o to, że umiem....-

- Zagięła sobie parol na ciebie?...-

- Właśnie! I na koniec słodziutkim głosem odezwała się: "No, nieźle, nieźle! Jeszcze tylko powiedz mi, gdzie są Góry Pieprzowe?". "Tam, gdzie pieprz rośnie" strzeliłam bez wahania i wróciłam na swoje miejsce!-

- No, i co? Co ci postawiła?-

- Ta, dała mi w końcu to "dobre", ale wtedy, to ją zamurowało!- śmiała się Ela.

- Teraz, to byś powiedziała raczej, że tam, gdzie śnieg rośnie i to bynajmniej nie śnieżnej bieli!...- śmiałyśm się, ale już wspomnienie szkoły, utraconej, ba, utraconej młodości, szarpnęło tęsknotą za sercem.

-... "Ni srebro, mi zfoto,

To nic, chodzi o to,

By młodym być!...

I więcej nic!...- zaczęła Ela, a za drzwiami Wacusi z mandoliną podchwycił, by zapoczątkować wieczorny koncert.

Niech nie trochę przestygnie

- Bardzo lubię Cesię, tylko po co ona mówi, że jest głodna? - powiedziała Ela, od której nigdy tego nie słyszałam.

- Przecież to jeszcze dziecko! Ma dopiero ~~czternaście~~ lat! Tak jak i Matyldzia, i Dynia Schmallówna i Jurek Bokota. Tylko, że oni wszyscy mają matki... - przypominałam, bo Cesia była tak poważna i tak z nami żyła, że często nie odczuwałyśmy tej różnicy wieku.

- No, tak, masz rację, to prawda... - zgodziła się.

- Poza tym sierota i tutaj tak bardzo sama! Na szczęście, że opiekowali się nią Dudkowie i pani Bokotowa, ale pomyśl: Bokocięki są z matką, Kazio ze starszym rodzeństwem, a Cesia nie ma nikogo bliskiego, a to już co innego. Oni są dla niej dobrzy, ale kochają przede wszystkim swoje dzieci, te ich wzruszają najbardziej. To Cesia musi odczuwać. Jest inteligentna i bardzo wrażliwa... -

- Słusznie, masz rację. Prawdę mówiąc, Cesia jest bardzo dzielna, stara się pomagać w domu i do spółdzielni wciąż chodzi, żeby zdobyć kiedyś chleb i w Nowotrojsku bywała... -

- Biedna mała! Do tego, nie dość, że tęskni za swoją rodziną, to jeszcze przecież tak się zamartwia losem ojca, który musi się tam gdzieś ukrywać... -

- Tak, jak nasz Guścio... -

Guścio, jedyny brat Eli, która miała oprócz niego trzy siostry, po ukończeniu seminarium nauczycielskiego / odpowiednik późniejszego liceum pedagogicznego/, nie otrzymawszy posady nauczycielskiej, wstąpił do Szkoły Policyjnej w Mostach Wielkich i został policjantem. To stało się przyczyną wywiezienia jego rodziców i sióstr na zesłanie. /

Rozmawialiśmy sobie na progu, a tu zawołano nas do izby:

- Placki już się upiekły. Jedzcie, póki gorące! - doradzała Fela. Tak nasi współlokatorowie, jak i my, mieli w onym czasie po jednym podpiomyku na osobę. Dmuchałyśmy, na gorące, grzejąc rękę, rade delektować się pulchnymi od sody, plackami.

Tylko pani Wiktoria, siedząca skulona na swej ławie, podniosła się i położyła swój placuszek wysoko, na przypiecku.

- Niech trochę przestygnie... Aby mi nie zaszkodził... - tłu-

maczyła Feli, w odpowiedzi na jej pytające spojrzenie.

Nasi Ojciec też trzymali po placuku, gdy przyszli.

A później trafiła się taka chwila, że ani Feli, ani ich Ojca nie było w izbie i Pani Wiktoria sięgnęła po ten swój placuszek :

- Chodźno, tu, Elziu! Chodź! Weź ten placek, bo ja nie mogę Boję się, że mi zaszkodzi...-

- Nie, nie zaszkodzi! Musi Mama zjeść!...-

- Nie mogę, źle się czuję... Weź! Ty taka młoda, tobie teraz najwięcej trzeba...- przekonywała swą najmłodszą latorośl

- Nie, nie! Mama sama zje! Proszę! Tylko tyle przecież mam na dzisiaj!... Mama sama!...- broniła się Ela.

- No, to chociaż kawałek weź! O, ten!- namawiała ją matka- Wiesz, ja mam wciąż te bóle... nie mogę więcej...-

Rozplakaly się obie, dzieląc tym placuszkiem- podpłomykiem.

Podobna historia powtórzyła się parę razy. Ale kiedyś niespodziewanie nadszedł na taką scenę pan Wojciechowski i zorientował się w sytuacji.

- Ojej!- wystraszyła się:- Taka wyspa! Będzie chyba awantura...- strasznie mi się zrobiło żal i jednej i drugiej.

Tymczasem... nic! Ani słowa. Jak gdyby nigdy nic! Tylko : Godzinki!...

- No, Bogu dzięki!- odetchnęłam- Niech już będą Godzinki!..

Przez dłuższy czas po tym wydarzeniu nasi współmieszkańcy żywili się tylko kartoflanką. Łysą/ tak nazywała się, skomponowana z kartofli, wody i ewentualnie z dodatkiem soli/ A potem znowu gdzieś ktoś zdobył trochę mąki, więc nie było zupy, tylko te podpłomyki. Fela znów upiekła cztery i rozdała je wszystkim, bo i ojciec był w domu. Nie zwracał najmniejszej uwagi, że żona odłożyła swój placek na przypiecek, "aby się ostudził".

Ale potem, gdy żadnej z córek nie było w domu, sięgnął ręką na ten przypiecek!

- Zostaw mi! Teraz nie mogę, ja to zjem trochę później!- zaproponowała żona, przekonana, że chce jej podać, aby zjadła.

- Ale? Przecież nie będziesz jadła! Mówiłaś sama, że ci szkodzi!- stwierdził z całym przekonaniem, biorąc placek sobie.

- Nie, nie! Ja go zjem! Zjem z pewnością!- protestowała gorąco.

- No, to wezmę pói! Na pewno nie dasz rady więcej!...-

- Człowieku! Przecież ty pójdiesz do szpitala, dostaniesz tam trochę zupy...-

- Albo i nie...- odpowiedział, zjadając połowę placuszka i pilnując, aby żona zjadła przy nim swoją uszczuploną porcję. Moją Boże! Mój Boże!- myślałam kompletnie wytrącona z równowagi, będąc mimowolnym świadkiem tej rodzinnej sceny. Nie zwracano na mnie uwagi, może dlatego, że siedziałam nad otwartą książką. Patrzyłam w nią i nie rozumiałam po polsku. Nie rozumiałam chyba już wcale nic z tego, co się może na tym świecie wyprawiać... Do jakiej desperacji może człowieka doprowadzić głód?... Do jakiego poświęcenia zdolne jest serce Matki...

Życie w hańbie

Kiedyś rozdzielono w spółdzielni chleb bardzo szybko i zapewniono, że jeszcze w tym dniu będzie nowa dostawa, bo piekarz piecze.

Mróz był tęgi, wiatr szczególnie dokuczliwy i z żalem ociągaliśmy się obie z Elą, gdy Gruby Mielnikow zamykał, zgrabione koniecznością ponownej wyprawy do sklepu.

Zauważyła nas pani Maria.:

- I co? Chyba nie będziecie tu stały na tym wietrze?-

- Chyba nie... Zbyt zimno... A szkoda, bo gdybyśmy mogły tu poczekać, jako pierwsze w kolejce, zdobyłybyśmy ten chleb...-

- Trudno, trzeba będzie jeszcze raz przyjść...-

Ludzie porozbiegali się, nikt nie decydował się na czekanie w taką pogodę, pod sklepem.

- Wiecie co? Możemy zaglądnąć do piekarni. Przynajmniej się dowiemy, kiedy będzie chleb i jak dużo, jakie są szanse...- zaproponowała pani Maria.

- Ba! Jeśli nam piekarz powie!- wtrąciła Ela,

- Mnie powie. - pani Maria nie miała takich wątpliwości.

- Za godzinę dostarczę- powiedział piekarz.

- No, to może poczekacie u mnie? To już tutaj- wskazała na lepiankę w pobliżu.

- Dziękujemy. Poczekamy u pani.-zadecydowała Ela, za co byłam jej wdzięczna, bo ze swoim spóźnionym refleksem pewnie nie zdążyłabym się namyślić przez Tę całą godzinę.

Lepiarka miała malutką sionkę i izbę mieszkalną z piecem kuchennym. W izbie były meble: dwa łóżka, stół normalny, to znaczy wysoki, jak u Rosjan i przy nim stołek. Z waliz i walizek pani Marii ustawiona niby-komoda, na niej serwetka oraz album.

- Album? Z fotografiami?- zdziwiła się Ela.

- Tak. Pokażę, ale zdejmijcie płaszcze, bo się potem poprzyziębicie. Tu już się dzisiaj paliło i znów podłożę- co zaraz zrobiła.

- To jest nasza rodzinka, proszę- zaczęła.- Moja matka, mój mąż, nasz synek i ja...- pokazywała nam gospodyni.

- Gdzie są teraz?-

- Mąż siedzi. Oficer policji. Synka odesłałam matce, kiedy po mnie przyszli. A ja... muszę przeżyć! I wrócić do nich!...

Oglądałyśmy w milczeniu.

- Widzicie. Mój mąż, to najlepszy, najzacniejszy człowiek na świecie. Jak go zabierali, to nie martwił się o siebie... Tylko myślał o mnie: "Musisz przeżyć! Pamiętaj! Musisz za wszelką cenę przeżyć! Zobaczysz, że wrócę!"- ... i rozplakała się.

Było nam głupio. Nie wiedzieliśmy co mamy, co możemy na to powiedzieć, nawet nie spojrzaliśmy jedna na drugą. Oglądałyśmy ten album. Oto świadek zwykłego, małego, rodzinnego szczęścia, pełen uśmiechów i wspomnień. Mało kto ma ze sobą taki własny skarb... Ileż ta wojna zniszczyła! Ileż krzywd przyniosła ludziom...

- Wiedziałam, że sama nie utrzymam się i nie zarobię na życie.. Co ja mam?... Tych parę waliz i zdrowie całkiem do niczego. Przez ostatnie lata chorowałam, dlatego mąż tak się boi o moje życie.. Jak mi ten Kazach zaproponował, abym została jego gospodynią, to rozumiałam, że to moja szansa na przeżycie. Jedyna. .. Bo tyle, to ja mogę: gotuję, piorę, sprzątam, szyję, chodzę po chleb i mleko...-

- No, tak... ale...-

- Ale teraz to już mnie nikt nie czepia do tej harówki nad siły, już mi dali spokój, raz na zawsze! Mam żywność i ciepły kąt, nie pozbawiam się swojej odzieży... Co można więcej?...-

- Ale ludzie? Nasi ludzie...-

- Nasi ludzie sami między sobą też rozmaicie postępują! Nie jedno się skyszy... Mnie się zdaje, że ja po prostu zdecydowa-

Tam się na mniejsze zło, aby uratować życie... Boję się, że niejedna z pań będzie gotowa zdecydować się na coś podobnego, gdy już okaże się to za późno!...-

- Tak nie można mówić...-

- Możliwe, ale może się tak zdarzyć...-

- Ciężko pani tak samotnej. Wszyscy się odsunęli...-

- Tego się spodziewałam i nikomu się nie narzucam... Tu siedzę spokojnie i cicho gospodaruję. Człowiek spokojny, umie docenić, że dbam o ten dom i o niego. Ta lepianka też już całkiem inaczej teraz wygląda, od kiedy tutaj jestem. On zresztą też się stara, jak może... Wiele rozumie..Kiedy doczekamy powrotu, to wrócę...-

- A mąż?...-

- Mój mąż wróci do mnie. My się bardzo kochamy. Poprzez czas i niewolę. Tego nic nie zmieni, ja wiem. On zrozumie. Uszanuje moją ofiarę. Wiem. To cała moja nadzieja. Przeżyję to całe zesłanie i dla męża i dla synka i dla matki... W końcu to jest moja najbardziej osobista sprawa, w jaki sposób. Nie robiłam nikomu nic złego. Nikomu nie odebrałam męża. Nikogo tym nie skrzywdziłam. Robię wszystko, aby tutaj utrzymać spokój, nikomu wody nie mącę, do nikogo się nie mieszam... Nie proponuję nawet nikomu pomocy, bo od wzgardzonej nikt nie przyjmie... To wszystko...-

Wracałyśmy z chlebem. I z bardzo ciężkim sercem. Jakie to życie jest trudne... Jakie to szczęście mieć Rodziców, rodzinę, być z kimś razem. Jak ciężko być dorosłą, odpowiedzialność ponosić osobiście za każdy swój krok. Także za ten krok fałszywy. Gdzie jest ta granica, której przekroczyć nie wolno? Czy tylko wyznaczona Dekalogiem?..

- Wiesz, uczono nas, co dobre, a co złe. Białe i czarne. Godne pochwały i zasługujące na potępienie...-

- Potępiasz?...-

- A czy mam prawo?...-

- Inaczej : Czy postąpiłabyś tak? W takiej sytuacji?...-

- Nie. Mam nadzieję, że nie. Co na to powiedziałyby kiedyś jej mały, kochany synek, gdy dorośnie?...-

Dyskutowałyśmy nad problemami życia "za wszelką cenę" Za cenę hańby. I czy to jest czyjaś prywatna sprawa, na obczyźnie?... Głowa pękała od takich ciężkich myśli.

Życie w strachu

- Przypomniała mi się koleżanka na sianokosach. To było w pierwszych dniach mojego pobytu, gdy praca i symboliczna porcja wypoczynku jeszcze nie zdołały mnie ściąć z nóg.

- Mam prośbę do ciebie. Bardzo poważną i strasznie ważną - złapała mnie gdzieś na uboczu.

- Proszę, mów - zachęciłam.

- Ale to tajemnica... Przyrzekasz?..-

- Przyrzekam. Śmiało!-

- Masz przyjaciółkę w Lwowie...-

- Tak. Mam.-

- No, właśnie. Poproś ją, aby księdza na spowiedzi zapytała w moim imieniu, czy Pan Bóg naprawdę potępi kogoś za samobójstwo...-

- Jezus, Maria!...- Jęknęłam.

- Czekaj!.. Czy może potępić, jeżeli ktoś nie ma naprawdę innego wyjścia?...-

- Ależ, moja kochano! Zawsze musi być jakieś wyjście! Przecież "Nie zabijaj!" Samobójstwo to zabicie siebie! Nie ma już potem czasu, ani na pokutę ani na zadośćuczynienie. Nie wolno! Coś ty?...-

Rozplakała się.

- Co ci się stało? Teraz to już musisz mi powiedzieć! Sama zaczęłaś, a ja umieram z niepokoju. Proszę cię! Musimy coś poradzić: co dwie głowy, to nie jedna!-

Biedula nie mogła się opanować i uspokoić. Drętwiałam z obawy, gubiąc się w domysłach. Wreszcie opowiedziała:

- Wtedy, w nocy, gdy się popili kumysem, jeden Kazach złapał mnie i pocałował...- Rozszlochała się, że nie mogła dalej mówić.

- Nic więcej? - przeraziłam się.

- Nie. Ale : w usta!... - nie mogła się uspokoić.

- Kochanie! Nie płacz! Proszę cię! To przecież nie może być powodem do samobójczych myśli! Chyba nie sądzisz, że z tego będzie dziecko?...- musiałam się upewnić, bo już się z takim przypadkiem spotkałam. /Dobrze wychowana panienska opłakiwała haniebną uczynek swego narzeczonego, który pocałował ją podczas balu maturalnego. Serio. Takie były czasy./

- Nie! Nie to! Tylko, że on był taki dśliniony! A z tego może być choroba! Przecież oni prawie wszyscy są wenerykami! I co ja zrobię? Mógł mnie zarazić, bo to przecież przez przez krew, albo przez ślinę.-

- Uspokój się! To bardzo, bardzo rzadko może się tak fatalnie złożyć. Przestań płakać. Posłuchaj! Po pierwsze: nie wiesz, czy faktycznie ten jest chory, bo to przesada, że są wszyscy, bo by powymierali! Po drugie, zastanów się: czy miałś skaleczone usta?-

- Nie! Na to od razu zwróciłam uwagę. I zaraz poleciałam i zmyłam tę ślinę! Taka furia mnie ogarnęła, że go tak odepchnęłam, aż się przewrócił!...-

- Świetnie! Zuch dziewczyna! A, widzisz! Do krwi się nie dostało i do śliny też!-

- No, starałam się!... Ale jeśli zachoruję? I moja rodzina ode mnie się zarazi? I Będziemy tacy nieszczęśliwi, jak ta beznosa dziewczyna, co to jej nos odpadł?!...- znów wpadła w panikę.

- Dziewczyno! Złiżuj się! Przecież sama widzisz, że nic ci nie jest! Strach ma wielkie oczy! Miałabyś gorączkę, gdyoś była chora! Masz gorączkę? A, widzisz! Chociaż z samego strachu mogłabyś gorączkować... Po prostu za wiele o tym myślisz i wyobraźnia ci podsuwa to wszystko. Wiesz co? Najlepiej ją porozmawiam z panną Milą, jak tylko będę w Centrali...-

- Tylko pamiętaj: przyrzekłaś!...-

- Pamiętam. Mam zwyczaj dotrzymywać. To przecież twoja tajemnica... Tak. Wiem. Dlatego z tą prośbą zwróciłam się do ciebie...-

- Słuchaj: co do samobójstwa, to sama wiesz, że to ciężki grzech! I obraza boska. Życie... Życie ludzkie, dane nam od Boga! To największe dobro człowieka, które ma obowiązek jak najlepiej spożytkować. Całe nasze życie jeszcze jest przed nami! Każdy ma swoją część przeznaczoną do spełnienia...-

- Wiem, rozumiem. Dlatego było mi tak strasznie ciężko...-

- A co do tych chorób, to wiem akurat tyle, ile ci powiedziałam. Teraz uważam, że powinniśmy wiedzieć o wiele więcej. Porozmawiam i powiem ci też.-

- Dziękuję ci. Pociężyłaś mnie trochę i już się mniej boję

- Biedula! Wcale o tym nie myśl. Pan Bóg czuwa i mama się modli za ciebie. Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Wyobrażam sobie, jak się

jak się musiałas zapartwić, ile przecierpieć, ale głowę daję, że to nie jest to nieszczęście, którego się bałaś.

Okazało się, że miałam rację i, Bogu dzięki, rozpaczła niepotrzebnie. Bogu dzięki!...

A ja rozważałam: Życie. Życie za wszelką cenę. Cena życia. Cena honoru. I problem samobójstwa, jako ofiary, dla ochrony czyjegoś życia. Strasznie trudne tematy do przemyśleń zdawały się przerastać moje osiemnastoletnie doświadczenie życiowe.

Wyprawa po ser

Parę razy spotkałyśmy na poczcie kogoś z czwartej fermy, z chutoru Dolne. Oprócz państwowego gospodarstwa hodowlanego tuczników, skąd Dolne nazywano też: "świńską fermą", hodowano tam również mleczne krowy i dowiedziałyśmy się, że udawało się tam czasem kupić ser twarogowy, zwany "obrat", wyrabiany z mleka odtłuszczonego przez centryfugę.

Pewnej bardzo mroźnej, ale skonecznej niedzieli wybrałyśmy się we dwie z Elą po taki twaróg. Nie był zbyt drogi, więc wzięłyśmy dość spore płóciennoworeczki, oby kupić nawet i po dwa kilo każda, jeśli tylko się uda.

Trakt był mocno ubity, tą drogą jeździły często sanie, czasem jakaś arba, zaprzężone w woły, wtedy w powszednie dni chodzili ludzie do pracy, w obie strony, a dzieci do szkoły w Centrali.

Szło się po twardym, ubitym śniegu, szlakiem przetartym na tej stepowej płaszczynie; śnieg skrzypiał pod nogami, obłoki pary unosiły się od naszych oddechów, mróz szczypał nas w nosy, kończyny kaczaniały z zimna, ale słońce świeciło na bezchmurnym niebie, a nadzieja rozpromieniała cały ten biały i srebrno-biały świat.

Na Dolnem bez trudu znalazłyśmy w jednej z nielicznych lepianek kwaterę, w której mieszkali Polacy, chwilę sapnęłyśmy, by się ogrzać i zaprowadzone przez Dankę Kijanowską, udałyśmy się do mleczarni, gdzie szczęśliwie sprzedano nam po dwa kilogramy twarogu. Jeszcze był ciepły.

Uradowane, dziękując wszystkim po kolei, ruszyłyśmy w powrotną drogę, a świat wydał nam się czysty i wspaniały, jak tę zdobytą ser. Trochę nawet na początku nabierałyśmy go

ze swych woreczków, ostrożnie, aby nic nie uronić, bo był bardzo kruchy i pokruszony.

- Trzeba trochę zjeść, aby mieć siły na te cztery kilometry z powrotem!...- Śmiała się Ela, że tak tłumaczy się sama przed sobą z tej pokusy.

- Naturalnie! W dodatku trzeba trochę zjeść od razu, póki nam nie zamarznie, bo wtedy nie ma mowy!-

- No, jak byśmy nawet po dobrej garści zjadły, to i tak możemy się rozgrzeszyć!...-

- Oczywiście! Biańko dodaje siły!...-

- Ale ja już więcej nie biorę! Tam czekają.-

- Można to nawet na kilka dni podzielić.-

- Akurat mamy ziemniaki! Ale będzie radość!...-

I tak, rzucając sobie od czasu do czasu jakieś zdanie, zbliżyliśmy się już do Sigisboju, już bowiem było widać budyneczek naszej poczty.

- Ale nam się poszczęściło!- zawołałam, na ten widok.

- Poczekaj jeszcze trochę : "nie mów hop...-

- Dopóki nie przeskoczysz!"- ze śmiechem kończyłam to przysłowie, ale nagle Ela złapała mnie za rękę, aż się przeraziłam: naprzeciw nas zbliżał się jeździec ... na koniu!

- Uprawiajuszczy!...-powiedziała, a usta jej zbladły z wrażenia. - Co robić?-

- Idziemy, jak gdyby nigdy nic!-

- Tak. Nie mamy wyjścia, tylko gdzie ukryć te nasze woreczki z serem?...-

- Za późno!...-

- Niestety!...-

- A wy skąd? A do roboty to nie, a do chodzenia to dobre? A co to niesiecie?- Zsiadł z konia i wyrwał nam z rąk cały skarb!

- My to kupiły!- zawołała Ela.

- A to od kogo? Złodziejki! Będziecie tu kłamać? Jazda z powrotem! Na Dolę! Zobaczymy, jak kupiły!-

- My do domu! To nasze! Kupione!- broniłyśmy się dzielnie.

- A, no, zobaczymy! Jakie wasze? Gdzie kupiły? To wszystko kazionne! Nikt nie może sprzedawać, bo kazionne! I nikt nie sprzedaje! Kłamiecie! To kradzione! Złodzieje! Jazda!- krzyczał, strzelał batem, rzucił nam nasze worki.

Wsiadł na konia i popędzał nas przed sobą. To ten sam człowiek, który w sierpniu usiłował zawrócić nas z drogi, gdy odeszliśmy z pracy na sianokosach. Ten sam, który nas podał "Na proguł"... Teraz, jak się uweźmie, może nas oskarżyć o kradzież, jeśli Rosjanka się wyprze, że nam sprzedała ten ser...- myślałam w popłochu.

- Jaką szkoda, żeśmy tak mało poskubały, co?- szepnęła Ela. - Może jeszcze trochę się uda?- nie traciła głowy.

- Uważaj, bo ten bał jest długi...- ostrzegłam

- Diabli nędal! A byliśmy już prawie w domu...- zirytowała się. - Trzeba nam było się tam nie grzać, może byśmy zdążyły...-

- Wiesz, Tato kiedyś opowiadał, że przekupka zkapotała za rękę złodzieja, gdy kradł jej chleb, narobiła wrzasku, zjawił się policjant, więc ona zostawiła stragan pod czyjąś opieką i poszła z posterunkowym i złodziejem na posterunek, domagać się sprawiedliwości...-

- No, a co to ma wspólnego z nami? Ja cię przepraszam!- Ela straciła cierpliwość do mnie.

- Czeka! W pewnej chwili ten policjant rzucił okiem na złodzieja. Strasznie był wynędzniały, zrobiło mu się żal, więc mu szepnął: "Jedź!" Nie musiał powtarzać! Gdy przyszli na komisariat, straganiarka oskarżyła złodzieja i powołała się na policjanta.

- Prawda to?- zapytał go komisarz.

- Tak. Prawda.-

- A gdzie ten chleb?-

Wtedy złodziej pokazał resztkę piętki :

- Byłem głodny...- I zmniejszono mu karę do minimum.

- To niby my mamy zrobić podobnie? Żudzisz się?...-

- Tego, to ja już nie wiem, ale spróbuję uszoknąć, co się da, bo nie sądzę, aby nam oddał...-

Więc tak niby to rozmawiając, niby nachylając się do siebie, ostrożnie rozwiązałyśmy swe woreczki i po trochę, okruszynami, wykradałyśmy swój własny, kupiony dla całej rodziny ser, kupiony za nasze własne psie grosze, otrzymane za to, że odzież z siebie oddawało się już prawie za darmo! Skubałyśmy, aby się przynajmniej same wzmocnić, skoro nie doniesiemy do domu i czeka nas dodatkowy, prawie podwójnie dodatkowy marsz w taki mróz. Połykałyśmy zamarznięte grudki sera, aby jak najmniej oddać tym, którzy pozbawiwszy nas wszystkiego, co nasze, jeszcze nas gnębią i ubliżają nam od

złodziei!

W mleczarni rozpętała się burza. Uprawlajuszczy wrzeszczał klął po kazachsku i po rosyjsku, najgorszymi słowami, wymyślał i nam i robotnicom od złodziejek, a one jemu, że czepia się niesłusznie, bo nie sprzedawały nam wcale "kazionnego", tylko swój własny przydział, który im się należy, a więc mają ją prawo z nim zrobić, co im się podoba. To im wolno.

Wreszcie wściekły, wyrwał nam nasze worki, wybiegł z nimi, ~~a~~ prosto skierował się do chlewów i tam wysypał całą zawartość obu!

- Świnie kazionne! Obrat Kazionny! Teraz w porządku! A wy - zwrócił się w naszą stronę - jeszcze mnie popaniętacie! - i ~~i~~ i rzucił woreczki w naszą stronę, aśmy obie chwyciły, aby nie upadły na gnój, co miał zamiar zrobić.

- Co za wściekły Kazaczysko! - szepnęła jedna ze zbesztanych pracownic, Rosjanka.

Wracaliśmy po raz drugi tą samą drogą, teraz już bardzo zmęczone i smutne. Zmarznięte na wylot.

- Ale jedno przynajmniej miałyśmy szczęście w tym wszystkim... - ocknęła się Ela po długim milczeniu.

- Czyżby?... - niż mogłam sobie przypomnieć.

- To, że Cesia z nami nie poszła! -

- Faktycznie! Wybierała się, miała taką ochotę!... -

- No, właśnie! I nie puścili jej, że zbyt mroźno, no, a poza tym mają ostatecznie cc jeść... -

- Tak... Pani Jawiga obiecała, że ją puści na drugi raz, a i chłopaki się chcą doczepić... Tylko, że drugiego razu już nie będzie... - razżałam się

- Tymbardziej miałyśmy szczęście, że nasze niepowodzenie ominęło Gesię! A widzisz! To się nazywa szczęście w nie-szczęściu! - pocieszała mnie Elcisa.

- Elcisa! Wiesz co? A ja myślę, że mieć przyjaciela w nie-szczęściu, to największe szczęście. -

Wigilijne plany

Od dłuższego czasu nadchodziły listy z opłatkami. Zbliżały się Święta. Jednak... Tak wielu łudziło się, że nas wcześniej odeślą, skoro się zawiedli na naszej sile roboczej.... Przychodziły kartki świąteczne, z choinkami, szopkami, aby lżej nam było znosić to oderwanie od wiekowych tradycji.

"Poczielmy się opłatkiem białym..." pisał Tadeusz, a wszyscy, przysyłając nam opłatki, dodawali, że będą sercem i myślami przy nas, tak jak my przy nich.

Czy mogli mieć pojęcie, zdawać sobie sprawę z rozmiarów tej naszej tęsknoty!?!...?

- Barszczu nie będzie, bo niby z czego...- zaczęła Fela snuć praktyczne plany.

- A, to nic nie szkodzi!- włączyła się Ela- Może być raz bez barszczu: wystarczy pozostałych jedenaście potraw!- i zaśmiewała się z tego konceptu.

-Ale pierogi można by jakoś zrobić!...- Fela nie zwracała uwagi na żarty siostry.

- Trzeba by zdobyć trochę ziemniaków kartofli...- zamyśliła się pani Wojciechowska.

- No i tę resztę mąki, to ja już odstawię na Święta. Nie można być pewnym, że się jeszcze gdzieś jakąś zdobędzie...-

- A za herbatę? Już nic nie zostało z tej przysłanej herbaty!- dowiadywała się ich matka.

- Zostały trzy łyżki!... Teraz to już prawie nic. Najwyżej dadzą za to pół kłsiejki mąki...-

- Jak strasznie ceny podskoczyły!...-

- To przez tę Jugosławiankę! Gdy dostała paczkę z herbatą: osiem kilo samej herbaty /!/, to obesła cały Tas Bułak i jeszcze nawet była w Nowotrojsku, aby tylko jej wszystko sprzedawać: za herbatę! Nikomu innemu! I podbija cenę!...-

- Na początku za łyżeczkę herbaty była kłsiejka mąki...- westchnęła moja Mama.- Ale mieliśmy tylko jedną paczuszkę herbaty i to dopiero później...-

- No, nie ma co! Od dzisiaj odkładam po jednym kartoflu na wigilię i tę mąkę, co jest, to już schowam. Dobrze?- Fela powracała do rzeczywistości.-

- A my, Mamo? A my też?- pytałam.

- Tak, tak. Też musimy mieć pierogi na wigilię...-

- A żeby tak jeszcze ta cała tutejsza mąka była podobna do mąki! Czarne to, jak ta ziemia...-

- Niechby już była i ta czarna! Aby tylko była!...- wzdychały i pocieszały się nawzajem.

- Ja mam najlepszy pomysł!- zawołała Ela.

- Zamieniam się w słońce.- odłożyłam list.

- Najlepiej my obie, z Alą, bo nam tak dopisuje szczęście,

pójdziemy i kupimy...-

- Co, co?..-

- .. do tych pierogów...-

- No, co kupimy?-

- Ser z obratu!- i wybuchnęła śmiechem, aż wreszcie jej głośna wesołość i nam się udzieliła:

- No, wiesz! Niech to kaczka kopnie! Ale ty masz pomysły!..- i tak niedawny pech został zepchnięty do przeszłości.

Wigilia

Nadeszła wigilia. Pierwsza na zesłaniu.

Zamieć umożliwiła nawet ujrzienie tej pierwszej gwiazdki na niebie.

- Nie ma drzewka, nawet gwiazdy nie świecą, a my tak daleko. Takie to i Święta...- wzdychała Mama

- Ale chociaż przynajmniej my jesteśmy razem...- nadrabiałam miną.

- Nie wiadomo, jak tam Wanda, Dzida...-

- Dobrze, że jest opłatek od nich, Wandzi też wysłali!

I skarpety dla Tata tak pracowicie Mama wycerowała, na imieni-ny...- pocieszałam.

- No i udało się uszparować na te pierogi. Pójdiesz po Cio-cię Izę, musi przyjść na wigilię- Mama godziła się z losem.

Zamaliśmy się opłatkami, składali życzenia rodzinie, współmieszkańcom. W izbie było luźniej, niż zwykle, bo obie nasze traktorzystki: Maryla Antonow i Marysia Nuckowska już wcześniej, poprzedniego dnia wyruszyły do domu. Na szczęście nie było takiej zamieci.

Pod kuchnią paliło się dłużej, zaczęło później. Pierogi czarne, z białym, ziemniaczanym nadzieniem, szczyt odświętnego luksusu, aż po cztery na osobę, były nawiązaniem do rodzimych tradycji i spełnieniem marzeń ostatnich kilku tygodni. Nasi współmieszkańcy zjadali je razem z wodą, w której się gotowały. My nie: Mama pozostawiła ją na świąteczną zupę, na którą mięła parę ziemniaków.

Kolędy rozśpiewały się mniej więcej we wszystkich kwaterach o tej samej porze:

- " Wdzień Bożego Narodzenia

Radość wszelkiego stworzenia:..."

Jakże bezmiernie smutnym głosem brzmiała ta radość!...

Jak bardzo gryzł serca niepokój o tych wszystkich najbliższych i najdroższych, o ich Święta i o ich niepokoje o nas..
Ilu ich tam dzisiaj pozostało przy tym wigilijnym stole?..

Stół! Nawet tego nie mamy... Wigilijny stół!.. Jakaż to zamierzcha przeszłość! Biały obrus, talerzyk z opłatkiem, świece na stole, choinka, pachnąca lasem... Tego im chyba nie brak? Ale najważniejsze: rodzina przy stole!

Dzidka z Leonem, pewnie u Cioci Juli, wujkowie, Marylka i Olek. Wanda w lagrze. Babcia na cmentarzu. A my tutaj. Tylko ja z Rodzicami i z Ciocią Izą, Z naszej rodziny właśnie tutaj jest ta najliczniejsza jej część.

A inne rodziny naszych przyjaciół? Rodziny w naszym Lwowie? Wszystkie polskie rodziny w całym Kraju? Ile ich zasiada do wigilijnej wieczerzy w komplecie?.. Wiem, że wszyscy myślą właśnie o tym samym..

- " Jezus malusienki

Pracze wśród stajenki,

Płacze z zimna..." żali się kolęda, a ja tak już to namacalnie rozumiem:"płacze z zimna"...

Jak tam Wandzia? Sybir... Czy nie płacze z zimna w tej chwili? I zgłodu? I z osamotnienia, między obcymi... Pewnie ma tam jakieś przyjaciółki niedoli, pisała o koleżankach, to znaczy, że są Polki w tym jej lagrze. Jak musi się o nas martwić, jak niewątpliwie myślimi jest z nami, w ten szczególny wieczór bardziej, niż kiedykolwiek...

- " Podnieś rączkę, Joże Dziecię!

Błogosław Ojczyznę miłą!...-

- O, błogosław, Panie, błogosław! Ratuj ten naród, bo się marnuje! Ileż to upadków i zła już się szerzy... Ale też ile dobroci ludzkich serc, prawdziwych przyjaźni! Tysiące błogosławieństw im za to! Przyjmij, Panie te nasze kolędy, jako modlitwę, na tej dalekiej ziemi obcej, skąd wołamy do Ciebie, abys nas wspierał swą siłą i doprowadził do naszej, polskiej ziemi, abysmy mogli w taką Noc Bożego Narodzenia dziękować Ci za Twoją Nieskończoną Dobroć, już stamtąd: z naszych polskich kościołów, w gronie naszych rodzin, które polecamy Ci stąd, z daleka Twojej Bożkiej Opiece...-

Ciemna stepowa noc uciszyła się z wolna, jakby ukołysana polską pieśnią. Zdawało się, że wichur skłonił głowę przed kolędami, aby całą swą mocą gorących ludzkich serc zdołały

dotrzeć prosto do samego Nieba, które zsyłało na strudzonych i zagubionych kojącą ciszę i otulało biedną, zagubioną w stepie osadę puszystym, świeżym śniegiem.

Ostatnia choinka

Święta przeważnie wszyscy przesiedzieli w domu, lub u sąsiadów z baraku, chodząc od kwatery do kwatery z opłatkiem i z życzeniami. Wiele przy tym opowiadano sobie, wspomniano tamte "normalne", czyli przedwojenne święta, w przedwojennym domu, oraz te ostatnie, już w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, gdy przy niejednym stole już kogoś było brak

- Masz pojęcie, że ja nie chciałam, abysmy mieli choinkę w domu, rok temu- przyznałam się Eli.

- Coś ty?! A to niby czemu?- zawołała zgorszona.

- Tak samo zawołała Wanda, gdy to powiedziałam! Nie chciałam: "bo i Polska w niewoli i Dzidki nie ma z nami..." uważałam to za niestosowne...-

- No i co? Co ci Wanda powiedziała na to?-

- Powiedziała: "Tym bardziej musi być! Mają być takie święta jakie tylko się zdoła urządzić! To tradycja. I święto kościelne. To ty chcesz, aby jeszcze i tego nie było? Czy nie rozumiesz, jak Mamie przykro, że nie będzie Dzidki z Leonem, jak nam będzie smutno, że Dzidka nie może przyjechać i tę swoją pierwszą małżeńską wigilię spędzą z dala od domu? A sama niewola, to nie dość nieszczęścia, że chcesz nam tę choinkę odebrać?- dziwiła mi się.

- No, wiesz, myślałam, że to nie wypada...- chciałam jej wyjaśnić swój punkt widzenia, ale mi nie dała! - "Posłuchaj! Jest wojna! A czy wiemy, co dalej? Czy wiesz może, co jeszcze nas czeka? Czy możesz być pewna, że następne święta będziemy spędzać tutaj? I wszyscy? Razem?... A jak by ci było, potem.. gdyby się okazało, że te obecne nasze święta są naszymi ostatnimi świętami w rodzinie?

- Nie pomyślałam o tym- musiałam przyznać.

- To pomyśl! I jeszcze coś: już pytałam Mamę, zgodziła się. Lolek jest odcięty granicą od swojej rodziny w Sosnowcu. Przyjdzie do nas na wigilię...-

- To dobrze. Rozumiem. Masz rację. ...- I była choinka, wieczera, pasterka w katedrze ormiańskiej i ostatnie Święta.. we Lwowie.

Franio

Zima znowu puszystym śniegiem zasypała step. Wychodziło się z domu jaknajmniej. Trzeba było mieć wysokie buty, ciepłą odzież, futrzane czapy z opuszczanymi nausznikami i futrzanym ochraniaczem, opuszczanym na czoło, by chronić zatoki. Jak miejscowa ludność, aby przetrzymać te mrozy, pięćdziesięciostopniowe, a głównie te stepowe wichury.

Poczta znowu nie dochodziła z Aksakowki, bo droga była niebezpieczna. Ludzie siedzieli w swych norach, niczym borsuki.

Nie wszyscy. Dygnitarze, ciepło poubierani, ale we wściekłych humorach, nadal wpadali do naszych siedzib i naganiali do roboty, odgrażali się, klęli nas po rusku i po kazachsku, straszili progąem.

Na pierwszej fermie, Dżydykara, w taki sposób zmusili Frania Kozuszka, którego wysłano po siano do skierdy, położonej w stepie, o kilka kilometrów od osady. Dano mu duże sanie, aby przywiózł dużo siana, bo pasza już się kończyła. Ranek był mroźny, ale spokojny, gdy samotnie wyruszał w step.

W stepie jednak żadna pogoda nie jest pewna. W ciągu kilku minut wichry stepowe, a tymbardziej zamieć, mogą przeobrazić świat w zimne piekło.

Tym razem stało się to tak nagle, że Franio ledwie dopadł do skierdy, którą od dłuższego czasu już widział i podczas wzrastającej zamieci na oślep dążył w tym kierunku, bo to już było blisko. Miał nadzieję, że ta gwałtowna zamieć może się równie gwałtownie skończyć.

Wół zaczął wgrzebywać się w ubite i z zewnątrz zmarznęte siano wielkiej skierdy. Widząc to Franio poszedł za przykładem zwierzęcia, które instynktownie szukało ratunku przed śmiercionośnym burzanem.

I tak człowiek i zwierzę wspólnymi siłami wygrzebali sobie jaskinię w ścianie siana, z wygrzebanego siana Franek uklepał zбитy mur, chroniący przed szalejącymi wichrami i przytuleni do siebie, ogrzewając się własnymi ciałami nawzajem, starali się doczekać uspokojenia zamieci.

Niestety!... trwała przez trzy dni! Wół przynajmniej miał spiżarnię na miejscu! A Franio?!... Spał, to znów się budził, tracił rachubę czasu, tracił przytomność, a gdy ją odzyskiwał, tulił się do ciepłego zwierzęcia.

Gdy na czwarty dzień wyruszone na poszukiwania, odnaleziono ledwie żywych. Frania Kozuska przywieziono od razu do Centrali, do szpitala. Uratowano mu życie, amputując tylko palce u obu stóp. Miał chyba około dziewiętnastu lat. Ileż rozpacz musiała przejść jego matka! Ile przecierpieć razem z nim! W końcu, jak dziękować Bogu, że w ogóle przeżył...

Jak niebezpieczne było wysyłanie samotnego człowieka, zwłaszcza tak nieobeznanego z siłami stepowej natury, w takie odległe pustkowia! I dlaczego nie zwożono latem siana i nie skierowano wszystkiego w pobliżu osad ludzkich, aby w zimie nie narażać ludzkiego życia? Jaką wartość miało tam życie ludzkie? Czy ktoś szanował i chronił czyjekolwiek, oprócz swojego własnego?

Dziubarbej

Pewnego dnia już po raz czwarty zabrakło chleba w spółdzielni i Grubv Mielnikow zapowiedział, że już więcej w tym dniu nie będzie. Znowu niemal w ostatniej, decydującej chwili, odepchnięto mnie od lady, toteż byłam wściekła na tych silniejszych od siebie, a jeszcze bardziej na siebie samą, za tę swoją niewybaczalną bezsilność.

- Wlokłabym się tu jeszcze po raz piąty, gdyby była choćby najskąbsza iskierka nadziei!...- rozczulałam się nad swym losem, nie śpiesząc się wcale do wyjścia, bo było tak mroźnie, że strach mnie przejmował na samą myśl o tym. Wreszcie już nikt się do drzwi nie pchał, więc i ja opuściłam sklep, to miejsce wielu niespełnionych nadziei i przykrych rozczarowań.

Znowu wlokłam się ostatnia, najostatniejsza ze wszystkich, tak przepełniona czarnymi myślami, że w końcu nie wytrzymałam, i zaczęłam beczeć, jak głupia. Tego dnia mieliśmy, jak do tej pory, sam tylko wrzątek, tylko. Dobrze i to, co prawda. Miał być jeszcze i ten chleb, bo jeszcze były pieniądze na to, tylko, że ja nie zdołałam kupić!...

- Co za pociechę mają ze mnie?- rozpaczałam, - Nic właściwie innego nie robię, tylko chodzę po ten kawałek chleba, ale i tego nawet nie potrafię! Już wszystkie inne obowiązki domowe Mama wzięła na siebie. A ja mam tylko przynoszenie wody i obowiązek dopilnowania chleba!... Tylko tyle. Całe dnie

maruję o to, i to z jakim trudem, a jak często bezskutecznie! Wcale nie można na mnie polegać! Nawet dzieci często lepiej sobie z tym dają radę, a ja, co?...- robiłam sobie gorzkie wyrzuty i ryczałam coraz gorzej, ze złości na siebie, że to i tak niczego nie zmieni.

- No, niby tak: chodzę wprawdzie jeszcze do tego Nowotrojska, ile razy to jest możliwe, to znaczy raz na cztery, do pięciu tygodni... I co z tego? Przynoszę ledwie tyle, co kot napłakał, a potem odchorowuję to przez dwa tygodnie i więcej kłopotu mam z tymi moimi krwotokami, niż pożytku z tego, co raczę przydźwigać!...-

Żadne jednak gęporzkie wymówki nie były w stanie zagadać całej tej mojej rozpacz, że znów stanę w progu z pustymi rękoma. Nie będzie dzisiaj nic do jedzenia...

- Boże! Dzięki Ci, że przynajmniej nikt mnie nie widzi w tym stanie!- szłam i zataczałam się, miotana wicherem rozpaczą i sama nie widziałam nikogo.

Nagle, a niespodziewanie z którejś lepianki wyskoczył i dosłownie wyrósł tuż przede mną Dziubarbej. Było to jego kazańskie imię rodowe. Oficjalnie nazywał się Ułap Kasymow.

- "Kyzymka!" Nie płacz! "Nan bar" /Jest chleb!/ Weź! Nikomu nie mów!- i rozglądając się na wszystkie strony, aby sprawdzić, że faktycznie nie ma świadków, wciskał mi "pajok" chleba, wyjęty z za pazuchy!

W pierwszym momencie przystanąłam, jak wryta, ale zaraz opprzytomniałam i wyjęłam z rękawiczki pieniądze, które tam miałam przygotowane na chleb.

- Rachmet, Dziubarbej, rachmet!- dziękując z wielką wdzięcznością wciskałam mu pieniądze.

- " Niet, nie nada!"- opędzał się, ale rzuciwszy okiem na mnie, przyjął należność, mówiąc:

- Tylko nie płacz! Nie mów nikomu! I nie płacz!- poczym zniknął momentalnie, szybciej jeszcze, niż się przed chwilą pojawił. Myślałabym, że to jakiś majak nieprzytomnej wyobraźni, gdyby nie ten kawałek chleba!

Lażłam dalej i starałam się uspokoić, ale byłam strasznie rozklekotana. Cały mój idealny obraz idealnego świata nie po raz pierwszy stawał na głowie.

Oto niedawno Polka, rodaczka /! / nie pozwoliła mi kupić okrucich chleba / zmiotki, prwdę mówiąc/, bo musiała tym nakarmić psy!... Osobą inteligentna, wiedziała, że my psów nie mamy, a więc chciałam to mieć dla ludzi! Oczywiście: dla głodnych, bo kto inny by to jadł?

Oto "dziki Azjata", nieraz pogardzany przez nasz szlachetny naród, odstępuje mi swoją porcję chleba, po którą też aż czterokrotnie sam chodził w owym dniu, bo go tam za każdym razem widziałam. Bezinteresownie! Nawet nie chciał pieniędzy. Ani żadnych innych rewanżów, bo już na tyle człowieka znałam. Ja! Odstąpił mi ten swój chleb, narażając się swoim. Pilnował aby nikt nie zobaczył, bo później nie mógłby kupić, nie pozwoliłby. Mówiliby, że nie dla siebie i miałby za swoje!..

No, tak: Syty głodnego nigdy nie zrozumie... A Dziubarbej był małym dzieckiem, gdy podczas Wielkiej Rewolucji stracił całą rodzinę. Koczujący czabani zabrali osieroczone dziecko do swojej jurty. Przydomek "bej" przy nazwisku, świadczył o jego przynależności do bogatej rodziny, niewątpliwie hodowcy licznego stada owiec.

Od lat pracował w tym sołchozie, mniej więcej w charakterze "chłopca do wszystkiego". Sianokosy, żniwa, dowożenie do różnych ferm, czy stepowych przygód roboczych, czego tam aktualnie potrzebowano. Nie był nikim ważnym, to pewne. Nie wiem, gdzie miał swoją kwaterę, u kogo czy z kim. Ot, taki po prostu biedak i miejscowe popychadło. I taki, właśnie taki człowiek zdobył się na taką ofiarę! Ten człowiek niewątpliwie nie zawsze był syty... Czyli: ofiara była tym większa.

- Mój Boże! Czy wynagrodziłeś temu człowiekowi, który zasłużył na ludzką wdzięczność? Przecież ja mu tego wynagrodzić nie byłam w stanie! A to był człowiek na tym szerokim bezludziu.

" Krzyżowcy" i Mickiewicz

Przetarto szlak i poczta przyniosła mi książki od Leona: Kossak Szczuckiej: "Krzyżowcy" i "Mickiewicz" w wydaniu Pigonia, jednotomowe: "Pisma"

Przyznam się, że "Krzyżowców" już znałam, bo to była obowiązkowa lektura szkolna i tylko dlatego ją przeczytałam. Była dla mnie zbyt ciężka z powodu opisów wielu okropności i okrucieństw, zdawała mi się przesadna w relacjach o nich, czułam,

że nie dorostam do niej, co mnie tym bardziej zniechęcało. Było to u owym czasie najbardziej poczytna książka, ciesząca się wielkim uznaniem i powodzeniem. Wśród zesłańców znalazła także licznych, chętnych czytelników i pożyczalam ją po kolei wielu dorosłym osobom.

Ostatnią czytelniczką była pani Baderowa, która i sama przeczytała i podsunęła ją Grzesiowi, bardzo czytatanemu. Nie sra-

cali mi jej wyjątkowo drugo. i kiedyś, zniecierpliwiona wygłosilaam jakąś cierpką uwagę na ten temat, w domu.

- A, wiesz- cdezwał się na to Tato- właśnie chciałem ci powiedzieć, że pani Baderowa bardzo mnie prosiła o odsprzedanie jej "Krzyżowców"....-

- Odsprzedanie?...- zdziwiłam się

- Tak, właśnie! Powiedziała, że bardzo jej zależy na tym, bo chce zabrać się do tłumaczenia jej na język angielski, ponieważ ma teraz dużo czasu i nie traci nadziei, że kiedyś zdoła to wydać. ...-

- Niesłychane!- myślałam o braku papieru, słownika i o warunkach, w jakich mieszkamy.

- Tak to wszystko zaaranżowała, że nie zdążyłem ani zaprotestować, ani zastrzec sobie, że decyzja należy do ciebie, bo to ty dostałaś w prezencie. Dara mi za nią trzydzieści rubli- dodał zafrasowany.

- To już nie ma o czym mówić- stwierdziłam uprzejmie.

Potem doszły mi plotki, że książka / czterotomowa/ uległa tam w jakiś sposób zniszczeniu i całe opowiadanie o tłumaczeniu było kamuflarzem, dla wybrnięcia z sytuacji, aby nie sprawić nam przykrości. Nie wiem, ile w tym prawdy.

Za to "Pisma " Mickiewicza, to była jedna wielka radość! Obie z Ela byłyśmy zawsze gotowe wracać do tej poezji. Cesia, Matyldzia, Dyńcia Schmallówna, Danka Nowak, która stosunkowo najmniej wychodziła z domu przez całą zimę, i inne, znachodziły sobie ulubione utwory, często przepisywały drobnym maczkiem na jakichś karteluszkach, aby je sobie móc czytać w wolnych chwilach. Wiele uczyłyśmy się celowo na pamięć, wiele tylko poprzez stałe wracanie do wybranych wierszy. Wśród dziewcząt takim najpowszechniej zapamiętanym utworem, przez częste czytanie, była "Niepewność", bardzo lubiana, wzruszająca.

Ela wyśpiewywała Ballady, do niejednej znała melodie, do niektórych sama sobie je komponowała.

Kazik Dudek głośno czytał z entuzjazmem "Pana Tadeusza", so-

bie i Bokociakom, ku zadowoleniu całej kwatery, chłonącej pić piękno wspaniałej poezji. Nawet małym Nowakom: sześciolatniej Dziuni i czteroletniemu Jerzykowi czytałam "Powrót taty", co bardzo im się podobało. Przy okazji opowiadałam dzieciom, że jako dziecko, widziałam w naszym Teatrze Wielkim przedstawienie, oparte o tę balladę. Lubili też bajki, które trochę im wyjaśniałam.

Mickiewicz trafił jeszcze dalej, niż sięgały jego marzenia! Już nie pod strzechy, ale do dalekich lepianek, zagubionych w dalekich pustaciach stepowych, gdzie ze ściśniętym sercem dzieliliśmy się tym arcydziełem mowy ojczystej, aż do bólu rozumiejąc i odczuwając nostalgię poety, pełną taką, jak i nasza własna:

" Ojczyzno moja! Ty jesteś, jak zdrowie:
Ile cię cenić trzeba, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił..."

Zupa z dyni i Dziennik okrętowy

Nie pamiętam już, jakim to nadzwyczajnym okolicznościom zawdzięczaliśmy możliwość nabycia sporej porcji dyni. I to w tak pomyślnym okresie, gdy równocześnie Mama miała w woreczku jeszcze kaszę jaglaną. Bywały więc dni sytości!

- Kaszę jaglaną, gotowaną na mleku, podawałam zwykle ze śmietaną, bitą z cukrem- wspominała pani Wojciechowska.

- Nie znałam tego sposobu- przyznała się Mama.- Ryż dawałam dzieciom nieraz ze śmietaną i z cukrem, albo z konfiturami, ale jagły to raczej z cynamonem, albo z tartą czekoladą...-

- A zupa z dyni będzie dobra z jagłami- radziła pani Wojciechowska.

- Zupa z dyni! Nigdy w życiu nie jadłam!- cieszyłam się z odmiany.

Była wspaniała! Słodkawa! No, prawie słodka! Jakaś wtedy panowała u nas dobra passa. Jadało się dwa, czasem nawet i trzy razy dziennie, jeśli był chleb. Sporo więc tej zupy dała Mama dla Cioci Izzy, która przyjęła z wielkim zadowoleniem. Po drodze dowiedziałam się, że Jurek Horodyski leży w szpitalu.

ży w szpitalu.

- Wiesz, on ma matkę aż w Tiki Bułaku... Może jutro zaniosłabyś mu trochę tej zupy, bo jutro też taką ugotuję.-
pośsunęła mama, zgodnie z przedwojenną tradycją noszenia chorym do szpitala demowych obiadków.

Jurek był zachwycony taką niespodzianką i połknął zupę w mgnieniu oka, bo była jeszcze dość ciepła, gdyż kubek owinięta seriereczką i szalikiem.

Zaniosłam mu też parę książek do czytania, bo już mi się trochę ich uzbierało, od Lolka, Leona i przyjaciółek. Pogadaliśmy trochę i Jurek przyznał mi się, że marzy o jakimś notesiku, aby sobie założyć "Dziennik okrętowy".

- Co to takiego?- zastanawiałam się głośno.

- Najkrótsze meldunki, zapisywane na bieżąco, zwięzłe, każdego dnia. Można potem ewentualnie odtworzyć przebieg całego rejsu, z detalami, na ich podstawie.- wyjaśnił- To doświadczenia z obozu żeglarskiego...-

- Świetny pomysł, szczególnie, gdy brak papieru! I warunków do pisania, w te długie, ciemne wieczory. Podoba mi się! Godny naśladowania.- wyraziłam swe uznanie.- Ja dostałam od szwagra śliczny zeszyt na dziennik...-

- I co? Wykorzystywany?- zainteresował się.

- Właściwie nie... Chciałam zacząć od samego początku, od chwili aresztowania i wywiezienia, doprowadzić do terażniejszości i wtedy kontynuować już na bieżąco, dalej... Zaczęłam i utknęłam...-

- To raczej za długa droga...- rozważał- Lepiej zacząć od chwili bieżącej i już systematycznie się tego trzymać, a początek uzupełnić w wolnym czasie...-

- No, właśnie, tak trzeba było zrobić. Zaczęłam inaczej i pogubiłam się. Nie chciałam pozostawić luki i przez to cała sprawa utknęła. Poza tym jestem zbyt drobiazgowa, a taka pisanina jest bardzo czasochłonna...-

- Chyba ci czasu nie brak?- zdziwił się, wiedząc że nie pracuję. Sam, jako uczestnik kursu traktorzystów był bardzo zajęty.

- Zdawałoby się, że mam go aż za dużo. Teoretycznie: tak. Tylko, że po pierwsze: chodzę po chleb...-

- O! Rozumiem! To już wystarczy!...,

- Po drugie: pisuję listy, jeśli tylko atrament /własnego wyrobu/ nie zamarza. Po trzecie: dzień jest krótki, w izbie

ciemno, "kopcička" malutka, zapalana na krótką chwilę ~~na~~
układania legowisk...-

- W takich warunkach właśnie dziennik okrętowy byłby najlepszym rozwiązaniem- wyciągnął słuszny wniosek, który później kiedyś wykorzystałam.

Nazajutrz nie miałam już specjałów jadalnych, ale zaniostałam Jurkowi jeden z nielicznych, pozostałych mi ze szkoły, zeszytów: szesnastokartkowy, w kratkę, o bardzo ciemnym papierze, ale poza szkołą był nie do zdobycia. Cieszyłam się z możliwości sprawienia mu aż takiej wymarzonej niespodzianki, ale byłam tam zbyt niśmiała, aby życzyć mu okazji do zapisywania wielu szczęśliwych meldunków w tym jego dzienniku okrętowym, /co sobie planowałam/ a raczej, aby takie życzenie wyrazić.

Nie wiem, jak długo Jurek prowadził ten dziennik i czy wpisał tam swe wzruszające zaręczyny z Hanką, uwieńczone pierścionkami, uplecionymi z trawy, albo takie wydarzenie rodzinne jak rosół z wrony, znalezionej w stepie przez matkę, co spotkała się z najrozmaitszą reakcją jej współmieszkanek, a świadczyło o egzotyce naszego bytowania w Kazachstanie.

Kiki

Jeszcze mrozy trzymały śnieg w śnieżnych okowach, jeszcze poczta nie przywoziła żadnych paczek, oprócz książek, gdy spotkałyśmy na poczcie Krysię Marchut.

- Alu, przyjdę do ciebie pożyczyć jakąś książkę, dobrze? Czy masz coś w domu?- zapytała.

- Oczywiście. Możemy poczekać na ciebie...- zaproponowałam.

- Przyjdę trochę później. Mam coś mamusi załatwić. Nie czekajcie teraz. Przyjdę na pewno.-

Przyszła, odniosła mi moją ulubioną książkę /Jolan Gergely: "Dziewczę nowoczesne"/, tłumaczoną z węgierskiego, która jej wcale nie zachwycała. Wybrała sobie inną. Przysiadła na chwilę na naszej pryczy i rozmawiałyśmy z Elą.

Fela gdzieś wyszła. Mama żarliwie dmuchała w ogień, ocierając łzy i usiłując ugotować zupkę na godzinę piątą, czyli na powrót Ojca z drukarni. Zupa państwa Wojciechowskich też dopiero miała się gotować. Jedyny gorący posiłek na dobę, jaki w owym okresie spożywały obie nasze rodziny, staraliśmy się mieć właśnie o takiej przedwieczornej porze, aby przy okazji palenia pod kuchnią ogrzać izbę przed położeniem się do snu,

tymbardziej, że przecież obie siostry Wojciechowskie i obie Małże- traktorzystki / nota bene: przyszłe/ miały swe legowiska na ziemi, na glinie... Jeśli podczas dnia udało nam się kupić chleb, wtedy ta nasza przedwieczorna zupa stanowiła kolację, a chleb zwykle dzieliło się na dwa dni.

- Która to może być godzina?- zastanowiła się nagle Kiki.

Chyba zbliża się czwarta- odpowiedziała Ela.

- Krysiu, czy ty nocujesz dzisiaj w Centrali?- zainteresowała się pani Wojciechowska.

- Nie, nie! Już trzeba iść: mama będzie czekać...

- Sama przyszłaś?-

- Tak, sama...-

- W takim razie musisz się pośpieszyć, bo noc zapada tak szybko...-

- Masz na to swoje Górne aż cztery kilometry!- dodała Ela

- O! Prędko przeleczę! Będzie mi się bardzo lekko szło, bo jestem jeszcze na czczo!- zawołała, zrywając się gwałtownie, zaczerwieniona z przykrości i rzuciła się do drzwi, ledwie dopowiedziawszy "Do widzenia!"-

W izbie zrobiło się cicho. Nie wybiegłyśmy za nią: nie było z czym!... Co mogłyśmy jej powiedzieć? Chyba tylko prawdę, że że my też byłyśmy jeszcze na czczo. Tego ona nie wiedziała. Zresztą nasza strawa miała być gotowa za godzinę...

Strasznie nam było przykro. Czternastoletnia, zawsze pogodna, jedynaczka z zasobnej rodziny... Pewnie miała nadzieję, że "choć coś" uda jej się zdobyć, przekąsić... Jakże ciężko musiało jej się wracać tam do tej swej czwartej fermy, do tego chutoru, cały czas pod górę! Do matki, która z pewnością spodziewała się, że Kiki coś załatwiła, czyli nie wraca z pustymi rękami. .. Rozczarowanie ma smak goryczy...

Wkrótce potem spotkałam Kiki w znacznie lepszej formie. Opowiedziała mi, że przypadkiem natrafiła w ruinie starej lepianki na gniazdo chomików, którym skonfiskowała cały ich zapas żywności: blisko dwa wiaderka ziarna! Obie z matką przebrały to i dzięki temu zdołały przeżyć najgorszy okres, aż do otrzymania paczek ze Lwowa, gdy już zima nie hamowała dostaw.

Znak

Pewnego poranka Matyldzia wpadła z sensacją:

- Wiecie? W nocy dziwne rzeczy działy się na niebie!...,-

- O? Pewnie: "przyszła kometa i machnęła o gonem", jak to ktoś mówił w filmie...-Zgadywała Ela, jak zwykle z humorem.

- Ta, gdzie!- oburzyła się zwiastunka wieści- Jakieś niezwykle zjawiska: blask z tamtej strony nieba, jakby jakiś straszny pożar! Wielka łuna! To i moja mama widziała i inne panie z tej kwatery...- trzepała, bardzo podniecona.

- Tam? To północ! Może to była zorza polarna?- zastanawiała się Fela.

- Chyba nie, bo tu nigdy nie widać zorzy polarnej, nigdy. Mama rozmawiała z babuszką, u której bierzemy mleko. Ona mówi, że tu zorzy polarnej nikt nigdy nie widział. I że to jest jakiś szczególny znak. Jest przerażona, mówi, że to znak, że będzie wojna!...-

- Wojna to już jest od tamtego września...-

- Ale to dla nas, oni tak nie uważają...-

- W Europie przez całe stulecia uważano, że wojnę zwiastuje kometa...-

- Wszyscy ruscy latają poruszeni, tą łuną na niebie. Jedni drugich pytają, czy widzieli ten "Znak"- kontynuowała mała- Mówią, że gdyby nie ten śnieg, to byliby pewni, że stepy się palą. Taka biała jasność na całej przestrzeni, za tym chutorem-

Dyskusja nad niezwykłym zjawiskiem toczyła się po kwaterach naszych, po chatach Rosjan i lepiankach Kazachów, by wraz z ludźmi przenieść się do spółdzielni, gdzie w kolejce znalazło się kilkunastu świadków / jedni drugich budzili w nocy, z wielkiego przejęcia!/, wielu wróżbiarzy rychłej wojny, kilku niefrasobliwych kpiarzy i liczni słuchacze, ciekawi relacji, a także sporo panikarzy. Najliczniejsza była grupa śpiochów, żałująca, że nie dane im było oglądać tego na własne oczy. Do tej grupy i ja się kwalifikowałam.

Sądząc jednak z opisów, musiało to mimo wszystko być zorza polarna, wyjątkowo, dzięki mroźnej czystej, niebywałej szklistości powietrza i dzięki wiatrowi z północy widoczna wyjątkowo aż tutaj, co się faktycznie bardzo rzadko zdarza. Widoczna była dokładnie ze strony północnej od pasma Targabataju, który stanowił granicę, tworząc niejako naturalną przeszkodę po wschodniej części północnego nieba.

To chyba majaki

Innej zimowej nocy w Sigisbaju przeżyliśmy też dziwne zdarzenie. Obudziło mnie niezwykle kołysanie, lecz odczuwane tylko wyraźnie, jako ruch poziomy, powtarzający się kilkakrotnie w obie strony. W pierwszej chwili odniosłam wrażenie, że mi się to przyśniło. Po powtórnym kołysaniu, z zapartym tchem, w ciemności nadskuchiwałam, czy to ktoś nie poruszył się zbyt energicznie na tej prycy, gotowa zsunąć się z niej, gdyby się zakąmywała.

Następnie rozśmieszył mnie pomysł, że to zupełnie tak, jak gdyby ktoś mocno szarpał z boku na bok tam i z powrotem naszą prycę, jak się czasem szarpie upartego śpiocha, aby go wreszcie dobudzić.

W końcu, nadśluchując w kompletnej głuszy i ciemnościach, po nierównych oddechach, wstchnieniach i odgłosach przewracaniu się, chyba wszystkich osób w całej kwaterze poznałam, że nie śpią też, ale starają się nikomu we śnie nie przeszkadzać

- Mam nadzieję, że nie krzyknęłam ani nie zajęczałam przez sen i nie pobudziłam tych biedaków? - sądowałam w myślach. - No, nie, boby ktoś zapytał, co się stało... Ha! Może trzeba by wyjść ze swoją potrzebą, ale "za chałupą" taki mróz, a i tak zrobi się ruch i wszyscy wybijemy się ze snu, a szkoda: tyle naszego dobra, co we śnie... - targowałam się, jak co noc, jak zwykle, gdy tak ciężko było zmusić się do włożenia do tych wiecznie mokrych, zimnych butów i wyjścia na ten mróz / -60°C ! / i nocny wiatr. Brrr! - A może nie muszę? Doczekam do rana - postanowiłam, a tymczasem kołysanie znowu parę razy szarpnęło wyrkiem tam i z powrotem.

W izie nic: cisza, i ciemność.

- Nie panikuj! - upomniałam sama siebie kategorycznie w myśli. - To nic innego, tylko muszą to być majaki ... Po prostu majaki głodowe... Przeżyjemy i to... - uspokajałam się w duszy i po chwili jakoś mi wszystko przeszło. Nie powtórzyło się już, chociaż nieprędko udało mi się po tym usnąć.

A rano pani Wojciechowska pierwsza zaczęła mówić na ten temat. I natychmiast wszyscy razem! Po chwili wpadła pani Sochacka, z najbliższego sąsiedztwa, za nią wsunął się piękny Bolek, by rzucić okiem na Elę, korzystając z sytuacji, i wszyscy na raz opowiadali sobie o przeżytej nocy.

Wyszło przy tym na jaw, że w tej naszej izbie wszyscy, ale to dosłownie wszyscy, odczuwając te ruchy, uznali je za majaki głodowe, tak jak i ja! Dlatego nikt nie przemówił ani słowa, nawet najcichszym szeptem. U sąsiadów jednak pobudzono się i zaświecono lampkę, nadsłuchując, czy nie zbliża się jakieś groźne trzęsienie ziemi.

- Ależ my tworzymy zgrane towarzystwo! - zachwycałam się - w myśli. - Nikt nikomu nie chciał przeszkadzać we śnie i wszyscy wszystkich na wzajem oszczędzali! Czyż to nie wspaniałe? Oby to tak się dało upowszechnić na cały barak! Co tam! Na cały naród! Wtedy byłoby to Naród Niezwyciężony! Marzyło mi się w cichości serca.

Po jakimś czasie dotarła do nas gazeta, w której wszyscy z zainteresowaniem odczytywali notatkę, o ruchach sejsmicznych, odnotowanych na terenie północnego Kazachstanu, co zaliczano do nader rzadko spotykanych zjawisk.

- Teraz, to już nasza babuszka od mleka zapłakuje się, że to już drugi znak ostrzegawczy i nim rok upłynie, ani chybi: będzie wojna! - opowiadała nam Matyldzia, z ogromnym przejęciem.

Jej babuszka od mleka reprezentowała opinię wielu prostych ludzi wśród tubylców, wierzących w te " znaki na niebie i na ziemi", , co spotykało się z naszej strony najwyżej z politowaniem. A był to początek roku 1941

Książki

Lolek przysłał mi od Leona dwie książki: Kraszewskiego "Kunigasz" i Londona: "Dolinę Księżycy". Tym razem wybór na medal! Obie grube i obie oprawne, w twardych, mocnych introligatorskich okładkach: mocne! I tyle do czytania! Od razu jedną dałam Eli, w drugiej utonąłam sama! Coś wspaniałego!

Jak to cudownie oderwać się od tej przyziemnej codzienności przenieść w inny świat, dać się porwać akcją, żyć losami bohaterów, bezpośrednio w nich uczestniczyć! To coś znacznie więcej niż ucieczka do teraźniejszości: to po prostu przeżycie!

Każda z tych książek całkiem inna, ale obie takie ciekawe, aż trudno się oderwać, rozstać, choćby na ten czas przeznaczony na obowiązki, lub ze względu na brak światła.

Kraszewski- Tytan Pracy... Ojciec bardzo go lubił, opowiadał mi o jego życiu, między innymi i ten epizod, jak to, jak

jako pisarz, już znany, szanowany i cieszący się dużym powodzeniem, darował młodemu zecerowi zagubienie kilku kartek rękopisu, z czym przerażony winowajca zwrócił się do autora, drżąc o swą posadę, którą by utracił, gdyby się rzecz wydała. Kraszewski z wielką wyrozumiałością uspokoił drukarza, któremu polecił zgłosić się na drugi dzień po uzupełnienie luki. Potem, wręczając mu nowe kartki, napisane przez noc, zapewnił że ta druga wersja jest jeszcze lepsza, czyli zagubienie pierwszej wyszło powieści na dobre! To wydarzenie było żywe wśród drukarzy, którzy sercem odplacali za serce.

"Kunigas", powieść historyczna. Jak mogło mi się wydawać, że nie lubię powieści historycznych? Przecież takie ciekawe! Potem jeszcze dostałam inną jego powieść: „Ona”^{Wsioc} wzruszająca. I "Chata za wioś" ^{Wsioc}. To są książki, jakie się tutaj chce czytać posiadać, wręcać do nich!

A London: „Dolina Księżycyca!” Po ilu klęskach życiowych ci młodzi znajdują swe własne, wymarzone miejsce na ziemi!.. Jak ka siła optymizmu przemawia z tej powieści, chociaż nie tuszuje twardej walki o byt, walki z trudnościami losu.

Jak cudowne są takie książki! Szczególnie tutaj, dla nas!.. Także te otrzymane od Ali Dawidowicz: Szczuckiej: „Puszkarz Orbano”. Tę nawet Bolek przeczytał jednym tchem, chociaż na pewno nie jest specjalnym miłośnikiem książek, nawet i Matyldzia, też jeszcze niezbyt wyrobiony czytelnik, ale również i Ela i Cesia, bardzo czytane. A powieść " Między morzem a fiordem" /Sigurd Eklajer/ - też szalenie ciekawa i sięgająca głęboko do ludzkich uczuć.

Głód książek bywał niezaspokojony...

Bardzo lubiliśmy wiersze: wielokrotnie odczytywane pozostawały w pamięci. Często uczyliśmy się dla własnej, z niczym nieporównywalnej radości obcowania z nimi, cieszyły, jak muzyką. Zatrzymywałam je w pamięci, na własność, niczym skarb.

Babcina spódnica

Kiedys dostaliśmy w liście od Lolka, przepisany na maszynie, z książeczki do modlenia: "Kalendarz świąt ruchomych" opracowany do 1952 roku.

- O, Boże! Aż na dwanaście lat!- Jęknęła Mama.
I wkrótce już zaczęliśmy z niego korzystać: zbliżały się Święta Wielkanocne

Na krótko przed Świętami otrzymaliśmy parę paczek, bo już drogi były przejezdne i poczta zaczęła dowozić zaległe przesyłki. Z listów, idących miesiąc, wiedzieliśmy wcześniej, co wysyłano, więc oczekiwaliśmy, pełni marzeń, że wszystko dojdzie w dobrym stanie, chociaż od wysłania minęło od czterech do sześciu miesięcy, tej długiej zimy.

Do którejś paczki Ciocia Jula dołożyła Spódnicę babciną. Była ciemnogranałowa, z wełnianego szewiotu, a Babcia uznawała tylko pierwszy gatunek. Nosiła do samej ziemi, więc spódnicą była długa, a do tego tak szeroka, że niewątpliwie obie z Mamą mogłyśmy się w niej zmieścić równocześnie.

Byłam z tego niezmiernie zadowolona: tego z pewnością Mama nie da na sprzedaż! !. Normalnie, to, co bywało z odzieży najlepsze, można było najłatwiej prehandlować za żywność lub ostatecznie za gotówkę. To, czego nie udawało się sprzedać, zostawało dla nas, ale, niestety, często już tam wielkiego pożytku z tych rzeczy nie było. To słońce, ten mróz, ten klimat ~~naquet~~ odzież wykańczał " w try miga!". Wszystko się na nas zbyt szybko rozkaziło, przy zachowanych zbyt nielicznych rzeczach, stale noszonych, na dwie, najwyżej na trzy zmiany.

Mama z wielkim wzruszeniem przywitała babciną spódnicę, którą kiedyś, wiele lat temu, samą szyła. A gdy się jej przyjrzała, rozpłakała się na dobre.

- Popatrz!- pokazała mi ją:- Babcia musiała ją ostatnio nosić : jest brudna!-

- Tak, faktycznie!...- zmartwiłam się- Dlaczegoż jej tam nie wyprali! Jak to tak: mają wodę na miejscu i balie, miednice i pralkę-tarę i ogień pod kuchnią i żelazko!... oburzałam się i dziwiłam bezmyślności:- jak to tak?...-

Potem Ciocia Jula przeproszała, że złapała spódnicę bez uprzedniego przygotowania, poprostu w ostatniej chwili, przy pakowaniu, aby dopchać paczkę do dozwolonych ośmiu kilogramów i nie mogła praniem tej spódnicy opóźnić wysyłki, gdyż Lorek miał już umówioną swoją kolejkę u tej pani, która dowoziła paczki do Stryja, aby je stamtąd wysyłać.

Z praniem spódnicy trzeba było poczekać na odpowiedni dzień, by wyschła od razu na wietrze. Zdarzyło się bowiem jednej z pań, że mokre prześcieradło / niektórzy jeszcze posiada-

li jeszcze i pościel i bielizną pościelową, więc chociaż legowiska swe mieli na ziemi, to przynajmniej sypiali w pościeli, co naszych tubylczych gości zawsze napawało niesamowitym zdumieniem/ wywieszka na mroz. Niestety! Ściągając je ze sznura, połamała niechęcy na kawałki! Widziałam to sama, nie wiem, czy uwierzyłabym, że prześcieradło może się połamać, jak tafla lodu! Niczym ciasto na makaron, zbyt wysuszone...

Wreszcie z tej, upranej już i uprasowanej, spódnicy Mama uszyła sobie, w rękach oczywiście, dość długą spódniczkę, a z pozostałych kawałków dla mnie kamizelkę, zapinaną na przodzie. Trzy guziki wystrugałam z patyczka, a Mama obszyła je tym samym materiałem. Była tak zmyślnie skrojona / nożyczkami pani Nowakowej/ i uszyta, że całkowicie zakrywała łaty, (popielate, z harcerskiego półtna), którymi wcześniej Mama wyłatała mi niebieską, flanelową bluzkę, która rozlazła się na plecach.

Wielkanoc

Niedziela Wielkanocna wstała jako pierwszy wiosenny dzień. Słońce już od paru dni świeciło łaskawie, śnieg zniknął także dzięki ciepłym wiatrom, przedwiośnie zaczynało się odczuwać już w powietrzu. A w tę Wielką Niedzielę od rana po prostu witała nas wiosna, w ciągu jednego dnia całkowicie zapanowała. Tuż przy ziemi zazieleniła się trawka, powietrze stało się świeże i przejrzyste, ziemia zdawała się parować szczęściem i pachniało wiosną.

Dzień był wolny od pracy. Dla wszystkich. Parę dni wcześniej w spółdzielni pokazała się pasta do butów, zresztą jedyny raz. Miała dość podejrzaną konsystencję; jakaś raczej ciagliwa, niż natłuszczająca, nie mniej dziwaczny kolor /powiedzmy, że żółty!/, ale : była! Sprzedawali po jednym pudełku. Cała Polonia paradowała teraz w świątecznie napastowanych butach, którym wprawdzie ani się śniło błyszczeć, jak po jakiejś kapitalistycznej paście, ale widać było, że przeszły przedświąteczne starania o wygląd.

Z okropnych "gór pieprzowych" przed barakiem już prawie nie było śladu. Kroczyło się po ubitej, suchej ścieżce i udeptanymi drogami. Ludzie spacerowali bez swetrów, w samych kosz-

szulach czy bluzkach, chociaż jeszcze poprzedniego dnia noszono płaszcze, czy kufajki.

My obie z Elą wystroiłyśmy się w wyciągnięte z lamusa nasze szkolne spódniczki, granatowe, w fałdy, pracowicie uprasowane na naszym wykładzie, pożyczonym żelazkiem "na duszę", narzucanym na płycie kuchennej. Pokataną, flanelową bluzkę zamaskowałam nową kamizelką z babcinej spódnicy, aż dziewczęta cieszyły się, że tak elegancko wyglądałam!

Pałętaliśmy się właściwie wszyscy, przez cały dzień. Odświętowany obiad, złożony z kartoflanki i kaszy, na drugie danie, (4) też wybitnie wpłynął na podniosły nastrój. Przede wszystkim jednak to słońce, takie świeżi miłe, niepodobne do swej bezlitosnej wersji letniej, wzmacniało ulgę, że okropności zimy już wreszcie są poza nami.

Pierwszy wiosenny dzień i to niedziela, wolna od pracy, też powyciągał tubylców z chałupek i lenianek. Łaziło toto, podobnie jak i my, ale z ciekawością obserwowało naszą uroczą czystą metamorfozę :

- " Smotry- ka! Polaki imiejut praznik!" / Popatrzcież: Polacy mają święto!/- słyszało się tu i ówdzie, spotykając z ciekawymi spojrzeniami i dalszymi komentarzami na ten temat.

- Ale się tutaj zrobilo istne corso!- zauważył Kazik Dudek pod adresem licznych spacerowiczów , chętnie napawających się niezwykłym dniem., przystawano tu i ówdzie na pogaduszki, czasem na papierosa-skręta, bez pośpiechu , odmiennie niż zawsze.

Nawet w naszej izbie panował inny nastrój. Gdy zaszłam tam na chwilę, nasze Matki rozmawiały z Felą.

A to znacie?- zapytała pani Wojciechowska:

- " Nadziejo, jakaś mi miła!- zaintonowała nieznaną mi piosenkę:

Tyś życia mego ozdobą.

Tyleś mnie razy zdradziła...

Ja zawsze idę za tobą..." .. kończyły we dwie z Felą

A potem Fela zaśpiewała przesmutnie:

- " Píše poeta piosenkę

Do pani pięknej, jak kwiat..

Píše, píše i krwią pluje...

Smutek na serce mu siadł..."

Nie znałam jej również, ale smutne słowa melodyjnego walczyka zdawały się zdradzać jakieś smutki, gnębioce serca.

Zdawało by się, że taki pogodny dzień niesie nie tylko jakąś odmianę od starej codzienności i nie tylko podniosły, świąteczny nastrój. Oto przed kwaterą młodzież nasza, zatrzymując się coraz lżej, zaczęła śpiewać od pieśni:

"Wesoły nam dziś dzień nastał",

a potem, poprzez rozmaite inne doszło aż do repertuaru Wacusia z mandoliną, który, gdy wyszłam, zadumana z izby, śpiewał:

"To smutne tango tobie gram...

Jak skarga dźwięczy piosnka ta:

W melodii tej tęsknota lka...

To smutne tango..."

- Czyżby właśnie: "Tu leży pies pogrzebany!" - stwierdziłam, nie mówiąc tego, co zbędne. Właśnie. Tęsknota...

W powszednie, zaganiane dni nie ma aż tyle czasu, by rzucała się na nas aż z tak obezwładniającą, bezwzględną siłą.

"Wesoły nam dziś dzień nastał..."

zaintonował pan organista, kiedy wróciliśmy z Elą do domu.

- A, no... Wesoły, wesoły... - pomyślałam mimo chodem.

Nie wiedziałam, że to była moja ostatnia Wielkanoc z Rodzicami...

. Wiosna stepowa

W Poniedziałek Wielkanocny, zachęczone przez przybyły naszych z czwartej fermy, z chutoru Górne, Ela i ja oraz wracająca do domu, Krysią Marchut, wyruszyliśmy tam, zobaczyć cudę wiosenne. Wiosna wybuchnęła tam nagle, jakby z pośpiechem i siłą. Parę dni wystarczyło, a faliste wzgórza pokryła się cudownym kwieciem. Najpierwsze ukazały nam się miniaturowe tulipanki stepowe: czerwone, żółte i białe, rosnące całymi kępami. Swoim wzrostem, około decymetra, wystawały kolorowymi kielichami ponad znacznie niższą trawkę. Potem rozlegały się oprócz tulipanków całe kolonie niewyższych od nich, ślicznych miniaturowych hiacyntów, o misternie pięknych kwiatuśkach, a już coraz gęściej napotykało się malutkie, czerwone kwiatki, przypominające kształtem i barwą przypominające nasze polne maki, zaś wielkością zbliżone do polskich, polnych stokrotek. W niektórych miejscach z radością rozpoznawałyśmy liście poziomek, między którymi ^{niektóre} już tu i ówdzie kwitnąć. - Popatrzcie, ani tu lasu, ani krzew, a poziomki, niczym tam, u nas w lasach! - cieszyłam się, możliwe, że nie całkiem bezinteresownie.

- Prawda, jaka tu piękna wiosna? Czy nie warto było zobaczyć Krysia cieszyć się, że nas namówiła do wycieczki.

- Cudownie! Trzeba oddychać tym świeżym i czystym powietrzem radzika Ela, dając dobry przykład- Cudownie!-

- Patrzcie! Jakie motyle!-Fantastyczne, latały sobie motyle, jakieś inne owady, po trawie i kwiatach szumiało od rozmaitych żuczków. Step tętnił swoim własnym życiem.

Sama osada Górne, niewątpliwie mriejsza od chutoru Dolne, ograniczała się do kilku lepianek. Nieopodal kilka rumowisk, jakieś zawałone, rozmokłe gliniane rudery, jak ta, w której Kiki miała szczęście odkryć gniazdo chomików z ich spiżarnią.

Cudowna, czysto turystyczna wycieczka w celach poznawczych jedyna w tym swoim rodzaju, o pełnej, niczym nie zmąconej przyjemności obcowania z naturą, pozwoliła nam ujrzeć prawdziwy urok stepowej wiosny na falistych wzgórzach Górnego.

Siostry Nuckowskie i Maryla Antonow wielokrotnie zapraszały nas również do siebie, abysmy zobaczyły okolicę pierwszej fermy i samą fermę Dżydykara, nad tą / rybnią! / rzeczušką.

Interesowały nas też warunki, w jakich tam żyła grupa kilku rodzin polskich. Stale miałyśmy tę wyprawę w planie, ale, jeśli o mnie chodzi, pozostawała niezrealizowana. Jednak to było całych osiem kilometrów od granicy naszej Centrali, czyli od nas około dziesięciu, w jedną stronę. Mogłam poświęcić na to dzień, albo i przenocować u nich, czyli dwa dni, ale czekałam na zapowiedziane półbuty nowe, z paczki, bo bałam się, że noszone aktualnie mogłyby się rozlecieć, a przecież na to nie wolno się było narażać, wobec konieczności wymarszów do Nowotrojska.

A gdy już paczka z nimi doszła, okazało się, że półbuty są dla mnie za małe, w ogóle nie mogłam ich włożyć. A na Mamę były za duże. Staralam się nie dawać ich do sprzedania, oficjalnie tłumacząc, że liczę na jakąś ewentualną możliwość zamiany, gdyby się komuś trafiły za duże, bo wszystko może się zdarzyć. Nieoficjalnie marzyłam, że przydadzą się dla Wandzi,

"gdy już z nami będzie", ale przestałam się już do tej swojej niezłomnej nadziei i pewności przyznawać.

Przykro mi było, że tak prozaiczny powód nie pozwolił mi odwiedzić moich przyjaciółek sprzed wojny w ich kazachskim miejscu zamieszkania. Sądziłam jednak, że to się tylko odwlecze. Tylko, że : "Co się odwlecze, to i uciecze"...

Przeniesienie rodziny współmieszkańców

Tuż po świętach wpadli do naszej kwatery "dygnitarze": Kazach "uprawiajuszcy" - brygadzysta Gałysz, agronom i pre-ciedateł" / Trzej Kosjanie/. Zjawili się niespodziewanie wczesnym rankiem i kazali państwu Wojciechowskiemu zbierać się natychmiast, ponieważ są przesiedleni na trzecią fermę i podwoda już zajeżdża. W Tiki Butaku czeka na nich praca, od której nie uda im się wykręcić.

Ruch zrobił się niesamowity. Oczywiście skazani na nowe przesiedlenie nie mieli na nie najmniejszej ochoty, bo każdy bał się zmiany i zaczynania "na niepewnym". Dygnitarze oprócz wrzasku, w czym sobie używali na całego, porywali w zapale i pośpiechu, co im wpadło w ręce, aż biedni skazańcy sami się tym skwapliwie zajęli, bo zbyt wiele zamieszania z wyciąganiem i zanoszeniem przez obcych, rzeczy naszych lub obu przyszłych traktorzystek i wnoszeniem ich do izby przez nas lub Felę i Elę, którym taka pomoc nie przypadła do gustu.

Przemikę władze, jazgocząc bezustannie, chełpiły się z triumfem, że cała ta akcja odbywa się za karę, ponieważ nikt z tej "zawziętej" rodziny nie pracował przez jesień i zimę, mimo codziennych /istotnie!/ nawoływań i nakazów. Przy okazji zapowiedziano nam następną kolejkę w przewidzianej czystce Centrali, od nierobów, jedzących chleb za darmo. Odnosiło się to do mnie, oczywiście, bo Ojciec do niedawna pracował w drukarence, której obaj drukarze nie mogli już w żaden możliwy sposób dłużej zapakowywać i pracowicie rozpakowywać, mimo usilnych starań. W końcu ją wywieziono, ku szczeremu żalowi obu fachowców.

Szanowny uprawiajuszcy nie zapomnieli ani Eli ani mnie naszych przewinień: zejścia z roboty na sianokosach, a potem kupienia sera w mleczarni na Dolnem. Cieszyła go satysfakcja z zemsty, z czym się bynajmniej nie ukrywał.

Pożegnanie z zaprzyjaźnioną rodziną runęło na nas, jak jeszcze jeden grom z jasnego nieba. Mama szczerze się przywiązała do zawsze pogodnej, mimo wiedocześnie nasilającej się choroby, pani Wojciechowskiej, Ojcowie pomagali sobie w sprawach zaopatrzenia w opał i też mieli wspólne tematy. Wszyscy docenialiśmy skrzętną pracowitość i zmysł praktyczny Feli,

a także naszą przyjaźń z Elą znalazła zrozumienie u obu rodzin.

Panie z naszego sąsiedztwa przez korytarz zabowiwały nas czasem dykteryjką o dwóch więźniarkach, które odbywszy karę, po siedmiu latach wypuszczone ze wspólnej celi, jeszcze przed więzienną bramą kończyły swoją rozmowę przez dwie godziny, a sugerowano w ten sposób, że my obie z Elą mamy właśnie wszystkie dane ku temu. Śmiałyśmy się, że chyba mają rację, ale mogłyśmy nieraz i pomilczeć przy sobie, bo rozumiałyśmy się także i w milczeniu.

Pospiesznie przepisywałam dla niej ulubione wiersze z ostatnio otrzymanej od Lolki "Antologii Liryki Polskiej" Wacława Borowego, aby miała "choć coś" na tę naszą rozłąkę. Miałyśmy nadzieję, że niezbyt długą, bo przecież nam też wygrazali.

Odprowadziłam ich spory kawał drogi, poza "gliniane dołki" skąd wracałam z wielkim smutkiem, tymbardziej, że opuszczali Centralę zmartwieni dalszym, nieznanym losem, który wyznaczono im za karę, co nie mogło napawać optymizmem.

Strasznie smutno i pusto zrobiło się po ich odejściu.

A wieczorem, gdy już pożegnałam się na dobranoc z Cesią i Matyldzią, z którymi stałam na progu, naturalnie wciąż przeżywając wydarzenie dnia, gdy wróciłam do izby, opustoszałej nieoczekiwanie do trzech osób, gdyż obie Marie powędrowały do Swojej fermy Dżyłdykara, żal mi było tak bardzo, że gotowa byłabym nawet sama śpiewać Godzinki.

Pożegnanie Sigizbaju

Za parę dni, dokładnie piętnastego kwietnia / w pierwszą rocznicę opuszczenia Kraju: przekroczenie granicy na rzece Zbrucz.../, 1941 roku, dwukółka z wołem podjechała pod nasze drzwi.

- "Dawaj! Sobieraj się! Dawaj skarej!" - krzyczeli teraz do nas.

Nie było rady, ani wykrętów. Zaczęliśmy się zbierać.

..- Leć, zawiadom Ciocię Izę. Może jednak zechce być z nami - zwróciła się do mnie Mama.

Ciocia się nie zdecydowała.

- Właściwie wszędzie tu jest jednakowo... Ale tu, w Centrali przynajmniej jest szpital na miejscu... Zostanę...-

- I przyszła pożegnać się z nami,
 I znowu, tak jak wszyscy wyszli przed barak pożegnać państwa
 Wojciechowskich, tak teraz zebrał się z naszego powodu.
- Do widzenia! Żegnajcie!...-
 - Bądźcie zdrowi!
 - Trzymajcie się! -
 - Pa, do widzenia! -
 - Jedźcie z Bogiem! -
 - Zostańcie z Bogiem!...- podaly ułozą z obu stron, a ró-
 nocześnie podjechała większa podwoda i zaczęto wynosić rzeczy

pani Ani Nowokowej z dziećmi: Dziunią i Jerzykiem, pani Korzy-
 nienskiej, z tej samej izby, z dalszej pani Kierepkowej z Ma-
 tyldzią, do wysłania razem z nami do Tiki Bułaku.

Gdy cała kawalkada wyruszała, udało mi się wygrzebać jakieś
 niewielkie miejsce na wozie, aby chociaż Mama przysiadła, bo
 była przecież taka słaba. Barazo. W dodatku przechodziła cięż-
 ko zapalenie uszu, leczyć nie było czym, wygrzewać, brak wa-
 runków i bardzo zachwiany zmysł równowagi utrudniał okropnie
 Mamie normalne chodzenie: zataczała się, bezsilna.

Usiadła więc, a raczej przysiadła gdzieś tam z brzeżku i Ka-
 zach trzasnął z bicza:

- "Оссь! Оссь!" - huknął na zwierzę, a posłuszny wół faktycz-
 tycznie ruszył z miejsca.

- Właśnie w tej że chwili zjawił się Gałysz, którego przed
 chwilą nie było i podniósł wrzask, że nie wolno Mamie siedzieć
 na wozie, bo wół się zmęczy!

Protestowałam energicznie, on wrzeszczał, ludzie się roz-
 stąpili, bo nacierał, chwycił Mamę za rękę, aby Ją ściągnąć z
 wozu. Ja złapałam jego dłoń, wystraszona, że Mama spadnie.

Woźnica zatrzymał wóz i Mama sama zeszła. Woźnica ruszył,
 Mama chwyciła się brzegu podwody, aby iść przy niej, trzyma-
 jąc się, a Gałysz, zobaczywszy to, uderzył Mamę po tej ręce!

- Ludzie, ratujcie! A to cham! - wrzasnęłam i z całej siły
 uderzyłam jego po tej "karcącej dłoni".

Gałysz zamachnął się na mnie, wściekły, ale odskoczyłam na
 czas, a Mama krzyknęła na mnie:

- Przestań! Uspokój się! - i odstąpiła od wozu.

Gałysz klął po rusku i po kazachsku, ja przekrzykiwałam go
 po polsku, biorąc zebranych na świadków, co on śmiał zrobić.
 Ojciec znalazł się tuż przy Mamie i odprowadził Ją na bok,
 a ja wtedy rozejrzałam się po ludziach...
 Popatrzyłam i umilkłam.

Popatrzyłam i umilkłam, pewnie z rozdziawioną jeszcze gębą.

Całe to „kochanych rodaków skupisko” patrzyło na mnie z jakąś niemą tępotą. Ci, którzy przed momentem tak serdecznie nas żegnali, niektórzy z współczuciem, niektóre, ściskając ze łzami w oczach, teraz patrzyli bez jakiegokolwiek oznaki chęci poparcia mnie w moim świętym oburzeniu! Na ich oczach uderzono starszą i bardzo skąbą kobietę /Polkę! / za to, że idąc w daleką drogę 25 kilometrów, ośmiela się trzymać wozu, a oni... nic? Jak to tak?...

- O, Boże, Boże!... - nie mogłam pojąć.

Ruszyłam z kopyta i już nie patrzyłam na nikogo. Niemogłam na nich patrzeć!

Potem, potem, swe żale wylałam przed Ojcem.

- No, cóż?... - powiedział - My odchodzimy; oni zostają... To wszystko.-

- I jak to tak? To tak można?... - oburzałam się.

- Każdy bał się narazić temu Gażyszowi. Wiesz najlepiej, jak jest mściwy... - wyjaśniał

- A więc: tchórze! Tchórze! - używałam sobie.

- Może to za ostro? Może po prostu to poczucie odpowiedzialności za własną rodzinę, przezorność, ostrożność. Każdy ma kogoś bliskiego... -

- Tym bardziej! Przecież musi się stawać w obronie słabszych! -

- No, więc ty stanęłaś. Nikt ci tego nie miał za złe, nikt nie przeszkodził. Uważali, że to była twoja sprawa. A sami mogli myśleć wtedy o swoich dzieciach, których nie chcieli narażać na zemstę, bo to byłaby krzywda dla tych dzieci... -

- To strasznie skomplikowane i chyba wykrętne - mruknęłam.

- Nie. Tylko człowiek zawsze powinien najwięcej wymagać od siebie. A dla innych mieć więcej tolerancji: może ich na to nie stać?... To jest sztuka życia... -

w gorzkim milczeniu ~~zostaliśmy~~ Sigizhaj, po prawie rocznym w nim pobycie. opuszczaliśmy

Wnosiłam jeszcze jedno doświadczenie życiowe na pożegnanie.

Przybycie do Tiki Bułaku

Początkowo szliśmy tą drogą, którą przybyliśmy z Łaj Bułaku: z Centrali w kierunku południowo-wschodnim. Potem, po kilku kilometrach, na rozstajnych drogach skręciliśmy w prawo ku południowi, do Tiki Bułaku, czyli owczej fermy.

Osada to była znacznie mniejsza od Centrali, ale troszkę większa od Łaj Bułaku / ~~koźła~~ ferma/. Liczyła zaledwie trzy domy, jeden po jednej, dwa po drugiej stronie placu, czy też podwórza, parę długich owczarni i kilkanaście lepianek kazachskich.

Gdy wkraczaliśmy do osady, na progu najbliższego domu stanął nieduży blondyn, który wychodząc, zatrzymał się na nasz widok. Od razu widać, że Polek. Osądziłam, że musi być młodszy ode mnie, więc zwróciłam się do niego z pytaniem dość poufale:

- Wiesz pewnie, gdzie ulokowano rodzinę państwa Wojciechowskich z Centrali? Pokażesz?..-

- Wiem, wiem! Ale pokazać trudno, bo skierowano ich do Kutduku, a to pięć kilometrów, w tamtą stronę!- machnął ręką i roześmiał się.

- Jak to? Jeszcze dalej? Samych?- pytałam, zastanawiając się, co w tym śmiesznego.

- Tak, samych! Tam nawet nie ma osady: całkiem mała stanicca. Dwie chałupy i owce!-

- A co z nami zrobią?-

- Już jest dla was kwatera: tam! To była łaźnia owiec...-

- Łaźnia? Owiec?...-

- Tak. Przed strzyżeniem owce się kąpie. Ale teraz to kazali naszym dziewczętom wymalować gliną i bądziecie tam mieszkać.- tłumaczył mi po drodze.

- Jak ci na imię?- uprzejmie zapytałam.

- Zbyszek. A tobie?- zrewanżował się pytaniem.

- Ala- odpowiedziałam, a on znów się roześmiał.

- Co mu tak wesoło?- zdziwiłam się w myśli, ale zbliżyliśmy się do kwatery, więc skoczyłam zając miejsce przy oknie.

W owczej rażni

Sien dość obzerna lecz ciwnia

Sien dość obzerna, lecz ciwnia poprzedzała izbę. Kle-

pisko w tej sieni zapadało się po jednej stronie w gęboki i rozległy dół, w którym, jak nam później wyjaśniono, po napełnieniu wodą, kąpano ńwce. Naprzeciw wejścia od dworu, do którego prowadził nędzny szczątek dawnych drzwi, było wejście do izby, przeznaczonej dla wykąpanych owiec, dopóki nie zdecydowano przekazać jej Polakom, na usilne interwencje władz centralnych sołchozu Tas Bużaku, chcących pozyc się "nierobów".

W tej izbie zajęłam dla nas najdalszy od drzwi, prawy kąt przy oknie. Współlokatorzy wchodzili i zajmowali kolejno miejsca przy ścianach, wnosili swe rzeczy i bagaże. Zyszek pomagał od początku, a wkrótce też nadchodzili inni rodacy, chętni do pomocy i poznania nas.

Zjawili się bracia Kapańczyńscy z matką, jakieś inne panie i dziewczęta w różnym wieku. Cała ta polska społeczność mieściła się w dwóch domach. Po drugiej stronie placu dom przeznaczony na biuro, posiadał jeszcze oprócz tego mieszkanie tutajszego uprawiającego, również Kazach, jak i tam, w Centralii ^{czyli} drugie, ^{chyba} zajmowane przez rosyjską rodzinę.

Pokazano nam sklepik spółdzielczy, mieszczący się w malutkiej chałupinie, na przeciw naszego wejścia, niejako na tym samym podwórku. Ucieszyłam się, że nie będzie nam daleko po chleb! Wyprowadzono mnie z błędu: chleba w Tiki nie wypiekano, bo nie było piekarni. Za to sprzedawano mąkę, jeśli była.

Wskazano nam drogę do rzeki, skąd brało się wodę.

Piec kuchenny znajdował się w naszej izbie na prawo od drzwi, przy tej samej ścianie, wspólnej z sienią. Oprócz "naszego" jeszcze jedno okno wychodziło na placyk przed biurem, na którym to placyku królowała nad osadą drewniana trybuna.

Ktoś rozpalił pod kuchnią, poprzynosiliśmy wodę z rzeki, dość odległej, szeroko rozlanej, głębokiej do kolan. Woda dość czysta.

W spółdzielni sprzedano nam na powitanie po dwieście gramów mąki na rodzinę. Mama zrobiła z niej zupę, według całkiem prostego, miejscowego przepisu: Sypie się mąkę na wrzątek, cały czas mieszając. Jak się zagotuje, jest gotowa. Lepsza z solą. Taka mączna zupa nazywała się "bałanda."

Staralam się pomóc Ojcu i jakoś pozbijał z powrotem tę pryczę, którą przed załadowaniem na arbę musiał rozłożyć na czynniki pierwsze.

- No, Gogurdzięki, wreszcie się człowiek położy i wypocznie

po takim strasznie męczącym dniu!...- westchnęła Mama. a niewątpliwie wszyscy wyczekiwali już pory spoczynku po marszu, trudach i emocjach nowego zakwaterowania. Dzieci pierwsze ucichły: padły ze zmęczenia. Bardzo szybko cisza zapanowała w glinianej komnacie i sen zmorzył strudzonych tułaczy.

Gdzieś ostatkami świadomości strzeliła mi do głowy płożąca myśl, że rano wszystkich będą wypytywać o sny, bo to wiadomo: na nowym miejscu, czyli pewnie się spełnią.

"Z całą pewnością!", jak to mówił radiowy Radca Strońc
- Ciekawam, jak tym biedakom jest tam w tym Kuduku?...- westchnęłam jeszcze i usnęłam.

Pierwsza noc w Tiki

Przyśniło mi się, że gdzieś upadłam w osty i kłują mnie setki igiełek, które zamieniają się w żywy płomień i pieką mnie ze wszystkich stron. Odczuwałam to pieczenie rzpaczliwie realnie.

- O!, nie! Co to, to nie!- krzyknęłam we śnie strasznie zbu-
zbuntowana, a ten przyśniony krzyk mnie obudził.

- Co to? Co się stało?!...- gdzieś zjawily się, migotały i gasły zapalki, słychać było szepty, potem płacz dzieci i jakiś gorączkowy ruch.

- Palą mnie ręce! I cała skóra! O, Boże!- zerwałam się.

- Świeca! Tu była świeca!...- usłyszałam przyciszony głos pa-
pani Korzeniewskiej.

- Cicho, Jerzyku, już, już.. Nie płacz...- uspokajała pani Ania synka.

Zabłysł nikły płomyk świecy. Wyciągnęłam nogę spod pierzyny bo mnie piekła. Patrzę : mrowie!

- Jezu!...- jęknęłam

- Pluskwy! Jak babcię kocham, pluskwy!...- odezwała się pa-
ni Kierepkowa.

- Ach!... Tak!.. cała noga pokryta mrowiem pluskiew! I drugą!
I ręce!...- zerwałam się, zaczęłam z siebie zgarniać, na ziemię, na glinę, zdeptywać! Strzepywać i zdeptywać!..

Wszyscy już wojowali z tym wrogiem ludzkości. Słychać było trzask i czuć było smród! Surowej krwi i pluskiew! Zdawało mi się, że oszaleję! Bałam się, że to możliwe. Że to tak.

będzie musiało się skończyć. Zagryzłam wargi do krwi, żeby mi jeszcze i tam nie wlażyły i żeby nie ryczeć, jak rżnięty bawół! Jak dziesięć, jak sto, tysiąc rżniętych bawołów!

- Jezu! Zmknij się nad nami! - modliłam się w duszy, płakałam, klękałam: - Bódaj byście pozdychały! Wstrętne krwiopijce!" trzepałam na sobie koszulę, na klepisko i skakałam, jak szalona, aby rozgnatać, co tam spadnie. Koszmar! Makabra!

Oto właśnie sprawdził mi się ten pierwszy sen na tam cudownym nowym miejscu, oczekującym Polaków! Kolce, ukłucia, ogień i krew! I piekący ból. Rzeczywiście nasz kochający i przyjazny nam brygadzysta Gałysz, wiedział, jaką na nas karą zemścić się najskuteczniej!

Teraz tamta izba w owczarni tasbułackiej, chociaż wichrem podszyta, dmuchającym z komina bez szubra, i z drzwiami bez klamek, nawet nieopalana, wydała nam się utraconym rajem.

- Boże! Litości! Co jeszcze? Co jeszcze nas tu czeka? Czy do końca życia będę się uczyła, że nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej?!...-

Straszna była ta noc. Tym straszniejsza, że to było całkowitym zaskoczeniem, które spadło na nas zupełnie nieoczekiwanie, po ciężkim dniu. Chyba znacznie gorsza od tamtej, na Wszystkich Świętych, gdy wielkie płaty rozmokłej gliny padały lub lały się na nas z deszczem z dachu, tworząc coraz większe otwory na zimne deszczowe prysznice.

Świeczka wypalała się szybko, więc trzeba było ją zgasić, bo jedyna w całym majątku wszystkich mieszkańców wybranej dla nas kwatery. Rozgniatało się więc to mrowie po cienku, na oślep, na sobie i na pościeli.

W końcu, zmordowani do ostateczności, pousypialiśmy, przeważnie wśród bezsilnego płaczu.

Do roboty!

Przed brzaskiem wpadł miejscowy Kazach uprawiający tej fermy, z paroma innymi Kazachami i wrzaskiem, awanturą zaczęli energicznie pędzić nas do pracy. Oczywiście po takiej nocy zakrzyczeliśmy ich swoimi słusznymi pretensjami. Gdy zrozumieli, o co nam chodzi, zaśmiewali się, a jeden, aż się klepał po udach z radości.

- "Kłop? /pluskwa?/ Nymyny bar?" /A cóż to takiego?/, Oj, ba. jof!... - to wydało im się takie śmieszne.

[~~dziś~~, wystarczy]

- "No, kaido! Bokde, bokde, dziekede! Prywykniesz nie zoch-
niess!" - zasypał nas władca autorytatywnie, uważał temat za
wyczerpany i zakończył nieustannym: „Nada robotat!” -

W końcu faktycznie trzeby było do roboty iść, jeśli nie
chcieliśmy się narażać na progu.

Mój Ojciec, który od czasu zranienia nogą na budowie sta-
le miał ją opuchniętą, a uszkodzony paluch bolesny, został wy-
typowany do opieki nad cielętami. Nigdy w życiu nie miał do
czynienia z czymś podobnym, toteż nie przeraził się powierzona
mu funkcją, czy odpowiedzialnością. Pokuśtykał do obór, bez
pojęcia o tym, czego czeka.

Mnie przeznaczono do owiec. Przy owczarni spotkałam Argrze-
ją Kapałczyńskiego, który rzuciwszy na mnie okiem zawołał:

- Idź, dziewczyno, dobieraj się porządnie, bo do wieczó-
ra zamarzniesz na kość! - i pokazał, że ma futrzaną czapkę,
rękawice i solidne buty, a pod kurtką porządny swetr.

- Nie sądzisz, że w ciągu dnia zrobi się upał? - upewnia-
łam się, pamiętając wiosnę w centralnej i Górnej fermie Tas
Bułaku.

- Nie! Pewnością nie! ale nawet, gdyby, to można póź-
niej coś z siebie zrzucić! Posłuchaj mnie, bo już mam z tym
do czynienia! - wołał, już odchodząc ze swym stadem.

- Pobiegłam do domu, wdzięczna za radę.

Jeszcze stałam przy czabanach, w oczekiwaniu na przerna-
czone mi stado, gdy z jednej strony nadszedł Zbyszek, z dru-
giej jedna z pań.

- Dzień dobry! - ukłonił się

- Dzień dobry! Panie magistrze, mam do pana małą prośbę...
zaczęła, a ja zdębiałam z wrażenia:

- Co? Panie magistrze?... - powtórzyłam szeptem, zaskoczona
Musiał usłyszeć, bo się roześmiał, tak jak poprzedniego
dnia, a mnie właśnie porwano do tych moich owiec i wskazano
miejsce wypasu. Niedaleko, za lepiankami, na terenie pomię-

dzy trzema rozległymi dołami, wypełnionymi jeszcze śniegiem.

Trawka już się zieleniła, niewysoka, jasnozielona, schowa-
na pomiędzy zdrewniałymi, kolczastymi karagajami, wysokimi
do pół łydki. Owce radziły sobie z wyskubywaniem jej, jagnię-
ta też próbowały, ale jeszcze karmiły się mlekiem matek.

Stado liczyło dwadzieścia dwie owce i czterdzieści cztery jagnięta, bo mi właśnie dano stadko z bliźniętami. Pouczono mnie, dokąd wolno, a dokąd nie wolno owiec dopuszczać, pokazano, z której kachy śniegu mogą zwierzęta zlizywać śnieg.

Na koniec stary, chyba najstarszy ze wszystkich czaban zapowiedział, że mam tam pozostawać tak długo, aż dopóki mnie nie zawołają. I nie wolno nigdy żadnego stada znieść z innym, bo potem trzeba by cały dzień je rozdzielać i bardzo dużo jest z tym kłopotu.

Kręciłam się więc przez cały dzień pomiędzy tymi rowami, coraz gorzej zmordowana, bo ziemia tam była zbyt surowa, aby choć na chwilę przysiąść. Ani śladu wiosny, takiej, jaką panowała na Górnem! Wielkie łachy śniegu na północnych stokach falistego gruntu w Tiki Bułaku i w tych dołach, tuż za osadą, a reszta to ziemia zimna, surowa i drętwa.

Błogosławiłam Andrzeja, za jego dobrą radę, bo jeszcze przed porą popołudniową zmarzłam, mimo swetra pod zimowym płaszczem, a bez tego byłoby mi znacznie gorzej. Głowa bolała mnie coraz dokuczliwiej, a pod wieczór, ledwie mogłam patrzeć. Powietrze wydawało mi się wprost zabójcze. Odnosiłam wrażenie, że jakiś niesamowity zaduch przewierca im płuca i świdruje skronie.

Nie pamiętam, czy cokolwiek jadłam tego dnia. Pamiętam, że kiedy wreszcie zawołano mnie, abym przygnała swe stadko do owczarni, wlokłam się ostatkami sił i walczyłam ze łzami.

W domu Mama oczekiwała mnie z kartoflanką, Tato przewijał obolałą nogę, zmordowany do ostatniego tchu piasieniem niesamowicie niesfornych i rozbrykanych cieląt. A wszyscy rozmawiali na temat całodziennych spotęgowanych, wspólnych wysiłków w tępieniu zadomowionych lokatorek gliniastych ścian, gliniastej polepy i gliniastego sufitu, bo nawet z sufitu padały.

Jedne panie próbowały polewać glinę wrzątkiem, inne usiłowały wydrapać glinę tak głęboko, aby się dostać aż do gniazd, inne chciały zaradzić zru czymś w rodzaju łuczywa, a wszystkie marzyły o jakimś proszku owadobójczym i o wytruciu insektów tego i wszelakiego rodzaju.

Niestety! Noc niewiele różniła się od poprzedniej, chyba jedynie tym, że inwazja nie była takim zaskowieniem. Zdawało się nam, zbyt optymistycznie, że wytąpiwszy aż tyle, czyli pomniejszając liczbę pasożytów, doznamy niejakiej ulgi. Skądże! Mrow

Mrowie i już! Może nawet jeszcze bardziej zażarte!

Do końca życia, w najgorszych sytuacjach, gdy człowiek myśli sobie, że już jest strasznie źle, przypominam sobie tamte nocce, aby sobie zdawać sprawę z tego, że zawsze może być gorzej, że należy docenić fakt, iż tamto pozostało w przeszłości.

Rozczarowanie

Jeden z pierwszych listów, otrzymanych w Tiki Bułaku, donosił, że owa paczka oczekiwana od dawna, wysłana do nas od Dzidki, wróciła do nadawcy. Miód, który w niej wysiadał w puszce, wybuchł, rozerwał puszkę i tak się rozlał po paczce, że przeciekał przez opakowanie. Strasznie nam było szkoda, także z powodu kaszy krakowskiej, o której pisała, że wysuszyła ją zacieraną jajkami, aby była pożywna. Jaka poważna i nieoczekiwana strata!

Mama ubolewała, że Dzidka: "i sama nie zjadła i nas nie nakarmiła!" Nie mówiąc już o kosztach całej pozostałej zawartości paczki oraz kosztach wysyłki! A przecież wszystko tam też drożało!

- Już lepiej było wysłać te pieniądze...-

- Gdyby człowiek wiedział, że upadnie, to by siadł!...-
 ucięłam dyskusję, zmęczona, zła, rozczarowana, głęboka i zniecierpliwiona narzekaniem Mamy, równocześnie wściekła na siebie za brak wyrozumiałości i grzeczności, całkowicie nieusprawiedliwiony.

Zmiana stada i terenu

Noce były potworne w tej izbie, więc przeniosłam się na spanie do sieni, z nadzieją na zmniejszenie udręki. Może faktycznie było trochę lepiej, ale nocą przez sienię przechodziło tam i z powrotem tyle osób, człapiąc, szurając drzwiami izby, i potykając się po omacku, że rano dźwignęłam się z ziemi, niczym zбитy pies.

Ale w pracy miałam sukces, który zresztą nie był wcale moją zasługą. To moje owce spisywały się na medal: żyły! Pouczono mnie bowiem, że za jedną choćby sztukę, która padnie w ciągu dnia, potracając temu, kto jest za dane stado odpowiedzialny, czyli je pasie, całą miesięczną premię w wysokości

trzydziestu rubli. Za pracę jednak wypłacają całość: trzydzieści rubli miesięcznie.

Ze zdziwieniem pytałam Andrzeja, jak mam to rozumieć: "Jeśli owca padnie"? Niby dlaczego miałyby paść?-

- Wiesz, one wszystkie są chore na gruźlicę płuc. Czy nie zwróciłaś uwagi, że kaszlą?-

- Tak, rzeczywiście! Nawet zastanawiałam się, dlaczego ~~o~~ oprócz meczenia wydają inne odgłosy, podobne do kaszlu...-

- No, właśnie, to jest kaszel. Najgorzej w nocy, kiedy są w owczarni, w zbitym stadzie. Jest im ciepło, a przede wszystkim duszno. Wtedy kaszlą i niejedna pada...-

- A za to kto odpowiada? Komu potrącają premię?-

- Za to powinien odpowiadać czaban, ale zootechnik badał te owce, więc to już wiadomo, że jakiś tam procent może paść.

- A co robią z tą padliną? Chyba jej nie jedzą...-

- Nie! Wyrzucają do tych dołów, przy których ty pasiesz bliźniacze jagnięta...-

- Ach, to dlatego tam jest taki niemożliwy smród...-

- Tak! Tych dołów nie zasypują, "bo nie warto!" Po każdej nocy dosypują tam padlinę...-

- Przecież to czysta zaraza! Musimy im powiedzieć! Ciemny naród nic nie rozumie!...- denerwowałam się.

- Faktycznie nie rozumie! Czy myślisz, żeśmy im nie mówili? Wszyscy! W końcu pozwolili nam samym osobiście co dzień zakopywać to, i to dopiero po pracy! Do tego by nam za pracę nie liczone! Ale kto ma na to siły? I czym? Gołymi rękami? Ziemia zamarznięta, a tu ani kilofów, ani łopat! Wreszcie Usatow, to agronom, Rosjanin i jedyny tu rozsądny, przyznał nam rację

- No, i co? Przecież nie zasypują?...-

- Zamówił narzędzia. Będzie się to zasypywać, kiedy te narzędzia dojdą...-

- Oho! "Czekaj tatka latka", a tymczasem...-

- A tymczasem powiedzieli nam swoje ulubione przysłowie: "Prywykniesz nie zdochniesz!"!-

Wzięłam sobie do serca te relacje: ó Nie będę pasła nad tą gnijącą padliną!- Z tym postanowieniem ruszyłam rano do pracy, ale zanim pozwolono mi dojść do słowa, okazało się, że owe owce z bliźniętami powierzono jakiemuś chłopakowi rosyjskiemu i pozwolono mu je pognać już dalej, w innym kierunku, bo dla mnie przewidziano duże stado samych cwic, dwieście

cie sztuk, na dalszą trasę.

Równocześnie wyłeczone z domy Matyldzie i dano jej nieco mniejsze stado, na pogórku, sąsiadującym z noim pagórkem. Na dalazym, podobnym pagórkem, wznoszącym się naprzeciw naszym dwóch, królował Andrzej ze swoim stadem.

Przedwiośnie w Tiki Bułaku

Zimą przemięła zwolna, coraz mniejsze stawały się te łachy śnieżne, na których "połky" się owce. Marzliśmy w zimowych piaszczach i swetrach, całymi dniami. Andrzej i Matyldzia mieli na szczęście jeszcze polskie buciki; ja przytupywałam w tych swoich mesztach, którym mocno pozdzierały się skupkowe obcasy, w owej pamiętnej jeździe z lodowej góry do Nowotrojska. Wiatr stepowy przewiewał nas na wylot.

Najbiedniejszy jednak był Tato, który całymi dniami kuśtykał za tymi głupimi cielakami, ponieważ nieustannie goniły, każde w inną stronę, gotowe nawet samotnie pognać w step i tam się zgubić. Do domu wracał ledwie żywy. Nie pamiętam już skąd zdobył dość gruby kij, który z pewnością był zbyt ciężki do machania nim, w celu zapędzenia nieusłużanych cieląt, ale przynajmniej służył do podpierania się, co przy coraz gorzej spuchniętej nodze było po prostu konieczne.

Mama medial prowadziła to nasze, pożałujcie Boże, gospodarstwo domowe, czyli przynajmniej nie była szarpana do przymusowej roboty. Do rzeki po wodę musiało być okoko półtora kilometra., czyli dużo dalej, niż w Sigizbaju.

Znacznie lepiej za to usytuowana była ta minimalna spółdzielnia, po drugiej stronie podwórka. Zamiast chleba, którego nie było, sprzedawano nam, jeśli była, mąkę, licząc po dwieście gramów na osobę niepracującą i po trzysta na pracującą. Jeżeli mąki nie dowieziono i kiedyś jej nie sprzedawano, za następną dostawą nie wyrównywano nam tych braków. Cażkiem zwyczajnie liczone zawsze tylko dzień bieżący, nie uwzględniano i nie wyrównywano niczego wstecz.

Z tej czarnej mąki piekło się na blasze podpłomyki, znakomite, gdy można było dodać do ciasta / woda, mąka, i jeśli była, to szczyptą soli / także i potaż, z paczki. Po jednym takim placku, wielkości dłoni / bez palców /, dostawaliśmy od Mamy na cały dzień, wychodząc rąnkem w step, ale po powro-

cie starała się Mama mieć dla nas jakąś zupę, o co w okresie po otrzymaniu jakiejś paczki bywało znacznie łatwiej.

Po prowiant chodziło się z Tiki do niedalekiego kołchozu odległego o dwa kilometry. Ucieszyłam się z tej informacji, lecz rozczarowanie było dość uzasadnione. Cały ten kołchoz był osadą nawet mniejszą od trzeciej fermy, może nawet też mniejszą, niż chutor Górne na czwartej fermie. Ot, kilka lepi pianek kazachskiej biedoty. Cóż tam można było zdobyć? Cały Tiki Bułak biegał tam po jajka, kury, ziemniaki, mąkę, czy ja jagły i to już właściwie wyczerpał się cały asortyment możliwości zaopatrzeniowych w tym całym kołchozie. Mieszkańcy jego dzielili z nami swe nader skromne zasoby żywności, aby za nie zdobyć od nas odzież. Nie powodziło im się ani w połowie tak, jak gospodarnym Bułgarom w Nowotrojsku, gdzie też gleba była odpowiednia do uprawy jarzyn, przynajmniej niektórych gatunków. Tam cały kołchoz zyskiwał lepsze plony, rodziny były w stanie wyżywić się dzięki uprawie swych działek. Tu zaś na każdym kroku widać było niedostatek.

Już po kilku dniach zrozumieliśmy, dla czego przeniesiono nas do Tiki Bułaku za karę. Nie licząc choćby samego zakwaterowania, najgorszego z możliwych, tutaj po prostu było ciężiej i trudniej się wyżywić obcym. Nawet tamte wyprawy do Nowotrojska, z Sigisbaju, łącznie z tym koszmarnym wdrapywaniem się w powrotnej drodze po tej stromiźnie, przyrównywanej do Golgoty, teraz mogliśmy oceniać, jako deskę ratunku, której nie było na trzeciej fermie.

Życie toczyło się ustalonym trybem. Mama teraz sama obchodziła tutejsze lepianki, aby za cokolwiek z naszych rzeczy wytargować cokolwiek z żywności. Czasem zdobyła gdzieś trochę mleka, którego właściwie od zeszłego lata już nie mieliśmy. Czasem gdzieś ktoś zabił jakąś sztukę i wtedy wszyscy kupowali po trochę mięsa, informując o tym sobie nawzajem, bo i tak nie było gdzie przechowywać.

Z praniem wybierała się Mama do rzeki, aby wody nie dźwigać. Czasem jednak trzeba było coś przeprać w gorącej wodzie, w domu, więc znowu pożyczala miednicę od pani Nowakowej.

Paliło się tutaj kiziakiem, za który trzeba było płacić, bo żadne zarośla nie rosły nigdzie w pobliżu.

W niedługim czasie po naszym osiedleniu się przysłano jeszcze z Centrali panią Kublinową z Wackiem /bez mandoliny, bo musiał ją zwrócić/ i panią Cesię Jakubowską z Karolem. Pni Kublinowa z synem znalazła miejsce w kącie za piecem kuchennym i sąsiadowała z nami. Pani Cesia zaś w drugim kącie, na lewo od drzwi. Później przysłano panie : Stasię Krukową z synkiem Mietkiem i z siostrą, Haliną Koncewiczową; umieszczono w kwaterze innych polskich rodzin.

je

Tango Nocturno

Na trzech sąsiadujących pagórkach warowaliśmy przy tych powierzonych nam stadach cłymi, długimi dniami: Matyldzia, Andrzej i ja. Zimny wiatr nam dokuczał toteż godziny drużyły nam się bardzo. Andrzej domyślnie, wołał do nas, od czasu do czasu, robiąc trąbkę z dłoni, i podawał nam, która jest godzina, bowiem on jeden miał jeszcze zegarek.

Kiedyś pochwalił się, że obserwował mnie ze swojego pagórka, jak to biegam /beznadziejnie!/ w koło stada i mizernym swym patyczkiem usiłuję spędzać owce blisko siebie, aby się nie rozchodziły zbyt daleko.

- Niepotrzebnie tak biegasz i przejmujesz się nimi!- Muszą się rozchodzić: popatrz, jaka to mizerna trawka! Co mają jeść?

- Boję się, aby nie zeszły do stada Matyldzi- wyjaśniłam- Ostrzegano, że nie wolno mieszać...-

- Tak, ale nie są aż tak blisko. Nie musisz się tak eksploatować. I tak się trzymają stada, chociaż nie będziesz ich tak bezustannie spędzać. Spróbuj!...- pouczał i miał rację.

- Matyldzia w lot pojęła przekazane jej doświadczenie, ~~a-kt~~ z którym się z nią podzieliłam. Przybiegła na mój pagórek, gdzie po swojemu podskakując i przytupując, coś mi tam opowiadała.

- Kiedy tak przytupujesz i podskakujesz, przypomina mi się nasza gimnastyczka i jej komenda: " Pięta, palce, krok polkowy! Pięta, palce, krok polkowy!"- wyskandowałam.

- Pokaż, pokaż!- i skandując do wtóru- już obie podskakiwałyśmy z zapałem.

- Świetna rozgrzewka!...-

- Wiesz co? Przecież możemy to zatańczyć! Zagrzejemy się!-

- Fajnie! Śpiewaj!- i tak się zaczęły lekcje tańca na past-

wisku.

- Da! Ale kiedy ja cienko śpiewam!...-

- Ja też nie mam głosu... Ale nikt nas nie słucha!...-

Śpiewaliśmy faktycznie obie nietęgo, za to trochę czasem fałszywie, ale zawsze rytmicznie, „no i dobra jest!” Wystarczyła nam wzajemna tolerancja pod tym względem i trzeba się było z tym mankamentem pogodzić.

- Moja mama mówi, że człowiek nie musi mieć od razu wszystkich talentów!- zapewniała mnie Matyldzia, w czym przyznawała mi jej rację dość skwapliwie, nie wnikając w detale, o jakie to talenty chodzi, że niby bez tego jednego można się doskonale obejść.

- Szkoda, że nie ma tu z nami Eli Wojciechowskiej...-

- Szkoda bardzo! I to nie tylko z powodu tego śpiewania...-

Lekcje tańca stanowiły odtąd stały punkt programu. Co tylko umiałam, wszystko przekazywałam Matyldzi, która miała wspierać wycucie rytmu, była bardzo lekka w tańcu i nigdy nie brakło jej zapału. Nauczyła się tanga, także z przechodzeniem i z podwójnym przechodzeniem, szlowfoksa, fokstota, bostona, łącznie z "kwadratem", nawet walca w lewo, bo umiała tylko w prawo. Tańczyliśmy także poloneza, mazura i polkę.

- No! To już teraz możemy wracać do Lwowa, aby uszyć ci balową suknię i szykować na pierwszy bal!...- zreasumowałam.

- Na pewno! Może wybierzemy się razem, jak tylko już będziemy we Lwowie, na ten mój pierwszy bal!- cieszyła się mała, a ja tkumiłam westchnienia.. i zwątpienia... Też jeszcze nie przeżyłam niczego takiego, jak pierwszy bal...

- Tańczymy! To uroczyste zakończenie kussu!- zdecydowała moja wdzięczna uczennica i zaintonowała z przejęciem:

- " Choć nas rozdzielił los,
W taką noc złą i chmurną,
Słyszę tango Nocturno..."

a owce nasze, Matyldzinego i mojego stada, słuchając melodii wyśpiewywanej z wyjątkowo głośnym zapałem, zawtórowały nam jak najgłośniejszym beczaniem.

Nie jestem pewna, czy to miał być akompaniament, czy biedne stworzenia straciły cierpliwość i zdecydowały się cudze beczenie zagłuszyć.

Polonia owczej fermy

Zaganiana przy owcach od świtu do zmroku wolno poznawałam naszych mieszkańców trzeciej fermy. W kwaterze sąsiadującej o kilka kroków z naszą łepianką, mieszkały rodziny polskie, w liczniejszym składzie. W tym drugim domu było ich trochę mniej.

Oprócz pani Kapałczyńskiej z Andrzejem i Jurkiem. Była tam pani Horodyska z Jurkiem i Zosią, o sześć lat młodszą pani Zwierzańska z córkami: Krysię, studentką Wyższej Szkoły Handlowej, Hanką, moją rówieśnicą i Janką, rówieśnicą Zosi Horodyskiej, nierozłącznej swej przyjaciółki.

Szesnastoletnia duża i chudziutka Irka Prokopczyc, po niedawnej śmierci matki, w Tiki Bułaku, razem z małym bratem Wiesiem została pod opieką ciotki, wywiezionej razem z nimi.

Irkę znałam wcześniej, z paru jej wizyt w Tas Bułaku, gdzie poza tym leżała też tam w szpitaliku. Jeszcze wtedy nie była sierotą... Odznaczała się żywiołową wesołością, dowcipem i gadatliwością, była pełna pomysłów. Biedula potem całkowicie spoważniała i wydorosła zbyt nagle. Było jej bardzo ciężko, chociaż otaczała ją życzliwość i zrozumienie.

Pani Śniadowska, pianistka, miała dwie córki: Irena kończyła filologię polską, młodszą, Myszkę, studiowała historię. Były w jakiś sposób spokrewnione z paniami: Dzieduszycką i Serwatowską, o których Matyldzia z przejęciem powiedziała mi, że są hrabinami, a ich córki hrabiankami: Lula / Urszula / Dzieduszycka i Wanda Serwatowska, które we Lwowie były na studiach, aktualnie zaś zostały zatrudnione wyglądaniem, naprawą i malowaniem gliną klepiska w jednej, opróżnionej, owczej stajni.

Pani Klankowa to była matka tego Zbyszka, którego oceniłam na szesnaście lat, ku jego jawnemu zachwytowi, bo miał dwa razy tyle, skończył prawo i pracował w Magistracie Lwowskim. Jego siostra Wiesia studiowała też prawo.

- To wszystko to sama inteligencja- mówiła Matyldzia.

Inge Kahane i Marysia Rohatyniec, Żydówki, obie były z matkami.. Obie mniej więcej w wieku Irki Prokopczyc. Marysi dobrze nie pamiętam, bo wkrótce gdzieś została z matką przeniesiona.

Inge wysoka i smukła, czarnowłosa i kędzierzawa, chyba tylko te włosy miała zgodne ze swoją rasą. Duże i czarne oczy, "pałające", już nie były typowe. Twarz owalna, smagła nie odznaczała się wybitnym nosem, przeciwnie, był wyjątkowo zgrabny. Gdy ją wywozili, była w drugiej, /najwyżej w trzeciej/ klasie gimnazjum. Inteligentna, czytana, zapalona kinomanka, ślicznie opowiadała, lub niemal odgrywała liczne filmy. Dlatego nazywaliśmy ją: "filmową Inge". Była koleżeńska i cieszyła się sympatią. Pamiętam, że marzeniem jej życia, jak mówiła, był wyjazd do Palestyny. Nie wiem, czy to się kiedyś jej spełniło.

Pani Tyszkowa miała córkę Ninie, już po maturze i syna Wiesia, lat piętnaście. Wysocy, szczupli, o cichym i spokojnym usposobieniu, jak ich matka.

Gdy pani Łabędzka z Władziem zostali przeniesieni do Tiki Bużaku, z Sigsbaju, serdeczna początkowo sympatia przekształciła się między Ninie i Władziem w wielką miłość.

Przygoda Władzia

Latem to było, w 1941 roku, gdy Władzio został wysłany z Tiki Bużaku do Centrali, w celu dowiezienia tam beczki z ropą naftową. Wół, który ciągnął dwukółkę z tą beczką, był jednooki i znany z niecierpliwego usposobienia. Szczególnie wpadał w poproch, gdy go atakowały muchy końskie. Kazachowie oczywiście dobrze o tym wiedzieli, ale nikt nie ostrzegł nowo mianowanego woźnicy, bez najmniejszego doświadczenia zawodowego w tej specjalności.

Nie zwrócili mu też uwagi na to, że na trasie był taki niebezpieczny zakręt, wiodący z górki, gdzie na dole dosłownie w poprzek drogi wyrastała skalna ściana, którą trzeba było ominąć, skręcając pod kątem prostym.

Słońce grzało, Władzio siedział na beczce, dwukółka toczyła się wolno, wół kroczył sobie bez pośpiechu i niewtajemniczony woźnica usnął. Obudził się za późno.

Arba pędziła z góry na dół, wół galopował na oślep i dyszlem z całej siły uderzył w tę skalną ścianę, która zastąpiła mu drogę. Władzio spadł z beczki, aż gruchnął o ziemię, beczka spadła z arby, dyszel się złamał, koło jedno się oderwało, wół wykręcił sobie nogę.

Najgorsze, że cała zawartość beczki - rozłupanej, wylała się

Biedny, niedolany i potłuczony woźnica, w nader żalosnym stanie wrócił do Tiki Bulaku z krlawym wołem. Władze podniosły wrzask :

- Sabotaż! Popamiętasz, ty, Polaku, ten sabotaż! - wykrzykiwał Kazach uprawiajuszczycy.

Prowadzono unikliwe śledztwo na własną rękę. Przeprowadzono wizję lokalną, skąd przywieziono szczątki rozbitej beczki i połamanej arby. Władzio tłumaczył, że wół, pogryziony przez muchy końskie nie dał się w żaden sposób zahamować. Oglądano jego siniaki i okaleczenia / Władzia/ oraz opuchniętą nogę zwierzęcia, kłnąc siarczyście, wygrażając i obiecując pokazówkę za sabotaż. Awanturowaniu się nie było końca. Pani Łabędzka rozpacziała. Władzio chodził, jak struty. Nini przepłakała całą noc.

Przygoda Nini

Wreszcie postanowiła:

- Zamiast wpadać w beznadziejną rozpacz, muszę działać! - Rankiem zebrała się i poszła prosto w paczczę lwa: do samego uprawiajuszczego, jako do najwyższej miejscowej władzy, wstawić się za Władziem. Opowiadała później, że planowała sobie spróbować skorzystać z przychylności agronoma, Usatowa, dla Polaków, którą ten Rosjanin niejednokrotnie wykazywał w rozwiązywaniu naszych problemów, ale okazało się, że wyjechał służbowo na parę dni. Czas naglił.

Powiedziała Kazachowi, że przychodzi z prośbą, aby Władzia wypadek przy pracy, niechcący i w sposób niezawiniony, spowodowany przez zwierzę, a nie przez człowieka, potraktowano po ludzku. Powoływała się na to, że Władzio sam został przy tym uszkodzony: poraniony i posiniaczony, czyli mają dowód, że to nie miało nic wspólnego z sabotażem. Za sabotaż dawano od pięciu lat w górę.

Na końcu wyjaśniła, że jest narzeczoną Władzia, mają zamiar się pobrać i to jest powód, dla którego odważyła się w tajemnicy przed wszystkimi zwrócić do uprawiajuszczego, bo przecież dzieje jej się krzywda! Śliczna, delikatna, nawet eteryczna panienska rozpłakała się z przejęcia i odeszła z płaczem.

Widocznie to poskutkowało. Sprawa przycichła i powoli wszyscy nabierali nadziei, że do sądu nie dojdzie. Matka

widwajcy zaczęła zyczliwym okiem patrzeć na swą przyszłą synową, o której wcześniej myślała, że jest niezaradna, a obecnie zmieniała tę opinię, zaskoczona pomysłowością dziewczyny. Ninia, szczęśliwa, chodziła z głową w obłokach, uwielbiana przez narzeczonego, dodatkowo, jako jego wybawicielka.

Pracowała wówczas na sianokosach, przy kopiczkowaniu. Pewnego razu, gdy pracowała w wyznaczonym terenie, dość odległym od innych stanowisk pracy, , zupełnie sama, , przyjechał tam na oklep, na wole, jej *dobroczyńca*: uprawiajuszczy.

- "Nu, ka dawaj, kyzymka! Poznakomim sia!" - wyłożył jasno cel swojej wizyty i Ninia zorientowała się, o co mu chodziło.

Nikogo w pobliżu! Żadne wołanie o pomoc nie będzie ratunkiem. Nikt nie usłyszy. Za gwałt czeka kara pięciu lat, ale trzeba to udowodnić, a tu nie ma świadków. *więc napastnik na my boi* Co robić?!

Tysiąc pomysłów przychodziło dziewczynie do głowy...

Mogła się bronić widkami, ale szanse były znikome: on był krępy i silny, a wściekłość dokonałaby reszty...

Zdecydowała się:

- Jeszcze krok, a ja się przebiję! - zawołała dobitnie, zdecydowanym tonem i skierowała widki zębami do siebie, opierając je trzonkiem o ziemię.

Zrozumiał!

Zbaraniał.

Gdyby skierowała je do niego, poradziłby sobie, ale czegoś takiego nie przewidywał. Zaskoczyła go ta polska dziewczyna takim desperackim oporem.

- "Zduryła, cztołi?"/Zgłupiała, czy co?/ z- zaczął po rosyjsku, i kończąc wykrzykiwać po kazachsku, dosiadł swego wolego wierzchowca i popędził go w powrotną drogę.

Dopiero wtedy Ninia, to słabiutkie chucherko, pozwoliła sobie na łyzy.

Batalię wygrała w całej pełni. Nigdy nic podobnego nie powtórzyło się jej; a Władziowi sprawę umorzono.

Opisując te wydarzenia trochę wybiegłam do przodu, pod względem chronologicznym, ale opowiadając o mieszkańcach tej fermy, uważałam, że były nieodłączne do charakterystyki wymienionych osób.

Wróćmy jednak do wiosny.

Przy jagniętach

Z końcem miesiąca wypłacono nam za naszą pracę. Za pół miesiąca, bo pracowałam od szesnastego kwietnia, otrzymałam za wypas piętnaście rubli i tyleż tytułem premii, za to, że moje dobre owieczki w komplecie przeżyły ten okres mojej i ich opieki!

Z triumfem przyniosłam zarobek Mamie.

- No, cóż... dobre i to... Za taką pracę, na tych sienokosach na pierwszej fermie, nie wypłacono ci wiele...-

- Bezprawnie, bo dwa tygodnie tam przepracowałam. Ale tak nas zastraszyli tym sądem, że nie można było o tym nawet wspominać, bo by się zemścili...- wciąż mam jeszcze piekielną niesprawiedliwość.

- Wokół temu za tych trzydzieści rubli można było jeszcze coś kupić, a teraz? Choćby jajka, na początku były po rublu, a teraz są po trzy... - martwiła się Mama.

- Wychodzi na to, że przez pół miesiąca pracy od świtu do zmroku, w świętek i piątek, bez wolnego dnia zarobiłam aż już dziesięć jajek- przeliczyłam- to nawet nie byłoby jajko za dzień pracy...-

- Be! Żeby choć można kupić!- zauważyła Mama, a widząc moje rozczarcowanie, dodała: - Lepszy rydz, niż nic! Pochodzę, może coś zdobędę...-

Pierwszy naj minął nam niespostrzeżenie, bo owce nie świętowały i trzecia je było wyganiać. Przybył zootechnik i zapowiedziano, że Andrzej i ja mamy zostać przy owczarni na fermie, inni wyganiali stada na wypas.

Gdy już zgodnie z ich planem stada wypędzono, zootechnik uznał, że czas zabierać się do roboty.

Przez stajenną furteczkę w przegrodzie wypuszczano po jednym jagnięciu. Niektóre z nich zaganiano na wybieg po jednej stronie "koszar" / owczarni/, inne, po sztuce, podawano zootechnikowi, który po dokonaniu jakiegoś zabiegu, puszczał na ziemię biecące rozpaczliwie jagnię i kazał bym kijkami je potrącać, aby nie usiadło i zmuszał do stania lub chodzenia.

Obserwowałam to przez jakiś czas, poganiając płaczące jagnięta, ale nie mogłam się pochwalić, że rozumiem cokolwiek z tego, co się dzieje i w czym uczestniczę.

- Dlaczego tym biedakom nie dadzą usiąść?- zwróciłam się do Andrzeja.

- Aby nie zapały teżca- odpowiedział.

- A co on wogóle z nimi wyprawia?- odważyłam się zapytać, głupia, jak tabaka w rogu, pokonując onieśmielenie.

- Kastruje barany, bo te wszystkie owce tutaj są zapładniane sztucznie, całymi stadami w jednym czasie, kolejno, aby się potem równocześnie kociły.- wyjaśnił.

- Dziękuję za wytłumaczenie- powiedziałam nadrabiając mi-
ną, bo czułam, że się czerwienię na skutek rozmowy na taki temat, chociaż Andrzej tak poważnie, rzeczowo i krótko odpowiedział mi, z wrodzoną sobie kulturą.

- Na naszej fermie nie zostawiają baranów niekastrowanych, bo są bardzo agresywne. Inna ferma ma tę hodowlę, ale nie w tym sołchozie- dodał- a od jutra mamy dostać inne stado.

Dwieście dwadzieścia

Od następnego dnia przydzielono mi stado z pierwszej kwatery w owczarni. Do owczarni prowadziły jedne tylko wrota. Tuż za nimi było właśnie to moje stado: dwieście dwadzieścia owiec. Gdy je wypuszczano, licząc zawsze każdą sztukę / dzięki czemu nauczyłam się liczyć po kazachsku/, wtedy otwierano furtkę w pierwszej, wewnętrznej przegrodzie, by wypuścić następne stado, z drugiej przegrody; po którym szło trzecie i tak dalej, aż do ostatniego stada na samym końcu długiej owczarni. Chyba było ich osiem.

To "moje" stado, ulokowane na skraju owczarni, wypędzałam zawsze pierwsza, jeszcze niemal przed brzaskiem, a "za to" zapędzałam ostatnia, już o zmroku.

Teren wypasu tegoż stada wyznaczono mi na południu od fermy, w stepie, dość daleko. Musiałam swe owce przeprowadzać sz przez szosę, potem przez równoległe do niej płynącą rzekę i iść cały czas, nie zmieniając kierunku, bowiem wszystkie stada wyprowadzano w kierunkach promienistych od osady, aby się nie pomieszały, lecz od siebie oddalały w stepie, ze względu na terminy kocenia się.

Maj w Tiki Bułaku

Wiosna w Tiki Bułaku wystrzeliła dopiero w pierwszych dniach maja, gdy trawka podrosła i nasyciła się świeżą zielenią. Tu i ówdzie ponad nią wyrastały kępki lebiody, o drzą-

cych, srebrzystych od spodu, liściach. Kwiatków, jak na Górnym nie było, tak samo zresztą, jak i w Centrali Tes Bułaku. Później pojawił się dziurawiec, o drobnych, żółtych kwiatkach, następnie wysoka dziewanna, też kwitnąca żółto, rośliny, znane Mamie z Kraju, toteż ich kwiaty zbierała, na herbatkę ziołową.

Kiedyś wieczorem, gdyśmy wrócili z pracy, Mama podała nam / jak zwykle : Ojcu w czerwonej ryteczce, mi w blaszanym talerzu, też z paczki, a sobie w kubeczku blaszanym, zabranym z domu / zupełnie gęstą i zieloną. Nie była to szczawiowa, którą miewaliśmy pierwszego lata, w Sigisbaju, gdzie z początkiem czerwca odkryliśmy szczaw na kwaśnej łące, ze glinianymi dokkami i przez parę tygodni cieszyli się, póki był jadalny, zanim nie wybujał nadmiernie.

- Co to takiego? - zastanawiałam się

- Niespodzianka! - pochwaliła się Mama.

- Lebioda? - zdziwił się Tato.

- Tak! Lebioda! Młoda i świeża! Wspaniała, prawie jak szpinak - cieszyła się, zapomniała może o dawnych kapryśkach wybrednej grymasnicy, w mojej osobie .

Ale już wcześniej rzuciłam się na jedzenie, więc porównanie ze szpinakiem mnie nie odstraszyło:

- Wspaniała! Znakomita! A jaka gęsta! - to już był szczyt pochwał: „Gęsta!” Marzyło się o tak gęstej zupie, żeby w niej aż łyżka stanęła!

- Tak, podprawiłam mąką, a narwałam sporo tej lebiody!... - Tak to się cieszyło moje biedne Matuszko... Chodziła sama po pobliskich terenach stepu, zrywała lebiodę, myła ją w rzece, gotowała. Czasem był jakiś placek do ziednej zupy, czasem zdobyła trochę ziemniaków, czy mąki, by podprawić, albo kaszę; potem to się wykończyło. Została sama lebioda. Dobre liście, jadalne! A potem, po dwóch tygodniach nastąpiły gwałtownie upały do pięćdziesięciu i więcej stopni i biedne listki naszej karmicielki lebiody zeschły i opadły. Zostały łodygi: twarde, łykowate, niezycliwe...

Były takie trzy dni, w których Mama usiłowała je gotować, a potem razem usiłowaliśmy jeść te łodygi-łyka nieprzyswajalne. Nic a nic innego nie było: chyba tylko sam wrzątek. Nawet soli nie mieliśmy, ani łyżeczki!...

Jeśli chodzi o sól, to zupełnie przypadkiem. Ojciec zobaczył kiedyś, że któryś z tubylców rozbijał kamieniem wielką bryłę

kamiennej, szarej soli, dawanej bydru i owcom do lizania.

- Co robicie?- zapytał

- Ukradnę trochę soli, bo w sklepie nie ma i dawno nie było, a moja bajbisza się złości, że nie przynoszę- pouczał Ojca zaradny kolega pastuch.

- A, no, dobry przykład cuda działa! - i Tato zrobił to samo.

-- Tylko schowajcie dobrze! Bo za to progu! Trzy lata! To kazonne, dla zwierząt, bo mają mieć! A nie, żeby im ludzie wyżerali!- przykazywał mimowolny nauczyciel i współnik tego przestępstwa; toteż bryka owczej soli została głęboko wciśnięta pod prycę- skąd Mama kupowała ją po kawałku, by po umyciu, tkac do użytku.

A w ten czwarty dzień przymusowej diety, gdy już nie mieliśmy siły na połykanie tych niestrawnych sznurków z lebiadowych łodyg, niespodziewanie poczta wieczorem dostarczyła nam paczki, wysłane przed zimą ze Lwowa!

Kto by zdołał opisać, jak nam ręce drżały, przy rozpakowywaniu ich z obowiązkową ostrożnością?! Jaka radość z tego, co doszło w dobrym stanie! Nadającym się do użytku nam, albo na handel wymienny za żywność! Jakież to był prawdziwy ratunek! w takiej beznadziejnej nędzy...

W Tiki Bukaku jeszcze otrzymaliśmy dwie paczki, każdą w innym czasie, ale obie wryły mi się mocno w pamięć, ze względu na jedyną, oryginalną i niepowtarzalną ich zawartość.

Poza nimi jeszcze w paczce od Marysi Stankiewicz doszły do nas ciastka, specjalnie pieczone, w stanie zapleśniałej grudy ale reszta nadawała się do użytku: odzież, w tym skarpety robione przez Marysię dla mnie, na drutach i także rękawiczki, czym mnie bardzo wzruszyła, zadając sobie tyle roboty dla mnie

Kasza z przyprywami

- Wreszcie doszła! Tak, to ta: poznaliśmy po piśmie i adresie nadawcy: paczka od Leona! Wzruszeni, z radością dobieraliśmy się do niej, zając już przewspaniałą zawartość z listu, bo zapowiedział same najcenniejsze rzeczy: kasza gryczana, cukier, herbata, mydło i tytoń! Cudo, nie paczka! Czyż można sobie w ogóle coś lepszego wymarzyć? Rozwijaliśmy wprost uroczyście.

- Co to jest?!...- wyszeptwała Mama poblaskami ustami

- Jedna wielka masa! I to razem z papierem. Ujawniłam

- Jedna wielka masa! I to razem z papierem.- skonstatowałam bez zachwytu

- Nie wygląda na to, że się da rozdzielić...- zauważył Ojciec ciebie, nie kryjąc rozczarowania.

- Jak tak można? To wszystko na nic! Byłoby strasznie śmieszne, gdyby nie było takie smutne!- nie wytrzymałam.

- Czekaście! Może ja to poprzebieram... Mama nie chciała dać za wygraną.

- Ba! Gdyby chociaż nie było zbite z tym mazistym, ruskim mydłem! Sam cukier z kaszą i z tytoniem, to jeszcze dałoby się może jakoś porozdzielić, ale tak?- lamentowałam, bo płakać mi się chciało.

- A ja spróbuję! Co się da, to podklejam, podlepiam, a tę resztę wkładę do woreczka płóciennego i wyrzuję w rzecę! Nudno przepadnie, bo się zmydli, ale reszta da się uratować!

- A cukier też się w wodzie rozpuści...-

-No, tak... Ale przynajmniej zostanie kasza i tytoń, to już, jak się wysuszy, da się przebrać...! herbata.

Biedaczka! Przez dwa dni w rzecę prała tę kaszę z tytoniem i spierała mydło z cukrem. Bolały ją ręce i krzyże, ale na nic nie zważała, aby przynajmniej to ocalić, co się da. Co do herbaty, to już nie liczyła na nią, ale miała nadzieję na jakiś rezultat.

Oczywiście ja nie miałam kiedy w tym pomóc, bo nie miałam czasu na to, zaganiana przy owcach, ale miałam dość czasu, aby się wściekać, że jak było można aż tak bezmyślnie poukładać to wszystko razem w papierowych woreczkach, skoro już wiedzieli, że paczki do nas, rzucane i przewracane, idą minimum przez dwa miesiące! A w zimie, z czym się trzeba liczyć na pewno dłużej! A mydło i tytoń niczym nie były oddzielone od żywności!

- Kto to tak widział? Przecież to "Głupiego robota"! Nikt na nigdy nie otrzymał takiej tragicznie zmarnowanej paczki! Czy on nie mógł pomyśleć? I to harcerz? Taki zaradny, praktyczny i pomysłowy? Nie mógł się nikogo mądrego poradzić? Nigdy nie zainteresował się, jak Lolek pakował / Wzorowo, świetnie! / paczki do nas? Lolka paczki wspaniale spakowane dochodziły do nas w jak najlepszym stanie! A przecież Lolek jest o osiem lat młodszy, podczas gdy Druh harcmistrz ma aż trzydzieści lat! Moje rozgoryczenie przekraczało granice dobrego wychowania, ale fakt, że zdawałam sobie z tego sprawę. jeszcze gorzej mnie irytował.

W końcu kaszę przebieierała wypraną i wysuszoną kaszę od tytoniu i herbaty. Herbata, niestety była do wyrzucenia, tytoni nie nadął się do palenia, chyba w piecu. Potem tę przebraną kaszę znowu prała w rzece. Ugotowała, gdy nie mieliśmy nic a nic innego.

Z tą kaszą czekała na nas. Ojciec zjadł mniej, niż łyżkę i więcej nie mógł. Ja odważyłam się zjeść całą łyżeczkę, ale mój żokadek zbuntował się z miejsca, na szczęście.

Biedna Mama! Marchiza się przy tej kaszy, że Kopciuszkowi ani się nie śniło, a potem zjadła jej trzy łyżki... Mydlaną kaszę tak strasznie odchorowywała, że baliśmy się o Jej życie! Ja już podejrzewałam, prócz zatrucia, skręt jelit i nie wiadomo co, a tu ani szpitala, ani lekarstw, ani ratunku!... Potem suszyła i piła wywary z dziewanny i dziurawca i bardzo wolno, z trudem wracała do jako takiego stanu.

Paczka od pani Schabowskiej

Ta druga, wspomniana paczka, niepowtarzalnej zawartości, też przyszła w bardzo krytycznym czasie. Już nam się wszystko wyczerpało, zostało nam tylko trochę "taukanu", czyli starych żarnami na miar samych łysek z prosa, oddzielonych od jagiek. Sama celuloza, której człowiek nie trawi.

Kazaczki robiły ten taukan dla Rosjanek, które za liche groszki kupowały to, by dosypywać świniom do paszy, dosłownie w celu rozpychania brzuchów, jak mówiły.

My kupowaliśmy, gdy niczego innego nie było można zdobyć, zwykle w celu dosypywania do mąki na placki, czy prażuchę, albo do kaszy, aby było więcej. Złożyło się jednak, że przez trzy dni nie mieliśmy kompletnie nic, oprócz tego taukanu.

Mama gotowała i to wyglądało, jak brązowo kakaowa masa, dawało się łatwo przełykać, bezboleśnie, w przeciwieństwie do tych kodyg lebiody. Ale organizm nie przyswajał...

Po takich taukanowych dniach przyszła paczka. Niespodzianka, o której nic nie wiedzieliśmy, że w ogóle taka do nas idzie! Przysłała mi ją pani Janina Schabowska, profesorka psychologii w naszym Liceum Pedagogicznym. Zawrtość: osiem kilogramów. W tym: pięć kilogramów cukru oraz prawie trzy kilogramy porządnej, solonej słoniny, w bardzo dobrym stanie! I jeszcze kilka zeszytów szesnastokartkowych, które przetłuściły się na wylot, wszystkie, od tej słoniny, chociaż oddzielała je od niej gruba tekturka.

Boże! Jaka szalona radość! Od razu Mama zgodziła się część cukru / strasznie rzadki rarytas! / zamienić z paniami na kawsę, makę lub ziemniaki, także i trochę słoniny, bo nie było gdzie przechowywać, ale sporo przetopila na wyborny smalec!

Pani Schebawska znata mnie tylko tyle, co ze szkoły, gdzie się niczym nie wyróżniałam, więc mogła nawet mnie nie pamiętać. A tu aż taka wspaniała paczka i taka niespodzianka!

Odpisałam z wielką wdzięcznością. Niestety nie na papierze z tych przysyłanych mi zeszytów, bo nie przyjmował nawet ołówka, nie mówiąc o „atramencie”. Nadawały się one do owijania żywności i były wykorzystane. Błogosławiliśmy wszyscy hojną ofiarodawczynię, którą wspominam zawsze z głębokim wzruszeniem, pamiętając, że w takim strasznym czasie jej zawdzięczałam żywą radość w oczach mej udręczonej, gnębionej głodem Matki.

Samotna w stepie

Przez cały maj pasłam to stado, na początku liczące dwieście się dwadzieście sztuk, łam na wyznaczonym terenie ze rzeką. Od świtu do zmroku samotna w stepie. Owce szły, skubiąc trawę coraz mniej świeżą, potem już uschłą, cały czas oddalając się od fermy.

W samo południe przystawały i chociaż idąc, oddalały się od siebie nawzajem, podczas postoju skupiały się wszystkie razem, jedna przy drugiej, w ten sposób, że każda schylała swój łeb tak, by skryć go pod brzuchem sąsiadki, przed słońcem. Te, które stały na skraju trzody i nie miały gdzie skryć swego łba, po jakimś czasie zmieniały się pozycją z innymi.

Gdy zaobserwowałam to po raz pierwszy, byłam zdumiona. Co za instynkt tych zwierząt! Jak chroniły się przed porażaniem słonecznym! I jak oszczędzały siły: stały tak bez ruchu prawie, przez bite dwie godziny największego żaru.

Gdy już poznałam ten ich zwyczaj, wtedy i ja urządzałam sobie wypoczynek. Z chlebaka wyjmowałam swój codzienny placek, /którego nie miałam tylko w te dni lebiodowo-łodygowe oraz taukanowe/, delektowałam się nim jak najdłużej. Potem zabierałam się do pisania listów, ołówkiem, na kartce korespondencyjnej, lub na kartkach, włożonych wcześniej do książki, bo zawsze jakąś brałam do chlebaka. Czasem zapisywałam sobie jakieś wiersze, które powstawały po drodze, czy też w nocy, albo właś-

nie wteły.

Te dwie godziny, wyznaczone mi przez owce, w stepie pustym jak okiem sięgnąć, aż po równo i okrągłutko zatoczony płaski horyzont, starałam się zawsze przesiadzić, aby wypocząć i nabrać siły, do powrotnej drogi do fermy, czyli do następujących długich godzin chodzenia.

Idąc tam i z powrotem za stadem, bez pośpiechu, już nie miałam żadnych obaw, że stado się zmiesza z innym: żadnego nie było widać, nawet na horyzoncie. Wobec tego idąc, mogłam nawet czytać książkę.

Bardzo rałowała mnie "Antologia Liryki polskiej", bo gdy o powieść trudno jest czytać wciąż tę samą, to wiersze, szczególnie w tak dużym zbiorze, zawsze jeszcze można: odkrywać nieznanne, wybierać ulubione, cieszyć się ich treścią, formą, samym dźwiękiem polskich słów! To była moja wielka pociecha.

Także wielką radość sprawiały mi listy otrzymywane, z których nowe, albo szczególnie mi drogie, zabierałam ze sobą w step, aby jeszcze je sobie poczytać, nacieszyć się, odpisywać.

Samotność mi nie ciążyła. Wcale. Raczej wręcz przeciwnie. Przez ten rok, kiedy człowiek nigdy nie mógł być sam, a początkowo, przez pierwsze półrocze w tak bardzo licznym, gwarnym, zróżnicowanym gronie, skomasowanym w ciasnocie dniami, nocami, nieraz się odczuwało potrzebę wypoczynku od ludzi, od bezustannej czyjejs obecności. Każdy to przechodził.

Myszę, że ten maj, całymi dniami samotnie przeżywany w stepie, pomógł mi wypocząć od ludzi/ licznie zbyt mnogiej!/ i docenić równocześnie, mimo pozornych sprzeczności, towarzystwo ludzkie. Gdyby bowiem owa doceniana w pełni, samotność, obejmowała oprócz dni także i noce, byłaby, stawałaby się męcząca. A tym bardziej, gdyby miała trwać miesiącami.

Skarpety

Nogi, znowu poranione kolcami karagaju, zaczęły mi się pokrywać ropniakami. Wtedy Mama zdecydowała, że jedną z dwóch przysłanych Ojcu nowych par skarpet, mam nosić, aby chronić nogi i opatrunki na nich, robione z pseudobandaży, z poświęconej na to koszuli. Protestowałam. Szkoda mi było tych nowych bawełnianych skarpet, bo przecież wiadomo, że mi je kolce porządzą!

Mama jednak dała mi je, zapewniając kategorycznie, że

jeszcze te stare można cerować i katać, ale do noszenia w staniu nie nadają się, bo się rozsypią przez dzień. A nogi trzeba chronić, bo to się może źle skończyć. Wobec tego, wychodząc z domu, włożyłam popielatą parę skarpet Ojca.

Już po przejściu przez gościniec zdjęłam je, gdy trzeba było brodzić rzeką, aby nie zmoczyły; schowałam je na dno ~~pr~~ chlebaka i już potem nie wkładałam, aby jednak je zaoszczędzić. Jeszcze u południe ułożyłam w chlebaka obie skarpety.

A potem nagle, wkładając napisane listy, zobaczyłam, że mi jednej brak!

Z miejsca zaczęłam poszukiwania, jeszcze podczas południowego postoju owiec. Krążyłam wokół miejsca, na którym siedziałam, zataczając coraz szersze kręgi, penetrowałam okolicę wzdłuż i w szerz, ale niestety, kamień w wodę! Nigdzie!

Już gubiłam się w poszukiwaniach: co kilka kroków takie same wiechcie trawy, takie same, zadziorne, suche karagaje!

Zacząłam liczyć kroki, poczynając od końca nieruchomo wypoczywającego stada. Wszystko na nic! Jeszcze błagałam Świętego Antoniego o pomoc w znalezieniu tak niezastąpionej zguby. Ale to nie uchodzi, przypominać sobie o świętym dopiero w potrzebie! Skarpeta przepadła.

Warto mi ją było dawać? A może trzeba było posłuchać Mamy i raczej je podrzeć, niż tak nader mądrze zubić na co! Załatwione inteligentnie!

- Mogę sobie pogratulować! - ryknęłam głośno do siebie, aż owieczki zabeczały z dezaprobatą, że im pakłócam spokój przysługującej im południowej siesty.

- A oto nowa bajeczka:

" - Dałam ci dwie skarpety! -

- Dwie skarpety! -

- Przyniosłeś jedną skarpetę -

- Jedną skarpetę -

- A gdzie jedna skarpetka!?!... -

- A, o: jedna skarpetka!... - "

Tak sobie nadkuczałam / dobrze mi tak!/, że aż się po-
beczałam. I byłam na siebie wściekła, że nawet te moje spóź-
nione czy nie wrócą Ojcu skarpet.

A Mama?

- No, cóż? Trudno... - powiedziała. - Miałaś sobie na przykład złamać nogę, to lepiej, że się ta skarpetka zgubiła. -

Na trybunie

Nocce były już ciepłe, a w tej naszej owczej łaźni inwazja pluskiew wciąż niepokonana. Ponowały niezwalczone, zapłczywie wychodząc szczególnie nocami na obfity żer.

- Pójdę spać na dwór!- zwróciłam się do Mamy.

- Tam cię obleşą mrówki...-

- No, to pójdę na trybunę!- wpadł mi pomysł do głowy.

- Sama?...- zastanowiła się Mama.

- To może i ja z tobą?- Matyldzia dołączyła się do rozmowy której była mimowolnym świadkiem.

- A, no, spróbujcie...-

-Świetnie!...-

- Możecie iść, jak Matyldzi mama się zgodzi.-

- Tak! Moja mama też pozwoliła!- przyleciała mała z raportem.

Przeszukałyśmy i przetrzepały swe okrycia, aby niczego nie przenieść i poszłyśmy spać na trybunę, na środku placu, pomiędzy dwoma domami mieszkalnymi z jednej i biurem fermy z drugiej strony, widoczna z naszego okna. Drewniana, dość wysoka, wchodziło się po kilku schodkach.

- Całkiem mocna- sprawdziłam.

- Przynajmniej się wreszcie wyśpimy!- westchnęła.

Gwiazdy mrugały z ciemnego nieba. Nasz Wielki Wóz, ten sam, który jako pierwszy gwiazdozbiór poznałam, tam u nas, w ogrodzie, pokazany mi przez Tata. Czy jeszcze kiedyś zobaczę go stamtąd?... Sen pod gwiazdami, na świeżym powietrzu, szybko przeniósł nas w dalekie strony. O brzasku, zbudzona do codziennej pracy, wstałam wypoczęta, jak dawno, dawno temu. Nawet wzmocniona tym spokojnym snem. Nie odczuwałam, że deski były twarde. Najważniejsze, że człowieka nie gryzło nic ze wszystkich możliwych i niemożliwych stron!

Moje odkrycie trybuny do celów noclegowych okazało się zbawienne. Sypiałyśmy na niej z powodzeniem przez tydzień. Jakże to wspaniale koło zmęczenie po całodziennym przemierzaniu tych kilometrów z owcami!. Pewnej nocy jednak nagły deszcz sprawił nam niespodziewany prysznic.

- Uciekamy!- komenderowałam.

- Do pluskiew, do łaźni?- Matyldzia była bliska płaczu.

- No..Wiesz co? Leśmy do tej owczarni, którą hrabianki"wymazały"- zaproponowała..

Sucho, cicho, spokojnie... Tylko, że niezoyt pachnąco...
Po namyśle wstałam i otworzyłam wrota.

- Ty! A jak ktoś przyjdzie?- wystraszyła się moja współ-
towarzyszka trochę zaniepokojonym głosem.

- W ten deszcz?!

Odtąd sypiałyśmy na trybunie, albo w tej owczej stajni,
lepszej znacznie od naszej, ludzkiej kwatery. Zależnie od po-
gody.. Było najzupełniej bezpiecznie.

Jak tam było w tym Kuduku

Około połowy miesiąca czekała mnie niespodzianka.

Wracałam już z owcami, przedwieczorną porą, do rzeki szłam
wolno, bo przecież moje stado wpuszczano na ostatku do stajni,
gdy zobaczyłam, że po tamtej stronie ktoś idzie mi na przeciw.

- Elcisa!- pobiegłam przed owcami, ściągnęłam buty i brodz-
dzikiem w kierunku tamtego brzegu, do swej przyjaciółki, niewi-
dzianej od miesiąca. Schudła. Opsalila się. Była cała jednym
uśmiechem.

- Jak to dobrze! Jak dobrze wrócić do swoich! Już wszyscy
mieliśmy dosyć tego odludzia! Straszno...-

Opowiadaniem nie było końca. Wróciłam za rzekę, przeprowadzi-
łam stado przez wodę, potem już razem szłyśmy do fermy i Ela
dotrzymywała mi towarzystwa w oczekiwaniu na moją, ostatnią
kolejkę, przy wprowadzaniu i liczeniu owiec, zapędzanych do
owczarni na nocleg.

W nieszczęsnej owczej łaźni państwo Wojciechowscy wcisnęli
się pod ścianę przy oknie, tym naprzeciw drzwi, w sąsiedztwo
pani Korzeniewskiej. Widać było po nich, jak im się tam w tym
Kuduku mogło powodzić, bo jeszcze bardziej wszyscy wychudli
i zbiednieli. Najbiedniej wyglądała matka Feli i Eli, strasznie
nie wynędziała, zupełnie bezsilna i okropnie chora.

Ełę porwałyśmy, razem z Matyldzią, na nasz nocleg na try-
bunie, albo w pustej owczarni, gdzie panowałyśmy niepodzielnie.

Wspominając pobyt w Kuduku, gdzie pasła owce, też smotna
w stepie, przyznała się, że było jej nieraz aż tak ciężko,
że nawet nie mogła śpiewać... Ona, wiecznie śpiewająca, lub
do śpiewania gotowa.

- Wiesz- mówiła- brałam wtedy te wiersze przepisywane
z "Antologii" i czytałam je na pociechę. Umiem na pamięć

już je wszystkie i nie masz wyobrażenia, ile im zawdzięczam..-

Sądzę jednak, że bardzo dobrze to sobie wyobrażam: dla mnie też ta poezja bywała często jedyną deską ratunku...

Ratunku! Co się dzieje?

Pewnego wczesnego przedpołudnia owce zaczęły się zachowywać w dziwny sposób. To jedna, to druga, wyciągały szyję z głośnym, żalonym meceniem, zbliżały się do mnie i swymi łbami uderzały mnie pod kolana, że się ośmak nie przewróciłam, szczególnie za tym pierwszym niespodziewanym uderzeniem

- Co się dzieje? - przemawiałam do nich- Chcecie mnie bóść dzie, wy bezrogie stworzenia? O co chodzi?

Meczwały żałośliwie i wyprężając na całą długość szyję / czegoś takiego jeszcze nie obserwowałam!/, jak gdyby chciały wyć, niczym pies do księżycy, którego, nota bene, nie było na bezchmurnym niebie. To znów przystawały z otwartym pyskiem nie wydając głosu, nawet nie kaszląc.

Kiedy już nie dwie, trzy, zaczęły mnie tak jawnie napastować i bóścić, a ilość agresywnych wzrastała, wpadłam w panikę

- Jezus, Maria! Ratunku! Może się potruły jakimś trującym szelkiem? Pewnie zdychają! Diedne, mają oprócz tego gruźlicę!..

Upał już panował, nie z tej ziemi. Odległość od rzeki: około trzech i pół, do czterech kilometrów...

- Co robić? Pędzić je wszystkie znowu do wody? Za długo, za daleko... Zanim je wszystkie zawrócę... A jeszcze nie miały tego swojego południowego wypoczynku i postoju...-

Nagle zobaczyłam, że któreś stworzenie przysiada, wstaje, ryczy, jakby je ze skóry obdzierano, pręży się i na koniec...

- Tężec?! Skręt kiszek?!- przeraziłam się okropnie, że napała je jakaś epidemia!

W wielkim popłochu pogalopowałam na fermę.

Sama!

Zostawiłam całe stado bez opieki!

Biegłam, jak szalona, buty zdejmam przed rzekę, i już w momencie później wkładałam je znów, na mokre nogi i sadziłam wielkimi susami pod górkę od tej rzeki, wprost do stajni owczej, gdzie spodziewałam się znaleźć jakiegoś czabana.

- UF!- zziajana, zgrzana, zasapana, nie mogłam z siebie wydusić ani słowa, a tylko największym wysiłkiem woli powstrzymywałam się od leza

Nymyny

- Nymyny bar, kyzymka?" /Co jest, dziewczyno?/, zapytał ten najstarszy, bo zastałam ich kilku.

- Owce! Owce!- wyszeptalam, a przyszedłszy do siebie, po nabraniu tchu, zaczęłam tłumaczyć wielojęzyczną mieszanią umykających mi słów, meceniem, gestami, wyciągniętą szyją i otwartą gębą, słowem, jak tylko zdołałam, pośpieszając ich, jak mogłam, prosząc o ratunek, niemal zaganiając ich tam, w step do tych owiec, składając ręce wymownym ruchem, zirytowana opiesznością.

- Gina! "Ponimajesz?" Zdychają!- omal nie płakałam.

Jakoś, ku mojemu zdumieniu, zrozumieli moją całą orację i całe to przedstawienie, które oglądali z niekłamanym zainteresowaniem, wszyscy. Ba, z zachwytem nawet!

- Gina! Nie będziecie mieli owiec!- wołałam, zgnębiona, że nie lecą ze mną na ratunek stworzeń- Nie będziecie mieli!-

- Będziemy mieli, jeszcze więcej- zagadał jeden, ale do mnie to nie dotarło od razu.

- Oj, ba, joj! Tak się tym przejęła, że nam się tu zaraz też sama okoci!- radośnie zawołał drugi, a wszyscy ryknęli gromkim śmiechem.

Zbaraniałam!

- Co?! Jak?!- zachnęłam się i zwiałam szybciusienieccko, teraz już całkiem bliska płaczu, z upokorzenia, z przerażenia i z przejęcią, gdy spóźnione olśnienie na mnie runęło.

- A, to masz, babo, placek! I co ją z tym fantem zrobię?- opamiętałam się, minawszy zabudowania. - Ha! Trudno!-

Wróciłam krokiem pełnym godności i powiedziałam dobitnie:

- Macie mi przysłać zootechnika! Ja nie specjalista! I macie przysłać podwodę dla owiec i dla jagniąt!-/ Dixi!/- poczym odeszłam równym, energicznym krokiem, z podniesioną głową, święcie przekonana o swej rehabilitacji wobec nieokrzesanych pastuchów!

Zaraz za zabudowaniami, jednak, wystraszona dalszym biegiem wypadków, pognałam z powrotem do swojego stada. Przybyło mi siedem jagniąt. Zanosiło się na więcej.

Ale... ja ... padłam. Pod swą chustkę na głowie podłożyłam chusteczkę złożoną we czworo, chlebak z kajążką podłożyłam pod głowę i rozpaczliwie zmordowana, usnęłam snem sprawiedliwego, jak nigdy przedtem, czy potem.

Zbudziły mnie owce, już po swojej południowej sieście.

Słońce mi specjalnie nie dokuczyło, bo twarz przesłoniłam ~~i~~ wcześniej odwinęłam i opuściłam rękawy swego harcerskiego mundurka, który jeszcze mi służył, choć resztkami sił, połatany. Jakoś się pozbierałam po swych biegach z emocjami.

Znowu przybyło kilka jagniąt, w tym niewątpliwie dwie pary jagniąt bliźniaczych. Jagnięta w parę chwil po urodzeniu już wylizane dokładnie przez matki, chodziły za nimi na swych cienkich, niepewnych z początku nóżkach.

W drodze powrotnej miałam znacznie więcej kłopotu z tym powiększonym stadem, niż dotychczas. Oto moje podziwiane, małe jagnięta nagle przestawały iść krok w krok za matką, gwałtownie robiły "w tył zwrot" i biegły w przeciwnym kierunku! Co już które złapałam i odniosłam do stada, to inne zaczynały ze mną taką samą zabawę! Ciuciubabka! Co im strzeliło do tych ich baranich kłów? A matki-owce znów zaczynały mnie bóść dzie kłami pod kolana, gdy brałam jagnięta na ręce, aby je ponieść kawałek we właściwym kierunku.

- Boże! Litości! Czy ten zweriowany dzień nigdy się nie skończy?! Czy nigdy nie przyjadą te podwoły po tę chudobę!? Przecież słyszałam: odpowiedzieli na moje żądania "ładno, ładno!" To znaczy, że czabani wiedzieli, co do nich należy!.. Że też nikomu się jeszcze w tym roku owce nie kociły i nic nie wiem, jak sobie z tym radzą, ani kiedy przysyłają wóz, czy pomoc!-

Biegałam tam i z powrotem, do podkosanego mundurka zbierałam jagnięta, o ślicznym, lśniącym futerku, z delikatnie skręconym, miękkim włosiem, opędzałam się zaniepokojonym owcom i usiłowałam całe stado pędzić w stronę fermy. Z prawdziwym przerażeniem myślałam o czekającej mnie przeprawie przez rzekę.

Jeszcze do niej nie doszłam, gdy zobaczyłam, że z tamtej strony nadchodzi Mama!

- Boże! Dzięki Ci! Co za radość!-

Nie mam pojęcia, jak mogłabym sobie sama dać radę. Pewnie potopiłyby się jagnięta, bez Mamanej pomocy. Od tego czasu co wieczór oczekiwała mnie nad rzeką, przynajmniej przez te dni, w których już całe stado przeszło najtrudniejszy okres. Miałam wtedy dwieście dwadzieścia owiec i dwieście dwadzieścia dziewięć jagniąt. Małe przez cały dzień trzymały się swych karmicielek. A wieczorem, już po dziennym upale, gdy po stepowym brzegu rzeki oczekiwałam swej pory powrotu, nagle któreś z jagniąt zaczynało podskakiwać. Potem drugie i trzecie, a po

niedługim czasie wszystkie jagnięta podbiegały do tego towarzystwa i podskakiwały strasznie zabawnie. Prędziusienko, nie niemal równocześnie na wszystkich czterech łapkach, jak gdyby były gumowymi piłeczkami, równomiernie, a sztytko odbijany od ziemi. Taka ich, codzienna wieczorna gimnastyka trwała około pół godziny.

O ile stare owce, często z łysymi płatami na skórze, kaszłające i cuchnące, nie sprawiały miłego wrażenia, o tyle jagnięta, utrzymywane przez matki w czystości, lśniące i wesołe, były bardzo miłymi stworzeniami.

Gdy moje przyjaciółki i koleżanki^{ze Lwowie} otrzymały ode mnie wiadomość, że pasę owce, w listach od nich zaczęły napływać obrazki: z Dobrym Pasterzem wśród owiec, Mały Chrystus z jagnięciem i inne o tej treści. Wzruszały mnie te ich skojarzenia i dobre chęci, ale równocześnie nie mogłam się pozbyć pewnego poczucia humoru, kiedy jeszcze ktoś wpadł na pomysł przysłania mi czegoś w tym stylu, do zbierającej się kolekcji. Chodziło mi jedynie o porównanie tych obrazkowych owieczek z tymi żywymi, moimi podopiecznymi! Nie były ani trochę podobne do swych eleganckich kuzynek z pięknych obrazków.

Chyba mniej, niż sielankowi pasterze i sielankowe pasterki z okresu sentymentalizmu do realnych, wiejskich pasterek i pastuchów z krwi i kości.

Zawsze jednak rozczulały mnie czyjeś najlepsze chęci udowodnienia, że ktoś chce ulżyć tej pasterskiej doli i zadaje sobie trud wyszukania pamiątki, odpowiedniej do aktualnych przeżyć i przysyła Patrona na odsiecz.

Matka Eli

Pani Wojciechowska była już tak bardzo chora, że nawet nie mogła dłużej tego ukrywać, nadrabiając dzielnie miną a przede wszystkim szlachetną i niezmaconą pogodę ducha. Zgodziła się na wyjazd do rejonowego miasteczka, do szpitala.

Fela czatowała pewnego ranka na szosie, udało jej się zatrzymać samochód ciężarowy i kierowca podjechał na fermę po chorą, którą Fela zawiozła do szpitala.

Tam w szpitalu pracowali nasi dwaj lekarze ze Lwowa: doktor Szybalski i doktor Stanisław Prus, jak się okazało, mąż Ewy Accord, z którą Wanda chodziła do jednej klasy u Benedyktinek Łacińskich.

Obaj dołożyli starań, by ulżyć chorej w cierpieniach.

Niestety. To był rak żołądka. Uratować się nie dało. Zmarła po dwóch tygodniach i została pochowana na cmentarzu w Urdżarze. Fela wróciła do ojca i siostry sama, ze straszną wiadomością. Cała rodzina była pogrążona w smutku. Wszyscy zesłańcy całym sercem odczuwali i byli przy nich całym sercem. Pani Wiktorii, zawsze taka cicha, spokojna i życzliwa dla wszystkich, taka dobra..... W Kraju zostawiła jeszcze dwie córki i syna, zięcia i trzy wnuczki. Jakże ciężko będzie tym, osieroconym tutaj, napisać o tym rodzinie pozostałej tam. Przypomniam sobie, jak mówiła, że tak ciężko będzie kości złożyć w takiej dalekiej, obcej ziemi... Pewnie już wtedy przeczuwała, zdawała sobie sprawę ze stanu i rodzaju tej swojej choroby. Zawsze jednak pilnowała, aby tym nikomu nie sprawiać kłopotu...

Biedna Ela została bez Matki, taka młoda. Fela też to wszystko przeszła, będąc w Urdżarze dowiedziała się od lekarzy prawdy jeszcze wcześniej i musiało jej być strasznie ciężko...

Irka Prokópczyk, wcześniej osierocona, na tę smutną wiadomość wpadła po Elę, wyciągnęła ją z izby i poszły razem w ten obcy, cichy step, biedule... Sieroty...

Jak teraz to straszne życie musiało się dla nich stać jeszcze straszniejszym...

Co jeszcze ma dla nas w zanadru ten bezwzględny los?

Wciąż słyszę ten śpiew pani Wiktorii, sprzed paru zaledwie miesięcy, jak śpiewała piosenkę do nadziei:

... Tyleś mnie razy zdradziła,
Ja zawsze pójdę za tobą!..."

Dni powszednie w Tiki Bułaku

Wkrótce potem noga Tata wyglądała już tak rozpaczliwie, że musiał w końcu zdecydować. Pokazał ją naszym naganiaczom do pracy, aby zobaczyli, że musi koniecznie jechać do szpitala. Sina pręga alarmowała, grożąc zakażeniem. Wybrał się również do Urdżaru; byliśmy przerażeni, że może skończyć się koniecznością amputacji, co najmniej palucha.

Odratowano jednak: nasi lekarze spisali się na medal, bo zdążył, chociaż już bardzo późno. Leżał tam w szpitalu cały

miesiąc. Wrócił ze zwolnieniem z pracy, wymagającej chodzenia" Takiej na fermie nie było, więc mimo awanturniczych miejscowych *władz*, nie podejmował żadnej pracy. Był teraz znacznie silniejszy: w szpitalu bądź co bądź miał żywność trzy razy dziennie, więc się bardzo odkarmił. Bogu dzięki. Kiedyś wyprał się z Mamą do kolchozu, gdzie coś tam wymienili za trochę ziemniaków i trochę kaszy.

Mama parę razy zdołała kupić na fermie mleko. Musiała jednak zrezygnować z tego, bo krowy pasły się na piokunach, z braku innej paszy i mleko nie tylko miało gorycz piokunt, lecz również *działo* tak samo.

Życie toczyło się dalej. Naszych chłopców licznie odesłano na siłnokosy, reszta jeszcze zatrudniona była wypasem owiec, panie krzątały się przy zdobywaniu i przyrządzaniu jedzenia.

Polskie dzieci razem z tubylczymi plątały się wszędzie somopas, bo nikt nie miał dla nich czasu, a poza tym od szosy był spory kawał, *ma* niej ruch też bardzo niewielki, tak że właściwie *maluchom* nic nie groziło. Używały przynajmniej swobody.

Zosia i Janka, już trzynastoletnie, krąciły się po fermie, szukały wyschniętego kiziaku na opał, chodziły po wodę do rzeki. Uczynne, przyjazne, stale chichoczące.

Zabawiały się najchętniej opowiadaniem sobie żydowskich kawałów, jak na przykład ten:

- Poproszę bilet do Rabce!-

- Nie mówi się "do Rabce", tylko : "do Rabki"!

- Ujś! To panienka też może urodzona w Rabki?-

- Nie mówi się : " w Rabki", tylko : "w Rabce"!

- Nu! Właśnie! To poproszę o bilet do Rabce!- *U*

To był taki ich niezawodny ich rozweselacz, jak dawniej Eli i nasz: "Cztery bułki"...

Dziunia i Jerzyk Nowakowie biegali z czeredą dzieciaków pod przewodnictwem Miecia Kruka i Wiesia Prokopczyca.

Kiedyś, przechodząc między budyneczkiem sklepiku a maszą owczą *kążnięt*, zobaczyłam na dachu dudka. Prawdziwego, żywego, strojnego w czarne i pomarańczowe piórka i piękny czubek. Zdążyłam dzieciom pokazać pięknego ptaka, przypatrywały mu się z wielkim przejęciem i równie pilnie były obserwowane przez *dudka*, który kręcił głową i prezentował się z gracją, jak gdyby wiedział, że jest przedmiotem zachwyty. Ani przed *tem*, ani potem nikt go tam więcej nie widział.

Z nietoperzami już zetknęliśmy się wcześniej, w tę najpierwszą w Kazachstanie, tę dzięką noc, z frzydziestego kwietnia na pierwszego maja 1940 roku, po wysadzeniu nas z ciężarówek w Łaj Bułaku. Właśnie tamtejsi chłopcy, przeważnie Kazachowie zabawiali się w tak niezwykły sposób, strasząc i męcząc biedne nietoperze, które trzymali za końce skrzydeł, w obu rękach i gonili z nimi pędem, uchwyconymi w takiej rozciągniętej pozycji. Przerazone nietoperze wydawały z siebie przeraźliwy pisk. To właśnie sprawiało szaloną uciechę tym jedenasto, czy trzynastoletnim okrutnym dzikusom. To było okropne, usiłowaliśmy im przeszkodzić, ale niełatwo rezygnowali ze swego, widocznie ulubionego sposobu zabawiania się, co dorośli przyzwyczajeni bez żadnej reakcji.

W Tiki Bułaku także były nietoperze i zdarzało się, że nawet latały nam, bezszelestnie, nad głowami w naszej owczej łące, a zę mną to postąpiły niezbyt elegancko, zaznaczając dokumentnie swój przelot nad moją biedną głowę, nie oczekując, bynajmniej takiego wyróżnienia, które, co prawda, spotkało nie jedyną mnie tylko.

Kiedyś zdarzyła się sensacja na fermie, jako że w takim środowisku niewiele da się ukryć. Przysłano do prac fizycznych byłego nauczyciela, Kazacha, którego rozpoznał ktoś z tubylców. Odsiedział on pięć lat więzienia i po zwolnieniu zesłany jeszcze został na trzyletni pobyt w Tiki Bułaku. Za gwałt. W tym środowisku, mimo, że był wśród swoich rodaków, pozostał wyobcowany i obnosił się ze swoją pogardą wobec wszystkich demonstracyjnie.

Krzyż harcerski

Jeszcze w maju, w którejś paczce, pakowanej przez nieocenionego Lolka, otrzymałam Krzyż harcerski, przysłany mi przez moją byłą drużynową, drużną Sojkę, czyli Zofię ^{Shożnett} ~~Schenett~~. Przyjęłam ją, tę odznakę, serdecznie wzruszona: bez uroczystego składania przyrzeczenia przysłano mi na dalekie zesłanie takie Votum Zaufania!..

W harcercwie byłam od wieków, zaczynając od należenia do pierwszej / i pierwszej istniejącej do ówczesnego czasu / Gromady Zuchowej, przy Szkole im. Adama Asnyka, zapisana tam przez Martusię Gąsiorowską, która w następnym roku założyła Drugą Gromadę Zuchową: Leśne Jagody, przy naszej szkole, tam gdzie nauczała, a ja uczęszczałam: Benedyktynek Łacińskich.

Potem w charakterze przyczepki, co prawda, ale uczestniczyłam w obozach harcerskich swoich sióstr, jeszcze w mundurku suchowym, od ukończenia czwartej klasy. Byłam też w Spale nad Filicą, gdzie przy Złocie Harcerskiej / który odwiedził prezydent Ignacy Mościcki / zorganizowano kolonię suchową. 1935r.

Kiedy moje siostry składały przyrzeczenie, jedna, potem druga, ja zdobywałam dopiero swoje suchowe gwiazdki. Potem, już w drużynie harcerskiej, trzeba było naprzód zasłużyć na Lilijkę i tę już miałam. Następnie przechodziło się cały szereg przeróżnych, coraz trudniejszych filareckich ćwiczeń woli, zdobywało sprawności różnego typu i dopiero dochodziło się do uzyskiwania kolejnych stopni, uwieńczonych przyrzeczeniem i otrzymaniem Krzyża, o którym, śpiewaliśmy w piosence, że jest "szczytem ideału."

Harcerstwo, traktowane bardzo poważnie, było naszą prawdziwie ukochaną organizacją. Dawała nam bardzo wiele, a my starałyśmy się również z siebie dawać jak najwięcej.

Cudowne były choćby te nasze niedzielne wycieczki za miasto od maja, mniej więcej do połowy października, gdy tylko pogoda dopisywała. Zbieraliśmy się za każdym razem na innej rogatce, a raczej w sąsiadującym z rogatką, najbliższym kościele, najczęściej przed pierwszą Mszą, czyli o piątej lub szóstej rano, co zwykle uzgodnione zostawało, według zabawnego powiedzonka:

"Zbiórka przed kościołem, za kościołem, a po kościele przed kościołem" i po wspólnej mszy: "W świat!"

Drużyny młodzieżowe /gimnazjum i liceum/ zwykle dołączały do drużyn starszoharcerskich / "akademicy", po lwowsku, czyli młodzież studiująca na wyższych uczelniach /, dla bezpieczeństwa i opieki. Penetrowaliśmy w ten sposób kolejno tereny za wszystkimi rogatkami miasta, przemierzając, w marszu ze śpiewem kilka kilometrów, do lasu, czy nad stawy. Potem były gry polowe, siatkówka, wspólny, składkowy obiad na trawie, ognisko z gawędą i pieśniami i powrót ze śpiewem do miasta, by od rogatki tramwajem wrócić do domu wieczorem, po wspaniałym dniu, pełnym cudownych wrażeń.

Krzyża nie miałam do tej pory, bo tak się złożyło, że nie byłam na obozie, gdy tam zorganizowano przyrzeczenie, albo właśnie chorowałam, kiedy to zdarzyło się podczas niedzielnej wycieczki.

A teraz przysłano mi Krzyż, ku pokrzepieniu, dołączono długie listy, pełne różnych dopisków od serdecznego, harcerskiego

grona młodzieży, od drużyny starszoharcerskiej, oficjalnie nieistniejącej, pełen podpisów osób bliskich i dobrze mi znanych, od przyjaciół moich sióstr, czasem zaledwie unanvch mi z wiedzenia albo z opowiadań, a także nieznanych osobiście wcale. Krążył ten zbiorowy-list po całym Lwowie, aby mnie przekonać, że tak się poczuwają do tej naszej wspólnej, harcerskiej więzi. Czyż to nie wspierała z ich strony? Przecież Tam jest niewola i wszyscy dobrze wiedzą, jaki jest jej smak: każdy ma tyle własnych kłopotów, w każdej niemal rodzinie kogoś brakuje, a oni, kochani, przekazują sobie list do Kazachstanu, aby każdy dodał od siebie jakiś krzepiący uścisk dłoni, dobre skowo, czy usmiech ponad rzeczywistością...

Krzyż niezwłocznie znalazł się na moim biedniutkim, lecz ulubionym mundurze /„po” Wandzi/.

Moje miejscowe władze kierownicze od razu zwróciły uwagę na ten mój krzyż. Nigdy ich nie podejrzewałam o taką spóstrzegawczość! Myliłam się.

- A co to takiego? Co to za odznaka?- dopytywali.

- Nie wiem, jak to wytłumaczyć... To taka .., to znak naszej naszej organizacji młodzieżowej...- zaczęłam.

- Politycznej? A, to nie wolno! Do więzienia!- zakrzyczano mnie z paru stron.

Na to nie miałam najmniejszej ochoty!

- To oznacza, że ja nie piję żadnej wódki, ani "odekolonu" i nie palę żadnej machorki, tytoniu, ani innej koniczyny!- wypaliłam.

- Oj, ba, joj! To co ci, dziewczyno, dobrego w życiu zostało?-

- „Ot, biedniakaja!” Po co ona właściwie żyje?- ryczeli ze śmiechami klepali się po udach z radości, że ktoś sobie chce dobrowolnie odebrać całą radość życia.:

- No, co ci zostało dobrego, powiedz, co?...-

- To!- wyjęłam z plecaka "Lirykę"

- Oj, ba, joj! Niech skonam! Coś takiego!...-

- Co za dziwny naród? Co za naród!...- dorzucił któryś, nie domyślając się chyba, że tak samo ja pomyślałam o nich:

- Co za naród?...I jaki strasznie biedny...-

" Juhasi "

-- Jako podważdanych czabana zwano nas: Sach-mał".

- To chyba odpowiednik naszego juhasa?- podżartowywałam.

- Ciekawe, jak to powinno być dla rodzaju żnińskiego?- zastanowiła się Matyldzia, podobnie, jak i nad spolszczeniem, bo upierałam się, że nazwę: "pastuszka" mogę stosować dopóki ale dla mnie jest zbyt zdrobniała, zaś "pasterka" zbyt pretensjonalna.

- No, to jak? To dziewczęta są też "juhasa"-

- A czy to nie wszystko jedno?-Może być i tak!-

Niezależnie od samej nazwy, wypasaliśmy te swoje stada do końca maja, wyprowadzając je w ustalonym z góry porządku, czyli niezmiennej kolejności. Miałam jej nieraz serdecznie dość! Zawsze wypuszczanie owiec zaczynało się od tego mojego stada o brzasku i na nim kończywszy, już o zmroku. Najdłuższą roboczo-dniówką!

Czasem w myślach kpiłam z siebie i swojego pecha życiowego. O to do kopiczkowania, w Sigisbaju, to właśnie mnie przypadły te połamane widły; na sianokosach w Dżyłdykara, to właśnie mnie trafiło się przy traktorze siodełko bez oparcia, na tych grabiach; potem, już w Tiki Bułaku, to właśnie mnie wyznaczono teren wypasu pomiędzy cuchnącymi dołami z padliną, a na koniec to stado przy samych wrotach, które /stado, oczywiście a nie wrota!/, trzeba było najwcześniej wyganiać i najpóźniej zapędzać! Bagatelka:około dwóch godzin różnicy, w porównaniu z innymi, na dobę! A często i więcej...

Zastanawiałam się mocno i samotnie nad tym, co muszę zmienić, aby przestać być takim "pechowcem". Po głębokiej analizie i szczegółowych rozważaniach doszłam do wniosku, że właściwie wszystkie te przypadki dałoby się podciągnąć pod jeden wspólny mianownik: "Kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi!" Wobec tego poczułam się znacznie lepiej: już nie tak głupio! Prawdę powiedziawszy właściwie nie przychodziłam nigdzie z własnej winy z opóźnieniem, a to rozgrzeszyło mnie całkowicie, przynajmniej we własnych oczach.

Maj zakończył się wypłatą za pracę i premią, w łącznej kwocie sześćdziesięciu rubli, ale, niestety ceny znów podskoczyły. W każdym razie moje stado spisało się dobrze: przeżyło!

Redyk

Już przez parę ostatnich dni maja Kazach uprawiajuszczy zapowiedział, że kilkoro spośród Polaków przeznaczy na "wymarz w stepowe koczowiska, co zwano: "dżajlau"

Jeszcze dotychczas tego nie praktykowano! Na koczowisko, niczym u nas, na Podhalu redyk, zawsze wybierali się sami Kazachowie, całymi rodzinami, w swoich jurtach i nawet Rosjanie w tym nie uczestniczyli. Sam fakt zamieszkania w takiej rodzinnej jurcie, chociażby ze względu na higienę, a raczej na brak jej, był wystarczająco odstraszający! Nie mówiąc już o reszcie!

W ostatnich dniach, przed wyruszeniem na dżajlau, uprawiajuszczy oznajmił, że właściwie wystarczy jeden "sach-mał" i wyznaczył na to właśnie mnie! Nie miałam pojęcia, czemu mogłam zawdzięczać ten wątpliwy zaszczyt! Tak się zdenerwowałam, że poleciałam z płaczem do mamy.

Mama, w przeciwieństwie do mnie i ku szczeremu podziwowi, nie straciła wcale głowy! Jeszcze taką zabczaną, wzięła mnie za rączkę i zaprowadziła prosto do żony owego uprawiajuszczego! Młoda ta i ładna Kazaczka zrozumiała nasze intencje.

Jej ważny mąż załatwił swoje ważne sprawy na Bemie, a my sobie odbyliśmy swoją ważną naradę, wszystkie trzy łamiąc wszelakie bariery: językowo, narodowościowe i rasowe.

Nazajutrz, bardzo wcześnie, o szarym brzasku, przyleciał osobiście uprawiajuszczy wyganiać mnie do pracy, do wypędu stada, na redyk. Zebrałam się, wzięłam nieodłączny chlebak, w dawnych dobrych czasach uszyty przez Wandzię z harcerskiego płótna, ^(wysożkowo) i odprowadzona przez Mamę, zgłosiłam się do owczarni.

Liczenie i segregowanie owiec trwało dość długo. Już cała ferma była na nogach, gdy poganiałam wyznaczone mi stado: trzysta kotnych / tym razem już wiedziałam, że są kotne / przez płacyk, poza tę owczarnię pustą, w której sypialiśmy z Elą i z Matyldzią, w kierunku zachodnim.

Około kilometra za fermą był tam rozległy teren porośnięty zeszkłymi ostami, wyższymi ode mnie. Lekko pochyły, sięgał niemal do rzeki, płynącej w tym odcinku z północy ku południowi, gdzie dalej skręcała, prawie pod kątem prostym i toczyła swe wody na wschód, równoległe do tej szosy, którą przekraczałam co dzień chodząc po wodę do rzeki w tym miejscu, gdzie był bród, znany mi z przechodzenia ze stadem na drugi brzeg.

Już przegoniłam stado przez teren ostów i zaczęłam przeno-
 sić na rękach owce na drugą stronę, bo było tam dla nich
 za głęboko, gdy nagle zrobiło się okropne zamieszanie.
 Ktoś przepłoszył moje stado i zwierzęta owczym pędem pogna-
 ły w prawo- wzdłuż rzeki, gdzie się zmieszały z innym sta-
 dem! A równocześnie tamte, które już przeniosłam przez wodę,
 pognąły tam też i zmieszały się również z obym stadem!
 Naturalnie ja straciłam głowę i biegłam, jak gdybym do-
 stała kręćka i nie wiedziała, co się dzieje.

Ma to wszystko właśnie nadszedł uprawiając w świecie
 swojej rodziny: z żoną i półtorarocznym synkiem, którego na
 rękach niosła babka. Obie te kobiety, zobaczywszy, co się
 dzieje, narobiły takiego wrzasku, podniosły okropny jazgot,
 wymachując rękami w moją stronę, w świętym oburzeniu na tak
 strasznie karygodną nieudolność niewydarzonego „sach-mała,”
 że w wyniku, ostatecznie zostałam wyrzucona z pracy, przez
 nie, a przede wszystkim przez pana i walcę uprawiającego!
~~zawracanie przynajmniej przez przynajmniej przynajmniej przynajmniej~~

Ani mu przez myśl nie przeszło, że cały ten cyrk został
 zaaranżowany i odstawiony przez polsko-kazachską kobiecą
 solidarność.

Moja Mama uszyła, oczywiście w rękach, Kazaczce, w rewar-
 zu za wybawienie mnie z opresji, wspaniały, zimowy płaszcz
 dla synka. To była przeróbka z czegoś. Poświęciłyśmy na to
 pół zarękawek i Mama zrobiła do tego koknier i klapy futrza-
 ne. Całość wykonana bardzo solidnie, świetnie się prezentowa-
 ła i w dodatku, przewidziana była też na wyrost. Młoda matka
 była bardzo zadowolona, a gdy Mama nie chciała przyjąć za ro-
 botę zapłaty, przyniosła nam trochę mąki i trochę jagieł, jak
 jako rekompensatę za futerko.

Przy okazji przyznała się, że ona też nie życzyła sobie,
 nie tylko nam, abym faktycznie zdecydowała się na to nieszczęs-
 ne koczowisko, które, przenosząc się w ciągu lata na kolejne
 tereny wypasu, wraca dopiero w październiku. Dodała, że mnie
 zna z widzenia, obserwowała, że lubię dzieci, także kazachskie
 dzieci, którymi nie gardzę i które nieraz czekają na mnie,
 bym im pokazała „żabkę” i pogładziła po buzi. / Tym jej wyz-
 naniem byłam kompletnie zaskoczona!/. Powiedziała, że właśnie
 dlatego tym chętniej mi pomogła, bo: „Szkoda dobrej dziew-
 czyny na dżajlau, gdzie się niejedno może wydarzyć.”

"Zaopiekuję się Matyldzią!"

Korzystając z niespodziewanie wolnego dnia postanowiłam wybrać się do kołchozu, z jakąś bluzką i koszulką na zmianę. W kwaterze wszyscy wszystko widzieli i słyszeli, więc do narady z Mamą dotęczyła się pani Kierepkowa:

- Ja to tam się dzisiaj nie wybiorę w taki upał, nie dam rady, mam serce w gardle, ale też bym miała coś do zmiany...-

- Świętnie! Zabiorę Matyldzię ze sobą! - zgodziłam się chętnie - Zaopiekuję się nią! -

- Zawsze to we dwie będzicie nam różnie, chociaż to niedaleko. Pomaszerowałyśmy od wozu i dość dziarsko, niosąc po parę kawałków w plecakach. W kołchozie zdobyłyśmy go trochę mąki, nieco więcej kaszy jaglanej i po parę jajek. Bardzo zadowolone chciałyśmy z tej ostatniej lepianki już wychodzić, gdy sędziwa Bajbisza zaprosiła nas do stołu, wskazując przy nim, na glinianym klepisku, miejsce, aby usiąść.

Właśnie przed momentem na tymże, kazachskim, okrągłym i niezbyt wysokim stole, przewijała niemowlę, chyba prawnuka, które się solidnie posiusiało. Ze śmiechem starła stół jakąś szmatą, dzieciątko położyła w kącie, na ziemi, na posłaniu, poręczy mówiąc coś do nas, z czego rozumiwałyśmy piąte przez dziesiąte, wzięła się z własnej pilności do szykowania nam poczęstunku.

- Wolalabym wziąć ze sobą to, czym nas tu chce ugościć - powiedziałam do Matyldzi.

- Ja też, ale widzisz: bierze mleko. Jak byśmy to zaniósły? Nie ma w czym. -

- Jaka szkoda! Trzeba było wziąć banieczkę! Albo, żeby chociaż jakaś butelka...-

- Nie martw się: zjemy tutaj, to już nie będziemy głodne i w domu nie będziemy jadły. Na jedno wyjdzie! - Matyldzia praktycznie myślała.

Tymczasem siedziałam na przeciw i niestety, widziałam, jak staruszka się krząta. Wzięła dwie czarki, wytarła je tą samą, okropną szmatą, którą przed chwilą wytarła stół. Następnie Bajbisza, wciąż mówiąc i uśmiechając się do nas życzliwie do tej samej szmaty wytarła swe ręce, o wątpliwej czystości, albo raczej, o niewątpliwym brudzie. Tymi rękoma, bez użycia łyżki, wprost z jednego czeguna nałożyła do czarek ugotowaną kaszę jaglaną, a potem, tak saro, na moich oczach, zanim zdą-

żyłam zapobiec, paluchami zgarnęła z drugiego czeguna wielki kożuch i chlapnęła mam do obu czarek.

- Jezu, ratunku!...- westchnęłam.

- Gdybyś nie widziała, rzuciłabyś się na to z wielkim apetytem!- zreflektowała mnie Matyldzia.

- To prawda...- zawstydziliłam się swej niewdzięczności

- No, wifec!...-

Gościwna pani domu wzięła z przypiecka dwie drewniane łyżki, wybierając te malowane w kwiatki, wytarła je znów tą sianą, dość uniwersalną szmatą i podała nam obie czarki, po kolei osobiście i utasnoręcznie, paluchami wymieszawszy w nich kaszę z kożuchem, pewnie po to, by te paluchy oblizać z przysmaku. Uczyniła to z rozkoszą na twarzy.

- Wyobraź sobie, że nic z tego nie widziałaś!- poradziła mi Matyldzia z uśmiechem, co tak rozczuliło bajbiszę, że aż ją poklepała z zachwytem.

- "Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma!"- zgodziłam się pokornie, gwałtownie skierowując swe niemożliwe myśli na cokolwiek, byle nie przejmować się sposobem przygotowania poczęstunku.

- Smacznego!- usłyszałam

- A, no: "Głód najlepiej jeść gotuje, zmęczenie najlepiej ściele"- popisywałam się znajomością bogactwa przysiów, dla dodania sobie animuszu, a biedna, stara bajbisza potakiwała głową, strasznie zadowolona z siebie, aż poczułam się podłe niewdzięczna i nie zważając na wrodzoną wrogość do kożuchów i lekceważąc całą resztę animozji, za przykładem Matyldzi, wyjadłam wszystko, do dna. Widocznie sprawiłyśmy tym poczciwej starowinie prawdziwą satysfakcję. A przyznać trzeba, że po piołunowym mleku, powszechnym w owym czasie na fermie, tutejsze musiało wydawać się niemal słodkie.

Podziękowałyśmy Kazaczce za przyjęcie. Jednak ja powinnam była zrezygnować, aczkolwiek poczytywano by to za duży nietakt.

Zaraz za jej lepianką podbiegła do nas dziewczyna, może w wieku Matyldzi i wskazując na moją kolorową krajkę przy mundurze, proponowała mi zamianę na swój kazachski pierścionek.

Za namową Matyldzi doszło do wymiany pamiątek i jeszcze zdążyłam się dowiedzieć, że po kazachsku pierścionek nazywa się: "sahina", a zrobiła to jej babka, ze starej, srebrnej monety. Krótką tę rozmowę zakończyłam w pośpiechu, z powodu

gnatounych boleści żółdka, od których aż mi, w oozach pojaś-
niało. Musiałam czynprędzej uciekać, jak najdalej od ludzkiego
wzroku, z bardzo prozaicznych przyczyn. Niestety cały orga-
nizm mój, byłej grymaśnicy, zbuntował się.

Biedna Matyldzia! Raz krzyczałam na nią, aby leciała do
przodu i nie oglądała się wstecz, to znów wołałam, by pomogła
mi utrzymać się na nogach, gdy mi się robiło słabo, bo się
bałam, że do wieczora ^{nie} ~~nie~~ dowleczymy się do domu.

Wreszcie Matyldzia oznajmiła:

- Tutaj ja się kładę, bo we mnie musi się wszystko wleźć!
Ty też się połóż i poczekaj na mnie!-

- Chyba ona odwróciła kota ogonem!- domyśliłam się i usnę-
łam, opośal drogi. Matylda także. To nas bardzo pokrzepiło.

Dochodziłyśmy do ferry, gdy z daleką zobaczyłyśmy nasze Mat-
ki, idące nam na spotkanie.

- Dostyć długo was nie było- powiedziała moja Mama.

- Nie martwiłam się, bo Matyldzia była pod twoją opieką-
córzuciła jej mama.

- Obawiam się, że tym razem wyszło raczej przeciwnie.-
musiałam przyznać, bo moja podpieczna opiekowała się mną
nadszpodziewanie i zaskoczyła na wdzięczność i pochwałę.

Pieczarki

Którejś nocy, Mama, wyszedłszy za własną potrzebą, zobaczy-
ła w świetle księżyca pieczarki. Nazwierała je od razu, by
w dzień sprawdzić, czy się nie myli. Jednak to były prawdzi-
we pieczarki! Nikomu nie zdradziła miejsca, w którym je zna-
lazła; już po pewnych doświadczeniach nauczyła się takiej
przezorności. Dzięki temu chyba przez trzy tygodnie pieczar-
ki stanowiły podstawę naszego wyżywienia. Wyborne!

Kazachowie zobaczyli kiedyś, odwiedzając nas, zgodnie ze
swym zwyczajem, że Mama szykuje pieczarki na obiad. Poru-
szeni, tłumaczyli, że to są niejadalne grzyby, może bali się,
że trujące. Wreszcie dali wyraz swojej opinii o pieczarkach,
mówiąc, że rosną na gnojowisku i dla zadokumentowania, splunę-
li z obrzydzeniem. Na szczęście nie na pieczarki!

Ale nam to nie przeszkadzało, że pogardzają pieczarkami.
Wręcz przeciwnie: cieszyliśmy się, że wystarczą dla nas.

Ktoś musiał znaleźć Mamina spiżarnię, bo od jakiegoś czasu
pieczarki zniknęły. Było nam szkoda.

A co do tubylnych gustów, na przykład: mięso borsucze, ja-
dane przez nas z braku innego pożywienia, czy

pieczarek, znanych nam i cenionych w Kraju, to można skwitować powiedzeniem: Co kraj, to obyczaj" i następnym: "Podróże kształcą!"

W ogrodach

Kiedy już wszystkie owce wypędzono w step, na koczowisko, wtedy i nas porozsykano do innych robót. Zbyszek, Andrzej i kilku innych dołączono do sianokosów.

Eli i mnie kazano zgłosić się na plantacji w tak zwanych ogrodach, u "dieduszki" ogrodnika. Machnięto ręką: O, tedy, ta droga! - i to było wszystko.

Plantacje rozciągały się na wschód od fermy, już od odległości pięciu kilometrów od niej, skąd do budki ogrodnika, znajdującej się mniej więcej w samym środku terenów ogrodowych szło się jeszcze dobrych parę kilometrów.

Buda ogrodnika okazała się małą chałupką, dwuizbowa. W tej mniejszej, z piecem kuchennym, mieszkał ogrodnik z synem, jedenastoletnim ~~Waską~~ ^{Waską}, w drugiej, pokotem na ziemi mieściło się legowisko zatrudnionych tutaj dziewcząt. Same Polki. Patronowała nam pani Czupkiewiczowa, którą tutaj skierowano do roboty, ponieważ ^{u Centrali} biuro obchodziło się w lecie bez sprzątaczkę, kiedy odpadło opalenie lokalu.

Przez cały sezon oprócz wymienionych, pracowały ^{pani Czupkiewicz,} ~~pani~~ Myszka Śniadowska i ~~Wiesia~~ ^{Wiesia} Klink, okresowo Lula Dzieduszycka ~~i~~ ~~W~~ i Wanda Serwatowska oraz Krysia Zwierzańska. Doszliśmy też raz my obie z Elą.

Na ogrodnika mówiliśmy "dziadek ogrodowy", na jego żonę, zjawiającą się od czasu do czasu na kilka dni: "babka", a na Waskę, skrycie i nie bez uzasadnienia, "szpicel".

Gdy babki nie było, zaraz na początku, pani Czupkiewiczowa zaproponowała naszemu szefowi ugotowanie ziemniaków, na co chętnie przyzwolił. Przy okazji zdołała go przekonać, że "o głodnym pysku" cała jego brygada, /to znaczy my/, będzie źle pracować, czyli lepiej, abyśmy mogły gotować sobie ziemniaki, a wtedy robota pójdzie, jak należy. Miał zastrzeżenia, co do gotowania, bo za dużo byłoby tych kucharek, za długo odrywających się od pracy.

Wtedy wpadła na pomysł, że my możemy wszystkie rozdzielić między siebie jej normę dzienną, za to ona może dla wszystkich gotować posiłki, z ogrodnikiem na czele. Zgodził

Od tej pory gotowała nam obiady ziemniaki, na śniadanie i na kolację kartoflaną. Czy mogliśmy marzyć o czymś takim, szczególnie obie z Blą? Nie przypominam sobie wprawdzie, aby nam za pracę tam płacono, być może, nie pamiętam. Pamiętam jednak dobrze, że nam za to wyżywienie nie kazano płacić!

Ogrodnik robił nam pobudkę o pół do czwartej rano i prowadził na wyznaczony teren plantacji, gdzie wyznaczał konkretną robotę. Na śniadanie przychodziliśmy już dobrze spracowani. O kilka kroków od "izbuzki" było kamieniste, dość strome zejście do głębokiego jaru, którym płynęła wąska, bystra rzeczka. Myliśmy się w czystej, lodowatej i orzeźwiającej wodzie i wracaliśmy do roboty.

Obiad mieliśmy w południe i odpoczywały pół godziny. Pozwalał na godzinę tylko w najgorsze upały. Potem praca do zmroku, uwieńczona kolacją.

Na początku przede wszystkim najważniejsze było plewienie całej plantacji i zdawało się, że to jest całkowicie syzyfowa praca. Zanim dochodziliśmy do końca wyznaczonych rzędów, już ten początek, dopiero co wypielony bardzo starannie, udawał, że go ręka ludzka nie tknęła! Tak błyskawicznie zarastał przekornymi chwastami.

Dziadek nie żałował wysiłków: naszych! Wyznaczał nam olbrzymie normy dzienne, stale przypominając, że jeszcze mamy odrobić za kucharkę. Szliśmy więc tyralierą, pochylone całymimi godzinami i darzy chwasty, z korzeniami, z zaskorupiałej, twardej i chciwej ziemi, aby zostawić pole czyste pole, pod kapustę, pomidory, ziemniaki i ogórki.

Na plantacji

Dalej była "baksza", czyli plantacja kawonów /"arbuzy"/, melonów /"dynie"/ i dyni /"banie"/. Kcięż tylko usilna walka z upartymi chwastami. Potem była susza. Doszło nam dużo ciężkiej pracy: podlewanie, w godzinach wieczornych, po dziennym skwarze i pracy przy pielieniu.

Miała rację matka Izy, że głodne nie podołałybyśmy takiej roboty. Starła się możliwie najwięcej dorzucić ziemniaków do wydzielanej przez dziadka dziennej porcji.

Czasem, kiedy udało mi się złapać sobie borsuka we wnyki i dałam kuchence do ugotowania dla niego, ona starała się okrasić tej trochę ziemniaki, zawsze postne, borsuczym smalcem, co nadawało im zupełnie odmienny smak i było takie kalcoryczne! Zapomnieliśmy sobie, że "pies przeleciał" przez nie i śpiwały: "Leci pias przez pole", by w ten sposób informował się nauzajem, jaka pożywny obiad nas czeka,

Każ na tydzień ogrodnik pozwalał nam wybierać się po pracy do domu, na fermę, po zmianę odzieży, jak mówiłyśmy mu. Pozwalał, pod warunkiem, że nie spóźnimy się rano do pracy. Chodziłyśmy więc nocą i nocą utracaly, aby zdążyć i nie dać powodu do cofnięcia pozwolenia. Chciałyśmy przecież zobaczyć się ze swoimi, co się tam dzieje, porozmawiać, zabrać listy. Dni wolnych od pracy nie było. Wcale.

Przez kilka tygodni, kiedy na plantacji dopiero wszystko zaczynało rosnąć i nie było niczego, co można by do domu zanieść, ogrodnik nie interesował się specjalnie tymi naszymi wyprawami. Potem, gdy już wyrosły plony naszej pracy, pilnował, aby nawet ten raz w tygodniu nie zanieść niczego do domu tak samo, jak bacznie zwracał uwagę, abyśmy na miejscu nie zjadły mu całej plantacji. Powtarzał, że wszystko jest "kazionne", nie wolno nam niczego brać, ani jeść i byliśmy nieustannie pilnowane, jeśli nie przez samego ogrodnika, a czasem przez jego żonę, to przez małego, złocliwego szpicla.

Z czasem zdopingowało nas to do pewnej zaradności. Nie łatwo było nam się pogodzić z faktem, już później, w okresie pekni plonów, że całe masy ich sniją, a my nie mamy prawa zanieść swoim rodzinom choć trochę tej żywności, trochę tych witamin, które produkowałyśmy, pracując bardzo ciężko, a których i nam nie wolno było samowolnie jeść. Któraś z dziewcząt zauważyła dość pokaźny dół, znajdujący się już poza terenem plantacji, sąsiadujący z działkami, przyznanymi mieszkańcom Tiki Bułaku do indywidualnego użytkowania, czyli po drodze do naszej na fermę. Od tej pory wcześniej umawiałyśmy się, która urwie się na tyle, aby tam złożyć trochę pomidorów, ogórków, czy co tam zdoła, podczas pracy.

A potem podczas kolacji, niby to nagle, przychodziło jedźbej do głowy, że wybirze się do domu i inne decydowały się także, o czym zawiadamiłyśmy szefa, który nie oponował.

Już było ciemno, toteż pilnujący nas Waśka odprowadzał nas tylko do granicy plantacji i był świadkiem, że nie zrywamy niczego po drodze.

A nasz magazyn czekał poza granicą ogórków!

Atak najlepszą obroną

Ogrodnik sam przynosił nam do obiadu po pomidorze, gdy już gniły z powodu braku transportu, albo jednego kawon, lub dwa melony, czym sam obdzielał wszystkich z miną władcy świata i dobroczyńcy ludzkości.

Przechodząc kiedyś plantacją zauważył łupiny kawona, za co z miejsca zrobił nam dziką zwanturę. Na jego krzyki przybiegła Iza, która pracowała trochę dalej od miejsca zbrodni. Z tupetem zareagowała takim samym krzykiem na szefa, że oskarża nas bezpodstawnie, bo to właśnie jego rodzony syn, Właska, zjadł tego kawona! Ogrodnik zaniemówił i dopiero po namyśle wymamrotał:

- "Wot i zdurył", głupi chłopak, i tyle! Już ja mu pokażę!- i dał nam spokój.

- Iza! Co ci strzeliło do głowy?- pytałyśmy ją później.

- Przecież razem z nami jadłaś tego kawona!- dziwiłam się

- Ta, nie wiecie, że atak jest najlepszą obroną? Jesteście takie pewne, że Wasylek nigdy nie zjada kawonów, kiedy odchodzi ze swojego szpiegowskiego posterunku? A, no! Przekonamy się!- odpowiedziała ze śmiechem.

- Rzeczywiście! Jeśli dzisiaj nie ma nic na sumieniu, to z pewnością rzuci się na nas, za niesłuszne oskarżenie!- Myszka potwierdziła domysły.

- Macie rację! Jeżeli jadał, to będzie cicho siedział, przekonany, że ktoś to zobaczył.

Wnioski słuszne : milczenie na temat całej afery, upewniły nas, że rozumowanie Izy potwierdziło się.

Od tego czasu, jeżeli udała nam się jakaś uczta, zagrzebywałyśmy jej ślady w ziemi, aby nie pozostawiać dowodów zbrodni, w postaci łupin z kawonów lub melonów.

Nauka w las nie idzie!

Przy pieleniu kapusty

Aferą z łupinami wyskoczyłam nieco do przodu:

Tymczasem jeszcze była połowa czerwca i na plantacjach nie było podobnych pokus. Tylko stałe pielenie, przy stałym poganianiu nas: -"Dawaj skarej, dziewczata! Dawaj pobystrej!"-

Nierzadko do tego dziadek dorzucał kwaśną uwagę na temat naszego użytkowania, darmowego! To już brzmiało, jak pogróżka.

Zerwana przed świtem ledwie wysunęłam się ze swego legowiska z takim szalonym bólem głowy, że aż mi same łzy płynęły. Tego dnia plewiłyśmy kapustę. Na śniadanie z trudnością i na siłę zjadłam swoją kartoflanke, do czego normalnie nie trzeba było zachęcać.

Ogrodnik był w szczególnie złym humorze i nie przestawał wrzeszczać, abyśmy się śpieszyły, złościł się, żeśmy chciały zejść do jaru się umyć. W tym pośpiechu zapomniałam o konieczności włożenia na głowę chustki, którą po śniadaniu zostawiłam w izbie. Głowa bolała mnie, jakby była wcisnięta w ciasną obręcz i nie czułam, że tej chustki na niej nie mam. Do południa, schylone nad chwastami, posuwałyśmy się rzędami wyznaczonymi nam do przodu i nie było mowy o chwili wytchnienia dla wyprostowania pleców lub podniesienia głowy. Pękała mi z bólu

Ostatkiem sił dobrnęłam do swojej mety i padłam. Ponaglana krzykami i wołaniem, przy pomocy Myszki i Izy, które pracowały w najbliższych rzędach, jakoś się pozbierałam i dowlokłam do budy, ledwie żywa. Przespałam obiad i przerwę wypoczynkową co trwało razem pół godziny. Obudzona nie byłam w stanie się dźwignąć.

Dziadek ogrodowy wrzeszczał nade mną, wypędziwszy już wszystkie dziewczęta do roboty, a mnie było wszystko jedno: leżałam jak kłoda. Na to nadeszła pani Czupkiewiczowa. Huknęła na niego, aby mnie zostawił w spokoju, bo przecież widać, że jestem chora.

- Symulant! Nie wolno symulować!- darł się stary- Nie pozwolę! "Eto proguć!"-

- A wy sami popatrzcie na nią! Toż widać że "Zdorowo zboleła!" Chcecie, aby wam poszła do roboty i padła? A za takie traktowanie ludu roboczego, żeby to pozdychało przy robocie z przemęczenia, to nie ma progūku?! Chcecie wszystkie zaharować jak to tę tutaj, aby wam padły, co?-

Ogrodnik zbity z tropu wycofał się, gderając, że musi pójść dopilnować tamte i wreszcie zabrał się i poszedł.

Pani Czupkiewiczowa podeszła dumną :

- Dziewczyno! Niejadłaś nic, ale ja zostawiłam ci kartofle. Przyniosę. Musisz zjeść!...-

Już nie słyszałam, co dalej mówiła. Usnęłam.

- Panie Święty! Taż ty masz gorączkę!- usłyszałam i pani Czupkiewiczowa wzięła mnie za puls, sprawdzając rozpalone czoło.

Nierzadko do tego dziadek dorzucał kwaśną uwagę na temat naszego żywienia, darmowego! To już brzmiało, jak pogróżka.

Zerwana przed świtem ledwie wysunęłam się ze swego legowiska z takim szalonym bólem głowy, że aż mi same łzy płynęły. Tego dnia plewiłyśmy kapustę. Na śniadanie z trudnością i na siłę zjadłam swoją kartoflankę, do czego normalnie nie trzeba mi było zachęcać.

Ogrodnik był w szczególnie złym humorze i nie przestawał wrzeszczeć, abyśmy się śpieszyły, złościł się, żeśmy chciały zejść do jaru się umyć. W tym pośpiechu zapomniałam o konieczności włożenia na głowę chustki, którą po śniadaniu zostawiłam w izbie. Głowa bolała mnie, jakby była wcisnięta w ciasną obręcz i nie czułam, że tej chustki na niej nie mam. Do południa, schylone nad chwastami, posuwałyśmy się rzędami wyznaczonymi nam do przodu i nie było mowy o chwili wytchnienia dla wyprostowania pleców lub podniesienia głowy. Pękała mi z bólu

Ostatkiem sił dobrnęłam do swojej mety i padłam. Ponaglana krzykami i wołaniem, przy pomocy Myszki i Izy, które pracowały w najbliższych rzędach, jakoś się pozbierałam i dowlokłam do budy, ledwie żywa. Przespałam obiad i przerwę wypoczynkową co trwało razem pół godziny. Obudzona nie byłam w stanie się dźwignąć.

Dziadek ogrodowy wrzeszczał nade mną, wypędziwszy już wszystkie dziewczęta do roboty, a mnie było wszystko jedno: leżałam jak kłoda. Na to nadeszła pani Czupkiewiczowa. Huknęła na niego, aby mnie zostawił w spokoju, bo przecież widać, że jestem chora.

- Symulant! Nie wolno symulować!- darł się stary- Nie pozwolę! "Eto proguć!"-

- A wy sami popatrzcie na nią! Toż widać że "Zdorowo zboleła!" Chcecie, aby wam poszła do roboty i padła? A za takie traktowanie ludu roboczego, żeby to pozdychało przy robocie z przemęczenia, to nie ma progūku?! Chcecie wszystkie zaharować jak to tę tutaj, aby wam padły, co?-

Ogrodnik zbity z tropu wycofał się, gderając, że musi pójść dopilnować tamte i wreszcie zabrał się i poszedł.

Pani Czupkiewiczowa podeszła do mnie :

- Dziewczyno! Niejadłaś nic, ale ja zostawiłam ci kartofle. Przynieś. Musisz zjeść!...-

Już nie słyszałam, co dalej mówiła. Usnęłam.

- Panie Święty! Taż ty masz gorączkę!- usłyszałam i pani Czupkiewiczowa wzięła mnie za puls, sprawdzając rozpalone czoło.

- Ōho! Udar słoneczny, jak nic!-

- Zimny okład na głowę i głowę położyć wysoko"- zacytowała, co mi się przypomniało z kursu ratownictwa.

- Tak, tak! Przytomnie gadasz!- ucieszyła się, podsunęła mnie wyżej,, zgarniając, co się dało, pod głowę. Przyniosła chustkę, zmoczoną zimną wodą z cienistego wąwozu.

Jednak po bardzo ciężkiej nocy nie było ze mną zbyt dobrze. Korzystając z okazji, załadowano mnie na jakiś wózek z fermy, który wracał tam pusty.

Chora u Mamę

Mama bardzo się zmartwiła moim stanem. Pani Serwatowska, do której poszła pożyczyć termometr, przyszła mnie odwiedzić. Temperatura przekraczała 39°C. Mama zmieniała mi okłady na głowę, aby stale były zimne. Pani Serwatowska przyniosła trochę prawdziwej herbaty. Osoby znajdujące się w izbie rozmawiały przyciszonymi głosami. Wciąż zapadałam w sen i wciąż budziłam się ze strachem. Głowa pękała, lzy płynęły.

Mama ugotowała kartoflanę luksusową: zlanymi kluskami, na jajku. Plakałyśmy nad nią obie, bo nie mogłam jej w siebie wmusić. To trwało przez trzy dni. Poprawy żadnej. Tego trzeciego dnia rano znów pobeczaliśmy się obie: Mama, że nie doceniam wysiłków i starań i nawet wybrzydzam na pracę, taką luksus! /że gorzka, a ja, że Mama nie rozumie, że nie mogę jeść. Bardzo czułam się chora.

Wreszcie Mama zdecydowała, że pójdzie do kołchozu, coś kupić, ale uprosiłam, aby odłożyła na następny dzień, bo bałam się, że znów dojdzie do płaczu przy jedzeniu.

Nadeszła poczta, sporo listów, a wśród nich jeden z najbardziej otrzymywanych: od Dziadki! Z życzeniami imienninowymi dla mnie!

- Akurat w dzień imienin przyszedł!- rozbeczałam się ze wzruszenia...

- Rzeczywiście!.. To pójde i kupię ci kurę w kołchozie! Rosół dobrze ci zrobi i na pewno zjesz...-

Ledwie zdołałam wytłumaczyć, że bardziej zależy mi na tych zimnych okładach i namówić Mamę do odłożenia wyprawy na drugi dzień.

Dwudziesty drugi czerwiec

Mama wreszcie przygotowała sobie, co tam poświęci za tę kwrę i samotnie wybrała się w drogę. Niedługo potem w izbie zjawił się Ojciec:

- Gdzie Mama? Chyba jeszcze nie poszła? - pytał.

- Już poszła... -

- O, to szkoda... -

- Dlaczego? -

- Bo widzisz: jest dwukółka do Centrali. Jedzie Dziubbarbej Zgodził się zabrać ciebie do "bolnicy". Zawsze to szpital, muszą mieć jakieś leki. Tutaj jesteśmy bezsilni... -

- Dobrze. Pojadę - zgodziłam się.

- Ale Mama?... I przecież musisz coś ze sobą zabrać.. Spakowałaby ci rzeczy... -

- Dam sobie radę, Tatu! - uspokajałam.

- I kurę chciała ci ugotować... -

- Zjecie za moje zdrowie! -

- No, to mu powiem, żeby nam nie odjechał! - i wyszedł.

- Proszę powiedzieć Mamie, że mam wszystko, co mi tam będzie trzeba: koszulę nocną, mydło, ręcznik... -

- Tak, tak, powiem - godziła się pani Kullinowa, którą o to poprosiłam.

- I że jadę w tej nowej, żółtej sukience, którą mi właśnie skończyła szyć... -

- O, ta ze story okiennej? - upewniała się.

- Tak, ta sama. Okropny kolor, ale za to taka mocna, że pewno wytrzyma niejedno lato... -

- Grzebień wzięłaś? - przypominała.

- Tak i gęsty też! Chyba to już wszystko! -

Zdołałam jakoś uczesać okropne włosy na bolącej głowie. Wi-szące, zbyt długie kosmyki zawiązałam sobie przed czymś lusterkiem na dwa pędzelki, popielatymi sznurowadkami, wyjętymi w tym celu z popielatych, nowych tenisówek, przysłanych mi w paczce przez Lolka.

- Tenisówki zostawiam, jadę w starych człapakach. Do widzenia! - zegnałam się pośpiesznie, bo już Tato po mnie przy-szedł.

- Ręcznik wzięłaś? - zapytał.

- Tak, mam. Wszystko mam w chlebaka! - pokazałam - Nawet i książkę, na potem: jak już będę mogła czytać. -

- Daj ten ręcznik! Trzeba zmoczyć dobrze i włożyć na głowę, przywiąż chustką. A tu masz butelkę z wodą. Zmocysz ręcznik, jak wyschnie.- doradzał.

Mieliśmy już wychodzić, gdy kilka osób przybiegło z wiadomością:

- Niemcy uderzyły na Związek Radziecki!-
- Mają teraz i oni wojnę!-
- Wojna! Wojna wybuchła: Niemców z "Ruskami"!-
- Skąd te wiadomości?-
- Czy to prawda?..-

Trudno opisać, co się działo w kwaterze i na całej fermie. Kij w mrowisko, to za słabe określenie. Zakotkowało się wszędzie, mimo, że większości mieszkańców nie było na miejscu, bo pracowali poza samą fermą, w terenie.

Rosjanie biegali do Usatowowa po wiadomości, Kazachowie do biura, aby wydzwaniać gdzieś po informacje, cała ludność to się zbierała grupkami, to gdzieś plątała w podnieceniu, szukając jakichś bliższych wyjaśnień.

Polacy głównie debatowali nad swoim własnym losem i skutkami nowej sytuacji.

Kompletnie otepiała patrzyłam na to zamieszanie, jak gdyby nie dotyczyło mnie, ani nikogo z Najbliższych, lecz odbywało się gdzieś na ekranie.

Nagle przybiegły dzieci:

- Dziubarbej się pyta, czy jedziesz?-
- Tak, naturalnie- oznajmił Ojciec.- Tymbardziej musisz wyzdrowieć: coś się zaczyna dziać!- i wyszedł ze mną z szumiącej gwarem izby.

Droga do szpitala

Dziubarbej czekał. Arby załadowana była kopiasto stajennym fanarami i ledwie skrawek miejsca został dla woźnicy.

- Gdzie ja się tu podzieję?- zmartwiłam się.

- Fanary przywiązane, niech już tak będą. Usiądź na tych dwóch, z przodu! Po tej stronie!- pokazywał Kazach, a zobaczysz mój chlebak, umieścił go na latarniach, na płasko, jak poduszkę, - O, tutaj, na tym siadaj!-

- Trzymaj się barierki! Bądź zdrowa!- żegnał mnie Tato.

- Proszę Mamie powiedzieć, aby się nie martwiła. I uca-

łować ode mnie!-

- A uważaj w drodze! Zmieniaj okład i nie usnij, bo Dziumberbej mówił mi, że duże noce nie spał! Musisz sama pilnować tego wołu, aby was nie przewrócił!- szedł Ojciec przy odjeżdżających, aby mnie ostrzec.

To był ten sam wół jednooki, z którym Władzio miał przeprawę. Przypomniało mi się to i obiecałam sobie, że dopilnuję, szczególnie przeprawy przez niebezpieczny zakręt.

Dziumberbej zdążył jeszcze i mnie poinformować o suchych dwunieprzespanych nocach i przeharowanych trzech dniach i natychmiast chrapał. Wyjęłam mu z ręki kij, udający biczysko i od czasu do czasu jęknęłam w kierunku wołu najdelikatniejszą komendę:

- Cocob! Cocob! Cobe!... /Wio!/
 Wcale nie przejmowałam się tym, że zwierzę niezbyt wiele sobie z tego robi i wlecze się noga za nogą. Bałam się, że jeśli przyspieszy kroku, to wstrząsy arba i pobrzękiwania fanarami do reszty rozwalą moją biedną głowę, która zdawała się jednym olbrzymim bólem.

Biedny Dziumberbej chrapał przez sen, czasem drapał się, a ja nie zważałam już na to, pilnując tylko, aby nie spadł z wózka. Wszystko jedno mi już było, że mogło mnie coś oblesć. Przede wszystkim byłam mu wdzięczna. Było za co! Po pierwsze: pamiętałam ten chleb, którym z poświęceniem tak poratował mnie w zimie. Po drugie: zgodził się teraz zabrać mnie do Centrali i tylko dlatego wyruszył od razu, zamiast przez co najmniej pół dnia odespać najpierw swoje zaległości. Po trzecie, co już mi Tato powiedział, nie chciał słyszeć o żadnej zapłacie za to... Biedny "starszy chłopak do posyłek"!

A tyle w nim wielkoduszności! Taki ludzki!

Zupełnie przeciwnie, niż na przykład ruski brygadzysta Gałysz, w Centrali. Albo ci obaj Kazachowie: uprawiajuszczy w Centrali i uprawiajuszczy w Tiki Bułaku! Ten pierwszy posłał do więzienia Marylkę Fiszer, chciał też posłać tam Elę i mnie, odebrał nam ten ser, a wreszcie wysłał nasze rodziny do Tiki i Kuduku... Ten drugi zalecał się do Nini, a potem mnie usiłował wysłać na dżajlau i bieda wie, ci mi tam groziło, gdyby nie pomysł Mamy i pomoc jego żony...

Wszędzie jednak są ludzie i ludziska!...

A teraz oni mają wojnę!... co to oznacza dla nas!?!...-

Rozmaślaniem, które mi się maciły, przypominaniem sobie wi

wierszy, które dziwnie się rwały, modlitwą, która mi się pła-
tała, skracalam sobie tę niezbyt luksusową, lecz zbawienną pod-
róż. Fanary gniotły mnie z niejednej strony, no i dobrze, bo
bez tego pewnie bym usnęła. Co jakiś czas polewalam sobie wo-
dą suchy okład z ręcznika i przemawiałam sobie do własnej am-
bicji i angażowałam siłę woli, godną harcerki z Krzyżem, w roz-
paczliwej walce z coraz gorszą sennością.

- Nie wolno mi się poddać, bo to bydlę rozwali nas na tym
niebezpiecznym zakręcie!- przypominałam sobie, w końcu poś-
więciłam trochę wody: napiłam skromny łyk / ciepła i niesmacz-
na, ale mokra! / i trochę nalałam sobie na dłoń i chlapnęłam
w twarz, aż miałam zatrzęsko! I całe szczęście! Bo oto właśnie
zaczynała się ta droga obniżająca się coraz bardziej i pro-
wadząca stromo już do tego miejsca częstych wypadków!

- Dziubarbej! Dziubarbej!- szeptałam rozpaczliwie, donośnym
szepciem, bojąc się krzykiem wypłoszyć wołu

- Dziubarbej!- potrząsnęłam mocno śpiącym, wciskając mu
bicz do prawicy, aż się ocknął.

Jednym ruchem zsunął się z arby, mocno chwycił lejce i z ca-
łej siły zaczął hamować, idąc ośok, potem coraz szybciej,
a w końcu biegnąc za zwierzęciem i wozem tak, aby nie do-
puścić do roztrzaskania o kamienną przeszkodę.

Nic mi nie myślałam Patrzyłam szeroko otwartymi oczyma: cze-
kałam na najgorsze.

- Uf!- dyszel stuknął o głaz, ale Kazach zdołał jednak staw-
wić opór ciężarowi i nic więcej się nie stało.

- Wół cały!- sapnęłam.

- " Byk" żyje! Kyzymka żyje! Ułap Kasymow Dziubarbej żyje!
Arba cała! Fanary całe!- wyliczał Dziubarbej, ocierając
z uśmiechem pot z czoła.

- Dziubarbej, "dżaksy!" /dobry!- pochwaliłam.

- "Kyzymka dżaksy!" Dobrze, że mnie zbudziłaś!-

Przeprowadził wehikuł na bezpieczną trasę i spokojnie już
spał aż do zjazdu do Sigisbaju.

Przybycie do Centrali

- Z której pani jest fermy?- zapytała mnie pani Schmallo-
wa, idąca na pocztę, gdy wjeżdżałam do Centrali.

- Z Tiki Bułaku- odpowiedziałam, nieco speszona.

- A pani z której fermy?- o kilka kroków dalej zwróciła się

do mnie pani Stasia Krakowa

- Z trzeciej, pani Stasiu...- zaczęłam, a już do wozu po-
deszła pani Bokotowa:

- Jedźcie pani z trzeciej fermy?...- upewniała się pani Bo-
kotowa, gdy wózek dojeżdżał pod drzwi szpitalika.

- Ależ pani mnie nie poznaje, pani Jadwigo?... Przecież ja...-

- Czy to nie jest ktoś Ala? - panna Miła Judek stanęła na
pragu i z wysokości paru schodków przyjrzała mi się badawczo

- Ależ tak! Panno Miło, to ja! - zawołałam z ulgą.

Tamte panie spojrzwały po sobie i znów no mnie:

- W imię Ojca i Syna!...-

- Tak, to Ala!?...-

- Jak to! Długo miesiące i już nikt mnie nie poznaje? - st-
stwierdzikam z szaloną przykrością.

- Chodź, chodź! Faktycznie coś nietęgo wyglądasz. Co ci
jest, dziewczyno? - wzięła mnie Miła pod rękę, prowadziła po
schodkach, że ledwie zdążyłam podziękować Dziubarbejowi za
przywiezienie i resztę.

- Wracz zaraz przyjdzie. Teraz opowiadaj! - mówiła, dając mi
termometr, sprawdzając tętno i uwalniając od turbanów.

W kobiecej sali dwa łóżka zajmowały chore staruszki, Rosjan-
ki; trzy były wolne.

- Tu ci będzie najlepiej: pod oknem - powiedziała panna Miła
lokująca mnie na zlecenie lekarza.

- Będę spała...-

- Oczywiście, ale musisz zjeść zupę! Ta droga cię wymę-
czyła....

Zbudzono mnie, bym zjadła i dano lekarstwa.

Pamiętam; że dużo spałam, że coś ~~zakłócało~~ mój sen i znowu
spałam, że ktoś usiłował mi przeszkadzać, a ja uciekałam w za-
świąty snu.

Przebudzenie

Ocknęłam się w słoneczny dzień i ze zdziwieniem patrzy-
łam, gdzie ja jestem.

.- Chyba mi się śni? Na łóżku? Skąd? Ja leżę na łóżku! A te
chude ręce? To moje? Takie żółte? I białe rękawy? ..A cóż to
za koszula? Prześcieradło? Na mnie? I pode mną?.. Och, co za
dziwny sen? - westchnęłam i zamknęłam oczy. Cały czas leżałam
cicho, bez ruchu. Nie mogłam sobie przypomnieć czegoś bardzo
ważnego i bałam się, że jeśli się poruszę, to...

bałam się, że jeśli się poruszę, to wszystko zapomnę.

I nagle usłyszałam głos, i słowa. I mowę. Po rosyjsku! Ale rozumiałam. Każde słowo:

- A ta dziewczyna z udarem słonecznym. Ciężki przypadek. Chyba nie wyjdzie.. Już pięć dni leży nieprzytomna...-

- Otworzyła oczy!...- powiedział obcy w białym fartuchu.

- Tak, nieraz patrzy, ale nic nie rozumie. Ani po polsku, bo tu już próbowali, mówili do niej...- to mówił niejescowy wracz.

- Patrzcie! Robi wrażenie, jakby rozumiała...- zauważył ten drugi, starszy-

- No, może i cudem wróci do rozumu... Kiedyś.. Ale gdyby tak jeszcze kiedys udar, to już koniec!...- wymownie machnął ręką.

Chciałam zaprotestować. Powiedzieć coś. Przemówić!.. Głos uwił mi w krtani, zanim powstał. Nie zdołałam wydobyć z siebie głosu! Nie wycedziłam ani słowa. Chciałam złapać za rękę. Nie zdołałam podnieść własnej ręki! Taka słaba... Usnęłam.

Gdy obudziłam się, usiłowałam zawołać panną Milę.

- Panno Milu!- zdawało mi się, że krzyczę z całej siły. Ale nie usłyszałam...

- Nianiu! Ona coś szepce!- usłyszałam obcy głos, po rusku. Nade mną pochyliła się jakaś postać.

- Lala?- zdziwiłam się, podejrzewałam, że znów mi się śni.

- Ala! Żyjesz! Tak, to ja! Lala! Panno Milu!- wołała.

- Lala Schmallowna?...- upewniałam się, przypatrując jej i białemu fartuchowi ze zdumieniem:

- Skąd?...-

- A, ty nie wiesz! Ja tu pracuję, jestem nianią, czyli sanitariuszką, wiesz!- mówiła niezwykle ożywiona, co mnie tym bardziej dziwiło, bo zawsze była raczej flegmatyczką.

- To dobrze! To bardzo dobrze! Nie dźwigasz już pszenicy!- ucieszyłam się

- Panno Milu! Ala jest przytomna! Ciesz się, że ja nie dźwigam już pszenicy!...- Lala powtarzała, jak jakąś rewelację.

- A, widzisz! Mówiłam, że z tego wyjdzie! Co, teraz zjesz już zupę?- zwróciła się do mnie.

- Tak, zjem.- wciąż byłam jakaś "nieszwoja", bardzo słaba.

- A co ten wracz mówił tamtemu starszemu?- przypomniało mi się, lecz nie wiedziałam, czy to sen, czy rzeczywistość.

- Kiedy? Wczoraj? A, to była wizytacja z Urzędru...-

- To było wczoraj?...-

- Tak. Słyszałaś? Jak mi powiedzieli, że się zbudziłaś, to natychmiast przyskłam, ale już znowu spałaś - mówiła Lala.

- To dobrze, bardzo dobrze! Ratował ją ten sen. Całe szczęście, że mogła spać! - stwierdziła panna Mila.

- Pewnie oni mi to wymodlili, moi Kochani...- pomyślałam przypominając sobie głosy, wołające mnie we śnie, aby mnie ścisnąć z dalekich zaświatów

Malaria

Wolno wracałam do sił. Zaczynałam jeść, wychodzić. Nagle wieczorem złapały mnie okropne dreszcze. Ból głowy dokuczał, zmarzłam na kość. Staruszki wezwały Milę. Rzuciła okiem, wróciła z termometrem, okryła, czym się dało.

- Co to jest? - denerwowałam się.

- Atak malarii. Dostaniesz chininę - powiedziała spokojnie.

- Malaria?... Nigdy w życiu nie miałam malarii...-

- I nie będziesz miała! Wyleczymy! - zapewniła panną Mila.

- Jak Nel, "W pustyni i puszчы"... - myślałam

- Ciocia twoja przychodziła co dzień pytać o ciebie...-

- Ciocia Iza!... Jak sobie radzi?...-

- Przyjdzie jutro. Porozmawiacie...-

Po atakach dreszczy temperatura przekraczała trzydzieści do czterdziestu stopni. Głowa wciąż ciążyła beznadziejnie. Usnęłam. Obudziłam się w nocy, zrana potem. Panna Mila natychmiast przyniosła mi świeżą, szpitalną koszulę.

- Przebież prędiutko! Tę mokrą rozwieszę ci na poręczy łóżka, to ci wyschnie. A potem zmienisz, jak tę przepocisz. Pamiętaj, masz dwie koszule i nie leż w mokrej! - radziła, pouczająca, leczyła i pilnowała.

- Dobrze. Dziękuję. Posłucham...-

Ataki powtarzały się co wieczór, temperatura blisko czterdziestu, ranniem spadała do poniżej trzydziestu sześciu stopni. I stałe bóle głowy, także i w dzień.

Ciocia odwiedziła mnie po wizycie lekarskiej. Prosiłam, by przyniosła mi swój kubek, abym mogła do niego odlać połowę swej zupy, zanim wezmę się do jedzenia, bo i tak całej porcji nie zjem. Po obiedzie przysłała po odstawioną zupę i umówiłam się już tak na stałe. Kiedy panna Mila nadeszła na to.

Po odejściu Cioci prosika, aby tego nikt nie zobaczył, w celu uniknięcia nieprzyjemności, bo ze szpitala nie wolno wносить żywności. Przestrzegaliśmy tego od tej pory.

Chininę dostawałam w kapsułkach. Były tak ładne, że szkoda mi było połyskać je. Wysypywałam więc lekarstwo na łyżkę, zaś kapsułki chowałam do koperty, dla Jerzyka do zabawy, albo dla Dziuni, na naszyjnik. To się wydało po sześciu tygodniach przed moim wyjściem, gdy panna Miła pomagała mi w pakowaniu się:

- Co to? Kapsułki? W szufladce? Nie brałaś chininy?...-
- Brałam! Oczywiście, ze brałam!...-
- Puste! No, wiesz! Przecież to się połyska razem! Nie wiedziałaś?...-
- Wiedziałam...- wyznałam automatycznie
- Więc po co, u licha, wysypywałaś chininę?- nie rozumiała
- Chciałam mieć te kapsułki dla Jerzyka i Dziuni...-
- Ale masz pomysły! A ja się co dzień wysilałam z tym nasypywaniem chininy, aby ci nie było gorzko!...- oburzała się na mnie ze śmiechem.

Gorsze od głodu

W szpitalu znalazła się Paula.

- Co ci się stało?- pytałam po przywitaniu.
- Poważny kłopot...-
- ???-
- Gorączkuje...-
- Ja też! Malaria?- zgadywałam
- Nie!... Gorzej...- rozplakała się.
- Nie płacz! Zmieńmy temat, bo płacz ci zaszkodzi...-
- Mnie już gorzej nic nie zaszkodzi! Już jest to najgorsze!
- Czekaj! Nie zalamuj się! Może jeszcze nie jest aż tak?.. starałam się ją pocieszyć, w nadziei, że mam rację.
- E, tam! Już przyszły wyniki... I co ja teraz zrobię?!...
- Pojedziesz do szpitala w Urdzarze- powiedziała panna Miła, której wejścia nie zauważyłyśmy.
- I co?...
- I tam wezmą się za leczenie. My tu nie mamy nic. Im prę-

Sama rozumiesz -

- Tak. Rozumiem!... - Teraz! - dodała z goryczą i otarła łzy.

- Widzisz - zerwała się do mnie, gdy zostaliśmy same:

- Moja matka myślała, że najgorszy ze wszystkiego na świecie jest głód... Zestąpiła jej to z tamtej wojny; że się tak powiedzie, nie boi głodu... A tymczasem... są choroby gorsze od głodu!.. A przecież ja nie chcę!... I nie chciałam! Ja naprawdę nie - chciałam!... - znowu ją pracz opanował.

- Czekaj! Nie rozpaczaj! Słyszałaś, że będziesz się leczyć! Wiesz, w Ordżdrze są dwaj Polacy lekarzami w szpitalu. Bardzo dobrzy. Ojciec mi opowiadał, że był tam ze swoją nogą... -

- Ba! Z nogą!... -

- A nie słyszałaś, co mówił panna Mila? Będą cię leczyć! To znaczy, że choroba jest uleczalna! Da się wybrzyć!... -

- Zbyt wiele już słyszałam na ten temat... - przyznała z sarkazmem.

- A ja chyba zbyt mało, To też niedoocze... Ale ty musisz wziąć się teraz w garść i czepić tego leczenia, jak deski ratunku! Musisz: Taka młoda! Całe życie przed tobą... - starałam się natchnąć ją wielką chęcią życia, właściwego i zmianę sposobu, bo teraz doszło do mojej świadomości, że słyszałam jakieś plotki, których nie chciałam słuchać i że coś musiało w nich być z prawdy, gorzkiej i przerażającej, skoro teraz są takie straszne skutki.

Skandal skandal, ale... biedna dziewczyna... Jeśli aż tak zmarnowała sobie życie.. Takie młode! I chyba oskarża o to matkę... Mój Boże!... Nie moja to sprawa, czyja w tym winna.. Ale ... I kara straszna. Cena przeżycia bardzo wygórowana.. A czy przeżyje? I : jak? Poza tym dziewczyna zawsze taka uczynna, koleżeńska, zawsze gotowa pomagać. Zresztą i jej matka też.. zdawałoby się, że taka dobra kobieta...

Właściwie człowiek nie jest całkiem jednolity: raczej mieszanina dobra i zła. Tylko te proporcje mogą być różne.

A poza tym są oprócz pojęć: Zaleta, cnota, grzech, jeszcze i takie: honor Polki, opinia, obowiązek...

Jak tragicznie smutne może się stać życie w nędzy...

Jak ciężko żyć wśród obcych... I to nie tylko ginąć

z nostalgii.

Zupa Matyldzi

Matyldzie przyniesiono z Tiki Bukuku z temperaturą, biegunką, dolegliwościami żołądkowo-brzusznymi. Była wymizerowana i bardzo osłabiona. Jadła nadzwyczaj mało, dużo spała, była apatyczna całkowicie. Dostawała lekarstwa i po kilku dniach zaczynała dochodzić do siebie.

- Wiesz, co, Anu? Skończ za mnie tę zupę, bo ja już nie mogę, a przecież szkoda wylewać!...- zaproponowała mi przy obiedzie. A właśnie ja otrzymałam swoją porcję.

- Świetnie, dziękuję. Wczoraj faktycznie widziałam, że wylewali troję niedokończoną zupę. Masz rację: szkoda. Ja skończę tę troję, a swoją ^{mą} część będzie dla Cioci...-

- Bardzo dobry pomysł,- zaakceptowała.

- Pod warunkiem, że tylko dopóki naprawdę nie będziesz sama mogła jeść tej całej swojej porcji! Pamiętaj!- starałam się z góry zapowiedzieć.

- Dobrze, zgadzam się, chociaż widzę, że ty też jadasz porcję. Umowa stała.

Cioci dyskretnie odstawiałam całą porcję, sama kończyłam po Matyldzi, tylko tyle, że własną łyżką. Biedna Ciocia chociaż przez te trzy tygodnie miała okazję żywić się na koszt państwowy! I to bez porównania lepiej, niż sama: Co dzień świeża, gorąca strawa na obiad. Tak, jak i my. Jeśli miała jeszcze cokolwiek do przejedzenia, z pewnością wtedy mogła to zaoszczędzić. Zęby dawno jej się ruszały, jak klawiatura... Dłonie i kolana szczególnie były spuchnięte...

Matyldzia, zmuszona, zjadała pół porcji tego, co nam dawano, chorowała nadal, ale lekarstwa zaczynały działać i wolniutko wracała do sił. Już przy mej pomocy, bo we dnie czułam się jako tako, zdołała chodzić do wygódki, stojącej za budynkiem szpitala. Martwiła się teraz o swoje włosy.

- Tak się złościłam, że są nie tak blondyniaste, jak rudawe, ale niech by już były! Tymczasem popatrz! Co dzień mam więcej włosów na grzebieniu, a coraz mniej na głowie!- żaliła się, zatroskana.

- Ale równowaga jest zachowana! I hodowli przy tej okazji pozbędziesz się zupełnie!...- pocieszałam ją, jak umiałam, wiedząc, że nie cierpi na brak poczucia humoru.

- Tak, dobrze ci żartować ze mnie! Czy ty nie widzisz, że ja tu jeszcze wyłysieję?!- irytowała się, nie bez powodu.

- "Głupia głowa niełysieje!" To takie przysłowie. Ale potem odrosną ci piękne, gęste, kasztanowate włosy, jak Ani z

z Zielonego Wzgórza!" zapewniałam małą, wcale nie będąc tego taka pewna

Po trzech tygodniach wyleczoną Matyldzie wypisano ze szpitala. Uszczęśliwioną wracała do matki. Zabrała ode mnie list do Rodziców.

- No, jak tam Matylda? Dobrze się czujesz? - pytała odchodzącą panna Mild.

- O, tak! Dziękuję za opiekę, za cierpliwość i za wszystko. - mówiła z wdzięcznością.

- Teraz już ładnie wyglądasz... - chwała była krzyżującą się po izbie.

- Tak, lepiej. Tylko mi tyso, że jestem taka tyśa!... -

- No, cóż? Zwykle przy tyfusie wypadają włosy. To z osłabienia organizmu. Ale nie martw się, bo ci odrosną! - panna Mild tłumaczyła rekonwalescentce.

- Ta, joj! Ta, to ja miałam tyfus?! - zdenierwowała się Matyldzia i zwróciła w moją stronę, ale nie dałam jej przyjść do słowa:

- Tyfus, to ci się już nie powtórzy! Najważniejsze, że już przeszedł, a włosy odrosną! - zagadywałam, robiąc przy tym znaczące miny, aby nie wygadała się na temat tych nieszczęsnych zup, które po niej kończyłam.

Zrozumiała! No, to dobrze!

Potem, potem, kiedy już i ja wróciłam do Tiki, Matyldzia sobie użyła:

- A to z nas cymbał! Przecież mogłaś się ode mnie zarazić, jeszcze i tyfusu nabawić! A to mało ci było i porażenie i malaria, to jeszcze chciałaś mi mój tyfus podebrać?

- Kto cymbał, to cymbał! Przypomnij sobie, kto kogo namawiał do tych zup? To jeszcze pytanie, kto kogo i o co chce oskarżyć! - żartowałyśmy sobie niefrasobliwie, szczęśliwe z powrotu do zdrowia i do domu.

Wieroczka

Wkrótce po odjeździe Matyldzi na jej miejsce hospitalizowano młodą Rosjankę. Nie pamiętam już, co jej było. Wieroczka ukończyła dziewiętnaście lat i była już agronomem. Z natury bardzo żywa, gadatliwa, bezpośrednia i pogodna. Ładnie śpiewała melodyjne piosenki, wesoło opowiadała o swej pracy agronoma, z zapałem o swą nauce w "Agronomicznym Instytucie"

w Semipalatyńsku.

Choroba zbyttnio jej nie martwiła. Uważała, że to po trochę odpoczynek od wytężonej pracy, podczas której nie ma ani chwili na to, a po trochę, że nowe doświadczenie życiowe, bo jeszcze nigdy w życiu w szpitalu nie była. Interesowała się pracą pielęgniarską panną Mili, o której nie omieszkałam jej opowiedzieć, że kończyła studia medyczne, zanim się tutaj znalazła, i pracą sanitariuszek: Lali i Rosjanki Tamary, rozmawiała z pacjentkami i pacjentami, głównie na temat ich pracy, warunków pracy. Była ciekawa wszystkiego i ciekawa życia.

W cichych salkach szpitalika jej pobyt wniósł dużo ruchu i ożywienia. Wieroczka lubiła step i wszystkie rodzaje pracy na nim. Zżyła się z przyrodą stepową, od dziecka i nie wyobrażała sobie życia na stałe w mieście, gdzie jej brakło przestrzeni i gdzie czuła się przytłoczona domami, ulicami i ludźmi, obcymi ludźmi. Uważała, że miasto niepozwała człowiekowi czuć się w całej pełni człowiekiem: wolnym człowiekiem, że ludzie, skupieni na małej przestrzeni są sobie bardziej obcy, przeciwnie, niż na stepie, gdzie olbrzymie przestrzenie zdają się bardziej zbliżać człowieka z człowiekiem.

Kiedys rozmawiała ze mną, na koniec wyraziła się mniej więcej w ten sposób, że może sobie wyobrazić na przykład moją tęsknotę za rodzinnym miastem, domem z ogrodem, rodziną, przyjaciółmi, ale nie może sobie wyobrazić siebie, że mogłaby sama wybrać kiedys jakiegokolwiek miasto, aby tam przeżyć całe swoje życie. Odnosiłam wrażenie, że niejako usprawiedliwia moją tęsknotę za miastem i kładzie ją głównie na karb przyzwyczajenia.

Nie mogła, oczywiście mieć pojęcia, o tym naszym mieście!

Lwów był niepowtarzalny, oryginalny i jedyny w swoim rodzaju. Nie chodzi o samo położenie miasta, na szlaku dróg, co nie pozostawało bez znaczenia. Ani o zabytki, liczne parki, Wały, zieleni i budynki. To ta jedyna atmosfera i ludzie, którzy ją tworzyli, czerpiąc z historii i tradycji miasta, rodzin żyjących tu od wieków i pracujących dla przyszłych pokoleń.

Bardzo tęskniłam za Lwowem i nie mogłam sobie wyobrazić życia gdzie indziej. Podobnie chyba, jak ta stepowa dziewczyna życia poza stepem.

Kilkakrotnie w szpitaliku odwiedziła mnie Cesia Szakalska. Biedula! Niewiele brakowało jej już do ukończenia szesnastu lat i miejscowe władze zapędziły ją bez pardonu do roboty, włączając do siarokosów, w brygadzie "chadziajskiej" Niby to szli na rękę, że nie odsyłali w daleki step, ale pozwalali nocować na miejscu... Z doświadczenia wiedziałam, ile się trzeba było nachodzić do kolejnych stanowisk pracy: kilka kilometrów w obie strony!

Już wcześniej lekceważono na miejscu prawo, zmuszające nieletnich do pracy. Choćby na przykład Lala Schmitt, zmuszona do pracy w magazynie zbożowym. Nie pomogła metryka! Uznali, że musi być fałszowana, bo dziewczyna była dość wysoka i postawna i nie było na to sposobu. Podobnie w ogrodach pracowała Iza, też niepełnoletnia, owce paśła Matyldzia, aż piętnastoletnia. To przykłady sytuacji sprzed wybuchu wojny ich z Niemcami. Skoro rozległa się wieść o wojnie, już nie było żadnych tam. Każdy wytypowany przez miejscowe władze do pracy musiał ją wykonywać, bo inaczej groziło oskarżenie o sabotaż.

Oprócz Cesi, pracowali też już i Grzesz Bader i Kazik Dudek, wprawdzie starsi od niej, ale jeszcze nie pełnoletni. Sama Cesia, szarowana ponad jej możliwości wyglądała okropnie. Wymęczona. Wzrost jej się zatrzymał, ale rysy jakby zgrubiały, a krok stał się dziwnie ociężały. Tragicznie poznać było po niej, że taka fizyczna praca przekracza możliwości dziecka.

Zakończenie kuracji

Wreszcie kuracja przeciomalaryczna dobiegła końca. Lekarz poradził mi, abym zawiadomiła Rodziców, by zorientowali się, kiedy jakaś podwoda z Tiki wybierze się do Centrali i przy okazji mnie zabierze. Dano mi znać, kiedy to będzie i uprzedziłam też Ciocię. Szczerze żałowałam, że dożywanie jej się skończy i doradzałam, aby sama postarała się dostać do szpitala, co przy takim wieku, "pełnym siedmiu boleści" nie byłoby rzeczą trudną. Nie chciała.

Korzystając z miejsca na wozie, przyjechał po mnie Ojciec. Tego dnia zanocewał u Cioci Izy, gdyż podwoda wracała naza-jutrz.

Na drugi dzień wypimana ze szpitala, pożegnałam serdecznie panną Milę i Lale, które otaczały mnie serdeczną opieką.

Podziękowałam lekarzowi i dostałam zwolnienie z pracy: na trzy dni! /Tylko/ Oraz zwolnienie z pracy na słońcu: do końca sezonu. Nie mógł inaczej, ale zapewnił, że na tej podstawie mam prawo nie podejmować pracy na słońcu, nawet, jeżeli mi innej nie znajdą. Panna Mila ostrzegła, że w takim przypadku muszę sobie to zwolnienie lekarskie zatrzymać, na dowód.

Zanim to wszystko załatwiłam, Ciocia Iza zdążyła o świącie wymaszerować prawie aż pod Górne, na czwartej fermie. Uzbierała tam poziomki i zrobiła pierogi /oczywiście z tej czarnej i ościstej mąki/, aby ugościć nimi Ojca i mnie, przed naszą podróżą do Tiki. Był to dla Cioci wyczyn niewątpliwie bohaterski: ta droga i gotowanie i sam luksus!

Ojciec pomógł propozycję dołączenia do nas, ale perspektywy były niezbyt ponętne. Pod względem wyżywienia byliśmy ni nieraz w ciężkiej sytuacji. Teraz trzeba się było liczyć z możliwością przerwania kontaktu ze Lwowem, co dla nas oznaczało niemal klęskę. Listy, które dochodziły, były jeszcze sprzed krytycznej daty.

Niezależnie od tych spraw, nasze warunki mieszkaniowe w Tiki Bułaku były wprost tragiczne, głównie przez pluskwy. Oprócz tego ciasnota w izbie wielorodzinnej/ z piecem kuchennym/, po wodę daleko, a Ciocia, przeniesiona z Dreifurami, gdzieś do kwatery poza barakiem, dokąd naładowano kilka rodzin czabaków, mieszkała w małej izdebce w kilkoro: spokojnie i łatwiej ogrzać. Zdecydowała się zostać.

Po pożegnaniu się z Ciocią podeszliśmy na pocztę, gdzie woźnica zapewnił nas, że mamy czas na spacer do spółdzielni, bo wyruszy później. Poszliśmy zobaczyć, co tam jest. Ojciec dki-ju, ja uczeplona jego ramienia. Dochodziliśmy w pobliże sklepu, gdy zerwał się stepowy wiatr, ale szkoda nam było zrezygnować, tak blisko celu. Wiatr, nasłający się, szarpał i przetaczał nas po drodze, że szliśmy, zataczając się, mimo starań, aby nie dać sobą miotać. Chociaż od wielu już dni nie leżałam kołkiem, byłam jeszcze bardzo osłabiona. Ojciec z tą swoją podleczoną nogą, też szedł z trudem. Wiodła nas nadzieja, że może uda się coś pożytecznego kupić. Jedyne co było, to pudełko z farbami wodnymi, zresztą bardzo tandetnymi.

- Kupię ci to. Może zechcesz trochę malować, skoro jeszcze jesteś taka słaba i do roboty nie będą ciebie ciągnąć.-

- Och, dziękuję!...-

I to było wszystko. Wracaliśmy, całą siłą stawiając opór wi-

wichrowi tak, że czasem miałam wrażenie, że drepczemy w miejscu. A potem z wielką ulgą wsiedliśmy do tej podwoły, przy czym dobrze rozglądałam się, aby sprawdzić, czy gdzieś w okolicy nie widać brygadiera Gałysza.

Tym razem dopisało nam szczęście: Gałysza nie było!

Krwawa rozprawa z wołem

Kilka dni wcześniej nowe, sensacyjne wydarzenie wstrząsnęło trzecią fermą. Jeden z Kazachów zwariował. Połem mówiono, że bezpośrednią przyczyną wypadków w tym dniu było porażenie słoneczne, zaś pośrednią i długo, od dawna żrąca organizm choroba weneryczna.

W samo południe dostał szału. Porwał skądś olbrzymią siekierę podobną do topora i wrzeszcząc nieludzko, gonił po całej fermie, ogłaszając ludziom, kogo musi koniecznie natychmiast porąbać. Wykrzykiwał nazwiska kilku tubylców, w tym paru miejscowych waźniaków.

Ludzie puciekali do swoich nor wystraszeni, albo, ^{skryli się} po drodze, w cudzych kwaterach, zbierając napotkane dzieci i cłowając się z nimi, gdzie tylko można było w jakiś sposób zamknąć się przed szaleńcem.

Gdzieś komuś porąbał drzwi, ale tam nikogo nie było. Pani-ka ogarnęła cały Tiki Bułak. Telefon z biura wydzwaniał i do Centrali, gdy nie złapał połączenia z Urdżarem i do Urdżaru, na Pogotowie, do szpitala i na Milicję, przymagając alarmujące wezwania o ratunek. Obawiano się, że może podpalić fermę.

On jednak absolutnie nie miał takich zamiarów. Chciał zdecydowanie zarąbać swoich wrogów, ogłaszając, że uwolni od nich świat.

Wreszcie wpadł do obory i tam, spośród kilku stojących zarąbał dwa woły. Jednemu z nich nie szczędził wysiłków, rąbiając kilkakrotnie, drugiego tylko zabił. W końcu, po dokonaniu samosądu przez zastępstwo ofiar, wyszedł na dwór, z wycieciem, zakrwawiony i z pianą na ustach. Zemdłał.

Wówczas pięciu najwspanialszych bohaterów związało nieprzytomnego. Skrępowano go mocno, aby się nie mógł poruszyć, ale on nie odzyskał przytomności i tak go zabrano Pogotowie.

Potem miejscowe władze pracowicie spisywały protokół z przebiegu wydarzeń, oraz świadków. Na zakończenie rozsprzedano

mięso, aby pokryć materialne straty fermy.

A kiedy mnie opowiadano o całym tym wydarzeniu, ktoś dodał błyskotliwą uwagę zaskryszaną w kolejce przed spółdzielnią, gdy dowieziono mąkę:

- Mieliśmy prawdziwe święto: cały Tiki Bułak zjadał wołowinę, dzięki temu, że wariat-mściciel zabawił się w rzeźnika!-

Powrót do codzienności

Mama oczekiwała nas z niecierpliwością. Wyglądała marnie: chuda, spalona słońcem, przybyło siwizny. Złote koronki, które miała założone na własne zęby, spadły już wcześniej z powodu szkorbutu. Była już prawie połowa sierpnia i listy ze Lwowa nadchodzące z bardzo dużym opóźnieniem docierały do nas coraz rzadziej. Na paczki nie było co liczyć. Strasznie oszczędnie wyciągało się teraz cokolwiek na wymianę, bo przyszłość nie rokowała najlepszych nadziei.

Wszyscy nasi witali mnie bardzo serdecznie. Choroba osłabiła mnie bardziej, niż zdawałam sobie z tego sprawę. W szpitalu krąciłam się od paru tygodni, ale zawsze mogłam się położyć /na kółku!/, poleżeć, przespać. O dowolnej porze. Po tym cała mi na powrót do siebie zaledwie trzy dni, a już jeden zajęła droga powrotna. Następne dni krążyłam sobie po fermie, niebarożo zdolna do czegośkolwiek, z trudnością adaptowałam się do warunków naszego codziennego życia i... wyżywienia, do tej rzeczywistości, która tam stanowiła niby "normalne" nasze życie.

Czwartego dnia przed świtem zrobiono mi pobudkę:

"A, dawaj, sobieraj się! Dawaj skarej! A! Dawaj, w robotę!"-

- Zostawcie ją! Ledwie żywa wróciła ze szpitala!- protestowała Mama.

- "A, no, wiernuła! Zaczyt zdarowa!". / wróciła, to znaczy, że zdrewa! / Dawaj, poskorej!"- naganiali zawzięcie.

- Ona ma zwolnienie lekarskie!- dowodził Tato.

- E, co tam zwolnienie! "Nada robotat!"- wołał jeden naganiaczy.

- "A, no: pokażycie etu sprawku!"- krzyczał drugi.

- O, tu napisane- tłumaczył Ojciec: Zwolniona z pracy na słońcu do końca sezonu!-

Uprawlajuszczy wziął zaświadczenie z rąk Ojca!

- Niech zaraz zwróci!- szepnęłam.

- "No, ładno!" Nie pójdzie na słońce!- jeden z dygnitarzy

- Dawaj skarej"-

- Do jakiej tam znowu roboty?- Mama chciała wiedzieć.

- Będzie pracować z dwiema dziewczynami: Dzieduszycką i Serwatowską- raczyk wyjasnić)uprawiajuszeczy, zaglądając do kartki i przekręcając nazwiska.

Bolała mnie głowa, ale do pracy poszłam. Nie ma żartów z władzą! Wojna! Teraz to już nie proguz, ale sakotaż, za co pięć lat na pewniaka!

Zapędzono nas do czyszczenia następnych "koszar", czyli owczarni. Właśnie stamtąd wyprowadzałam te powierzane mi kolejne stada, które od początku czerwca już przemierzają step na koczowiskach. Owszem, to prawda, że robota nie na stołcu... Tylko.. ten zaduch!.. Dano nam nawet jakieś drewniane szufle i jakieś kubły, które po napełnieniu trzeba było nosić spory kawał i wysypywać do dołu, gdzie będzie się z tego nawozu robić/ mieszając z wodą, nogami/ kiziak na zimę, na opał.

Same kubły były dla mnie za ciężkie: z trudem dźwigałam pusty, co Wanda Serwatowska i Lula Dzieduszycka od razu zobaczyły:

- Zestaw! Ty nie dźwigaj!-

- Weź tę szufłę i zgarniaj!-

- Zdrapuj do samej ziemi, jeśli masz siły, oczywiście!- pouczała, zabierając kubły do wynoszenia.

Duszno było okropnie. Dzień robił się upalny, siły opuszczały mnie rozpaczliwie. Wanda z Lulą zdzierały nawarstwione grudy, ładowały, wносиły, jak gdyby to im przychodziło bez nadludzkich wysiłków. Staralam się nadażać przynajmniej z tym przygotowaniem im nowych zapasów do kubłów, usiłowałam mocno i szybko zrywać podłoże, grubo spodem ubite. Zmordowałam się strasznie.

- Nie męcz się tak, dziewczyno!- radziła Lula.

- To nie musi być dzisiaj zrobione! A ty nie musisz się dzisiaj wykończyć!- dodała Wanda.

- Nie idzie mi to zbyt sprawnie...- zawstydziałam się, patząc, jak wnoszą po pełnym kubie, jak gdyby to był pusty koszyk!- Jeszcze nie przyzwyczaiałam się do tej łopaty!-

-- Jeśli idzie o łopatę, to coś nam tutaj mówiono, że sama ledwie uciekłaś spod niej, nieprawdaż?-

- No, właśnie! teraz się nie śpiesz! wystarczy wtedy, gdy nasi panowie i władcy przyjdą kontrolować!- śmiały się obie.

- Dobrze, będę pracować na zwolnionych obrotach, ale przecież nie mogę całej swojej roboty zwać na kogoś pomyślałam, bo one już odeszły- Nie wiadomo, co tym naszym dygnitarzem jutro strzeli do ków! Jeszcze gdzieś zabiorą Lulę z Wandą, a mnie każą to wszystko kończyć samej...- martwiłam się na zapas.

I znów się nachyliłam nad szuflą i... sama nie pamiętam, jak to się stało, poza tym, że poczerwieniło mi w oczach, a świat zawirował.

Ocknąłam się. Leżałam tuż za stajnią, na pseudotrawce, nade mną Wanda z Lulą przykładają mi zmoczone chustki do czoła i na serce.

- Przepraszam...-

- Cicho! Nie mów nic!...-

- Zaniemiemy ciebie do domu!...-

- Nie, nie! Ja sama...- ale nie miałam siły usiąść.

- Co się stało?- Mama śpieszyła do nas.

- Nic, nic! Już dobrze!...-

- Tak, dobrze...- potwierdziłam

- Już my to dopilnujemy, aby jaj jępcze nie brali do roboty!- zapewniały Mamę.

Przeleżałam ten i następne dwa dni. Mama dokonywała cudów, aby się jedło „choś coś” po dwa razy dziennie.

Potem przez następne trzy dni pomagałam Wandzie z Lulą przy czyszczeniu stajni, ale do mieszania kiziaków już mnie nie „ciągnano”, bo jednak byłam za słaba.

Strój do góry nogami

- Wiesz, Nusi- zwrócił się Ojciec do Mamy- znowu rozmawiał ze mną tam Kazach, który chciał kupić to moje ubranie...-

- Jakie ubranie?...-

- No, to czarne. Innego tu nie mam...-

- To wizytowe? Przecież jest bardzo dobre! To z najlepszego sukna... może na dość długo ci służyć...- zastanawiała się Mama. - A ja już sama nie wiem, jak ci te spodnie, które nosisz, latać! Obie pary się rozłożą na wszystkie strony!...-

- Takie eleganckie ubranie...- zastanawiałam się i ja nad taką stratą.

- Ale on mi za to ubranie daje sto rubli!...A to nas mocno podratuje.- przekonywał.

- Na jakiś czas... A co potem?...-

- Może się co odmieni... On przyjdzie po to ubranie, jak tylko sprzeda ołcę. Tak mi powiedział.-

- Tatku! Proszę mu dać bez kamizelki! On się nie pozna, a kamizelka się przyda: można ją nosić; albo, albo Mama weźmie ją na łaty!- proponowałam.

- Wiesz, ona ma rację! na łaty! Bo ja już naprawdę nawet łatać nie mam czym...

- No, i co kamizelka, to kamizelka: to też już odzież!-

Przypomniało mi się, że w Tas Bułaku, jeszcze zanim doszła ta Babcina spódnica. kiedyś, Mama okropnie zmarznięta westchnęła:

- Żeby tak choć mieć jakąś kamizelkę!...-

I wtedy nagle mnie olśniło! Mój strój kąpielowy! Granatowy, czysta wełna! "Całościowy"! Wygrzebałam go spośród nielicznych rzeczy, porwanych i zabranych z domu / ni w pięć ni w dziesięć! / i popoglądałam ze wszystkich stron.

Pokazałam Mamie:

- O, tu, to co było na samym dole, to się da wyciąć na dekol. A tu, gdzie wchodziły uda, to można zeszyć na ramiona. To, co szło do góry, odwrócić do dołu i wyrównać! I tylko wyciąć na pachy i już kamizelka gotowa!-

- Przez głowę?-

- Tak, przez głowę! Będzie cieplej i mniej szycia!-

- A czym to szyc? - dumęła Mama.

- Można wypruć szelki!-

- Masz rację! W stroju kąpielowym i tak nie będziesz chodzić, ani tego tutaj nikt nie kupi.- zgodziła się Mama.

- A w kamizelce będzie Mamie choć troszkę cieplej...-

- Zawsze to czysta wełna!-

Kamizelkę Mama sobie uszyła świetnie, z tego stroju do góry nogami; nosiła chętnie i często A ja chodziłam blada i dumna, jak paw, jak gdyby o było arcydzieło moich rąk.

Pomysł jednak był jednym z najbardziej udanych moich pomysłów w całym moim życiu!...

Kto kupi baraninę?

Przyszedł Kazach róz jeszcze, obejrzał ubranie i zapowiedział, że na drugi dzień przyjdzie je kupić. Rzeczywiście! Przyszedł! Promieniał ważnością, już to było widać od progu. Wiódł ze sobą owcę, uwiązaną na sznurku.

- Oto jest: "baran"! Ubranie moje! - zawołał z triumfem.

- Tak, jak tylko sprzedacie "barana" i dostanę pieniądze, to dam wam ubranie. - Godził się Ojciec.

- Eee! To już wy sami sprzedacie barana! - zaprotestował Kazach i chciał wziąć ubranie.

- A gdzie sto rubli? - dopytywała się Mama.

- Ten baran to jest więcej, niż sto rubli! Tak ja mówię.

"Starykowi" mówił! - zapewniał, wskazując na Tata.

- A niby co my mamy z tym zrobić? - Lamentowała Mama - Mowy nie ma! Nie dawaj! - zwróciła się do Taty, a ja popierałam Tatę, pewnie! Co my teraz poczniemy z tym fantem?!

Niestety za właścicielem owcy przyszła cała czereda jego ziomków obojga płci, plus dziatwa, a rejdachu narobili tyle, że trzeba było ccałe to towarzysstwo jakoś wywabić z tej izby, bo zamieszanie wzrastało.

- Ale chcą pana urządzić! - zauważyła pani Kublinowa z przekonaniem.

- Nie dajcie się ocyganić! Ludzie kochane! - ostrzegała pani Kierepkowa, zakamując, jak zwykle ręce.

- Niech rozbierze tego "barana", to i my kupimy po kawałku baraniny - ofiarowała się pani Cesia Jakubowska.

- Tak, tak! my także... Gdzie to będzie? - dopytywały się pani Ania Nowakowa z panią Korzeniewską.

- Tata cię woła! - przybiegła Matyldzia sprzed domu, więc ruszyłam za nią w te pędy.

- Słuchaj: On mówi, że zaprowadzi mnie do Kazacha, który zabije owcę, abysmy mięso sami rozsprzedali... - Tato zwrócił się do mnie.

- Niech sami sprzedają i dadzą gotówkę! Po co nam ten cały kłopot?... - perswadowałam w najlepszej wierze.

Kiedy on się upiera, że to taka była umowa, tylko ja nie zrozumiałem... Że zgodziłem się za żywą owcę... Ja już sam nie wiem... - przyznał, zgnębiony - Może ma rację... -

- A jak nie zdołamy rozsprzedac? A co zrobimy, jeśli tamten zechce gotówkę za ubój? - zastanawiałam się głośno i bez zachwytu.

Tymczasem kandydat na eleganta dowodził energicznie, że to "staryk" źle go rozumiał, a to nie jego wina, ale cała ta hańsliwa eskorta biednej ofiary nieporozumienia jest gotowa zaraz, natychmiast rozkupić wszystką baraninę, czyli, jak sugerował, powinien być wilk syty i owca cała. — to znaczy zabita!

Podczas tej ożywionej debaty, żywej, niczym na końskim targu wśród Cyganów, koniokradów, zdążyłam poprosić Matyldzie, a także Dziunię i Mietka, aby pobiegli po kwaterach i popytali, kto i ile jest gotów kupić. Po bieżącej cenie.

Meldunki przyleciały rozpromienione:

- Wszyscy chcą!-
- Kupią, ile wystarczy!-
- Nawet tłuszczy, oprócz mięsa!-

Zwycięski nabywca ubrania ruszył przodem: prowadził nas, pokonanych, razem z tą owcą, na rzeźnię, do domorosłego rzeźnika, abyśmy wiedzieli, gdzie przyjść po baraninę, gdy już biedne zwierzę zostanie obdarte ze skóry. Szłam za nimi, radosna, niczym na ścieście, ale musiałam, aby tam przyprowadzić chętnych do dalszych transakcji.

Samozwańczy rzeźnik zgodził się swoją pracę wykonać za otrzymanie skóry, razem z głową i stopami zwierzęcia. Zgodził się też, że odkupi kawałek baraniny, jeżeli jej wystarczy. Pokazał nam swoją wagę i oznajmił, że możemy na miejscu poważyć, rozsprzedać i był pewin, że zarobimy więcej, niż setkę.

Całkowicie byłam oszołomiona całym tym wydarzeniem:

- Można zbaranieć! Jeszcze nie bawiłam się w życiu w rzeźnika, a teraz mam sprzedawać baraninę i to naszą własną! — myślałam, narzucając sobie poczucie humoru, chociaż raczej miałam skłonności do beczenia z żalu nad sobą.

- Idź, odpocznij, ja tu dopilnuję. — Tato przejrzał swoją nadobną, tymczasową jedynaczkę. — Przyślę po ciebie, to mi pomożesz, jak już mięso będzie gotowe do sprzedaży. —

- Świetnie! — skwapliwie przystałam.

- Możesz tymczasem zapisać, kto na ile reflektuje, abyśmy wiedzieli, jak dzielić — dorzucił, a ja usunęłam się z placu uboju, aby nie asystować przynajmniej przy rzezi.

Sprzedajemy mięso

Zrobiłam sobie wykaz chętnych nabywców, przy tym rubrykę, na ile kto reflektuje. Cena była już wszystkim wiadoma, taka

jaka ostatnio się utrzymywała. Poruszenie w całym Tiki niecodzienne! Dzieci, niczym sztafety, biegali pomiędzy lepianką rzeźnika, który ten kram urządził w sieni, przemieniając ją na autentyczną jatkę, a kwaterami rodaków, z meldunkami z pola bitwy. Panie szykowały kiziaki na dłuższe gotowanie, zaś mężczyźni /bo parę niedobitków na fermie zostało/, niecierpliwie myśleli o mięsnych obiedzie.

Mali Nowakowie przybiegli po mnie, więc wyruszyłam Ojcu na pomoc. Okazało się, że więcej: na ratunek! Z jednej strony śpieszył pochód polskich rondli i garnków, z którymi nasze rodaczki maszerowały dziańsko, z gotowością popierania polskiego handlu. Z drugiej Kazaczki i Kazachowie, z jazgotem i śmiechem, a także z przeświadczeniem, że wszystko baranina, bądź co bądź miejscowej produkcji, należy się właśnie im.

Dwoiliśmy się i troili, aby wszystkim dogodzić. Rzeźnik trochę pomagał, muszę mu to przyznać, a trochę przeskażdał, wyrwijąc od czasu do czasu jakiś upatrzony kęsek dla swoich.

Tak czy owak, wszyscy byli rozkosznie podnieceni widokiem rychłej uczty i nawet nikt się o żadne ochłapy nie pobił!

Ojciec starał się ważyć, ja zapisywałam, dyktowałam, ile komu i notowałam, co komu dajemy na kredyt, bo niektóre panie nie dysponowały gotówką. Kazachowie płacili gotówką, ale parę Kazaczek przyznało się, że wolałyby równowartość dać mi w mące lub w jagłach, na co chętnie wyraziłam zgodę.

Mama została w kwaterze i podejrzewałam, że modli się ze zdenerwowania całym obrotem sprawy. Zobaczywszy Jerzyka, posłałam go z wiadomością ustną, że wszystko dobrze idzie i na pewno dobrze się skończy. Kazach, Dzielny-Rzeźnik rąbał mięso, podawał Ojcu na wagę i jakoś to wszystko poszło. Jeszcze porozdzielał podroby, zostawiając sporo ich sobie i pracę zakończył, bardzo zadowolony, bo wyszedł na tym z pewnością nie najgorzej.

Zmęczony Ojciec szedł ze mną do domu.

- Całe szczęście, żeśmy go posłuchali, tego rzeźnika i wzięli ten ładny kawałek baraniny, posłali Mamie na początku!,- Teraz już by nam wyrwali z rąk!- dużo mówiłam, wciąż zdenerwowana, czy wyszliśmy na skóje.

- No, już pa wszystkim! Nawet lepiej, że niektórzy zapłacą później: też się przyda!...-

Mama i wszystkie inne panie zajęte były gotowaniem baraniny.

Cała transakcja dała nam sto szesnascie rubli plus towar!

Przepisy kulinarne

Któraś z pań z kwatery pani Dzeduszyckiej miała ze sobą przywieziony spory stos "Mojej Przyjaciółki", przedwojennego tygodnika kobiecego. Oprócz najrozmaitszych artykułów, porad, ciekawostek dla pań, opowiadań i wzorów, każdy numer pisma zaopatrzony był w przeróżne przepisy kulinarne, które zajmowały tylną okładkę. Był to temat często dyskutowany w kuchni, w Klubie, w Centrali, wspólnej dla licznych rodzin oraz w obecnej naszej kwaterze, gdzie piec kuchenny był jeden dla wszystkich i nieraz panie stały przy nim równocześnie, coś tam sobie pitraszając.

W "Mojej Przyjaciółce" rzucił mi się w oczy przepis na sos beszamelowy, znany mi jedynie z nazwy i z cichej sprzeczki pań na temat przyrządzania tego specjału.

Odpisałam sobie ten przepis, drobym maczkiem w resztkach szkolnego zeszytu. A potem jeszcze jakieś inne, naturalnie z nadzieją, że je kiedyś wypróbuję, oczywiście po powrocie.

Niewątpliwie te przepisy zainteresowały mnie pod wpływem listu od Siaszki Bilińskiej, która pisała, że pilnie uczy się / już po maturze! / gotowania od mamy. W dwóch wersjach: tej aktualnej, oszczędnej, z konieczności, wojennej i teoretycznej w wersji normalnej, na przyszłość. Naukę miał uwieńczyć egzamin praktyczny, w jakąś niedzielę, gdy Siaszka, podczas nieobecności domowników / pójdą razem do kościoła, z czego sobie żartowałam, że pomodlić się, aby ich nie potruła!/, samodzielnie ugotuje cały obiad "od A. do Zet". Następnie komisja w składzie obojga rodziców i narzeczonego / bowiem cała impreza zorganizowana była ku jego czci /, miała ocenić i wydać orzeczenie o kulinarnych umiejętnościach kandydatki na berło kucharskie. Bardzo mi się podobał ten pomysł, chociaż nie wiedziałam, czyj, kto był autorem. Sądzę, że nawet, gdyby się okazało, że to narzeczonego, zapobiegliwie dbający na wyrost o prawidłowe karmienie przyszłej rodziny, też okazałabym pełnię wyrozumiałości.

Pomijając małżeńskie plany Siaszki, poddałam Mamie pod rozważenie propozycję podobnego kursu gotowania, kiedyś, gdy powrócimy do domu i normalnego życia. I Mama nie miała nic przeciwko temu, przeciwnie, wydawała się zadowolona.

Gdy miałam zwolnienie, po malarii, wpadł mi ten zeszyt z poroma przepisami w rękę. Pożyczyłam kilka numerów tygodnika

i znowu coś tam sobie znalazłam do przepisania.

- Lepiej to zostaw! Tym się nie najesz, a tylko gorzej rozdrażnisz głód...- powiedziała Mama, kiedy zobaczyła, czym się zajmuję.

Zamiast przyznać rację i posłuchać, ja się obraziłam, że nie dość, że nie ma zbyt wiele do jedzenia/ najdelikatniej rzecz ujmując/, to nawet sobie poczytać o specjałach, ani przepisać wybranych mi nie wolno! / Kompletny idiotyzm! Z mojej strony!/. Byłam tak wzburzona, że coś w ten deseń powiedziałam. Natychmiast zdałam sobie sprawę z całej niewłaściwości swego odezwania, co mnie jeszcze gorzej rozgniewało, bo na siebie samą, a przy okazji zbuntowałam się na cały świat.

Wzięłam rękę w kieszeń, nogi za pas i wyruszyłam w step.

Kurhan

Poszłam w całkowicie nieuczęszczaną stronę zachodnią, tam, gdzie na rozległej przestrzeni rosły te olbrzymie osty nad rzeką i przeszłam ją w tym samym miejscu, w którym z początkiem czerwca przeprowaiałam owce na dżajlau, (tak, aby się stada pomieszały). I potem dalej przed siebie. Szłam na zachód, w stronę Kraju...

Szłam sobie stepem pustym i płaskim, jak stół, okrągłym, równo przykrytym wysokim kloszem jasnego nieba. Byłam jeszcze słaba. Bardzo. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę z tego, że mogłam oddalić się zbyt daleko i przestraszyłam się, że mogę mieć kłopot z powrotem do domu, że nie jestem tak zupełnie pewna, czy zdołam dojść.

Nagle zobaczyłam równiutko usypany kopezyk ziemi. Podeszłam bliżej: kilka wielkich kamiennych głazów na szczycie.

- Kurhan! Nic innego, tylko autentyczny kurhan- pomyślałam Daleko od jakichkolwiek dróg, czy ścieżek. Zagubiony w stepie. Samotny. Zapomniany. Ale trwa. I coś tam kryje w swojej głębi, jakąś tajemnicę. Czyjs był. Czyjeś życie, które przemija... I moje tak przemija... A właściwie, to się marnuje w tym dzikim stepie, takie zagubione...

Strasznie mi się zrobiło żal tej straconej, uciekającej młodości, tego życia, które się tak marnuje bez sensu. Zaczęłam się okropnie rozczulać nad sobą, nad swoją tęsknotą wieczną za Lwowem, jako Ojczyzną i jako ulubionym miastem, za tymi, którzy tam pozostali. Ogarnęła mnie rozpacz, że moje piękne

i szlachetne plany życiowe skończą się na dożywotnim pasieniu owiec, albo na jeszcze gorszej harówce: przy pracach rolnych w polu, czy na plantacji, lub w najszcześniejszych układach: na czyszczeniu stajni!... *Przemierzane kilometry zmęczyły mnie bardzo...*

Słowem: rozklekotałam się ośdkowicie! Niczym wyschnięta beczulka, której wszystkie klepki się rozsypały!... I stąd: brak piątej klepki! Ale takie wtręty nie pomagały mi wcale...

Nie wiem, kiedy padłam na ten kurhan, ani ile też tam wylałam, ani... kiedy mnie tam sen zmorzył. Ocknąłam się nagle, jak gdybym słyszała, że mnie ktoś woła. Nadśłuchiwałam.

- Tak: to Mama mnie woła!... Żegnaj, kurhanie. Już mi to przeszło, to ubolewanie nad sobą. Tak, już samej mi wstyd.

Upamiętałam się przecież. Sen też mnie wzmocnił. Pokrzepiona wracałam do domu, zadumaną nad kurhanem i jego znaczeniem, jako symbolem znikomości przemijających ludzkich zmartwień. Pełna refleksji nad wartością życia, istoty życia, póki ono trwa. Nie wolno marnować, a głównie na: żale nad sobą! Jaka by nie była ta terażniejszość, można i trzeba dawać z siebie coś więcej. Ja nie mam prawa narzekać!

Wystarczy przypomnieć sobie nieszczęście Irki Prokopczyc i Eli Wojciecnowskiej. Ileż by one dały, aby mieć Matkę!

Gdy wyszłam z za owczarni, zobaczyłam, że na progu naszej kwatery oczekuje mnie Mama.

Musztra

W owym czasie tubylcy żyli pod wrażeniem wojny. Wiadomo, że chociaż front oddalony był o setki tysięcy kilometrów, nie pozostanie to bez wpływu na życie całego, rozległego kraju i jego wszystkich mieszkańców. Pokolenia, pamiętające Wielką Wojnę i rewolucję zdawały sobie sprawę aż nadto dobrze. Pamięć przeszłości zachowała się wśród nich zupełnie żywa.

Na fermie, zgodnie z nakazem ogólnym, zbierano co dzień wszystkich mężczyzn na placyku pod trybuną, aby tam ćwiczyć musztrę. Gdy z okna naszej kwatery pokazano mi to po raz pierwszy, tuż po powrocie ze szpitala, nie mogłam powstrzymać głośnych okrzyków wesołości na ten widok. Rżałam, jak koń!

Poważny uśpiałow, który już kiedyś odbył służbę wojskową, spełniał teraz nałożony na siebie ciężki obowiązek: musztrował właśnie tę całą cywilbandę z całej fermy Tiki Bułak.

- A cóż to za ofermę z całej fermy! - wołałam. ubawiona do

naszego audytorium przy oknie.

Czabani, robotnicy rolni i stajenni, Kazachowie i Ruscy, ustawieni czwórkami szli na komendę agronoma:

- "Szagam marsz!"-

Krok rozmaity, chociaż komenderował, licząc im głośno. Na nic! Nikt nie zważał na to.

- Na ramię broń!- padała kolejna komenda i cała ta zbieranina z największą powagą swoje najróżnorodniejsze kije opierała na ramieniu.

- Do nogi broń!- i kije, albo i patyki, wędrowały na ziemię, do nogi, ale nie rytmicznie i nie równo, całkowicie indywidualnie i tylko z widocznymi na gębach wysiłkami przerażonych ewentualnych przyszłych rekrutów.

- O, ludzie!- wołałam i myślałam o naszych lekcjach przysposobienia wojskowego, albo o musztrze w harcerstwie, gdzie nawet zuchy, maluchy, wobec tych przyszłych wojaków robiłyby wrażenie kadry instruktorskiej!

- Coś ty? Taż, to już im wspaniale wychodzi! -

- Ta, ten Usatow już i tak cudu dokonał, że jakoś to idzie!-

- Trzeba ci było widzieć na początku, jak to się odbywało!- objaśniali mnie mieszkańcy wspólnej owczej łązki.

Za całą tą czeredą zbieraniny kroczyły dzielnie dzieciaki: kazachskie, polskie i rosyjskie, z biednymi patyczkami na ramionach, wywijając drugą ręką i siląc się na długie kroki, co maluchom udawało się znakomicie: zupełnie, jak gdyby przedrzeźniali to kroczące placzykiem cywil-patykowe wojsko. Trudno było nie domyślać się, że mają z tym wyjątkową frajdę.

Dorośli jednak, wszystkich narodowości, żyli w głębokim niepokojem o przyszłe losy.

Małżeństwo z poświęcenia

Póki nie porwano mnie do pracy, wybrałam się nad rzekę z jakimś ogryzkiem mydła, zaoszczędzonym, a teraz wyproszonym od Mamy i z jakimiś drobiazgami do przeprania.

Tam zastałam Staszkę. Matką siostrą i braćmi została przeniesiona do Tiki Bułaku z pierwszej fermy żyłydykara.

- Dobrze, że przyszłaś! Nie będzie mi samej tak smutno- powitała mnie

- Widzę, że masz dość dużo prania, czyli nie nudzi ci się- zauważyłam

- No, tak, ale zawsze chciałoby się z kimś pogadać- powie-

ziała z westchnieniem, obserwując reakcję :

- O czym?- zastanowiło mnie coś w jej tonie.

- O wszystkim, o życiu, o kłopotach...-

- Masz kłopoty?-

- No, wiesz... Kto ich nie ma?... Taka ciężka decyzja...-

- A, więc zdecydowałaś się?-

- Pamiętajsz? Tamtego roku, jak byliśmy na sianokosach, opowiadałam ci- - wspomniała.

- Tak, pamiętam : nięmiałaś ukończonych szesnastu lat jeszcze...-

- No, właśnie... A nasz "paliwod" wciąż zachodził i namawiał mnie, abym za niego wyszła i mamę, aby się na to zgodziła...-

- I zgodziła się?- nie mogłam ukryć zdziwienia.

- No... Po namyśle... Wiesz, mama mówi, że to się bardzo często tak w życiu zdarza, że poświęca się jedną z córek dla ratowania rodziny... Ją samą podobnie wydano...-

- I co? I była szczęśliwa? Czy to tak można?..-

- Ale popatrz: co nas tutaj czeka? Przecież sama widzisz! A to małżeństwo pozwoli całej rodzinie przeżyć. On jest tu- tejszy i nie zginie. Bardzo jest za mną... Ratuje nas przez cały czas. Do roboty, jeśli trzeba, to kieruje do najlżejszej. Dzieci mamie ochrania, nie daje zapędzić do roboty. Teraz nam tutaj zapewnił mieszkanie : cała izba tylko dla naszej rodziny! Jak na te warunki, to luksus... No i co tu mówić: mężczyzna w domu. A cóż mama sama z nami wszystkimi?-

- A ty jesteś najstarsza z sześciorga...-

- Właśnie! Nieraz dziewczyny się poświęcały... Ja też...-

- Ale to Rosjanie! Jak my będziemy wracać do Polski z tego zesłania, to ty...-

- Kiedyż to będzie? Czy doczekamy? Przecież oni mają wojnę.. Także. Jak to się skończy i kiedy? Będzie coraz ciężej, bo wszystko będzie szło na front... A tak, to już będzie oparcie dla całej rodziny...- tłumaczyła mi niezawodnie pogląd swej matki.

- A czy ty go kochasz?..- ośmieliłam się

- No, czy ja wiem? Od roku chodzi, pomaga, tak się stara.. Przyzwyczałam się, że można na nim polegać. To porządny człowiek. I nigdy nie czepiał się Polaków, nigdy. On bardzo dużo rozumie, zna życie... A co do wyglądu... czy to w ogóle jest ważne?

- mówiła bardziej z rezygnacją niż z entuzjazmem.

- Nie będzie ci łatwo. Jesteś taka młoda...-
 - Powiem ci prawdę: dla rodziny, już zdecydowałam, że jestem gotowa się poświęcić...-

- Zdołasz wytrzymać?-

- Chyba tak, bo on jest dla nas dobry. Tylko najbardziej chodzi mi o to, że wszyscy nasi odwrócą się od nas...- rozplakała się- Przecież wiem, co gadają!..To straszne, ale nie mogę tego znieść. To najgorsze...- zalewała się łzami.

Nie wiedziałam sama, co jej powiesz, co myśleć o tym. Przerazało mnie małżeństwo w ogóle, a już takie "z poświęcenia" szczególnie. A tu jeszcze: Rosjanin i tak dużo starszy i do tego ten jego wygląd!...Z zajęczą wargą.

-Powiedz! Ty mi sama powiedz: Czy mnie potępiasz?- zapytała nagle, ocierając łzy.

- Nie mogę, bo mi ciebie żal.- odpowiedziałam szczerze.

- To przynajmniej ty! Przynajmniej tyle!- Westchnęła- On już wszystko załatwił. Mamy pojechać razem z moją mamą, bo ma w Urzędzie Stanu Cywilnego podpisać zgodę, niby za niepełnoletnią córkę... Widać takie moje przeznaczenie...- wzdychała, zaczynając ²pracę ¹energicznie przyniesioną bieliznę, na którą padały nowe łzy.

Żal mi było dziewczyny. W jej wieku raczej przeżywa się urocze, pierwsze sztubackie sympatie, niewinne i romantyczne... A tu spada na nią taki ciężar. A co będzie potem?

Czy powrót do Kraju zostanie dla niej zamknięty? Czy będzie kiedyś jakiś powrót? Czy wolno w to wątpić? Czy wolno za nią decydować w takiej sprawie nawet matce?

Za dużo pytań i wątpliwości, jak na mnie! Jak ona sobie z tym wszystkim poradzi? Czy udźwignie ten swój los, czy nie będzie oblewała go łzami, jeszcze bardziej, niż teraz?..

Nie umiałam sobie odpowiedzieć na te pytania.

Po wielu latach dowiedziałam się, że mąż Staszki poległ na froncie. Ona z dzieckiem ²wróciła ¹do Kraju wraz z rodziną.

Powrót na plantację

Skończyło się czyszczenie stajni. Wysyłano mnie na plantację.

- Sami rozumiecie, że to jest praca na słońcu. Jej nie wolno w tym roku wrócić do pracy na słońcu. Ma zwolnienie lekarskie. - tłumaczył: Ojciec dygnitarzem, przybyłym znów

po mnie o brzasku, z awanturą.

- A, co tam zwolnieni! Nada rabotat!"- krzyczał jeden

- " Da, da! Pokażyte etu sprawku!"- zagrzmiął drugi.

- Przecież sami zabraliscie ją! - oburzyłam się natę.

- Tak, jak tylko wróciła ze szpitala! - włączyła się Mama.

- A u nas jej nie ma!- obwieścił autorytatywnie.

- Zabraliscie, nie chciałam oddać!-

- A, oddać trzeba! I pracować też. Kto nie pracuje, to

" w tiurmu" za sabotaż! Jest wojna!- skandował.

Po dyskusjach i awanturach zdecydowałam się posłuchać Tata:

- Spróbuj- doradzał- Tymczasem ja postaram się porozmawiać z Usatowowem. Może zrozumie i coś poradzi...-

- Dobrze, pójdę, postaram się...- Wzięłam węzełek z rzeczami pożegnałam się i wyruszyłam. Głównie myślałam o tym, że w domu odpadnie jedna osoba do wyżywienia. Na plantacji dawano jedzenie. Bardzo to poważny argument. Tylko, że za cenę harówki na słońcu, którego się bałam.

W izbuszce przyjęto mnie serdecznie. Trafikam na obiad, którym mnie ugoszczono. Tylko dziadek ogrodowy burczał, że ja tyle czasu zmarnowałam na chorowanie, zamiast nosić podwójną chustkę na głowie podczas upału. No, i zaraz zżęnał nas do roboty.

Plewienia było już coraz mniej. Coraz więcej zrywania ogórków, pomidorów i po trochę podbierania ziemniaków. Później zrywanie kawonów i melonów, które nauczył nas, jak poznawać, że dojrzałe. Zrywałyśmy zależnie od zamówienia. Moje współtowarzyszki, te same, które pracowały w czerwcu, orientowały się w pracy i w terenie. Brakowało tylko Izy, bo chorowała. Jej matka nadal zatrudniona była i zajęta stale przy polowej kuchni.

Dość często przyjeżdżał z fermy sam uprawiajuszczy, z jakimś zamówieniem, albo przysyłał same zamówienia, a wtedy ogrodnik szalał, nadając pracy niesamowite tempo. Padałyśmy ze zmęczenia, zrywając pośpiesznie zamówione plony z plantacji i dzwigając wory z nimi do podwoły, lub do wyznaczonego miejsca, na które później zajeżdżała, gdzie musiałyśmy załadować.

Dziadek własnoręcznie upłócił z wikliny, ściętej gdzieś przy górnym brzegu rzeczki, kosze, czym dumą się chwalił. Kosze były

Kosze były niezdarne, raniły nam barki, na których trzeba było je nosić, miały nędzne uchwyty i pojemność wielkości wiadra. Napełniak je pomidorami lekko ponad brzegi i przez całą szerokość plantacji trzeba było biegiem nosić je do drogi, do miejsca oznaczonego dla transportu.

Lepiej niech gniją!...

Pewnego upalnego ranka zapowiedziano samochód do wypełnienia pomidorami.

- Macie do południa tu, w to miejsce, naznosić trzy tony pomidorów!- komenderował sam, a do nadzoru wyznaczył, oprócz Waśki-szpicla, jeszcze i swoją "bawę".

- Boże! Ducha wyzionę!- jęczałam pod ciężarem pełnego kosza i wlokłam się jak potępieniec, aż padłam i większość zawartości mi się rozsypała, za co jeszcze łajzała mnie cała rodzina ogrednicza, bo cudowne ich dziecię, widząc to, poleciało na skargę, że pomidory mogą popękać.

Kiedy przy drodze urosła już niemal skierda pomidorowa, nasz wspaniałomyślny szef pozwolił nam przy niej usiąść i zjeść: po jednym pomidorze! Aż!.. I czekaliśmy tam, aby natychmiast po przybyciu załadować samochód, bo musiał niezwłocznie wyruszyć z powrotem.

Po godzinie czekania dziadek ogrodowy, we wściekłym humorze, co się zawsze musiało na nas skrupić, posłał nas do innej roboty, zapowiadając, że gdy po nas przyśle syneczka, mamy od razu biegiem zgłosić się do ładowania samochodu.

Żałowałyśmy, że nam nie dał posiedzieć i poczekać tam, na miejscu! Zdążyłybyśmy odpocząć! Po trzech dniach, bowiem, wyjaśniono, że samochód nie mógł przyjechać: zepsuł się.

Zerwane pomidory także!

Ale do domu zanieść, choć po kilka, nigdy nie pozwolił!...

Ciężka też była praca przy rwaniu ogórków, bo to był taki gatunek, z cieniutkimi kolcami na skórce, które raniły nam ręce, a te natychmiast pokrywały się ropniakami. W pewnym okresie miałam ich na jednej ręce aż pięć, na drugiej trzy, ale niesamowitej wielkości i raniły się przez długie tygodnie. Było to po zakłuciu się przy zrywaniu ogórków i bezpośrednim wygrzebywaniu rękami ziemniaków, pod wrzaskliwą komendą ogrodnika.

Do domu wybierałyśmy się nocą, nie częściej, niż raz

w tygodniu. Zdarzało się, że po naszej wycieczce na fermę, miły nasz szef złożył kurtuazyjną wizytę naszym rodzinom, by zapytać, niby to w naszym imieniu, czy na drugi raz chcą, żeby im przynieść „to samo”, czy wolą coś innego i co? Na nasze szczęście nigdy nie udało mu się kogokolwiek sprowokować do „wsypy”. Wszyscy uprzedzeni dziwili się, o czym on mówi i jak mogłybyśmy cokolwiek przynosić z „kazionnego” pola i to z tak daleka, w nocy, po pracy, kiedy ledwie idziemy zmordowane po całym dniu i ledwie niesiemy tę swoją bieliznę do domu, na zmianę.

Chytre przespiewki naszego pomyslowego ogrodnika nie dały mu oczekiwanej satysfakcji.

" Do życia nasze takie cudne!"

...- " Bo życie nasze takie cudne:

Bez troskie, młode i nie nudne!...- "

ze świadomą przekorą wyśpiewywała Myszka Śniadowska, gdy już o zmroku szłyśmy całą gromadą z plantacji do Tiki Bułaku, do domów. Dzielna, uczynna Myszka. Nieraz nam w drodze do pracy śpiewała piosenki. Ulubiony jej repertuar pochodził z akademickiego obozu żeglarskiego w Gdyni. Przypuszczam, że zaliczała go do najpiękniejszych ze swoich wspomnień przedwojennej młodości:

".. Nogi dziewcząt z Colombo
Są wysmukłe, jak palmy...
Które rosną wysoko
Nad zatoką...."

albo: " Przyjechali raz do portu marynarze.

Opalone morskim wiatrem mieli twarze..."

to była wiązanka ulubionych jej pieśni, łącznie ze "Starym wilkiem" i Pieśnią rybików /"Hej, flisacza dziatwo/ oraz Pieśnią Flisaków/"Czy to w dzień, czy o zachodzie"/.

Myszka była drobna, drobniejsza od swej siostry, Ireny, opalona, wygimnastykowana i tak jakos sprężysta, żeśmy się śmiały, że jest gumowa. W przeciwieństwie do białoróżowej cery Izy, ciemnej blondynki, która przy niebieskich oczach przypominała dawne lalki z porcelany. Nazywałyśmy ją porcelanową. Wiesia Klink, najniższa, ładnie zbudowana i z ładną buzią zawsze uśmiechniętą, szatynka z dłuższymi włosami, ściągniętymi do tyłu, by osłonić kark, równo opalona, nazwana przez nas

w tygodniu. Zdarzało się, że po naszej wycieczce na fermę, miły nasz szef złożył kurtuazyjną wizytę naszym rodzinom, by zapytać, niby to w naszym imieniu, czy na drugi raz chcą, żeby im przynieść „to samo”, czy wolą coś innego i co? Na nasze szczęście nigdy nie udało mu się kogokolwiek sprowokować do „wsypy”. Wszyscy uprzedzeni dziwili się, o czym on mówi i jak mogłybyśmy cokolwiek przynosić z „kazionnego” pola i to z tak daleka, w nocy, po pracy, kiedy ledwie idziemy zmordowane po całym dniu i ledwie niesiemy tę swoją bieliznę do domu, na zmianę.

Chytre przespiewki naszego pomysłowego ogrodnika nie dały mu oczekiwanej satysfakcji.

" Do życie nasze takie cudne!"

...- " Bo życie nasze takie cudne:

Bez troskie, młode i nie nudne!...- "

ze świadomą przekorą wyśpiewywała Myszka Śniadowska, gdy już o zmroku szłyśmy całą gromadą z plantacji do Tiki Bułaku, do domów. Dzielna, uczynna Myszka. Nieraz nam w drodze do pracy śpiewała piosenki. Ulubiony jej repertuar pochodził z akademickiego obozu żeglarskiego w Gdyni. Przypuszczam, że zaliczała go do najpiękniejszych ze swoich wspomnień przedwojennej młodości:

".. Nogi dziewcząt z Colombo
Są wysmukłe, jak palmy...
Które rosną wysoko
Nad zatoką...."

albo: " Przyjechali raz do portu marynarze.

Opalone morskim wiatrem mieli twarze..."

to była wiązanka ulubionych jej pieśni, łącznie ze "Starym wilkiem" i Pieśnią rybików /"Hej, flisacza dziatwo/ oraz Pieśnią Flisaków/"Czy to w dzień, czy o zachodzie"/.

Myszka była drobna, drobniejsza od swej siostry, Ireny, opalona, wygimnastykowana i tak jakos sprężysta, żeśmy się śmiały, że jest gumowa. W przeciwieństwie do białoróżowej cery Izy, ciemnej blondynki, która przy niebieskich oczach przypominała dawne lalki z porcelany. Nazywałyśmy ją porcelanową. Wiesia Klink, najniższa, ładnie zbudowana i z ładną buzią zawsze uśmiechniętą, szatynka z dłuższymi włosami, ściągniętymi do tyłu, by osłonić kark, równo opalona, nazwana przez nas

kauczukoawa. Kark przez długi czas bandażowała, mówiąc, że ma kłopoty z otwierającymi się ranami. Ktoś mówił, że gruczolę. Na plantacji dość często pracowała w spódnicy i opalaczu, odsłaniającym plecy. Uszyła jej to matka, z perkalu, który kiedyś przywieziono do sklepu w Tiki Bułaku, jeszcze przed naszym zamieszkaniem tam. Musiał sklepik otrzymać tego dość sporo, bo cała ferma, w tym także nawet kilka naszych, polskich rodzin zaopatrzyła się w ten perkal i wiele kobiet i dzieci nosiło odzież w ten sam kwiecisty, kolorowy deseń.

W Tiki Bułaku młode Kazaczki były wyjątkowo urodziwe. Gdzie indziej widywało się to raczej rzadko. Gdy pasłam owce, w jednej rodzinie dziecko kazachskie, dwuletnie, wcale nie mówiło, tylko beczało, jak owce i najchętniej biegało na czworaka. Dla mnie było to niesamowite i było mi żal tego małego i jego młodej matki. Wahałam, że powinna z tym dzieckiem uciekać jak najdalej od owiec, ały nie naśladowało więcej ich sposobu bycia, lecz przystosowywało się bardziej do ludzi.

" Niech maciejka przypomni wam..."

Gdyśmy tak nocą szły na fermę i już minęłyśmy teren plantacji państwowej, przechodziliśmy drogą wzdłuż ogrodów działkowych. Władze Tiki Bułaku pozwoliły polskim zesłańcom w tym miejscu wykarczować step, na wydzielonych działkach, aby uprawiać sobie na nich, co się komu uda. Działki przygotowane pod uprawę, wydarte stepowi, dołączono po roku do państwowych plantacji, wyrażając zgodę na uprawę następnych terenów pod następne działki dla zesłańców, którym pozwalano karczować sąsiednie partie stepu. Całkiem logiczna i planowa gospodarka.

Taką uprawą mogły zajmować się "domochazajki", czyli matki małych dzieci albo same będące w wieku poza obowiązkiem pracy / dla kobiet pięćdziesiąt pięć lat / . Robota ciężka. Sama odległość pięciu kilometrów była dużym utrudnieniem. Drugim : brak narzędzi do walki ze stepem. Trzeba je było pożyczać i to właśnie w tym okresie, kiedy i właścicielem były najpotrzebniejsze. Poza tym każdy bał się, że plony, jeśli będą, mogą zostać skradzione.

Z tych wszystkich względów nie wszystkie rodziny polskie skorzystały z możliwości uprawiania działek., chociaż wielu je wzięło, bazując na pracy matek, którym czasem, po pracy, dory-

dorywczo starano się pomagać, a także małoletni.

Mijając te ogrody, Myszka opowiedziała nam o pewnym liście ze Lwowa. Pani Śniadowska napisała tam do kogoś, że umożliwiono zesłańcom założenie sobie ogródków działkowych, na wykarczowanym przez siebie w tym celu, stepie. W odpowiedzi na to w jakimś liście otrzymała torebeczkę nasion z dopiskiem:

" Dołączam nasiona mafioli, aby panie mogły je sobie zasiać w ogródku, pod oknem. Niech wieczorami maciejka przypomni wam Polskę..."

Pod naszymi oknami, z których jedno było otwieralne, nie było żadnych możliwości zasiania maciejki. A na działkach? Jaki sens? Kto chodziłby wieczorem, aby ją powąchać? Kto poświęciłby skibkę z takim trudem, niemal pazurami wydarłej stepowi ziemi dla samych tylko wzruszeń?

Te nasiona maciejki rozczulały nas nęliwością ofiarodawcy: jakie dobre chęci i jaki kompletny brak pojęcia o tej naszej teraźniejszości i warunkach egzystencji.

To fakt, że gdyby wtedy opisywać wszystko tak dokładnie, jak ja teraz mogę sobie na to pozwolić, chociażby ze względu na czas i papier, to albo odbiorcy sądziliby, że to wszystko jest grubą przesadą, albo doszliby do fałszywego i krzywdzącego wniosku, że się kłamie i to w celach żebraczych.

Była jeszcze jedna możliwość: mogli uwierzyć w każde słowo. Wtedy jednak często, ci najbliżsi, rozpaczaliby, że jest nam aż tak strasznie źle, ciężko i beznadziejnie. A tego staraliśmy się im oszczędzić: przynajmniej tyle.

Wiedzieliśmy zbyt dobrze, że tam jest im ciężko, bo pamiętaliśmy kolejki, stojące już od wieczora, na drugi dzień, pamiętaliśmy wszystkie braki w zaopatrzeniu. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nawet wysyłanie naszych, pozostawionych rzeczy jest sprawą kłopotliwą, a poza nimi, jeśli się o coś kogoś prosiło, to wiadomo, że dzielili się z zesłańcami swoimi rzeczami, uszczuplając swoje mienie na rzecz zesłanych, lecz bez widocznych szans na nabycie nowych, przynajmniej dopóki trwa wojna. Wiedzieliśmy, że kto się z nami dzieli, swoim, to sobie odejmuje od ust. Tak było istotnie.

Susz z melonów

Praca na plantacji zdawała mi się bardzo ciężka, najczęściej ponad siły. W duszy podziwiałam swe współtowarzyszki, że nie tylko radziły sobie z tym wiecznym, pośpiesznym dźwiganiem dla mnie osobiście najtrudniejszym, co mnie kompletnie dobijało, i z całą masą innych robót, ale bardzo dzielnie nadrabiały miną. Rano, idąc do pracy, zwykle podśpiewywały: począwszy od: "Kiedy ranne wstają zorze / bo szło się przed świtem/, aż po: "Nogi dziewcząt z Colombo.."

Muszę przyznać, że najbardziej trzymało mnie tam w jakiejś takiej formie wyżywienie. Nie tylko mnie! Wszystkie. Teraz, gdy nadmiar plonów narażony był na gnicie, już sam dziadek ogrodowy przynosił do obiadu przejrzące pomidory, albo kawona, czy melony. Wydzielając demonstracyjnie nam porcje, piał peany na własną cześć niezwyklej hojności dbałości o ten "Roboczyj naród"!

Niezależnie od tego kiedykolwiek i gdzie się udało, każda z nas nie pomijała okazji poknięcia pomidora, a bywały dorodne, jakich nigdy nie widziałam. Kiedyś zważyłyśmy okaz: miał półtora kilograma wagi! Robiło się też kawony, jeśli trafił się moment nieszpiegowany, albo dzieliło melonem. Nawet ja korzystałam z takiego sposobu dożywiania się, wyjątkowo bez skrupułów: przecież tyle tego gniło! I wreszcie skąd niby brać siły, kiedy praca człowieka wydusza, jak cytrynę, do ostatniej kropli sił.

. Sama babka ogrodowa zajmowała się głównie melonami. Zbierała wybrane do worka, potem za izbuszką kroila je na cienkie plastry, które rozkładała do wysuszenia na słońcu.

- Sobie, to już narabili całe wory tego suszu na zimę, ale żeby tak człowiekowi pozwolili, to ani mowy! - biadoliła pani Czupkiewiczowa.

- A gdyby tak pani po prostu też sobie zrobiła? - zastanawiałam się.

- Co ty? To na pewno ściągnęliby "progur" na mnie! -

- Ale oni sobie suszą... -

- Oni, to co innego: "Co wolno wojewodzie..." Nie ma nawet o czym mówić... A tej zimy będzie jeszcze gorzej, bo wojują..

- Wojują i dostają łupnia!... -

- A, no właśnie! A na nas się to skruci!... - dziewczęta włączały się, wracając z pola, do naszej rozmowy.

Biegunka kontra awitaminoza

Nie słuchałam już dalszych wywodów i dyskusji, bo musiałam znów przed pracą opatrzyć sobie ręce. Zeszłam do wąwozu, by je umyć i jakoś pobandażować pseudobandażami, chronić przed ponownym zabrudzeniem i uszkodzeniem. Daremne wysiłki, ale co robić? Na zewnętrznej stronie dłoni skóra twarda, spierzchnięta u nasady palców zrogowaciała i zgrubiała na pół centymetra wysokości, ale popękana głęboko, aż do krwi. A palce, jak obraz nędzy i rozpaczy! Paznokcie połamane, pozadzierane, pod jednym, podważający ropień, jeden z ośmiu na dłoniach. I ani maści ichtiolowej, ani gliceryny, ani mowy o czymkolwiek, co mogłoby przynieść ulgę. Za to: wyścig pracy! No, i jak tu się nie rozczulać nad sobą?

Podczas sianokosów i przy pasieniu owiec awitaminoza atakowała poranione nogi, nie szczczędząc im ropniaków. Na plantacji bardziej narażone bywały ręce, toteż ucierpiały makabrycznie. Jadłam więc te dostępne, choć niezawsze dozwolone witaminy, w żywych kawonach i melonach oraz pomidorach, ile się dało. Ale żołądek nie był przystosowany. Po melonach chorowałyśmy na biegunkę.

- "Nie kijem go, to pałką!" - lamentowałam.

- Już ja tam raczej wolę biegunkę, ale mieć zapas witamin, niż zrzec się witamin dla pozbycia się biegunki! A tak, to się przynajmniej najem! - śmiała się Ela, gdy postanowiłam być ostrożna z melonami.

- No, wiesz, biegunka wcale nie jest zdrowa! - pełnowałam. Muszę wypróbować swoje możliwości... -

- Ja tam swoje możliwości wykorzystuję, gdy tylko nas nie szpiegują! - obwieściła Myszka, zrywając piękną alma-atynkę, czyli melon wielkości i kołru oraz kształtu dorodnej pomarańczy. - Gdybym mogła, połknęłabym go w całości, a potem ciurkiem wystrzeliłabym z siebie wszystkie jego pesteczki, sznurkiem, jedna po drugiej! To samo z kawonami! -

- To byłoby pałką cyrkowa sztuczka, śmiem zauważyć! - Śmiałam się, wyobrażając sobie Myszkę w tej roli.

- Cyrkowe sztuczki zaczną się zaraż: zbliża się dziadek! - ostrzegła Wiesia i zagrzebała w ziemi łupiny kawona, zanim odeszła dalej nieco, do swojej roboty.

I tak upływał nam koniec sierpnia. Słońce nie schodziło z nieba przez dłuższy czas

z nieba przez dłuższy czas, toteż nagle i gwałtowna zmiana pogody zaskoczyła nie tylko nas, ale nawet naszego szefa.

" Choć burza huczy..."

- "Dziewczata! Nu, ka dawaj!"- przyleciał do nas Waśka z rozkazem. - Tam, do ogórków! Podweda zajechała! Czeka!-

Popędziłyśmy. Oby przed burzą! Dziadek już sam zaczął zrywać i zsypywać na kupki:

- Zbierajcie do worków i na wóz! Zaraz ma jechać. Prędko! Chyba będzie burza...-

Pracowałyśmy w pośpiechu. Wóz był z naszej fermy i miał zawieźć plony do spółdzielni, na sprzedaż dla mieszkańców fermy. To się rzadko zdarzało i popyt był zawsze.

- Wiecie co? Zabierzmy się na fermę! Może coś tam sobie dorzucimy po drodze...- zaproponowała Myszka.

- Doskonale!- Przecież wkrótce będzie burza, więc i tak nie będziemy pracować!-

- Tak, tak, ale dziadkowi powiemy dopiero, jak wóz będzie pełny!..-

- To świetny pomysł: urwiemy się wcześniej, niż normalnie na wyprawę do domu!...-rzucałyśmy sobie uwagi, mijając się w drodze tam i z powrotem, nosząc pełne worki do wozu i wracając z pustymi, do napełniania. Uwijałyśmy się, jak szalone, aby jak najprędzej załadować wóz, dość długi i spory. Woźnicy też się śpieszyło, więc przy kolejnych ładunkach: ziemniakami, ogórkami, potem pomidorami i "bakszą", hamował skwapliwą gotowość dziadka do nadmiernego ładowania plonów:

- "Bołde, bołde! Dżetede! Chwatit!"/Dość, wystarczy!/- czego nam nie musiał powtarzać.

Wreszcie kategorycznie oznajmił, że czas na odjazd, a my od razu, dopiero w tym momencie, wpadłyśmy na pomysł, że po takiej wyścigowej pracy i wobec nadchodzącej burzy, wybieramy się na fermę. Nasz pomysł zaskoczył dziadka, ale babka, która widziała, że uwijałyśmy się, jak mysz w ukropie i niemal padały już z przemęczenia, poparła nas, z czego skorzystałyśmy biegiem, aby się nikt nie rozmyślił. Oczywiście oznaczało to zrezygnowanie z kolacji, ale roboczodniówka skróciła nam się o parę ładnych godzin. Waśka gdzieś się zapodział, nie mógł przewidzieć naszej wyprawy, więc na skraju plantacji ^{powiedzieliśmy} woźnicy, że

że musimy coś sobie zerwać do domu, a że Kazach wyraził pełne zrozumienie, po chwili niosliśmy kawony i melony na wóz, gdzie w dodatku pozwolił nam usiąść na ziemniakach. Trochę się z nami dogadywał po rosyjsku, reszta, jako mieszkanina polskiego i kazachskiego z gestykulacją, wprowadziła nas w dobry nastrój, pełno śmiechu i żartów na wozie dochodziło do zenitu, gdy sam woźnica żartował ze skąpstwa dziadka, którego znał od dawna. Droga minęła nam szybko, a pędziliśmy na wyścigi z burzą.

Już widać było pierwsze lepianki, gdy pierwsze, grube, ciężkie krople zapowiedziały ulewę. Woźnica popędził wołu, ten przyspieszył bardziej i w chwilę później wtaczaliśmy się na fermę.

- " Choć burza nuczy wkoło nas,
Podnieśmy w górę skroń!
Nie straszny dla nas burzy, burzy czas,
Bo silną przecież mamy, mamy dłoń!
Weselmy, bracia się!
Cność wicher żagle rwie!..."-

zaintonowała Myszka, a wszystkie natychmiast podchwyciły. Daliśmy się z całych sił, aż wół zerwał się, wystraszony, do galopu, a nasz solidarny woźnica aż się zakaszlał ze śmiechu, tak mu się to podobało: ten nasz głośny chór, podczas burzy.

Na progu pierwszego domu zjawiła się matka Wiesi i Zbyszek z okrzykami podziwu i radości, wymachując do całej rozśpiewanej kawalkady, przemoczonych do nitki entuzjastek burzy. W lepiankach kazachskich uchylano drzwi i dzieciaki, ale nie tylko same dzieciaki, musiały zobaczyć, komu to się chce tak porykiwać, żeby aż przekrzykiwać szum ulównego deszczu.

Skąd mogli wiedzieć, że dzięki burzy przyjechałyśmy wozem do domu i to o parę ładnych skróconych godzin pracy, a w dodatku z plonem! I jak tu się było nie cieszyć z tak niebywałych gratki? A więc: ... "Weselmy, bracia, się!!!..."-

Błądzenie w domysłach

Ociekając wodą od czubka włosów aż po mokre chodaki, wniosliśmy do swych kwater tyle ruchu i ożywienia, że wszyscy mieszkańcy choć na chwilę oderwali się od codziennych trosk niełatwego bytowania i od rozstrząsania niepewności sytuacji Polaków wobec najazdu Niemiec na Związek Radziecki.

Dyskusje na ten temat, domysły i rozważania, przewidywania optymistów /raczej nielicznych/, pesymistów / raczej zakrzyczanych/ oraz tych, którzy wbrew opinii tych pierwszych i tych drugich, uważali się za realistów, były ze sobą sprzeczne, a tak różnorakie, że trudno było się w tym połapać.

Rosjanie powtarzali wiadomości przekazywane im przez radio. Stale to samo. Agresor hitlerowski dąży wciąż na wschód, a niezwyciężona Armia Czerwona prowadzi strategiczne odwroty i cofa się, wciągając w ten sposób najeźcców ^wgłęb kraju, jak w pułapkę. Bohaterzy są w wojsku, lecz nie tylko, bo także ludność cywilna stawia bohaterski opór wrogom ojczyzny.

Z takimi wiadomościami powróciliśmy do pracy na plantacji, do tej codziennej pośpiesznej harówki, dzięki której miałyśmy tam na bieżąco co jeść.

Odcięte od świata, nie wiedziałyśmy właściwie, co się tam na nim dzieje.

Ktoś kiedyś przyniósł jakieś pogłoski, że podobno władze radzieckie mają wypuścić polskich więźniów z więzień i z lagrów, aby ich wziąć do wojska przeciw Niemcom. Ktoś zapewniał, że chodzi o wojsko rosyjskie; kto inny, że ma powstać polskie, w co trudno było uwierzyć. Nikt jednak nic pewnego nie umiał powiedzieć na ten temat, a tylko powtarzano to, co pocztą pantoflową docierało, według "Agencji J P P /"Jedna pani powiedziała!"/.

Docierały i do nas tam, na ogrody, też wieści.

- To akurat taka prawda, jak tamta, że nas odstawią do granicy Polski, na Zruczu.- wątpiła jedna.

- No, ta, to niby tak miało być, aby mieli mniej Polaków do karmienia tutaj..- przypomniała druga.

- Ale! A to nas karmią! Tak, jak na wszystkich tych brygadach sianokosowych, albo żniwnych!...-

- A kto by im plony ratował? Kto by pracował tak za darmo?-

- Przecież Polaków brali już do Czerwonej Armii!- dowodziłam teraz ja:-Na wiosnę we Lwowie urządzono pobór rocznika dziewiętnastego. Pisały mi koleżanki: Marysia, że wzięli Jarka, jej brata, Ada Maksymowicz, że zmobilizowano Kazika Malacha, Siaska Bilińska martwiła się, że to może spotkać Leonida a Lolka wyreklamowane, bo właśnie miał robotę specjalisty na miejscu...-

- Tak, faktycznie, ja też miałam podobne wiadomości...-

- Teraz też mogą to zrobić: tutaj wszystko jest możliwe...-
- Kiedy właśnie, że mówią, że to będzie Polska Armia... Kto wie?...-
- E, tam! "Marzycielu, marzycielu!...", jak w tym żydowskim kawale...-
- O! W jakim kawale? Powiedz! Ja nie znam...-
- Ach! "Znacie tę bajeczkę, to posłuchajcie!"...- zaczęła Myszka.
- To z Fredry!- nie wytrzymałam.
- Cicho!- zgromiono mnie
- A, więc słuchajcie:
- Tata! A „jakby~~m~~ ja tak złamał^{em} nogę, to ci za to ubezpieczenie wypłacą? Tak? A ile?-
- Pewnie czterdzieści złotych.-
- A „jakby~~m~~ złamał^{em} dwie nogi?-
- Nu? Dwie? To osiemdziesiąt.-
- Aj, wuj! Tате, a „jakby~~m~~ ja tak, złamał^{em} dwie ręce i dwie nogi?.. / Icek wpadł w zapał! /
- Ujś, ty marzycielu, marzycielu!...- "
- W każdej bajce jest trochę prawdy...-
- Ale cała ta gadanina wygląda mętnie, jak te wszystkie przepowiednie i wróżby...-
- I prorocze sny...-
- Wszystko jedno: w ciekawych czasach żyjemy...-
- Oj, ba joj! Przyjdzie dziadek i sprawi nam ciekawe czasy!
- Nie ma co! Wracajmy do roboty!-

Kto to idzie?

---Byliśmy przeciążone pracą coraz bardziej. Podwozy zajeżdżały często bez uprzedzenia, toteż trzeba się było setnie nauwijać, aby nadażyć czekającym. Nie starczało się na jałowe dyskusje, ale nie sposób było się opędzić niepokojącym domysłom. Poza tym niebardzo wierzyliśmy wiadomościom z gazet, jeśli nawet gdzieś jakaś, mocno spóźniona, trafiła w ten zagubiony zakątek globu.

Co do mnie, to starałam się nie mówić, ale coraz bardziej niecierpliwie czekałam. Czekałam na Wandę. Zamieniłam się w oczekiwanie. Często miałam wrażenie, że ona musi to odczuwać. Czasem łapałam się na tym, że wmyślacz rozmawiam z nią,

a potem zastanawiałam się nad tym, czy to jest normalne.

Coraz bardziej utwierdzałam się w pewności, że wkrótce będziemy razem i przypomniałam sobie mnóstwo spraw, o których będziemy musiały porozmawiać. Cieszyłam się, że jakieś dwie jej sukienki wciąż jeszcze są odłożone, jako nie do sprzedania. Słowem żyłam tą myślą, przecinając ponad swoją szarą codziennością bez zwracania na nią uwagi, niczym lunatyczka.

Początek września zdawał się zadziwiać nas nowymi pomysłami fantazjujących przepowiadaczy tak, że przestałyśmy zupełnie w cokolwiek wierzyć.

- Po prostu to wszystko jest aż tak przesadzone, że nawet szkoda słuchać i szarpać sobie nerwy! Poczekajmy spokojnie, jak się sytuacja wyklaruje! Na razie nie ma co sobie zawracać głowy!- orzekła Myszka, a my przyznałyśmy jej rację, bo przecież "zwieku i z urzędu" jej się to należało.

Dziadek wyznaczył nam rzędy krzewów i zrywałyśmy pomidory na terenie lekko pochyłym w kierunku drogi, w najwyższym, najdalszym punkcie od niej.

Ela, napełniwszy swój kosz, wyprostowała się i wtedy zobaczyła na samym końcu dalekiej drogi, że ktoś się zbliża.

- Patrzcie, patrzcie: kto to idzie tutaj z Tiki?- zawołała.

- A, no, chyba dwie osoby...- dorzuciła Wiesia.

- Trudno zobaczyć kto, jeszcze za daleko- Myszka też się zainteresowała.

Dopełniłam swój kosz, bo jako krótkowidz, nie mogłabym poznać wcześniej od nich tych przybywających. Rzuciłam okiem na drogę. Nie zobaczyłam, było za daleko, ale serce zaczęło mi walić, jak szalone.

- Ktoś wysoki... Pani Kierepkowa?...- zgadywały dziewczęta.

- To Wanda! Wanda!- zawołałam, wciąż jednak jeszcze bez możliwości zobaczenia.

- Jezus, Maria! - Ela podskoczyła do mnie:- Alu!...- ale już nie słuchałam jej przerażonego głosu.

- Wandziu! Wandziu!- darłam się ze wszystkich sił, zrobwszy tubę z dłoni- Wandziu!!!-

Machając rękami, potem i chusteczką, puściłam się biegiem przez całą szerokość plantacji, wymijałam w biegu krzaki pomidorowe, zastępujące mi drogę, przegalopowałam przed dziadkiem, który stał z rozdziawioną gębą, ale nie zdążył nic po-

wiedzieć i goniłam, jak szalona z radości, w kierunku tych dwóch zbliżających się postaci, coraz bliżej, coraz bliżej!

- Wandziu! - wrzasnęłam raz jeszcze, pełnym głosem.

Wanda

I oto mniejsza postać przyspiesza kroku!

I biegnie w moją stronę!

Boże! Jakie to szczęście! Ile szczęścia! O, Boże!

- Wandziu!-

- Alunia!-

Padliśmy sobie w objęcia.

- Jeszcze!-

- Jestem!-

- O, Boże!..-

Nie mogłam złapać tchu. Nie mogłyśmy nawet więcej mówić. Ale czyż potrzebne są słowa?

- Boże mój!- myślałam:- Żyje! Jest! Co za radość! Wiedziałam : czekałam. Spełniło się! Jest!!-

Po dobrej, długiej chwili doszła do nas pani Kierepkowa, bo to faktycznie była ona, która ofiarowała się Wandę przypro-
wadzić do ogrodów.

- Co się stało? Czemu pani płacze?-

- Nie, nie, ja tylko tak z rozczulenia...- i pochlipywała sobie, bardzo zadowolona swym udziałem w naszej radości.

Tymczasem już wszystkie dziewczęta zbliżały się do nas.

- Kiedy przyjechałaś? Jak trafiłaś?- pytałam.

-- Więc to prawda, że zwalniamy Polaków z lagrów?-

- I z więzień też?-

Pytania sypały się ze wszystkich stron na raz.

- Wczoraj przyjechałam. W Ajaguzie, na stacji kolejowej poznałam Marylkę Fiszer...-

- Wypuścili Marylkę! Z więzienia!..-

- Znałaś ją?-

- Nie, skądże? Ale od razu poznać, że to polska dziewczyna

I od Ajaguzu, to już razem...-

- Wandziu, ile dni jechałaś?-

- Kiedy panią wypuścili?-

- Pięć dni pociągiem...-

- A czym się żywiłaś po drodze?-

- Zaraz, chwileczkę! Dajcie jej sapnąć!...- reflektowała

nas pani Julia-

- Po kolei....

- Wandziu, to nasze panie: Myszka, Wiesia, Ela...-

Gadałyśmy wszystkie razem, a oszołomiona moja siostrzyczka musiała podołać tym gorączkowym pytaniom. Pierwsze przykłady zwolnień i to od razu i z lagru i z więzienia trafiły do nas wbrew podejrzeniom, że niewiarygodne wiadomości mają realne podstawy. Chciałyśmy jak najwięcej dowiedzieć się na ten temat, w którym już była zorientowana. Tymczasem ja już zdołałam ocknąć na tyle, że mogłam się jej przypatrzeć.

Oczywiście, niczym z Mickiewicza: "schudła, szcerniała i wyszlachetniała", ale przy tym jakoś się tak jakby skurczyła, zmalala. Poza tym mówi uważnie, znacznie wolniej i mniej energicznie, niż dawniej. Na pewno dużo przeszła... No, i po podróży musi być zmęczona...- myślałam.

Dołączył do nas ogrodnik, już wcześniej przez dziewczęta poinformowany, co się stało i zapowiedział przerwę obiadową, bo zaraz trzeba pójść do pracy, gdyż zajadą podwozy po towar.

Zaprowadziłyśmy naszych gości do wozu, aby się umyć /"oto nasza łazienka!"/, a potem do izbuszki, na kartoflany obiad. Dziadek pozwolił po drodze zerwać pomidory, kawony i melony do obiadu, jak zwykle z wielce łaskawą mimą i oczekiwaniem na pochwały za wspaniałomyślność, chociaż wiedział, że widzimy, ile tam tego już gnije. A, niech tam! Cieszyłam się, że nie oponował, przy poczęstowaniu gości obiadem!

A wieczorem, po pracy, wszystkie ruszyłyśmy na fermę, do domu.

I jeszcze jeden szczegół przypominał mi się z tego spotkania z moją siostrą po tych kilkunastu miesiącach rozłąki/ od 8 lutego 1940 do dnia 6 września 1941 r./

O czyns Wandzia opowiadała i nagle w połowie słowa urwała i rozplakała się!

- Wanduś! Co się stało?- przeraziłam się.

- Ręce! Twoje ręce!- i beczała, jak najęta.

- Ha! "Roboczyje!", co? Już teraz nikt nie może na mnie rzucić obelgi: "biełoruczka"!- nadrabiałam miną, ale aż sama niemal że miałam oczy w mokrym miejscu, nad tym rozczuleniem się i pożałowaniem mnie przez siostrę.

Co by Babcia powiedziała?- lamentowała biedula- Babcia zawsze tak się cieszyła, że masz ręce do fortepianu...-

- No, nie byłam zbyt pilna do palców! Ale nawet Ciocia

Iza zaszczycała mnie raz w życiu komplementem, że mam "ręce Boberów", co niewątpliwie było szczytem pochwały, w przeciwieństwie do Dzikki, bo ta ma "Ręce Szmigielskich", co widocznie Ciocia miała jej za złe. - Trzepałam ze śmiechem, zastanawiając się równocześnie, czy już wie o śmierci Babci. Widocznie czytała w moich myślach:

- Biedna Babcia... Biedna Dzikka... i Ciocia Iza też...-

- I biedna Wanda, kochana...- myślałam- Tyle sama już musi, musiała przejść, tyle przecierpieć, a tyle w niej serca dla innych. Tyle dobroci. Po tylu cierpieniach...

Mimo tych moich kłopotów z rękami musiałam przed brzaskiem wyruszyć, jak zwykle z fermy, aby z resztą dziewcząt wymaszerować do pracy i nie spóźnić się.

Jak tam było

Zdążyliśmy jednak już w tę pierwszą noc w Tiki Bułaku opowiedzieć sobie nieco o swoich losach.

Otóż Wanda została zwolniona razem z wszystkimi Polkami, przebywającymi w lagrze za Marijńskim, w Nowosybirskim okręgu. Nazwa lagru: Wierchnyje Czebuły.

Chciałam jednak wiedzieć wszystko od początku.

Aresztowaną we Lwowie, w nocy ósmego lutego 1940 roku, zawieziono do więzienia śledczego, które w owym czasie mieściło się w dawnym więzieniu wojskowym, przy ulicy Zamarstynowskiej Śledztwa odbywały się tam nocami. Najczęściej więźniowie zostawali przyprawiani do sędziego śledczego, zgodnie z poleceniem ubierali się we wszystko, co kto posiadał / licząc się z tym, że może do celi nie wrócić / i w izbie opalanej tak, że sędzia siedział bez koszuli; musieli przez parę godzin stać na przeciw jego biurka, nie opierając się o ścianę i odpowiadać na najrozmaitsze pytania.

Wanda i Kazia Korczyńska, z tej samej "paczki", aresztowane tej samej nocy, były ostatnimi, do kompletu, ale śledztwo powtarzano aż do dnia rozprawy.

Rozprawa przy drzwiach zamkniętych odbywała się w sali Hotelu Krakowskiego, przy ulicy Czarnieckiego, w dniach: jedenastego i dwunastego kwietnia 1940 roku. Wanda dostała wyrok pięć lat, jej koleżanki przeważnie też, ale pani Wierzyńska, dyrektorka Gimnazjum Benedyktynek Łacińskich otrzymała, jako ich zwierzchnik, karę śmierci.

Po rozprawie więźniarki przewieziono do Więzienia Świętej

Brygidy, przy ulicy Janowskiej. Tam już mogły i otrzymywały jakieś paczki : żywność i odzież, Wandzia też : od Cioci Juli, od Dziadki, poprzez Lolka, od Marysi Stankiewicz i od panny Marysi Ciesielskiej. Według moich orientacji, na podstawie wiadomości z listów, chyba otrzymała wszystkie, jakie podano.

Tam wolno było, więc skorzystały i zgłosiły się do pracy w więziennej pralni.

Ósmego września 1940 roku zostały wywiezione ze Lwowa, do Charkowa i tam przebywały w więzieniu około dwóch tygodni. Z końcem września wywiezione na Sybir, z końcem października dojechały do przeznaczonego im lagru.

Życie tam miały bardzo ciężkie, jak w każdym karnym obozie pracy. Latem pracowały w polu, przy sadzeniu - potem przy wykopkach ziemniaków / które czase na surowo udawało im się zjeść na miejscu!/, cały czas pod strażą eskortujących je żołnierzy z karabinem, o nasadzonym na końcu bagnecie, nieustannie gotowym do użycia. W czasie pracy kazano im śpiewać, aby nie jadły niczego!

Oczywiście głodowały. Wodna zupa ze zgniłym liściem kapusty czasem tak zwana rybna zupa, z pływającymi z rzadka łebkami i kręgosłupami małych, jak szprotki, rybek o niezachęcającym zapachu wątpliwej świeżości, stanowiły zwykle obiad. Wrzątek też, tak ostudzony, że raczej przypominał ciepłą wodę i to nniezbyt czystą, dawano im na śniadanie i kolację. Chleb bywał rzadko, okropny i zawsze w bardzo skąpych ilościach.

Zakwaterowanie w przeludnionych barakach, brudnych i zimnych, a Syberia nie rozpieszczanikogo łagodnymi zimami. Element więźniarek dokładnie przemieszany, aby "polityczne" /in teligencja/ stanowiły znikomy procent, wtłoczony w towarzystwo przestępcze i więźniarki z "obyczajawki", które z dziką satysfakcją, bez względu na narodowość, starały się możliwie jak najbardziej pod każdym względem zatruwać każdy moment życia tym "politycznym"; jako znieprawdzonym przedstawicielkom inteligencji.

Ta wojna podjazdowa, prowadzona przez szumowiny społeczne przeciwko młodym patriotkom już dawała się odczuć we Lwowie. To tam Wandzi powiedziała sprzątaczką z drukarni, w której nasz Ojciec pracował, aresztowana już po dniu trzynastego kwietnia, o naszym wywiezieniu, zgodnie z prawdą. Jednak

Jednak po kilku dniach pobytu we wspólnej celi, namówiona przez złodziejki i prostytutki, powiedziała Wandzi, że będąc jeszcze na wolności, słyszała również, że nasza Mama zmarła w transporcie. Szczególnajęgodziwość! Jak można być aż tak podłym?

Przyjaciółki więzienne Wandzi, przeważnie studentki i harcerki z drużyn starszoharcerskich, starały się zdementować tę informację, dowodząc słusznie, że gdyby to była prawda, powiedziałyby i o tym od razu, a nie dopiero po kiludniowych naradach, szeptanych w kącie "obyczajówki". Wanda i tak bardzo zmartwiona naszym wywiezieniem, nie mogła odtąd do reszty znaleźć spokoju. Dopiero nasze listy przyniosły jej szaloną ulgę, przynajmniej pod tym względem.

Dzięki poszukiwaniom Lolka Sawkiewicza jedna z przyjaciółek Wandy, Olga Banszel, dostała adres swojej rodziny, wywiezionej równocześnie z nami do Kazachstanu. Jej siostry z matką były w Semipałatyńsku. Po zwolnieniu, razem z Wandą wyruszyły w podróż i Ola wysiadła właśnie w Semipałatyńsku, a Wandzia już dalej jechała sama. Nie wszystkie miały adresy wywiezionych rodzin, a także zdarzało się, że rodzinom aresztowanych udało się uniknąć wywiezienia. Te starały się dotrzeć do Polskiego Wojska.

Okazało się, że wiadomości o organizowaniu Armii Polakiej na terenie Związku Radzieckiego są prawdziwe. I właśnie też przyjmują młode dziewczęta i kobiety do pomocniczej służby.

Ola Banszel, która studiowała medycynę /trzeci rok?/, postanowiła zgłosić się tam do służby sanitarnej. Od razu zdecydowałam, że my też, jako harcerki, powinnyśmy zrobić to samo. Poza tym rodzinom wojskowych zapewniano jakąś opiekę, co było dodatkowym bodźcem.

Gdy Wandzia opuszczała lagier, zwrócono jej okulary, odebrane przy aresztowaniu, ale zegarek przepadł. Otrzymała też odpis swojego wyroku, świadectwo zwolnienie-amnestię, bilet kolejowy do stacji Ajaguz oraz pieniądze w kwocie sześćdziesięciu rubli. W dodatku wyposażono ją w żywność: trzy kilogramy chleba i jeden kilogram wędzonej ryby.

Tak lagier pożegnał swoje mieszkanki.

Strzyżka owiec

We wrześniu powróciły stada owiec z dżajlau. Po koczowaniu odbywała się kąpiel owiec przed jesiennym strzyżeniem. Była to praca wykonywana zawsze własnoręcznie przez tubylców, którzy mieli w tym wprawę.

Wandzia, po przybyciu do nas, miała obowiązek zameldowania się na nowym miejscu. Natknęła się na uprawajuszczonego, a ten z miejsca zagonił ją do pracy. Właśnie stwierdził, że mu brak ludzi do strzyżenia owiec.

Poszła, biedula, do tej roboty. Po całodziennych wysiłkach zdołała ostrzyć, ręcznymi nożycami aż sześć owiec, co wyczerpało ją do niemożliwości.

Dla porównania dodam, że poprzedniego roku w Tas Bułaku dochodziły do nas relacje ze strzyżki owiec w pierwszej fermie: Dżyłdykara. Tam najlepsi fachowcy kazachscy dochodzili do szesnastu owiec dziennie.

Zapędzono do tej roboty Polki. Spośród nich dwie siostry Dobrzańskie: Irkę i Alkę. One pobiły wszelakie, znane do tej pory tam rekordy: jedna z nich ostrzygła trzydzieści dwie, druga trzydzieści sześć owiec! Nie pamiętam, jakim sposobem. Sprawę znałam z opowiadania, bo była głośna. Ogłoszono je rekordzistkami, nazwano stachanówkami we współzawodnictwie pracy. Zarobiły, oprócz premii liczne pochwały swoich miejscowych władz, które w wyniku podniosły bardzo wydatnie dzienną normę dla wszystkich. Nowy wymiar uniemożliwił większości pracowników wykonywanie normy, którą dawniej przekraczali, co dawało im premie. Nazwisko stachanówek wywoływało głośne objawy nietajonej wrogości, nawet w centralnej fermie, wśród Kazachów, których sukces obu sióstr uderzył mocno po kieszeni.

Co do zatrudnienia Wandzi, okazało się, że zgodnie z prawem, po zwolnieniu z więzienia a także i z lagru zwolnionym przysługuje urlop i nie wolno ich zmuszać wtedy do pracy.

Wobec tego więcej nie poszła.

Powrót Marylki

Dzieje Marylki też wszystkich interesowały, bo przecież wszyscy w Tas Bułaku /Centrali/ ją znali i spośród nas była jedyną osobą aresztowaną i osadzoną w więzieniu sowieckim.

Cała ta jej sprawa, jak dokładnie nam wyjaśniono, była też przykładem /zastraszającym!/ dla nas, abyśmy zdali sobie sprawę ze swojej sytuacji zesłańców na tej gościnnej ziemi. To było jasne.

Posadzono ją w więzieniu z najrozmaitszymi szumowinami, w ogromnej większości narodowości rosyjskiej, ale z dużą domieszką różnych innych narodowości Związku Sowieckiego.

Już sama jej narodowość najczęściej była wystarczającym powodem do okazywania jej swej wrogości przez współtowarzyszki więźniarki, nie mówiąc o personelu więziennym.

Dano jej się tam porządnie we znaki, tak że z dumnej pannicy, jaką zabrano, zmieniła się w cyniczną dziewczynę, która zatraciła swoją uprzednią elegancję sposobu bycia, co dawniej tak znamienne zdawało się podkreślać niezwykłą urodę czarnulki, obecnie jakoś bardzo poszarzałej.

Z jej relacji pamiętam opis rewizji osobistej, której poddana została przed odprowadzeniem jej do celi. Pamiętam, że mnie zaszokował ten snosóo. Rewidowała ją dozorczyńni więźniarek. Kazała uwięzionej rozebrać się do naga i jeszcze wykonać kilka przysiadów, aby przypadkiem czegoś gdzieś nie ukryła.

Osobno spenetrowała odzież, z precyzyjną dokładnością przeszukując kieszenie i sprawdzając nawet wszelkie obrąbki, aby ~~tu~~ w nich niczego nie przemycić.

Marylka przesiedziała ponad rok za to, że ośmieliła się powiedzieć:

„U nas psy mają lepiej, niż tutaj u was ludzie!”-

Gdyby nie ta amnestia dla Polaków, spowodowana zagrożeniem Związkowi przez Niemcy, przesiedziałyby Marylka dwa lata. Tyle kosztowało ją to jedno zdanie! Taką dostała, przykładną nauczkę. Musiała zapamiętać, czy można publicznie wygłaszać podobne opinie. Taką płaciła cenę za słowo prawdy.

Kłopoty ze zdrowiem

Moje ręce przedstawiały się coraz gorzej. Już tak mnie narzywały, że budziłam się po naczach z bólem. Do lekarza zbyt daleko, aby się wybrać i po takiej drodze wyjechać raptem aż trzy dni, z których dwa zajęłaby droga tam i z powrotem. Pracowałam więc nadal, nie widząc innego wyjścia.

Kiedys Wandzi strzelił pewien pomysł do głowy:

- Wiesz co? Zastąpię ciębie! Przecież temu waszemu dziadkowi ogrodowemu to powinno nie sprawiać różnicy, a ty może jakoś tę rękę trochę oszczędzisz, przynajmniej, skoro nie ma czym ich leczyć...- dowodziła.

- No, też coś! Aleś wymyśliła, że: Ta joj!- oburzyłam się słusznie.- Czy ty nie wiesz, że on tylko na to czyha? Zaraz czepiłby się, że możesz, jesteś zdolna do pracy, a więc musisz pracować! I już byś przepadła! A mnie i tak to by nie uratowało! Nie zwolni, za nic na świecie!...-

- Tak. Ale ma rację...- przyznał Ojciec. - To nic nie da, a jeszcze ty wpadniesz. Oni są złośliwi. A teraz, gdy dostają cięgi, to już sami nie wiedzą, jak się odgryzać na nas...-

- Ale to bezprawnie: są nowe ustawy, porozumienie Sikorskiego i tak dalej...- zaczęła tłumaczyć.

- Trochę to za daleko do nas... Tam u góry politykują, ale tutaj, na samym dole i tak mamy niemal pętlę na szyi...-

- Ani tędy, ani owędy! Z nimi nie dojdiesz ładu, ani sprawiedliwości...- włączyła się Mama.

Przed brzaskiem razem z Ela, Myszką i Wiesią wyruszyłam z powrotem do ogrodów, aby się nie spóźnić i przyjść o świcie do pracy, bo to przekreśliłoby zezwolenie na nasze nocne wy pady do Tiki.

Któregoś dnia przyjechało równocześnie kilka furmanek, bez uprzedzenia, z różnych stron, kazachscy woźnice z jazgotem wykłócali się o pierwszeństwo, toteż ogrodnik szalał z pośpiechu i szurał nami gorzej niż kiedykolwiek do tej pory.

Chwytał sam naręcz dużych worków jutowych i napełniał je pośpiesznie razem z syneczkiem, tak, że gdy wracałyśmy przez całą szerokość pola już z pustymi workami od furmanek, nowe pełne czekały przygotowane do transportu żywą siłą roboczą, obowiązującą biegiem nosić, ostrożnie ładunek na wóz wysypywać i biegiem wracać po następny pełny worek.

W pewnym momencie dobiegłam w chwili, gdy już objuczwszy inne dziewczęta, zaczął przy mnie ładować porcję do worka. Stałam, sapiąc i liczyłam:

- Dwadzieścia dwa! Dwadzieścia dwa melony! Przecież tego nie udźwignę!- zaprotestowałam.

- "Niebezpiejsia!"- mruknął- "Dawaj!" Naładuję ci na plecy! A tu trzymaj!- i nie bacząc na to, że się aż ugięłam pod ciężarem złośliwie długiego wora, wcisnął mi do rąk jego ko-

niec i lekko mnie popchnął w kierunku drogi, gdzie stała furka.

- Jezus, ratuj!- westchnęłam i puszczone w ruch ruszyłam faktycznie poprzez nierówności pola melonowego, omijając po kolei przeszkody, rosnące mi pod nogami.- Boże! Jak ciężko!- aż mi zapierało dech. Szłam, jak automat. Nagle: błysk! Pojaśniało mi w oczach, świat zawirował i padłam pod ciężarem, ledwie dysząc.

- Nie dam rady... Nie wstanę...- przeleciała mi myśl

- "Ej, ty tam! Czego to takoj?!"- usłyszałam oburzony wrzask. Po chwili stał nade mną, ziejący złością. Szarpnął, pociągnął za rękę, postawił, jak manekin i znów narzucił mi na plecy wór, pod którym sam stękał. Jeszcze dostałam kopniaka, tuż pod kończącym się workiem, gdzieś w górnej części uda i znów pchnięta, potoczyłam się dalej.

To samo powtórzyło się jeszcze dwukrotnie!...

Za tym ostatnim razem, gdy padłam przed rowem, za którym, już na drodze stała oczekująca podwoda, już poczułam, że jest ze mną całkiem źle.

Kiedy czuły dziadek nachylił się, by mnie znowu szarpnąć, zdokądłam ostatkiem sił powiedzieć cicho, lecz dobitnie:

- "Ubij, a nie magu!"-

Wściekły otworzył gębę, ale rzuciwszy na mnie okiem, spojrzał uważniej i poprzestał już tylko na siarczystych przekleństwach, po rusku i kazachsku.

Złapał wracające dwie dziewczyny z pustymi workami i kazał im zanieść ten "mój" wór. Wzięły we dwie, za oba końce, rzucając pytanie:

- Co ci jest?-

- Co ci się stało?-

- Padłam. Krwotok.-

Wróciły za moment. Chciały podnieść i odprowadzić mnie do izbuszki.

- Nie teraz!- huknął nasz pan i władca- "Tiepier nie lzia! /Teraz nie wolno!/ po załadunku!-

- Wytrzymasz?- zatroszczyły się.

- Poleżę, poczekam...- całą siłą woli starałam się nie beczeć i tłumiłam jęk bezgłośnie.

Dziadek jeszcze raz podszedł do mnie, przewiercając mnie podejrzliwie spojrzeniem:

- Symulant! - rzekł z pogrdą i odwróciwszy głowę, demonstrowa-

cyjnie splunął. Zdołałam jednak w jego wzroku podchwycić błysk strachu. Wiedział, że przeholował! Zresztą w przeciwnym razie nie zostawiłby mnie tak bezczynnie leżącą: miał na to swoje sposoby!

Po pracy Myszka z Elą doprowadziły mnie do izbuszki. Byłam ledwie żywa. Męczył mnie krwotok. Podobno jęczałam przez sen. Rankiem, gdy wszyscy szli do pracy, zdecydowałam się na powrót do domu.

- Czy tylko dojdiesz? - martwiła się Ela.

- Muszę. Nie mam wyjścia - przyznałam, pełna obaw przed tymi kilometrami.

- Jeśli musisz, to im prędzej, tym lepiej - doradzała Myszka

- A może lepiej poczekać na jakąś podwodę - sugerowała Wiesia - zawsze to spory kawał, jak dojdiesz? -

- Nie odważyłabym się usiąść na wozie... Trzęsie, a to chyba jeszcze gorzej -

- A może byśmy ją jakoś odprowadziły?.. -

Oczywiście ogrodnik nie pozwolił, wściekły, że traci siłę roboczą i to tym razem wiedział, że z własnej winy.

Podziękowałam swoim opiekuńczym współtowarzyszkom pracy i powlokłam się samotnie przez plantacje, wzdłuż działek i przez szeroki step do domu.

- Mój Boże! - rozmyślałam - Znowu choroba i kłopot. Ale dzięki Bogu wracam do Rodziców i siostry, niemal jak do domu... Tak: co zatłoczonej izby, pełnej zaduchu, pluskiew, mieszkalców, ludzkich tragedii i wzajemnego przeszkadzania sobie, utrudniającego ciągle tę naszą arcynędzną wegetację.... Ale są Oni!..
Dzięki Ci, Panie, za to... -

I wlokłam się taka bardzo słaba, chora, zboleła, sama sobie przemawiając do rozsądku, nakazując dzielność ... i ... równocześnie pozwalając sobie na łzy, póki ich nikt nie widzi.

- Och, jakie to szczęście - starałam się pocieszyć - żeśmy o obie z Wandzią i z chłopakami odbyły już tę komisję lekarską! Przecież teraz gdyby nam wypadła, nie mogłabym absolutnie w takim stanie wybrać się do Centrali na to badanie! Ani piechotą, ani podwodą. Jak to dobrze się złożyło, że już zdołałyśmy to załatwić. Naturalnie, że wszystkim Polakom dają kategorię "A - bez zastrzeżeń," bo przecież zależy im na ilości, aby jak najwięcej Polaków poszło do wojska! Polskiego Wojska!

Jakiż to cudowne, że tworzy się nasze, Polskie Wojsko! Muszę mieć siły! Muszę! Musimy wrócić! Do Lwowa! Do Kraju!...-

Tak monologując ze sobą, pocieszając się i płacząc bólu, słabości i utrudzenia, zdołałam w końcu dowlec się do Tiki Bułaku i otrzeć łzy przed wejściem na fermę i do izby, do Mamv.

Podźwiganie było poważne w skutkach. Chorowałam, wykańczana przez krwotoki, przez sześć tygodni. Trudno sobie nawet wyobrazić cały bezmiar tej gehenny w takich warunkach: głodu, nęczy, braku lekarstw i jakichkolwiek środków opatrunkowych, w zimnie i podczas miesięcznego synania na glinie, w listopadową zimę. Chyba do tego nie warto wracać nawet we wspomnieniach. To był koszmar.

Wiec

Gdzieś z początkiem października zwołano nas wszystkich na wiec. Odczytano uroczystie, że jesteśmy przecież sojusznikami, łączymy się we wspólnej walce z hitlerowskim agresorem, mamy prawo wstępować do wojska i czynnie walczyć z germańcem. Ogłoszono amnestię dla więźniów i polskich żołnierzy, wziętych do niewoli w trzydziestym dziewiątym roku oraz decyzję o zezwoleniu zesłańcom polskim na przeniesienie się w inne, dowolne miejsce na terenie Związku Radzieckiego.

- My chcemy do Lwowa!- ktoś zawołał, a wszyscy poparli.

- Wolno wam przenosić się w tereny niezagrożone działaniem wojennym- wyjaśniono.

Wśród powstałego szumu i gwaru, rozpętanych dyskusji, licznych pytań objasniono, że możemy naradzić się i nazajutrz zgłosić swoje decyzje, dotyczące pozostania w sołchozie lub zmiany miejsca pobytu, co po rozważeniu, miejscowe władze będą mogły zaakceptować i wydać nam odpowiednie zaświadczenia uprawniające do zameldowania się gdzie indziej. Ostatecznie termin podjęcia decyzji prolongowano.

Decyzja była niełatwa. Jak bardzo ciężko było na miejscu, to już wiedzieliśmy. A co nas może czekać tam, w wybranym na ślepo miejscu, tego nikt nie mógł wiedzieć, ani gwarantować.

Jedni zastanawiali się nad Urdżarem, jako najbliższym miasteczkiem, paru osobom już znanym, gdzie też już część naszych byłych współmieszkańców z Klubu w Sigisbaju jakoś żyła.

- Jakoś! Ale kto wie, jak?-

Inni twierdzili, że jeśli już się ruszyć, to nie na wschód

wstronę chińskiej granicy, ale właśnie na zachód, do Ajaguzu, gdzie jest stacja kolejowa i bardziej otwarta droga na świat.

- Po co do Urdżaru: jeszcze dalej od kolei, niż stąd!-

- Z Ajaguzu, to już od razu do pociągu, na miejscu, jak już przyjdzie do tego, że będziemy wracać do Polski... jak już nadejdzie ten czas!...-

- Jak już nadejdzie ten czas, to i sposób się znajdzie! I z Urdżaru się człowiek wtedy wydostanie!...-

- A, bo to wiadomo? Ta, co kolej na miejscu, to na miejscu! Ja tam wolę Ajaguz!...-

u Ajaguzie

- A ja Urdżar. Będzie lepszy, bo pomyślcie, jaka tam się zrobi drożynna, kiedy wszyscy się tam zwałą! To wcale nie jest duże miasto! Ot, takie miasteczko, że gdzie się tam to wszystko wyżywi?...-

- Do Urdżaru mamy około sześćdziesiąt kilometrów. To jeszcze jakoś da się z którymś kierowcą, złapanym na szosie utargować za przewiezienie, a do Ajaguzu musi być ze dwa razy dalej. Ile sobie taki za to zaśpiewa?-

- Do Urdżaru pewnie ściągną wszystkie fermę z całego Tas Bułaku i też będzie przeludnienie...-

- A do Ajaguzu tamci wszyscy, których wtedy z pociągu rozwozili wołami, bo to było w okolicy. Nie pamiętacie, ile tam było "tego ludz"?..-

- Tak, jak w urdżarskim rejonie największy sołchoz to jest Tas Bułak, tak w pobliżu Ajaguzu jest Mem Bułak, chyba z jeszcze liczniejszymi fermami- dodałam i ja swój głos do ogólnej dyskusji, bo od koleżanek ze Lwowa wiedziałam, że Danka Kaliszczak tam się znalazła z matką i siostrą.

- Nie ma co! I tam i tu wielka niewiadoma...-

- I tak źle i tak niedobrze!..-

- Jak by nie było, jedno jest pewne: trzeba uciekać stąd!-

- Ta, pewnie! Chociażby od samych pluskiew! Bo chyba aż takich nigdzie nie ma!-

- I dobrze się trzeba zabezpieczyć, żeby ich ze sobą nie zawlec na to nowe miejsce!...-

- Oby na lepsze!...- Oby!-

Decyzje

A co my zrobimy?- zwróciłam się do Rodziców i do Wandzi.

- A, no, chyba jednak ten Urdzar: tam jest ta drukarnia. Wtedy się nie udało, ale teraz, skoro biorą mężczyzn do wojska, to może i miejsce będzie i robota dla mnie się tam znajdzie...-

- To już jest coś: Pierwszeństwo przy kupnie chleba...-
powiedziałam Wandzi.

- Nawet nie uzbieramy na przejazd do Ajaguzu, bo to każdy na własną rękę- westchnęła Mama.

- A co z Ciocią Izą?- zapytała Wanda-a mnie się serce ścisnęło: zawsze tak, a pełna serca... A ciocia taka samotna...

Gdy wtedy wybrałyśmy się do Centrali z Wandzią, dołączwszy do podwoły dla poborowych i ochotników do wojska, z Tiki Bułaku uroczyste wysyłanych na komisję lekarską do Jas-bułańskiej "bolnicy", odwiedziłyśmy tam Ciocię Izę.

Co do mnie, to przyznam, że z ukrywaną tremą, bo denerwowałam się, czy nie powie czegoś przykrego Wandzi. Męczyła mnie pamięć o tym, że irytowała się, jeszcze we Lwowie, na "te głupie, bohaterskie, spódniczarki", którym się wydaje, że Polskę oswobodzą, a nie pomyślą o tym, na co się narażają, bez żadnego sensu!"

Wiedziałam, że Wanda i tak robiła sobie wyrzuty, jakoby to "przez nią" spotkał nas taki los, a nie przez tę okropną wojnę i z powodu naszej polskości. Co tu w ogóle mówić o czyjejkolwiek winie?

Zapukałyśmy do Cioci onieśmielone, a ja mocno nadrabiałam miną.

- Pokaż się! No, nie wyglądasz najgorzej po tym całym więzieniu i lagrze!- powiedziała Wandzi po przywitaniu.

- Bogu dzięki: tylko tyle!- ucieszyłam się w duszy.

- Rzmawiałyśmy o Wandzi przejściach i przyjeździe, o naszych planach wojskowych, aby zabrać Rodziców i Ciocię pod opiekę dla Rodzin Wojskowych, o przeniesieniu się do Urdzaru, o co Rodzice, za naszym pośrednictwem proszą Ciocię, aby dołączyła do rodziny.

- To nie ma sensu- przerwała.

- Dlaczego? Razem to jednak bezpieczniej...- zaczęła Wanda.

- No, popatrzcie: znów puchnę... Kolana, nogi, ręce... Cóż, to początek końca... Gdzie tu się tłuc, przenosić? Po co? Czy to już nie wszystko jedno?...-

- Ciociu! Tak nie można! Trzeba iść do szpitala...- próbowałam.

- A po co? Przedłużyć na jeszcze trochę? Co to zmieni? Zresztą: aby wybrzydiali, że Polki to brudasy?... A ja nie mam siły... Ani w co się przebrać...-

- My pomożemy- ofiarowała się Wanda.

- Nie, nie! Niczego nie chcę, nie zmienię. To nie ma sensu! Po co przedłużać?...-mówiła śpiesznie i gorączkowo:

-Przecież.każdy ma swój los aż do samego końca...-

- Ciociu...-

- Po prostu zmęczona jestem życiem. Tak: życiem. Bardzo już zmęczona... Cnciałabym już spocząć...-

Byłyśmy bezsilne i bezradne. A przecież trzeba było ratować! Tylko: czym? Niepewność jutra paraliżowała każdą myśl. Ciocia zawsze trzymała nas na dystans. Ale przecież po tych wypowiedziach trzeba było przełamać ten mur. Serdeczniej podejść do tej chorej, zagnęzionej okropnie /aż do spuchlizny!/ nieszczęśliwej i tak bardzo osamotnionej kobiety, zdanej na tak tragiczny los starej bezsilności.Chyba miała ze sześćdziesiąt lat, może o parę więcej... Normalnie miała prawo do życia... A tu, w tej nędzy, skrajnej i beznadziejnej nędzy, nadmiar rozgoryczenia odebrał nie tylko nadzieję, ale też i chęć do walki o życie.

Odczuwałam to wszystko instynktownie, lecz ani wyrazić nie potrafiłabym tego wtedy jeszcze, ani zaradzić złu.Wandzia, zgnębiona, opuściła głowę. Ona, zawsze taka energiczna dawniej, nie podołała teraz, nie wiedziała, jak ratować, aby jeszcze nie pogorszyć sytuacji.

- Jak ją musiało to wszystko zetrzeć, skoro nie wykazuje żadnej energii- myślałam ze smutkiem. Sama jednak nie dorosłam do rozwiązania problemu.

I tak smutno zakończyło się nasze spotkanie z Ciocią Izą. Ostatnie.

Przybysze z lagrów

W Tiki Bułaku nowe wydarzenia.

Najpierw przyjechał pan Jakubowski, mąż pani Cesi, tej samej, która sąsiadowała z nami przez sień w Sigisbaju, dzieląc kwaterę. wraz z Lolem, razem z Sochackimi i Kublinami.

A potem przyjechał pan Kublin.
Każdy z nich dzielił

Każdy z nich przeszedł więzienie i lagier, a teraz dołączyli do rodzin: pierwszy do żony i brata, drugi : do żony z synem. Ich radość ze spotkania mocno przygasła na widok okropnych warunków, w jakich zastali swoich najbliższych.

I znowu, podobnie jak po przyjeździe Wandy, przychodzili nasi, z innych kwater, aby choć posłuchać, porozmawiać, dowiedzieć się o ich losach i przejściach, a może spotkali takie, a takie nazwiska?...

Okazało się, że pan Jakubowski pracował w Magistracie Miasta Lwowa razem ze Zbyszkim Klinkiem. Jaki ten świat mały!..

Z tych opowiadań pamiętam relacje z przebiegu śledztwa któregoś ze współwięźniów, doprowadzonego do szaleństwa stosowaniem metody, zwanej torturą chińską. Polegała ona na tym, że człowiekowi, stojącemu z unieruchomioną kleszczami szyją i głową, dzięki specjalnemu urządzeniu, kropla wody wciąż jednostajnie i rytmicznie padała w śpale to samo miejsce na ciemieniu. Tej tortury bali się wszyscy najbardziej.

Opowiadający nie przechodził tortur. Był "tylko" poddawany śledztwu w izdebce z rozgrzany do czerwoności piecykiem, w ~~w~~wszystkiej posiadanej odzieży, postawiony o krok od ściany, do której, po pierwszej próbie oparcia się o nią, już więcej nie próbował się zbliżyć. Przez kilka godzin stał na ~~o~~przeciw sędziego śledczego. rozebranego do koszuli i zjadającego obfity kolację, w obecności wygłodzonego więźnia.

I podobnie, jak słyszeliśmy z innych relacji, sędzia śledczy miał zwyczaj od czasu do czasu otwierać szufladę biurka, aby do niej napluć. Być może trzymyno tam sopluczki. Ha!

Co kraj, to obyczaj!

W więzieniach wszędzie to samo. Przepełnienie, warunki anty-sanitarne i antyhygieniczne, robactwo / wszy, pluskwy, pchły, karaluchy i świerzb/, ciągłe rewizje w celach i wszędzie mieszczanina więźniów politycznych z rzezimieszkami i szumowinami różnego autoramentu. I wszędzie w celach umieszczano prowokatorów.

Wszędzie udręką była jedna olbzymia "parasza", zastępująca ustęp w celi i wynoszona przez więźniów osobiście tylko raz na dobę. Dodatkową przykrość sprawiała przeraźliwa żarówka, oświetlająca całą celę nieustannie przez dni i noce, aby zawsze strażnicy mogli obserwować więźniów przez "Judasza" umieszczonego w drzwiach.

Śledztwa odprawiano po nocach, wyciągając więźniów na przesłuchanie prosto ze snu / o ile udało im się usnąć/, przetrzymując godzinami i stosując rozmaite metody, łącznie ze środkami przymusu, w celu wydobycia odpowiednich zeznań.

W porównaniu z tą naszą "Wolną zsyłką" ci więźniowie przeszli znacznie gorsze piekło od naszego, na które narzekaliśmy nieraz, skarżąc się, że jesteśmy u kresu wytrzymałości.

Samo wyżywienie w więźniowie ohydne i tragicznie skąpe, u nas zależało od naszych zasobów, ale przyrządzane przez nas było w każdym razie czyste i jadalne: bez obrzydzenia.

W więzieniu, czy lagrze, karmiono byle jak, byle czym, czasem w zupie znajdowano szczura w całości lub częściach, nie pozostawiających żadnych wątpliwości. Transporty więźniów z zasady karmiono solonymi śledziami i nie dawano ludziom wody. Taka przyjemność została nam zaoszczędzona.

Samo zamknięcie za kratami, odcięcie od świata, od rodzin, niepokój o ich losy, co do których różne wiadomości dochodziły, konieczność liczenia się z prowokacją i zdradą, możliwą w każdej celi pogłębiały poczucie samotności i zagrożenia.

Do tego dochodziła ogłupiająca beczność. To te wszystkie psychiczne czynniki miały przede wszystkim na celu złamać hart ducha. One potęgowały wszystkie fizyczne cierpienia.

Mimo, że się wiele na ten temat wiedziało, takie bezpośrednie zetknięcie się z uwolnionymi, pozwoliło znacznie lepiej zorientować się rodzinom w losach swoich, oczekiwanych wciąż więźniów, o których modlono się z jeszcze bardziej ściśniętym sercem.

Tych, którzy już do rodzin trafili, starano się otoczyć możliwie najlepszą opieką, na jaką pozwalały miejscowe warunki. Nie były łatwe. Najczęściej niewiele można było dać poza gorącą serdecznością.

Operacja żyłką

Po zebraniu, na którym ogłoszono nam prawo do przesiedlenia się, już nie wróciłam do pracy. Dość długo leżałam, wolno zaczynałam po trochę chodzić, aby nie pogorszyć dolegliwości. Równocześnie starałam się doprowadzić swoje ręce do stanu używalności. Najgorzej działo się u kciukiem prawej ręki, tym zakłutym tak mocno kolcami ogórków i zabrudzonym bezpośrednim wybieraniem ziemniaków z ziemi, bo się wygrzebywało je palcami.

Po nieprzespanej z bólu nocy, sama się przeraziłam, zobaczywszy stan mojego kciuka. Napuchnięty bardzo, aż tak, że osiągnął większy owód, niż lewa ręka miała w przegubie! Po wewnętrznej stronie palca mięsień rozwalony był trzema okropnymi korzeniami ropniaków. Przez całe ramię, aż do pachy, szła czerwona pręga.

- Jedź do szpitala, do Urdżaru zaraz! Bo inaczej stracisz całą dłoń!- zawołała pani Kublinowa, zobaczywszy ze swego, sąsiadującego z nami kąta, gdy rozwinęłam opatrunek.

- Boję się, że to możliwe, ale jeszcze spróbuję tutaj temu zaradzić. Wandzia poszła po wodę. Poproszę, by mi to wydusiła to powinno pomóc...- mówiłam, przerażona zaczynającym się zakażeniem, a niemniej wydatkijnym wyjazdem, tak bardzo nieoczekiwanym i nie w porę.

Deszcz rozpadał się na dobre, obrzydliwy i nieustępliwy, wszyscy schronili się w kwaterze. Nie było nadziei, że się wypogodzi i w izbie przerzedzi, a tak bardzo krępowałam się, że z konieczności przy nich muszę się zdecydować na ten nieestetyczny zabieg. Trudno..

Tata wygrzebał jakąś najmniej tępą ze swoich żyłek, Mama dała szmatki płócienne, a Wandzia to razem wygotowała. Ktoś przyniósł mi od pani Dzięduśzyckiej parę ziarenek nadmanganianu potasu. Moja dzielna siostra przemyła mi palec, Gdy jednak miała na nim przeciąć skórę, nagle przyznała szeptem:

- Wybacz, Ala: nie mogę!-

Wacusz Kublin, obserwujący nas spod oka, ogłosił elegancko wszem i wobec:

- Proszę się przygotować na niezwykle głośny ryk! Tu zaraz będzie operacja na żywo! I zobaczymy, jakie to dzielne są harcerki!- bo właśnie byłam w mundurze.

- Cicho! Daj mi tę żyłkę!- zwróciłam się do Wandzi i lewą ręką sama ciachnęłam sobie ten paskudny i biedny mój kciuk, jak tylko zdołałam najgłębiej, aby umożliwić usunięcie ropy.

- A teraz błagam cię: wyduś do ostatka!- podałam siostrze prawą dłoń, podtrzymując ją lewą. Zaczęła delikatnie.

- Do ostatka! Mocniej!-

- Dobrze, ale nie tak gwałtownie- starała się nasilać ucisk podstawiając płótno.

Zacisnęłam usta: -nie uskyszy ryku, ani westchnienia!"- - pomyślałam pod adresem Wacusia. Mocno oparłam się plecami, bo

bałam się, że upadnę, gdy mi w oczach pojaśniało.

Moja dobra siostra spisała się na medal: zlikwidowała te paskudztwa, przemyła, zawięta ranę, zrobiła prowizoryczny temblak. posprzątała.

- Serdeczne gratulacje? - usłyszałam poważny głos Wacka, jak by nie widział tych cichych łez, które splamiły mi mundur. Na tyle się jednak zdobyłam, że ani nawet nie westchnęłam na głos. Teraz, mogłam już się uśmiechnąć, na te gratulacje.

Przypomniało mi się, jak to jeszcze na samym początku, w Centrali, w klubie, jednego pana bolał ząb. Krzyczał z bólu przez dwie noce. Po tej drugiej nocy podeszli do niego dwaj bracia: Józko z Bolkiem:

- Pójdzie pan do "Bolnicy" z tym zębem!-

- Nie, nie! Już mi przeszło!- przeraził się.

- A w nocy? Znowu to samo?-

- E, już chyba nie...- skwapliwie wyraził przypuszczenie

- Ta, sam pan pomyśl: ile nas tu jest na tej sali? No?-

pytał Józko

- A.. sto osób...- pytany zastanawiał się, o co im chodzi.

- Ta, sam pan widzi: to dziewięćdziesiąt dziewięć osób nie może spać po nocach, bo jednego boli ząb!-

Poczym bez dalszych dyskusji wzięli delikwenta pod rękę, zaprowadzili do szpitalika i poczekali na usunięcie zęba, aby pacjent nie uciekł.

Kabały i horoskopy

Moja ręka została uratowana, obeszło się bez amputowania. Rana goiła się i najgorsze było poza mną.

Wacek gdzieś pożyczył zniszczoną talię kart i wykładał kabałę wszystkim, którzy mieli ochotę, albo dali się namówić.

- A teraz paniom!- zaproponował Wandzi i mnie.

- Bardzo chętnie!- ucieszyłam się, bo to zawsze urozmaicenie.

Ojej! Czegoż tam nie było! Wszystko inaczej, niż w tych poprzednich kabałach, które słyszałyśmy: mała zmiana, lub mała podróż, małe kłopoty lub braki, czasem jakiś list, rzadziej wiadomość z daleka. Kabała Wandzi i moja, dość podobne do siebie, pełne były wielkich zmian, licznego towarzyst-

wa męskiego / wiadomo: wojsko!/, wielu dalekich i długotrwałych podróży oraz na dodatek liczne choroby i długa rozłąka.

Widziałam dopiero co całą kabałę Elcisy: faktycznie zastanawiająco odmienny układ kart. Wacek liczył, sfukał, kazał przekładać, wyjaśniał znaczenie kart, wreszcie tak się zapalił sam do tych różnorodnych urozmaiceń, że sam im się nie mógł nadziwić:

- Jeszcze mi się nie zdarzyło trafić na takie, aż takie niewiarygodnie urozmaicone życie!- orzekł na ostatku.

Niewątpliwie dużo inwencji twórczej wplatał w te swoje wróżby, ale twierdził, że w tym układzie kart " stało to, jak byk!". Chyba wszystko, co tylko można wpakować w jeden życiorys, pomyślany z nieskrępowaną fantazją!

Dobrześmy się potem uśmieły z fantazji wróżbity i z jego kart, które nie kłamały, jak twierdził.

A potem, potem...życie bywało jeszcze nieraz dziwniejsze, niż w tej Wacusiowej kabale. W każdym razie nigdy nie było nudne! Spełniły się proroctwa rozłąki i powrotu do Kraju i to po wielu latach.

Najboleśniej rozłąki jednak nie uwieńczyło spotkanie.

- Wiesz, Alu? Pani Śniadowska ma fantastyczną książkę! Wyobraź sobie: na każdy dzień roku wybrany jeden wiersz, dla urodzonych w tym dniu, specjalnie dla nich dobrany...- Ela opowiadała z entuzjazmem.

- Taki niby horoskop?-

- Właśnie! Coś w tym guście. Ale jaki wybór! Mówię ci...-

- Myślisz, że mogę tam pójść i poprosić?-

- Od razu powiedziałam, że pewnie zaraz przyjdziemy!-

Książka była faktycznie fantastyczna. Było tam dość sporo uurywków wierszy, które miałam w "Antologii" Borowego, ale znalazłam również kopalnię innych, które mi się bardzo podobały.

- Zobaczymy, co tam przewidziano na twój dzień urodzin- za- zdecydowała Elcisa i wyszukała to w kalendarium.

Nie pamiętałam już dziś ani autora, ani utworu, mówiącego o poezji kwiatów i zadumaniu, pełnym pastelowych odcieni, gdzieś unoszącym się w nieznaną dal. Piękny wiersz, liryczny.

-O, to właśnie bardzo dobrze trafione!-skonstratowała pani Śniadowska- bo ty jesteś właśnie taka pastelowa! Z usposobienia, ma się rozumieć: pastelowa!-

Nie miałam pojęcia skąd mogłaby mnie na tyle znać, bo nie mieszkaliśmy w tej samej izbie, ale czułam się równie zaszczyconą, jak i zażenowaną taką zbyt przychylną, czy pochlebną oceną mojej skromnej osoby. Niezależnie od tego czytanie tych wierszy sprawiło nam niemal ucztę duchową.

W tej samej kwaterze mieszkała z matką Inge Kahane. Wpisała mi na pamiątkę wiersz Zechentera o deszczu, bardzo ładny. Z dedykacją: "...miłośniczce liryki..." Mam to do dziś, wśród nielicznych pamiątek z tamtych dni, jako miłą pamiątkę z niemiłych czasów.

Pożegnani

- Czy ci opowiadałam, Wandziu, o Danusi Skringer? - Pamiętasz ją? - zwróciłam się, w jednej z naszych pogaduszek.

- Pamiętam, naturalnie: taka z warkoczami, byliście w jednej klasie u Benedyktynek. Zwykle chodziła z Zuzią Accord..-

- Tak, ta sama. Obie mieszkały na Teatyńskiej. Kiedy Zuzia podrosła na tyle, że już dziadek przestał ją odprowadzać do szkoły, zawsze chodziła z Danusią...-

- I gdzie jest, czy z Zuzią też w Urdzarze? -

- Biedna Danusia. Była w Łaj Bułaku. Nie żyje..-

- Co się stało? Dlaczego? -

- Wywieziona z Krysią...-

- Pamiętam, młodsza, blondyneczka, kędzierzawa..-

- Tak i z matką / z drugą matką/, "za ojca". Danusia zachorowała i nie przeżyła tej pierwszej zimy. Zwyczajna grypa, ale przede wszystkim nostalgia, załamanie, brak nadziei powrotu, nie zdobyła się na walkę z chorobą. Jeszcze we Lwowie przeżywała okropnie śmierć matki. Potem przygnębiona była ponownym małżeństwem ojca. Poznałam jej macochę, rozmawiałyśmy długo, bo kiedyś nocowała w Centrali. Wydała mi się osobą bardzo ludzką i na miejscu. Opowiadała mi wiele. Nie spodziewała się, że choroba tak szybka Danusię skosi, tego nikt nie przewidział.

- Wiesz rozumiem to wszystko. Właśnie poddanie się chorobie paraliżujące chęć walki o życie, jest tym decydującym czynnikiem..- mówiła Wandzia.

A później zmarła pani Skringerowa. Krysia została całkiem sama. Cnyba dochodziła wtedy piętnastu lat, może troszkę więcej.

- Tej samej zimy zmarł tam w Łaj Bułaku

Tej samej zimy zmarł tam, w Łaj Bułaku Leszek Szuoert. Państwo Szubertowie przyjaźnili się z rodzicami Ali Dawidowicz, podobnie, jak państwo Markiewiczowie. Tam słyszałam te nazwiska. Pani Szubertowa miała dwóch synów. Leszek był chyba tym młodszym; Studiował / chyba politechnikę/ Tego starszego aresztowano we Lwowie. Leszek zmarł na zapalenie płuc.

- Biedna matka...- westchnęła Wanda.

- A w Sigisbaju / to jest kazachska nazwa centralnej fermy/ jeszcze pierwszego lata zmarła matka pani Bokotowej, staruszką, na gruźlicę. A w zimie pani Basia Rowicka, chyba nie miała trzydziestu lat. Tak strasznie chciała żyć: zostawiła we Lwowie malutką córeczkę pod opieką swojej matki... Ileż tu tych polskich grobów zostawimy, choćby w samym Kazachstanie.. I pani Wojciechowska, pani Prokopczyc...-

- I tu i na Sybirze, w więzieniach i w lagrach...-

- I w Kraju. Pisała mi przyjaciółka, że kiedyś, gdy z kolegą wracała od groby Stefy Strożak, który jest w pobliżu cmentarza Powstańców z 1863 roku, na cmentarz Łyczakowski zajechał wielki samochód, więc oni na wszelki wypadek ukryli się za grobami, w zaroślach. Było już prawie ciemno, ale zdążyli zobaczyć, że z samochodu ^{trzech} żołnierze wynoszą zwłoki, do przygotowanego, wspólnego grobu... Nawiasem mówiąc mimowolni świadkowie mogli życiem przepłacić swój pobyt na cmentarzu w tak nieodpowiednim czasie...-

- To bardzo niebezpieczne, bardzo!... Wojna to straszna rzecz! Miodzi częstokroć są odważni, bo nie potrafią przewidywać wszystkich możliwych skutków...-

- Oby się wreszcie to wszystko zbliżało do końca! do tego upragnionego końca wojny!- wzdychałyśmy, pewnie jak wszyscy dotknięci wojną

Nikt nie wiedział ile lat dzieliło nas od zakończenia.

Nocna wyprawa

Nie pamiętam dokładnie, która to z pań zwróciła się do Wacka z prośbą o przywiezienie jej ziemniaków z działki. Cała sprawa już były załatwiona oficjalnie i urzędowo, wyrażono zgodę na skorzystanie z podwozy i wołu, naturalnie już po zakończonej roboczo-dniówce, czyli wieczorem,

Nie wiem już też, jak do tego doszło, że Wanda i ja miałyś-

miałymy pomagać mu przy załadowaniu i przywiezieniu. W ostatniej chwili dołączyła się do nas Matyldzia, zawsze gotowa być tam, gdzie mogłoby dziać się coś ciekawego.

Księżyc opieszale wychodził co trochę spoza chmur, gdy się dzieliśmy na wozie, a Wacek trzaskając jak z biczem długim patykiem poganiał wołu:

- Coob! Cobe!... i dalsza część zrozumiałych dla zwierzęcią wiązanki i kazachskich przekleństw, przyjmowanych za komendę

- Ileż to razy maszerowałyście tą drogą do Tiki z tych ogrodów? - zastanawiała się Matyldzia.

- Nie liczyłam... Ale nieraz to była trudna droga... Ale kiedyś, w ucieczce przed burzą i podczas burzy, była nadzwyczaj wesoła!... - i opowiedziałam, jak to było.

Na działce Wandzia z Matyldzią pomagały Wackowi przy załadunku, mnie zaś pozostawiono do pilnowania bydłęcia, aby cierpliwie czekało w zaprzęgu, bo nigdy nie wiadomo. Węszyłam w tym lekkie szachrajstwo, zasugerowane przez moją przorną siostrę, w obawie o moje szlachetne zdrowie, wrogo usposobione do dźwigania, ale nic na to nie mogłam poradzić.

Chodzili, przynosili, odchodzili i znów wracali, a ja stałam przy wole, który dość pokornie to znosił.

- Gdyby się ktoś zbliżał, to niech pani zacznie śpiewać! - doradził mi Wacek, co przyjął zaskoczona, sądząc, że podejrzewa mnie, że się boję sama zostawać w ciemnościach.

- Ha! Śpiewanie to już z całą pewnością nie moja specjalność - pomyślałam samokrytycznie, nie mówiąc o fałszowaniu. Na wszelki wypadek wytężyłam wzrok, czy rzeczywiście nie zbliżyła się do mnie jakiś kandydat na porywacza, czy też inny wilkołak, by mnie zmusić do głośnego śpiewania solo. Tak sobie bujałam w myślach, że zagubiłam poczucie czasu. I nagle wydało mi się, że coś ich dość długo nie ma. Nadal stałam pilnie przy tej rogatej głowie żywego stworzenia, gotowa w każdej chwili wyperswadować jej ewentualną ochotę do odmaszerowania i zaczynałam głowić się nad zniknięciem całego towarzystwa w ciemnościach nocy.

Po jakimś czasie chmury rozpędzone wiatrem odsłoniły kawał gwiaździstego nieba, przypomniały mi się piosenki o gwiazdach, zaczęłam wyszukiwać znajomych konstelacji, takich, jak Tam, w Kraju i porwana nostalgią, zapomniałam o realiach bieżącej chwili.

- Ala! Gdzie jesteś?- wyrwało mnie , z zadumy, wołanie
- Tutaj! Tu jestem!- ocknęłam się.
- A, mówiłem, że to musi być tędy!- usłyszałam głos Wacka.
- Tak, tak! Tutaj!- zachęcałam błądzących po ciemku.- Co się stało?- dopytywałam się
- Ta, nic! Wszystko już dobrze!- Matyldzia anonsowała, zanim ją można było zobaczyć.
- To trochę potrwało...- usłyszałam Wandę.
- Ale jak się opłaciło!- triumfowała mała.
- A, no! Trzeba i do domu coś przywieźć! Taka niebywała okazja!- sapał Wacek.
- Gdzie wyście byli?- wracałam na ziemski padół prosto z gwiazd- Co to jest?-
- Na ogrodach! Ale :cicho!...-
- Kapusta, trochę pomidorów...-
- Ale się mama ucieszy...-
- ~~Aha!~~ To dlatego ja miałam śpiewać?...- docierało do mnie co nieco.
- Właśnie: Tak jest! ~~Warta~~ jest rękojmią bezpieczeństwa: jak w wojsku!- skandował Wacek.
- To wszystko wzięliście na swoje barki i na swoją głowę i na własną odpowiedzialność, podczas, gdy ja...- zrobiło mi się nad wyraz głupio. Ot: wygodnicka!...
- A co: chcesz się znów podźwigać? - rzuciła Matyldzia.
- Jedźmy już, jedźmy- Wanda zwróciła się do Wacka i ruszyliśmy w powrotną drogę.
- Za to wszystko, co jeszcze odchlorowujesz, za to, że wam tam żałowano każdego pomidora, chociaż gnły potem stertami, za te twoje ręce, za ten pobyt w szpitalu, za to lato przechorowane i przechorowane, tych parę główek kapusty i tych trochę pomidorów, to chyba ci się należy! Choćby dla rodziny!- Wybuchnęła moja dzielna siostra, taką oracją, że aż rozdziawiałam gębę ze zdumienia i z podziwu.
- Na szczęście było całkiem ciemno i nikt nie podziwiał mnie.

Plotki i rezultaty

W takim skupisku osób, jak w Klubie, w Centrali, a także po wszystkich fermach nie obyło się bez plotek. Z rozdzielaniem Polaków do kwater, w tym baraku przerobionym z owczarni położyło kres spiecom w kuchni i kłótniom o zyciową

przestrzeń, towarzystwo dobrało się jako tako, więc mniej było okazji do nieporozumień i wzajemnych pretensji. Co do plotek, jednak, to sprawa bardziej skomplikowana. Obgadywanie bliźnich było zjawiskiem dość powszechnym, niestety.

- Nie może być inaczej, bo za dużo jest bab w jednym miejscu - stwierdziła Fela.

- Sama słyszałam, że ta przyjemność także bawi mężczyzn - zwierzyłam się Eli.

- Najczęściej to jest tak: "Pani A powiedziała pani B, że pani C stara się o względy pana X, aby zrobić na złość pani Y i pani Z" - skonstatowała Ela.

- Albo jedna pani powiedziała w kuchni drugiej, że ta trzecia źle gotuje, co usłyszała czwarta, ale nie wiedziała o kim mowa i poinformowała o tym jeszcze dwie inne! - dodała Matylda

- Nie mają się czego czepić! Zamiast się pomodlić, to tak sobie życie zatruwają!...-

- A co my na to możemy poradzić? Nic! Tylko tyle, żeby nie powtarzać!..-

- Niektórym się zdaje, że nieszkodliwe plotki są urozmaicheniem życia, które jest zbyt nudne...-

Zatsanawiałam się nad tą rzekomą nieszkodliwością plotek.

Tymczasem zdarzyło się, że oplotki wytrąciły strasznie z równowagi jedną z pań, którą zapewniano, że kurtuazyjne nadskakiwanie jej syna pewnej mężatce nie są jedynie wyrazem szacunku i sympatii, ale wynikiem karygodnego romansu, iż ta nieszczęsna matka obsypała syna gorzkimi wyrzutami.

Młodzian, w gorącej wodzie kąpany, odburknął:

- Chyba tu ktoś zwariował, że takie brednie gada!-

- Za ten wstyd: niech ciebie pierwsza kula nie minie! - usłyszał od swojej matki syn. I cała kwatera.

- Kanalia! - zawołał i wyszedł.

Spojrzałam na Wandzię. Siedziała zdrętwiała. Mnie też zrobiło się strasznie: matka i syn!...

Tyle już przeszli tutaj razem ciężkich miesięcy. ..Przecież się kochali... A teraz? Jak się każde z nich upora z pamiętaniem tej minionej właśnie chwili? Jakim ciężarem i w jakich okolicznościach będzie przygniatać im serca? Czy nie pojmują, że warunki i okoliczności zaważyły tu najbardziej? Jak ogrom-

nie trzeba się pilnować, aby nie zatracić w sobie tego, co jest najważniejsze!...

Uczono mnie, że "cierpienie uszlachetnia"... Wiem: tak powinno być. Nasze zakonnice wierzyły w to święcie... Ale odgro-
dzone były od świata bardziej tą swoją klauzurą, niż tymi gru-
bymi murami, w których się zamknęły, rezygnując ze "świata".

Wydaje mi się, że cierpienie, samo z siebie, ani nie może uszlachetniać, ani prowadzić do upodlenia człowieka. To sam człowiek. Pewnie reaguje na cierpienie zgodnie ze swoją natu-
rą... A może czasem wbrew? Cierpienie też może rodzić bunt...

Czy koniecznie ludzie muszą dodawać sobie cierpień?

Wyjazd z Tiki Bułaku

Zatwierdzono decyzją, zezwolono nam na przeniesienie się do Urdżaru.

- Tam Polacy wynajmują izby u Rosjan- mówiono

- Może to i lepsze, niż tutaj, na glinie: w stajni, czy w owczej łąni, tylko, że tam za to trzeba płacić..-

Parę rodzin już wyjechało, samochodem, zatrzymanym na szosie.

- A dowiadujcie się i dla nas, gdzie tam kto zechce wynająć jakąś izbę- wołano za nimi.

- Ta, czemu nie? Załatwi się!-

Gdy i my już zdecydowaliśmy się i ubierali na wyjazd, okazało się, że właśnie Ojca wzywają do roboty w Centrali, w biurze sołchozu, do introligatorskiej oprawy ksiąg buchalteryjnych.

- I co my teraz zrobimy? Wszystko gotowe do wyjazdu, spakowane do drogi...-zastanawiała się Wandzia.

- Najgorzej, że już tyle osób wyjechało i o te kwatery będzie coraz trudniej- dodałam.

- Pojedziecie obie, z rzeczami i poszukacie kwatery.- powiedziała Mama- a ja...-

- Ja jutro mam jechać do Centrali, więc pojedę. A jak ty- tylko skończę robotę, to przyjadę do was. Napiszecie, podacie adres...-

- A ja Tata wyprawię, a potem dojadę do kogoś, kto będzie jechał do Urdżaru- dodała Mamą na tym stanęło.

Złapałyśmy ciężarówkę na szosie i podjechały na fermę. Już Tato wyniósł skrzyneczkę z naczyniami, dopakowaną skron-

nym dobytkiem, Mama przyniosła pierzynę, my resztę, a było tego niewiele: plecaki dwa, niezbyt zasobne.

- I jeszcze te dykty, to tam sobie pozbijacie z nich pryczę, bo gwoździe są w skrzynce- Tato pouczał, co zrobić z tym umebłowaniem, rozłożonym na ~~czynniki~~ pierwsze.

- " A (eto chto) takoj?!"- spod ziemi wyrósł Kazach uprawiający tej fermy!

- Deski odpowiedziałam z godnym podziwu spokojem, choć już skóra na mnie cierpła, bo wiedziałam, czego się można spodziewać.

- A tego nie wolno zabierać! "Nie lzia!"- krzyczał

- To jest nasze.- dalej byłam opanowana.

- Ja to kupowałem. W kooperatywie.- zaczął Ujciec

- W jakiej kooperatywie? Gdzie to Kooperatywa sprzedaje deski?-kpił Kazach

- W Tas+ Bułaku, w Centrali- wtrąciłam

- U Mielnikowowa!- tłumaczył Tato- Kupowałem skrzynki po towarze...-

- A to są deski, a nie skrzynki!- triumfował prześladowca

- Przecież te deski to są właśnie z tych skrzynek, Ja sam robiłem z nich pryczę...+ ojciec bronił swej własności, ale Kazach, silniejszy i młodszy, wyrwał wszystko z rąk i rzucał na ziemię:

- Nie wolno! To "kazionne!" Nie dam tego stąd wywozić! To złodziejstwo! Proguł!"- darł się coraz gorzej, aż się zebrało audytorium na to widowisko.

- Mści się na mnie za ten "Dżajlau!"- powiedziała Mamie.

- Jedziecie, czy nie?- huknął w naszą stronę, szofer ciężarówki

- Jedziemy, jedziemy!- wołała Wandzia i Matyldzia

- Chwileczkę! Co robić?- gorączkowałam się.

- Ta, rzućcie w diabły te deski! Muszą być zapluskwione!-

- Ta, pewnie: niech się nażre!- podpowiadano, pocieszano.

- Racja! Jedźcie z Bogiem!- podchwyciła Mama.

Pożegnałyśmy Rodziców, Matyldzia swą matkę i wsadłyśmy, bo już pani Kierepkowa umówiła się z kierowcą, że zabierze ją z Mamą następną turą. Z nami umówiły się, że się spotkamy u pań: Ani Nowak z panią Korzeniewską, bo znałyśmy już ich adres i tam miały zapewniony nocleg, do czasu znalezienia kwatery.

Pierwszą noc spędziłyśmy zgodnie z planem. Panie miały całą izbę do własnej, wyłącznej dyspozycji i mieściły się w niej swobodnie z dwójką dzieci i całym swym dobytkiem. Kwatera, przy głównej ulicy Lenina, w samym centrum Urdzaru stała się niejako bazą informacyjną, gdzie zostawiano wszelakie adresy oraz informacje całej naszej społeczności.

Dla pani Kierepkowej zdołały już zamówić jakieś locum w pobliżu, bo dla dwóch osób łatwiej było znaleźć, choćby we wspólnej z gospodynią izbie, co wynosiło taniej i w samej opłacie za mieszkanie i ze względu na opał.

Rankiem wyruszyłyśmy z Wandzią na poszukiwania. Po wielu próbach i długotrwałym chodzeniu, gdyśmy już, zmordowane ledwie broniły się przed utratą nadziei, ktoś nas skierował gdzieś na peryferie miasteczka. Tam znalazłyśmy cud, przewyższający wszystkie nasze najśmielsze marzenia: całą chałupinę, taką, z której właśnie właścicielka wyjeżdżała z Urdzaru gdzieś do swojej matki. Jej męża zabrano na front i ona nie chciała zostać sama.

Przyjęła nas bardzo życzliwie, wprowadziła, pokazała.

Chałupka była malutka, z malusienką sionką i trochę większą kuchenką. Mały stół i dwa stołki stanowiły całe umeblowanie, nic więcej.

- Stół!- zachwyciłam się w duchu, ale nie wyraziłam tego, aby nie podbić ceny.

- To kuchnia z piecem kuchennym?- zainteresowała się Wanda.

- "Da, da: pieczka!" Można tu spać- zachwalała właścicielka

- Spać? Za krótka! Od kolan nogi będą zwisały...- powątpiewałam głośno.

- A łóżka? Nam potrzebne są dwa łóżka...- moja praktyczna siostra rozglądała się, czy się zmieszczą, redukując swe marzenia o łóżkach już tylko do liczby dwóch.

- Nie, nie ma. Nie wiedziałam, że wynajmę ten dom i już sprzedawałam łóżko. Miałam jedno...-

- To jak my tu będziemy spać? Dwoje Rodziców i my dwie...-

- Może gdzieś kupicie. Popytajcie po domach, moja sąsiadka też popyta. Ludzie wyjeżdżają, tak jak i ja, to sprzedają, bo nie ma jak zabrać...- pocieszała nas i nawet na to konto zgodziła się trochę obniżyć cenę.

- A, jeszcze: gdzie jest ustęp? -

- I studnia? Gdzie jest studnia? - pytałyśmy o najważniejsze

- Za ustęp to służy tamten kął, za płotem, tam z drugiej strony też jest płot. A studni nie ma, bo tu za wysoko. Chodzi się do rzeczki po wodę: o, tędy, niedaleko... -

- A wiadra na wodę? I "koromesła"? - dowiadywała się Wandzia, co szczerze podziwiałam.

- Nie, nie ma, też sprzedawałam... Ale tu, w tej chacie jest dobra sąsiadka. Zawsze wam pożyczę... - uspokajała nas młoda gospodyni, a sąsiadka, też Rosjanka, może trochę starsza, wyszła przed dom, aby nas zobaczyć i obiecała swoją pomoc.

Przyjechała Mama i wprowadziłyśmy się do tej chatynki dnia pierwszego listopada 1941 roku. Oczywiście opowiedziałam Wandzie o tej nocy Wszystkich Świętych sprzed roku, gdy deszcz przez całą noc obrzucał nas błotem z dachu, aż, okryci jedynie płaszcami, drętwieliśmy z zimna i wilgoci, błagając Wszystkich Świętych o litość i pomoc. Otóż mamy: nagrodzili nas taką wspaniałą kwaterą w tym roku!

Wyprawa po kargaje

Zakwaterowałyśmy się szybko. Bopócz skrzyneczki po naczyniach, stanowiącej nasz jedyny mebel, nie było ich więcej, a tobołków też niewiele. Nie miałyśmy tam też zbyt dużo miejsca i z trudem mieściłyby się wymarzone dwa łóżka, gdyby je można było zdobyć. Ponieważ na razie ich nie było, zaproponowałyśmy Mamie spanie na przypiecku, przyległym do pieca wzdłuż i tworzącego niby ławę, takiej wysokości, że we dnie można było na niej siedzieć wygodnie. Do spania była za krótka, ale Mama, niższa od nas, kuliła się, zadowolona, że nie na ziemi.

Nasze legowisko tworzyła kapa z łóżka, rozłożona wprost na polepie, pojedynczo, aby nam było swobodnie i ały się pierzyna nie szurała po glinie. Skrzyneczka stała między przypieckiem, a naszym legowiskiem, co łącznie wypełniało całą długość izby. Stół i stołki zostawiłyśmy pod oknem, tak jak stały.

- Nie ma tu miejsca, aby tańczyć mazura, ale co za spokój! Co za cisza! Jak cudownie można odsapnąć po zgiełku! - zachwycała się Wandzia.

- Jesteśmy same, jakby u siebie... - dziwiła się Mama.

- Chyba nam się to cudem udało! Bogu dzięki! - cieszyłyśmy się

Gorzej odczuwało się wszystkie braki sprzętów dożyczanych dotychczas od różnych pań, ale z tym się trzeba było pogodzić. Dobra sąsiadka naszej gospodyni była i dla nas życzliwa i wyrozumiała. Na pierwszy raz pożyczyła nam trochę karagaju na grąb i od razu dała wózek i siekierkę i pokazała, w którą stronę się udać, aby sobie przywieźć. Zrobiłyśmy to natychmiast, bła gosławiąc życzliwość ludzką, która jeszcze nie wszędzie zaginęła.

Do tych zarośli miałyśmy niewiele ponad dwa kilometry. Za naszą chałupiną stały podobne, ostatnie naskraju miasteczka, które za nimi już się kończyło. Szliśmy polem, koleinami wozów i ścieżką prowadzącą aż do krzewów. Narabaliśmy tych gałęzi, ile tylko udało się załadować na wózek, a ponieważ w stepie nie można nigdy ręczyć za przyszłą pogodę, narabaliśmy sobie dodatkowo po sporej wiązce, na plecy, bo tak się zwykle gałęzie nosiło.

Dowiozłyśmy i doniosły skarb opałowy do sionki, podziękowały dobrej sąsiadce i szczęśliwe, choć wymęczone, poszły cieszyć się zaciszem domowym. Mama czekała z kartoflanką i wrzątkiem. O zmroku ułożyliśmy się do snu, bo świecić nie było czym.

Zbudziłam się wśród ciemności i po omacku szukałam wyjścia z sytuacji: znowu krotok! A już było trochę lepiej. Widocznie za dużo tego wszystkiego: podróż trzęsącym się samochodem, łażenie w poszukiwaniu mieszkania, wysiłek przy karagaju a na domiar tego dobrego: wilgotne zimno, ciągnące od gliny aż do szpiku kości...

Mama obudziła się intuicyjnie, chociaż zachowywałam się bardzo cicho. Poratowała mnie, drąc, przy świetle zapałki, starą koszulę. Znowu to samo... Od dźwigania tych melonów: wciąż to samo. Stokroć gorzej, niż po każdej wyprawie do Nowotrojska.

- To co się już teraz za mną dzieje, to już ponad siły... myślałam, leżąc cichutko i bez najmniejszego ruchu, aby nie pogorszyć krwotoku i bólu. Łzy lały się same, bezgłośnie. Nie mogłam ich powstrzymać, podobnie, jak smutnych myśli, że oto zamiast pomocą, staję się wręcz kłopotem i balastem dla Najbliższych, udręczonych i bez tego pomad ludzką miarę.

Jeszcze nie spałam, gdy za okienkiem już ciemności szarzała. Zbudziłam się późno, już wrzątek na mnie czekał. Mama zaczęła chęcała do ogrzania się takim śniadaniem. Miałam kłopoty ze

wstaniem, z podźwignięciem się z polepy. Wandzia zauważyła moje ręce:

- Pogryzłaś? A więc aż tak źle?-

- Że też musiałaś zauważyć!...- spieszyłam się.

- Mamusku! Ala dzisiaj ma leżeć! A ja pójdę po doktora Prusca

- Tylko go tu nie przyprowadzaj!- przestraszyłam się.

- No, jak chcesz, chociaż to bez sensu. Ale niech ci będzie, Tak, czy owak, muszę dostać dla ciebie lekarstwa. Tak nie może być!- Wandzia decydowała energicznie.

- Tak, tak! Masz rację! Doktor da ci dla niej leki...- Mama patrzyła na mnie z obawą.- To mi się nie podoba: ponad trzy tygodnie! I znowu pogorszenie i to do jakiego stopnia! Zupełnie się wykończy! Popatrz, jaka blada! Anemia ją wykończy...- krzątała się koło mnie, pomagając doprowadzić się do ładu.

Leżałam chora, zboląła, bezsilna i zgnębiona: tyle kłopotu! ! A przede wszystkim nieszczęśliwa z zawstydzienia. Przecież cięż to były sprawy, o których się nie mówiło, bo "nie wypada i nie uchodzi!" Wstyd o tym mówić, nawet z siostrą. A mimo to trzeba było przełamać tę barierę milczenia, bo właściwie jak mogłabym sobie sama dać radę? To było okropne.

Wandzia spisała się na medal! Przyniosła lekarstwa, dla mnie a w szpitalu spotkała Ewę Prusową, która powitała ją nadzwyczaj serdecznie i zapraszała do odwiedzin. Zuzia leżała w domu, bo chorowała. Babcia i mama prowadziły gospodarstwo domowe, Staszek, mąż Ewki, był lekarzem i pracował w szpitalu, razem z doktorem Szybalskim, też z Lwowa, a Ewę zgłosił i zatrudnił tam, jako pielęgniarkę, nauczycielski wykonywania zastrzyków. Praktyka pod okiem męża dokonały reszty. Przed wojną Ewa studiowała Handel Zagraniczny.

Lekarstwa / spośród których pamiętam :sporysz/ postawiły mnie na nogi mniej więcej po dwóch tygodniach. Kiedy jednak, po paru dniach kręcenia się po domu, poszłam z Wandą do rzeczki po wodę, aby wreszcie jej pomóc, bo nosiła sama we wiadrach i na nosidłach, nie mogłam dojść do domu. Dźwigałam aż litrową banieczkę w jednej i półtora litrowy imbryk w drugiej ręce! Znow krwotok powalił mnie i musiałam leżeć, brać lekarstwa i żyć, jak wyzyskiwacz. beczynnienie, dodając po sobie robotę i Mamie i Wandzi, które pilnowały, abym leżała i odnoczywała po nic nierobieniu.

Robota na drutach

Zdarzył się promyk jasny w tym cichym, ale smutnym listopadzie. Otóż Ewa namówiła Wandę, aby jej przerobiła swetr, a od razu zastrzegając sobie, że to jest zamówienie i za pracę musi przyjąć zapłatę, taką, jaką Ewa dałaby komuś innemu.

Podziwiała bowiem swetr Wandzi, który sobie sama zrobiła. Dokonała tego w więzieniu, we Lwowie, ukradkiem/ bo zabronione/, na patykach, wyciągniętych /ukradkiem!/ z przozowej miatły /ustępowej!/, wyszlifowanymi odłamkami szkła!

To zaradne prostytutki wpadły na pomysł i sposób zdobycia szkła. Jeszcze w tym okresie w celi były tółka i prześcieradła. W celi panował zaduch i upał, kobiety chętnie przesiadywały w samych staniczkach, ale nie miały bielizny na zmianę.

Wyreżyserowały bójkę w ustępie, dokąd raz na dobę je wyprowadzano. Podczas bójki wybiły szybę w oknie, by pozbiierać po kawałeczku stłuczonego szkła. Większość odebrano im przy rewizji osobistej, ale parę udało się ocalić. To szkło służyło za nożyczki, którymi pościnalo prześcieradła, skracając je i zwężając tak, aby ilość pozostała, ale zdobyte pasy płótna wykorzystać na chusteczki, staniki oraz szmatki, zastępujące papier toaletowy. Szyło się nićmi, wysnutymi ze ściętych prześcieradek, które musiały obrębić, aby się nie zdradzić. Igły zrobiły sobie z ości rybich. Szklęm również wyszlifowały przozowe patyki na druty do robót dziewiarskich. Wszystko ukradkiem, z dala od "Judasza", chowając swe skarby przed ciągłymi rewizjami.

Wandzia spruła sobie swetr wzięty z domu, obszerny, z kołnierzem i wywijanymi mankietami i zrobiła z tego mniejszy, oszczędzając tę wspaniałą wełnę, aby z pozostałej zrobić kamizelkę dla Kazi Korczyńskiej, która marzyła. Wiedziały już, że czeka je Sybir, więc się z robotą śpieszyła i zdążyła.

Swetr dla Ewy, ścięciem "diagonal" ukończyła w ciągu tygodnia. Na cienkich drutach, które Ewa pożyczyła od Rosjanki i musiała rychło zwrócić. A potem sprułyśmy dwa stare, maszynowe swetry, które Dzidka kupiła nam u Maziarza / przy Kilińsk-kiego/, za jedną ze swoich pierwszych pensji, za pracę nauczycielską w Wicyniu. Oba granatowe. Powiązałyśmy cięte nitczki i z podwójnej wandzia zrobiła swetr dla mnie, bardzo ładnie. Druty znowu były pożyczone na krótko, więc nie mogła mnie nauczyć, bo śpieszyła ze zwrotem. Liczne i gęste supełki

znakomicie ocieplały swetr od spodu.

Nie miałyśmy żadnego oświetlenia w chałupinie. Wpadłam na genialny pomysł i poprosiłam siostrę, aby kupiła w aptece olejek rycynusowy. Zostało mi po paście do butów pudełeczko. Nie wyrzucałam, bo to z Polski... I właśnie się przydało! Wypucowane, srebrnolśniące wnętrze napełniłam olejkiem, obie części zaopatrzyłam w knot, upleciony z bawełnianych frędzli i po zapaleniu jeszcze wzmocniłam płomyki świećka dodatkowo, przystawiając małe lustro.

Czytać, szyc, czy robić na drutach się przytym nie dało, ale wypić wrzątek na dobranoc, czy pościelić sobie, zawsze było przyjemniej, niż w kompletnych ciemnościach, co nawet Mama pochwaliła:

- Pachnąć, to tam zbyt miło nie pachnie, ale świecić, to świeci.-

Wandzi też się podobało i jeszcze ^aprę raz kupowała rycynus

Aż pewnego dnia, kiedy już chodziłam, wstąpiłam i ja do apteki z buteleczką.

- "Kastorki niet!" - obwieściła sprzedawczyni i wlepiła mi proszek na przeczyszczenie! - To działa tak samo! - zapewniła mnie. Nie zdradziłam jej; jak bardzo się myli!

Wandzia zawsze "miała dwie prawe ręce", jak to się mówiło we Lwowie, o kimś obdarzonym niezwykleymi zdolnościami manualnymi. Jeszcze w Tiki Bułaku, gdy ja miałam swe ręce dość unieszkodliwione, moja siostra zobaczyła moją spódniczkę a właściwie nędzne pozostałości po niej, czego Mama, na wszelki wypadek nie wyrzucała, bo wszystko może się przydać.

- Ojej! Przecież to twoja ostatnia szkolna spódniczka! Mundurkowa, już z liceum, prawda? Muszę ci ją przerobić... rozczuła się wspomnieniem po spódnicy.

- Ta, niby jak? Sama widzisz, że trzyma się kupy ledwie na pasku i na obrębie! Tylko! Cała reszta rozlazła się na odosobnione fałdy! Popękała równo, według tych fałdów, które tak gorliwie i pracowicie prasowałam na kant, tam w domu.-

- No, właśnie! Popatrz, jak równo te przedarcia poszły według nitki! Dokładnie wzdłuż osnowy! - entuzjasmowała się, a ja dziwiłam się, że niby czym! - To świetnie! Bardzo łatwo teraz można powysnuwać te nitki z materiału: przecież to porządny szewiot! Nie pamiętasz, że Babcia nakazywała kupować najlepszy gatunek? - śmiała się, zadowolona.

- Pamiętam, pamiętam! Narzekałyśmy, że potem każda sukienka istnieje w rodzinie przez dwadzieścia lat, wciąż jest prze-

rabiana na kolejną młodszą osóbkę, dopóki wszystkie nie zaczęły szczełnąć na sam widok materiału / mówiło się : "materii"/, a na końcu jeszcze daje się to Haftkom, dla młodszych, bo jest nie do zdarcia...-

- Dzisiaj możemy to docenić!... A tymi nitkami wysnutymi, to ja ci te równo pęknięcia wyceruję i uszyję nową spódniczkę! Zobaczysz: Zrobię ci to!...- zapaliła się do samego pomysłu, a potem do śmiałego realizowania.

I stworzyła istne arcydzieło! To była benedyktyńska robota!

- Wanduś! Odstawiłaś taki przykład wytrwałości i cierpliwości, że tylko podziwiać! Szczyt cierpliwości! Niech się schowa stonoga, która ceruje pończoszki dla całej swej rodziniki, łącznie z wnuczętami!- cieszyłam się, a wszyscy podziwiali zgrabną spódniczkę w kliny, uszytą z przedziwnie tkanego szwiotu. Bardzo ją lubiłam.

Z prawdziwym żalem rozstawałam się później, z konieczności, z tym materialnym dowodem talentu i dobroci mojej siostry. A sprzedawałam ją nadzwyczaj korzystnie. Naturalnie : spódniczkę, a nie siostrę!

Koniec sielanki

W ostatnim tygodniu listopada dobra sąsiadka zmartwiła nas otrzymaną wiadomością:

- Wracaj wasza gospodyni. Postanowiła swoją matkę zabrać tutaj, do siebie, bo tam, gdzie jest, są znacznie gorsze warunki... Rozumiecie : wojna...-

Skończyło się ciche życie w gronie tylko rodzinnym. Wprawdzie niepełnym, ale bez obcych. Mieszkaliśmy wprawdzie okresami z bardzo zaprzyjaźnionymi rodzinami, ale teraz, ta izolacja od liczby mnogiej, pozwoliła nam na prawdę docenić domowe zacisze.

- Jaka szkoda!... Teraz już na pewno nie trafi się nam izba bez gospodyni, gdzie będziemy sami...- martwiłam się.

- Miałymy szczęście, że przynajmniej ten najgorszy okres twojej choroby...- zaczęła Wanda, głosem perswazji

- Ta, pewnie! Oczywiście! Masz rację! Ileż udręki z tymi sprawami miałam w tamtych wspólnych kwaterach!... W dodatku: wspólnych z mężczyznami... A przecież teraz było ze mną bez porównania gorzej...- przyznałam.

- Musicie szukać miejsca na cztery osoby, bo przecież Tafo kończy swoją robotę z końcem miesiąca... I żeby nie było za drogo...- rozważała Mama.

- Popytam u Ewy: może gdzieś coś usłyszy. Ma kontakty ze znajomymi Rosjanami w szpitalu- postanowiła Wanda.

- A ja wstąpię do pani Nowakowej i do Eli, może spotkam Matyldę, ona zwykle zna całą pocztę pantoflową- planowałam .

Strasznie ciężko było znaleźć sobie jakikolwiek kątek. Dla czterech! Pytaliśmy przyjaciół, znajomych, oni zaś swoich i coraz bardziej zachodziłyśmy w głowę, co w ogóle mamy ze sobą począć! Całkowicie bezdomni! Rozpacz... Nigdzie miejsca dla nas. Miejsce do życia. Raczej do wegetacji, zwanej zbyt szumnie i aż śmiesznie nazywanej, z przyzwyczajenia życiem...

Ostatecznie tam, w sołchozie, zapakowali ludzi byle gdzie. ale przynajmniej się za to nie płaciło... Teraz widzieliśmy, jaka to jednak różnica!... Żeby chociaż jakaś stajenka... Już tak nas wytresował nasz los, że obywamy się bez tak wielu rzeczy, sprzętów, mebli, przedmiotów codziennego / dawniej! / użytku, że trudno sobie uzmysłwić jeszcze mniej...

Ale dach nad głową musi człowiek mieć w zimie!..

I to w taką: ostrą, stepową, wojenną i beznadziejną zimę!

- Boże! Ratuj: błagamy o dach nad głową!...-

Kiziaki Nuckowskich

Wszędzie prosiliśmy o rozpytywanie poprzez znajomych i ich znajomych, zachodziłyśmy, gdzie tylko nam ktoś wspomniał, że się znajdują nasi dawni współmieszkańcy, czy w ogóle Polacy,

Przy okazji wstąpiłyśmy do pani Sochackiej.

- Czy macie pojęcie, co z Nuckowskimi?- zapytała, zachęcając do odpoczynku i ogrzania się-

- Nie! Dawno nie słyszałam nic o nich...- zaniepokoiłam się.

- A, no, nie chciały się ruszyć z tej swojej pierwszej fermy! Już tak im dobrze w Dżyldykara! Ta, ludzie! Ta, poginięcie tu same w tym stepie! Ta, wszyscy Polacy uciekają, to już dobrze wiedzą, co robią!...- lamentowała.

- I co? Zostały?-

- A dlaczego nie chciały się stamtąd ruszyć?- pytałyśmy obie z Wandzia równocześnie. Ona znała Marysię i Helenkę od lat, ze szkoły, z mojej klasy . Chodziłyśmy razem przez całe gimnazjum, a potem jeszcze do liceum.

- Ta, wściecie, czego? Bo te dwie ich młodsze...-

- Janka i Lucia- wtrąciłam

- Właśnie: Janka i Lucia przez całe lato same we dwókę robiły sobie kiziaki na zimę. Zbierały, miesiły nogami, z wodą i narobiły parę setek tych cegiełek. Suszyły na słońcu, pilkowały, poustawiały przy domu. Na całą zimę. I teraz, kiedy wszyscy wyjeżdżali, chciały to sprzedać, bo nie miały jak ze sobą zabrać, no i żeby za to kupić potem na nowym miejscu...-

- No i co? Pewnie miejscowi chcieli za bezcen?...-

- Ta gdzie! Ta, skąd!...-

- Jak to?-

- Ta, wcale nikt nie chciał tego kupić! Mówili, że im nie potrzeba, bo mają swoje! Myśleli, że Nuckowskie pojedą i zostawią to i tak. Chciało im się tak już całkiem "za bez ~~durno~~ durno"! Takie cholery!..- opurzała się pani Sochacka.

- I przez to zostały?...- dopytywałam

-A, no! Ta, przez to! Ich matka powiedziała, że tam przez tę zimę już na pewno zimno im nie grozi. Mówiła, że może braknąć jedzenia, jak i wszędzie tutaj, ale nie zabraknie opału, bo dzieci całe lato harowały, aby nie marznąć, jak rok temu.-

- Na początku zimy te "Kirpiczne kiziaki" sprzedawano nam po jednym rublu za sztukę, a na przedwiośniu już po pięć ciężko było zdobyć- tłumaczyłam Wandzi sytuację.

- To może słusznie pani Nuckowska chce tam przezimować...- rozważała Wanda.

- Ta, ludzie! Zlitujcie się! Ja to mówiłam, aby im kto do rozumu przemówił! Co będą tam jadły? Ten kiziak? A co one tam mają? Kiziak? Tylko kiziak! A co to jest? Z przeproszeniem to jest gówno! To dlatego zostają same, że gówno mają?!- rozpaczała, załamując ręce, nad tą decyzją, którą uważała niemal za samobójczą.- Kto im przemówi do rozsądku, kto?.. denerwowała się, wrażliwa na ludzką niedolę.

A jednak decyzja pani Nuckowskiej okazała się słuszna. Wobec licznej migracji Polaków tam już nieco łatwiej było zdobyć cokolwiek z żywności, chociażby nawet aż w Nowotrojsku. Opał miały, a także bezpłatne mieszkanie, jakiegokolwiek było. To w mieście, jako stałe wydatki, bardzo uszczuplało nasz skromny budżet, gdzie ceny niewspółmiernie rosły.

Marysia i Helenka, wyciągane do pracy, zarabiały na szansę kupienia chleba, gdy był, Resztę braków ratowały rzeczy, za-

brane przy wywożeniu z domu w komplecie. Z pewnością, gdyby przeniosły się wtedy do Urdżaru, tam sprzedawałyby je kolejno znacznie taniej, płaciły za wszystko znacznie drożej i ten swój stan posiadania, na przykład odzieży, uszczupliły do minimum, znacznie wcześniej.

Pan Bóg czuwał nad tą prawdziwie katolicką rodziną. Po tej zimie przeniesione do Centrali, zdołały przeżyć i po sześciu bardzo ciężkich latach wróciły wszystkie do Kraju: matka z czterema córkami. Ojciec ich też przeżył wojnę i wrócił do Polski i do rodziny.

Kwatera u Tasi nauczycielki

Wreszcie ktoś nam poradził:

- Spróbujcie u Gubiny i Kotlarowej, czyli u Tasi, nauczycielki. Jej mąż jest na froncie. Może znajdzie się tam dla was kąt, bo są tylko we dwie u matką.-

I rzeczywiście!

Nie było to całkiem prawda tak, jak sobie wyobrażałam, że co najmniej z podłogą. Ale... zgodziła się! Dzięki Bogu!

Ich chatka stała przy uliczce, wznoszącej się nieco wyżej i biegnącej równolegle do głównej ulicy Lenina. W połowie drogi między szpitalem, leżącym dalej od śródmieścia, a apteką, z drugiej strony. Wejście do domu prowadziło od podwórka, leżącego za domem. Przy furtce od ulicy niski przymurek osłaniał częściowo dość spory dół, znajdujący się na podwórku.

- Jak się tutaj przykucnie, to z ulicy nie widać- pouczała nas "babuszka", matka Tasi, wskazując ten dół, gdy pytałyśmy o ustęp.

- Ale w zimie można chodzić za "topkę"- dodała uprzejmie, prowadząc nas w inny kąt podwórka, przyległy do sąsiadów, a utworzony z jednej strony przez niby mur, ustawiony z cegiełek kiziaku, obok ubitej sterty nagromadzonego karagaju.

Spojrzałam z uznaniem na ten nagromadzony opał, mniejszą uwagę na razie zwracając na te urządzenia sanitarne, bowiem Tasia oczekwała się właśnie:

- To mój Grisza przygotował nam to wszystko, zanim poszedł na front... Jest oficerem!- dodała.

Do chatki wiodła sień.

- Tu jest miotła, można śnieg otrzepać z butów- babuszka wzięła wiązki piórunu i dała nam dobry przykład.

Z sieni prowadziły drzwi do izby, zamykane na coś pośredniego między skoblem, a zamkiem z klamką. Była to izba kuchenna, nie duża, podłużna. Przy dłuższej ścianie, na lewo, stała wąska ławka, na niej różne sprzęty gospodarcze: jakiś miska / do mycia?/, czegun, dzierża, łorytko, wiadra z wodą i nosidło.

Pod okienkiem /nieotwierałym/, przy krótkiej ścianie, na przeciw drzwi, był wciśnięty jakiś niby kawałek stołu, tuż przy piecu kuchennym. Długi, ruski piec kuchenny, łącznie z piekarnikiem, tworzył właściwie całą ścianę kuchenną - od okienka, aż do tego miejsca, gdzie pozostawało tylko wejście do pokoju, szerokie na przeciętną szerokość drzwi. Pale-nisko i płyta kuchenna oraz piec kuchenny, wszystko to znajdowało się od strony kuchni.

Wejście do pokoju zawieszono było jakimś materiałem, udającym portierę. Drzwi nie było. Ściana piecowa w pokoju posiadała wysoko przypiecek.

- O, tutaj ja zawsze sypiam, na tym przypiecku: ciepłutko! pokazała babuszka.

- A gdzie będą łóżka dla nas? Na cztery osoby? - pytaliśmy.

- No, teraz, to ja pójdę do łóżka Tasi, a przypiecek oddaję waszym rodzicom... - ofiarowała się.

- A my? My dwie? -

- Nie macie własnego łóżka? - dowiadywała się Tasia.

- Nie, skądże? Wszystko zostało w domu... -

- No, to może się coś ułożyć tutaj, w tym kącie... - miała na myśli kąt przy wejściu od kuchni, na prawo od tych brakujących drzwi, aż do jedyne go okienka. Otwieralnego, co zdążyłam zauważyć. Zaraz za tym okienkiem stał stołek, przy stole, w tym samym kącie. Drugi stołek stał przed stołem, a ten przylegał swym krótszym bokiem do jedyne go w izbie łóżka. To już było całe umeblowanie pokoju, poza którym jeszcze kuferek stojący między łóżkiem, a przypieckiem i służący za stopień do wdrapywania się na górę, na przypiecek, stanowił majątek mieszkańców.

- Dobrze. Wprowadzimy się - powiedziała Wandzia, po uzgodnieniu ceny i dała zadatek, ustalając termin.

- Chyba one będą całkiem możliwe... - karmiła mnie optymizmem.

- I tak nie ma nic innego. Dobrze i to... - Zgodziłam się - Dobrze i to! - Mieszkanie nauczycielki i oficera... -

Dnia 1.XII.1941r.

Sprowadziliśmy się już we czworo, bo Tato dołączył do nas w przeddzień. Przywiózł ze sobą dwie szerokie dykty, takie, jak wcześniej zdobył w tej likwidującej się drukarni, takie same, jak te, które uprawiając w Tiki Bułaku zaabrał nam razem z deskami po paczkach. Deski nie udało się Ojcu kupić, ale przynajmniej miał te dykty.

Nasze nowe gospodynie elegancko "wymazały" obie polepy gliną, przed naszym przybyciem i przyniosły skądś kilka niewypalanych cegieł, które ustawiły w miejscu przyszłego legowiska Wandzi i mojego razem.

- O, gdyby na tym położyć kilka desek, to będzie wspaniałe spanie!- chwaliły się, po powitaniach.

- To dobrze, że mam te dykty!,- ucieszył się Tato.

Jedną długą deskę skądś przyniosły. Stanowiła, oparta na ceglach, wyznaczających długość łoża, podporę dla tych płyt dyktowych, z jednej strony. Tylko.

- Musi być jeszcze jedna deska wzdłuż, z tej strony-

- Nie mamy...- powiedziała Tasia, tonem bezradnym i zdało mi się, że na tym kończy dyskusję.

Babuszka kręciła się po izbach i przyniosła z sieni... łopate!

- Mocna! Chyba się nie złamie?...-

- Pozwólcie!- Ojciec ułożył łopate końcami na obu podpórkach z cegieł, następnie oparł obie dykty na tej ramie, utworzonej przez deskę z jednej i łopate z drugiej strony.

- Musicie spać spokojnie i uważnie się kłaść, aby się tu nic nie połamało i nie pospadało...-

- No, jakoś się postaramy nie tańczyć oberka, ani żadnego "hopaka" przez sen!-

- Jak długo żyję, jeszcze nie spałam na łopacie!-

- Aleście to wykombynowali!...-

- Ba! Potrzeba matką wynalazków!-

I tak z humorem i nadrabianiem miną zaczęło się nasze nowe bytowanie.

- Nowy rozdział: "Kwatera u nauczycielki w rejonowym miasteczku"- pomyślałam sobie, podpowiadając w marzeniach tytuł do nowego rozdziału, kolejnego, w przyszłej książce Ojca. Pamiętałam, że nie odmówił mi napisania jej w przyszłości i doradzał, abym miała "oczy i uszy otwarte, starała się jak najwięcej zrozumieć i notować w pamięci.."

Miałam nadzieję pomagać kiedyś w przypominaniu wydarzeń..

Na własnej skórze

Wieczorem, gdyśmy już wszyscy "obejrzeli gwiazdy", za "tapką" naszym gospodyń i umyli się dokoła nosa w zimnej o tej porze kucni, Mama pierwsza wgramoliła się po kuferek pań domu na ten przypiecek, który nazwałyśmy kocim zamkiem. Musiała ułożyć się tam na plecach i podkulić jak najbardziej nogi, niemal od kolan zwisające, aby zostawić tyleż miejsca i dla Ojca. Na jedną, drobną, jak babuszka, osobę, to mogło być jakieś legowisko. Mogła sobie skulona spać na dowolnym boku. Dla dwojga to tylko umęczenie w niezmienionej pozycji przez całą długą, zimową noc.

Przypiecek w poprzedniej kwterze ^amieścił się zdłuż całego pieca, przylegając do niego na zewnątrz, w dodatku umieszczony był nisko, na wysokości krzesła. Choć tak samo krótki, był jednak wygodniejszy. Ten zaś przypiecek pozostawiał na górze miejsce do spania pomiędzy kominem, a ścianą, a umieszczony w poprzek pieca, był jeszcze od tamtego krótszy. Może było tam faktycznie cieplej, ale okropnie ciasno.

- Gdyby tak można było pozostać w tamtej chałupinie, tam te dykty możnaby wykorzystać do poszerzenia i przedłużenia tam tego przypiecka...- ale to była tylko czcze marzenia...

Położyliśmy się my dwie ostrożnie i delikatnie na swoje wyrko na łopacie. Już w Tiki sypiałyśmy razem, dość ciasno i nauczyły się przewracać z boku na bok równocześnie. Nasze dykty przykrywała wierna, stara kapa z łóżka, złożona na pół. Tę drugą Rodzice mieli złożoną we czworo i jeszcze nadmiar jej długości zwinięty i podłożony u wezglowia, tworzył zagłówek.

Wszystkie niewygody zbladły przy innym, osobistym moim kłopotcie. O ile rozpacz mnie ogrniała kolejno: w Tas Buřaku, że nie omijały nas wszy; w Tiki Buřaku, żeśmy wylądowali w króletwie pluskiew, o tyle obie te plagi zmały, w porównaniu z tym, co mnie czekało w Urdźarze: świerzb!

Wanda miała: przywiozła już to z lagru, ale nigdy nie było nam właściwie ciepło, przez początkowy okres jej pobytu pracowałam i nocowałam poza domem i dopiero w Urdźarze to mnie dopadło. Zaraziłam się.

Z całą siłą świerzb zaatakował mnie właśnie dopiero podczas tych nocy na łopacie. Mogłam sobie teraz dogadywać w myślach, za tamto moje zniecierpliwienie, gdy podczas długich, czarnych Sigisbajskich nocy miałam za złe Marysi, że się ciągle

tak gruntownie drapie, a odgłos tego drapania do reszty wybijał mnie ze snu. Wiedziałam, że biedula cierpi, ale i tak to drapanie mnie irytowało, bo mi się zdawało, że zaraz i mnie skóra swędzi. To prawda, że modliłam się, aby jej przeszło, a ale także i ze względu na mnie, na spokój mój własny.

- Pewnie sprawiedliwie sobie wtedy zasłużyłam, aby teraz sprawdzić na własnej skórze, co to za przyjemność.- myślałam z rozgoryczeniem, pod swoim własnym adresem.

- Nie ma co! Musimy z tym pójść do szpitala, do doktora Prusa- zdecydowała Wanda.

- Pewnie, pewnie! Im prędzej, tym lepiej- radziła Mama.

- A może byś tak w domu poradziła się Ewy?...- próbowałam.

- Czy to wypada?- zastanawiała się Mama.

- Nie o to chodzi, tylko że może w szpitalu mają lekarstwa, i od razu mogłybyśmy dostać, bo nie wszystko mają w tej aptece...- tłumaczyła.

Oddział skórny był razem z wenerycznym. Zjawiłyśmy się szczęśliwie w godzinach przyjęć i stanęły w kolejce, w pełnej poczekalni, gdzie wszystkie azjatyckie twarze wyrażały żywe zainteresowanie naszą obecnością. Jeszcze nie zdążyłyśmy rozpiąć płaszcza, aby wyszedłszy z załuch na mróz nie przeziębnić się, gdy korytarzem przechodził doktor.

- A co tu, na Boga, panie robicie? Do mnie? Co się stało?- zaniepokoił się

- Świerzb!..-

- Uciekajmy stąd! To nie jest miejsce dla pań! Jak można?..

Trzeba było do domu...- i zaprowadził nas do innego gabinetu, co było bacznie obserwowane i z wielkim przejęciem komentowane przez pacjentów, zwłaszcza, że doktor od razu, na ich oczach sprawdził nasze ręce, szczególnie między palcami, ~~przy~~ puszczalnie celowo, aby ich uspokoić.

Z wdzięcznością przyjęłyśmy receptę, potem nacierały się kwasem solnym i następnie zasadą, aby na skórze tworzyła się sól, która miała być śmiertelna dla świerzba. Podejrzewałam wkrótce, że natrętny mój pasożyt, zadowolony wbrew moim usilnym staraniom pozbycia się go, w głos się ze mnie śmieje. Znacznie prędzej nabawiłam się zapalenia skóry na górnych kończynach, niż pozbyłam nieproszonego jej mieszkańca. Miałam za swoje!

Co wieczór w zimnej kuchni nacierałyśmy sobie nawzajem plecy, aby z uczuciem piekącego żaru na skórze i przenikliwego zimna w całym ciele iść na ten ostrożny nocleg na łopacie i ze świerzbem. Była to niewątpliwie odmiana po tamtych

pełzających pasażerach, nadających się do własnoręcznego łowienia, i likwidowania z doraźnym skutkiem.

- A, no: jeszcze tego doświadczenia życiowego nie przechodziłam na własnej skórze...- starałam się nie tragizować, ale stoicki spokój łatwiej było zachowywać w zastosowaniu nie do własnej osoby.

Prosiaczek

Nasza praktyczna i zapobiegliwa gospodyni, babcuszka, zrobiła po paru dniach użytek z pieniędzy, pobranych od nas jako czynsz za mieszkanie.

- "Wot! Imiejem porosionka"- obwieściła z dumą i radością. Stworzenie wesołym pochrząkiwaniem zameldowało się wcześniej, niż wydobyto je z worka.

- Nikomu to nie będzie zawadzać, trochę się to podkarmi, a jak już Tasia urodzi, to się zabije i będzie co jeść!- cieszyła się,

- O? To Tasia spodziewa się dziecka?- upewniałam się.

- "Da, da! Biednieńkaja!..." wzdychała.

- Dlaczego?- chciałam wiedzieć, zwłaszcza, że prawie że się wcale nie mówiło na takie tematy u nas, do niedawna, przy młodych dziewczętach.

- A dlatego, że jej męża zabrali na front... Ani słowa, ani listu, ani telegramu do tej pory!... Nic... Ona się martwi!-

- Listy długo idą w zimie. A tu jeszcze i wojna i z frontu uspokajała Wanda.

- To prawda... Tylko że inne żony "krasnoarmiejców" dostają kartki, albo listy... I do sąsiadki były listy od syna.. A tu nic i nic...-

- Może mu na razie nie wolno pisać?-

- Może... Ale ona płacze po nocach. A to niedobrze i dla niej i dla dziecka...- martwiła się stara.

- A jaki on jest: ten Grisza? Dobry dla Tasi?- zagadywałam, bo babcuszce też niewiele brakowało do płaczu.

- Oj, dobry, dobry! To bardzo dobry człowiek. A dla Tasi, to już "Ze wszystkim najlepszy!" Szkoda by go było... I Tasia jest bardzo za nim i on nie taki, jak inni. Dobrze byłoby razem... Jeśli kiedyś wróci...-wzdychała strąpiona losem córki i pocieszona trochę, że może się wygadać.

Tasia przestała pracować, gdy tylko jej figura już świadczyła o stanie. Mówiła, że nie chce, bo to ją krępuje i męczy.

Dostawała swój zasiłek rodzinny, jako żona oficera, bo on zdecydował, żeby wypłacano od razu jej. Trochę się kręciła po domu, czasem coś tam pitrasiała z matką, czasem ożywiała się na wieść o czyichś listach z frontu, ale najczęściej siedziała śluchając radia, które jej Grisza zainstalował, chociaż nie mieli prądu.

Nieraz wzdychała nad jakimś łataniem, czy niby szyciem:

- "O, byłoby ja prostaja!"...-

- Co to znaczy? Co ma na myśli? - informowałam się Wandy.

- Gdybym nie była " przy nadziei" - wyjaśniła.

- Nie chce tego dziecka? -

- Raczej boi się...-

Trudno się dziwić : w takich warunkach...

Radio w domu

- To Grisza zainstalował głośnik. " Radio w domu, to zawsze i kontakt ze światem i muzyki można posłuchać, no i będzie weselsj!" - mówi. I my z mamą bardzo zadowolone z radia. Już by nam teraz brakowało czegoś, gdyby go nie było... - opowiadała Tasia i włączyła głośnik.

- " Wozle doma chodiet pareń.. " (koło domu chodzi chłopiec ryknął dziewczęcy, roześmiany głos, popularną piosenką,

- O, znacie to? Wesoła piosenka, posłuchajcie:- zachęcała:

A śpiewaczka zawodziła melodię z pewną przekorą, jak gdyby śpiewając tłumiała śmiech :

- " I kto jewo znajet,

Za cziom on margajet?

Za cziom on margajet?

Za cziom on margajet?... " po czym następowała skocz-

na przygrywaka na harmonii, a Tasia wytłumaczyła mi :

/ "9 Kto go tam wie,

Dlaczego on mruga? " /

Spośród piosenek popularnych w owym czasie, poza wojskowymi : "Katusza", "Wyprygajcie chłopci woły!", " Sinyj płateczek" / "Och, te drogi". jeszcze jedna powtarzała się dość często : "Czupczyk, czupczyk, czupczyk kuczeriawyj.."

Rozwiewajsia czupczyk po wietru!

Rańsze, czupczyk, ja tiebia lubiła,

Da tūpier zabuT ja nie magu!.. "

Bardzo melodyjna piosenka przypadła mi do gustu tak, że jak to mówią, "chodziła za mną", zresztą znałam ją już wcześniej, z Tas Bułaku. W końcu, zafascynowana, przełożyłam ją sobie na polski język, w każdym razie ten początek. A za nim dorobiły mi się dalsze słowa, w tym stylu trochę, a trochę nabrzmiałe tęsknotą za Lwowem i refleksjami nad teraźniejszością ówczesnej chwili. Wydała mi się dość udana, ale zbyt intymna, do pokazywania komukolwiek. Po wielu latach odnalazłam ją gdzieś w swoich szpargałach.

Ale radio podawało także wiadomości. Te z frontu wciąż jednakowe: strategiczne odwroty i wciąganie hitlerowskiego agresora w pułapkę. Jednak oprócz tego mówiono z oburzeniem o poczynaniach wroga na terenach zajętych: niszczenie wszystkiego, co na drodze: miast, wsi, pól, lasów. Głos sprawozdawcy radiowego zachłystywał się nienawiścią za dokonywane zbrodnie na ludności cywilnej. Między innymi wyliczeniami też zarzucono hitlerowcom dokonywanie gwałtów.

Tym byłam wstrząśnięta i ponieważ Ojciec słyszał to właśnie w mojej obecności, odważyłam się zapytać, czy to jest możliwe, czy tylko propaganda.

- To może być możliwe. Po żołnierzach niemieckich można się tego spodziewać, bo to jest wojna i chcą wroga zgnębić. Ale oczywiście zawsze prowadzi się wzmożoną propagandę, dla podniesienia ducha bojowego...-

- Ależ to straszne!...-

- Tak.. Wojna to straszna rzecz...

Wierszyki i piosenki

Kiedyś usiadłam przy stole i pisałam w zeszycie.

- Można?- zapytała Tasia, zaglądając.

- Można- zastanawiałam się, czemu się przypatruje.

- To wygląda, jak gdyby to były wierszyki- orzekła.

- Tak, to są wierszyki. -

- Sama piszesz? Z pamięci? Nie przepisujesz, więc układasz?-

- Czasem... trochę..- przyznałam, bo co miałam zrobić?

- Przeczytaj mi coś; może być po polsku. Już trochę rozumiem waszą mowę...-

Coś tam wybrałam, coś tam przeczytałam, nawet coś tam próbowałam wyjaśnić, gdy o coś pytała.

Pochwaliła; bo co miała zrobić?!

- Ja też bardzo lubię wiersze. Nie, nie układam, nie umiem, ale mam dużo przepisanych do zeszytu.

To jak byłam w Semipalatyńsku, w Pedagogicznym Instytucie..

- A, więc to tam kształciłaś się na nauczycielkę?-

- Tak. Zawsze chciałam być nauczycielką.-

- Wiesz, że ja też. Zaczęłam Liceum Pedagogiczne, ale nas wywieźli...-

- O, to byśmy były koleżankami po fachu! Chcesz, przeczytam ci rosyjskie wiersze?-

- Proszę bardzo. Też już dość dużo rozumiem. A nawet dwa dwa wiersze znam na pamięć. Puszkina i Lermontowa.-

- O? Skąd? Które?-

- „Parus” i „Bieria”, bardzo ładne. Ze szkoły, ze Lwowa, z naszego rodzinnego miasta, bo do ostatniego dnia chodziłam do szkoły. A tam od stycznia 1940 wprowadzono język rosyjski do programu szkolnego. A tutaj, w Taś Bułaku też zaczęłam chodzić do szkoły: do piątej klasy mnie wpisali i zaczęłam się uczyć kazachskiego...-

- Ja też się w szkole uczyłam kazachskiego. W każdej u nas republice ludność w szkołach, oprócz rosyjskiego, ma język tej ludności danej republiki.

- A ja umiem piosenkę kazachską!- pochwaliłam się.

- Słucham : śpiewaj!.-

- śpiewanie nie jest moją najsilniejszą umiejętnością, ale mogę spróbować, może uda się bez fałszowania, chyba, że się wystraszysz, że ci uszy spuchną! Oto piosenka:

„ Kyzymeczka kiel, kiel,	/ Dziewczyneczko przyjdź, przyjdź!
Ekien kołen bier, bier!	
Kyzymeczka kielgen dzok	
Ekien kołen biergen dzok!”	
A a-a-a a-aaaa! ”	
	/ Obie ręce daj, daj!
	/ Dziewczyneczka nie przyszła
	/ Obu rączek nie dała! ” /

- No, dobrze! A rozumiesz?- zaciekała się.

- Tak, oczywiście.- przetłumaczyłam, a wzbudziwszy podziw, nie syła pochwał, dodałam:

- W drugiej zwrotce jest tak samo, tylko się dwa słowa zastępuje innymi...- i wyrecytowałam je z zadowoleniem.

- Oj, ba, joj! ” Niet! Nie nada!”- Tasia zatrzepotała rękami, zaczerwieniła się aż po same białka oczu i nagle ryknęła tak wielkim śmiechem, że aż się popłakała.

- A to co się dzieje?- zawołała babuszka, która nadeszła na sam moment ocierania łez.

- Ojej! Ta niemożliwa dziewczyna w najlepszej wierze wyśpiewuje tu niemożliwe, okropnie świńskie sprośności! I to się w szkole nauczyła!- Tasia nadal zanosiła się od śmiechu:

- Od tego mogą uszy spuchnąć! - zawołała radośnie.
- Ale ta pierwsza zwrotka była dobra? -
- Tak, tak! Ale tej drugiej nie powtarzaj! To chuligani musieli ciebie tak okłamać! -
- A to „bąkiary!” - zawołałam po lwowsku. - To moi szanowni koledzy z piątej klasy w Tas Bułaku. Szczęście, że się tym nie popisywałam potem, choćby w Tikli Bułaku!... - pomyślałam sobie i przypomniał mi się nohały uprawiający i jego młodą żonę, która mnie wybawiła z tarapatów.
- Wiesz - zwróciłam się później do Wandy: - zdaje mi się, żeśmy nienajgorzej trafiły. -
- Co masz na myśli? -
- No, że ta Tasia jest całkiem fajna... -
- Prywatnie : tak... Mogę się zgodzić... -
- A co ty masz na myśli?... -
- Mimo wszystko lepiej z nią ostrożnie: to przecież jest Rosjanka. I w dodatku żona oficera Armii Czerwonej!... Czy sądzisz, że po tym wszystkim, co się już przeszło, można im zaufać? -

Codziennosc

Życie toczyło się bardzo wolno, szaro i jednostajnie.

Ojciec przeżył wielkie rozczarowanie: nie dostał pracy w tej drukarni. A taką miał nadzieję! Nawet zgolił swą skąpą bródkę, z wiarą, że to go odmłodzi. Po prostu nie mieli roboty dla siebie, mimo zmniejszonej liczby pracowników, o tych zabranych na front. Kto tam myślał wtedy o drukowaniu!

Dla nas też nie było żadnej roboty / ani przymusu pracy/, c czyli odpadała szansa na pierwszeństwo przy zakupie chleba, gdyby nawet pojawił się kiedyś w sklepie.

Niewiele już też pozostawało do sprzedawania, skoro jeszcze chciało się mieć oprócz tego co na sobie, jeszcze coś do przebrania, aby można zmienić odzież, gdy się coś z niej pierze.

Czasem po wielu naradach i wahaniach coś się tam wygrzebywało z plecaka i wybieraliśmy się z Wandą na targ. Jej buciuki jeszcze się trzymały jako tako, ale ja zostałam już tylko w samych tenisówkach, przysłanych mi latem przez Lolka, tych sa-

mych, z których wyciągnęłam sznurowadza, wybierając się do szpitala i zastąpiłam nimi wstążeczki do włosów. W lecie nie nosiłam tenisówek, bo karagaje rozszarpałyby mi je bardzo prędko. Teraz, zimą, zasmarowałam je rosyjską pastą do butów, kupioną kiedyś w Tas Bułaku, aby ta gęsta maź chroniła je i izolowała choć trochę od mrozu i wilgoci.

Lolek przysłał także półbuty dla mnie, za małe o dwa numery. Za to dobre dla Wandy. Drugą parę półbutów przysłał dla Ojca. Te z kolei były o dwa numery za duże: 43 numer, ale przynajmniej dość szerokie, to dobrze, bo biedne nogi Ojca jakoś dawały się tam wsunąć. Czasem mnie zmuszano, abym je sobie pożyczyczała, na co decydowałam się jedynie w najgorsze mrozy (60°) nie ze względu na to, że wyglądałam w nich, elegancko jak kot w butach, ale o pięć numerów za duże /Bogu dzięki!/ jednak mi utrudniały chodzenie, bo się potykałam w nich o nosy, jeśli buty posiadają nosy.

Nawiązanie kontaktów.

Gdy Wanda ukończyła, już u Tasi, mój swetr i odniosła Ewie pożyczone druty, proszono ją, aby i ze mną przychodziła. Rodzina pani Accordowej, składająca się wówczas z pięciu osób /Babcia, mama, Ewa z mężem i Zuzka/ wynajmowała całą izbę, którą miała do wyłącznej dyspozycji. Luksus: byli "u siebie"

Gdy odwiedziłam Zuzię pierwszy raz, już nie leżała, ale jeszcze nie wychodziła po chorobie. Anginą dokuczała jej nie pierwszy raz tej zimy. Pamiętałam Zuzię jako cichutką, onieśmieloną i niczym nie wyróżniającą się w dzieciństwie dziewczynkę, z którą chodziłam od pierwszej do szóstej klasy szkoły powszechnej. Pamiętam, że podobnie jak i ja oraz liczne inne uczennice była raczej rozżalona na naszą wychowawczynię, Pannę Salezję, za jej jaskrawe i przesadne protegowanie rozpieszczonej pupilki, Basi /jednej z najzamożniejszych w klasie/, tolerowanie dziewczynek asystujących, czy wręcz nadskakujących Basi i niesprawiedliwe traktowanie reszty klasy.

Po latach przerwanego kontaktu, głównie zmianą szkoły, teraz Zuzia objawiła mi się, jako żywa młoda osóпка, pełna fantazji i przekornego humoru.

Naopowiadała mi o wszystkich koleżankach i kolegach naszego pokolenia, rzuconych na teren Urdżaru razem z rodzinami, kłęśląc dowcipnie, czasem nie bez odrobiny złośliwości, charakterystykę całej

charakterystykę tamtejszej ówczesnej Polonii. Ten obraz, co —
 prawda bardzo subiektywny, był dla mnie pierwszym wstajemni-
 czeniem w panujące stosunki, które i powiązania, a także w-
 runki codziennego życia naszych rodaków.

- Musisz poznać całą tę naszą młodzież! Mówię ci, że warto!
 Nie możecie obie z Wandą siedzieć całymi dniami na tej swojej
 łopacie! U tej waszej Tasi, jak w klatce! — gorączkowała się.

- Może i masz rację, ale...-

- Co za "ale"? Ta, czekaj! Ta, mówicie, że macie książki! —
 Przynieś mi kilka najciekawszych do czytania. Ja bardzo chęt-
 nie poczytam: przecież tak dużo przesiaduję w domu... Ale prze-
 ba zacząć chodzić! Wiesz, wybierzemy się razem! —

- Dobrze. I książki przyniosę. —

Z wizytą

Wybrałam te dwie najpoczytniejsze: Londona "Dolinę Księżycą"
 i Kraszewskiego: "Kunigas" oraz Kossak Szczuckiej "Puszkarz
 Urbano" i Miłkowskiej: "Czarną Hancę". Wszystkie wspaniałe
 a każda w innym stylu. Zuza była zachwycona:

- Świetnie! Pójdziemy do Brzezińskich. To właśnie oni mają
 tutaj najwięcej książek: aż trzydzieści kilka! Ale już wszyst-
 kie przeczytałam. A ty ile masz? —

- Osiemdziesiąt cztery —

- Ta, to cała biblioteka! Wspaniałe! Musisz koniecznie so-
 bie zapisywać, komu co pożyczysz, aby brak to na swoją od-
 powiedzialność, bo jedni drugim pożyczają i potem ci się to
 wszystko porozkazi po ludziach, że się nie pobierasz! — dora-
 dzała, pouczała, wciągała.

- Dobrze, słusznie. —

- Brzezińscy mieszkają dość daleko, w całkiem innej dziel-
 nicy miasteczka, za placem targowym. Mają wspólną kwaterę z
 zaniwskimi. Jurek Brzeziński jest w naszym wieku, tak samo
 jak i Adas Zaniwski: dwudziesty drugi rocznik. Hanka, siostra
 Jurka, jest o dwa lata młodszą. Adas kocha się w Hance. To —
 głównie za jego agitacją młodzież uznaje Hankę za polską Miss
 Urdzaru. Ewa Zaniwska jest w wieku Hanki. Ewa jest niepokazna,
 ale za to pisze bardzo ładne wiersze... — opowiadała mi po dro-
 dze, niepewna czy i ile pamiętam z jej poprzednich relacji.

- Tam w pobliżu mieszka jeszcze Irka Grinczak... — zaczęła.

- O, znam to nazwisko z listów Martusi Kleszczyńskiej. Pa-
 miętasz: to pani Gąsiorowska, naszą pierwszą wychowawczyni
 przez pierwsze dwa lata? — taka harcerka? —

- Pamiętam: taka harcerka?-

- Tak, ta sama. Pisywała do mnie ze Lwowa. Irka była przyjaciółką jej kuzynki, Haneczki / Grabińskiej?/, z gimnazjum Notre Dame, wiedziały o jej wywiezieniu, Martusia pytała, czy ją znam.-

- Zgadza się. Irkę chodziła do Notre Dame. Jest tutaj z matką. Irkę wybrano wice Miss Urdżaru. To za sprawą Mietka Piątka, bo to jego sympatia. Mietek chodził do handlowki. Też jest tu z matką, to rodzina policyjna, a tamte to oficerskie i dziewczęta chodziły do gimnazjum Królowej Jadwigi, gdzie większość dziewcząt była właśnie córkami oficerów...-

I tak sobie rozmawiając doszliśmy do celu.

Wizyta

Obie rodziny zajmowały dużą, kuchenną izbę, z kuchennym piecem, dość wygodnie, jak na tutejsze warunki urządzoną; umeblowaną: łóżka, stół, stołki, nawet krzesła oraz własne kufry, kosze, walizy. Przed kuchnią była niewielka sieni: istny komfort. Taki zdarzał się przeważnie tym zesłańcom, których dowieziono od razu do Urdżaru, jako do punktu docelowego i tam niejako z urzędu przydzielano kwatery w domach rosyjskich rodzin, odstępujących swe izby.

- To już zupełnie co innego, niż mieszkanie "kątem", jak my-

Obie panie, matki tej młodzieży, bardzo miło nas zapraszały, aby się rozgościć, więc zdjęliśmy płaszcze, Zuzia swą futrzaną czapkę, a ja: szkolny berecik. W izbie było naprawdę ciepło. I dużo gwaru, ruchu, młodości.

- Faktycznie: zupełnie inaczej, niż u nas...- pomyślałam ze smutkiem, że tak nie potrafię. Tutaj odczuwało się młodość, życie... u nas: chyba tylko tępe czekanie, jeśli nie tłumioną rozpacz widmem beznadziejności.

Haneczka faktycznie była bardzo ładna. Chyba mojego wzrostu około metr sześćdziesiąt cztery, ale drobnokostna, zgrabna, o dość drobnej twarzy i żywych, czarnych oczach. Ciemna szatyńska, ładnie uczesana. Nos zgrabny, małe, kształtne usta. Poznać było po niej, że jest świadoma swej urody, którą akceptuje, jako zrozumiała samą, przez się i należną sobie. Miała miły sposób bycia, ale jak gdyby nieco pozbawiony całkowitej swobody.

Ewa, drobna, dużo niższa, blondyneczka o dwóch, upiętych

warkoczykach, buzię miłą różową, raczej dziecinną, pogodną, niebieskie oczy. Zachowywała się ~~z~~ znacznie swobodniej, była bardzo bezpośrednia, chętnie się ~~ś~~ śmiała.

Adaś w zachwycie wodził oczyma za Haneczką. Był rozmowny, towarzyski, bardzo czytany. Wysoki szatyn, o dość podłużnej twarzy i męskiej urodzie oraz miłej powierzchowności. Sprawiał wrażenie znacznie poważniejszego od Jurka.

Jurek, blondyn z przedziałkiem z boku, o włosach jasnych, raczej okrągłej twarzy i niebieskich oczach z trudem ukrywał swoje zainteresowanie Zuzią, która wciąż z niego żartowała, prowokowała do prawienia sobie komplementów, tryskała dowcipem bardziej niż kiedykolwiek i świetnie się tym wszystkim bawiła.

Co do mnie, z natury nieśmiałej, w tym gronie zaprzyjaźnionych i znających się na wylot osób, raczej obserwowałam i słuchałam, niż zabierałam głos. Zuzia czasem dodawała ~~ś~~ żartobliwe uwagi, aby wyjaśnić mi niezrozumiałe dla mnie szczegóły.

Po niedługim czasie wpadł do nich jeszcze jeden gość. Niski lub prawie niski, dość barczysty, o szerokiej twarzy i rozszniewanych oczach.

• Mietek Piątek - przedstawił się.

- Wiesz, to właśnie ten, który tak lubi, gdy się go poprosi: "Mnieciu, idź do mnie po mniód!" - identyfikowała mi go Zuzia z niedawną charakterystyką, wedle której to zdanie doprowadzało Mietka do szewskiej pasji / mimo że w lwowskiej gwarze /

- Ta, słusznie! Ta, to właśnie tak samo, jak ona uwielbia, gdy się na nią mówi: ZUZIA! - odciął się zaatakowany, co całe towarzystwo przyjęło dość wesoło.

- Widzę, że rewanż udany - dorzuciłam i ja coś od siebie, bo właśnie zastanawiałam się, czy mnie rzeczona Zuzia nie "zruca" w drodze powrotnej, że siedziałam jak ta mumia: milcząca. I niedorozwinięta!

Mietek usiadł naprzeciw mnie i uśmiechał się: najwyraźniej do mnie.

- Jaki fajny! - pomyślałam - widzi, że jestem onieśmielona, i jako ta "nowa" tutaj i dodaje mi animuszu tym bezpretensjonalnym uśmiechem!...-

Zuzka gwałtownie drapała się po kolanach, co dopiero teraz zauważyłam. Spojrzałam na nią, trochę spłoszona, raz i drugi, zaniepokojona najpierw, potem już zgorzszona tym, co wyprawia.

- Ojej! Czyż ona nie może się powstrzymać? Opanować? Jak to wygląda: nie wypada! - zmartwiłam się za nią. W pewnym momencie podchwyciłam nawet Mietka rzut oka na wyczyny Zuzy, ale udał, że ich nie widzi i nadal uśmiechał się do mnie. Życzliwie, to się wyczuwało.

- Hm, dobrze wychowany: nie zauważa tego małego "faut pas" - odnotowałam na marginesie myśli, pod jego adresem - ma szczerą głębię Lwowiaka, poczciwego kolegi. Wygląda, jak jeden z tych co to: "jeden za wszystkich, wszyscy za jednego" - i byłam mu wdzięczna za ten bezpośredni uśmiech, dzięki któremu śmieję się, aby nikt nie zauważył wiercenia się tej niemożliwej Zuzi wciąż drapiącej kolana.

Gospodarze uzgodnili między sobą kolejność czytania moich książek, z których Zuzia zostawiła sobie w domu tylko jedną, Jurek pożyczył mi trzy powieści Curwooda i już zabierałyśmy się do wyjścia - gdy Mietek ofiarował się nas odprowadzić,

Pożegnałyśmy miłe panie, które zapraszały nas do częstych odwiedzin i wyszliśmy w bardzo ciemny wieczór, w bogato ośnieżony i wciąż jeszcze śniegiem sypiący świat.

- Zuza? Cieszysz się, że was odprowadzę / bo na dwa kroki nic nie widać /, powiedz prawdę! - zapytał Mietek.

- A, no: może trochę to się cieszę, a trochę to i kłopot, jeśli już tak koniecznie chcesz wiedzieć! - odpowiedziała z niezrozumiałym zadowoleniem.

- O co im znowu chodzi? - zastanawiałam się.

- Z chęcią was odprowadzę, wobec tego, do samego domu, ale tu zaraz muszę na chwilę wstąpić, dowiedzieć się, do szewca. Możecie pojsć parę kroków, dogonię. Tylko nie za daleko! - powiedział i uskoczył w jakieś podwórko.

- Fajnie! - ucieszyła się moja przewodniczka: - Teraz się tu wysiusiamy! -

- Coś ty?! Jeszcze ktoś nadejdzie!... - przeraziłam się.

- Prędzej! Nie bądź durna! On też: tam nie ma żadnego szewca! No, jazda, póki nikogo nie ma! Nic nie widać! Prędzej! I I śnieg zakryje i człowiekowi zaraz lżej! A do domu spory kawał!... -

- Co prawda, to prawda... - pomyślałam -

- No, dobra jest! - sapnęła.

- A czemu się tak drapałaś? - nie wytrzymałam, chciałam się

koniecznie przynajmniej dowiedzieć.

- O, już Mietek idzie! Powiem ci jutro...-szepnęła, rozrzucając nogą śnieg dokoko i wołając :- O, już jesteś!-

Kompromitacja

Wiesz, dlaczego się wczoraj drapałam? Według ciebie, oczywiście! Bo to nie było żadne drapanie!- witała mnie od drzwi.

- Co?-

- Ja ci wyraźnie pokazywałam kolana! Twoje!...-

- Oa, nie gadej!... Ojej!...- zrozumiałam! Aż mi się zimno zraniło z doznanej przykrości: ależ gapa ze mnie? Ależ mam refleks, że niech to kaczka kopnie!...-

Tymczasem Zuzia wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, jak ja to wszystko odstawiłam wczoraj w domu, tośmy się wszyscy porządnie uśmieśli! Nawet babcia, chociaż zawsze taka poważna!-cieszyła się, męgodziwa.

- O, ludzie! Już przepadłam! Jestem kompletnie spalona na tym terenie!- jęczałam.

- Przestań lamentować! Sama posłuchaj: Oto odbywa się pierwsza, prezentacyjna wizyta dobrze wychowanej panienci w pewnym szanownym towarzystwie...-

- Zuziu!...-

- Cicho! Nie przerywaj! mi reportażu, bo mam natchnienie! Naprzeciw usiadł młody człowiek i aż uśmiecha się na ten widok : oto...-

- Przestań! Małpa!-

- Cicho! To niby kto: ja, czy on? Mniejszą o to, jedziemy dalej! Otóż młoda osoba siedzi na brzeżku krzesła, nie korzystając z oparcia, bo jest nieśmiała, rączki złożyła w małyk, buzię w ciup, widać o milę klasztorne wychowanie! ...-

- Ziuzia!...-

- Ta joj! Ta, cicho! Po odzieży też, przyjrzyjmy się bliżej: Sukienka wiśniowa, pod samą szyję, swetr niebiesko granatowy z kołnierzykiem, grube, ciemnobrązowe pończochy, we wzór patentowy, tenisówki chyba czarne, nałożone na ciemnopopielate skarpety. Ale to jeszcze nie wszystko. Włosy bezpretensjonalne, raczej ulizane strączki senesowe i oczyskromnie spuszczone w dół...-

- Zuza! Zlituj się!...-

- Przestań! Nie przerywaj! Oto jeszcze jeden rąbek tajemnicy:

który niejako sam uchylił się obserwatorom: Owa skromna panienska stroi się w jaśniutko popielatę, grubasne pantalone, zakładane pod suknię, a tak długi, że okrywają całkowicie nie tylko uda, lecz i nadobne kolanka, których suknia, w siedzącej pozycji właścicielki, nie jest w stanie przysłonić!...-

- Taką kompromitacją! - załamывалам ręce. - Wiesz, sukienka jest za krótka, bo to Wandzi. Pantalone przedłużone, bo te na te odmrożone kolana, ale zawsze podwijam, zanim gdzieś wejdem, ale wczoraj z przejęcia zapomniałam! Ale urządziłam popis nie ma co!...- Ta, to kompromitacja na całego!...-

- A ja ci pokazywałam! - zaśmiewała się samozwańcza reporterka, z cudzej biedy

- A ja się dziwię, że się wciąż tak drapiesz!...-

- Ta gdzie! Pokazywałam, ale ty tak się dałaś Mietkowi oczarować!...-

- Coś ty? Byłam mu wdzięczna, że się uśmiecha...- przyznałam, speszona nieco.

- Uśmiecha?! Mógł rzeć ze śmiechu, jak stąd do samego Lwowa! Ta sama pomyśl! Ta, nie masz poczucia humoru, czy co? - Zuzia wciąż nie mogła się nacieszyć z okazji do zabawy cudzym kosztem, niecnota!

- Nie, nie brak mi poczucia humoru! Nawet ci powiem, że mam, zwłaszcza, gdy stosuje się do wszystkich innych, a nie aż w takim stopniu do mojej własnej, szanownej osoby! Wyjącznie!

Wesoły prosiaczek

W domu czasem zdarzało się małe urozmaicenie dzięki prosiakowi. Rosło to sobie beztrąsko, na ogół mieszkało w sieni. Na noc gospodynie umieszczają prosiaka w kuchni, aby w sieni nie zamarzał. Sypiał w pobliżu pieca. Bardzo szybko zadomowił się tam, a rano urządzał nam pobudkę, upominając się dość wcześnie o swoje śniadanie. Dostawał je najczęściej od babuszki, czasem od Tasi; ale nie ich łóżko upatrzył sobie na tradycyjne powitanie dnia, tylko cegły pod moją głową, tę fundamentalną podstawę naszego z Wandą wspólnego leża!

Gdy rano z kwikiem łączył zsynchronizowane czochochanie się o kant tych cegieł, wysuwałam się błyskawicznie i ostrożnie spod pierzyny, aby i Wandzi też dać wolną drogę, zanim to niefrasobliwe bydlę rozwali nasz pseudomebel do spania. Nie skąpiłam przy tym pisku, aby zaalarmować właścicielki, jawnie

zakochane w tej przyszłej wieprzowinie, co babuszka najczęściej przyjmowała, pomrukami dobrego numeru.

Czasem jednak /wstyd wyznać!/, gdy nieco mniejsze żyjątko nie dawały mi wcale spać w nocy, a prosiaczek-ulubieniec urządził pobudkę wkrótce po moim zaśnięciu, niegodziwie życzyłam mu wszystkich świerzbów mojej siostry i moich, co mi przychodziło tym łatwiej, że nigdy nie łudziłam się nadzieją, że choć coś z niego będę miała okazję polizać. Oczywiście : w przyszłości!

Bywało jednak, że cała nasza rodzina była gotowa, jeśli nie polubić go serdecznie i szczerze, to przynajmniej odczuwać niekłamana wdzięczność. Otóż miły ten domownik był od urodzenia bardzo wścibski i ciekawy oraz bardzo chętnie wyruszał w świat, gdy tylko zauważył, że nie oddzielają go od nieznanych cudów zamknięte, ciężkie drzwi.

Nie mogę rozstrzygnąć, kto wtedy był szczęśliwszy: wesoły prosiak, korzystający ze swobody, hasający po ośnieżonych podwórkach, a nawet ulicach, wymigujący się sprytnie i z uciechą z łowiących go rąk babuszki i Tasi, czy cała rodzina państwa Boberów, wykorzystująca nieobecność gospodyń, aby wbrew ich zakazom i zwyczajom otworzyć w pokoju okienko i drzwi od kuchni i od sieni /raczej : chlewikosieni!/ i machająca czym się da, aby jak najprędzej wyrzucić gęste od smrodu powietrze i wpuścić znacznie świeższe, z podwórka. Koniecznie trzeba się było z tym śpieszyć: uwinąć się przed powrotem triumfujących pań domu, z upolowanym uciekinierem, miłośnikiem przygód i mimowolnym naszym doraźnym sprzymierzeńcem.

Lekcje z Dziunią

Gdy zwracałam ^{młynek} pani Ani Nowakowej, oczywiście pogadałam tam z paniami oraz z Dziunią i z Jerzykiem.

- Chciałabym, aby się wreszcie już nauczyła czytać i pisać. Próbowałam, ale niebardzo mi to wychodzi: ani Elementarza, ani czasu przy tych moich domowych i zaopatrzeniowych obowiązkach mówiła pani Ania.

- Ja mogę się tym zająć, przecież byłam w Liceum Pedagogicznym. Będę przychodziła- zaproponowałam.

- Jak ja się cieszę!- zawołała Dziunia.

- Będę ci bardzo wdzięczna. Jeśli tylko możesz...- pani Ani spadł kamień z serca.

- No tak: Dziunia chyba ma już ósmy rok?-
- A ja mam szczęście!- pochwalił się Jerzyk.
- Tak, najwyższy czas, bo ona za rok pójdzie do szkoły: ruskiej... Ale niechby się tymczasem nauczyła po polsku!-

Po kilku lekcjach z Dziunią, przy których Jerzyk pilnie asystował, uzgodniłyśmy z panią Anią, że dzieci będą przychodziły do mnie. Ich kwatera, leżąca w centrum miasteczka, tak często była odwiedzana przez rodaków, że dzieci niebardzo mogły skupić swą uwagę na odbywającej się lekcji, bo wszystko działo się w tej jednej izbie. Poza tym... te moje tenisówki i odmrożone stopy i kolana...

Babuszka z Tasią nie oponowały.

Uczyłam więc czytania i pisanie według własnego programu i osobiście produkowanych pomocy: tekstów, wzorów, szablonów. Dziunia chwyciła szybko. Jerzyk też po trochę, bez nacisku. Zachęcałam go do rysowania, bo miał rękę całkowicie niewprawioną do ołówka. Trwało to parę tygodni i już się cieszyłam pierwszymi sukcesami, gdy nagle dzieci przestały przychodzić.

Po paru dniach, gdy mi przeszło przeziębienie, przez które nie opuszczałam domu, wybrałam się do swoich pupilków zaniepokojona, czy nie chorują.

- Bogu dzięki: nie!- odpowiedziała mi pani Ania.
- Domyślałam się, bo ich nie ma w domu... Chyba nie wybrały się do mnie, bo idę prosto z domu, a nie spotkałam dzieci...-
- Nie. Poszły na lekcję...- uspokoiła mnie pani Korzeniewska
- Na lekcję?- zdziwiłam się.
- A, wiesz, Wpadło tu parę osób z naszej młodzieży. I opowiadały, że jest tutaj jedna pani, nauczycielka z zawodu i uczy kilkoro polskich dzieci...- zaczęła pani Ania.
- Nie wiedziałam o tym...- zrobiło mi się głupio.
- My też nie... A Dziunia się bardzo zapaliła do tych dzieci...-
- I ta pani ma Elementarz i książkę rachunkową...- dorzuciła pani Korzeniewska.
- No, to bardzo szczęśliwie dla dzieci. Mają prawie szkołę- powiedziałam dzielnie.
- Właśnie tak myślałyśmy...-
- A dla ciebie to przecież był kłopot: nie mieszkacie sami, tylko u tych Rosjanek, a z nimi nigdy nic nie wiadomo...-

Pożegnałam się grzecznie i wyszłam, przekazując pozdrowienia dla dzieci. Rozumiałam decyzję pani Ani. A jednak było mi przykro. Matłok myśli rozsadał głowę:

- "Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść!" No, nie! Nie sądzę niesprawiedliwa! Ile zrobiłaś? ~~Nie~~ Wiele... Tylko tyle, że obudziłam i rozniecałam w nich chęć do nauki, do której dzieci zabierały się raczej z woli matki, ewntualnie z sympatii do mnie, niż z własnej potrzeby, na razie. Wlewiele to, lecz można uznać za pierwszy krok. Widziałam, że udawało mi się wzbudzać w nich radość, z wszystkiego, czego się nauczyły.

Chodzi mi tylko o to jedno: dlaczego mi o tym nie dano wcale znać? Dlaczego nie powiedziano mi od razu? Przecież podchodziłam do tego wziętego na siebie dobrowolnie obowiązku całkiem poważnie. Czeakałam, wycinałam jakies literki i wyrazy z resztek /drogocennego/ papieru, jak głupia, ~~to~~ to się przyda psu na buty!..., Rozżaalałam się tak, aż mnie samą ~~to~~ zezłościło:

- Najlepiej siadać i becz! A to mi ważna persona! Z tydu, z którymi trzeba się szczególnie liczyć! - zbesztalam siebie na ukoronowanie swych rozważań. - Nie, nie będę więcej ~~rodkli~~ wiać nad sobą! A te literki zaniosę im do wykorzystania, mogą się przydać!

Ze mnie to matka taka

Przypomniało mi się drobne wydarzenie, jeszcze z okresu naszego wspólnego mieszkania w sto osób w sigisbajskim klubie.

Któraś z pań obserwowała scenkę rozgrywającą się na małym terytorium rodzin y. pani Ani.

- Jedzcie dzieci! Ugotowałam jajka!...-

- Jak to dobrze! - ucieszyła się Dziunia.

- Ja bardzo lubię jajka! Dużo jajek! - obwieścił Jerzyk, wówczas czteroletni.

- Dostaniecie po całym jajku i ja też, bo udało mi się kupić aż trzy...- mówiła pani Ani z entuzjazmem.

- A ze mnie, to matka taka, że jak mam dwa jajka, to jedno daję dziecku dzisiaj, a drugie, na drugi dzień. Ja tam się mogę obejść! - włączyła się pewna pani- Może to i śmieszne, ale już taka jestem...-

- A ze mnie to matka taka, że jak karmię dzieci, to tak samo i sama jem. Jak dzieciom po jajku, to i mnie...- zaczęła

pani Ania, ale rozmówczyni koniecznie chciała ją pouczyć:

- ... bo to dzieci rosną i im potrzeba...- kontynuowała, a zanosilo się na więcej.

- Może to i śmieszne, ale taka jestem...- pani Ania wskoczyła w styl tamtej- że sobie myślę o tym, że muszę i ja mieć siły i żyć dla tych dzieci, bo beze mnie napewno nie urosłyby za wiele i byłoby im znacznie gorzej!- poczym spokojnie, zakończywszy tym mocnym akcentem całą dyskusję, zajęła się już tylko dziećmi.

Muszę przyznać, że mi zaimponowała: rozsądkiem, spokojem i postawą, dzięki której dała elegancką nauczkę starszej od siebie, lecz niezbyt taktownej pani i sama nie dała się wciągnąć w żadne sprzeczki, których tam wtedy, w tej ciasnocie ludzi wysadzonych z siodła i rzuconych na pastwę najrozmaitszych udręk, raczej nie brakowało.

Grudzień 1941

Krótkie grudniowe dni uciekały bardzo szybko, podczas gdy długie, czarne i męczące noce wlekły się beznadziejnie. Po wątpliwym nocnym wypożyczku Rodzice schodzili na dół ze swego "kociego zamku", z bólem kości, jak połamani. My z Wandą przynajmniej mogłyśmy spać z wyciągniętymi nogami! Jednak we dwie na przypiecku nie zmieściłybyśmy się w żadnym sposób; już rozpatrywałyśmy taką ewentualność, zastanawiając się nad zamianą legowisk.

Czasem udało się nam wymienić coś za ziemniaki, na placu. Kiedyś zdobyłyśmy trochę pszenicy, którą kupiłyśmy, bo była tańsza od innej. Po drodze pożyczłyśmy od pani Nowakowej młynek do kawy, aby ją zmielić na kaszę, bo się pręcej gotowała.

Tym młynkiem zachwycała się Tasia tak, że jej obiecałam ze Lwowa posłać, gdy już tam wrócimy. Kiedyś... Pomyślałam też, że jako niespodziankę dołączę młynek do mielenia mięsa: takiego nawet nie widziała!

- Postarajcie się kupić trochę mąki, aby była na wigilijne pierogi!- poprosiła Mama, gdyśmy się wybierały na targ.

- Wspaniale!- ucieszyła się Wandzia, a ja wiedziałam, że na tak niesłychany luksus Mama zdecydowała się szczególnie ze względu na nią: rok temu spędzała wigilię w lagrze... O ileż bardziej samotna i biedna od nas... A my mieliśmy po cztery pierogi

pierogi, Ciocia Iza. razem z nami, też... Teraz nie wiemy, jak tam z Ciocią, ani właściwie nie mamy możliwości pomóc...

- Gdy już miałyśmy wychodzić, Mama dodała:

- A możeby i jedną cebulę do tych pierogów?...-

- Wspaniale! Będzie prawdziwa uczta...-

Poza tym bywała kartoflanka. Raz dziennie. I kipiątek, ~~no~~ no i wieczorem. A potem Mama zainteresowała się grysem, który gospodynie kupowały dla prosiaka, aby mu dosypywać do pomyj, czy ziemniaków. Był ten! Poradziła nam kupować na placu, jak się trafi. Potem czasem, zamiast zupy, piekła nam placki na płycie kuchennej. Początkowo bywały z mąki, z domieszką grysu. Potem te proporcje zmieniały się na rzecz grysu, aż trzeba było z mąki zupełnie zrezygnować: za drogą. Mieliliśmy po jednym placku na osobę dziennie.

- Dzięki Bogu: jeszcze mamy...- Wzdychała Mama.

Nastają Święta.

Wigilia z opłatkiem, zaoszczędzonym z któregoś z listów sprzed roku, ze Lwowa... Jak to strasznie dawno! Już w minionej epoce: przed wojną między naszymi ościennymi sąsiadami!

Czekał nas stół wigilijny: autentyczny stół! Życzenie składane sobie i przesyłane myślami i sercem wszystkim naszym. Serdeczna modlitwa o przeżycie, o życie, o powrót i spotkania, o pokój. Zadumanie: co u nich wszystkich? Jak z nimi? Pod każdym względem... Gdzie są, z kim...? To samo o Cioci Izie, która pozostała w Tas Bułaku, samotna... Jak ciężko...

Jak szczególnie odczuwa się nostalgię i bezdeny niepokój w te rodzinne święta. Ile wspomnień! Przytłaczają i równocześnie zdają się podpierać nas swym istnieniem, wzmacniają w silnej woli przetrwania.

Usiedliśmy przy stole, jak nigdy: /, bo to święto. Była ta namiastka tradycji: pierogi. I wrzątek. I ten nastrój...

Zaczęłyśmy z Wandą śpiewać kolędy, Rodzice obłączyli, a chociaż mizernie to wypadło, nawet babuszka rozumiała, a i Tasia się domyślała powągi chwili: oto Polacy obchodzą Święta.

Cieszyłam się całym sercem, że Wandzia jest już z nami i całym sercem marowiłam, że o Dzikę, Ciocię Izę i całą resztę rodziny, o swe przyjaciółki serdeczne i ich rodziny, koleżanki, hawerki, wszystkich, którzy do nas pisywali, pamiętali, pomagali, wspominali. O nasz najdroższy Lwów. I cały daleki, utęskniony Kraj... Utęskniony aż do bólu, biedny, prześladowany...

prześladowany, nniewolą gnębiony i wojną rujnowany nasz Kraj.

Czy to jest możliwe, aby wyrazić w całej pełni, co czują zesłańcy, prawdę mówiąc pogrążeni w nędzy, odcięci od rodzin od Kraju, w dodatku pozbawieni z nim kontaktu, a nawet jakiegokolwiek realnej informacji... Uwięzieni na tak zwanej "wólnej zsyłce" w kraju, prowadzącym wojnę... Chyba ja tego wyżyć nie zdołam.

Gdybym nawet nie wiem jak się starała jakoś to określić, choćby przyrównać do huśtawki pomiędzy skrajnym piekłem zwątpienia i rozpacz, a niebem nadziei, to jeszcze i tak odczuwam że: "język myślom kłamie."- jak mówił Słowacki.

Babcia Accordowa

- Musisz, Alu, poprosić Mamę, aby ci pozwoliła na parę dni przychodzić do nas! Mam taką prośbę do ciebie...- zaczęła kiedyś babcia Accordowa, gdy tam wpadłam, stale zapraszana przez Zuzię.

- Proszę bardzo, słucham panią...- zaciekawiałam się, co to takiego.

- Chciałam cię prosić, abys pocerowała mi obrus, bo się przeciera, a w wielu miejscach już się przetaił, a to był mój pamiętkowy i ulubiony. I poza tym jest jeszcze dobry, posłuży jeszcze przez jakiś czas. Ale tutaj u nas nikt mi tego nie zrobi, to znaczy porządnie tego nie zrobi...- mówiła.

- Bardzo chętnie! Mogą to zabrać do domu i przyniosę, gdy..

- Wiem, że byś przyniosła, ale wolę, żebyś tutaj przychodziła. Zuzka znowu kaszle, niech więc nam się nie wyrywa z domu do młodzieży! Posiedzicie, pogadacie... I ciepło tu mamy przez cały dzień i dużo jaśniej, niż tam u was, u tej waszej nauczycielki...-

- Tak, to prawda... Przyjdę jutro rano...-

- Na cały dzień! Pamiętaj! Już ja dobrze wiem, że ty artystycznie cerujesz! A moje panie, to by mi to tak popartaczyły, jak cery na starych skópetach, że aż potem w pięty gniotą!- tłumaczyła z gderliwym humorem, ale już i tak przejrzałam tę grę... Musiałam być wdzięczna.

- No, cóż... To bardzo ładnie ze strony tej babci... Taka miłosierna, jak nasza... - powiedziała na to Mama i z westchnieniem popadła w zadumę.

Przypomniała mi się pewna żona bezrobotnego. Przez kilka lat

lat przed wojną przychodziła do Babcia naszej, która dawała jej coś do cerowania, ponieważ ta pani, obdarowana przez Babcie, właśnie w ten sposób zawsze się rewanżowała. Miała troje dzieci, młodszych ode mnie. Zawsze, gdy miała przyjść, czekały zapasy na dwie pełne torby: jedna z kaszami, cukrąm i sokiem różanym, druga z jarzynami z naszego ogrodu. I kwiaty, koniecznie kwiaty, tak jak się zawsze dawało naszym gościom. Zawsze ta pani uważała, że Babcia zbyt hojnie płaci jej gotówką, więc dostawała z domu i z ogrodu za to cerowanie...

A teraz dla mnie ktoś wymyślił cerowanie: na cały dzień! Wiadomo... Gdy tam wpadałam do Zuzi, to zawsze starałam się już po obiadowej porze i nie siedzieć aż do jakiegoś posiłku. Gdy mnie czymś częstowano, też bardzo byłam wstrzemięźliwa.

Już wiedziałam od Zuzi, że jej Babcia wynajęła dwóch bliźniaków do noszenia wody, aby ich podkarmiać. Jednego dnia przychodził Janek, drugiego Włodek, na zmianę. Wyznaczyła im taką porę, nieodwołalnie, że bezpośrednio po nanoszeniu wody dla tej rodziny na całą dobę, miał obowiązek zasiadać z nimi do obiadu, co wyznaczyła, jako zapłatę. Obiad był zawsze obfity i świeży, a składał się z dwóch dań! Dla tych chłopców stanowił jedyny posiłek na dwie doby... Nie mieszkali sami, więc nie było tajemnic...

Obrusy były białe, igła polska, czyli bardzo dobra, gładka. Tutejsze były tępe i chropowate, w dodatku grube, a i tak prawie nieosiągalne! Nici też polskie, przedwojenne "molinée" z których z sześciu niteczek brałam do cerowania dwie, aby cera wyszła delikatna. Starałam się swoją robotę wykonywać jak najładniej i chwytać szwami głęboko, aby cera nie wypadła, jak głosiła u nas domowa legenda o cerowaniu Cioci Juli, legenda sprzed wielu lat...

Babcia Accordowa zachwycała się tym jawnie i na wyrost, ale po obiedzie zaczęła gderać, że się z robotą zanadto śpieszę, a ona jeszcze gdzieś coś ma do cerowania i będę musiała poczekać, bo nie zdążyła wygrzebać, a najlepiej, jeśli przyjdę na drugi dzień znowu... Kochana!...

Karmiła mnie tak przez trzy dni, podczas których wycerowałam trzy obrusy i całą bieliznę pościelową! Cieszyłam się, że jeszcze są ludzie posiadający obrusy i używający na co dzień, jak w Polsce, jak przed wojną, a nie chowający na czarną godzinę: do sprzedania. I że śpiąją w pościeli obleczonej bio-

lizną pościelową, "jak ludzie"! I do tego mają i stół i łóżko, a nade wszystko mieszkanie tylko dla swojej rodziny. W całej zesłańczej sytuacji możliwie ludzkie warunki. Czyli: nie dosłownie wszyscy są zepchnięci do najniższego poziomu. A najważniejsze, że w takich rzadko spotykanych możliwych do przeżycia warunkach szukają sami, komu by tu pomóc, komu rękę podać, kogo ratować w biedzie... Boże, błogosław im!..

A tymczasem w domu śniadka, "łyśa" kartoflanka, przynajmniej po te trzy, czy cztery łyżki dla każdej z trzech pozostałych osób przypadała więcej, dzięki temu, że ja sobie jadłam obiady z dwóch dań!...

A Oni, moi Najdrożsi, cieszyli się z tego serdecznie, że to niby ja po chorobie i taka anemiczna i td, i ip... Jak gdyby to właśnie mnie się należało i tylko mnie było potrzebne...

Czasem jadłam taki obiad nie tylko z wilczym apetytem, ale i z pełnią pogardy dla siebie, ale niezdobyłam się nigdy na to, aby coś z tego wziąć w garść i zanieść do domu!...

I rozgrzeszałam się z tego...

U Eli

Ele odwiedzałam stosunkowo rzadko, podobnie, jak i ona mnie, Ona, dlatego, że nie byliśmy u siebie. Oni zajmowali samodzielną klitkę, w której oprócz pieca z przypieckiem, na którym sypiał pan Wojciechowski, mieściła się jeszcze prycza wspólna dla obu sióstr i chyba taboret, na którym stały obie walizki z resztą dobytku. W jednej wciąż jeszcze przechowywano ubranie Guścia, ale druga, chyba poza zmianą bielizny, już niewiele zawierała.

Ubrania brata Fela strzegła, jak oka w głowie; desperacko, niczym lwica swe małe. Wyjmowała czasami, by je przetrzepać, oczyścić i skontrolować, a po przewietrzeniu pieczołowicie schować z powrotem.

- Ta, ludzie! Ta, czy wy podurnieli? Żeby tak dusić to święte, Guściowe ubranie, kiedy prawie zdychacie z głodu!- irytowała się na nich pani Sochacka, w obawie, że się zagłoda.

- Jeszcze przecież może być gorzej: przecież jeszcze się coś je! Każdego dnia!... To będzie na całkiem czarną godzinę, bo dalej nic nie wiadomo...- tłumaczyła Fela cierpliwie sąsiadce i ojcu, wечно zgodniałemu.

A potem, potem, gdy już nadeszła taka beznadziejnie głodna

godzina, ta "czarna godzina", to siłą woli uchronione buściowe ubranie wyratowało tych troje i pozwoliło im przeżyć najcięższy okres, akurat właśnie wypełniło tę lukę- brakującą do poprawy warunków, które jakoś później nie zagroziły życiu aż do tego stopnia...

Po sześciu latach zesłania i pobytu w Kazachstanie wrócili do Kraju. Tym samym transportem / stamtąd jedynym/, którym powróciła rodzina Nuckowskich, a także wiele innych, najczęściej zdekompletowanych... Częściowo przez czyjeś wcześniejsze odejście do wojska, ale także przez niejedną wśród zesłańców śmierć.

O tym jednak dowiedziałam się po wielu latach, gdy po powrocie do Polski udało mi się odnaleźć spośród tamtejszych ówczesnych przyjaciół: Elę Wojciechowską, Helenkę Nuckowską, Cesię Szakalską i Matyldę Kierepkę.

Wracam jednak do Urdżaru.

Zima i warunki mieszkaniowe przyczyniły się do niejakiego rozluźnienia kontaktów z Elą którą też trudno było mi odwiedzać, bo nie było się tam gdzie podziąć. Ona bywała nieraz u Janki Goryluk, mieszkającej nieco lepiej, w pobliżu, z którą znały się od dawna, jeszcze z Rzęny Polskiej.

U Zuzy

W mieszkaniu rodziny Zuzy zawsze panował ruch. Matka z babcią najczęściej zajęte były przy kuchni, oboje Prusowie bywali przez pół dnia w szpitalu, a Zuzia porywała mnie na swoje łóżko, stojące przy oknie, gdzie było mi jasno, jeśli czerowałam, czy też oglądałyśmy stare fotografie, pamiątniki, czy książki. Zuzia była bardzo rozmowna i nigdy nie można było przy niej się zbyt długo smucić.

Właściwie Zuzia miała duszę trochę kolczatą, bo wyczuloną przez poczucie sprawiedliwości. Zdawało mi się nieraz, że te jej żarty i pomysły licznych psikusów stanowiły jakąś przeciwwagę w jej usposobieniu. Czasem bowiem potrafiła wygarnąć komuś nagle, co o nim myśli, a to zrażało ludzi do niej i nie miała wśród młodzieży takiej przyjaciółki od serca.

Czasem napomknęła mi o czymś, zdając sobie sprawę z tego, że lubię ją taką, jaka jest, a znam głębiej, niż samą tylko

zartobliwą jej zbroję, którą się opancerzała przed światem w podejrzeniu obcości, a czasem nawet wrogości.

Od Zuzy dowiedziałam się przypadkiem, że tą nauczycielką, uczącą polskie dzieci, jest pani Hellebrand, matka tej Wiśki, która przyjaźni się z Lidką Schramm, siostrą bliźniaków nosiwodów.

A potem Małyldzia wszystkowiedząca opowiedziała mi całą historię. Otóż Wiśka ze swą starszą siostrą, Danką, z Lidką i jeszcze paru osobami, spenetrowała całą urdzarską Polonię i przygotowały mikołajowe upominki dla dzieci. Uszyły ze szmatek lalki dla dziewczynek, jakieś inne zabawki dla małych chłopców i odwiedziły te dzieci. Najwyższa z nich, Danka, jako Święty Mikołaj, niższe: Wiśka i Lidka, w roli Aniołów.

U pani Ani Nowak, gdzie obdarowały dzieci, dowiedziały się że Dziunia nie chodzi do szkoły. Wtedy właśnie opowiedziały o tych lekcjach. Pani Ania i pani Korzeniewska, która czuła się przy nich, jak rodzina, wzruszyły się bardzo niespodzianką sprawioną dzieciom. Naturalnie niezwłocznie zgłosiła tam Dziunię na lekcje. Płaciła za nie, tak samo jak i inne matki.

Roman tyczna ucieczka

W rodzinie Hellebrandów największą sławę zdobył sobie Zbyszek, młodszy od Danki, która chyba była z 1920 roku, a starszy od Wiśki / 1923/.

Opowiadano mi że Zbyszek już we Lwowie miał swoją sympatię. Irma chodziła do gimnazjum Królowej Jadwigi, była z rodziny oficerskiej. W transporcie zobaczył, że też jest wywieziona, z matką i z siostrą. Umówili się, że do koleżanek i kolegów we Lwowie napiszą, by podać swoje adresy, które za ich pośrednictwem będą mogli otrzymać, gdyby nie dostali się do tych samych miejscowości.

W ten sposób Zbyszek dostał adres Irmy, którą odszukał aż w Semipałatyńsku, dokąd niezwłocznie, samowolnie wyruszył. Stamtąd koleją, etapami, we dwoje uciekli sami do Polski.

We Lwowie ledwie wpadli do rodziny po zasiłek pieniężny i z prośbą o zawiadomienie matek w Semipałatyńsku i w Urdżarze, że przekradną się przez zieloną granicę, do jakiejś ciotki w Krakowie. Złapano ich przy przekraczaniu granicy na Sanie.

Aresztowani przez rosyjski patrol graniczny musieli się przyznać do ucieczki z Kazchstanu, aby się oczyścić z zarzutu szpiegostwa, za co groziła nieodwołalnie kula w łeb. Odwieziono wobec tego uciekinierów do Semipałatyńska, tam osądzono i skazano na pięć lat. Amnestia sierpniowa uwolniła oboje; każde wróciło do matki. Losami Zbyszka poruszony był cały Urdżar. Poznałam obie jego siostry, ale Zbyszka nie, bo wcześniej wyruszył do wojska.

Później poznałam Irmę Frączek, w Teheranie, w 1942 roku, gdzie pracowała jako pielęgniarka w Polskim Szpitalu Czerwonego Krzyża. Była zatrudniona jako instrumentariuszka na operacyjnym trakcie i świetnie dawała sobie radę z bardzo odpowiedzialnym stanowiskiem.

Znam też jej dalsze dzieje, bo razem chodziliśmy potem do tej samej klasy i razem zdały egzamin dojrzałości w Szkole Młodszych Ochotniczek w Palestynie, w mieście Nazaret, a potem znalazły się na medycynie w Edynburgu, gdzie Irma wyszła za mąż jesienią 1945 roku, gdy była na drugim roku studiów.

O ile wiem, do owego czasu nie spotkała nigdzie Zbyszka, swego romantycznego rycerza, który ją wywiózł z zesłania aż do Kraju.

U państwa Schrammów

Kiedyś Zuzia wyciągnęła nas do innej kwatery paru polskich rodzin: państwo Schrammowie mieszkali razem z rodziną państwa Wodzickich.

Pani Zofia Schrammowa, matka Lidki / rocznik 1922/ i bliźniaków / rocznik 1923/, żona oficera, ślicznie śpiewała i grała na fortepianie. Tej zimy udzielała lekcji gry na fortepianie szkolnym paru dzieciom nauczycielskim i to było jedynym finansowym ratunkiem tej rodziny.

Pan Schramm, kapitan służby czynnej, dołączył do żony i dzieci po amnestii, jak wielu innych, aresztowanych we Lwowie przez NKWD / Narodniy Komitet Wnutriennych Dziej / Przeszedł więzienie i lagier, skąd wyszedł wielce schorowany. Rodzinę zastał w nędzy.

Niektórzy opowiadali z przekąsem, że pani Zofia daleka była od oszczędzania czegokolwiek. w optymistycznym przeświadczeniu że zesłanie nie potrwa dłużej, niż do zimy. Nie była adosobniona w takich sądach. Uważała, że nie może głodzić swych do-

rastających dzieci i starała się żywić je tak, jak tylko to było możliwe w tych warunkach. W ten sposób zasoby odzieży wymienianej na żywność, skończyły się, późniejsze odcięcie nas od kontaktu ze Lwowem przerwało dopływ paczek i nędza zajrzała do nieprzygotowanych.

W to drugie, w Kazachstanie, lato zapędzono chłopców do pracy za miastem, dość daleko w kamieniołomach. Praca i jej tempo znacznie ponad siły, zarobek żaden, bo liczone, że nie wykonywali normy. Żar, wiadomo: stepowy. Włodek zachorował poważnie, majaczył, nieprzytomny gdzieś uciekł w step. Podejrzewano zapalenie opon mózgowych; ledwie wygrzebał się z choroby. Potrzebował z pewnością odpowiedniego odżywiania. Z tym jednak stawało się coraz gorzej.

Janek, wybitnie utalentowany rysownik, zdołał kiedyś sprzedać całą kolekcję portretów Kazachów, do Gospody "Trud", gdzie zdobiły ściany, tworząc oryginalną galerię. Trudno jednak było ludzić się, że jeszcze ktoś będzie płacił za obrazy, gdy ludziom brakowało na chleb.

Lidka odziedziczyła głos po matce. Była ładna, bardzo kobieca, drobna szatynka o wijących się włosach i niebieskich, durzych oczkach. Przyjaźniła się z Wiśką, porównywaną do amerykańskiej gwiazdy filmowej Deah Durbin.

Rodzina państwa Wodzickich ~~xx~~ liczyła tam wtedy pięć osób: pani Wodzicka, jej mąż zmarł tam, w Urdżarze/ i dorosłe dzieci: Henryk oraz pani Anka Pohorecka z czteroletnią córeczką, zawsze i wszędzie nieodłączną.

Z Henryka Zuzia sobie żartowała i prosiła go, aby zaśpiewał swą ulubioną melodię: arię z opery "Carmen", a potem "odstawiała go", czyli zainscenizowała pokaz, parodiując Henryka. Narzuciła jakąś kapę na ramię i śpiewała, może nie tak pięknie i bez fałszu, lecz za to z wielką siłą i wymownymi gestami, mocno skandując:

" -To re a do re! Tra ta ra ra ram!

Tra ra ra ram

Trara rara raaa! -

Wychodziło jej to świetnie i przyczyniało się do ogólnej wesołości, ku zadowoleniu słuchaczy oraz usatysfakcjonowanej wykonawczyni. Pan Henryk śmiał się razem z wszystkimi.

Wandzi przygoda na targu

Zima 1941/42 nie należała do łagodnych. Na ogół we dnie bywało około minus czterdzieści, zdarzało się więcej, ale zawsze najgorszy był ten porywisty wiatr. Opady śnieżne duże, stroiły miasteczko odświeżenie czystym, puszystym śniegiem. Wyglądało nieraz, jak w baśni o króletwie zimy, tylko że ten wichur, hulający, niczym syberyjski buran, raczej przejmował ludzi grozą, niż zachwytem nad urokami natury i jej zjawisk.

Któregoś dnia Wanda postanowiła sama wybrać się na targ, aby coś zdobyć z żywności. Wróciła po dwóch godzinach, przemarznięta, na wylot, zsiniała z zimna i splakana. Już coś udało się, bieduli, znaleźć i byłaby kupiła, gdy okazało się, że została okradziona. Przepadek nasz cały zasób pieniędzy: pięćdziesiąt rubli. Kompletna klęska? Obiektywnie rzecz biorąc nie była to zbyt duża kwota, ale dla nas : cały majątek... Że też to musiało właśnie ją spotkać!...

Zmartwieni tak dotkliwą stratą, siedzieliśmy w pierwszym momencie, jak otępiali, przybici Wandy rozpaczą. Jak pocieszać, skoro wiedzieliśmy, że tak strasznie jest ciężko, że tak bardzo liczyliśmy, na jak długo to starczy nam, na najtańszą żywność

- No, cóż... Miało się co gorszego stać...- zaczęła Mama i zakończyła westchnieniem.

- To się każdemu może przytrafić...- dodał Tato.

- Powinam była z nią razem pójść!...- robiłam sobie wyrzuty, rychło w porę! Jaka szkoda, że się dałam namówić i zostałam w domu! To przez te tenisówki...- szukałam usprawiedliwienia.

Moja przygoda na targu

Na targu, na rynku zobaczyłam kolejkę, stojącą po kiszona kapustę.

- Witaminy! - pomyślałam automatycznie i pobiegłam do kolejki. Sprzedawano po jednej "kiszonce" /około pół litra/ na osobę. Po pięć rubli. Stojąc i przytupując sobie, liczyłam osoby przed sobą, ze skłonąca nadzieją, że wystarczy i dla mnie, o co się gorąco modliłam. Całe trzecie nie mieliśmy kiszonej kapusty!

Nagle jakaś Rosjanka zawołała, wskazując na mnie:

- "Smotri ka! Daże diuszka w tapoczkach!" / ⁱ ^{pot}trzcie no!
Toż dziewczyną w tenisówkach!

Momentalnie stałam się przedmiotem ogólnego zainteresowania

- Odmrożisz sobie nogi!- zawołała któraś.

- E, tam! już mam odmrożone!- wyrwało mi się zuchwało.

- W tenisówkach!-

- W taki mróz!-

- "Dawaj!" stawaj przede mną!-

- I przede mną!-

- Dawaj: bez kolejki!- wołały Rosjanki, jedna przed drugą!

Oczywiście strasznie się ucieszyłam, bo bałam się, że tej kapusty zabraknie, zanim ja dotrę do tej jedynej beczki. Podziękowałam z prawdziwą wdzięcznością i szłam wzdłuż kolejki, niezwykle pewna, czy ktoś z czekających nie sprzeciwi się.

Nie! Nikt nie zaprotestował. Powinam stamtąd odejść i z tą kapustą i z pełnią szczęścia!... Owszem: kapustę zdobyłam: nieoczekiwanie i niespodzianie.

Co do szczęścia... niestety... troszeczkę zaprawne było gorczyczą. Mianowicie w całej tej kolejce, w paru miejscach, też stały Polki... Przeważnie mnie znały, z niektórymi zamieniłam wcześniej parę zdań, innym zdążyłam powiedzieć: "dzień dobry"

Żadnej z nich nie przyszło do głowy, aby mnie puścić...

A może właśnie dlatego, że rodaczka, więc bały się reakcji Rosjanek? Muszę jednak oddać im tę sprawiedliwość, że po propozycji przepuszczenia mnie poza kolejką, wszystkie nasze panie i dziewczęta, które tam były, dość pośpiesznie i chętnie zastosowały się do reakcji ogółu. Pewnie nie powinnam wymagać zbyt wiele.

Do domu wracałam, jak na skrzydłach. Wcale nie czułam odmrożenia stóp w tych tenisówkach, którym zawdzięczałam niesioną z triumfem zamarzną^{to} grudkę kiszzonej kapusty!

Przygoda Mamy

Mamie zdarzyła się przygoda zgoła inna...

Przy chałupce Tasi funkcję wygodki latem pełnił dół na podwórku, przy płocie od ulicy. Zimą, gdy był zasypany śniegiem chodziło się za "topkę", poustawianą w mur, sąsiadujący z cudzym podwórkiem. Stamtąd Mama wróciła z płaczem i ze śmiechem.

- Co się stało?- podskoczyłyśmy obie z Wandzią.

- A, nic... Ta, nic.. - broniła się Mama od zwierzeń.

ale wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić.

- Mama powie...- zaczęłam

- Proszę powiedzieć...- Wanda otuliła Mamę ramieniem.

- Ta, to tylko pies...- szepnęła Mama.

- Zjadł?!- domyśliła się moja siostra.

- Ach, tak! Te psy to jedzą...- miałam i ja pewne doświadczenie na ten temat.

- Tylko.. tylko...- Mama się rozplakała znów.

- Co się stało. Mamuska?...- Wanda starała się, jak mogła

- Och! Tak się strasznie przestraszyłam!...- przyznała się Mama- bo... bo ten pies... nie poczekał, aż skończę!-

Niegodnie wybuchnęliśmy śmiechem.

Obie!

Po chwili Mama śmiała się też, mimo łez.

Pobór

Kiedyś z Wandzią wracając z placu, spotkałyśmy Elę z Janką Goryluk i z Matyldą, toteż maszerowałyśmy razem, w tym samym kierunku, do domu.

Jeszcze nie doszłyśmy do głównej ulicy, Lenina, gdy gdzieś stamtąd, zza rogu, usłyszałyśmy jakiś zgiełk i zwiłókrrotniony zamęt.

- Kiej diabeł? - zastanawiała się Matyldzia.

- Chyba jakiś duży pogrzeb? - zgadywałam.

- Nie słyszałam o żadnym...-

Ela rozważała to, co by to być mogło:

- Może jakieś wieści z frontu?..-

- Nie! To niemożliwe: aż takich złych nie podawaliiby na zapleczu, żeby wybuchyła aż taka rozpacz! - Wanda oceniała sytuację logicznie

- Ach! Już wiem! - Jancia zawołała z całkowitym przeświadczeniem: - To pobór do wojska. Biorą następnych na front...- u usiłowała wyjaśnić, ale jej przerwałam:

- I to dlatego taki rejdwach i rwetest? Czy to możliwe?...-

- Ta, pewnie! Przecież sąsiadka naszej gospodyni też dzisiaj syna wyprawia, a już od tygodnia płacze i zawodzi! - do rzuciła Matyldzia.

Wyszłyśmy, przyspieszywszy, na główny trakt.

Mój Boże! Co to się tam działo!

Zwartą kolumną, ale dowolnym krokiem sunął pochód poborowych, jeszcze w cywilu, z małymi łobołeczkami w rękach. Zarówno Rosjanie, jak i Kazachowie, zresztą jeszcze liczniejsi. Gadali oni ze sobą,, rozmawiali i ludźmi z tłumu, towarzyszącemu im po obu stronach ulicy, wołali, przekrzykiwali się.

Odprowadzani byli chyba przez wszystkich, "kto żyw", przeważnie przez kobiety obu " maści", dzieci, młodzież nieletnią. Poborowi przeważnie mieli nietęgie miny, wzrok pochmurny, czasem wprost zagniewany wyraz twarzy. Jednak to, co wyprawiły kobiety, przechodziło nasze wszelakie wyobrażenie!

Biegły wzdłuż kolumny z głośnym płaczem, jawnie szlochały, zanosiły się od hałaśliwej rozpacz, nierzadko aż sianiały z bólu i żalu.

Jedną dźwigały ze sobą dzieci, inne wlokły je za sobą, lub popychały przed sobą, tu i ówdzie nie skąpiąc im szturchańców. Naturalnie dzieci również darły się w niebogłoso, z pewnością często nawet bez zrozumienia przyczyny, a tylko nieludzko wystraszone niezwykłą sytuacją, której nie były w stanie pojąć.

-Trudno się dziwić, że myślałam, że to pogrzeb!-

- Idą, jak na rzeź!...-

- I prowadzą ich, jak na rzeź...-

- Chyba nasi Polacy nigdy, w całej naszej historii nie szli tak na wojnę...-

- Co kraj, to obyczaj...-

- Te baby pewnie muszą tak ryczeć, bo by im nie darowano, że swoich chłopów nie żałują z całego serca...-

- To bardzo możliwe... Ale poza tym one zostają same z dziećmi, na niepewne...-

- A raczej na całkiem pewne: biedowanie miały dotychczas, a teraz to już faktycznie czeka je nędza...-

- Tak, sami przyznają, że jest coraz gorzej! Gorzej niż było dotychczas...-

- A jak im było, to widzimy: jak żyją, jak mieszkają, co mają po domach i w co się ubierają...-

- Nędza, nawet w porównaniu z naszymi bezrobotnymi i naszą biedotą w Kraju, tą z suterem...-

- Teraz dopiero sztuka będzie przeżyć, kiedy wszystko ma być szło na front: i żywność i mydło i wszelakie produkty, których tutaj od lat brakowało, chociaż nie mieli jeszcze tej wojny...-

Stałyśmy, rozmawiając, z boku, patrząc na to zbiorowisko

obce, przypatrywały się temu, jak widowisku, tym przyszłym żołnierzom, takim, jakich pamiętałyśmy ze Lwowa... Ledwie dzieci wzbudzały w nas litość swoją beznadziejną nędzą, którą ich teraz w pełni oczekiwaliśmy. Wiedziałyśmy, jaki będzie los kobiet, zaharowanych już do ostatka, ale przynajmniej one są u siebie, więc wydały nam się mniej godne pożałowania, od nas samych, wyrwanych z domu i Ojczyzny przed prawie półtora rokiem.

Wspominałyśmy, jak to nasze Wojsko Polskie szło na front, żegnając miasto piosenką, obsypywane kwiatami, poprzez nasze ulice, żegnane szpalerami ludzi pełnych entuzjazmu na ich wzdok, nadziei, serdecznych życzeń i w atmosferze szczerego patriotyzmu po obu stronach...

Pamiętałyśmy także późniejsze przemarsze Wojska przez miasto które karmiło zgłodniałych żołnierzy, samo już poważnie niedożywione i niemal pozbawione wody. Ale nawet wtedy nie widziało się u nas łez, nawet mimo bomb i ostrzeliwania nie lamentowano tak publicznie i powszechnie nie rozpaczano. Aż po utratę niepodległości. A tę przyjęto w guchym milczeniu...

No, cóż... Rozmaicie różne ludy przeżywają i okazują swoje uczucia w różnych kolejach losu... A wojna to zawsze dodatkowa nędza, rozłaka i tęsknota, zniszczenie, możliwe kalectwo i śmierć. Także i to dalekie zaplecze będzie skazane na jej skutki. Rzecz jasna, że i nas one nie ominą...

Jak długo? Dekad? Do jakiego stopnia?..

Pogrążone w rozważaniach i zadumie wróciłyśmy do domu.

Opowiedziałam Tasi o spotkaniu pochodzie, trochę podkreślając, że u nas nie ma zwyczaju żegnania łzami odchodzących na front.

-Jak to?- dziwna się szereg- przecież jak przykro musi być odchodzić tym, za którymi nikt nie płacze! To znaczy, że już nie są nikomu potrzebni, dla nikogo się nie liczą, nikomu nie będzie smutno bez nich?! Czy w takim razie warto im iść narażać młode życie na śmierć lub kalectwo?! Kiedy nie ma komu ich żałować?!- zakończyła zgorszona / co za naród! / i rozpłakała się rzewnie. - Mój Grisza...-

- Twój Grisza jest oficerem i z pewnością ma takie ważne zadanie, że nie wolno mu jeszcze na razie nigdzie pisać!- powiedziała tonem dość pewnym:- Pomyśl sama : przecież gdyby było inaczej, już byś miała wiadomość o nim: inni otrzymują wiadomości: dobre, czy złe, ale są. Jeśli nie ma nic, to znaczy, że trzeba poczekać, Może jest na jakimś specjalnym kursie...- sta

rałam się ją uspokoić, trochę poczuwając się do winy, że wywołałam jej płacz.

Wanda mrugnęła na mnie, abym dala spokój, bo może musi się wypłakać i łzy przyniosą jej ulgę. Poza tym rzucone ziarnko nadziei / ten wymyślony "ad hoc" kurs! / powinno sobie spokojnie kiełkować, może trafi jej do przekonania.

Ostatecznie na całym świecie przyszłym matkom potrzebny jest najbardziej spokój.

Inteligencja czyli zdolność przystosowania się.

Spotkałam na ulicy Zbyszka Klinka:

- Jak się masz, szalona!- powitał mnie milutko.

- Ja? Szalenie dobrze!- odpaliłam bez namysłu.

- No, nieźle! W tenisówkach na taką zimę? A gdzie są twoje pimy, czy też walonki?- dziwił się ogromnie.

- Moje?- obejrzałam się, czy może ktoś za mną idzie, bo nie sądziłam, że pytanie skierował do mnie.-Moje? Nigdy nie miałam...-

- Jak to?-

- Ta, niby skąd?-

- Ta, przecież pasłaś owce!- przypomniał-

- Ta joj! Nie mów: należał mi się przydział?! Nic nie wiedziałam!..- zrobiło mi się strasznie żal..

- Ta, jaki znów przydział? Ta, gdzie?- teraz pan /magister! / Zbigniew się dziwił.

- W takim razie ja nic nie kapuję: co niby owce miały do pimów?- zaczęłam się irytować na szanownego rozmówcę, choć ogólnie mówiąc nic nie miałam przeciwko niemu, ale właśnie ubodło mnie to aktualne traktowanie " Z góry".

- Jak to:co? Taż to jasne, jak dziura w parasolu! Kto pasł owce, ten ma wełnę...- zaczęłam, ale przerwałam:

- Jednak : przydział!...-

- Ta, co ty z tymi przydziałami? Skądże znowu! Ale za trzy kilo wełny, surowej, gdy się odstawi do magazynu skupu, dają kartkę na jedną parę pimów!...-

- Ale niby skąd, niby ja miałam mieć jakąś wełnę?!- już traciłam cierpliwość do tego Zbysia!

- Ta, zlituj się, dziewczyno! Czy nigdy nie widziałaś, jak czabani podskubują owce? Choćby przy liczeniu: rano i wieczorem?...-

- A rzeczywiście: skubali... Widziałam! Dziwiłam się...-

- No, wiesz! Kapitalna! To ja się tobie bardzo dziwię! Nie wpadłaś na taką genialną myśl, że oni robią to po coś? W jakimś celu? - krzyczał prawie.

- Nie...- przyznałam.

- A, to szkoda!... I niby inteligentna... A teraz pokutujesz za swoją... powiedzmy: "naïwność!"...-

- No, wiesz! Kapitalny! Teraz mi to mówisz? Trzeba było wtedy!... Skąd niby ja miałam wiedzieć? Ta, skąd?...- rozżaliłam się.

- A ja skąd miałam wiedzieć, że ciebie trzeba aż oświecać?! I nikt ci tego nie mówił?...-zrobił minę, jak gdyby się zląkł, że się rozbeczę.

- Nie, tego nie. Andrzej opowiadał, że nauczył się doić owce. Wiesz, śmiał się, że w krytycznych sytuacjach doi je sobie wprost do ust. Pewnie żartował- ożywiłam się, aby zatrzeć tamto wrażenie.

- No, i co? Też doiłaś?-

- Nie... Brzydziłam się: miały gruźlicę...-

- No, tak... A, widzisz, z tą wełną to też trzeba było ~~cała~~ ostrożnie... Wszyscy skubali, ale gdyby tak kogoś zadenuncjowano!... Ale ja dla Mamy naskubałam na pimie i dla Wieśki /i dla siebie... Ta, daj spokój, co oni nam płacili za tyle godzin na nogach : od świtu do zmroku! Trzydzieści rubli, czyli dziesięć jajek za cały miesiąc harówki! Czyż to nie złodziejstwo? Jedno jajko na trzy dni? I za to pracować?...-

- O, przepraszam: dochodziła premia, taka sama...-

- Jeśli nic nie zdechło! No, niech: jak z tego żyć? Andrzej też obuł w pimie swoją rodzinę, inni także, tylko ty, biedaczka, nie miałaś takich doświadczeń, jak my sprzed roku...-

- No, no! Nie tak!... na drugi raz będę wiedziała. Ale nie martw się, już nie będzie trzeba, bo idę do wojska!-

- No, to powodzenia!- uścisnął mi dłoń, bo już nasze drogi się rozchodziły.

- I pomyśleć, że tych czabanów, to ja uważałam za niedorozwiniętych! ~~Ja~~ mają taki ~~głupi~~ nawyk, z tym podskubywaniem!- monolog wewnętrzny toczył się niezależnie od mojej woli:

- Prawdę mówiąc, wcale nie jestem tego taka pewna, czy skorzystałabym z takich pouczeń, gdyby nie były spóźnione. Najlepszy dowód, że w tym samym Tiki przez trzy noce kazano mi

zastępować nocnego stróża i pilnować pszenicy, ale wbrew temu co mówi przysłowie, ta okazja ze mnie złodzieja nie uczyniła.

A potem ~~zakończyła~~ ~~zakończyła~~ ~~zakończyła~~ tego : Trzeba było: dla Nich kraść!

nie pozwolić, nie dać im ginąć ✓

Wspomnień ciąg dalszy

Właściwie dopiero w Urdzarze miałyśmy czas z Wandą porozmawiać na różne tematy. Ona poznała nasze środowiska w Tiki Bułaku, odwiedziła ze mną, będąc w Tas Bułaku na komisji wojskowej, tamtejszych naszych znajomych i opowiadałam jej o wszystkim i o wszystkich. Chciała poznać warunki naszego życia, tak samo, jak i my chcieliśmy wiedzieć, co się z nią przez tych dziewiętnaście miesięcy działo. O wielu przejściach już dowiedziałam się, ale nieraz jeszcze ja o coś pytałam, czasem jej narzuciło się jakieś wspomnienie, z którym chciała się podzielić, albo wyrzucić z pamięci.

Na przykład, gdy byli więźniowie opowiadali o śledztwach i środkach przymusu, stosowanych w więzieniach, pytałam Wandę jak postępowano z kobietami. Niestety zdarzało się, że je bito, szczególnie nacjonalistki ukraińskie, a jedna z nich, do celi wróciła z krwotokiem, pobita "od dołu". Dziewczęta polskie współczuły im i pomagały, jak tylko to było możliwe.

W tym więzieniu śledczym, na Zamarstynowskiej, siedziała w celi o wymiarach 3x2metry i było tam łóżko piętrowe, na którym spało sześć kobiet, jeszcze na prześcieradłach. Reszta spała na ziemi.

Mimo nieustannego obserwowania więźniarek przez "Judasza", potrafiły porozumiewać się z sąsiednimi celami, rozmawiać przy pomocy kubeczków blaszanych, przykładanych do ściany, albo wystukiwać alfabetem Morse'a. W ten sposób rozmawiało całe więzienie, udzielając sobie ważnych informacji. Tak właśnie dowiedziały się, już po rozprawie i wyroku, że dyrektorka Gimnazjum Benedyktynek Łacińskich, pani Maria Wierzyńska, / z rodziny Alancour/, szwagierka poety Kazimierza Wierzyńskiego, oczekiwała w celi śmierci na wykonanie wyroku. Aresztowana była w październiku 1939, tak jak większość z tej całej paczki, z której Wanda z Kazią Korczyńską trafiły tam w lutym już jako dwie ostatnie, toteż przesłuchania ich przez sędzię śledczego było już raczej formalnością.

Po rozprawie kwietniowej przeniesione do „Brigidek” trafiły do celi trzydziestoosobowej, w której później mieszkankę było aż sześćdziesiąt: polityczne przemieszane ze złodziejkami, prostytutkami, nawet z morderczyniami.

Polityczne, czyli patriotki, zaangażowane w pracy konspiracyjnej trzymały się razem.

Oprócz Oli Banzel i Kazi, znalazła się tam Krysia Kowalska, moja koleżanka z pierwszej klasy Liceum pedagogicznego, małą, drobniutką Krysia, uspaniałą dziewczyna o szlachetnym sercu, które późniejsze losy pozwoliły mi poznać. W tej grupie ona była najmłodsza: miała siedemnaście lat.

Stacha Wanat, już gdzieś pracowała. To ona głównie wprowadziła lekcje konwersacji po francusku, aby zmuszać się do wysiłków umysłu, a czasem po prostu porozumiewać się swobodnie bez wstajemniczenia złodziejek w swoje rozmowy. Ela Jurkiewicz była trochę młodsza od Wandzi, Maria Motylewska, starsza, obie Wandzia już znała z Zamarstynowskiej.

Myszka Kosińska, którą aresztowano razem z matką, panią Błażewską, w więzieniu urodziła syna, w dniu piątego maja 1940. Po tej drugiej rozprawie, apelacyjnej, w czerwcu, teściowa Myszki zabrała dziecko do Białegostoku,

Spośród pozostałych współmieszkanek celi Wandzia wspominała te, które szczególnie w życiu celi czymś się wyróżniły.

Zośka prostytutka, złapana na kradzieży portierny w kinie, ofiarowała się osobiście przeprowadzić rewizję w celi, na wieść, że Wandzi zginęła bluzka. Była, wszystkie ją widziały: żółta, /trykot jedwabny, więc praktyczna, bo takiej wszy się nie trzymały i łatwo do przeprania/ i przepadła. Zośka szczególnie przeszukała wszystkim wszystko, nie pomijając swoich rzeczy. Nie znalazła. A potem, kiedy już Wandzia została wywieziona na Sybir, Zośka tę bluzkę nosiła! Zapytana przez inne dziewczęta, oznajmiła, że Wanda znalazła bluzkę w ostatniej chwili i podarowała ją Zośce! Nie było to prawdą. A ręce miała typowo złodziejskie i widać dobrze wyświczzone.

Stefcia, prostytutka, pozostała w pamięci za względu na swoje szczególne upodobanie. Nigdy nie korzystała z ustępu, do kąd wyprowadzano więźniarki rano i wieczorem tylko. Zamiast wychodzenia, ona korzystała z "paraszy" właśnie zawsze podczas śniadania, z największą przyjemnością starając się jak najbardziej zatruwać powietrze. Nie było na nią sposobu!

Blondyneczka Frania o twarzy niewinnego i dobrego Anioła, siedziała za zamordowanie męża, którego zwłoki osobiście i własnoręcznie ukryła w gnojówce.

Któraś zwariowała. Wyprawiała niesamowite rzeczy i podejrzewano ją, że symuluje, aby uniknąć wyroku. Nie symulowała. Kiedyś ogłosiła, że poród się zaczął, usiadła pod drzwiami, zrobiła kupę, owinęła ją chusteczką, nosiła na rękach, śpiewała

"synkowi" kołysanki, całowała domniemanego noworodka, nie pozwoliła sobie odebrać. W końcu ją zabrano.

Kiedy pozwolono więźniarkom pracować w więziennej pralni, wszystkie "polityczne" skorzystały z tego przywileju, aby mieć okazję / i mydło! / do umycia się : codziennie! Potem wносиły bieliznę na strych, a tam kiedyś któraś odkryła przedwojenny zapas cebuli. Od tego czasu jadły cebulę, dopóki się to nie wydało.

W transporcie na Sybir karmiono tak, jak wszystkich więźniów: solonymi śledziami i nie dawano wody.

W lagrze, po amnestii Wanda zgłosiła się do naczelnika lagru że posiada aktualny adres Rodziców i dostała bilet na wolny przejazd. Równocześnie wstawiła się tam za Olę, która naraziła się w jakiś sposób strażniczą blokowej, za co nie chciano Olgi wypuścić.

Wandzia znalazła rozbrajającą argumentację:

-Puście ją do mamy, bo ma jej adres! Puście: ona przecież taka młoda!" i to poskustowało, Naczelnik kazał Olę wypuścić.

W lagrze było kilka brygad roboczych. Najlepsza była brygada artystów, pracująca przy uprawie ogórków, pomidorów i truskawek, W czasie zbierania truskawek kazano dziewczętom śpiewać aby nie jadły. Śpiewały więc systemem wymiennym, aby zawsze część z nich jednak mogła jeść.

Gdy wróciwszy z pracy w polu, otrzymywały po kubku wody na mycie, po upalnym dniu i pracy w kurzu. nauczyły się nasze dziewczęta myć sposobem obozowym. Rozebrane na golasa nabierały wodę do ust, jak najwięcej, by następnie dawkując ją sobie oszczędnie do rąk, zmywać nią ciało od góry, zgarniając ją wraz brudem, spływającym, znów następną porcją wody polewać, nie uroniwszy ani kropli bez wykorzystania jej i nadal po trochę wypuszczając wodę z ust, niezym że skąpo ciekącego kranu, aby w tak przemyślny sposób pozwolić całej powiezzchni skóry spotkać się z wodą.

Ten praktyczny sposób miałam też okazję stosować, gdy brak wody utrudnia mniej oszczędne, mycie się.

Najrozmaitsze bywają wspomnienia młodości.

Czasami zdarzają się właśnie takie, do których się na pewno nie wraca z przyjemnością i ze wzruszeniem wynikającym z przeświadczenia, że było kiedyś wspaniale.

Ale nawet we wspomnieniach smutnych przeżyć odnajdujemy coś co potrafiło rozjaśnić najciemniejsze chwile - imbre ludzkie serca.

Świetlica

Tymczasem w Urdzarze życie toczyło się swoim trybem.

Minał Nowy Rok wśród ogólnych życzeń zwycięstwa i pokój. My rozumieliśmy to jednoznacznie. Tubylcy : Kazachowie i Rosjanie mieli swoją wersję tych pojęć.

Przy okazji Sylwestra wspomniałam Wandzi, że poprzedniego, 1940 roku, parę osób spośród naszych spędziło ten wieczór na zabawie w klubie, organizowanej przez mieszkańców stałych Ras Bułaku, co cały pozostały zespół Polaków zbojkotował. Wszyscy mieliśmy im za złe, że nie powstrzymali swej ciekawości i wyłamali się, zamiast solidaryzować się z całą wspólnotą i społecznością Polaków.

W lutym młodzież polska, zelektryzowana niezwykle wiadomością, złożyła się na czynsz i wynajęła chłatkę dwuizbową, z której gospodyni z całym dobytkiem gdzieś się przeniosła. Znalazł się lokal na naszą wspólną, polską świetlicę!

Znajdował się w tej dzielnicy rodzin polskich, spory kawał drogi od nas: w pobliżu Klinków, Brzezińskich, Zaniewskich. Oni przeważnie a także inni, sąsiadujący ze świetlicą, zachodzili tam przed południem, wyznaczając sobie dobrowolne dyżury, aby palić w piecu, ogrzewającym obie izby, co w tamtejszym budownictwie najczęściej spotykało się. Opał też zakupiono ze składek.

Po południu było tam już ciepło. Cała nasza młodzież, ze wszystkich stron miasteczka schodziła się tam, spragniona wzajemnych kontaktów, na które warunki mieszkaniowe rzadko pozwalały. Spędzano tam całe popołudnia i wieczory, bo oprócz małżeństwa Prusów, w tym okresie chyba nikt nie pracował.

Ze wspólnego śpiewania, gier towarzyskich i pogaduszek, powstał pomysł urządzenia polskiego przedstawienia. Przybierał na sile i rozmiarach, aż urósł do pokaźnych rozmiarów rewii, zawierającej skecze, deklamacje, inscenizacje, pieśni, piosenki, tańce i humor.

O ile się nie mylę, sam pomysł i propozycja wyszły od Ewy Prusowej i Myszki Laniewskiej. Potem kolejno każdy coś doradzał, dorzucał od siebie, jeden pomysł pociągał za sobą następne i wkrótce żyliśmy organizowaniem naszej, polskiej imprezy, w ostatecznej decyzji przeznaczonej dla całego Urdzaru.

Przygotowania

Poprzez wpływ doktora Prusa i Ewy zdobyto zgodę szkoły na ostateczne przygotowanie tańców w szkolnej sali gimnastycznej, gdzie znajdował się fortepian. Tam więc spędzaliśmy ustalone popołudnia, aby ćwiczyć swoje tańce: krakowiaka, kujawiaka, mazura i polkę. Trzy pierwsze, wykonywane przez cztery pary, w malowniczym i typowym układzie ichoreografii Adasia Zaniewskiego. Polkę "batiarską" wykonywała jedna para: Lidka Schramm z Mietkiem Piątkiem, co im znakomicie wychodziło.

Do tańca przygrywał przeważnie Jurek Horodyski, czasem też Adaś.

Słowo wiążące poszczególne części rewii, były autorstwa głównie Ewy i Myszki Laniewskiej, ale chętnie dorzucano każdy pomysł, jeśli tylko przyczyniał się do wzbogacenia całości. Nikomu nie brakło zapału i prześciganb się w pomysłowości, by przedstawienie wypadło jak najwspanialej.

Na tych próbach pękały wszelakie lody i- jak to Zuzia mówiła, całe towarzystwo się rozkrochmaliło. Nawet ja oswoiłam się z tym gronem koleżanek i kolegów, już nie czułam się, jak zwykle wśród mniej znanych sobie osób, tak rozpaczliwie onieśmielona, co sprawiało mi zawsze wiele problemów.

W przerwie między wybranymi tańcami ludowymi Jurek wygrywał z zapałem melodie tańc^{ów} towarzyskich, a młodzież zaraz doszła do wniosku, że "nogi same tańczyć chcą". Ulubionym jego tańcem była "La Comparsita", o ładnej, dźwięcznej melodii. Nie znałam jej wcześniej i dlatego ta melodia zawsze przypomina mi naszą młodość "godną i godną", jak ją sobie w myślach słusznie nazwałam.

Spośród walców ulubionym był: "Walc Francois", znany mi już wcześniej, z repertuaru Eli Wojciechowskiej i Janki Goryluk, od których po raz pierwszy go usłyszałam. W Tas Bułaku. Toteż ilekroć słyszę melodię tego walca, nie mogą nie wspomnieć tamtych dni.

Nie tylko ja oswoiłam się z tym towarzystwem, ale także zostałam zaakceptowana. Nawet niektórą, raczej młodszą dziewczęta prosiły, by je nauczyć któregoś kroku, czy tańca, potem także paru kolegów, z których do najpilniejszych zaliczyłam, oprócz Matyldzi, szlifującej swe umiejętności przy prawdziwej muzyce, także i Lidkę Kasal, trochę od niej młodszą oraz

obu bliźniaków: blondyniastego Jasia i ciemnowłosego Włodka.

Po miesięcznych przygotowaniach nasz zespół reżyserów zdecydował, że cały program już jest opanowany i jak najprędzej należy urządzić przedstawienie, ponieważ zbliżał się termin Wymarszu naszych chłopców do Wojska.

Od kilku dni już w Urdzarze przebywał ojciec Krysi Marchut Aresztowany, jako sędzia, po amnestii dotarł do Wojska Polskiego, gdzie jako porucznik rezerwy, otrzymał przepustkę do Urdzaru, do rodziny. Otrzymał równocześnie upoważnienie zorganizowania poboru ochotników do Polskiej Armii.

Słyszałam i cieszyłam się, że Krysia jest szczęśliwa z przyjazdu ojca. Polepszyły się też ogromnie materialne warunki tej rodziny, już skompletowanej. Była to oficerska gaża. Pamiętałam jak to Krysia z matką przeżyły krytyczny okres dzięki obrabowaniu chomików, co je uchroniło od klęski. Spotykałam Krysię nieraz w mieście, potem w świetlicy i zawsze pogadałyśmy sobie

Potem dowiedziałam się, że pan Marchut jest bardzo ciężko chory, a żona obawia się, że wycieńczony organizm nie przetrzyma zapalenia płuc. Izolowała go w pokoju, aby zdołał wrócić do zdrowia.

Ostatecznie usilne starania odkarmienia go pozwoliły zakończyć kwarantannę i pan porucznik, jako przedstawiciel Wojska Polskiego, razem z Delegatem Rządu, panem Urbanem /ojcem Maryli, naszej koleżanki/, z doktorem Prusem i Ewą, udali się do miejscowych władz i uzyskali zezwolenie na zorganizowanie przez młodzież polską, idącą do wojska, przedstawienia pożegnania dla miasta. Cenzura zatwierdziła teksty.

Przedstawienie

Polska "postanowka", odpowiednio ogłoszona i zareklamowana odbyła się w niedzielny wieczór; dnia pierwszego marca 1942 r. Sala kina wypełniona po brzegi nie mieściła wszystkich chętnych i przedstawienie obiecano nam, że pozwolą powtórzyć na następnym dniu. Wstęp płatny, bilety w normalnej cenie biletów kinowych.

Wspaniałe powitanie wygłaszali konferansjerzy: Zbyszek Klink po polsku i Ewa Prusowa po rosyjsku. Scena przedstawiała wnętrze naszej świetlicy, w której dość spora liczba naszych koleżanek spędzała czas na koleżeńskim spotkaniu. Po par-

Po paru niby zwyczajnych, lecz pełnych dowcipu wymianach zdań zaczęły się śpiewy i rozbrzmiała nasza, świetlicowa, piosenka, z tekstem Grzesia Badera:

« Tylko w świetlicy dobrze my czujemy się,
Tylko w świetlicy naszej młode życie wre,
Grono przyjaciół czeka cię,
Tu przychodź, bracie, gdy ci źle!"

Potem wspominając z tęsknotą miasto swego dzieciństwa, młodzież na scenie zapadła w sen. Na całe szczęście publiczność nie poszła za tym przykładem!

We śnie zaś zaczęły się dziać różne dziwy: ktoś zawołał, że lecimy wszyscy razem, z naszą izbą, po chwili, ktoś zobaczył z góry nasze rodzinne miasto, gdzieś natrafiało się na przeróżne scenki rodzajowe, przeplatane tańcami, skeczami, żywym słowem, pełnym serdecznej zadumy i żywiołowego humoru. Wszystko to wiazała dowcipna konferansjerka, która obcym po rosyjsku wyjaśniała sens i treść.

Wielobarwne stroje ludowe, a raczej ich naśladownictwo, oczarowały widownię, która rzęsiстыми brawami nagradzała każde taneczne wejście na scenę. Te stroje były owocem pomysłowości i pracowitości.

Najczęściej tylko kwieciste spódniczki były autentyczne, przeważnie z sukienek typu "chłopka", chętnie noszonych przed wojną.

Białe fartuszki krakowskie / Kaw^{or}ki płótna / ponaszywano kolorowymi paseczkami płótna wcześniej pofarbowanego, na kilka kolorów, co wspaniale zastępowało kolorowe wstążeczki. Takie same, lecz szersze wielobarwne pęki wstążek powiewały z wianków krakowskich, fantastycznie wykonanych przez chłopaków z farbowanych wiór / kupionych od ruskiego wykonawcy trumien / Bluzki dziewcząt i koszule chłopaków miały białe rękawy.

Gorsety uszyte zostały z farbowanych na czarno pończoch oraz ozdobione kolorową aplikacją. Panofle dziewczęta pożyczaly sobie tak, aby na scenie wystąpiły te najporządniejsze. Przy kujawiaku dziewczęta miały na głowach kwieciste chustki, do tyłu związane, na sobie chłopki i gorsety, bez fartuszków. Mazura tańczono w krakowskich strojach.

Krakowiacy wystąpili w spodniach pyjamowych, w paski, pożyczonych butach, białych koszulach i krakowskich rogatywkach z bibuły, zdobnych w pawie pióra, też bibułowe, usztywnione

drutem. Przy pasach, z usztywnionych pończoch, dźwięczały im sznury z dziesiątkówkami z błach. Tańce wypadły wspaniale i wszystkie trzeba było bisować.

Wanda tańczyła kujawiaka w pożyczonej chłopce. Ja przez ostatni tydzień prób zastępowałam Włodka w kujawiaku i krawiaku, tańcząc z Lidką Kasal. Przed samym przedstawieniem on uparł się, że nie wyjdzie na scenę, bo mu się wszystko pomyli i dlatego zmuszono mnie, abym i na scenie go zastąpiła. Oczywiście w męskim stroju, w który mnie w pośpiechu obleczone, łącznie z butami-cholewami, pożyczonymi od Krysi Marchut, której je ojciec przywiózł. Naturalnie przez cały czas na scenie usmiechem pokrywałam tremę i niezadowolenie, jako jedyna dziewczyna występująca w chłopięcej roli, zwłaszcza, że nam chłopców nie brakowało. Pociaszano mnie, że było wszystko w porządku. No, faktycznie nie wywaliłam się na środku sceny, ani nawet nie pomyliłam kroku czy układu, chociaż z wielkiej emocji mogłam się tego po sobie spodziewać.

Inscenizacja "Pani Twardowskiej" to był prawdziwy sukces. Szlachta siedząca za długim stołem, nakrytym obrusem aż do samej ziemi, gestykulując żywo odgrywała opowiadanie narratora :

" Jedzą, piją, lulki palą...",
co z miejsca przykuło uwagę chłonnej publiczności.

Akcja toczy się wartko i nagle jak gdyby wszystko znieruchomiało, aby tym mocniej uwydatnić gest jednego szlachcica, który ostentacyjnie chwycił ze stołu butelkę, spojrzął na nią pod światło, oceniając zawartość i pokiawszy głowę z zadowoleniem, zdecydowanie pociągnął spory łyk.

W tym właśnie momencie zgasło światło. Gdzieś na sali dał się słyszeć nieśmiały pisk i gwałtowne uciszenia. Ale: co to? Na scenie nagły wybuch ognia w powietrzu, a w jego blasku ukazuje się na stole dziwna, do minimum skurczona postać. Zapala się światło i widać, że ten ktoś na stole wolno się prostuje, wypręża i w całej swej okazałości ze stołu zeskakuje diabeł.

Sala trzęsie się w posadach od głośnych reakcji widowni. Ludzie wstają, dzieci piszczą, wążą na ławki, albo domagają się od rodziców, by je podnieść, aby ponad głowami zasłaniających im widzów zdołali zobaczyć, co się właściwie dzieje.

" A jak to było, opowiem: " / to cytot z " Powrotu taty"
Otóż Mietek Piątek bohatercko nabrał pełne usta ropy nafto-

naftowej, którą tak manifestacyjnie oglądał i gdy tylko światło zgaszono, zapalił zapałkę, aby na jej płomień wyrzucić gwałtownie z ust całą naftową zawartość. Cudowny jego pomysł i pełne poświęceń wykonanie / wcześniej wypróbowane! / stworzyły ten nader efektowny fajerwerk, budzący tyle emocji.

Równocześnie Jurek Brzeziński, schowany pod stołem i zasłonięty tym zwisającym obrusem, w momencie ciemności wyszedł z ukrycia i wskoczył na stół, zanim zaświecono światło.

- " Czort, satana!" - usłyszałam pełne zachwytu sapnięcie, gdy stojąc zakryta zsuniętą kurtyną podziwiałam aktorskie przeobrażenia utalentowanych kolegów.

Diabeł musiał oczarować wszystkich. Czarny od stóp, poprzez rajstopy na łaskonogich kończynach dolnych, aż do głowy. Wiatrówkę miał czerwoną. Czarne rękawiczki zakończone czerwonymi szponami : " I krogulcze miał poznokcie!" /z kartonu/ Szyja i głowa czarne/ w pończosze/, czarne skołtunionie włosy: / sieczka ze zniszczonych, pofarbowanych pończoch/ uwydatniały dwa okazałe czerwone rogi / z kartonu/ Z ust zwisał długi, czerwony jęzor.

- " Jej Boh! Ja że nikagda czorta nie widieła!" - zawołał piskliwy głos w pobliżu.

- " Bih me! Ja toże!" - odpowiedział przejęty bas, a oba te okrzyki musiała nasza szlachta niewątpliwie usłyszeć na scenie bo Mietkowi aż gęba pokraśniała z ukontentowania, aczkolwiek po tej " karasinie" nie musiało mu być zbyt słodko, zaś szloch-cic-Włodek aż zacierał ręce z wrażenia.

Wielkie powodzenie zdobyła sobie też sama osoba odtwórczyni tytułowej roli, w wykonaniu Myszkii Laniewskiej, ucharakteryzowanej na babę z piekła rodem. Pokażnego wzrostu, dodatkowo została poduszkami uzupełniona do rozmiarów potężnej tuszy. Na głowie, zdobnej czepkiem, obszytym koronką, miała artystycznie nieporządną fryzurę, wymykającą się w nieokieznanym nieładzie na wszystkie niemożliwe strony. Wystrojona była arcykarykaturowalnie, w jakiejś okropnej, długiej do ziemi spódnicy. Przy tym robiła przez cały czas miny, które w całej pełni usprawiliwiały ucieczkę Mefistofelesa. Dostała serdeczne oklaski.

Myszka występowała jeszcze w dwóch skeczach.

W "maszynie do wykrywania kłamstwa" grała żonę, rolę męża odstawiał Grześ Bader, a sens sztuczki polegał na gotowości

każdej z tych osób do zastosowania tej maszyny do zbadania prawdziwości współmałżonka, nigdy do siebie.

W skeczu z Mietkiem Piątkiem Myszka odgrywała okropną starą pannę, którą w oczekiwaniu na nieznanego konkurenta, zamawia do domu fryzjera, aby ją zrobił na bóstwo. Podczas czesania zwierza mu tajemnice wszystkich swych sprawek oraz braków w urodzie, by na ostatek dowiedzieć się, że fryzjer nie przyjdzie, a to był właśnie niewzany konkurent.

Konferansjerka objaśniała dobrze, o co chodziło na scenie i cała różnojęzyczna widownia bawiła się doskonale.

Inscenizacja piosenki: " Umarł Maciek, umarł" , zaczęła się scenką żałośliwą nad szczątkami doczesnymi Maćka, w obsadzie Adasia Zaniewskiego, leżącego na ławie i oloczeniu załamującym ręce, przy słowach:

Gdy zagrali mu mazura,
Maciek z piekła daje nura"

potwierdzona zerwaniem się umrzyka z deski i tańcem, z haneczką Brzezińską, stojącą najbliżej / w stroju krakowskim/, do którego dołączają następnie tworzące się na scenie pary, by odtańczyć siarczystego mazura, oczywiście bisowanego.

Przed pożegnalnym finałem sala zagrzmiała z zachwytu podczas inscenizacji piosenki legionowej:

"Przybyli ułani pod okienko"

którą nasz zespół zakończył dorobioną frazą:

... " Ze Lwowa pójdziemy do Berlina!
Ze Lwowa pójdziemy do Berlina:
Powiesić Hitlera, sukinsyna! "

co podchwyciła cała publiczność i głośnym rykiem zawtórowała, śpiewając razem z aktorami, potem przyklaskując sobie, a na koniec napędzając nam strach, że gotowi są tak to wyśpiewywać przez całą noc, ku czci uhonorowanych w pełni aktorów i dla utwierdzenia sojuszu.

To był niewątpliwie PCLski Wieczór dla Urdżaru, który żył wrażeniami, bez żadnej przesady. Naoczni świadkowie umawiali się, że przyjdą na drugi dzień, aby to jeszcze raz obejrzeć. Obiecywali sobie wcześniej przygalić w kolejkę pod kino, bo wiedzieli, że tłum się za pierwszym razem nie dostał, a więc ludzie postarają się zapewnić sobie bilety wcześniej.

Tymczasem... fortuna zmienna jest!

Nazajutrz miejscowe władze, dziękując za zaproszenie na tak wspaniały program, o tak wysokim poziomie artystycznym,

Jakiego miasto nie oglądało od czasu

ostatniego przyjazdu Teatru Moskiewskiego, przed dziesięcioma laty, poinformowało naszą delegację, że przedstawienie musiało odłożyć na przyszły tydzień, z powodu konieczności odbycia wiecu. Właśnie wtedy i właśnie w kinie. A obiecano za tydzień bo już wiadomo było, że wcześniej nastąpi wymarsz ochotników do Polskiego Wojska.

Załatwiono politycznie. Miłymi komplementami osłodzono gorzkie rozczarowanie spowodowane odmową.

Biblioteka i pamiętniki

Przez cały luty, czyli okres istnienia polskiej świetlicy, gdzie scnodziliśmy się tak chętnie, poznałam prawie całą naszą młodzież mieszkającą wówczas w Urdzarze. Dziewczęta z mego pokolenia uczestniczyły na przedstawieniu głównie we wspomnianych tańcach ludowych. Przypominam sobie w nich Hanke Brzezińską, Ewę Zaniewską, Irkę Grinczak, Lidkę Schramm, Wiśkę Hellebr^and, Marynę Urban, Krysię Marchut, Wandę i Lidkę Kasal zaś z chłopców: Jurek Brzeziński, Adaś Zaniewski, Wiesio Tyszka i Zbyszek Kasal / sami wysocy/ oraz Mietek Piątek /w dueci/: " Polka batiarska" z Lidką Schramm, której bracia występowali w "Pani Twardowskiej", w roli szlachciców, oprócz paru innych chłopców.

W świetlicy planowaliśmy od pierwszego już dnia, założenie wspólnej biblioteki z książek przyniesionych przez wszystkich, cokolwiek kto ma, a na ogół w każdej rodzinie znalazło by się ich parę, czasem kilka. Obrano nawet bibliotekarkę: w mojej skromnej osobie, ponieważ miałam najwięcej książek, przewyższający zbiór Brzezińskich, dotychczas rekordowy w całym Urdzarze. Zima była bardzo ciężka i nikt nie zaczął kwestowania książek po domach, a ja, wciąż tymczasem, jeszcze swoje książki pożyczalam, kiedykolwiek ktoś o nie się zwracał, zanim biblioteką, jako taka, powstanie. Ostatecznie wyznaczono nam termin dostarczenia sań dla zorganizowania wyprawy do pociągu, na pierwsze dni marca, toteż zrezygnowaliśmy ze świetlicy i tym samym ze zrealizowania planów dotyczących biblioteki, do której otwarcia nie doszło.

Dziewczęta miały ze sobą pamiętniki, czyli zeszyty, zwykle ozdobne, do których wpisywano im ulubione wiersze, czy też złote myśli "ku pamięci", jak kiedyś do sztambuchów naszych prababek.

Bywały tam typowe wierszyki, jak :

" Na górze róże, na dole fiołki,
My się kochamy, jak dwa aniołki"

albo takie złote myśli, jak ta :

" Najszlachetniejszy kamień, to ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zarysować nie daje.

Najszlachetniejsze serce jest to właśnie,

Które raczej skaleczyć da się, niż samo zadraśnięcie. "

Albo pełne patriotycznej wzniosłości:

" Z sumienia swego uczyn' biel,
Amarant - z krwi serdecznej
I pod Cjczyzny stopy ściel
Biało-czerwony trud i cel,
A sztandar stworzysz wieczny. "

Nikt już nie pamiętał autorstwa tych wierszyków, ale znajdowano je w wielu pamiętnikach.

W naszym Środowisku zaczęły się pokazywać w pamiętnikach oryginalne wierszyki, obok-tamtych, przedwojennych i stereotypowych. Zgodnie z nowym zwyczajem, napisałam Zuzi do pamiętnika rymowanekę, stworzoną specjalnie ku jej czci:

" Loczki w koło, ładna buzia:
Tak wygląda panna Zuzia.
Choć skończyła już trzy lata,
Zawsze skora figle płatać. "

Eli Wojciechowskiej, na pożegnanie, napisałam dwa wierszyki które mi uroczyście kazała wpisać sobie od razu do pamiętnika. Zawierały wspomnienia jej piosenek, którymi tak dzielnie walczyła z beznadziejnością naszej pierwszej zesańczej, wspólnej zimy.

Ja też miałam swój pamiętnik, ze Lwowa, przywieziony. Nie duży, w drewnianej okładce z wyrzeźbioną gałązką kosodrzewiny i z napisem: "Zakopane" oraz z wrytym moim monogramem. Pamiętka od Wandy, z jej pobytu w Zakopanem, w lecie 1935 roku. Bardzo ceniłam sobie tę pamiątkę. Ten mój pamiętnik był już zapisany do ostatniej strony, co Zuzia, zobaczywszy, wzięła go ode mnie dość skwapliwie. Zwróciła wzbogacony o kilkunastostronnicową wszytkę, dokonaną przez Mietka Piątka, czym sprawili mi miłą, ogromną niespodziankę. Oczywiście Zuzia już mi się wpisała, zaraz poprosiłam o to Mietka i kolejno wszystkich, kogo się dało.

Bliźniacy narysowali mi: Janek: głowę typowego Kazacha, Włodek: konia, śliczne rysunki, wykonane kredkami.

Grześ Bader Zapisał mi rymowanekę własnego autorstwa, stworzoną ku mojej czci:

" Niech ci wesoło
Będzie na wieki,
Bibliotekarko,
Bez bilitoteki! "

później

Ten pamiętnik /skradziono mi z kieszeni munduru, wiszącego w namiocie. Złodziej działał w ciemności i niewątpliwie był pewny, że złowił portfel. Strasznie było mi szkoda, że się pomylił: tak fatalnie dla mnie!

Ale po wielu latach, kiedy zostałam autentyczną bibliotekarką, /z wykształceniem bibliotekarskim! /przypomniał mi się właśnie ten utwór Grzesia.

Jak to się losy czasem pląta...

Malowanie podłogi.

Tak sformułowany tytuł przywiódł mi na myśl naszą starą podłogę, w naszym starym domu: puszka farby / chyba "jasny orzech" /- pędzel i zapach nieodłączny od tych akcesoriów...

Tymczasem w naszej kwaterze babuszka zdecydowała, że podłoga ma być wymalowana?

- Ani to podłoga, ani malowanie- zauważyłam.

- Jaka podłoga, takie malowanie- dopowiedziała moja siostra. Babuszka przyniosła glinę w jakimś okropnym naczyniu, podejrzanego pochodzenia i autóramentu. Oczywiście nic z gatunku, czy rodzaju nocnika, bo bez tego się tam obchodzono. Wanda przyniosła wodę, więc rozmiesiłam glinę, aby korzystając z nieobecności obu gospodyń, które domyślnie wyniosły się, by nie przeszkadzać, wzięłam się do dzieła.

Starannie rozmazywałam glinę, wyrobioną na gładko, raz koło razu, wspominając swoje sobotnie froterowanie podłogi, wcześniej napastowanej przez siostry, którą pucowałam, posuwając tańcząc najpierw na szczotkach, potem już na szmatkach, w takt koncertu życzeń, przy detektorowym głośniku. Zwykle czekałam na : Tango Życzakowskie:

" Hulaj, braci fajnu, gdy harmonia gra!

Bier baby pod pachy. Bóg ci zdrowi da!..."

albo na ulubione & " To samo niebo:

" A wszędzie w górze to samo niebo

I ten sam uśmiech porannych zórz.

Jednako kwitną jesienne róże,

Dla wszystkich łądów, dla wszystkich mórz..."

- Ta, gdzie!... Ani niebo to samo, ani róże nie kwitną...

Ani to "malowanie", tej "podłogi"...- rozmyślałam, dojeżdżając na kolanach już niemal do połowy izby, gdy babuszka zjawiła się w tym miejscu, w którym powinien być próg i drzwi, których brakowało.

- A cóż to ty robisz?- zawołała zdziwiona, jak gdyby nie była pierwszą i jedyną przyczyną moich wysiłków.

- A, no, tak, jak chcecie: "mażę!"- sapnęłam.

- Tak byle jak?- pałała oburzeniem.

- A niby jak?- nie wytrzymałam.

- A cóż to za robota?! Przecież to sama glina i woda!- głos starej przybierał na sile.

- „Prawilno!”- skwitowałam, wciąż jeszcze nie kapując, o co jej chodzi.

-To do niczego!...- zaczęła

- Jak to?!...-

- Musi być łajno! Musi być łajno! Nie rozumiesz?!-

- Wściekła się, czy co?- pomyślałam, bo aż mnie zatkało tym razem, ale niezdążyłam ust otworzyć, gdy wybiegła pośpiesznie i zanim zdołałam ochłonąć, już mi przyniosła świeżutkie krowie porcje, szurnęła to do gliny, nawet rozmieszała i woła:

- Tak ma być! Rozumiesz? Wszystko tym maluj! Całą podłogę! Przecież sama glina zaraz się wykruszy! Nie wiesz? Musi być z łajnem!...-

Jeszcze długo gderała, ale ja poszłam do kuchni, do Mamy z prośbą o byle jaką szmacinę, bo się strasznie brzydziłam, bliska torsji na sam zapach, nie mówiąc już o widoku.

Biedna Mama wygrzebała w mig i poświęciła jakąś szmatkę z tych swoich skarbów na łaty i udało mi się nią okręcić prawicę, aby w ten przebiegły sposób chronić ją przed zetknięciem z obrzydliwościami, a jednak zabrać się do roboty.

Ze wstrętem zaledwie machnęłam podłogę w paru pasach, gdy ~~prz~~ przemiła babuszka zobaczyła tę moją dłoń, uzbrojoną w szmatkę. Jak wrzasnęła! Myślałam, że dostanie apopleksji! I ja też!

- „A! Wot! Kulturny naród! Daże połu nie wmięt mazat!” / A o to kulturalny naród! Nawet nie umieją malować podłogi! / krzyczała rozsierzdzona, przedrzeźniając mnie z pasją, aż się zapieniła ze złości. I, aby mnie już pognębić do reszty, dorzuciła drwiącym głosem, z najwyższą pogardą:

- A mówili mi, a ja nie chciałam wierzyć, że u was nawet "wos^{sz}bojki" /odwszalni/ nie było!-

Nie ręczę, jak skończyłby się ten cały incydent, gdyby nie domyślny prosiaczek-wybawca, który właśnie w tym momencie wykorzystał wejście Tasi do domu i czmychnął przedziusienko, ale tak sprytnie, że obie właścicielki podążyły za nim.

Widocznie jego sympatie były po stronie pokrzywdzonych, bo przegonił obie panie domu

bo przegonił obie panie domu tak, że nie były zdolne do wypowiedzenia bodaj słowa, kiedy się dowlokły za uciekinierem, już dobrze po zakończeniu mojej bohaterkiej pracy.

- Udało mi się- pomyślałam, jako że dokończyłam ją przy użyciu ochronnej szmatki, ale gdy rzuciłam okiem na obie kobiety, przyszła refleksja:

- Jedna stara, druga przy nadziei, w takich warunkach, nie mówiąc już o tym, że właściwie co one wiedza o naszym domu, życiu i co za życie one same mają? I co im się dziwić? Że mają całkowicie inne doświadczenie życiowe? No, cóż: "Co kraj, to obyczaj..."

Placek z plew.

- O? Macie świniaka?- ucieszyła się Haneczka, spotkawszy mnie na placu, gdy kupowałam plewy.

- Nie...- zaprzeczyłam, zgodnie z prawdą, czego po kilku godzinach trochę żałowałam.

- A to? -

- Na placki... Mama robi z tego całkiem dobre.- zapewniałam

- Ciekawe... Nigdy nie jadłam... Spróbowałabym.-

- Przyniosę, będziesz w świetlicy?- upewniałam się.

- Tak, oczywiście, że będę. Przyjdź!-

- Przyjdę.- rozstałyśmy się.

Tego dnia namówiłam Mamę na luksus: cebulę do placków. Swoją obiadowy placek odłożyłam. Potem poświęciłam kartkę papieru z zeszytu, a gdy wychodziłam z Wandzią, włożyłam placek do kieszeni.

- Przyniosłam ci do skosztowania!- zwróciłam się niedbale do Haneczki, wydobywając placek w papierze.

- O, świetnie!... A, wiesz, że to nawet jest jadalne... Ewa, skosztuj!...- po chwili moja dobową racją żywnościową została po kawałku poskubana przez parę ciekawych koleżanek.

- Hmm.. Nawet pomysłowe: z paszy zrobić dodatek do ludzkiego pożywienia- uznała jedna.

- Nie przypuszczam, że to się nadaje- dodała druga.

- Dogu dzięki, jeszcze niewiele wiecie!...- pomyślałam, zastanawiając się po niewczasie nad sobą i przyczynami, które skłoniły mnie do tego wyrzeczenia się placka. Co to było? Fałszywa ambicja? Wstyd? Pycha? Głupota? Przecież nasza gospodyni ma prosiaka, mogłam skłamać, że to kupuje dla niego.

Tylko, że zaskoczona pytaniem, jak zwykle strzeliłam prawdę. Do takiej mądrej odpowiedzi powinnam się była ze trzy dni przygotowywać! To był znowu ten okres, w którym u nas jadło się jeden raz dziennie: właśnie po takim jedynym placku na dobę... Jak więc mogłam być aż taka głupia? A może to jednak próżność, bo chciałam udowodnić, że to jest jadalne, a nie tylko pokarm dla świń? Jeśli tak, to już trzeba było raczej skłamać; i tak grzech: tak, czy owak! Stałam uśmiechając się jak gdyby ubawiona / tą swoją nieodpowiedzialnością!.

W pewnym momencie poczułam na sobie czyjś wzrok.

Wanda!... Zobaczyła, co się dzieje... Nie powiedziała nic. Tylko popatrzyła na mnie. Spojrzała, jakby zobaczyła ~~mi~~ mnie pierwszy raz w życiu. ..

Potem nawet nie wspomniała ani słowem.

Ja też... Było mi wstyd.

Świetlicowe gry towarzyskie

Kiedy się w świetlicy nie śpiwało, nie rozmawiało grupkami, czy parami, bywało, że graliśmy w różne gry towarzyskie. Lubiliśmy, zgromadzeni w kole, kręcić butelkę na ziemi, zadając jej pytania i obserwując, kogo wskaże swą szyjką, jako sprawcę, czy kandydata określonej czynności. Zawsze dużo było przy tym pomysłów i śmiech odpowiadał wskazaniom butelki.

Często bawiliśmy się w cenzurowanego. w zagadki, grali chętnie w przysłowia, rozmaitego typu zgadywanki, a gdy się znalazł papier, także i w sekretarzyka oraz w inteligencję.

Humor zawsze nam dopisywał i pomysłowości nie brakowało. Gdy siedziałam kredyś na cenzurowanym, od razu zgadłam, że to nikt inny, tylko Jurek Horodyski obdarzył mnie epitetem, wyjętym, jako fragment z lwowskiej piosenki „włosy, jak badyli” i wszystkim było wesoło, że tak go rozszyfrowałam. A włosy, wciąż zbuntowane na wojenne mydło, pozostawały moim utrapieniem, niezależnie od poczucia humoru, a także od sentymentu do lwowskich piosenek.

Grywaliśmy nieraz w fanty, która trzeba było wykupywać.

Razu jednego za fant siedziałam na ulu, co polegało na świetnej zabawie obserwatorów i wysiłkach ofiary, która z związanymi oczyma miała zgadnąć, kto to ją pociąga za włosy, albo, gładzi, czy też szturcha, szarpie, lub dmucha w nos. Barbarzyński ten naród z wielką uciechą wciąż mi odpowiadał

„Nie!” gdy próbowałam odgadnąć.

Na koniec:

- Kietek! A to batiar!- krzyknęłam z oburzeniem, walczącym z rozpaczą, zdzierając równocześnie szalik z oczu.

- Ale, poznała!- cała sala ryknęła wielkim śmiechem, nie domyślając się wcale, że gwałtownie tłumikam łzy: jak śmiał?! Cmoknął mnie w same usta! Co za profanacja! Czy to się tak godzi?.. Jakim prawem?

Modne też były zakłady. Wygrałam jakiś zakład z Włodkiem, za co miał mi coś narysować. Powiększył fotografię konia / to była własność pana Wodzickiego/ i pokolorował kredkami, co mu pięknie wyszło. W domu Tasia bardzo się tym zachwycała, a ponieważ rysunek był duży, jak kartka papieru kancelaryjnego, więc go ze sobą nie zabrałam; Tasia zatrzymała to sobie na pamiątkę, gdy Rodzice przeprowadzali się od niej.

Różne sympatie młodzieńcze, w obliczu rychłego rozstania przyćierały na sile. Chłopcy, jako bohaterowie w oczach dziewcząt wybierali się do Wojska Polskiego. Dziewczęta, w oczach chłopców, pozostawały, jako męczennice zesłania, w znanych już, niezbyt obiecujących warunkach. Koleżeństwo i przyjaźnie sprawiały, że te rozstania przepełniały smutkiem, tymbardziej że wszystko było jedną wielką niewiadomą.

Zoliżał się czas pożegnań i czas rozstań. Serca, spragnione nadziei, broniły się przed rozpaczą. Jednak na twarzach ~~poza~~ zostawał uśmiech; Uśmiech na drogę. Uśmiech na pożegnanie.

Uśmiech - na wszystko.

Pani Marchutowa

Już tylko dni kilka pozostało nam, bowiem władze miasta zapewniały o zorganizowaniu Polakom transportu do stacji kolejowej. Wszyscy żyli tym wydarzeniem, bo z każdej kwatery, ktoś wyruszał do Wojska. Jeszcze spotkaliśmy się kilka razy w świetlicy, gdzie zwykle przekazywano nam różne informacje bieżące.

Krysia Marchut, która niejednokrotnie zapraszała nas z Wandą, tym razem zaczęła kategorycznie:

- Tym razem musicie przyjść! Już bez wykrętów!

- Ooo? - wyraziłam zdumienie, bo nie wiedziałam, co powiedzieć na takie dictum, ani skądona domyśliła się tych wykrętów.

To jasne, że nie rwałam się tam, bo mówiono poza jej plecami, że „do Kiki chodzi się na wyżerkę”. Zaraz jest niby jakaś herbata i do tego albo chleb i to z masłem, albo placki!

Z tego powodu tam się nie kwapiłam... Gości nieważa tam stale.

- Tak! Mama bardzo mi nakazywała, aby was przyprowadzić. bo ma do was poważną prośbę... - ciągnęła. -

- Do nas? ... -

- Naprawdę? ...

- Tak! Sama wyjaśni! Pójdziecie ze mną od razu i nie będziecie błędzić! -

- Wreszcie jesteście! Nie mogłam się Krysi doprosić... - zaczęła jej matka po powitaniu.

Okazało się faktycznie miała prośbę.

- Wiecie: mąż ^{ciagle choruje} ~~bowiem żyje~~ ^{mi} Krysia ~~nie~~ tego nie załatwi, bo ją ocyganią. Chciałam was prosić, abyście jutro i pojutrze na targu złapały Kozachów z opałem. Trzy sanie. Moja gospodyni ^{sanna} mówi, że „topki” kosztuje teraz do sześćdziesięciu rubli. Oto są pieniądze! ... -

Może my lepiej ~~my~~ przyprowadzimy sanie, a pani sama zapłaci

Kozachom, bo ostatnio mnie okradziono na placu, więc wolałabym... -

- zaczęła Wanda - Dobrze. W porządku. Wy uzgodnicie cenę a ja zapłacę, gdy mi przywiozą i zrzucą. Gdyby Krysia nie była po grypie i ja taka słaba, to bym was nie prosiła... - mówiła
- Mamusiu! Popatrz: Ala chodzi w tenisówkach! - wtrąciła Krysia.
- Rzeczywiście! Nie odmroziłaś sobie nóg?... - zapytała z troską
- Trochę - przyznałam z przykrością
- I jak jeszcze! - chlapięła Wandzia
- Mamusiu! Jak ona pójdzie do stacji? Przecież nie można siedzieć na saniach, bo się zamarzną! Musi się iść! Jak ona będzie szła? - gorączkowała się Krysia, co mi się wydało nagle dziwnie podejrzane, więc przerwałam:
- Dam sobie radę: hartuję się przez całą zimę... -
- My też się zastanawiamy... - westchnęła Wanda
- Ja jej pożyczę na tę drogę swoje buty! Przecież tańczyła w moich na przedstawieniu - są akurat dobre, ten sam rozmiar! -
- Krysia nie dawała nikomu przyjsć do słowa.
- To byłoby cudownie! Tylko do Ajaguru! Już tam na miejscu Ala zaraz by je zwróciła! - Wandzia nie posiadała się z radości.
- Ja mam przecież i te wysokie do kolan i te wojskowe, sznurowane. A w Ajagurze się zaraz spotkamy, bo my pojedziemy samochodem, gdyż Tatusz chory i nie da rady inaczej... -
- tłumaczyła to matce, to znów nam.
- Dobrze. Możesz jej pożyczyć. Może te sznurowane, co? Mówisz, że pasują? - pani Marchwowa zgodziła się na prośbę jedynaczki.
- Ale ja nie wiem... Ja się boję, aby ich nie zniszczyć. To przecież spory kawał marszu. Sto siedemdziesiąt trzy kilometry! - uczciwie uprzedzałam nie tracąc nadziei, że się nie rozmyślą.
- No wiesz! To są przecież nowe, żołnierskie buty! Tatusz mówi, że całe umundurowanie angielskie, jakie nasze wojsko dostaje, jest bardzo solidne. Nie bój się! -
- Dziękujemy! Bardzo dziękujemy! - podjęła Wandzia skwapliwie.

- Jutro " przywieziemy " ten opał.

Wymarzłyśmy się porządnie nazajutrz, ale złapałyśmy aż dwóch Kazachów z gałęzmi i odprowadziły do pani Maruchtowej.

Tego dnia więcej nie było. Na następny udało nam się zdobyć trzecią sannę, też za sześćdziesiąt rubli i odprowadziłyśmy Kazacha na miejsce.

- A wy gdzie mieszkać? - zapytała pani Maruchutowa, gdy zapłaciła woźnicy.

- Na Furmanowa -

- No, to jedźcie na Furmanową - zwróciła się do Kazacha, gdy już chciał zrzucić gałęzie

- Jak to? -

- A to ode mnie dla waszej Mamy! I pozdrowienia. Powiedźcie, że ma dzielne córki! -

- Wiesz myślałam, że może jest niezadowolona, że Kryśka wyrwała się z tymi butami, a tymczasem... - zwróciłam się do Wandzi

- Tymczasem nie jest tak źle! A mama się ucieszy!

Tyle opału, to już się podratują!... -

Byle tylko jak najprędzej dostać się do tego Wojska i zabrać już Ich tam: pod opiekę!... - wzdychałam

V Niespodzianka w klubie

Nasza decyzja roztrząsana ^{była} przez wszystkich. Większość ją popierała, wielu się dziwiło, nieliczni odradzali, nie znając rozmiaru naszej nędzy. Ostatecznie jednak, po wielu debatach i rozważaniach, czy nie lepiej byłoby, gdyby wybrała się jedna z nas i która, uradziliśmy, że jednak obie. Tym bardziej, że żadna z dziewcząt się nie wybierała, więc jednej byłoby bardzo ciężko samej.

Ostatecznie ustalono dzień wymarszu na piątego marca.

Poprzedniego dnia wybrałyśmy się z Wandzią na targ i sprzedałyśmy właściwie jedyną rzecz, którą można było sprzedać: naszą pierzynę. Dostałyśmy za nią czterysta rubli i po wielu targach zostawiłyśmy Rodzicom, którzy chcieli jak najmniej

dla siebie połowę, drugą zięłyśmy sobie na podróż

bowiem tamte

pieniądze z przedstawienia już wydałyśmy na żywność.

Przypomniały mi się Tatowe bajki ...

" W domu była straszna bieda i syn postanowił wyruszyć w świat. Na drogę wziął w węzełek drugą swą koszulę, a matka dała mu bochenek chleba, osełkę masła i goniólkę sera ... "

Teraz my wyruszamy w świat... Coś tam wzięliśmy ze sobą do przebrania, coś tam do jedzenia: chleb, parę gotowanych jajek.

Masła i sera nie warto było nawet brać na taki mróz...

Zresztą :luksus!

Przyszło to najgorsze: pożegnanie ... z Rodzicami.
W punkcie zbornym - z piosenką

A potem, w punkcie zbornym tłum ludzi. Wyruszający pod komendą kapitana Jagiełłowicza, wyznaczonego przez pana Marachuta, niezdolnego do takiej podróży i zdecydowanego za cztery dni przyjechać do Ajoguzi samochodem ciężarowym, podobno już umówionym.

Tłum odprowadzających: całe rodziny oraz całe kwatery tych, którzy wyruszali. I sąsiedzi i sympatie, przyjaciele.

Do tego przyłączył się dodatkowo tłum gapiów, węszących sensacje. I opuszczone kobiety rosyjskie, które niedawno szlochały, żegnając swoich, a teraz gotowe były dać wyraz swojemu zrozumieniu doli współtowarzyszek niedoli, nawet solidarnie ronić łzy z Polkami.

Tymczasem

" Jak to na wojence ładnie!

Jak to na wojence ładnie,

Kiedy ułan z konia spadnie!..."

Wesoło huknęła zawadiącka piosenka, po niej druga i następna, śpiewane z uśmiechem, przerywane żartami i wybuchami śmiechu ożywionej młodzieży obojga płci. Ruch i gwar! Wcale nie smutek i łzy towarzyszyły oczekiwaniu na obiecane sanie.

Rosjanki, grupkami stojące z boku, Kazaczki z dziećmiakami przypatrywały się Polakom jak jakiemuś dziwowisku.

"A za czym" im tak wesoło?!.. - zapytała któraś

- Bo idą do Wojska ! -

- Do naszego, Polskiego Wojska! - padały odpowiedzi.

- A to przecież na wojnę! Na front!... - suponowały
- Tak! Właśnie! Bić wroga!-
- Idźmy do wojska, a z wojskiem do Polski!- wołali chłopcy z zapalem
- Wojeńko, wojenko? Cóżes ty za pani?
- "Że za tobą idą, że za tobą idą"

"Chłopcy malowani"..."- znów wybuchnęło śpiewanie, a mnie przypomniawszy się "szkółka"/czyli przedszkole/u Sióstr Sercanek, na Siemawskiej, gdzie śpiewałam tę piosenkę z głębokim przekonaniem, że o tych chłopcach malowanych, zdobitych szerokim fryzem całą szalę: jedni w czapkach papierowych i z szabelkami, inni na konikach z patyką, uwieńczonych drewnianą końską głową, jeszcze jacys, biegnący za obręczą. Były tam też dziewczynki: z lalką lub kotkiem, ale piosenka nie wspominała ich nawet.

"Chłopcy malowani"... towarzyszący od najwcześniejszego dzieciństwa, jeszcze zanim można było zrozumieć sens i treść tych słów. Takie to życie narodu polskiego, takie dzieje, wyrażane piosenkami....

"Podhalańska idzie wiara

Z uśmiechem na ustach, w świat!"-ktoś zaintownował i całe towarzystwo chociaż już mocno zmarznięte i właściwie zmęczone długim czekaniem, przyjęło chętnie i tę piosenkę. Jak na rozgrzewkę! Wspaniała jej melodia zawsze wydawała mi się nie tylko pełna wiary ale wprost wesółą, radosną. Aż raz usłyszałam, jak ją Ela śpiewała sobie...w zamyśleniu i tęsknocie. Ileż smutku wyrażała wtedy ta sama, zwykle taka radosna melodia!

Jak bardzo nabrzmiała niewypowiedzianym smutkiem! Pamiętam, że poruszyło mnie to silniej, niż gdybym zastała swoją dzielną przyjaciółkę wśród łez nieutulonego żalu; aż dosłownie mi ścisnęło serce.

I teraz słuchałam, uśmiechałam się, jak wszyscy nasi i dumna byłam, że nasz naród tak się twardo trzyma, że nie załamujemy rąk, że "chłopcy idą, jak na bal" i potrafimy tak, po lwowsku mówiąc: "trzymać fason"!

Po kilku godzinach, zawiadomiono nas, że wymarsz no ten dzień
został odwołany. Sanie będą nazajutrz.

Wróciliśmy do domu. Rodzice ucieszyli się, że jeszcze choć
jeden dzień będziemy razem. Okazało się też, że pozostaną w tej
kwaterze do końca marca, bo już to było zapłacone z góry, a po-
tem baburka nie przedstawiła umowy, ze względu na rozróżnienie
Tasi.

Poza ten czynsz na dwie osoby powinien wynosić mniej, niż za
cztery, więc to się gospodyniom nie kalkulowało, a nie było
sensu, aby Oni płacili podwójnie. W związku ze zmniejszeniem
się ilości ludności polskiej utrzymywane niektóre rodziny postano-
wiły zamieszkać razem, a byli i tacy, którzy planowali przenieść -
nie się do Ajagūzu. Nie zanoszono się więc na wzrost opłat czyn-
szowych, ani trudności w znalezieniu kwatery.

Szóstego marca 1942.

Dnia szóstego marca w piątek pożegnaliśmy się z Rodzicami.
Wyruszyliśmy w najlepszej wierze, z nadzieją, że zobaczymy się
wkrótce.

Nie zobaczyliśmy się nigdy.

Chciałyśmy im zapewnić opiekę, jako rodzinie wojskowej.

W rezultacie pozbawiłyśmy Ich nawet tej swojej minimalnej
opieki, najczęściej ograniczającej się do samej obecności z Nimi.

Chciałyśmy im pomóc. Nie pomogłyśmy. Byliśmy pewne, że nasza służ-
ba wojskowa stanie się dla Nich ratunkiem. Stała się nim...

tylko dla nas...

Nigdy nie zapomnę, że w chwili tego ostatniego pożegnania
Mama uściskawszy mnie, powiedziała:

- Idźcie, idźcie! Ratujcie się.... przynajmniej Wy!.... Wy młode!...

- W takim razie ja nie idę wcale!... - chciałam zrezygnować,
poruszona do głębi, zawstydzona.

- Coś ty? Przecież już wszystko omówione, postanowione!...

Ja tylko tak... - spłoszyła się Mama - Nie ma wyjścia...

- Zostaję! Boję się, że to może być przeczucie... - wyznałam

- Nie mów! Nic podobnego! Ja tylko tak się źle wyraziłam!

Zrozumiałam, że matka miała dla nas...

Zrozum! Każda matka żyje dla dzieci i najważniejsze są dla niej dzieci! W każdej biedzie, czy w nieszczęściu naprzód chce ratować swoje dzieci! Nie rozumiesz tego? To najważniejsze! Młodzi mają żyć! Stary i tak prędzej, czy później....

- Mamó!....-

- Idźcie już! Idźcie z Bogiem!... -

Uściskałyśmy Ich oboje jeszcze raz.

Nie przeczuwałam, że to był ten ostatni raz w życiu.

Kapitan Jagiełowicz sprawdził listę, gdy tylko na punkt zborny podjechały sanie. Było ich pięć. Na bagażu tych kilkudziesięciu wyruszających.

Znów pożegnania, pośpieszne wymiany zdań, życzeń, uścisków i uśmiechów. Uśmiechy zewsząd.

A ponad uśmiechami ust zbyt często oczy pełne smutku.

Jeszcze piosenki, ostatnie wspólne.

- Zostańcie z Bogiem! -

- Idźcie z Bogiem! -

Ale wciąż jeszcze tak trudno się rozstać, więc wielką grupą idą z nami przez całe miasteczko, aż po jego kres i jeszcze dalej, choć już przeważnie tylko sama młodzież, dokładniej mówiąc dziewczęta i kilku wyrostków niepełnoletnich, gotowych też iść i walczyć i rozżalonych na własny, młodociany wiek, stojący marzeniom na przeszkodzie.

A dalej już piaski, szeroki step, więc odchodzi gromada najwytrwalszych.

Teraz już tylko droga przez stepową zimę. Ostra i mroźna zima, biały i poza drogą czysty śnieg, rażący bielą usłaną na całej przestrzeni aż po cały okrągły horyzont przytłoczony smutnym, szarym niebem.

Droga stacji kolejowej: Ajaguz

Zgasły piosenki, choć może jeszcze melodie nawracają

wspomnieniem. Zbladły uśmiechy, bo trzeba usta zaciskać przed

wścibskim, stepowym wiatrem. Trzeba oddychać nosem, zsiniałymi

Trzeba oddychać nosem, zsiniałym od mrozu, oddychać wolno i równo, a przy tym maszerować równym krokiem, bo trasa długa, wielogodzinna: do Tassaryku.

Tobołki na saniach, ręce w kieszeniach, kołnierze podnie-
ruchy zautomatyzowane, żadnych zbędnych, dla oszczędności sił.

Szósty marca, a temperatura przekroczyła -40° .

Wiatr zrywa się coraz gorszy i już po paru pierwszych godzi-
nach idzie się ze wkrastającą trudnością. Kolumna piechurów
coraz bardziej się rozciąga. Kazachowie pokrzykują na woły
i trzymając uprzęż kroczą przy saniach, aby stałe być u ruchu.

Łdziemy obie z Wanda, która zawsze była świetnym piechurym,
Męczy nas katar, a chustki do nosa natychmiast zamarzają.
Mimo ruchu czuje się ^{przenikliwy} przynajmniej chłód. To zimny wichur
przenika człowieka aż do szpiku kości.

- Jakie to szczęście, że Mama na siłę dała ci ten swój płaszcz. ..

- stwierdza Wanda, patrząc na matczyne płaszcz z rozrzewnieniem.

- Czy ja wiem?... Sama została z moim. Jest cięższy i nie tak
ciepły... rozmyślałem głośno, równocześnie zgrabiały mi rękoma

usiłuję mocniej związać pod brodą szalik, zeszyty na kształt
kaptura, którym przywiązałam do głowy swój biedny, szkolny
borecik z dumnie połykującym na nim Orzełkiem z blachy.

Już nie pamiętam kto poświęcił puszkę po konserwie i nie
pamiętam czym Jurek Horodyski powycinał te Orzełki.

Pamiętam, że to było jego dzieło, a wielka radość i duma obdaro-
wanych. Mam tego orzełka między swoimi skarbami: taka pamiątka.

Wieczór w Tassaryku. Noc w drodze do Łaj-Bułaku.

Noc w drodze do Łaj-Bułaku, po krótkim wypoczynku i posiłku
z własnych zapasów i wrzątku od Kazachów w Tassaryku, jakoś
się szło. Śnieg skrzypiał pod nogami. Wiatr chyba zamarzył od
mrozu i dał nam spokój.

W Łaj-Bułaku było kilkanaście rodzin polskich.

Znaliśmy się, to znaczy my z Tas Bułaku, któremu, jako centra-

lnej fermie całego sowchozu Tas-Bułak, podlegała druga ferma:

Łaj-Bużak. Ci z Urdżaru nie znali ich.

Pośród znajomych tam właśnie mieszkała Danka Skringer z macochą i Krysią. Danka /rocznik 1922/ zmarła w Łaj-Bużaku podczas pierwszej zimy.

Nniej więcej w tym samym czasie zmarł tam student Leszek Szubert i matka jego została sama. Żona oficera, znajoma państwa Dawidowiczów.

W Łaj-Bużaku był Janusz - "Czerwona-Czapeczka", który jechał w wagonie 37 /nasz był 38/, kolega Andrzeja Kopańczyńskiego, z liceum. Był z matką i z młodszym bratem. Marzył o tym, że "wjeździ sobie konia" /skąd?, jakiego?/ i ucieknie do Chin, skąd przedostanie się na Zachód, do Armii Sikorskiego!... Potem w pierwszą zimę, był na kursie dla braktorzystów w Certali, z kilkoma innymi chłopcami z drugiej fermy: Józek - "Czerwone - Auto" /ulubiona piosenka/^{Ten} chyba był Żydem. Potem byli w Urdżarze: on i cała ta "paczka bridżistów", bo grywali w wolnym czasie.

W Łaj-Bużaku była Halina Łaniewska z matką i siostrą Ireną, młodsza kuzynka Myszki Łaniewskiej, która była w Urdżarze. Halina z wojska z Pomocniczej Służby Kobiet dostała się w 1945 roku na farmację w Bejrucie, na francuski uniwersytet. Myszka ta wspomniała Myszka, nie przeżyła trudów podróży z Krasnowodsk do Pohlak. Spoczęła w morzu Kaspijskim. Cześć jej i pokój...

Gdy zatrzymaliśmy się w Łaj-Bużaku jeszcze tam było paręnaście rodzin Polaków. Dostaliśmy wrzątek do popicia własnych zapasów, Wandę dławili katar, rozsadzał zatoki i oprócz bólu głowy, który potęgował, uniemożliwiał normalne oddychanie. Bałam się o jej uszy, ale mnie uspakajała: nigdy się nie skarżyła, zawsze taka dzielna! Mnie dopadła inna bieda, a przy braku waty, czy ligniny, sytuacja stawała się tragiczna, chociaż liczyliśmy się z taką możliwością i starałyśmy się być przygotowane.

~~Dano nam tam wrzątek do picia i posilaliśmy się swoimi~~
~~zapasami.~~ To było bardzo krępujące. Jednak o porządnym umyciu

ledwie można było umyć ręce w zimnej wodzie.

Krótkie spanie też na ziemi, pod własnymi płaszczami z głową na własnym tobożku. Rychła pobudka i wymarsz z Zaj-Bułaku do Taszkeshkenu.

Drugi dzień podróży był jeszcze gorszy. Mróz znacznie silniejszy, wicher bardziej dokuczliwy, o zmiennych kierunkach. Raz popychał nas niemal zmuszając do biegu, by następnie dmiąc nam w twarz, zmuszać do pokonywania stawianego oporu całym ciałem. Oprócz tego ja przechodziłam dodatkowe udręki.

Już na początku naszej drogi paru kolegów zwróciło się do Wandy i do mnie z prośbą :

- Idźcie do przodu i nie oglądajcie się za siebie!-

- Dobrze!-

A potem my wlokłyśmy się na końcu, uprzedziwszy ich:

- Nie oglądajcie się za siebie!-

- Wanduś! Teraz to już my na stałe będziemy "trzymać" tylną straż". Dobrze? Jak któryś zechce się zatrzymać, to aż my przejdziemy... Co?-

- Tak, całkiem słusznie. Trzeba im powiedzieć...- zgodziła się, a że Włodek był pod ręką, to już się zajął tą sprawą.

Strasznie uciążliwy był ten marsz, kilometry jakoś się wlokły nieskończenie długo, nigdzie i niczym nie znaczone. Za to czas galopował bezlitośnie i nasz komendant transportu musiał czasem przynaglać abyśmy na nocleg, zdążyli przed całkowitym zapadnięciem nocy, bo już poprzednia, przemaszerowana, była zbyt męcząca.

Włodek najczęściej towarzyszył Wandzi i mnie i stale gotów do pomocy, lub przynajmniej do rzucenia jakiejś uwagi, albo nawet kawału od czasu do czasu ku pokrzepieniu serc.

Janek cały czas asystował ojcu, niepokojąc się jego zdrowiem. Kapitan Schramm miał to szczęście, że udało mu się zdobyć piny - wysokie do kolan buty z prasowanego, grubego, wełnianego filcu. Miał jednak to nieszczęście, że oba były na lewą nogę!

- Gdyby jeden był na lewą, a drugi na prawą nogę, to już by ich

nie było! Ale tak? Widocznie ci, którzy kupowali, mogli z nich zrezygnować... - dowodził Jaś.

- Albo nie zdołali prawej nogi wcisnąć do lewego buta... - zauważył Włodek.

- No właśnie! A mnie się to udało i z wielkim zadowoleniem nabyłem to dziadostwo! Mam teraz za swoje!... - wzdychał kapitan, rozgoryczony na to swoje szczęście.

- Gdyby były za duże, to nie sprawiałoby aż tak wielkiej różnicy - pomyślałam, wspominając Tata półbuty, które czasem pożyczalam sobie i raz próbowałam nosić prawy na lewą, a lewy na prawej nodze, aby się mniej potykać, bo były o tych pięć numerów za duże. Na szczęście, bo zapłakałabym się, gdyby nie były! Ale eksperyment zamiany butów na przeciwne nogi upewnił mnie, że pomysł być może był dowcipny i przekorny, ale wielce niepraktyczny. Jeszcze bardziej utrudniał mi chodzenie!

Wieczorem dowlekliśmy się do Taszkaszkenu, gdzie trafiła nam się kwatera noclegowa u Polaka, młynarza. Już spanie na ziemi, pod własnym płaszczem, nie było niczym zaskakującym, bo już się można było w tym wprawić. Gorzej jednak było z kaszlem, bo nie tylko strasznie mnie męczył, lecz także, na dobitkę, uporczywie przeszkadzał wszystkim w izbie, gdzie spaliśmy gromadnie, pokotem.

Kochana moja siostrzyca, której spać nie dawał mój kaszel, wygrzebała po ciemku i po omacku spośród zawartości plecaka chleb i skubnęła spory kawał, aby mi wcisnąć to do ręki. - Jedz! - szepnęła. - Zjedz od razu, może ci chociaż gardło to przetrze!... - Zjadłam, a jakże! Z wyrzutami sumienia i postanowieniem, że tę porcję uwzględnię podczas podziału przy śniadaniu. Trochę nawet przestałam kaszleć. Ale na krótko i musiało być już dość późno, gdy wreszcie usnęłam.

W niedzielę, 8 marca czekała nas trasa [?] kilometrowa, do Aju. Aj - to był kołchoz przy głównej drodze. Nagle mróz zelżał i zaczął padać deszcz. Ciężko było nam iść w ten deszcz cały czas piechotą, toteż gdy dobrnęliśmy do wskazanej nam noclegowej kwatery, padliśmy zaraz.

12

454

Nocleg w Aju

Legianka była niezbyt duża, głęboko wkopana w ziemię.

Kończyliśmy pić wrzątek, gdy do izby weszło kilka młodych Kazachów też na nocleg.

Rozłożyliśmy swe legowiska wzdłuż dłuższej ściany, gdzie zajęłam miejsce w kącie, obok Wanda, dalej Schrammowie i następnym kilku naszych, toteż dla nowych przybyszów pozostało tylko miejsce przy sąsiedniej ścianie, czyli w poprzek naszych nóg. Gospodarz naglił do pośpiechu i wkrótce zgasił swą mizerną "kopciłkę".

- Boże! Dziękuję Ci za ten odpoczynek /wreszcie!/ ciężko zdobyty i za ciszę i ciemność nocy niosące spokój...-westchnęłam w duszy, rozgrzeszając siebie samą od odmówienia "pacierza".

W tej samej chwili poczułam coś na stopach. Podciągnęłam je gwałtownie, zaskoczona.

- Pies? Nie zauważyłam tu psa... Czyżby był?-

Ojej! Przecież jeśli jest, to zapchlony!...myślałam nagle trzeźwiejąc, choć sądziłam, że sen zmorzy mnie od razu, bo byłam straszliwie wyczerpana, a jeszcze po ciemku musiałam co nieco zmienić garderobę.

Po chwili domniemany pies znów podsunął się do moich stóp.

~~Usiadłam~~ Usiadłam momentalnie, by mimo obrzydzenia, rękami odsunąć zwierzę.

Oh!! Było :dwunożne! Dokładniej: same stopy! Odsunęłam je energicznie i z całej siły, dobitnym szeptem rzuciwszy wymowne: -Won!!"-

Zaatakował mnie raptowny ból głowy, aż jęknęłam, myśląc z rozpaczą, że człowiekowi nawet i tego nie dadzą chwili spokoju!

Nawet i to odbiorą: trochę tego snu!

Wandzia nachyliła się z troską:

- Co Ci? Co ci się stało?-

Na jej szept odpowiedziałam szeptem, a ona przekazała informację Władkowi, który miał legowisko po jej drugiej stronie.

-Cicho! Bardzo cicho zamień się ze mną na miejsce. Ja zajmę twoje! Zrobię z nim porządek!...-wyszeptał ponad głową mojej siostry.

-Już!-zgodziłam się.

Zamiana odbyła się w kompletnej ciszy i w kompletnych ciemnościach. Po dobrej chwili odsapnęłam z ulgą:

-No! Uspokoił się. Można będzie usnąć!.. - I już zapadałam w sen, gdy odgłos uderzenia i niemal równoczesny wrzask poderwały nie tylko mnie, lecz chyba wszystkich stłoczonych noclegowiczów.

Wieloznaczne pytania posypały się z paru stron, nikt pseudo-plomyki miejscowych paparek gaszy kilkakrotnie, zanim udało się komuś jakąś zaświecić i zaspane postacie ujrzały skulonego bohatera wydarzeń w osobie niefortunnego poszukiwacza silnych wrażeń, czy też nocnego łowcy przygód.

Gwar i spontaniczny śmiech nagrodziły jego pomysły i reakcję Włodka, wzbudzając ogólną weselość, wśród której usnęłam, nawet nie wiadomo kiedy.

Zbudzeni o szarym świcie, napojeni wrzątkiem, do którego skubnęło się kawałek chleba, już chcieliśmy opuścić nocleg, gdy niezwykle ożywienie przy drzwiach wzbudziło naszą ciekawość.

-Istna powódź!- usłyszałam głos kapitana

-Kłapa! kompletna kłapa!- ktoś dowodził

- Nie wyjdziemy stąd!-

- Wcale?-

- Mowy nie ma! Sama woda!...-

- Skąd woda? Jaka woda?...

-"Fratr! Tratr! Podażdi!" /poczekajcie/-uspakajał kazach-gospodarz i ciągnął z izby dość długą ławkę.

Izbę oddzielał dość spory próg od sieni.

Sień była jeszcze głębiej wkopana, dużo głębiej od izby.

Okazało się, że gdy gospodarz otworzył drzwi wejściowe od siebie na dwór, stamtąd huknęła ogromna masa wody. Odwilż nastąpiła i całe masy śniegu zdążyły się w ciągu deszczowego dnia i ciepłej nocy rozpuścić.

Sień była zalana niemal do poziomu progu od izby. Gospodarz przy pomocy paru rodaków wmieścił w sieni tę ławę, wyciągniętą z izby i po niej, niczym po kładce/zanurzonej jednak w wodzie/przeszliśmy z suchej izby na zewnętrzne roztopy.

- Jak teraz sanie posuną?-

- Chyba nie dadzą rady? - zastanawialiśmy się, w drodze do następnych lepianek, gdzie reszta naszych została umieszczona na nocleg.

Okazało się, że następnym odcinkiem naszej drogi obarczono mieszkańców Aju. To oni mieli obowiązek przetransportowania nas do kolejnego postoju w Dżinguży/a może: Czinguży/.

Spisali się wspaniale. Dali nam pięć wozów zaprzęzonych w konie! Można było nawet po kawałku drogi, na zmianę, przysiąc, co było prawdziwym dobrodziejstwem. Szło się bowiem po wodzie bardzo ciężko w przemokniętych na wylot butach i chlapiąc się w wodzie do połowy wysokości łydki.

Nocleg w Dżinguży witaliśmy następną ulgą i wdzięcznością dla Niebios za koniec drogi na danym odcinku i w danym dniu.

Ostatni odcinek drogi

Dziesiątego marca, wtorek. Droga jeszcze cięższa. Pod nogami częściowo roztopiony śnieg, częściowo woda, mniej więcej przez cały ranek. W wichrze i mrozie narastającym staraliśmy się dogonić podwozy, które wyruszyły wcześniej, pozostawiając nas za sobą niewątpliwie o cztery kilometry.

Ze mną po prostu źle się działo. Siły wyczerpane nie pozwoliły mi pokonać fatalnych dolegliwości spowodowanych krwotokiem.

Wlokłam się ledwie żywa.

-Pośpieszcie się! Prędej! Musimy dołączyć do całej kolumny!-

ponaglał nas ojciec Włodka.

-Nie czekajcie na nas. Idźcie obaj z Jasiem, my dojdziemy...-

odpowiedział Włodek.

-Nie zostawajcie w tyle! Weźcie się w garść! Musimy ich dogonić!

- gorączkował się kapitan.

- Proszę na nas nie zważać i iść! My dojdziemy....

Zostanę z dziewczętami!-uparł się kategorycznie Włodek,choć obie z Wandą usiłowałyśmy protestować.

Tamci odeszli jak mogli najszybciej.Mróz wzrastał.

A my ~~wlekliśmy~~ się... przeze mnię.

Wiatr przenikliwy i mroźny hulał ze wszystkich stron.Mróz zaczynał ścinać powierzchnię ^płgęstej i ^półpłynnej masy śniegu, w której mokre i przemarznięte nogi z wielką trudnością pokonywały drogę.

-Idźcie sami!...Błagam!...Idźcie sami dalej.Ja tu już zostanę...

- załamalam się.

-Nigdy w życiu! Nie pozwolę!..krzyknął Włodek

- Wandziu...Idźcie, idźcie!..jęczałam

- Zwariowałaś? Zlituj się:co ja powiem Mamie?!

- Chodź! Musisz!...

-Weź ją pod rękę!- komenderował Włodek,biorąc mnie z drugiej strony.

-Chodź,Ala!Musisz być dzielna!Jesteś taka dzielna!..wmawiała z przekonaniem

-Nie mogę...Już nie mogę...- rozbeczałam się jak głupia,nieszczęśliwa,na dnie upokorzenia.

-Przestań! Trzymaj fason!- przemawiał Włodek po lwowsku,ale ja już zatraciłam cały hart ducha i aż zataczałam się od płaczu,niezdolna go pohamować.

- Wanduś!Zostawcie...Zrozum mnie!...Ty wiesz ,że naprawdę nie mogę...Nie mam sił...-błagam,skręcając się od boleści,wyszczona nasilającym się krwotokiem,przerażona,że opatrunki nie wystarczą do zatamowania.Wstyd i bezradność doprowadzały mnie do rozpaczy.

byłam
W końcu nie w stanie się wlec.Upadłam w ten zamarzający,wodnisty śnieg,pociągając oboje ratowników za sobą.

Pozbierali się, podnieśli mnie, zaczęli poklepywać, rozcierać, rozgrzewać, ciągnęli, pchali, padali znów razem ze mną i szli, płacząc /to Wandzia; przeze mnie/i perswadując/~~Włodek~~ krzyżując /Włodek/ i podpierając, zachęcając we wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby.

- Boże, ratuj!...-

- No, jeszcze! Jeszcze trochę!-

- Wstań! Musisz!...

- Widzisz: tak lepiej! -

- Chodź! Idziemy! Nie dawaj się!...-

- Przecież my do Wojska!...

Nie wiem jak długo to trwało... Pewnie całe wieki. Tyle bólu, tyle łez i tyle poczucia winy, że narażam tych dwoje na zagładę razem ze mną.

- Nie! Nie wolno mi! Muszę! Nie pozwolę, aby przeze mnie tu zamarznąli nocą! Boże!...-

- Dobrze! Idziemy! Dojdziemy!-

- Jeszcze trochę! Już chyba niedaleko...-

- Tak, tak ... - zgodziłam się pokornie i pokonując bóle wlokłam się, wyczerpując siły, aby znowu nie upadać w tę marznącą chlapę i nie ścigać w nią Wandę i Włodka.

Dobrnęliśmy w końcu ^{do Ajaguru} Ajaguru, gdzie zmartwiony Jaś wypatrzył moment naszego zjawienia się i poprowadził do punktu zbornego.

Było już późno i ciemno, noclegi u Polaków pozajmowane. Ktoś z "miejscowych" Polaków poradził nam z Wandzią we dwie skorzystać z noclegu u znajomych jego Kazachów.

- Same? We dwie?-

- Tylko my obie? -zapytałyśmy bez entuzjazmu, pod wrażeniem przygody w Aju.

- Może ja...- Włodek wyraził gotowość.

- Ojciec oczekuje nas obu u Jurkiewiczów...- przypomniał mu Janek o krewnych, z którymi nie widzieli się od chwili wywieźienia.

- Faktycznie będzie dziewczętom niezbyt...-wtrącił któryś z nielicznie pozostałych, a mnie przypomniały się zwierzenia dziewcząt o tej nocy na sianokosach, gdy wystraszone uciekły w ciemny ~~raz~~ step.

- Ja mogę pójść tam z Wami !- ofiarował się Wiesio Tysza, szesnastolatek, ale wysoki i poważny, który wyruszył by wstąpić do - Wspaniale!- podchwyciła Wanda Jundków.

- To bardzo porządni ludzie, ci Kazachowie, którzy udziela wam kwatery. Znam ich dobrze i ręczę, że będziecie bardzo zadowoleni...- uspakajał "przekodnik".

- To świetnie! Ale z "bratem" będzie jeszcze lepiej!- Wandzia, moja dzielna, nie zasypiała gruszek w popiele.

- Dobranoc! Dziękuję i przepraszam...bardzo - zwróciłam się do Włodka.

- No, wiesz!... Dobranoc! Trzymajcie się!- bliźniacy pożegnali się z nami.

Zaprowadzono nas na kwaterę. My obie już poszłyśmy tam ze swoimi rzeczami. Wiesiek, tylko, aby zobaczyć, gdzie to jest, bo jego rzeczy już zabrali koledzy i musiał po nie jeszcze pójść!

Nadzwyczajny nocleg

Lepianka niezbyt różniła się zewnątrz od innych, tym bardziej po ciemku.

Sień była dość obszerna i dość bogata w "karagaje" na opał. Kuchnia średniej wielkości. Młoda i miła gospodyni widocznie oczekiwała przybyszów. Ogień płonął pod kuchnią, w imbryku woda właśnie zakwapiła.

Uzgodniliśmy cenę noclegu, a ona zaproponowała dodatkowo "kirpicznyj czaj"/herbata/ placek-podpłomyk na kolację i śniadanie. Nieśmiało zapytałyśmy o ciepłą wodę i możliwość umycia się, co ku naszej prawdziwej radości, zostało przez nią przyjęte z żywym entuzjazmem! Niebawem wprost! Niespotykane szczęście!

Kiedy jadalysmy kolacje, Kazaczka dolala wody do wielkich czegunow stojacych na kuchni, jeszcze podlozyla kizaki pod blachy i przyniosla z sieni dosc dluga i glęboka dzierzę-korytko.

- To na waszą kąpiel! Możecie się porządnie wykapać i potem wodę wylać tu do tych wiader, aby nie wychodzić na mróz.

A ja pójdę się położyć tam do izby. I wy przyjdziecie po kąpiel.

- Rachmet! /dziękuję/ - powiedziała z głęboką wdzięcznością.

- A tu będziecie spać! - pokazała odsuwając zasłonę, oddzielając kuchnię od pokoju.

Stanęlysmy, jak wryte! Czegoś takiego nie widziałam, jak długo żyję! Do pokoju wchodziło się po dwóch schodkach w górę. / A tam była sypialnia! Cała podłoga całkowicie założona kołdrami, zrobionymi z poszywanych kawałeczków szmatek.

W jednym kącie spał synek gospodyni.

- Tu, z tej strony śpiemy my: mój mąż i synek i ja. A z tej strony będziecie spać wy i wasz brat. A tu są dla was kołdry...-

objaśniała wchodząc do sypialni bez obuwia.

- A kiedy możemy się kąpać?...-

- Już. Teraz.-

- A wasz mąż? Może przyjść...-

- Nie, nie! On przyjdzie później. Możecie obie wykapać się teraz i jeszcze wasz brat, jak przyjdzie, bo mój mąż przyjdzie jeszcze później...

- Dziękujemy ...-

- Możecie też coś przeprać i tu powiesić na tym sznurze, to tam wyschnie do rana...-radziła.

- Bardzo ładnie tu u was!-

- I bardzo czysto!- zachwycalyśmy się szczerze.

- Dlatego dobrze, że chcecie się wykapać!- zrewanżowała się nam niezwykła gospodyni niezwykłego domu.

- Jak w bajce! Przeszło najśmielsze marzenia!...-

Powiedziałam Wandzie, ale ona już nie zwracała na mnie uwagi, zajęta szykowaniem kąpeli.

- Gotowe! Ty pierwsza! Nie marudź!...-

Skorzystałam, kąpałam się po kawałku, jak to mówiłyśmy "piętami", popłakując po trochę ze szczęścia, po trochę z bólu przy dokończeniu "oblucji" po pięciodobowej podróży i równie długim okresie niemożności umycia się, lub choćby podmycia, tak bardzo niedorzecznego w mojej sytuacji, zaiste godnej pożałowania. Wnada zdażyła się również narozkoszować kąpielą przed przyjściem Wieśka, który także skorzystał z tego dobrodziejstwa w niespytykanej lepiance.

Ta noc pozwoliła nam prawdziwie wypocząć po makabrycznym ostatnim dniu i po uciążliwościach drogi z Urdżaru do Ajagużu.

U pani Kikalowej

- Macie, dziewczęta, zaproszenie na kwaterę do pani Kikalowej! Fantastyczna sprawa! odpadają koszty!-

- Pani Kikalowa już was oczekuje z radością. Liczy na waszą pomoc, bo ma kłopoty z ręką, po złamaniu!-

Fakimi nowinami powitano nas nazajutrz w naszym punkcie zbornym, we środę 11 marca. Pani Kikalowa przyjęła nas bardzo serdecznie. Rękę prawą złamała jeszcze w sowchozie, a kłopot polegał na tym, że zrosła się krzywo i była częściowo niesprawna. Razem z dziećmi: dziewięcioletnią Terenią, śliczną blondynką, oraz trzyletnim Tońciem zajmowała samodzielnie dość obszerną izbę.

- Moja siostra już jest w wojsku i napisała, że załatwiła wszelkie formalności związane z moim przyjazdem z dziećmi do niej, pod opiekę Wojska, jako rodzina wojskowa.

Jesteśmy wpisani na listę i mamy tu w Ajagużu wsiąść do pociągu, którym polski oficer, wydelegowany po ochotników do Wojska i po rodziny wojskowych z Semipałatyńska będzie tędy przejeżdżał. Zawiadomią nas kiedy dokładnie to będzie..- opowiadała. Tymczasem trzeba było najszybciej sprzedawać nadmiar rzeczy, aby zapewnić sobie pieniądze na drogę i zmniejszyć do koniecznego minimum ilość bagaży do przewiezienia.

Zajęliśmy się tym wszystkim.

- Przy wywożeniu pozwolono mi zabrać wszystko z wyjątkiem mebli. zabrałyśmy z siostrą rzeczywiście wszystko z domu! Nawet kilimy ze ścian i dywany z podłóg! Dzięki temu mogłyśmy przeżyć nawet najgorszą zimę w sowchozie, nigdy nie brakowało nam opału, ani żywności ...- mówiła.

- Ani ryż! Od ilu to miesięcy jest wciąż ten ryż?...- zastanawiała się Terenia.

:- Bogu dzięki, że jest!...-

- O, ryż jest wspaniały! Da się jeść!...- dodałam, myśląc o tańczeniu i o żylastych łodygach lebiody, jał bezlistnej.

- A czy my jeszcze będziemy jeść, ^{co} ~~nie~~ jest ryżem, ^{albo} z ryżu?- biedna dziewczynka wyraziła wątpliwość.

- Naturalnie! Błogosławiony ryż pozwolił nam przeżyć i doczekamy!...-

Rakowania było dużo, bo nie można było rezygnować ze zbyt wielkiej ilości odzieży, gdyż nadal stało się przed wielką niewidomą. Nikt nie mógł przewidzieć na ile lat trzeba mieć jeszcze tę odzież, którą słońce tak szybko wypalało na strzępy. Każda rzecz wymagała rozwagi i właściwego sądu, by pozbyć się ich było łatwo, a nabyć - niemożliwe.

Wciąż jednak trzeba było pamiętać o możliwościach, bardzo skromnych i ograniczonych, dźwigania i przewiezienia bagażu ze sobą. Musiał być poręczny do przenoszenia, nie ponad nasze siły i możliwości, a przy tym toboły niezbyt wielkie, raczej dające się łatwo upchać.

Siostra pani Kikałowej, pani Janka Hronowska, pisała, że w pociągach jest wszędzie niesamowity tłok, rejwach i często zdarzają się kradzieże, co trzeba było mieć na względzie.

Wiele sukienek, czy drobiazgów już udało się sprzedać. Duży problem stanowiła kołdra z Polski. Śliczna, adamaszkowa, w pierwszorzędnym stanie.

- Najlepiej będzie sprzedać ją w niedzielę na bazarze.

Największy ruch, mnóstwo ludzi z okolicznych kołchozów i najłatwiej osiągnąć dobrą cenę...-mówiła właścicielka.

-Dobrze, pojedziemy z kołdrą w niedzielę...-deklarowała Wanda. A tymczasem możemy zabrać mniejsze rzeczy...-włączyłam się i ja. We czwartek ^{pr}przedaliśmy kilka rzeczy w drodze na ten swój punkt zborny, gdzie trzeba się było dowiadywać, kiedy przyjedzie oczekiwany pociąg.

Gdzieś na trasie między Semibałatyńskiem a Ajagużem powódź zerwała most kolejowy. Kandydaci do podróŜowania zbierali się na stacjach podążając do nich ze wszystkich, często odległych stron i koczowali tam w oczekiwaniu pociągu. Nie mieli w głuchym stepie pojęcia o wstrzymaniu ruchu na uszkodzonej trasie, bo nie było żadnych informacji na ten temat. Rosły tłumy, przeganiane z terenu samej stacji, skupicne w sąsiedztwie i obserwujące pilnie w nadziei dostania się do transportu w chwili zjawienia się pociągu.

Kapitan Jagiełowicz, zaopatrzony we wszystkie potrzebne dokumenty był w stałym kontakcie z naczelnikiem stacji kolejowej w AjaguŜie oraz z porucznikiem Marchutem, wciąż jeszcze przebywającym w Urdźarze i zapewniającym, że przyjedzie na wiadomość o przyjeździe pociągu. Telefonowano z poczty ajaguskiej na urzarską po kilka razy dziennie.

Nasi chłopcy bardzo prędko zainteresowali się tą możliwością rozmawiania z Urdżarem. ^{Arizowali} Rano ~~waizowali~~ rozmowy, wzywając do telefonu swoich bliskich na określonej godzinę, a potem krzyczeli głośno do słuchawek, aby ich słyszano na drugim końcu linii, odległym o te nieszczęsne sto siedem-dziesiąt trzy kilometry, przemierzone z takim trudem własnymi nogami. Rozmawiali z matkami, siostrami i ~~sk~~imi sympatiami, zabijając ciężki czas oczekiwań po tej stronie i sprawiając tak wiele radości po tamtej stronie: Adaś Zaniewski, Jurek Brzeziński, Jurek Horodyski, Wiesiek Tyszka, Schrammowie. A Wacek Kublin, który w ostatnim okresie pobytu w Urdźarze zaczął asystować Lidce Schramm, nagle owładnięty tęsknotą oświadczył się i zaręczył przez telefon. Było to oczywiście sensacją zarówno w AjaguŜie, jak i w Urdźarze.

- Wiesz, Wandziu, śpiewający Waciuś ze Śpiewającą Lidką na pewno mają wspólne zainteresowania...- dzieliłam się refleksjami.

- Czy ja wiem?...Trudno cokolwiek przewidzieć w takich sprawach... To zależy od tak wielu okoliczności i osobistych predyspozycji...-zastanawiała się, nie wydając pochopnych opinii.

We czwartek wszystkim nam jadącym do Wojska, sprzedano w spółdzielni chleb. Według listy.

- Jak świetnie! Najbardziej ucieszysz się z tego Terenia, bo ten chleb nie ma nic wspólnego z ryżem!-

- I niewiele z mąką, raczej jest z grysu...-

- Ale dzięki temu nie tak bardzo gliniasty...-

- Ko, faktycznie raczej piaszczysty! Ale grunt, że jest!-

- Bogu dzięki! I to nawet mamy aż dwie porcje!- radość tryskała słowami, nic dziwnego, bo wydarzenie było tak doniosłe, że aż zapisałam je w malutkim srebrnym notesiku, pod datą 12 marca.

Notesik także któryś z chłopców odkrył w sklepie w Urdzarze. Natychmiast wielu z nas je nabyło. Nawet ja pozwoliłam sobie na ten wydatek, aby mieć na najważniejsze zapiski najważniejszych wydarzeń, co według Jurka Horodyskiego nazywało się "dziennikiem okrętowym". Notesik jest długi na osiem i szeroki na pięć centymetrów. Pisałam w nim piórką i "atramentem" zrobionym z kopiowego ołówka. Przetrwał jako jedna z niewielu pamiątek z tamtych lat.

We czwartek 14.III wysłałam życzenia imieninowe do Matyldzi Kierepki i do jej listu dołączyłam list do Rodziców, niepewna ich adresu ani tego, kiedy list dojdzie.

Po południu odwiedziliśmy, zgodnie z zaproszeniem, kapitana Schramma z bliźniakami u pani Jurkiewiczowej. Z Elą Jurkiewicz Wandzia siedziała w więzieniu we Lwowie, a potem ... nie pamiętam, czy w łagrze też.

Kryścia jej siostra, troszkę młodszą ode mnie, opowiadała, że Ela już pojechała do Wojska i wkrótce one obie z matką wyjadą do niej.

Wieczorem Włodek odprowadził nas i jakoś pobłądziliśmy wśród nieregularnych uliczek i gdzieś niegdzie zbyt rozrzuconych, to znów zbyt skupionych lepianek miasteczka, tonącego w mroku i mgłach, unoszących się nad rzeką Ajaguż.

Afera z kołdrą

Nadeszła oczekowana niedziela i nasza wyprawa na bazar. Wzięliśmy od pani Kikalowej do sprzedania skarpety, sukienki, ręcznik, dwie koszule i kołdrę. Na bazarze już byli nasi chłopcy z Urdzaru i wielu Polaków wcześniej tu zamieszkałych. Wszystkich od razu można było odróżnić od Rosjan i Kazachów, którzy licznie ścignęli, wnosząc ruch i ożywienie wśród tłumu.

Gdy Wanda pertraktowała z nabywcą skarpet, podszedł do niej milicjant z zastrzeżeniami i pretensjami. Zobaczyłam jego żywą gestykulującą i precyzyjną stronę, aby się dowiedzieć, o co chodzi, chociaż już miałam kazachską parę zainteresowaną nabyciem kołdry. Nawet nie zauważyłam, kiedy oni, i gdzie, zniknęli. Natomiast mną i tą kołdrą zainteresował się sam milicjant.

- Sprzedajesz to? -

- Tak. Sprzedaję... -

- Aaa!... "Eto nie lzia"! Nie wolno! - huknął.

- Dlaczego?... - nie rozumiałam.

- Nie wolno! Chodź! Na milicję! To kradziona! - wrzeszczał coraz głośniejsze, a ja, mimo przerażenia zdołałam zauważyć dziwny ruch wśród ludzi. Jedni odchodzili pośpiesznie, starając się zniknąć, inni przysuwali się, zaintrygowani, aby się pogapić na sensację.

- Nie! Nic podobnego! Nie jest kradziona! - zaprzeczałam gorąco.

- W takim razie: ty spekulant! Spekulować nie wolno! A ta

kołdra to czyja? - krzyczał

- Moja! To moja kołdra! - ktoś energicznie zawołał za mną, odbierając mi kołdrę.

Obejrzałam się ze strachem.

Adaś! Adaś Zaniewski wyrósł wysoko nad milicjantem i głosem nie znośącym sprzeciwu zwrócił się do niego:

- Czego chcecie od tej dziewczyny? To moja kołdra, dałem jej do potrzymania tylko. To nie jej! ...-

- A ona mówi, że do sprzedania! - milicjant nie dał się przekonać.

- Ona nie wie! Przechodziłem tędy, niosłem to dla mojej ciotki, od mojej matki i dałem jej potrzymać na chwilę. Ona nie wie! - mówił dobitnie i rzucił na mnie okiem, czy słyszę.

- "Tagda chodi!" /A więc chodź!/- szarpnął go milicjant - "Uwidim!" /zobaczymy!/- i zabrał Adasia, który zdążył mi dać tę nieszczęsną kołdrę i szepnąć:

- Zwiewaj! Nie martw się! -

Milicjant ciągnął jeńca za sobą i nie zauważył że "corpus delicti" czmychnął w przeciwną stronę. W tej chwili zbiegli się nasi, poruszeni aresztowaniem Adasia, Wandę i mnie obskoczyli tubylcy i momentalnie wykupili wszystko za żadaną cenę, razem z tą słynną kołdrą, która natychmiast zniknęła, zawinięta w jakąś "kufajkę".

Stosując się do rady polskich mieszkańców Ajagużu i prowadzone przez nich udałyśmy się niezwłocznie do pani Ireny Markiewiczowej, mieszkającej w samym śródmieściu, która pełniła funkcję przedstawiciela Delegatury Rządu Polskiego/utworzonej po Umowie Sikorski-Stalin/, podobnie jak w Urdzarze pan Urban.

Cała sprawa przybrała poważny obrót. Prywatny handel, jako taki był zakazany jako niedozwolona spekulacja. Adasia doprowadzono na milicję bez tej kołdry, toteż milicjant, który go aresztował, wpadł we wściekłość i usiłował wymusić na Adasiu mój adres, którego on rzeczywiście nie znał.

Pani Markiewiczowa, władająca swobodnie językiem rosyjskim, interweniowała o zwolnienie aresztowanego, ale zbywano ją niczym, wykręcając się, że w niedzielę urzędy są nieczynne.

W poniedziałek znów zaczęła wędrówkę od Annasza do Kajfasza, odsyłana przez różne miejscowe władze, które postanowiły, "skończyć ze spekulacją"!

Zastanawiała się nawet, czy my obie z Wandą nie powińnyśmy zmienić kwatery, aby do nas nie dotarł zawzięty milicjant i nie pomnożył kłopotów. Pani Kikalowa była bardzo zmartwiona takim obrotem całej afery, a ja tonęłam w niewczesnych wyrzutach sumienia, że to wszystko się stało przez moje gapiostwo.

W końcu pani Irena zirytowała się na dobre na tubylczych kacyków i zaczęła z nimi inaczej, w myśl porzekadła, że niespodziewany atak jest najlepszą obroną. Udała się do naczelnika miasteczka z nieugiętą decyzją odwołania się do najwyższych władz NKWD w Semipałatyńsku, mówiąc, że zatelefonuje do nich, aby ściągnąć komisję ze względu na represje, jakie napotyka w Ajagużu młodzież polska, która na ochotnika zgłosiła się i idzie do Wojska Polskiego, w celu walki z hitlerowskim najeźdźcą!

Uf! Wreszcie to poskutkowało!

W poniedziałek wieczorem Adasia wypuszczono!

Zaprzeczał, jakoby go tam zbito, ale przyznał, że w niedzielę został przegłodzony, zaś w poniedziałek dano muchleb przed zwolnieniem dopiero.

Wydano też chleb wszystkim, idącym do Wojska.

Wciąż jeszcze czekaliśmy na wiadomość o naprawie mostu.

We wtorek odwiedzili nas bliźniacy z Renią Duczyńską, kuzynką w ich wieku, która z matką również była wywieziona naszym transportem, a po amnestii przeniosły się z sowchozu do Ajagużu. Bardzo miła dziewczyna jest z tej Reni.

We środę rozmawiałam telefonicznie z Matyldzią. Rodzice jeszcze nie znaleźli nowego mieszkania i są u Tosi.

Dobrze, że mają ten opał!...

Przynajmniej tyle, ale to takie ważne!...

Na pocztę szłam z Włodkiem, który wstąpił po mnie.

Rozmawialiśmy dużo i bardzo przyjaźnie. Włodek uważał, że wojna pochłania ofiary życia i zdawało mu się, iż pewna ilość tych ofiar przybliży jej koniec. Wreszcie zwierzył mi się, że jest psychicznie przygotowany do tego, niemal uważał za swoje przeznaczenie polecić za Ojczyznę w przeswiadczeniu, że żyć dla niej potrafiłby znacznie gorzej od wielu innych! Potem miałam okazję jeszcze bardziej się przekonać, że oddanie życia za Polskę stało się jego obsesją. Oczywiście to było całkowicie sprzeczne z moimi odczuciami na ten temat, bo uważałam, iż każdy ma obowiązek żyć dla niej, właśnie żyć i całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce w jak najlepszy, najszlachetniejszy sposób.

Dyskutowaliśmy gorąco, nawet cytowałam mu Konopnickiej:

"Ty, co giniesz dla idei,

Chwała ci!...

i końcowy fragment:

"...A największa tobie chwała,

Ty- co żyjesz dla idei!..."

-Ależ to po prostu tylko poezja!- zawołał

- Tak! Ale jaka głęboka myśli! Właśnie poświęcić życie!

To jest najważniejsze!...-usiłowałam go przekonać- I najtrudniejsze chyba!...

- Każdy powinien dać to, na co go stać! - mówił -

Chętnych do życia będzie tak wielu...- upierał się,

- Wiesz, gdyby tak chętnych do śmierci było też wielu, wróg miałby wspaniałe uproszczone zadanie! - atakowałam.

- Ta, joj! Ta, ty jesteś niemożliwa!...- obracał wszystko w żart.

- Ta, możliwe! Za to nie choruję na zauroczenie bohaterstwem śmierci! Jestem za bohaterstwem walki o życie i za bohaterstwem życia! Czy ty tego nie rozumiesz?! Przemyśl to! Proszę cię,

Przemyśl! Koniecznie!...Czy jest cel, dla którego Polak musi -

żyć? Po tych przejściach już i po wielu innych, ~~następuje~~

następnych jeszcze...

- Nie wiem, czy ty mnie dobrze rozumiałaś... ^{brońit} ~~bawit~~ się.

- Obawiam się, że tak... Aż za dobrze!... Tylko, że ja byłabym raczej za tym, aby Opatrzności pozostawić decyzję co do własnego życia, czy śmierci, a samemu już z góry się z tym pogodzić, a nie podpowiadać i sugerować...-

- No, nie! Ja to niezupełnie tak widzę...-

- A więc przyjmij taki bardziej obiektywny punkt widzenia!...

Przemysł nieswoje racje!...- tłumaczyłam

Po takiej żywej dyskusji miałam dużo do myślenia.

Za dużo na cały dzień! Natłok myśli wytrącił mnie wieczorem ze snu... Całą noc wyszukiwałam przekonujące kontrargumenty, przejęta tym wypaczonym pojęciem o konieczności składania życia na ołtarzu wojny.

We czwartek już był pociąg! Wszyscy Polacy ^{czekali} gotowi przez kilka godzin na stacji, czemuś my asystowałyśmy z przejęciem. Tłok jednak był taki niesamowity, że gdy już pociąg się zjawił i komendant transportu zobaczył, co się dzieje, ogłosił wycofanie się naszych ze stacji.

Po południu wpadła Kryisia Jurkiewicz, potem także ~~Włodek~~. Wszyscy zmartwieni tymi piętrzącymi się trudnościami. Pani Kikolowa. zdołała jakoś nas pocieszyć swoim spokojnym rozsądkiem i silną nadzieją. Taka dzielna kobieta, pełna poczucia odpowiedzialności za życie swoje i dzieci i tak solidarna z całą naszą polską społecznością, dość przecież niejednorodną i pod wieloma względami zróżnicowaną.

W piątek, 20. III znowu kilkugodzinne czekanie na pociąg na dworcu zatrzymało wszystkich naszych. Gdzieś przycupnęliśmy w jakimś kąciku z Włodkiem, zagadani, niczym na bezludnej wyspie, aż doszło do wymiany pamiątek na dowód dozgonnej przyjaźni.

- Właściwie, to mam tylko tę Polską Odznakę Sportową ze Lwowa.

Zabrałem ją ze sobą, bo miała dla mnie duże znaczenie.

Przypominała mi własne przezwyciężanie słabości, gdy po chorobie nie nadążałem innym chłopakom w klasie i ciągle byłem w sporcie na końcu. Wiele wysiłku włożyłem w to aby ją zdobyć!...

Proszę cię, Alu weź ją ode mnie na pamiątkę. Niech ci przypomina oddanego przyjaciela. Chciałbym, abyś zawsze na mnie mogła liczyć...- mówił

- Co ja ci mogę dać w zamian?...

- Fotografii?-

- Nie mam...Wiem: weź to!- zdjęłam z palca srebrną, kazachską "sakinę". Można ją rozszerzyć, bo jest tak zrobiona, że oba końce/płaskiej srebrnej blaszki/ zachodzą na siebie...-mówiłam

- Oho, ho! Niczym pierścienek zaręczynowy...-rzucił, obserwując mnie spod oka.

- Noś na lewej ręce: jako pamiątkowy...Zaręczynowy nosi się na prawej...- tłumaczyłam, czując, że się czerwienię po same białka oczu, zawsze przekonana święcie, że absolutnie małżeństwo to nie dla mnie, bo się do tego nie nadaję, zbyt wiele nie rozumiem i nie ma w nim niczego zgodnego z moją naturą.

- A, no: jak chcesz!...-rzucił od niechcienia i rozciągając "sakinę" do odpowiedniej objętości wsunął ją sobie na serdeczny palec lewej ręki.

Potem opowiadał mi o swoim przyjacielu, kuzynie Januszu Strojankowskim, narysował w moim notesiku jego i swój herb z chłopięcych lat i prosił, abym po wojnie odnalazła Janusza, aby mu opowiedzieć o Władku.

- Ja? przecież sam go odnajdziesz!...- obraziłam się

- Tak, tak! Ja tylko tak na wszelki wypadek...-

- O, Jezu! pomyślałam z przykrością -Ten znów swoje!...-

21 marca rano usiłowali nasi wyjechać. Oficjalnie zwano ich, "poborowymi" aczkolwiek dosłownie wszyscy zgłaszali się na ochotnika. Ci, którzy nie mieli jeszcze wymaganych osiemnastu lat, uznawanych za dojście do pełnoletności/przed wojną pełnoletność uzyskiwało się w Połsce z ukończeniem dwudziestu jeden/, zgłaszali się do Junaków. Do takich należał Wiesio Fyszka,

Michał Goryluk, brat Janci, ~~brat Janki~~, brat Lidki Kossal, którego imienia nie pamiętam i jeszcze kilkunastu innych, szesnasto-siedemna-stoletków.

W tym dniu udało mi się wyprawić pierwszą grupę naszych ochotników o godzinie dwunastej oraz następną grupę, w której byli między innymi Schrammonowie i wszyscy junacy, o pół do trzeciej.

Pospieszne pożegnanie, pełne uśmiechów i życzeń, pozostawiło wiele smutku,

Z tą grupą wyjechały też pani Langowa i Nina, co udało im się dzięki wstawiennictwu i energii kapitana Schramma.

Wieczorem przyjechała pani Janka Hronowska po swoją siostrę z dziećmi, dla których miała bilety i wszelkie dokumenty zezwalające na przeniesienie się z Kazachstanu do Uzbekistanu.

Przez całą niedzielę kończyliśmy przygotowania do podróży.

Przyjechał poręcznik Polański, którego żonę poznałyśmy parę dni wcześniej. Przypomniał, że musi się mieć zaświadczenia z "bani//łań-
-ni/ o odbytej kąpieli i dezynfekcji odzieży / w odwszalni/,

bo bez takiego nie wolno podróżować pociągiem. Dzięki pani Duczyńskiej i jej znajomościom z pracownicami "bani" udało się to załatwić. Pracownice nie wykazywały żadnej pilności do pełnienia swych obowiązków w niedzielę i po targach pani Duczyńska zdołała je przekonać, że wobec tego, aby im nie psuć niedzieli, my się wykąpiemy w domu/ -"Tylko na pewno!" - zastrzegły/, a one nam wydadzą odpowiednie zaświadczenia, czyli nastąpi podział pracy.

Musiałymy ~~zapłacić~~ jedynie zapłacić za koszt dezynfekcji, której i tak nam nie przeprowadzono, z czystej życzliwości dla

pani Duczyńskiej, aby nie niszczyć nam odzieży. W rezultacie był

² } ¹
syty } wilk i owca cała!.

- Obserwujcie i ucztujcie się sposobów załatwiania wielu spraw, ... - mówiła pani Duczyńska.

- Taka lekcja poglądowa na pewno może się przydać! ... dorzuciła pani Kikalowa.

Przyznawałam im rację, coraz krytyczniej spoglądając na swój własny życiorys ostatnich lat, które tak mało mnie nauczyły. ~~Miałam~~

Miałam na myśli głównie wypas owiec - ~~konta~~ - tenisówki!.

No coż! "Inteligencja to jest zdolność przystosowywania się do nowych warunków" - przypomniałam sama sobie z przekąsem tę definicję i lekcji psychologii.

W rozmowie telefonicznej z Matyldą poprosiłam ją, aby zawiadomiła Krysię Marchut, że gdyby przed naszym odjazdem z Ajaguzu oni jeszcze nie przyjechali z Urdżaru, pożyczone od Krysi buciki zostawię dla niej u pani Markiewiczowej, z którą już wcześniej na ten temat rozmawiałam. W ostatnią niedzielę naszą w Ajaguzie jeszcze ~~nie~~ zdążyłam to załatwić.

Gdy Krysię spotkałam po blisko dwóch latach od tego wydarzenia, potwierdziła otrzymanie zwróconych bucików. Pani Markiewiczowa po raz drugi, wyświadczyła mi przysługę godną męża opatrnościowego.

Nie przewidywałyśmy, że po trzydziestu pięciu latach będę miała jeszcze raz okazję jej podziękować za uwolnienie Adasia Zaniewskiego i zwrot¹ pożyczonych butów Krysi Marchut! Wydarzenia miały miejsce w 1942r. gdzieś niemal w sercu Azji, zaś późniejsze przypadkowe spotkanie w 1977r w U.S.A. w Detroit! Jaki ten świat jest mały! Pani Markiewiczowa wówczas już ponad osiemdziesięcioletnia, odlatywała nazajutrz do Północy, "aby pożegnać się z Ojczyzną", jak mówiła.

22.III, rano wszyscy zaspaliśmy i dopiero mały Tońcio urządził nam pobudkę. Ostatnie pakowanie ^{odbyło} się trybem niebywale przyspieszonym, ładowanie na zamówiony wózek i pędząca jazda na stację, gdzie już można było odsapnąć po całym tym pośpiechu, w oczekiwaniu pociągu.

Do zatłoczonego, jak zwykle pociągu przedarło się mnóstwo ludzi. Pani Janka Hronowska wypatrzyła polskich oficerów w którymś oknie, więc podgalopowałyśmy w kierunku ich wagonu. Ona z siostrą i dziećmi została odrazu wpuszczona.

Wandzi i mnie porucznik zagroził wejście: -Proszę o wezwanie do Wojska!-

- Mam odpowiedź z Burużaku, że jesteśmy już wciągnięte na listę kandydatek ... - zaczęłam zgodnie z prawdą, nie uzupełniając jednak, że ciąg dalszy zastrzegam przysłanie wezwania "w razie potrzeby"..."

- To nie to! Chodzi o konkretne zapotrzebowanie! Imienne.

Tak nie mogę ... - nie ustępować

- Może pan dopisze te dwie osoby do swojej listy, panie poruczniku!..

- zwróciła się do niego pani Janka, już po załadowaniu rodziny.

- Cała lista już wypełniona! Dopisałem u Semipałatyński, kogo tylko się dało! Nie mogę więcej, bo i tych bym naraził na wysadzenie z pociągu...- tłumaczył, a nam robiło się coraz bardziej beznadziejnie.

Z tej strony jednak wystąpiły pani Irena Markiewiczowa, oficjalnie : jako delegat i pani Duczyńska, bardziej wtajemniczona w naszą sytuację materialną i rodzinną, niewątpliwie poinformowana przez Schrammów.

Z tamtej strony , spoza tego porucznika w drzwiach zaglądał od kilku minut inny, znacznie wyższy .Przysłuchiwał się argumentom naszych dzielnych obrońców i nagle zdecydował:

- Pan porucznik pozwoli! One mogą przecież jechać same, a nie z panem! Pan ich nie zna i nie bierze odpowiedzialności, Bo nie wie o nich wcale, że jadą! Niech jadą sobie na własne ryzyko: na gapę! Już ja dopilnuję aby nie wpadły w ręce konduktora, czy kontrolera!...- zaczął energicznie i gdy ten pierwszy się zaważał, ten drugi zdołał zrobić dla nas przejście.

Nie trzeba nam było więcej!

- Dziękujemy!...-

- Za wszystko!...- zdążyliśmy rzucić poza siebie i ledwie wcisnęliśmy się do wagonu, już pociąg szarpnął i z gwizdem triumfu ruszył z kopyta.

- Moje nazwisko Michałowski - przedstawił się ten wyższy porucznik.- Mam pod opieką przyszłych junaków. Pilnujcie

się, dziewczęta, aby nie wpaść w łapy władz kolejowych, a już dobrze się chowajcie, gdy przyśle którego chłopaka z wiadomością do was. Powiedzą, czy macie iść do przodu, w kierunku jazdy, czy do tyłu, w wagonie...-

- Dobrze! Dziękujemy...-

- Tymczasem możecie przycupnąć przy swoich, ale zawsze gotowe do zwalnia. natychmiast...- dodał i odmaszerował do swego rewiru.

Porucznik Barandziuk/to ten z zapelnioną listą/wióżł ze sobą żonę /bardzo przystojną/ i córkę. Zdzicha podobna do matki, była o parę lat młodsza ode mnie. Obie panie jechały razem z panią Niedzielską z Zaleszczyk/ i jej córkami: starszą Mietką i młodszą Danką, w moim wieku. Całkiem sympatyczne towarzystwo, a dziewczęta rozśpiewane, szczęśliwe z pomyslniej odmiany losu.

My obie z Wandą trzymałyśmy się rodzinki pani Kikalowej, poza okresami alarmu, gdy trzeba było się dekować gdzieś na przedzie ~~czy też trzeba było się dekować gdzieś na przodzie, czy też w tyle wagonu.~~ Jedną noc całą przesiedziałam w ubikacji /bo to był wagon osobowy/, ponieważ konduktor właśnie tę noc spędzał w naszym "wagonie Polaków". O toalecie zameldowano, że jest zepsuta i wszyscy się z tym faktem pogodzili. Ja, oczywiście, musiałam też, ale ostatecznie była^m/psychicznie przygotowana na bohaterstwo!

Wandzia tę noc przeżyła na najwyższej półce- leżance, wciśnięta za bagaże tak, że nawet jej nogi nie wystawały. Czasem dobrze nie być zbyt długim!

Po za tym, na sygnał porucznika Michałowskiego/oby Bóg mu błogosławił/ cała jego podopieczna masa^{niedotostkują} zaczynała mieć biegunkę; latało to w tę i z powrotem do ustępów, robiąc tyle zamieszania podczas kontroli i liczenia pasażerów, że łatwo było dostać całkowitego kręcka, toteż konduktorzy i kontrolerzy najczęściej w końcu dochodzili do wniosku, że wszystk^o się zgadza i jest w porządku.

Tylko jeden służbista zachłannie tropił pasażerów na gapę i właśnie na jego cześć przypadały nam nasze części bohaterskich wyczynów i znikania.

Junacy bardzo byli nam radzi. Kiedyś usłyszałam ich rozmowę:

- Ty, wiesz! Mamy jeszcze większą zasługę dla Ojczyzny!...-

- klarował jeden patriota drugiemu, również ~~władca batki~~ ^{Władca batki}

- Ta niby jak? - dziwił się słuchacz, strzygąc uszami.

- Ta, to całkiem jasne! Raz: że jedziemy do tych junaków,

a drugi dwa: że dodatkowo jeszcze szmuglujemy te dwie koleżanki do Wojska!...- klarował

-Prawda! Masz "recht"! - Ta, przecież one na gapę!...-

i wybuchnęli radosnym śmiechem.

- A to małe batiary! - pomyślałam z rozczuleniem i sprzedałam ich rozmowę Wandzi, którą to też podniosło na duchu.

Na każdej stacji wyskakiwało się na tory aby od miejscowych zakupić żywność: placki-podpłomyki- to było uszczędzie. Czasem gdzieś trafił się chleb, rzadko ser. najrzadziej mleko, na które szczególnie pokłowaliśmy ze względu na małego Tomcia.

Na stacji Małkaj wrzuciłam do skrzynki list do Rodziców pisany na adres Matyldzi.

We wtorek 24.III. Minęliśmy pierwszy na tej trasie obóz Wojska Polskiego w Otarze, pełni wzruszeń. Następny był ^{Dziesiąta} ~~doma~~ w miejscowości Ługowoje. Mówiono, że tam zbiera się ~~doma~~ Dywizja i że tam właśnie mieli się udać ^{Sch} Drammowie. Wysłałam a raczej podałam dla nich list, Potem mijaliśmy Dżambuł.

Udało nam się kupić mleko, aby Tomcio wreszcie nim dokarmić. Los bywa czasem nielitościwy i ma wypaczone poczucie humoru. Pociąg ruszył i Tomcio wykapał się w tym mleku!

Noc przypadła na służbę zaciętego łowcy gapowiczów, który kilkakrotnie wywoływał wściekłą awanturę. Na nasze szczęście żadna nie była z którąś z nas, bo zmusiłby nas do opuszczenia pociągu, co miałyby dalsze nieprzyjemne konsekwencje.

Całą noc musiałem czuwać, dwoić się i troić i tak zmieniać miejsca, aby nas nie złapano.

We środę, 25. III. Zwiastowanie; wysłałam listy do Krysi Marchut i do Reni Duczyńskiej. Jak szybko i łatwo nawiązuje się przyjazne kontakty w tych warunkach! Zwłaszcza, gdy przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi

W Taszkencie Około południa dojechaliśmy do Taszkentu. Trzeba było

wysiąść ze względu na przesiadkę. Deszcz kropił drobno, od niechcienia, a że stacja kolejowa była zatłoczona, kręciliśmy się po sąsiadujących z nią ulicach, aby poczekać do północy, kiedy przyjeżdżający pociąg zabierze podróżnych ze stacji i zwolni się trochę miejsca pod dachem i dla nas. Rozpadało się gorzej. Przed dwunastą z wielkim trudem wcisnęliśmy się w ten ubity tłum z nadzieją, że rychło przyjazd pociągu znacznie ten tłum przerzedzi. Nie przyjechał!

Po kilku godzinach stania na zdrętwiałych nogach, niemal nadzieją na czyjś zachęty łokieć od przodu i dźwigająca na plecach zażywaną miejscową jejmość, sapiącą mi stale w lewe ucho, spostrzegłam nagle z zachwytem, że pomiędzy Wandzi, dwóch Rosjank i pobliskiego mi słupka podnosi się jakaś postać.

- To jest moje miejsce! Pamiętajcie! Zaraz tu wrócę i usiądę!

Żeby nikt nie ważył się zająć mi tego mojego miejsca!-

zapowiedziała po rosyjsku bardzo głośno i rozkazująco,

obrzuciła wszystkich wszechwładnym spojrzeniem i łokciami

oraz pokrzykiwaniem zaczęła sobie torować drogę do wyjścia.

Zaregaowałam spontanicznie i bezwzględnie. Samo ciało moje

osunęło się na ten skrawek ziemi pod tym filarem, gdzie

podkuliwszy zmordowane kończyny dolne, łącznie z tenisówkami,

jak najbliżej, usiadłam na ziemi, na tym zastrzeżonym jej

miejscu, opierając się jednym ramieniem o ciepły słupek.

- Wspaniale !... westchnęłam egoistycznie, myśląc z prawdziwą

przykrością i głębokim zawstydzeniem o tym, że Wanda nadal

stoi.

Ściśnięta zewsząd!...Gdybym nie była chora,na pewno nie postę-
piłabym tak samolubnie...-musiałam uspokoić swe sumienie,
dość stępieła.

- A może tej babie nie uda się dotrzeć tutaj z powrotem?...

Łudziłam się nadzieją- to wtedy Wandę tu puszczyć ...za trochę!.-
Musiała nader pracowicie robić łokciami,bowiem udało jej się
wrócić na to samo miejsce.Śzyt krótko jak na mój gust,trwał
ten siedzący wypoczynek!.Zbyt słaba,aby się poderwać na pierwsze
wezwanie,ociągałam się i co gorsza,zaczęłam targować:

- Pozwólcie mi choć pół godziny...-

- „Wot! Kakaja!” - wrzasnęła oburzona-Zapowiedziałam, że to moje
miejsce! Nie wolno było zajmować wcale!...

- Postojcie pół godziny i zwolnię to miejsce!Może nie tylko
wam jest trudno stać!...-oponowałam już energiczniej.

- A to ja ci pokażę- wrzasnęła i dopadła moich pleców i tego
ramienia,które nie opierało się o słupek i tak gwałtownie
zbombardowała je kułakiem, że aż mi w oczach pojaśniało.

- Przestańcie natychmiast!Ona jest chora!- przedzierał się
przez tłum i wrzaski krzyk mojej siostry.-Puście mnie dźb niej!...-

- Wstawaj! Ty bezczelna "Polaczko"!-wrzeszczała rozwścieczona
baba po rosyjsku.

- No no ! Bez takiego gadania!-usłyszałam głosy rodaków.

Gybyście nas nie wywozili do tego waszego rajy to byśmy tu
nie bogacili was wszystkich!-

- Niktę się tutaj do nie prosił!Wasze miejsce było w Polsce!
Waszego nie potrzebowaliśmy!,-

- Nie dość że jedziemy do Wojska,tak,tak: te dziewczyny także!Do
Wojska ,aby bić Hitlera, to tak nas tu traktują!...-

Głosy Polaków rozbrzmiewały coraz większym oburzeniem.

Wcale to nie powstrzymało pikielnej nawałnicy na moich
plecach.Rosjanki trajkotały swoje.

- Jezu !chyba mi płuca odbije!...-myślałam z rozpaczą,usiłując
chwycić się słupka i dźwignąć z tej przeklętej ziemi na

własne nogi.

Wandzia zdolała dobrnąć i wyciągnąć mnie z tej matni.
 Słaniałam się z bólu. Nie pomogła żadna harcerska siła woli
 ani żadna, obowiązująca, duma narodowa... Łzy spływały mi
 ciekawym. Wstyd!...

- Chodź, biedula! Może wyjdziemy? - pytała moja siostra.

- Dojciecie spokoj! Tam ulewę nie ustaje od półmocy... -

- Przemokniecie z miejsca do nitki!... -

- Stójcie tutaj! Spróbuj oprzeć się gennie... - troskliwe rady

Staraly się pokrzepić nas na duchu i ciele.

- "Ona-że taki bolnaja..." rzekła jedna z ruskich do drugiej,
 ludzkim głowem.

- Która to godzina? - ktoś zapytał

- Czwarta trzydzieści... - usłyszałam.

- Czwarta trzydzieści?... Oto właśnie ukończyłam dwadzieścia lat.

χ Chińczycy czczą wtedy swe matki...

- O, Moja Mamo!... - myślałam

Z brzaskiem wycofałyśmy się z tego tłumy, który dopiero zaczął
 się trochę rozlunąć, bowiem ulewa przeszła w rzadki deszczyk.

- Najserdeczniejsze życzenia urodzinowe! - zwróciła się do mnie
 moja kochana Wanda, wygrzebując z głębi kieszeni prezencik.

- Zazulka! Jaka miła zazulka!... ucieszyłam się tą niespodzianką
 i wrzuciłam pamięcią siostry zwłaszcza, że w domu nie obchodzi-
 ło się urodzin.

W przeciwieństwie do uroczystego obchodzenia imienin.

Nie znaczy to, aby Mama nie podsuwała mi z okazji urodzin
 ulubionej czekoladki z orzechami, mlecznej, /za dziesięć groszy,

bo można było nabyć "rządek" czekolady, jeśli kogoś nie stać było
 na całą tabliczkę za złotówkę!/. Rzucałam się na nią z zachwytem.

- Naprawdę podoba ci się?... Nie wymyśliłam niczego mądrzejszego... -
 chciała się tłumaczyć.

- I nie wymyśliłabyś! To jest nieduże i mogę zawsze mieć ze sobą:
 na szczęście! Od Ciebie!... Pamiętasz:

"Zazulu, zazulo, polec do nieba..." - zaczęłam.

"I przynieś mi kawałek chleba!" - do kończyła ze mna.

ze śmiechem, nasze dziecinne zaklęcia wypowiedane do biedronek, czyli półwosku: zazulek.

- A no! Pójdziemy gdzieś kupić ten chleb! - energicznie wzięła mnie pod rękę, podejrzewając, nie bez racji, że wysiłkiem nadržabiam miną.

Tylko minęliśmy próg niesamowicie dusznego hallu stacji, gdy od strony ~~miasta~~ ~~podszedł~~ ~~prosto do nas~~ ~~przechodził~~

- Pączki! Weźcie panie świeże pączki! Po pięć rubli sztuka! Prawdziwe pączki, nadziewane! - odsłonił spory koszyk.

Zaniemówiłam.

- Cztery! Albo nie: proszę sześć! Sześć pączków! - Moja siostra sięgnęła po pieniądze.

Oniemiała patrzyłam na transakcję.

- Proszę bardzo! oto sześć pączków! Największe, bo to dziś pierwsze klientki! - podawał sprzedawca z uśmiechem i chuchnął na otrzymaną gotówkę.

- Ale nam się udało! Tak to możemy celebrować twoje urodziny! - cieszyła się moja dobra.

- Wandus! ... Dziękuję! ... Taki luksus... - plotłam oszołomiona.

- Bierz! Jesz! ... Pyszne! ... -

- Patrz, faktycznie z marmoladą! ... - nie przyznawała się, że nie uwierzyłam, bo przecież na to nie zasłużyłam.

- Tak! Z marmoladą buraczaną, ale słodką! I ciasto też słodkie! ... Szkoda, że mama... -

- Że Oni ... -

- Cieszyłoby się, że my - mówiłyśmy pożerając pierwszego pączka z niepohamowaną żarłocznością, potem jedząc drugiego z rozwagą, w końcu delektując się trzecim, choć wciąż jeszcze drżały nam ręce.

- Wiesz co? Trzebaby przecież kupić dla pani Kilakowej z rodzinką... - oprzytomniała Wanda.

- No, właśnie! Ależ z nas gapy...! -

Ruszyliśmy w stronę hallu, ale gdy znalazłyśmy poszukiwanych,

okazało się, że właśnie jedzą pączki. Jaka radość! Trzyletni Tońcio nie znał wcale tego przysmaku i nie mógł sobie wyobrazić, że Terenia już w życiu jadła kiedyś pączki i pamiętała je.

- Takie? Takie jadłaś i Tońciowi nie dałaś? - nie mógł tego pojąć.
- Nie dałam, bo ciębie nie było! A pączki może nie były takie - wielkie...-
- Faktycznie te są bardzo duże!-
- Świetni są nasi Żydzi z Polski! Wszędzie spadają na czertery kapy i wszędzie handlują... - *usłyszałam*
- Oj nie wszyscy i nie wszędzie... - *wspomniałam*
- Ale ten miał świetny pomysł...-
- I świetne pączki! - dorzuciła Terenia, szczęśliwa, że oto je coś, co nie zawiera ryżu.
- A, daj mi Boże, zdrwoie! - pani Kikalowa wyraziła powszechne uczucia.

Plac przed dworcem kolejowym, dość rozległy, wydał się smutny i szary w ten pochmurny dzień, chociaż deszcz wreszcie się uspokoił.

Odrapane tramwaje nadjeżdżające z miasta były w kolorach popielatych, albo zielonych. Zostawiawszy plecaki pod opiekę wyruszyłyśmy z Wandą do miasta, wzdłuż linii tramwajowych aby łatwiej później trafić. Nie musiałam niepokoić się o drogę powrotną, bo moja siostra zawsze wykazywała świetną orientację w terenie i nigdy nie groziło jej zgubienie się, co łatwo mogłoby przydażyć się mnie.

Zapowiedziano nam, że nasz pociąg, na który czekamy, będzie dopiero po południu, wobec tego wolny czas można było przeznaczyć na wycieczkę krajoznawczą po Taszkencie.

Wątałyśmy się więc po tym szarym mieście, aż zaszłyśmy na tamtejszy bazar.

Dużo ludzi, gwar, ruch, zapachy sprzedawanych i kupowanych artykułów żywnościowych. Zwróciłyśmy uwagę na seny: były trochę niższe, niż na mijanych stacjach kolejowych, toteż nawet rozważaliśmy możliwość kupienia jajek, ale były surowe i bałyśmy się że się nam mogą potłuc, bo nie bardzo było czym je zanieść.

W paru miejscach sprzedawcy rozłożyli mimo błota na ziemi, na gazecie haftowane czapeczki, jakie wielu Azjatów nosiło na plowach. Czarne wyszywane haftem pełnym oraz łańcuszkiem kolorowym, wszystko ślnięce.

- Popatrz, Wanduś, jakie piękne czapeczki, pewnie tutejsza, regionalna sztuka ludowa!...-zwróciłam na nie uwagę siostry.

- Ale także: cena ich żadna!...-

Wracałyśmy inną drogą, mijając tramwaje niebieskie i gdzieś dalej zobaczyłyśmy także czerwony, ale wszystkie wyszarzałe od starości.

A potem spotkałyśmy grupkę Polaków z transportu porucznika Bałendiuka i dowiedziałyśmy się od nich, gdzie sprzedają Polakom chleb, tak że wróciłyśmy na dworzec z zaopatrzeniem.

Po południu już radzono nam nie oddalać bo pociąg, oczekiwany mógł "zjawić się lada chwila". Deszczu nie było, więc ludzie snęli się w pobliżu dworca, na którym było dość miejsca, nawet aby usiąść!. Przycupnęłam więc w pobliżu pani Kikalowej, gdzie pod ścianą na ziemi zrobiła legowisko synowi, i tam usiadłam aby rozkoszować się wypoczynkiem, dość obolała po tej pamiętnej nocy, którą moja kochana siostrzyca wynagrodziła tymi niezapomnianymi pączkami.

Mieczorem nadjechał pociąg. Dla Polaków dążących do Wojska był przeznaczony specjalny wagon i to oświetlony! Wsiadaliśmy wszyscy. Wszyscy mieli miejsca ~~siadali~~ leżące, czasem po dwoje na jednej ławie, ale leżące! Nikt na nas nie polował. Nikt nie czuł się jak łowna zwierzyna! Położyłam się szczęśliwie koło Wandzi, na tym niepobitym boku i tak przespałam do samego rana. Jakież to dobrodziejstwo!

Dnia 27 marca, czwartek. 1942 rok. W srebrzystym notesiku zanotowałam: Urodziny Ali Dawidowicz- przyjaciółki we Lwowie/. Ukończyła 18 lat, czyli już tam uznana jest za pełnoletnią. Co ją tam czeka w tę straszną okupacyjną noc?... Jak Dziadka i wszyscy nasi w kraju? I ci w Kazachstanie? I czy długo jeszcze

- 0 - 482.

Kiedy się wreszcie skończy ta okropna wojna? I ta tułaczka?...

Właściwie takie refleksje budziły nas co rano, aby płatać, nam poranne modlitwy, zbyt często towarzyszyły myślom naszym za dnia i po nocach, uskrzydlały lub mąciły nasze modły wieczorne: Były nieustępliwe, jak uporczywy ból zęba, ale nie dające się z serca usunąć, chyba razem z sercem. Do litanii swych najbliższych dołączyłam jeszcze prośbę: "o opiekę nad tymi, którzy chcą pójść za Ojczyznę", o wspomnienie płomiennych, czarnych, oczu dozgonnego przyjaciela towarzyszyło moim westchnieniom.

W mijanej Samarkandzie wysłałam list do Rodziców.

W Kaganie, po południu wsiadła grupą rodaków. Od nich dowiedziałam się, że Wojsko Polskie jest ewakuowane do Iranu, a w związku z tym pobór kobiet wstrzymano.

Grom z jasnego nieba!

Jedziemy dalej, bo właściwie cóż innego możnaby w naszej sytuacji począć? Co do mnie to jadę z uczuciem niemal jak na własny pogrzeb.

Pytania nie ma końca. Wyjaśnienia stają się niewiarygodne, a nasi informatorzy sami przyznają, że wszystkiego przecież nie wiedzą, bo to tajemnica wojskowa!

Późnym wieczorem musimy wysiąść, bo mamy przesiadkę w mieście Karszi.

Skończyła się ważność zaświadczeń o przebytej kąpieli i dezynfekcji, więc całą grupę, czyli "całym wagonem" podążamy we wskazanym nam na stacji kierunku, do łaźni. Jest dość odległa i trzeba przemaszerować spory kawał śpiącego już o tej porze i ciemnego miasta.

A potem targi przed łaźnią:

- A cóż to za głupi naród?! - szczerze dziwi się dozorca łaźni: Przecież mówię wam wyraźnie, że jak pójdziecie do kierowniczkii, do domu to wam zaświadczenie wyda!... - tłumaczyła

- "No trudno" - skitował porucznik - to już palcie w piecu na tę kąpiel! - polecił.

- A na jaką znów kąpiel? - dziwił się stary.

- Przecież wam mówię: my w podróży i mamy tu przesiadkę

- z jednego pociągu do drugiego...-
- "Da, eto ja poniat!" - zniecierpliwiał się dozorca.
- No, więc właśnie: mamy się wykąpać i dać odzież do "woszobojki" i otrzymać zaświadczenia...-
- A ja wam tłumaczę: zaświadczenie da wam kierowniczką! "Eta jedna sprawka - piat' rublej! Da, po wsiem!" /Jedno takie zaświadczenie pięć rubli i powodyżatkim! /
- To my rozumiemy: pięć rubli od osoby...-
- "Da! Da!" - ucieszył się wreszcie.
- "A kąpiel?"
- My się ~~CHCEMY~~ wykąpać!
- Grzejcie już wodę a ja pójdę po "sprawki"...- Inów porucznik zaczął, nie tracąc nadziei.
- "Da czto wy: zduryli?" Przecież mówią wam: nie musicie się fatygować! Dostaniecie zaświadczenia bez kąpień! Kto to widział w nocy kąpiel! ~~Kxxxxtaxxxxixixix~~ Kąpiel, przed podróżą? Pochorujecie się! My wam idziemy na rękę!...- aż się rozżalił. Rad nie rad, porucznik ruszył do kierowniczką.
- Szkoda gadać! Dala "sprawki", a gdy jej tłumaczyłem, że mamy kilka godzin czasu do pociągu i wdychamy do kąpień, to oznamiła, że ~~xxx~~ w łaźni jest piec zepsuty i kąpiel może być ... za tydzień!-

Nocny pociąg zabrał nas na ten końcowy odcinek podróży. Wiadomości napyłwające od spotkanych rodaków wydawały się wręcz nieprawdopodobne. Coraz trudniej było zwalczać niepokój w atmosferze narastającego powszechnie zdenerwowania. Grupa naszych współtowarzyszy skupiła się przy paru oficerach. /którzy służbowo jechali ze Sztabu stacjonującego w Jangi-Julu ^{Guzaru} ~~Julu~~ do ~~Guzaru~~, aby bezpośrednio dowiedzieć się, co właściwie się dzieje. Poczulałam się okropnie wyczerpana i usiadłam przy Tereni. Bardzo polubiłam to dzielne dziecko, zawsze posłuszne matce, szalenie chętna do pomagania i bardzo opiekuńcza dla małego braciszka.

- Czyżym tak rozmyślasz, Tereniu?- zagadnęłam.

- Właśnie wczoraj słyszałam ~~znowu~~, jak te panie mówiły o mnie:
"Jaka ładna dziewczynka"...

Czy ja naprawdę jestem taka ładna?-

- Tak oczywiście! Wiesz moja ciocia mówiła zwykle w ten sposób:

"Ładna, ładna: nie garbata, nie zezowata, nie kulawa ani nawet
pięgotata, a więc, oczywiście, że ładna!" - śmiałam się, dość
zaskoczona takim pytaniem.

- No, nie!... Panno Alu! Ja się pytałam poważnie!-

Terenia obserwowała mnie z wyczekującym wyrazem swej prześlicznej
twarzy.

- Wiesz, Tereniu, gdy ja byłam dzieckiem- spoważniałam

- nie mówiono dzieciom, że są ładne. Dorośli obawiali się, aby
dzieci nie stały się zarozumiałe z tego powodu. Ale tobie to
nie grozi, bo jesteś dobrą i rozsądną dziewczynką, więc ci mogę
powiedzieć prawdę: jesteś rzeczywiście Bardzo ładna. Może się
zdarzyć, że z brzydkich dzieci wyrastają całkiem niebrzydkie
kobiety, albo przystojni mężczyźni. Może też być i tak, że ze
ślicznych dzieci wyrastają osoby o zupełnie przeciętnym
wyglądzie, a wtedy mogą się czuć rozżalone, że już się nimi
wszyscy nie zachwycają...-

- Tak, wiem, to Mamusia już ~~mi~~ mi mówiła...-

- I co jeszcze?- sądowałam, aby nie przeciwniałać pedagogicznym
metodom jej matki.

- Mówiła, że od ładnej osoby wszyscy wymagają jeszcze bardziej
niż od innych, aby była bardzo dobra, bo jeśli nie jest, myślą,
że jest zarozumiała ze swej urody, co nie jest wcale jej zasługą
i wtedy takiej nie cierpią...-

Widzę, że mamusia dobrze ci to wytłumaczyła, Tereniu! Masz
wspaniałą ^mmausię! I jesteś mądrą dziewczynką. Z pewnością
wszyscy będą ciebie bardzo lubili.

- O, to dobrze! Będę starała się być dobra!...- i coś tam

jeszcze mówiła, a ja porównywałam te metody wychowawcze,

dla mnie wprost rewelacyjnie, z tamtymi sprzed kilkunastu lat,

z mego odległego dzieciństwa. Ileż to razy płakałam cicho do poduszki po tym jak słyszałam jak znajome Mamy z entuzjazmem wołały na mój wdok:

- "O jakaż to brzydka dziewczynka! Kto to widział mieć aż takie duże oczy? Ależ grzywka jej urosła!

Ach jak pani rośnie ta brzydula! Kto widział mieć takie czarne brwi? Trzeba je wyszorować mydłem! Kto widział takie długie rzęsy i aż na pół twarzy!" - tak brzmiały opinie różnych pań, raniących nieszczęśliwy przedmiot ich zainteresowań, który chętnie zapadłby się pod ziemię.

Kiedys chciałam już z tym wreszcie skończyć, nawet doszłam do wniosku, że i Mamie musi być przykro, kiedy słucha. Szorowanie brwi szczotką i mydłem nie dało rezultatu poza tym, że mydło gryzło mnie w coczy, co skończyło się płaczem. Nie miałam jeszcze pięciu lat...

Postanowiłam przynajmniej coś zrobić z tą nieznośną grzywką, której niecierpiałam, no i pucinać rzęsy. Usiadałam na trymuderze przed lustrem i zdeżyłam wyciąć sobie dwa "zęby" na połowie grzywki, gdy Mama weszła do pokójki i odebrała mi nóżyczki.

- Nigdy więcej, rozumiesz! Nie wolno ci nic ucinać!

Jak ty teraz wyglądasz? - załamała ręca, a potem roześmiała się!

- Dlaczego? Co chciałaś zrobić? - Ąadała

- Bo brzydka... I te rzęsy za długie... rozbeczała się.

- Coś ty? No, nie płacz, gżuptasku, nie płacz! Ale już sama nic nie rób! A rzęsy mają być długie! - poczym wyrównała nieszczęsną grzywkę.

Oderwana myślami od aktualnych kłopotów wróciłam do terażniejszości zaalarmowana zbliżaniem się celu.

uzur - Guza! Teraz już będzie Guzar!

- Wkrótce będziemy na miejsu!

Kto żyw uwinął swój bagaż i wszyscy skupili się w oknach.

Poprzez stukot kół coraz bardziek dochodziła do nas ludzka wrzawa.

- Dojeżdżamy! Dojeżdżamy!

Kilka torów ciągnie się wzdłuż naszego.

Są pociągi. Ludzie ".... Polacy! Wojsko Polskie!

Cała masa żołnierzy w mundurach.. Polskie Orzełki na czapkach!

- Wandziu!Wandziu! Patrz!.Kobiety w mundurach!Boże!My też!

My też będziemy!- unoszę się zachwytem.

Gwizd!Kilka gwizdów.Zwalniamy.Szarpięcie.Stoimy.

G U Z A R !

W taką ciżbę na peronach wysypuje się nasza ,z pociągu.

Ruch,szum,bieganie,pytania,nawoływania - wszystko naraz ze wszystkich stron.

Zobaczyłam dwie Polki w mundurach i pociągnęłam Wandę za rękę.

- Czuj!Czuj!Dzień dobry paniom! My też do Wojska!Obie!

Harcerki!:My też! -

Wołałam,sapałam,zachłyśnięta szczęściem i zachwytem,gotowa rzucić im się na szyję,za fakt,że są,że istnieją...

- A wezwanie imienne macie?-

- Mamy odpowiedź z Buczułaku...-zaczynam pośpiesznie trzepać swoje

- Z Buczułuka?- krzywi się jedna

- Imienne zapotrzebowanie,no! Za-po,trze-bo-wa-nie! -

skanduje druga,lustrując nas krytycznym wzrokiem od stóp do głów i z północy na południe,baz najmniejszego cienia wyrazu aprobaty w zimnym wzroku.

- No, piszą tam,że zostałam wciągnięta na listę!- recytuję prędko by nie dać im przyjść do słowa i zaraz wpadam w jawny zapał i galopem trajkocę jednym tchem:

- My tu spod samej granicy chińskiej!Z Urdżaru do granicy tylko sześćdziesiąt kilometrów.Wyruszyliśmy piechotą szóstego marca! Było czterdzieści szopni mrozu i przez pięć dni i jedną noc szliśmy do stacji! Sto siedemdziesiąt trzy kilometry piechotą!...

A potem pociągiem.I na gapę!...Ale dotarliśmy!Będziemy w wojsku!

Jakie to dla nas szczęście%,,.- atakowałam,niczym karabin maszynowy,

- Do służby pielęgniarskiej!..- zdołała wtrącić Wanda.

- Ooo!- jedna ze słuchaczek uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Dosyć!-przecięła tyradę druga - Nie macie wezwania,to jasne!

Nabór wstrzymany.

Możecie wrócić skądżeście przyjechały!..- siekła niczym biczem
przez twarz.

- Jak to?!

- Całkiem po prostu. Nie ma naboru?- rzuciła, ta lakoniczna, już
ruszając do odejścia.

- To my poczekamy!...-

- Gdzie? Jak? Niemożliwe!...-

- To co z nami!...- wydarł się ze mnie ni to krzyk, ni tojęk,
jakimś drżącym głosem

- A no, tak to jest, kiedy się tak ktoś pcha na ośle! Słuchajcie!

Wojsko. w ewakuacji!...-

- Jednak to prawda!...-

- Tak! Właśnie! Żywności brak! Namiotów brak! Odzieży, czyli
mundurów brak! Igarstw brak!...- wyliczała nam na palcach
przed nosem.

- I miejsca brak nawet w szpitalach! Tylko chorych nie brak!...-
przerwała jej współtowarzyszka.

- Słowem: szurajcie z powrotem! Wracać do Mamy! To jedyne wyjście-

- dodały, odchodząc równym krokiem maszerowym, już zaabsorbowane
czymś innym.

- Wracać?... Jakim niby cudem?...-

- Czy one mogą mieć pojecie?...- rozgryzałam z goryczą i nagle
zobaczyłam, że jeden z pociągów rusza.

- Boże!... Chyba to byłoby wyjście!...- struchłała we mnie
niedokończona myśl i niepojęta chęć nieczucia i niemyślenia.

- Wanda! Wanda!- jakiś męski głos przekrzykiwał tłum gdzieś
ponad głowami, z wysoka.

- Drużna Wanda! -ktoś podskoczył w stronę mojej siosty.

- Co tu robicie? Zwolniona? Z lagru?-

- Druż Mietek? Ala, to druż Mietek!...-

- Siostra? Co z wami?- pytał zwięźle, pośpiesznie.

- Właśnie przyjechałyśmy!...-

- Do Wojska!-

- Inie chcą nas przyjąć!-

- Nie ma naboru!- mówiłyśmy równocześnie

- Tak! Wiem! Siadajcie ze mną! ~~ten wagon.~~

ten wagon. Już do ewakuacji. Chodźcie! Do Iranu. Zaraz ruszy!

Już jest lokomotywa! - chwycił Wandę za rękę.

- Nie! My nie możemy. Rodzice są w Kzachstanie...-

- Ach, to tak, jak młja matka i siostra. Już kurier wyjechał po nie i inne rodziny, a tymczasem ja mam rozkaz wyjazdu! wsiadziecie? Jak już będziecie z nami, to wy dostaniecie się...-

- ~~wolał~~

- Nie, nie możemy tak nagle...-

- O, idzie mój dowódca! Panie kapitanie! - ~~salutował i mówił~~

Wyskoczyłem już z wagonu, bo zobaczyłem swoje kuzynki... zaczął

- Mietek, Mietek!...- wołano z wagonu

- Panie poruczniku!...- kiwano na niego z pociągu, który już drżał i poszczekiwał

- Zostawiam pod pańską opieką! I jeszcze przyjadą matka z siostrą! Lecę!...- i już podbiegł do "bydłęcego" wagonu, skąd wiele wyciągniętych dłoni zdołało go wciągnąć w górę do ruszającego pociągu.

- Z Bogiem!... - zawołał

- Z Bogiem!... - machałszy ręką za nim z sercem w gardle, podźwignięte naniеспodziewaniej w świecie z przepaści rozpaczy na brzeg ocalenia.

- "Deus ex Machina!" - szepnęła Wanda

- Boże! Dzięki! Faktycznie, jakby w powieści! Taki niespodziewany ratunek w beznadziejności...- ~~oswojenie~~ ~~muśnięcie~~ ~~me~~ ~~mię~~

Tata miał rację, że życie samo stwarza najprzeróżniejsze sytuacje, tworzy własną powieść...- rozmyślałam.

Kapitan, któremu nas podrzucano, kończył z kimś rozmowę.

Przypatrywałam się, chcąc wyczytać z tej twarzy, czego oczekiwać od jej właściciela. Blisko połowa była schowana pod bandażami otaczającymi i kryjącymi oko,

- A, więc porucznik Szymański obdarzył mnie opieką nad swymi kuzynkami?...- mówił nieco skrzekliwym głosem, podchodząc do nas z wyciągniętą prawicą.

Wanda wzięła sprawę w swoje ręce.

Wanda wzięła sprawę w swoje ręce. Podejrzewałam, że nie tyle z poczucia starszeństwa, czy z powodu znajomości z Mietkiem /z drużyny ^{starszo-}harcerskiej/, ile ze słusznego przeświadczenia, że ja potknę się na niewinnym kłamstwie o tym pokrewieństwie, już w pierwszym zdaniu.

W Siódmym PAL u

Kapitan Marcin Nalepa, był komendantem Siódmego Pułku Artylerii Lekkiej w Guzarze. Przed wojną mieszkał we Lwowie, gdzie została jego żona. Aresztowany przeszedł przez obóz na Litwie, potem dostał się do Wojska, już w Buzukuku.

Zabrał nas do swego PAlu, gdzie obiecał pracę i opiekę do czasu naszego wstąpienia do PSK-Pomocniczej Służby Kobiet /bo taka początkowo była nazwa, od której zwano nas /pestkami/, później: Pomocnicza Służba Wojskowa Kobiet.

Obóz był na uboczu, na nieużytkach za miasteczkiem. Pod opieką artylerzystów, w pobliżu ich obozu wskazał nam kapitan skupione przy sobie namioty:

- Piąty namiot kaziałem dostawić dla przybyłych rodzin naszych żołnierzy. To cywile...-

- Czy i my? - zaczęła Wnada.

- A nie! Panie chcą wstąpić do Wojska, to co innego.

Was zabieram do naszego obozu. Dostaniecie namiot i zaczniecie pracować, abym od razu mógł interweniować, że już jesteście zaangażowane...

- Dziękujemy !...

- Dziękujemy bardzo !...

- No, no, nie trzeba! Czego się nie robi dla kolegi i jego kuzynek..-

- Ojej!...- spłoszyłam się- Pewnie się domyśla...-

- te rodziny to naszych żołnierzy, artylerzystów, kto tylko odnalazł, zaraz dawałem przepustki aby jechali i przywozili.

Gdzież ta biedota miała tam ginąć z nędzy? Jak już się odszukali to trzeba ich ściągnąć. Pod opiekę. Niech będą razem, póki ich front nie rozdzieli znów...-ppowiadał gdy jechali ze stacji jakimś wozem, ciągniętym przez konia.

Z kolei musiałyśmy i my opowiedzieć o swoich losach, po krótko
Kilka zdań wystarczyło, aby zorientować się w sytuacji.

Zanim przyszykowano nam namiot w obozie zostałyśmy powołane
do kąpieli. Namiot - kąpielnia właśnie był już pełen gorącej wody,
bo nowa partia przybyłych miała po ulokowaniu się w obozie
pójść do kąpieli.

- Macie panie kwadrans czasu, zanim przyjdą wózi "poborowi" - xxxix
powiedział nam ordynans kapitana, Michaś, po drodze.

Zasznurowałyśmy namiot, drzwi.

- Są dzierze! Światnie! No, to jazda!-

Wanda zaczęła się rozbierać.

- Wandzia, stałam jak głupia, nieszczęśliwa do potęgi, że tak
trzeba prędko, a więc równocześnie -.. rozebrać się
i kąpać... przy niej, jak nigdy od czasów dzieciństwa!...

U tej Kazaczki w Ajaguzie Wanda odwróciła się tyłem, gdy
ja się kąpałam...- wzdychałam zażenowana okropnie.

- Ala! Nie marudź: nie ma czasu! Chcesz aby oni przyszli?
ponaglała.

- Nie, nie! tylko, że ja ...-

- Ach! nie wstydz się!... Przecież nie zwracam na cię uwagi.

Przeszła tak wszędzie kobiety. kąpałyśmy się razem... Tu pewnie
też tak będzie! No, jazda!, Nie zwlekaj!, Lepiej korzystaj: światna
woda!...- zachęcała mnie siostrzyca, toteż łamiąc wszelkie
wewnętrzne opory i dławiąc się wstydem, powodu nagości
pośpieszyłam i ja skorzystać z dobrodziejstwa wody i danego
nam czasu.

Tymczasem poza czystą odzieżą, którą wzięłyśmy z plecaka,
cała reszta naszej garderoby została zabrana do dezynfekcji.

Potem oddano nam je, ale niestety: płaszcz, ten wspaniały Mary
płaszcz, który tak ofiornie i bohatersko dała mi na drogę,

bo był taki bardzo ciepły i lekki /na puszystej, różowej, wełnianej
i najlepszej włtolinie/, ten płaszcz został zniszczony!

Połowa prawego przodu aż po samą kieszeń została spalona
lub stopiona w tej nieumiejętnie przeprowadzonej dezynfekcji.

Dosłownie serce mi się ścisnęło na ten widok.

- Mamy płaszcz! - jęknęłam z bólem.

- Przepraszam panie! Nie gniewajcie się! ... Ja nie umiem tego robić,

ale kazali a ja nie wiedziałam! ... Przecież ja nie chciałam! ...

I co ja mogę teraz zrobić? Co poradzić? ... - rozpoczął żołnierz sprawca tej straty, sam jak żywy obraz biedy i nędzy, niczym kij, na którym zawieszono mundur.

- Czy pan poradzi? .. Przepadło! ... -

- O, Jezu! Pan kapitan obedrze cię ze skóry!

Człowieku! Coś ty zrobił?! - Michaś załamywał ręce w przerażeniu.

- Nie trzeba mówić panu kapitanowi! - zadecydowała Wanda, zastrzeżliwszy mnie swoją wielkodusznością.

- Naprawdę? Czy to możliwe? Nie powiecie panie? - biedak nie mógł uwierzyć, że mu to darują.

- Nikt nie powie. Pan Michaś też nie! Przecież to już nic nie pomoże i płaszcz nie wskrzesi! ... - dzielnie popierałam decyzję swej siostry.

- Jak mam dziękować? Jak mam przepraszać?

Takie nieszczęście, a pani - winowajcą był całkiem oszołominy.

- Nieszczęście bywają gorsze... Trudno. Szkoda płaszcza, ale przecież pan nie chciał... A my dostaniemy mundury, bo wstąpimy do PSK... -

Wanda pocieszała trochę nieszczęśnika a trochę i mnie.

- Będzie paniom zimno spać... - martwił się jeszcze.

- Poprosimy, aby kapitan kazał wydać koce - Michaś wpadł na pomysł i to zrobił.

Żał mi było tego płaszcza, bo miałam nadzieję zwrócić go Mamie, a potem, gdy się okazało, że nie można wysłać żadnych

rzeczy z Uzbekistanu do Kzachstanu, chciałam go sprzedać,

aby przynajmniej pieniądze za ten płaszcz posłać Rodzicom.

Ostatecznie sprzedałam, czy też sprzedałyśmy go później, ale

bardzo tanio: za trzydzieści pięć rubli tylko! Czyli za siedem

jajek lub za siedem ^{"kiszajek"} kopiejek / czarek / mleka! Tylko!

- Ale sytuacja była ciężka, bo sprzedawanie odzieży było karalne i robiono się to nielegalnie.

Cywilną odzież odbierano przy wydawaniu mundurów i palono ją z powodu rozmaitych epidemii. Zresztą: co to za odzież? Same Tachmany! Michaś dotrzymał się słowa i nie zdradził kapitanowi tajemnicy nieszczęsnego kolegi. Znalazł jednak okazję, aby w sekrecie opowiedzieć o tym kapitanowi. Potem ten ksiądz obdarował mnie kartką sakienną podbitą lisem, którą jakiś oficer odjeżdżając zostawił mu, "dla kogoś potrzebującego"

Okrywałam się nią aż do czasu umundarowania, a potem sprzedałyśmy ją z Wandzią, na bazarze, za dwadzieścia pięć rubli! Tę samo dostałam za tę spódniczkę - arcydzieło cerowania, wykonaną przez moją siostrę jeszcze w Tiki-Bulaku.

Ale to było trochę później.

Tymczasem dano nam dwóm mały namiot w pobliżu namiotu-kancelarii i wreszcie byliśmy same we dwóje! Po tych wszystkich podróżach w przepętnieniu, tłoku, zaduchu i hałasie. Wieczorem zgodnie z życzeniem kapitana, uczestniczyłyśmy we wspólnej modlitwie całego BALu, gdzie przedstawił nas, jako przyszłe ochotniczki i ustalił nasze miejsce w szyku.

"Wszystkie nasze dzienne sprawy

Przyjm litośnie, Boże prawy,

A gdy będziem zasypiali,

Niech Cię nawet sen nasz chwali..."

rozległ się głośny śpiew wielu męskich głosów, które z głębi serc żołnierskich ryczały ze wzruszeniem śląc swe gorące modły wysoko ponad równinę uzbecką, aby Bóg usłyszał Polaków wygnanych ze swej ziemi ojczystej.

Tak wiele wdzięczności w nim było za tę naszą, polską wspólnotę i możliwość tworzenia Armii i za tę łaskę przetrwania i dotarcia do niej i przede wszystkim za ratunek od wszelkiego zła, które czychało i nie zawsze oszczędzało nas, za te wszystkie nadzieje, których chwytny się ze wszystkich sił! Tak wiele wdzięczności jak i próśb. O najbliźszych. O życie. O trwanie. O wolność.

O ten chleb powszedni: aby był po wszystkie dni, aby nie brakło go nigdy, jak już bywało. O zdrowie. I o pokój. I o Ojczyznę. O tych, którzy tam żyją. O tych, którzy do Biej dążą, a są pozbawieni...

Ileż tych łask i ocalań do dziękowania, a ile do proszenia jeszcze?

Pierwsza noc w Guzarze, po dniach pełnych tylu przeżyć, po tych niepewnościach i nerwach, otuliła nas swą ciszą i pokrzepiła¹ wzmacniającym snem.

W srebrnym notesiku zanotowałam nazajutrz "Przez całą noc śnił mi się Włodek" Był symbolem przyjaźni i młodzieńczego zapału, szczytnych zasad życiowych takich właśnie, jakie w powszechnie hartowane i głęboko myślące, przy równoczesnym wesołym, niemal żywiołowe, usposobieniu. Świetny kompan i rycerski kolega zawsze chętny nieść pomoc potrzebującym jej.

O ile pierwsza wieczorna żołnierska modlitwa napełniła nas serac wzruszeniem, o tyle pierwszy poranny Rozkaz Dzienny, po modlitwie odczytany żołnierzom i specjalnie ściągniętym na ten Rozkaz rodzinom cywilnym, zasmuciła nas zaskakującą treścią:

"Zabrania się głośić - pod karą dwóch tygodni ciężkiego aresztu zjadanie psów, a szczególnie młodych szczeniąt z powodu zbyt częstych następujących potem przypadków śmiertelnych!...-

- O, Jezu! - zaskowyczałam w duszy - rzuciwszy bkiem na pobladą twarz swej siostry, która też w tej samej chwili spojrzała na mnie, wzrokiem pełnym wymownego bólu.

Nie będziemy mogły ich sprowadzić! Skoro żołnierze usiłują dokarmiać się /kradzionymi!/ psami....

- A czy, się żywią cywile? - pytałyśmy Michasia, gdy przyszedł nas poinformować o mszy polowej.

- Nasi? Nasze rodziny? A, no pan kapitan ogłosił, że to niemożliwe, aby żołnierz sam jeden dzielił się swoją chochlą zupy i swoim "fasunkiem" chleba ze swą rodziną, bo by ani on sam nie wyżył, ani jego rodzina. Może tam być więcej niż sama żona. Jeden taki to odnalazł żonę z jej siostrą i swoją matkę i 2 dziećmi swoimi i szmagierki, razem jedenaścioro! To czym by nakarmił? Więc pan kapitan /bardzo ludzki człowiek, chociaż

trochę raptus- nekhus /zwrócił się do żołnierzy z pytaniem, czy każdy zgodzi się, na te dwie łyżki zupy mniej i pół kromki chleba mniej, aby z tego karmić rodziny .I obiecał, że wszystkim, którzy tylko odnajdą swoich, pozwoli pojechać i przywieźć, jeśli wszyscy żołnierze zgodzą się dzielić swoją strawę.

„Bardzo mądrze i po ludzku,..-

- A co oni na to?...-

-A zgodzili się!Wszyscy się zgodzili! A te rodziny też się starają, Kobiety gdzieś wypatrzyły kwaśną łakę i co kilka dni chodzą tam po szczaw i przynoszą do kotta, też dla wszystkich, bo to witaminowy...-

opowiadał Michaś Karajew - z zapalem.

- Ale ⁱⁿⁿⁱ nimi komendanci obozów mniej się tym przejmują i rodziny wysprzedają swoje ^{resztki} rzeczy, odzież na bazarze, aby jakoś przeżyć...-

Kontynuował- A ceny są bardzo niskie, bo Źbcey widzą, że handel rzeczami jest zabroniony, więc płacą byle grosze... A za żywność zdierają skórę z człowieka... I jeszcze milicja pilnuje i nasza Żandarmeria wojskowa też wciąż patroluje... Waszym rodzinom tutaj u nas w artylerii jest najlepiej...- podkreślał z dumą.

- A pan, panie Michasiu, ma też kogoś?-

- Nie skąd? Nie mam nikogo i nic nie wiem o swoich...Czy w Kraju czy też się gdzieś poniewierają po świecie?...-

Msza polowa była bardzo uroczysta, bo to Niedziela Palmowa / 29 marca - przypomniałam sobie, że to już czwarta rocznica śmierci szesnastoletniej Stefy Strożak, zmarłej we Lwowie na gruźlicę mej przyjaciółki ze szkoły Sióstr Nazaretanek/.

^{Była} Stała to dla mnie pierwsza Msza św. od dwóch lat. Dla Wandzi ~~na~~ więcej. Ksiądz kapelan w mundurze i z koloratką, przy prowizorycznym ołtarzu. Wzruszeni żołnierze. Gromada cywilnych, z rodzin. Głośne modlitwy i pieśni Wielkopostne, jeszcze bardzo habrzmiałe smutkiem niż kiedyś, dawniej...,-

A potem spotkanie z Mietką Nowi, koleżanką sprzed lat ze szkoły powszechnej we Lwowie u Panien Benedktynek Tacińskivh /były też ^{Guzarze} ormiańskie/. Mietka znalazła się w ~~Guzarze~~ pod opieką Artylerii jako żona po mężu, ale pamiętam, że była tam, z kimś jeszcze z rodziny. może z matką ^{a chyba też z siostrami}

495

[prawdopodobnie fikcyjnie zawartego związku dla umożliwienia wydobycia rudy z Karachstamu pod opieką Wojska)

I zdaje mi się, że jej mąż nie pamiętam stopnia wojskowego:

sierżant?/ chyba w Guzarze nie było, może już został wyznaczony do ewakuacji do Iranu. Nie jestem tego pewna.

Wybrałyśmy się na bazar, podobno w niedzielę dość duży. Kupiłyśmy marchewkę i rodzynki, albo raczej pokrewne im winogrona suszone razem z pestkami, po uzbecku: "kisz-misz", to było tak niezwykłym wydarzeniem, że zapisałam w notesiku, obok wzmianki: "Powrót do obozu i kwiaty moreli jako palma dla kapitana.

Wieczorem nabożeństwo w kaplicy Sztabu. Powrót z kapłanem, księdzem Józefem Bednarczykiem i z kapitanem Nalepą".

Bazar w Guzarze mieścił się na placu dość nieregularnie rozciągniętym między uzbeckimi lepiankami, które nie wszędzie tworzyły regularne ulice, czy uliczki.

Jeszcze nie doszłyśmy do tego placu, gdy już słychać było stamtąd gwarny szum ludzki. U wylotu uliczki przystanęłyśmy, by rzucić okiem na całe to kolorowe widowisko. Uzbecy o szczuplejszych niż Kazachowie twarzach, zakończonych spiczastą rzadką i krótką bródką/"taką kozią bródką"/czarną, najczęściej siwą, wszyscy nosili na głowach te czarne i barwne haftowane czapeczki, którymi także chętnie zdobiły swe głowy młode uzbeckie dziewczęta. One miały swe czarne włosy pozaplatane w cienkie wyrkoczyki, zwisające luźno wokół całej głowy.

Kiedyś do miasta ^{za Uzbeczką} idąc, policzyłam wszystkie jej wyrkoczyki: trzydzieści dwa!

Stare Uzbeczki zawijały głowy wielkimi turbanami, przeważnie białymi albo jasnymi i jednobarwnymi. Końce tych turbanów, wsunięte były pod dekolt bluzki, czy sukienki, tak, że chronił szyję, a przede wszystkim kark od słońca. Spódnice długie do ziemi.

^{stwierdzenie} Właśnie) świeciło i grzało, co ubarwiło tłum wyraźnymi kolorami, wręcz przeciwnie niż w tamten pochmurno-deszczowy dzień na bazarze w Taszkencie, sprawiającym tak smutne wrażenie.

Tutaj też kramy i kramiki rozesłane były na gazetach, na ziemi albo towary noszone w rękach, jeśli to było możliwe.

W pewnej chwili usłyszałam miarowy tupot kopyt, ale nie ten typowy dla konia, więc się obejrzałam.

- Wandziu! Popatrz! - chwyciłam ją za rękę

- Osiołek! - skonstatowała, a mnie jego rytmiczny stukot przypomniał tak chętnie śpiewaną przez Eldę i Lalę Schmallówną "Oślę serenadę". - Zupełnie ten sam rytm!

- Ciekawe, co z nimi? - przemknęło mi przez myśl, ale już za moment coś innego zwróciło moją uwagę, bo tym razem Wanda mnie pokazała inny egzotyczny obrazek.

- Wielbłądy! - Widzisz? -

Szły sobie majestatycznie, trzy, jeden za drugim, prowadzone przez jednego młodego Uzbeka, niosąc na grzbietach worek z bawełną.

- Tak. Dromadery. Jakie poważne.... -

Ruch i barwy i zmienne obrazy, godnego dobrego pędzla albo sfilmowania, albo przynajmniej sfotografowania... Chłonełam to wszystko, pożerając wzrokiem, słuchem i węchem całą tę egzotykę, chociaż nie brak tam było widoku biedoty i zaniedbania.

- Wiesz, jak "Na perskim jarmarku" - powiedziałam Wandzi, bardzo zadowolonej z tego, że tak chłone zachłannie to nasze pierwsze poznawanie uzbeckiego jarmarku.

- O, Tak! Ta melodia pasowałaby tu, jako tło, ~~k~~ jako podkład muzyczny! - zgodziła się ze mną.

Między Uzbekami kręciły się Polki, cywilne z paroma "szmatkami", przewieszonymi na ramieniu, rozglądające się uważnie, czy nikt nie zbliżył się spośród tych, którzy zechcą udaremnić planowaną sprzedaż.

- Coraz trudniej coś sprzedać, a drożyzna wciąż coraz gorsza!...

Jak ja dzieci nakarmię?... - usłyszałam strzęp rozmowy i gdzieś się z miejsca ulotnił cały worek tej egzotyki:

Tak... Coraz trudniej i tu w Kazachstanie...

Jak tam oni przeżyją? Obiecałyśmy odesłać swą zabraną na drogę odzież, bo już by to trochę poratowało. Tymczasem stąd można tylko wysłać listy, a nie żadne paczki!... Rozpacz! Na razie nie mamy mundurów i nie wiadomo kiedy... No tak: można wysłać pieniądze... Tylko skąd je brać? Sprzedaje się tu za bezcen!...

A zabranie ich tutaj? Jaka straszna podróż!...

I na co? Na te wszystkie epidemie, o których już zdołałyśmy się dość nasłuchać... I na ten głód?...

Samo Wojsko z wielką trudnością utrzymuje żołnierzy przy życiu tą nędzną "galop-zupką" dwukrotnie dziennie i tym skromnym kawałkiem chleba / i to nie zawsze!... I rzucają się na cudze psy!...

Widocznie i Wanda słyszała rozmowę naszych mijanych przed chwilą rodaczek, bo szybko porobiła te wspomniane zakupy i skierowała się do odejścia.

W drodze powrotnej, skaracając ją sobie, trafiłyśmy na całe osiedle doszczętnie spalone.

Tylko czarne kikuty lepierek, świecące tu i ówdzie gliną zmytą deszczami., świadczyło o dawnym życiu mieszkających tam ludzi.

- Tak... Opowiadali tubylcy, że to podczas buntów w 1936r.

Zaczęły się na Ukrainie, skąd tysiące przesiedlono tu i do Kazachstanu; no i tu także bunty się rozprzestrzeniły...

Stłumiono ogniem i strzałami... Uciekinierzy padali z głodu...

No, i bunty w ten sposób uśmierzone... - mówił, ^{kapitan} gdyśmy zapytały później o to.

- W Tas-Bułaku też zostało takie osiedle, a dwa kilometry od centralnej fermy sowchozu. Na ostrzeżenie... - ~~powiedziakam~~ przypomniałam sobie zwierzenia "babuszki" w Sigizbaju, u której Mama brała mleko, o kanibaliźmie.

W Ajagu nie też tubylcy dobrze pamiętali okropną aferę z tego okresu.

Obserwowano z przerażeniem, że wiele osób ginęło w niewytłumaczalny sposób. Niektórzy szeptali pokątnie, że pewnie zostali aresztowani, a więc nikt nie odważył się ich jawnie poszukiwać, aby nie narażać się.

Aż jakiś chłop się uparł. Przybył do Ajagużu z sąsiadem, od którego pożyczył pieniądze i mieli razem wracać do kołchozu, po załatwieniu każdy swoich spraw w miasteczku.

On siedział u fryzjera i przez okno zobaczył, że jego sąsiad wszedł do herbaciarni, więc potem poszedł tam za nim.

Powiedziano mu, że nikogo tam nie było nikt nie przychodził, więc nie przekraczając progu wycofał się z pokorną miną i przeprosinami.

I poszedł prosto na milicję, gdzie miał jakiegoś krewniaka.

W rezultacie okazało się, że w owej herbaciarni, w drugiej izbie była ukryta głęboka piwnica, do której wtrącano klientów, gdy tylko nadawał się ktoś samotny, czyli trafiła się okazja.

A potem robiono z nich "baranie"; mielone kotlety!

Właśnie do sprzedawanej tam herbaty, na zakąskę!

A gdy znaleziono jeszcze żywego /zakneblowanego/sąsiada tegoż energicznego kołchoźnika i ^{zarekwirowano} zarekwirowano oprócz rozpacelowanego na sztuki ludzkiego mięsa, przechowywanego w piwnicy, także gotowe kotlety, w jednym z nich odkryto kawałek ludzkiego palca z paznokciem!

Aż trudno uwierzyć w prawdziwość takich historii...

Podobne myśli potrafią smutkiem napełnić ~~xxxx~~ najpiękniejszy nawet wiosenny dzień....

30.III. Wielki Poniedziałek. Znów dezynfekcja. Przygotowania do pracy w kancelarii PALu. Rysowałam formularze dla kancelarii do rejestrowania nowo-przybyłych.

Wandzia będzie pracowała na poczcie polowej przy Sztabie.

Od Wielkiego Wtorku (31.III.1942) pracowałam już w kancelarii Zapasowej Baterii. Szefem kancelarii był starszy ogniomistrz, pan Bielawski. W tym namiocie pracowali jeszcze: podchorąży Wacław Jackiewicz oraz strzelec Stanisław Dynowski, chyba mój rówieśnik, lub najwyżej o rok starszy.

Wciąż napływali nowi kandydaci do służby wojskowej i do artylerii skierowywano głównie tych, którzy już kiedyś mieli coś z nią do czynienia.

Kancelaria rejestrowała na podstawie okazywanych dokumentów, które bywały najrozmaitszego rodzaju, a także na podstawie zeznań świadków potwierdzających tożsamość i autentyczność podanej służby wojskowej. Jeśli kandydat nie miał sposobu na udowodnienie swego stopnia, zapisywało się go na listę osób wymagających weryfikacji, którą Sztab co jakiś czas organizował.

Przyjętych i zarejestrowanych kąpano i dezynfekowano, mundurowano (i palono ich cywilną " pożał-się-Boże " odzież: czytaj " łachmany " - najczęściej), po czym grupowano w odpowiednie pododdziały jednostki, które porywały ich w tryby służby wojskowej. Oczywiście wszyscy przechodzili szczepienia, zależnie od tego, czym aktualnie dysponowano.

Oddział posiadał swego lekarza, którego właśnie miano przenieść gdzieś, gdzie był koniecznie potrzebny. Szczegółów nie pamiętam.

W kancelarii wszyscy pisaliśmy własnoręcznie: maszyny nie było, podobnie jak gotowych druków i formularzy, które fabrykowaliśmy osobiście.

Szef Bielawski, jak go zwano, był podoficerem zawodowym, bardzo konkretny w formułowaniu swych myśli w ogóle, a poleceń w szczególności, dobry organizator, ceniący czas i porządek:

Podchorąży Wacek starał się jak najmniej mówić i nie od razu zorientowałam się, że ma duże trudności w mówieniu. Najczęściej po prostu się jąkał. Potem opowiedziano mi, że był właśnie świeżo upieczonym podchorążym, gdy we wrześniu 1939 roku został kontuzjowany i jako taki trafił do niewoli na Litwie. Przeszedł więzienie i lagier.

Staszek Dynowski kiedyś samorzutnie coś dorywczo pomagał w kancelarii, z czego szef był bardzo zadowolony, bo pisał szybko i wyraźnie, więc postarano się, aby już został tam tym "pisarczykiem".

Był spokojny i zdyscyplinowany, zajęty swoją robotą obserwował wszystko i nie ogłaszał swych opinii.

Wpadał tam często wysoki i rozgadany podoficer zawodowy, niby pomagać w pracy, bo od tego najczęściej zaczynał, ale dość prędko " odczuwał potrzebę rozweselania towarzystwa" i zaczynało się opowiadanie pseudokawałów, czasem dwuznacznych (ale nigdy przy szefie, bo od razu go zgasił!) lub niezrozumiałych, albo z serii żydowskich kawałów.

Ulubionym zaś jego zajęciem było " podżartowywanie " sobie z ułomności ludzkich, przy czym niemal za każdym razem przyniósł jakiś nowy kawał o jakaśkach " aby rozweselić tego tego biedaka - podchorążaka. ", mawiał.

Pan Wacek faktycznie śmiał się z tych głupich kawałów, ale mnie aż się płakać chciało, że ktoś może być aż tak bardzo nietaktowny, wręcz gruboskórny! Byłam jednak zanadto nieśmiała, aby przeciwdziałać. Kiedyś jednak nie wytrzymałam i szepnęłam cichotko do Staszka: "Jak tak można? Jak mu nie wstyd?" - pod adresem niefortunnego dowcipnisia.

- No, cóż? Wydaje świadectwo sam sobie! - odpowiedział mi nieco głośniejszym szeptem, co zaciekawiko tego, o kim była mowa, ale nie wiedział, o co chodzi, więc skwitował niedosłyszana uwagę kpiącym uśmiechem.

Musiał jednak w końcu się spostrzec, że jego popisy dowcipem nie wprawiają nikogo w zachwyt i jakoś przestał nas uszczęśliwiać częstymi odwiedzinami:

Wkrótce potem zaczął przychodzić jakiś młody podporucznik, który dziwnym wzrokiem swych blisko osadzonych oczu zdawał się prześwietlać rozmówcę na wylot.

Pierwszy raz podszedł do mnie z wyciągniętą do powitania dłonią, przedstawił się i zapytał:

- Jak zdrowieczko? -

- Dziękuję. Nieźle... - odpowiedziałam zażenowana.

Chwilę rozmawiał z wszystkimi i znów zwrócił się do mnie z uśmiechem:

- Jak zdrowieczko? -

- Dziękuję... - powiedziałam nieco zdziwiona.

Nie minęło kilka minut, gdy znów zaskoczyło mnie pytanie:

- Jak zdrowieczko?... -

- Ta, czegoż on sobie kpi ze mnie! - pomyślałam całkiem zbita z pantałyku i podniosłam oczy znad pisaniny.

W tej samej chwili zobaczyłam spoza uśmiechniętej twarzy podporucznika poważną twarz szefa, który dawał mi znaki: palec kładł na usta, na znak milczenia, a potem zakreślił kółko na czole, wymownym ruchem. Spojrzał przy tym takim wzrokiem, że zrozumiałam.

- Dziękuję. Dobrze - odpowiedziałam, siląc się na spokój i opanowanie głosu, by nie drzął.
- A, no to dobrze! To dobrze!... To ja już sobie pójdę. Życzę pani dużo zdrowia! - powiedział podporucznik i uścił mi mocno prawicę.
- O, Boże! ... - stłumiłam westchnienie.
- Całe szczęście, że pani zachowała taki spokój! - pochwalił mnie szef, któremu byłam wdzięczna -
- Kiedyś ktoś mu odburknął, aby się przestał wygłupiać z tym swoim "Jak zdrowieczko"! i ten biedak znowu wpadł w furję, aż go trzeba było siłą powalić i związać, aby znów odwieźć do szpitala... Był ranny w głowę... -
- To dopiero nieszczęście!... Rozumiem... -
- Tak go trzymamy, aby do ewakuacji, bo tam trafi do lepszego szpitala... Albo do zakładu zamkniętego... -
- A dlaczego nie wyjechał tym marcowym transportem? - pytałam
- A, właśnie ^{był} w szpitalu zakaźnym... Nie można było... Dopiero wczoraj wyszedł. -
- Szkoda człowieka... - stęknął pan Wacek
- Szkoda! Bardzo szkoda... -
- A porządny był chłop! I niegłupi! ... -

Jednak czasu na dłuższe rozmowy tam nie było. Zdarzało się, że gdy przybywał nowy transport, to nie tylko kuchnia, kaźnia i mundurówka miały ręce pełne roboty. Naprzód wszyscy musieli przejść przez namiot kancelarii, toteż dwouiliśmy się i troili, aby jak najprędzej uwijać się z całą obowiązującą rejestracją.

Każdy z petentów podchodził do jednej z zapisujących osób i odpowiadał na kolejne pytania, a my zapisywaliśmy odpowiedzi w rubrykach, możliwie najszybciej. Nikomu nie dawało się formularzy do osobistego wypełniania, zgodnie z poleceniem szefa.

Kiedyś odważyłam się zapytać, dlaczego, więc mi wyjaśnił, że to trwałoby jeszcze dłużej, nie wiadomo, co by tam

nagryzmolili, ile zniszczyliby cennych formularzy, ile mieli-
by wątpliwości, dodatkowych pytań o wyjaśnienia, nie mówiąc
już o kompletnych analfabetach, bo i tacy byli.

Największy procent pochodził z przedwojennych terenów
wschodniej Polski. Wielu było ze wsi, z bardzo niskim wykształ-
ceniem. Wielu nie odbywało jeszcze służby wojskowej i tych
wkrótce już sama rozpoznawałam. Ściągali z różnych części
Związku, ale najliczniej z Sybiru i z Kazachstanu.

Kiedyś, zapisawszy już imiona i nazwisko jednego mło-
dziana zapytałam o imię jego ojca.

- Ojca?... Nie mam. - odpowiedział, więc tak zapisałam.

Po jakimś czasie zjawik się zambarasonany.

- A, bo to ja chciałem coś wyjaśnić - zwrócił się do ankieto-
wanego z prośbą, by mu pozwolił.

- Słucham pana? - zapytałam

- "No, bo tam się chłopcy ze mnie śmieją, że ja tu powiedziałem,
że ja nie miałem ojca! Ale to nie tak! Bo ja miałem ojca!

Tylko, że on umarł!..." -

- A jak miał na imię - spytałam poważnie.

- "Jan! Jan mu było. Ale umarł, jak ja miałem siedem lat..." -

- Już zapisałem... -

- A, to dziękuję panienci urzędniczce! Dziękuję! ... -

Gwałtownie stłumiłam uśmiech, ale w myślach fiknęłam ko-
ziołka ze śmiechu. Oczywiście, tylko w myślach, bo w rzeczy-
wistości nigdy ^{w życiu} mi się to nie udało!... -

Tych, którzy pozostawili gdzieś na zesłaniu swe rodzi-
ny, informowaliśmy, że mają prawo starać się o przepustkę na
wyjazd po nie. Zapisywałam ich na osobnej liście, uwzględnia-
jąc miejsce pobytu i ilość członków rodziny.

Kapitan wydawał im przepustki w ten sposób, aby z jed-
nej trasy jeden delegowany żołnierz mógł zebrać kilka lub
więcej tych rodzin, a gdy okazało się, że w jakiejś zapadłej
miejscowości było ich dość duży, wówczas wysyłano dwóch naj-
energiczniejszych żołnierzy. Niejednokrotnie dostawali listę
osób do przywiezienia. "wymagającą uzupełnienia liczby ich
na miejscu".

Przyszedł kiedyś któryś z tych wysyłanych po rodzinę,
aby mu poprzybić pieczętki urzędowe na przepustce i zezwo-
leniach. Zwróciłam uwagę, że nie zgadzała się data.

- Przepustka wystawiona przed dwoma tygodniami?

Czy to nie pomyłka?... -

- Nie, nie!... -

- Może poprawić datę, aby się nikt nie czeplął? -

- Nie trzeba... -

- Mogą gdzieś pana zatrzymać, że przepustka już nie ważna, bo przedatowana... - starałam się załatwić petenta tak, aby nie miał w drodze nieoczekiwanych trudności.

- Nie, nie! Niech już tak będzie!... - i skwapliwie wyjął mi papiery z ręki, bo już były opieczątowane i natychmiast, podziękowawszy, odmeldował się.

- Panie szefie... - zwróciłam się do pana Bielawskiego - czy nie sądzi pan, że pan kapitan mógł się pomylić? -

- Nie, nie sądzę: wie, co robi -

Potem relacje z tego wydarzenia zdałam kapitanowi.

- No, dobrze, dobrze! - wydawał się bardzo zadowolony.

Omówiłam całą sprawę z Wandą, ale nadal nie doszliśmy do sedna sprawy.

Dopiero po paru dniach, gdy ^{znów} przebijałam pieczątki na wcześniej wydawanych przepustkach i opowiedziałam to siostrze, ta oznajmiła:

- Już wiem, o co chodzi! Właśnie chciałam ci to powiedzieć. Pod naciskiem władz sowieckich nasz Sztab w Guzarze musiał wydać zakaz wydawania przepustek i zezwoleń na wyjazdy i przywożenie rodzin. To stało się dzień wcześniej, przed tym, gdy ty zwróciłaś uwagę na tę wcześniejszą datę i obowiązuje od tego dnia.

Rozumiesz teraz?... -

- Ach, więc nasz kapitan wydał wcześniej (oficjalnie!) te przepustki i zezwolenia, aby oni mogli jeszcze pojechać po tamtych biedaków!...

- No, oczywiście! Bo wszyscy od razu będą ewakuowani, razem z wojskiem, w tej następnej turze do Iranu!...

- A więc tak kapitan ich ratuje? Właściwie to się nawet naraża... Niesubordynacja, nie wykonanie rozkazu... Wiesz, pod chropowatą i burzącą powierzchnią jednak kryje się bardzo ludzki człowiek!...

- Tak... Ale ja się zastanawiam, co my mamy zrobić? Czy jednak nie ściągnąć Rodziców tutaj?... -

- Może, gdy trochę się lato przetoczy... Mówią, że tu są upały + 40 - + 60°C, raczej więcej niż mniej... -

Żeby chociaż te epidemie już się skończyły ! ... -

- No, i najpierw musimy być już umundurowane ! ... -

- Trzeba będzie jak najszybciej po umundurowaniu jednak sprzedać wszystko od razu i wysłać Im te wszystkie pieniądze.

Przynajmniej tyle ... -

Kiedy później, przy jakiejś okazji starałam się dać do zrozumienia, że już orientuję się w tych przepustkowych datach, kapitan burknął:

- A to niby skąd takie insynuacje ? -

- Moja siostra pracuje w Sztabie ! ... -

- O, to powinna się orientować, że w tekście naszej żołnierskiej przysięgi jest takie jedno zdanie... -

- ?...-

- "Tajemnic wojskowych strzec !" ... -

- A w naszym harcerskim prawie jest drugi punkt, który mówi:

" Na słowie harcerki polegaj jak na Zawiszy!" -

- No, dobrze, już dobrze ! W porządku ... -

- Tak. Wszystko w porządku i wszyscy w porządku ! Nikt nic nie powiedział, ani w kancelarii, ci którzy pracują...

- Zgodnie z rozkazem ! ... -

-...ani ci, którzy wyjeżdżali... - wyciągałam wnioski

- Zgodnie z własnym interesem, bo ich ostrzegłem ! ... - do-
kończył kapitan i w końcu się rozchmurzył.

W kilka dni później byłam świadkiem innej rozmowy. Byłyśmy z Wandą obie w namiocie kapitana, który zaprosił nas na wieczorną herbatę, bo już ją Michaś robił na naftowej "kópcikce".

Zameldował się koniuszy:

- Panie kapitanie, melduję, że już wróciłem -

- Tyle, to sam widzę ! A ile ci wydali ? -

- Melduję, że cztery worki ... -

- Sam owies ? -

- Tak jest ! -

- A dowiedziałeś się, gdzie jest ten młyn ?... -

- Tak jest ! W kołchozie ... -

- Daleko ? -

- Osiem kilometrów... -

- Młynarz na miejscu ? -

- Tak jest !... -

- A, więc: weźmiecie ten wszystek owies i pojedźcie do młyna. Niech młynarz to zmieli na jakąś kaszę. Jak da radę, tak niech będzie. Zapłacicie, oto pieniądze. Ale powiecie mu, że to dla wojska i to jest tajemnica wojskowa, więc niech sobie te pieniądze weźmie do kieszeni i nie rejestruje ich w przychodach kołchozu, bo to nie może być rejestrowane, gdyż mogłoby wpaść w ręce szpiega (szpion!). Ale powiedzcie, że my mu ufamy, bo nam powiedziano, że jest mądry! I to wszystko ma być załatwione dzisiaj w nocy. I nikt nie ma wiedzieć! A przed pobudką meldujcie mi o wykonaniu!
- Rozkaz! -
- Acha! A konie to tam przy okazji niech się popasą z daleka od obozu... aby nam nie padły. No, rozumiecie?... -
- Tak jest, panie kapitanie! -
- To każdej nocy niech się pasą! Raz ty je bierz, raz tamten drugi... Stworzeń też nie można zagłodzić... -
- Tak jest, panie kapitanie! -
- Odmaszerować! -
- A tę kaszę z tego owsa, to już ty dopilnujesz, Michasiu, aby to kucharz podzielił na sześć dni i dosypywał do obiadowej zupy. Będzie pożywniejsza! - kapitan wydał rozkaz Michasiowi jawnie zachwyconemu.

Nowy nabór trzymał nas, pracowników kancelarii, przez kilka dni od samego śniadania, aż do dziesiątej, raz nawet do dwunastej w nocy, gdy pisało się przy młym świetle stajennego "Fanara"

Już zaczęły się upały i ciężko było wysiedzieć przez tyle godzin w namiocie, mimo otwartych drzwi. Jednak nie korzystaliśmy z przerwy obiadowej ani chwili dłużej, niż trzeba było na skonsumowanie zupki i kawałka "pajki" chleba.

Robiło się coraz cieplej, a stało się to tak z dnia na dzień, że od razu zrezygnowałam z tej swojej ulubionej, flanelowej bluzki, której łąty na plecach zakrywał swetr i ze szkolnego - licealnego fartucha, posiadającego dwie kieszenie i okrywającego biedniutką spódniczkę.

Wydobyłam z plecaka sukienkę, którą mi Mama uszyła w rękach, w Tiki - Bułaku. Perkalikowa, granatowa w białe groszki z kołnierzykiem i krótkimi rękawami. Góra raczej dopasowana, dół lekko przymarszczony. Prawie nowa. Miałam nadzieję potem dobrze ją sprzedać, ale tymczasem ponosić i nie parzyć się w tamtej stercie "biedoty".

Wandzia też znalazła swoją sukienkę i obie odetchnęłyśmy z ulgą, że już nie będziemy przegrzane tak jak poprzedniego dnia, gdy nieoczekiwany upał nas zaskoczył.

Idąc po śniadaniu do kancelarii, z naszego nowego namiotu, odizolowanego po doktorze i sąsiadującego z namiotem kapitana, spotkałam go, stojącego na progu,

- Szurka! - zawołał nadanym mi pseudonimem.
 - Jakże wydomoślośtaś w tej sukience! Hm! Nawet wyglądasz całkiem... całkiem... kobieco! - strzelił niespodziewanie.
 - A to ci dopiero garbaty komplement! - pomyślałam z rozpaczą i potknęłam się tak, że aż poleciałam parę kroków do przodu, ratując zachwianą równowagę fizyczną. Z równowagą psychiczną było nieco gorzej.
 - Co ja na to mogę poradzić? - monologowałam wewnątrz... Na tę swoją nieszczęsną "kobiecość"! Gdzie ja mam ją podziąć? Czy to moja wina, aby mi "to" wytykać?!... Potem polecę i okryję się tym swoim zrudziałym fartuchem szkolnym, aby wyglądać już nie tak "kobieco" lecz przyzwyczajenie... ale jeszcze tam kapitan stoi, to teraz nie mogę!... Jak ja wejdę do tej kancelarii? Aż mi się nogi plączą! Jak ja się tam pokażę?! U nas w namiocie nie zdawałam sobie sprawy z tego, że tak wyglądam! Nie mamy lusterka, poza tym Wandzinym "na jedno oko". Ledwie można równy przedziałek uczesać... Boże! Daj nam dziś nawał pracy, aby nikt, a nikt, na mnie nie spojrział! Przecież nie chcę być nieprzyzwyczajona! A ten tak mnie obejrzał, że się teraz czuję, jak gdybym się rozebrała do stroju kąpielowego!... -
- Wreszcie musiałam wejść do tej kancelarii, nie było innego wyjścia. Drapnęłam z najwyższym pośpiechem, gdybym mogła!... Ba!... Czuję, że się czerwienię aż po czubki włosów.
- O, widzi pani, cośmy tu wymyślili? - pokazał mi szef, po powitaniu. - Namiot otwarty na przestrzał, ale papiery nam nie wyfrunę, bo chłopcy umyli kilka kamieni i mamy teraz przyciski, niczym z marmuru!
 - Właśnie! - potwierdził podchorąży bez zajaknienia
 - No, bo już było niemożliwie duszno! ... dorzucił Staszek, podwijając rękawy.
 - Szczęście, że i pani ma lżejszą garderobę, bo z samego gorąca można zasłabnąć - dorzucił szef.

- Mój Boże ! Szczęście, że tacy delikatni i powstrzymali się od uwag ! ... Muszę jakoś wytrzymać, zanim uda mi się wyskoczyć po ten fartuch ! ... - klarowałam sama sobie, odpędzając brzęczenie przykrych myśli.

Gdy jednak później naciągnęłam na siebie ten fartuch i wróciłam do pracy, podwijając rękawy, pan Bielawski rzucił na mnie baczne wejrzenie i spłoszyłam się, że coś chce powiedzieć. Mię odezwał się.

Dopiero, gdy tamci wyszli na przerwę obiadową i nie było nikogo, zapytał całkiem nieurzędowym, ale wręcz ojcowskim tonem:

- Co się stało ? Dlaczego się pani przegrzewa i nawlekła na siebie dodatkową odzież ? Przecież to nie ma żadnego sensu ! I tak jest pani dosyć słaba fizycznie, więc dlaczego się osłabiać ? ... -

- Bo... bo... - czułam, że robię się czerwona i blada na przemian i z wielką chęcią zapadłabym się pod ziemię.

- No, odważnie ! I szczerze - rzucił dobitnie

- Bo ja muszę wyglądać przyzwoicie ! ... wypaliłam z rozpaczą walcząc ze łzami,

- Ależ dziewczyno ! Co też pani opowiada ? Co pani strzeliło do głowy ? A cóż to, sukienka była niby nieprzyzwoita ? Przecież aż po samą szyję, bez wydekoltowania, bardzo przyzwoita i skromna sukienka ! Akurat dla takiej osoby ! Co też pani sobie ubzdurała ? No ? A może ktoś zazdrościł i przygadał ? Może pani się siostry zapytać, ale ja pani mówię uczciwie. I proszę się nie zadręczać i nie smażyć w nadmiarze odzieży ! To nawet niehygienicznie ! A jeśli ktoś coś przygadał, to chyba tylko dlatego, że lubi ludziom dokuczać ! Albo z zazdrości ! I tym się nie wolno przejmować !

Naturalnie to wszystko przedyskutowałam z Wandą. Moja siostra miała anielską cierpliwość. W końcu uznała, że kapitan albo chciał mnie uszczęśliwić komplementem, który dukał się niewypałem, albo wprawić w żakłopotanie i perwersyjnie się z tego cieszyć, że się speszyłam. Zaś pan Bielawski jest świetnym obserwatorem, zna się na psychice ludzkiej i miał całkowitą rację w tym, co mówił. A sukienka jest śliczna i Mama nie uszyłaby mi nieprzyzwoitej ! Poza tym materiał był jeszcze z Polski i dla mnie drogocenny, jako imiennowy prezent od koleżanek, otrzymany po pożarze naszego domu

w 1939 roku, gdy zostałam z garstką garderoby.

Nosiłam więc tę sukienkę już nie taka skrepowana, ale gdy trzeba było iść do kapitana, wkładałam fartuch !

Zapowiedział nam, że kolację polecił Michasiowi przynieść dla nas razem ze swoją, do swego namiotu; bo po tej zupce z kotła z pewnością herbata, którą Michaś sam "pichci", dobrze nam zrobi. Kolację wydawano o siódmej, a o dziewiątej była modlitwa wieczorna i o dziesiątej capstrzyk i cisza nocna.

Pewnego razu, gdy przechodziłam rano przed namiotem kapitana, do pracy, uchylił drzwi:

- Mam do ciebie prośbę, Szurka ! -
- Tak jest, panie kapitanie ... -
- Wstąp. Popatrz, mam takie nożyczki i nie umiem sobie zrobić sam manicure, a ręce mam już okropne. Czy mogłabyś mi zrobić manicure ? ... -
- Ja ? - zdziwiłam się szczerze
- Ty ! Chyba dasz radę ? Każda dziewczyna to potrafi !... -
- No, sobie... Ale komuś ? To już musi być siła fachowa ! - starałam się wykręcić.
- Fachowa, czy nie fachowa, to bez znaczenia ! Proszę ! - i wręczył mi te nieszczęsne nożyczki.
- Takimi nożyczkami ? - martwiłam się na głos
- A, takimi, takimi ! Masz lepsze ? No, widzisz ! A nie pokazalecz mi wszystkich paluchów ! -
- Mam tremę ... - przyznałam
- Nie szkodzi. Rób z tremą. Zaczniij od lewej ręki !... -

Nie chciałam okazać się kompletną niewdzięcznicą, więc zabrałam się do dzieła, a że z duszą na ramieniu, to mi szło, jak po grudzie, chociaż dokładałam wszelkich starań.

- Nożyczki są okropne ... - usiłowałam się asekurować na wszelki wypadek.
- Okropna to jesteś ty ! A "dobrej tancerce fartuszek nie wadzi !!" Chyba znasz to przysłowie ? -
- Przysłowie znam, tylko, że nie jestem wcale tą "dobrą tancerką" ... - zauważyłam z pokorą.

No, i miałam rację ! Zacięłam do krwi aż dwa palce kapitana. I trzeba było mnie zmuszać ?

- Ojej ! Jak mogłaś ? Zaskrzyłaś na karę ! - zawołał, zrywając się ze stołka i nagle, a niespodziewanie cmoknął mnie

gdzieś koło nosa i w usta ! Rozbeczałam się i wybiegłam. Jak śmiał ? Jak mógł ! Ropucha ! Jakim prawem ?! Wstrętnie !

Jeszcze się w swym namiocie trzęsłam z oburzenia i doznanej przykrości, ale już przypomniało mi się, że najwyższy czas lecieć do pracy. Wybierałam się specjalnie dość dużo wcześniej, aby namachać stosik formularzy przed początkiem urzędowania, a tu taki pech !

Schlapałam wielokrotnie twarz zimną wodą i pogalopowałam. Za szybko, bo aż mi się jedna tenisówka całkiem rozwalila. I to ta lepszą ! Miałam potem na parę godzin zajęcie, by je jakoś z trudem pozeszywać, aby dotrwały do czasu umundurowania i otrzymania obuwia.

Ten dzień jednak był okropny ! Akurat Prima Aprilis!

Po południu, co było wcześniej uzgodnione, poszliśmy z Wandzią do kapelana, po tę obiecaną kurtkę z lisa, bo noce były jeszcze bardzo chłodne i marzłam, a kurtka ratowałaby sytuację.

Ksiądz czekał i kurtka też : obszerna, w dobrym stanie.

Serdecznie zapraszamy, przysiadaliśmy na chwileczkę tylko, bo Wanda uprzedziła mnie, że się źle czuje i musimy jak najprędzej wrócić, aby się mogła trochę położyć. Ksiądz miał mały pokój w jakiejś chałupinie. Stolik i prycza ledwie się mieściły w tej klitce. Trzeba było usiąść na tej pryczy.

Ksiądz coś zaczął mówić, gdy nagle Wanda się zerwała, głosem pełnym rozpaczliwej krzyknęła :

- Gdzie wychodek ? (po lwowsku!) - i wyskoczyła jak z procy, gdy informacja ją doganiała :

- Na lewo, za chałupą! -

- Może kiedy indziej byłoby to śmieszne, ale jak Ona się czuje, biedula ? Czy zdaży ?... - myślałam zmartwiona, już i tak całkiem nieszczęśliwa po rannym wydarzeniu.

- A cóż to dziecińco, tak się zasmuciłaś ? - usłyszałam

- Siostra chora - jęknęłam cicho

- Pewnie chwilowe kłopoty po zupie z kotła...

Ale nie smuć się, nie smuć ! To przejdzie ... - co mówiąc przysunął się bliżej - i - cmoknął mnie w policzek !

- O ! Nie ! To za wiele ! - wyleciałam teraz ja, jak z procy. Z szaloną burzą w sercu.

- Panie Boże ! Za co ? Dlaczego ? Co ja takiego zrobiłam, że się tak walą same kary na mnie !? Co ja teraz mam zrobić ?

Zatrzymałam się po kilku krokach, wzburzona i nieszczęśliwa do setnej potęgi.

- Mój Boże ! Tak się cieszyłam, że jest ksiądz, że pójdę do spowiedzi po dwóch latach i na Wielkanoc przystąpię do Komunii świętej !...

A teraz... jak ? Nie mogę ! Nie zdobędę się na to !...

A przecież; co ja jestem temu winna(?)!... -

Nadeszła Wandzia z płaczem:

- Jestem chora... i taka skąba !... Nie płacz ! Ala ! - proszka - Chodźmy już do siebie. Nie martw się, ja się położę i przegłodzę... To mi przejdzie... - uspokajała mnie, biedula kochana. Myślała, że płaczę razem z nią, z powodu jej choroby... Nie przyznałam się, że to nie był ten jedyny powód. Czułam się strasznie upokorzona, że widocznie uważają mnie za całkiem głupią smarkatą (nie cierpiałam tego brzydkiego słowa), skoro pozwalają sobie na to, by mnie pocałować ! Bezprawnie ! Wstyd !

Dobrze wychowana panienka ma prawo spoliczkować mężczyznę za podobnie niegodziwe wybryki !... Rozsądna i nowoczesna dziewczyna pewnie też ma takie prawo.

A ja, co ?

Jak miałam się zachować wobec naszego opiekuna ? Albo wobec księdza ?! Przebeczałam niejedną noc, rozżalona na cały świat. Wandzi nie chciałam martwić. No, i wstydziałam się strasznie.

Jeszcze gorzej, niż po głupim wybryku Mietka w Urdzarze, bo to przynajmniej był kolega i miał to być żart. Oczywiście głupi, ale bez żadnych niegodnych myśli, to pewne.

Z powodu migreny nie chodziłam na kolację do kapitana, a Wandzia naturalnie dotrzymywała mi towarzystwa. Kładłyśmy się od razu po herbacie, którą Michaś nam przynosił chyba z własnej pilności.

Było nam bardzo smutno i ciężko:

Od Michaśa dostałyśmy po jednym kubku, emaliowanym, troszkę bardziej pojemnym niż szklanka. Potem obdarował mnie wojskowym (przedwojennym) żyzkowi delcem składanym, a szef kuchni, pan Wieczorek, dał mi talerz!

Takie bogactwo było tak niesłychane, że aż zapisałam to w swoim notesiku, podobnie jak później szczoteczkę do zębów !!

Kiedys przed wieczorem Michaś nam obwieścił:

- Pan kapitan ma nadzieję, że już bóle głowy przeszły i kolację mam przynieść do namiotu pana kapitana także i dla pań !... z kotła. -
- Dziękujemy ... -

Zastaliśmy tam, oprócz kapitana Nalepy, także i księdza, który już wcześniej przysłał mi przez kogoś tę kurtkę, i jeszcze dwóch panów.

- Poznajcie panie moich przyjaciół... - zaczął kapitan
- Martysz - przedstawił się kapitan
- Korczewski - powiedział porucznik
- Banio jest weterynarzem, a Zygmus to pigularz, czyli aptekarz, niech mu będzie ! - kończył kapitan, dopowiadając do każdego.

W chwilę później przyszedł jeszcze doktor Potoczny w stopniu ogniomistrza.

Michaś podał chleb i herbatę, panowie opowiadali o swej pracy i było całkiem przyjemnie, nawet jakoś zapomniałam o zwykłym skrępowaniu i paralizującym onieśmieleniu, które towarzyszyło mi zwłaszcza wśród nieznanym osobom.

Kapitan Martysz zaśpiewał nam pieśń, która dotarła do obozu internowanych w 1939 roku na Litwie oficerów polskich. Nie znałyśmy jej, usłyszałyśmy po raz pierwszy i od razu "podbija" nasze serca :

"Rozszumiąły się wierzby płaczące..." A potem drugą, którą (zwierzył mi po cichu) zawsze śpiewa z myślą o żonie i z tęsknoty za nią. Mówił, że słowa napisała Zofia Romanowska dla swego narzeczonego. Melodię też piękna.

Tango Tęsknota

I. Widzę nasze rozstanie

W tamtą, wrześnieją noc

Rak ostatnie podanie

Niezałowaną moc

Nie wiem, jaka samotność,

Jaki cień na mnie padł,

Lecz wciąż mówisz do mnie i odtąd

Słyszę słowa twe poprzez wiatr

Więc :

Refren Idę...

Idę ciągle, w twoją stronę,
Przez gościńce niezmierzone,
Przesmykami polnych dróg.
Idę...

Niezliczone mijam lata,
Aby gdzieś, na końcu świata
Wreszcie spocząć u Twych stóp.
Wiatr liściem targa...
Wzrost niebie cąmury gradowe...
Pochyłam odkrytą głowę
W zamęty burz i trwóg.

Wiem, że
Znajdę Cię wśród dróg miliona,
Choćby świat był nieskończony,
Nieskończony, jak sam Bóg.

II. Lećcie białe gołębie !
W wiatru niezwykły świst,
Nieście w nieznaną głębie
Mój niepisany list...

Niebo już odtajało
Wiosny nadszedł już dzień !...
Na skrzydełkach swych śnieżnobiałych
Nieście w dal jej, wciąż słowa te,
Że idę.....

Kapitan Martysz wydał mi się wzorem wiernego męża, który żyje wspomnieniami o żonie, silny tą miłością niepokonaną, pozwalającą znosić najcięższe koleje losu. Uosabiał według mnie całą głębię treści tanga "Tęsknota".

Porucznik Korczewski, aptekarz z Wileńszczyzny (chyba nawet z samego Wilna?) był bardzo spokojnym, zrównoważonym i poważnym człowiekiem o pogodnym usposobieniu. Też zostawił żonę w Polsce, a sam przeszedł internowanie na Litwie i lagry w Związku. Lubił swoją pracę w aptece i sądzę, że był do niej stworzony.

Doktor Potoczny musiał być najmłodszym z tego towarzystwa, gdzieś około trzydziestki, ksiądz mówił, że ma czterdziestkę, a kapitan Nalepa przyznawał się do czterdziestu sześciu lat i był niewątpliwie najstarszym z nich.

Był oficerem zawodowym, a pozostali z rezerwy. Kapitan Nalepa od kilku dni pozbył się już bandaży, gdyż ropniaki (wywoławitaminażą), które szczególnie wystąpiły pod jednym okiem, już mu się wygoiły.

W następnym dniu przybyli tam z wizytą trzej porucznicy: Lachowicz, Drucker (Żyd) i Roman Hozzowski. Ci robili dość dużo szumu, wprowadzali inny nastrój i czułam się znacznie bardziej skrupowana, niż w obecności spokojnego pana Korczewskiego i pana Martysza, śpiewającego (ładnie) takie piękne dwie pieśni.

Trójka poruczników (po trzydziestce) usłyszawszy moje imię uznała, że: "Jak Alicja - to koalicja!" i ogłosiła koalicję ze mną. Na tym ogłoszeniu się zakończyło, nie licząc powtarzania, od czasu do czasu, przy okazji, tego hasła przez któregoś z tych trzech panów.

Z okazji ich odwiedzin znalazło się wino na stole, więc oczywiście Wanda porozumiała się ze mną wzrokiem i chciałyśmy się ulotnić, ale nas nie puszczono. Młodzi popisywali się humorem, opowiadając rozmaite ploteczki, które nas nie interesowały, zresztą nie byłyśmy wtajemniczone.

Potem poczęstowano nas winem, więc Wanda od razu powie-
działa, że nie pijemy w ogóle, a niektórzy za punkt honoru uważali przekonać nas, że nie mamy racji. W rezultacie nasz opiekun obraził się na nas całkiem serio, że niby my wyobrażamy sobie, że on pozwoliłby na to, abyśmy dostały za dużo i takie tam trele - morele.

Szanowna "koalicja" daleka była od popierania naszych "babskich" stanowisk i obrony słusznych praw, więc wymanewrowałyśmy z namiotu na wieczorną modlitwę, by po niej czmychnąć do siebie.

Po tym wadzeniu kapitan przez kilka dni się boczył, nader obrażony. Nie przysyłał po nas Michasia z zaproszeniem na wieczorną herbatę, z czego byłyśmy dość zadowolone i swobodniejsze, ale jednocześnie чуłyśmy "wrogi bojkot", a to już nie było przyjemne.

- Popatrz Wandziu, z jednej strony, to taki "ludzki człowiek", jak słusznie określił go Michaś!... Weź pod uwagę te namioty z rodzinami i przepustki i owies ^{dla koni}, a nawet opiekę nad nami: dał nam pracę i zgłosił na tę listę do przyjęcia!... A z drugiej strony po prostu stroi fochy, że my nie pijemy!

- Przecież jak tak można ? To nieszlachetnie... - rezonowałam.
- No, wiesz... chciała byś, aby wszyscy, zawsze i wszędzie byli bardzo szlachetni ? ... Utopia!... -
- A niby, czemu nie ?! - upierałam się
- Bo ludzie są tylko ludźmi !... W każdym jest coś dobrego i coś złego. Nie ma takich idealnie kryształowych charakterów tylko i samych podłych zbrodniarzy... -
- Jak.. te "małolatki", które odrąbały głowę jednemu naczelnikowi, aby drugiemu ją zanieść ku przestrodze ?... - wtrąciłam.
- No, właśnie ! To wynaturzone wyjątki... Ale tak przeciętny człowiek posiada i zalety i wady. Normalne. Taka jest natura ludzka i musisz się z tym liczyć... - dowodziła moja siostra, pozbawiona moich skłonności do skrajnego dzielenia przedstawicieli naszego gatunku na świętych albo łotrów.
- No, może masz rację... Ale jakie to smutne !... Czy nie uważasz, że każdy człowiek powinien...-
- Powinien ! Tylko, że między tym "powinien", a tym "jest", nie zawsze stoi znak równości !... -

W wielki Piątek Michaś przyniósł nam wieczorem prześcieradła ! Oczywiście od kapitana. Oficerowie "fasowali" je. Dla żołnierzy nie było. Co to znaczy spać na prześcieradle po dwóch latach, to może pojąć tylko ktoś, kto był tego również pozbawiony !...

Nazajutrz udało nam się z Wandą po pracy wybrać na bazar, coś tam sprzedać ze swego szczuplutkiego zapasu garderoby, aby uczić Wielkanoc i te prześcieradła też.

Kupiłyśmy sporą miseczkę ryżu, cztery jajka i kisz - misz. Potem w namiocie ubiłyśmy pianą z dwóch jajek, ukręciły kogel - mogel z ofiarowanych przez Michasia (jaki luksus) dwóch łyżek cukru i z ugotowanego ryżu upiekłyśmy (a raczej kucharz nam upiekł) leguminę na tym koglu - moglu i z tym kisz - miszem. Wyszła piękna, jak rumiana babka.

Uroczyście zaniósłszy to kapitanowi, gdy poszłyśmy podziękować za prześcieradła.

- Dawno o nich pamiętałem, ale w magazynie oficerskim brakło i dopiero przywieźli... - tłumaczył jak gdyby nigdy nic.

Do herbaty Michaś podał naszą leguminę, Boże jaka wspaiała. Skodka ! Myślałam, że się roztopię z zachwytu nad nią

i nie mogłam się doczekać uznania kapitana.

- No, no! Proszę, jak wam się to udało !... - rzekł dość łaskawym głosem, podsuwając Wandzi, aby pokroiła. Zrobiła dość spore porcje a podejrzewam, że tak jej ślinka ciekła, jak i mnie. Michaś też zerkał od swej kuchenki, przy której przykucnął, czekając na herbatę.

Delektowałyśmy się leguminą... a przy tym niewątpliwie moja siostra, tak jak i ja, zastanawiała się, co tam Nasi mają na te Święta ? ... -

Michaś zmiotł swoją porcję " w try miga ".

Ja ćwiczyłam siłę woli, aby się na nią nie rzucić, a na końcu, aby nie wylizać talerza. Wandzia pewnie była bardziej stateczna.

A kapitan?...

A kapitan trochę zjadł i orzekł:

- A, no, dobre... Jak ktoś lubi ryż... I to jeszcze prawie na słodko... - i całą ledwie nadpoczętą porcję wyspał do miski... psa !

- Mucha ! Masz, jedz ! Pies też niech ma raz święta ! Jedz, jedz ! Znaj pana! -

Nie śmiałam spojrzeć na swoją siostrę, ale przypadkiem, niechcąc (naprawdę!) rzuciłam okiem na Michasia, bo Mucha, czyli piękny seter, miała miskę w pobliżu siedzącego właśnie w tej chwili na paczce ordynansa.

Przypadkowo podchwyciłam jego spojrzenie na Muchę...
Mój Boże !... Skąd ja to znam ?... Jak ja rozumiem taką myśl!...
Utajoną:

- Odejdź psie, bo warto cię zbić i zjeść za ciebie !... -

- No, wiesz, pamiętasz jak Terenia Kikalówna nie cierpi ryżu?... zapytała Wandzia, gdy ja "odmawiałam robaczliwy (po lwowsku) pacierz" na ten temat, już u nas w namiocie.

- Wiem, rozumiem ... Nie przyszło nam na myśl, że kapitan może też ryżu niecierpieć... Tylko... czy nie mógł uczcić tego nam z miejsca powiedzieć ? -

- Może myślał, że zdoła zjeść ?... - chciała być sprawiedliwa

- No, dobrze ! Ale... albo mógł zapytać Michasia, czy nie odmówi, albo, jeśli koniecznie chciał dać psu, to przyjąjmniej nie przy nas ! To nie było zbyt subtelne i delikatne ! - oburzyłam się do żywego.

- Moja droga ! Przecież przyjmij do wiadomości, że cały świat nie będzie zawsze subtelny i delikatny, tylko dlatego, aby nie ranić twoich uczuć ! To jest życie, a nie powieść Czar-
skiej dla dorastających pensjonarek !... Niestety ... -
kończyła trachę z przekorą, a trochę z goryczą.
- A to ci dopiero ! I z ryżem tak się skończyło i jeszcze do-
stałam nauczkę !...- użalałam się sama nad sobą, jak gdybym
nie znała prawdziwych nieszczęść.

Pozostałe dwa jajka ugotowałyśmy u Michasia na Święco-
ne. Tym razem pies nie dostał !

W Niedzielę Wielkanocną, 5 kwietnia, pod koniec Mszy
polowej lunął nagle ulewny deszcz. Wszyscy doczekali końca
Mszy, przemoknięci do nitki. Miałyśmy pewne problemy ze skom-
pletowaniem jakiegokolwiek garderoby, aby się przebrać na su-
cho ! Taki niebogaty był nasz stan posiadania odzieży.

Tylko buty miałam nowe ! Właśnie przed Świętami maga-
zyn otrzymał nową partię bucików żołnierskich, takich samych,
jak te pożyczone mi przez Krysię Marchut na podróż z Urdżanu
do Ajaguzu. Czarne, ^{męskie} sznurowane. Michaś przyszedł z poleceniem,
abym z nim poszła do magazynu i tam dobrała sobie parę butów.
Tenisówkom nie bardzo już pomogły moje zszywania i uparcie
rozłaziły mi się i pod igłą i na nogach, na podszewkach.

Po południu zaproszono Wandę i mnie do namiotu kapita-
na, a Michaś szepnął nam po drodze:

- Panie przyszły ! -

Zastałyśmy tam rzeczywiście Dankę Niedzielską z mat-
ką, znane już nam z podróży z Ajaguzu do Guzaru, kapitana
Martysza, a wkrótce też zjawili się: porucznik Lachowicz i
porucznik Drucker oraz porucznik Karczewski.

Pamiętałam, że Danką chętnie śpiewa, toteż poprosiłam
kapitana Martysza o zaśpiewanie obu ulubionych pieśni": tan-
ga "Tęsknota" oraz "Wierzby płaczące". Wkrótce śpiewali ra-
zem, reszta też próbowała i było bardzo przyjemnie.

Ale potem znalazło się wino, panowie raczej mieli na
nie ochotę, więc nastrój uległ zmianie. Na szczęście siedzia-
łyśmy z Wandzią w sąsiedztwie statecznego aptekarza, który
całkowicie popierał nasze odmowy i bez słowa odsunął nasze
blaszaki, nie dając dolewać do tej pierwszej, symbolicznej
i nietkniętej zawartości.

Sam też nie pił, tylko od czasu do czasu rzucił jakiś lekki żarcik i uśmiechał się pogodnie do wszystkich, tak że jakoś się rozluźniłam wewnątrz.

Później w naszym namiocie pisałam listy.

W poniedziałek Wielkanocny śniadanie było uroczyste, po mszy polowej, u kapitana. A wieczorem ksiądz opowiadał jakiś film.

Od wtorku znów praca w kancelarii. Teraz jednak czułam się tam strasznie skrępowana. Kilka dni wcześniej, gdy pan Bielawski zbierał wypełnione formularze, wyraził swe zadowolenie, że wszyscy piszą czytelnie i porządnie, podchorąży Wacek ofiarował się "wyczytać charakter z mojego pisma".

Jaki mam charakter, to wiem sama, ale oczywiście mnie to zainteresowało, bowiem i ja też próbowałam określać typy ludzkie na podstawie pisma w Tas - Bułaku, w okresie całkowitego bezrobocia w zimie. Potem jeszcze i w Tiki niektóre osoby przynosiły mi otrzymane listy, abym powiedziała, co myślę o ich autorach.

Nie brałam tego tak strasznie na serio, raczej z przy-
mrużeniem oka i uprzedzałam o tym. Potrafiłam czytać samo pismo, bez przyglądania się słowom i wiązania treści wyrazów, bo to mi się wydawało niedyskrecją. Czułam się bardzo zakłopotana, gdy razu pewnego pani Śniadowska przyniosła mi jakiś list, a jeszcze bardziej speszona, gdy ona razem z córką Myszką podsumowały tę moją analizę, jako bezbłędną i bardzo wnikliwą.

Toteż teraz, gdy pan Wacek zapalił się do rozszyfrowania mego pisma, oczywiście byłam ciekawa, co mi powie i jak to wypadnie, a także, w jaki sposób dochodzi do swoich wniosków.

Zabrał więc jakiś tekst przepisany przeze mnie, nazajutrz przyniósł mi całą epistołę na kilku kartkach kancelaryjnego papieru, a wręczając ją wystękał nową prośbę:

- Czy mogę się pani wpisać do pamiętnika? -
- Oczywiście, Przyniosę - i po przerwie obiadowej wręczyłam mu swój ulubiony "sztambuch"

Wpisał mi wiersz, ale autora nie zdradził:

Do pamiętnika A. B.

Jeśli kiedykolwiek wiatr biegnąc po sadzie,
Melodię żalu pełną na liściach wyszumu,

Wiedz, że to moja dusza na wiatr palce kładzie
I śpiewa szumem w liściach, bo milczeć nie może.

Bo nie ma we mnie ciszy, jest granie wieczyste,
Niby szum w pustej muszli, którą rzuci morze
I brzęczy, jak pod falą brzęczy skalny występ,
Bo przemówić nie zdoła i milczeć nie może.

Wiersz podobał mi się bardzo i pytałam o autora, ale się nie dowiedziałam. Może był to jego własny utwór? Nie wiem tego.

Epistoła na temat mojego pisma brzmiała prawie jak list pochwalny. Z wyjątkiem takich zarzutów, jak: "zbytńia łatwo-
wierność ludziom, ufność nawet wobec tych, którzy nie zasłu-
gują na to..." Albo: "żywa wyobraźnia, odrywająca od real-
nej rzeczywistości i utrudniająca właściwą jej ocenę..."

- Skąd on to wszystko wyczytał? Ciekawe! Raz z tego mojego pisma wynika, że jestem wzorem wszelakich zalet, drugi raz, że kompletną idiotką, całkowicie nieprzystosowaną do życia na tym padole Jez!... - dochodziłam do błyskotliwego wniosku, pokazując Wandzi coś, co miało być charakterystyką mojej szanownej osoby.

- No, wiesz... Ciebie można właściwie rozszyfrować nawet bez znajomości grafologicznych... - zaczęła moja siostra, a widząc nie tajoną przykrość na mej facjacie, szybko dorzuciła:

- Nie jesteś przecież fałszywa i szczerze wypowiadasz swoje myśli, czyli już sam ten fakt wystarcza, aby ciebie poznać... Czy nie mam racji? ... -

- Ta, czemu nie! ... Niestety: masz! - przyznałam.

Ale historia z panem Wackiem wcale się na tym nie skończyła. Raczej przeciwnie. Dopiero się zaczęła. Teraz za każdym razem przynosił mi na piśmie swoje monologi do mnie, które możnaby uważać na przykład za podręcznik do pisania listów! Sentymentalnych! Doszedł do wniosku, że znalazł "Swoją Wymarzoną Królową z Bajki!"

Ba!! Po pierwsze nie "swoją"! Po drugie: nie "Królową" - (wyglądałam raczej na kopciuszka). Po trzecie: jeśli już koniecznie "Królową" to już napewno "Śpiącą"! Na sto lat!... I nie pasował mi w żadnym wypadku na królewicza, któremu udałoby się wyrwać mnie ze snu!...

W końcu jakoś udało mi się przerwać to literackie natchnienie. Strasznie trudno mi to przyszło, bo biedak się przecież okropnie jękał i ubolewał strasznie nad tym, a ja wiedziałam, że ma kompleks, ale sama miałam swoje własne i bez jękania się ! Za nic w świecie nie chciałam go urazić.

Powiedziałam wobec tego, oczywiście w wielkiej tajemnicy, że nie może liczyć na moje uczucia, ponieważ ... kogoś już kocham. I nie mogę go skreślić ze swej pamięci, ani wyrzucić ze swego serca nawet dla takiego przyjaznego towarzysza pracy, jak pan Wacek.

Zaraz potem okropnie się przeraziłam takich sformułowań, a potem zamartwiałam nocą na jawie i we śnie. Podchorążak już przestał podawać mi swe listy i przez parę dni zdawało się, że wraca do równowagi. Aż nagle znów wręczył mi list ! Pełen czarnych, samobójczych myśli !

Przerażona i nieszczęśliwa nie chciałam mieć go na sumieniu, ani mogłam darzyć względami, więc do moich stałych zmartwień o pozostawionych Najbliższych, o wszystkich drogich memu sercu i całej litanii, przybyła troska o ewentualnego (potencjalnego) samobójcę z mojej winy !

Dźwigałam to wszystko na własnych barkach, aby Wandzi nie obciążać dodatkowymi problemami, którymi czułam się skrupowana i zaambarasowana, tymbardziej, że czyjeś uczucia uważałam za cudzą tajemnicę. W kancelarii wszystkim myślami trzymałam się pracy, ale czułam się bardzo napięta i nie mogłam pozbyć się uczucia przykrości.

Lepiej zaczęło być w namiocie kapitana. Teraz nie, mal co dzień ktoś przybywał na wieczorną herbatę, której często towarzyszyła pseudo-lampka wina. Teraz jednak już Wandzi i mnie danó spokój, a nawet kapitan Nalepa, gdy przedstawiał nam porucznika Nanowskiego, dodał od niechcenia:

- "To są te panie, które czekają na przyjęcie do „Pestek” i pracują zaciekle, a nie piją wcale, co im się bardzo chwali!..”-

Porucznik Karczewski zaraz dorzucił coś miłego od siebie, co ksiądz i porucznik Hoszowski, (zwany "miły Romcio") dość pilnie poparli. Uf !

Potem dni były podobne do siebie. Praca, czekanie na póbór, czekanie na listy, w odpowiedzi na nasze, wysyłane dość często, głównie na adres Matyldzi, która (rocznik 1928) jeszcze nie podlegała obowiązkowi pracy i niewątpliwie miała czas

na utrzymywanie kontaktów z naszymi Rodzicami.

Kiedyś u kapitana zjawił się jakiś muzyk i urządził całemu towarzystwu zebranemu w namiocie istny wieczór wokalmuzyczny. Bez instrumentów! Grał palcami na stole, łyżką i widelcem po kubeczku, talerzu, menażce i butelce, oraz ustami, poprzez śpiew, gwizd i różne dziwne dźwięki. Różne arie, pieśni popularne, wojskowe, cały repertuar znany każdemu Polakowi od dziecka.

Nie pamiętam jego nazwiska, pamiętam tylko, że kapitan później wyraził się w ten mniej więcej sposób:

- Popisywał się ten Żyd, jak umiał, ale przynajmniej nam wieczór wypełnił tymi swoimi popisami!... -
- Panie kapitanie, czy ten pan faktycznie jest autorem i kompozytorem tej znanej pieśni, którą nam też śpiewał:

" W dzień deszczowy i ponury
z Cytadeli idą góry
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie... " ?

- A, czy ja wiem? Nie znam się na tym!
Licho go wie... Ale zdawało mi się, że tę pieśń znałem od dziecka... Czy już wcześniej mógł to ułożyć? Pewnie się przechwalał, bo się zorientował, że nikt nie wie czyja to pieśń... -
- Zdawało mi się, że ona jest z okresu pierwszej Wojny Światowej, kiedy Austriacy brali Polaków do swego wojska i wysyłali na front... - Wanda mówiła z przekonaniem.
- Tak, jak naszych: Ojca i obu wujków... - dodałam
- Chyba tak, z pewnością macie rację - przyznał kapitan i rozmowa zeszała na temat Lwowa. Temat niewyczerpany i zawsze sercu bardzo bliski.

13 kwietnia, poniedziałek, druga rocznica wywiezienia ze Lwowa. Byłam u spowiedzi i Komunii Świętej - pierwszy raz od dwóch lat.

Wreszcie w dniu 17 kwietnia zorganizowano Komisję Wojskową dla Polek, które czekały w Guzarze na nią, by wstąpić do Pomocniczej Służby.

Byłyśmy obie bardzo tym przejęte, bo zakwalifikowano nas i zostałyśmy przyjęte! Teraz już tylko czekałyśmy na rychłe zakwaterowanie w Ośrodku Zapasowym PSWK.

Pełne wdzięczności za niewątpliwą pomoc, ingerencję i poparcie zjawiliśmy się na wieczornej herbacie, gdzie już gościł pan aptekarz.

Wkrótce przybyli " miły Romcio " i porucznik Lachowicz z nieznaną nam panią Zosią.

Pan Korczewski dotrzymywał nam towarzystwa, ale reszta, widocznie już po kieliszku, ruszyła ostro do ataku na butelkę. Chciałyśmy z Wandą już się ulotnić, ale pani Zosia prosiła, abyśmy koniecznie jeszcze trochę posiedziały, bo jej będzie samej smutno bez innych przedstawicielek płci pięknej, panowie gorącą wzięli jej stronę, więc Wandzia mrugnęła i szepnęła do mnie, że na razie zostaniemy, by się urwać, gdy przestaną się nad tym rozwodzić.

Pan Zygmunt usiłował bawić nas na uboczu swoimi grzecznymi dykteryjkami, ale tamci popijali, z panią Zosią na czele, a wzięła dość szybkie tempo. Nic dziwnego, że zrobiło się jej niedobrze i musiała gwałtownie wyjść.

Oczywiście i my obie powiedziałyśmy wszystkim

- Dobranoc !... - i kierowałyśmy się do wyjścia, gdy nagle kapitan zwrócił się do nas kategoriycznym tonem:
- Obrażę się okropnie, jeśli nie dotrzymacie tu towarzystwa ! Muszę ją odwieźć, a wy poczekajcie tutaj na mnie ! Obie ! - i pośpiesznie wyszedł z namiotu.
- Zostańcie panie - spokojnie doradzał pan Korczewski, kapitan chyba popił, więc lepiej, aby nie zrobił awantury... Gdy tylko się zjawi sam panie odprowadzę ... - i znów coś zaczął opowiadać, aby zatrzeć niemiły incydent.

Rozumiałyśmy jego dobre chęci. Tamci panowie zajęci byli rozmową, a my słuchałyśmy o jakimś ciekawym wydarzeniu, o którym opowiadał aptekarz, usiłując nie pamiętać wyskoku " pana domu ". Gdy wreszcie wrócił, pan Zygmunt nie dał mu nawet przyjąć do słowa, tylko oznajmił:

- Obiecałem odprowadzić panie ! - z czego skorzystałyśmy niezwłocznie. W chwilę później zatrzymał się przed naszym namiotem:
- Dobranoc paniom. I przepraszam za nich wszystkich... Wybacznie panie. Dobranoc ... - i odszedł.
- On jest bardzo solidny i taktowny ... - zaczęłam już w namiocie, gdy Wanda świeciła lampką stojącą.
- Cholera !... - usłyszałam nieoczekiwanie, równocześnie z trzaskiem.

- Co się stało ? -
- Łóżko ! - Usiadłam i zaważyło się ! Cholera ! - aż rozpłakała się ze złości.
- Wanduś ! Nie płacz ! Chodź do mnie. Prześpimy się razem. I to lepiej niż na łopacie, bo już bez świerzba ! No, nie martw się ... Jutro poprosimy Michasia ... - starałam się ją pocieszyć, bo wiedziałam, że zrobiło się późno i byłyśmy zmęczone, już od paru godzin chciało nam się spać.
- Świństwo ! Cholera ! Świństwo ! ... - nie mogła się uspokoić.
- No, już nie lamentuj ! Co tam głupie łóżko ! Jutro Michaś naprawi ... Co tam jedna noc. Zaraz usniemy, zobaczysz ... - wysilałam się.
- Ależ to nie o to chodzi ! Świństwo ! Czy ty nic nie rozumiesz ? - zezłościła się na mnie.
- Co ? Jak ? ... -
- No ... Wiesz ! ... - zastanowiła się
- Przecież mogło się też zaważyć pode mną ... - myślałam, że złości się nie tylko na głupie łóżko, lecz też i na siebie, że tak energicznie usiadła.
- Przecież to się zaważyło, ale nie ja je połamałam !... Już musiało wcześniej trzasnąć ! Świństwo, mówię ci ! Obrzydzenie mnie bierze ! To oni musieli tutaj być ! ... - wyrzuciła z siebie z pasją.
Mnie też obrzydzenie brało.

Długo tej nocy, przytulone do siebie, nie mogliśmy zasnąć...

Przybył nowy transport kandydatów do artylerii i roboty było bardzo dużo, szczególnie w pierwszych dniach maja, gdy kancelaria pracowała do północy. W wolniejsze wieczory nadal obowiązywała nas towarzyska herbata.

Kiedyś pan Bazio przyjechał ze swoją współpracownicą i asystentką panną Janeczką Sokołowską, która przed wojną studiowała weterynarię. Była bardzo inteligentna, dowcipna i wesoła, wspaniały kompan i nie wątpię, że równie świetny był z niej pracownik.

Pan Bazio występował tym razem jakiś repertuar rewii, z brawurą i humorem :

" Antoni Kociubiński na kontrabasie gra,
Antoni Kociubiński melodię: każdą zna.

I choć to blondyn świński, uroku wiele ma
Antoni Kociubiński !

Kto go zna ? Kto go zna ?

To ja !!

Ha, ha !! "

poczym wybuchał niefrasobliwym śmiechem, zarażając nim innych.

My jednak, po tym wadarzeniu z tą panią Zosią, żyliśmy już głównie nadzieją na przeniesienie się do obozu "pestek".

Na temat tamtej afery któryś z panów coś kiedyś bąknął, na co kapitan odburknął:

- Gdyby te sroki nie były takimi nieużytkami społecznymi, to mogłyby dostać nawet dwieście rubli.

Dla mamy ... Ale z nimi nawet nie ma o czym mówić ... -

- O kim mowa ? ... - padło pytanie

- A, o "Uzbeczce" i o "Szurce"... (to były nadane nam przez zwiska) Ale to nieużytki, mowy nie ma! - zakończył

Nie sądzę, aby wiedział, że to usłyszałam.

- Jezu ! - szarpnęło mnie w duszy - Mógłby przynajmniej w to nie mieszać niczyjej matki ! ... Co to za człowiek ?... - zastanawiałam się przerażona.

A potem, gdyśmy 7 maja odjeżdżały już do Ośrodka Zapasowego, prosił nas, abyśmy mu darowały, jeśli "było coś nie tak" i mimo wszystko przyszły się pokazać w mundurach, gdy tylko będziemy już mogły dostać przepustki.

I pożegnał nas wzruszony, że podziękowałyśmy mu za przytułek, opiekę, a nade wszystko za umieszczenie nas na liście i dopilnowanie naszego przyjęcia do służby.

W Ośrodku Zapasowym PSK

Ośrodek Zapasowy miał paręnaście namiotów na skrawku łąki w mieście, w pobliżu Sztabu, gdzie Wandzia pracowała na poczcie polowej.

Zakwaterowano nas w namiocie czteroosobowym, gdzie upchano nas dziesięć, pokotem na ziemi.

Już tam była pani Baⁿszelowa z Anielką, Danusią, i Hal^ką. Olga, ta która w lagrze siedziała z Wandą i dzięki niej odnalazła rodzinę, już w marcu podlegała ewakuacji do Iranu.

Pani Baⁿszelowa była drugą żoną pastora i opiekowała się serdecznie Olą i Anielką po śmierci ich matki. Obie prawdziwie się do niej przywiązały.

Halka i Danusia były jej rodzonymi córkami. Anielka rocznik 1922, Halka o dwa lata młodsza od niej, Danusia najmłodsza.

Bauszelowa

Z Wandą, którą już wcześniej poznały, pani Bauszelowa zaprzyjaźniła się z miejsca i od razu zaproponowała pożyczkę pieniędzy na wysłanie Rodzicom. Pożyczyłyśmy dwieście rubli. I to było wszystko, co od nas dostali...

Sprzedawałyśmy swoje rzeczy i uzbierałyśmy w końcu te pieniądze, aby dług w całości zwrócić, gdy już otrzymałyśmy umundurowanie.

Przez pierwsze dwa dni miałam służbę właśnie przy ładowaniu mundurów, pobieranych w mundurówce. Wreszcie i ja wyfasowałam mundur, późnym wieczorem 9 maja, tak późno, że już nie zdążyłam tego dnia żadnej z otrzymanych rzeczy podpisać, zgodnie z rozkazem: pełnym siedmiocyfrowym numerem ewidencyjnym i monogramem przynajmniej.

Umundurowanie składało się z takich sort mundurowych: Mundur galowy wełniany: Czapka z daszkiem, frencz, spódniczka, trzy bluzki popelinowe, półbuciki brązowe "z rondem", trzy pary pończoch fildekosowych w kolorze khaki ze szwem z tyłu i różowy solidny, szeroki pas do tych pończoch, zapinany z boku na gęste haftki i rozszyty szeroką gumą.

Mundur ćwiczebny, czyli polowy:

battle dress, spodnie - wszystko z grubego drelichu, buty czarne, sznurowane (takie same jakie dostałam w artylerii, co odchodząc stamtąd zwróciłam do magazynu; prześcieradła zwróciłyśmy kapitanowi).

Do tych butów i spodni obowiązywały skarpety: trzy pary z jasnopopielatej wełny oraz sztywne owijacze nakładane na spodnie i buty i zapinane po bokach na skórzane rzemyki. Na głowę - furażerka.

Bielizna była piękna. Śliczne trzy bielusienkie kompleciki wełniane: koszulka i majty o krótkiej nogawce. Trzy popelinowe, różowe zapinane z tyłu na haftki, staniczki (moje pierwsze w życiu). I do tego jeszcze jedwabne pantalone, o nogawkach długich, zakończone szeroką, miękką gumą tuż nad kolanami. Trzy pary - w kolorze khaki. Cudo - tak praktyczne, chroniące od ocierania się ud, co w tym klimacie jest dość powszechnym zjawiskiem.

Do sort mundurowych dodawano wyposażenie: trzy grube rękawiczki "tetra"^{frotte}, trzy koce, plecak, chlebak, menażkę, nóż, łyżkę, widelec, manierkę, szczotki do zębów i butów. I jeszcze: przyborek na sztucce, khaki, szmaciany i mały przyborek z żaglowego cieńszego płótna białego, z przyborami do szycia: igły, napastrzek, nici. Niestety bez nożyczek. Był za to potężny nóż do konserw różnego rodzaju. Krótki i gruby zwany "Churchil". łyżeczki nie było.

To chyba wszystko. Więcej nie pamiętam. Prześcieradeł, poduszek ani bielizny nocnej nie było.

Pamiętam jednak wielką radość, przyciszoną szalonym bólem głowy (przegrzanie na słońcu, przy ładowaniu przed magazynem mundurów). Pamiętam też zdziwloną minę Wandzi, gdy zobaczyła, że ja zamiast składać i pakować, z rozczuleniem gładziłam śliczności białej bielizny. Marzyłam, że pojedę po Rodziców i podzielę się nimi z Mamą.

Dziesiąty maja, niedziela, był dla nas wielkim świętem.

W galowych strojach rano wymaszerowałyśmy z naszego obozu Ośrodka Zapasowego w mieście, do obozu szkoleniowego na "Górcze", odległego o cztery kilometry, spory kawał za miastem.

Rozłożony był na rozległym wzniesieniu, na którym grubym garbem wyrastała łysa górka. Cały obóz znacznie bardziej rozległy niż obóz PAL-u, mnóstwo blisko przy sobie porozbijanych namiotów, od których, po lewej stronie od wejścia oznaczonego symboliczną bramą, wykonaną z kijów, odsunięte były dwa, a może trzy namioty - Komenda oraz Kancelaria.

Na prawo, na skraju terenu, tuż nad jego pochyłością ku nawadniającemu kanałowi (czyli "arikowi") mieściła się kuchnia polowa. Częściowo skryta pod namiotami, częściowo pod gołym niebem.

Środek obozu zajmował plac na zbiórki, apele i modlitwy. Dość rozległy. Od strony arika na krańcach tego placu wznosiły się dwie stożkowate kopuły, od samej swej podstawy na ziemi wznoszące się dość wysoko ku zaokrąglonemu środkowi na szczycie.

- Te oto "ule" wybudowałyśmy same! Własnoręcznie!! ... -
opowiadały nam później "miejskowe" ochotniczki

- Dziwne to, to i bez okien...

- I tylko z jednym wejściem! ... -

- W dodatku bez drzwi ... - padały uwagi

- A, no właśnie ! Tak miało być ! To wspaniały ratunek przed słońcem w okresie upałów !... - wyjaśniały z dumą wykonawczynie.
- Boże, !! Ależ się musiały umordować !! Przecież te cegły z niewypalanej gliny są takie okropnie ciężkie !... - myślałam z podziwem, nie bez ulgi, że to mnie ominęło, bo zawsze z tym dźwiganiem szło mi najgorzej.

Po uroczystej mszy padła komenda:

- " Do przysięgi !" -

Wyprostowane na baczność powtarzałyśmy jej słowa:

"Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, sztandarów wojskowych nigdy nie odstąpić, stać na straży Konstytucji i honoru żołnierza polskiego, prawu, Prezydentowi Rzeczypospolitej być uległym, rozkazy dowódcy i przełożonych wiernie wykonywać, tajemnic wojskowych strzec, za sprawę Ojczyzny mej walczyć do ostatniego tchu w piersiach i w ogóle tak postępować, abym mógł żyć i umierać jak prawy żołnierz polski. Tak mi dopomóż Bóg i Święta. Syna Jego Męka. Amen. "

A potem była uroczysta defilada przed komendą.

Nie potrafię, doprawdy, wyrazić tego, jak bardzo byłam wzruszona, jak przejęta i uszczęśliwiona z tego, że przede wszystkim jest to nasze, Polskie Wojsko, że się odradza i to oficjalnie, że ludzie się garną, że już dostałyśmy się, doczekały i dołożymy swój własny, czynny udział do walki całego narodu o Wolność i Niepodległość.

Myślałam o tym, jak bardzo Rodzice się ucieszą z tej wiadomości, bo wcześniej pisałam, że wciąż czekamy na przyjęcie. Oczywiście starałam się nie zdradzać z naszymi trudnościami i wątpliwościami z tego okresu, w którym nabór był wstrzymany na nieokreślony czas.

Wróciłyśmy do Ośrodka Zapasowego w podniosłym nastroju. Niestety z nieco błędną fantazją z całkowicie przyziemnego powodu. Otóż te angielskie, brązowe półbuciki, które nas tak bardzo rozczuliły swym eleganckim wyglądem i olśniły niepokalaną nowością teraz dały nam w kość ! A może w niejedną !

Pięty i paluchy, mimo pończoch, prawie wszystkie miałyśmy poobcierane do krwi.

Buty były twarde, na ogół zbyt wąskie na nasze, polskie stopy, droga dość długa, trochę się nam tam piasku dostało dla urozmaicenia, a wesołe słoneczko dokonało reszty.

Od razu po zupce obiadowej padliśmy na swe wąskie legowiska, by odsapnąć.

Spotkał mnie zaszczyt zaliczenia mnie do plutonu wartowniczego, który podlegał pani Bańszelowej.

- Alu, kochanie, przewidziałam cię na wartę nocną, abys teraz mogła odpocząć. Masz posterunek czwarty, przy magazynie mundurowym. Od dwunastej do drugiej ... -

- Tak jest ! ... - zgodziłam się regulaminowo.

- Dobrze, posłuchaj: rozprowadzająca warty tam cię zaprowadzi, a potem, oczywiście, przyprowadzi tam zmianę. Wiesz, że posterunku nie wolno opuszczać, dopóki nie przyjdzie następna wartowniczka ? No, to załatwione.

- Czy mam czekać do północy ? ... - upewniłam się.

- Ależ skąd ? Śpij spokojnie ! Rozprowadzająca zbudzi cię na czas, nie bój się ! ... -

Zbudziła. Ale nie mogłam wcale wcisnąć faszowanych półbutów. W namiocie było wprawdzie ciemno, ale mundur miałam przygotowany, więc sobie poradziłam z tym. Nawet więcej, po omacku wygrzebałam tenisówki - podarciochy i przeprosiłam się z nimi !

- Co tam !! Noc ciemna, nikt nie zauważy !

Jak mogłabym wytrzymać przez dwie godziny stania w tych eleganckich, angielskich diabelskich kleszczach ? - uspakajałam w myślach swe niezdyscyplinowane sumienie.

Zostałam zaprowadzona na ten czwarty posterunek, pod magazynem. Gdzieś aż za podwórkiem Sztabu, poza terenem obozu, poza ludzkimi lepiankami i siedzibami. Ani namiotu, ani nic. Tylko lepianka - magazyn.

- Ta, joj ! - zapałam wesoło w myśli - jak ja tu sama jedna mogłabym na przykład obronić wejście do magazynu, gdyby tak, przyszło choćby dwóch złodziejasków ? Ha ! Nie mam zielonego pojęcia ! ... A gdyby tak już trzech, to mogliby wynieść cały magazyn i jeszcze w nim uwięzić dzielną wartowniczkę ! ... Do licha ! ... Zapomniałam zapytać, co mam robić, w razie napadu: galopować z wrzaskiem do obozu, czy li opuścić posterunek (nie wolno !), czy z kułakami rzucać się na napastników (mogą mieć kindżały ?), czy też krzyczeć

" ratunku" na tym odludziu ?

Powinna mi to była pani Bamszelowa powiedzieć !... Pewnie też zapomniała. Pamiętała, że na warcie nie wolno się dzieć. Tylko stać, albo maszerować tam i z powrotem ... -

No, więc maszerowałam, błogosławiąc swój pomysł i teni-sówki, wdzięczna przezorności, że ich jeszcze nie wyrzuciłam.

Noc była ciemna, nastrojowa, toteż wcale mi się nie nudziło. Modliłam się we wszystkich intencjach codziennych i wielu innych dodatkowych, a potem przypominałam sobie liczne, ulubione wiersze, aż w pewnej chwili przypomniło mi się, że już chyba dwie godziny muszą dobiegać końca, więc zaczęłam nadsłuchiwać nadejścia zmiany warty.

Nadal delektowałam się zapamiętaną poezją, już zaczęłam w myślach pisać listy, które będzie można wysłać, potem następne, których się nie da wysłać, jak na przykład do Kraju...

W końcu czas zaczął mi się trochę dłużyć.

- Tam, w Tiki - Bułaku, spędzałam przy owcach w stepie po kilkanaście godzin samotnie, od czwartej rano, do ósmej, - dziewiątej wieczorem i nauczyłam się już mieć poczucie czasu... No, tak, ale to było w dzień ! Poznałam po słońcu i po przebytej trasie i po południowej przerwie, którą owce same przestrzegały, ucinając sobie na stojąco drzemkę wypoczynkową z głowami chowanymi przed słońcem, przez dwie godziny.

A tu ... w nocy ? ... - zastanawiałam się nad niewymiernością czasu.

Coraz bardziej odczuwałam mocny chłód, a moje odmrożone stopy, chociaż poranione ze wszystkich stron, zaczęły zamieniać rytmiczny marsz wartowniczy na podejrzane, rozgrzewające przytupywanie.

- "Pięta ! Palce ! Krok polkowy !

Pięta ! Palce ! Krok polkowy ! ... - " skandowałam.

A! potem kończyny górne z własnej woli rozpoczęły realizować " rozgrzewkę dorożkarza ".

- Szkoda, że nie włożyłam swetra pod ten frencz ! ... - przypominałam sobie, że fasowałyśmy po jednym swetrze. Ciemno khaki, cieniutki, lecz bardzo ciepły, z czystej wełny. Zapięcie kamizelkowe, tak że spod frencza swetra nie widać, tylko koszulę z krawatem ! -

Ach, bo przecież były jeszcze i trzy krawaty popelinowe

jak bluzki i tak samo jasny khaki kolor. I do każdej bluzki były osobno po trzy kołnierzyki, dopinane spinkami, które znajdowały się w przyborniku. Po trzy komplety tych spinek. Kołnierzyki dopinało się do stójki koszulowej.

Noc wolno szarzała i już doszłam do inteligentnego wniosku, że chyba przeciągnęła się ta moja warta poza mój wyznaczony, dwugodzinny termin. Nie śmiałam zejść z posterunku i skostniała podrygiwałam wokół lepianki, zadając sobie powtórnie pytanie retoryczne, czy jestem bohaterską idiotką, czy może idiotyczną bohaterką? Trwałam jednak dalej, pełna podziwu zmieszanego z pogardą dla tej własnej wytrwałości.

Już właściwie robił się dzień, gdy świat otuliła mżawka. - Tylko tego brakowało ! Ha, dobrze mi tak !
Właśnie myślałam nad tym, że chyba ta warta trafiła mi się dość pechowo ... Otóż widzę teraz namacalnie, że może być gorzej ! I mogło padać przez całą noc ! ... Tak, tak:

" Gdy los się sroży,
Pomyśl, że nigdy nie jest tak źle,
Aby nie mogło być gorzej ! ... "

zacytowałam sobie wierszyk - złotą myśl ze sztambucha, już trochę bardziej skłonna do pokory.

Wkrótce usłyszałam miarowy marsz.

- Oddział wartowniczy, baczność ! Wartowniczka na czwarty posterunek, wystąp ! - padła komenda, która uradowała me serce bardziej od chórów anielskich.

Podeszłam z za rogu krokiem, który miał być marszowym i zameldowałam się rozprawdzającej wartę:

- Wartowniczka posterunku czwartego przekazuje ... -

- A to co ? - przerwało mi pytanie - A ochotniczka to tutaj niby skąd ? - ciekawość walczyła w tonie z oburzeniem o pierwszeństwo.

- Z plutonu wartowniczego ! Od dwunastej w nocy !-

- Jak to: od dwunastej ? ... -

- Od północy ! ... -

- To chyba jakieś nieporozumienie ..."

- Chyba ! ... - strzeliłam, pakując w to niewinne słowo zapieką gorycz ostatecznej, nasiąkniętej mżawką godziny.

- Od północy ? Do szóstej rano ? ... - któraś z rozprawdzanych wartowniczek dziwiła się wbrew regulaminowi.

- A, no ... -

Potem mi wyjaśniono. Ta pierwsza rozprawdzająca dostała bieżącą w nocy i w pośpiechu przekazała funkcję swej następczyni. Ta druga nie wiedziała o tym posterunku czwartym, więc nie powiedziała następnej, a teraz... Słowem po prostu to tylko nieporozumienie!... Ale na szczęście nic się nie stało! ...

- A niby co się miało stać? ... - pisnęłam lekką chrypką

- No ... kontrola komendantki ... -

I tak to pierwsza nocna warta pasowała mnie na ochotniczkę z przydziałem do plutonu wartowniczego.

Dostałyśmy obie przepustkę na odwiedzenie kapitana Naplepy.

- Ach, to ten wasz opiekun, z artylerii? Wydał wam obu bardzo dobrą opinię. Miespotykanie dobrą ... - padła mimo chodem uwaga, przy wypisywaniu nam przepustek przez kancelarię Ośrodka.

- Skąd te informacje? ... - Wandzia się zaciękała

- A, to tajemnica wojskowa! ... -

- Tutaj wszystko się wie ... - padły dwie odpowiedzi równocześnie.

Kapitan przyjął nas wprost uroczyście, zachowywał się elegancko, był bardzo zadowolony z naszej wizyty, nawet uraczył nas komplementem, że pasujemy do munduru równie dobrze, jak te mundury pasują do każdej z nas. Przyznał się też, że wcale nie wierzył w nasze pokrewieństwo z porucznikiem Szymańskim, ale to nie miało znaczenia, bo przecież widział, w jakiej rozpaczliwej sytuacji znalazłyśmy się po wylądowaniu w Guzarze, a więc ktoś przecież musiał nam podać rękę.

- To był prawdziwie dobry uczynek! - palnęłam z przejęciem, przypomniawszy sobie autentyczną rozpacz.

- No, no! Ty mnie tu, Szurka, nie rozliczaj po harcersku, bo ja to już z tego wyrosłam! - burczał z uśmiechem.

- Ta, kiedy to prawda! ... -

- Och, odpracowałyście to panie obie, każda w swoim biurze!

Już tam żałują, że im ubyły takie pracowite pszczołki!... - żartował przy herbacie. A potem kazał zaprzęgać bryczkę,

- Podwożę was do Sztabu. Wtedy nie mogłem, gdyście się przerosiły, bo miałem kilka bardzo ważnych spraw na głowie!... -

- Ale i tak dostałyśmy bryczkę i zajechałyśmy pod sam Ośrodek,

wzbudzając nawet trochę sensacji ! - powiedziała Wanda.

- A, to dobrze ! Bardzo dobrze ! Niech tam wiedzą, w tym bab-
skim wojsku ... -

- O- o - o - ?

-...że macie swego protektora ! Bo inaczej strasznie potrafią
szurać biednymi dziewczętami "bez pleców" !... - oznajmił.

Zaskoczyło mnie okropnie, to stwierdzenie. Nie mogłam
się zorientować, czy się z tego cieszyć, czy wręcz przeciw-
nie, więc na wszelki wypadek nie zabierałam głosu, obiecując
sobie przedyskutować to z siostrą.

Zajechałyśmy do Sztabu, a że kapitan spotkał tam swoich
kolegów, a my miałyśmy jeszcze czas wolny, poszłyśmy do kapli-
cy Sztabowej na nabożeństwo, bo była niedziela - jak to do-
brze ! Spotkałyśmy tam panią Kikalową i było wiele radości.

Przygarnięta przez obóz cywilny razem z dziećmi pod
opieką siostry pracującej w Sztapie, dawała sobie radę i cze-
kała na ewakuację do Iranu. Dzieci nie chorowały, a szczęśli-
wa Terenia nie musiała jeść samego tylko ryżu.

Odprowadziłyśmy całą rodzinę i już trzeba było wracać
z przepustki, z pierwszej w życiu przepustki ! Napełniła nas
optyzmem, mimo ciężkiej sytuacji. Wszędzie byli ludzie nam
przychylni, pomocni, cieszyli się z naszego umundurowania, a
i my same już nie czułyśmy się jak przysłowiowa bieda z nędzą,
lecz właśnie fantastycznie wyróżnione przez życie - ochotnicz-
ki ! W mundurach ! W czapce z prawdziwym wojskowym Orzełkiem !
Bogu dzięki !

- Alu, kochanie ! Masz wartę na posterunku "jeden", to znaczy
przy wejściu głównym do naszego obozu ... - zwróciła się
do mnie pani Bauszelowa, miła jak zwykle.

- Tak jest ! ... -

- I wszystkich wchodzących, których nie znasz, trzeba naj-
pierw wylegitymować, potem skierować do wartowni. Stamtąd
dyżurna zaprowadzi dalej, albo wezwie, kogo trzeba ... -

- ? -

- No, jeśli to ktoś obcy do którejś z ochotniczek ... -

- A jak mam się służbowo zwracać do tych obcych gości ?... -

- "Stój ! Kto idzie !" I wtedy się legitymują ... -

- Tak, jest ! Ale miałam się zapytać, co robić, jeśli ktoś
nie usłucha. ? Albo tam, pod magazynem w razie napadu ?...-

- Od tego jest gwizdek. Trzy długie gwizdki to znaczy alarm...-

- Nie mam gwizdka, melduję, że nie dostałam ! -
- A, to niedopatrzenie. Wartowniczkę mają mieć ! ... - i na tym się skończyło.

Na wartowni gwizdka mi nie dano, ale kazano zapoznać się z rozkładem wart. Dwie godziny warty, cztery - wypoczynku.

Korzystając z wypoczynku znaczyłam w namiocie swoje sorty mundurowe, wyszywając na każdej rzeczy pełny swój numer ewidencyjny oraz, zamiast monogramu, w czym mnie już ubiegła Anielka Bańszel, posiadająca taki sam monogram, jak ja, wyszyłam wszędzie "Ala", bo to najkrócej. Zieloną nitką, bo taką miałam.

Przy tej robocie zastała mnie jakaś inspekcja, której musiałam zameldować, co robię, jak gdyby tego nie było wiadać ! Meldowałam bez salutowania na początku i na końcu, bo przecież w namiocie siedziałam bez czapki, a już mnie pouczono, że "do pustej głowy się nie salutuje."

Potem sterczałam na warcie, przy tak zwanej bramie wejściowej (trzy patyki raptem !). Puszczalam do obozu ochotniczki znane już przynajmniej z widzenia. Rzucałam okiem na przepustki wychodzących, mierzyłam wyznaczoną przestrzeń marszowymi krokami tam i z powrotem, pozorując chod żołnierski w tych kleszczowatych półbucikach na pokaleczonych stopach. - "Stój ! Kto idzie !" - ochoczo zawołałam urzędowym głosem, na widok zbliżającej się, nieznanej mi umundurowanej postaci i przyjęłam postawę oczekującą na meldunek zagadniętej. - Melduję się : komendantka Kujawska do komendantki Ośrodka Zapasowego, służbowo -
 - Dziękuję. Czołem, pani komendantko ! - zasalutowałam
 - Czołem, wartowniczo ! - uśmiechnęła się w odpowiedzi na mój bezradny uśmiech.

Nie miałam zielonego pojęcia - "Do jakiego stopnia ja strzeliłam gafę ? Trudno" ... Stało się ! ... - miałam o czym myśleć, do końca warty.

- Alu, kochanie ! - entuzjasmowała się później pani Bańszelowa - świetnie się spisałaś ! Nasza komendantka pochwaliła mnie za to, bo komendantka Kujawska, wyższa rangą, pochwaliła ciebie, że tak świetnie mamy wyszkolone wartowniczkę ! -
- Nie byłam zbyt pewna, czy miałam prawo. -

- Ależ, oczywiście. Przecież jej nie znałaś. Właśnie dlatego !
Bardzo dobrze ! ... A, że się tam komenda uśmieła, to inna
sprawa ! ... -

Cały obóz zabawiał się tą historyjką, bo komendantka
Kujawska przyznała się, że ją to pierwszy raz spotkało. Były
nawet takie dziewczęta, które przyszły obejrzyć mnie, niczym
jakieś niespotykane monstrum.

- A, która to nie chciała wpuścić komendantki Kujawskiej ? -
pytały na progu namiotu i odchodziły z równie mądrymi mina-
mi, z jaką ja zostawałam.

Cieszyłam się jednak w głębi serca, a mianowicie z te-
go, że owa miła osoba nie zobaczyła mnie na tej pierwszej,
mocnej warcie w tych dziadowskich tenisówkach ! Nie sądzę,
aby się wtedy sypały pochwały, "przypuszczam, że wątpię", jak
mówił Radca Strońc z Wesołej Lwowskiej Fali.

Chociaż sensacja może byłaby nie mniejsza !

A potem choroby dziesiątkowały nasz biedny, szczuple-
jący pluton wartowniczy. Początkowy harmonogram, który jesz-
cze przed moim przybyciem, przewidywał sześciogodzinny wypo-
czynek po dwugodzinnej warcie, teraz zaczął się zmieniać na
naszą niekorzyść. Wreszcie stanęło na tym, że od godziny
osiemnastej do szóstej wartę zmieniano, co dwie godziny, zaś
od szóstej do osiemnastej, co godzinę.

Wciąż jednak oficjalnie należała się jedna tura warty
i dwie wypoczynku. Oficjalnie . Ale nie oficjalnie bywało
inaczej !

- Alu, kochanie ! Pociągnij wyjątkowo od ósmej do dziesiątej,
bo znów dwie poszły do lekarza ... -

- Alu, moje dziecko ! Zastąp jedną przez godzinę ! ... -

- Alu, ratuj, bo już nie mam na kogo liczyć ! ...

Wiem, że już dzisiaj stałaś trzy godziny, ale wyjątkowo...
zrób to dla mnie ... -

Jak mogłabym odmówić ? Taka miła pani i matka koleżan-
nek ... I pożyczyła nam pieniądze... Wreszcie przecież mnie
prosi, kiedy może po prostu tylko wydać rozkaz ...

W końcu tych godzin na warcie moje doby miały więcej,
niż godzin wypoczynkowych. Zawsze jednak, jeśli stałam pod-
czas obiadu, albo śniadania, moja porcja zupki czekała w mej
mężeczce na moim posłaniu, co sobie bardzo ceniałam, a zawdzię-
czałam troskliwości pani Bańszelowej.

Wreszcie mnie zmoгло. W sobotę, 16 maja ból głowy gnębił mnie od rana. Niestety wartę miałam co drugą godzinę. Na tej, od dwunastej do pierwszej pilnowałam jakiegoś "odciążka wartowniczego", gdzie nie było żywej duszy. Tyły obozu, magazynek i pustka. Słońce lało się z nieba bezlitośnie wprost na bolący łeb. Czas dłużył mi się niesamowicie, słaniałam się na nogach i głowa ciążyła, niczym siekiera w wodzie.

Nie mogłam się doczekać zmiany warty, później zorientowałam się, że musiała minąć już przepisowa godzina. Słabo robiło mi się coraz bardziej. Ani kszyty cienia. Czułam, że ze mną coraz gorzej.

No, wreszcie zobaczyłam idącą zmianę ! Chciałam podejść, ale straciłam równowagę...

Ocknęłam się na jakiejś taradajce i zobaczyłam zapłakaną twarz swojej siostry.

- Wandziu ! - usiłowałam powiedzieć, ale nie zdołałam wydobyć z siebie głosu.
- Wanda ! - znów daremna próba i bezsilne starania, by ją chociaż chwycić za rękę.
- Boże ! - Moja głowa ! - jęczałam ... niestety tylko w myślach, bo głos nadal odmawiał mi posłuszeństwa.
- Ala ? - Lepiej ci ? - nachylała się nade mną i kładła mokry ręcznik mi na głowę, na czoło.
- Mokry ... Ale gorący ? Szkoda, że nie zimny ! ... - myślałam.
- Poznajesz mnie ? Aluniu ! Poznajesz ? Powiedz ! ... -
- Tak, tak ! ... - krzyczałam ... bezgłośnie.

Łzy potoczyły się z rozpacz:

- Pewnie straciłam mowę ... Boże ! Ratuj ! Nie chcę ! Ja nie chcę zwariować ! Boże, znikuj się ! Tylko nie to, nie to !... wpadłam w popłoch, bo przypomniał mi się tamten wracz z Centrali w Tas - Bułaku, jak mówił, że jeśli udało się mnie wyratować, to następny udar słoneczny skończyć się może obłędem !

Opanował mnie obłędny strach !

- Ona już jest przytomna ! Przytomna ! - Wanda cieszyła się, jak dziecko.
- Boże ! Zabierz mnie ! Nie mogę być wariatką i to na jej głowie ! Boże ! - usiłowałam wypowiedzieć, ale nic nie wychodziło.

Łeb pękał, łzy płynęły, taradajka trzęsła, wszystko we mnie drgało od przerażenia i rozpacz. Boże ! Niech mnie tu uspią ! Niech otrują, przedawkują coś, wszystko, tylko nie obłąd ! ... - modliłam się łzami.

Przyjęto mnie do I Szpitala Garnizonowego w Meczecie. Oddział żeński mieścił się w osobnym haremie. Małe izdebki, cztery łóżka. Z prześcieradkami ! Dostałam lekarstwa. Usnęłam. Głowa bolała mnie także i przez sen, ktoś nią coś rozbił, ktoś gdzieś ją smażył, miażdżył i rozgniatał.

Obudziłam się nad ranem, zupełnie przytomna.
- Boże, zmiłuj się ! - usłyszałam swój własny głos, rozpłakałam się z radości i usnęłam.

Budzono mnie na wizytę lekarską. Budzono, gdy wpadała Wandzia. Budzono, abym jadła kleik. Budzono, abym dokończyła jeść, bo usnęłam podczas jedzenia.

Głowa łupała bezlitośnie na jawie i we śnie. Ale to nic! Cieszyłam się za każdym przebudzeniem. - Przecież nie zwario- wałam ! Bogu dzięki !

I usypiałam, wciąż jeszcze zbolała, ale szczęśliwa.

Bóle głowy jeszcze nie ustępowały, ale już odespałam większość osobistego zapotrzebowania na sen. Zaczęłam interesować się życiem. O, jak to dobrze ! Jak dobrze !

Wanda wpadała nawet i dwa razy dziennie. Nie miała daleko, ale pracowała. Trzymała się dzielnie.

Lekarzem naszego oddziału był dr Kogan, bardzo spokojny, poważny, rzeczowy. Odwiedzał naszą salę nr 12 po parę razy na dzień, trochę rozmawiał. Ucieszył się, że w kwietniu otrzymałam kolejne trzy zastrzyki przeciwko tyfusowi brzusz- nemu.

- Mamy zbyt wiele chorób zakaźnych. W tamtym drugim szpitalu, w szkole ... Tutaj są inne przypadki ... - wydawał polecenia i odchodził.

Wieczorami składał nam wizyty pan Tadeusz Chojnacki z Izby Przyjęć. Różnił się od pozostałych śmiertelników pasia- daniem pantofli - bezpieczek, w których urzędował w pracy i po- tem przychodził. Opowiadał nam bajki, głównie z cyklu Tysią- ca i jednej nocy, a robił to z przyjemnością i dowcipem.

Najczęściej usypiałam po paru pierwszych zdaniach, wbrew wszelakim staraniom.

W naszej salce leżała pani Natalia, czarna Wandzia.

z Górki i Marysia Królewicz, junaczka.

Pani Natalia roztaczała nad nami opiekę - dbała, abysmy brały lekarstwa na czas, jadły, co nam dawano i były dobrej myśli.

Czarna Wandzia była entuzjastką służby wojskowej, przepadała za musztrą, opowiadała o ćwiczeniach wojskowych na kursie, imponowała jej dyscyplina, podziwiała władze, zachwycała się mundurem i wyposażeniem. Nie pamiętam, na co chorowała, tylko pamiętam, że wprost nie mogła się doczekać powrotu na Górkę, do swojej kompanii i co dzień targowała się o to z doktorem. Jej przywiązanie do życia na Górcie zaprzeczało opinii o Ośrodku Szkoleniowym, która panowała w Ośrodku Zapasowym, gdzie dosłownie straszono odesłaniem "na Górkę". Optymizm tej dziewczyny dał mi dużo do myślenia.

Marysia Królewicz pochodziła z Polesia. Chyba była w siódmej klasie, gdy do ich miasta (Pińsk? - Może Brześć?) przyjechał z Warszawy Cyrk Braci Staniewskich, najświetniejszy w Polsce.

Dziewczynkę urzekł. Od czasu obejrzenia przedstawienia w cyrku żyła marzeniem dostania się do niego. Tak długo nalegała, że ostatecznie ojciec zabrał ją, po ukończeniu siódmej klasy, do tego cyrku. Została przyjęta na naukę. Dwuletni pobyt przerwała wojna.

Drobna dziewczynka nie została cyrkówką. Losy pognały ją w dalekie strony, a ona wierzyła, że zahartowana w tej szkole cyrkowej, zdoła nadal stawiać czoło różnym przeciwnościom losu.

Potem miejsce czarnej Wandzi zajęła panna Maryla Jurgielewicz. Studentka, bardzo odczytana, opowiadała nam trochę o życiu studenckim, trochę o książkach wartych przeczytania.

Kiedyś Marysia, zbliżywszy się do mego łóżka zawołała:
- Skorpion! Wyskakuj! -

Wyskoczyłam momentalnie, a bezczelny, nieproszony gość w całej okazałości swej majowej czerwieni przedelfilował ~~wz~~ wzdłuż mego łóżka i ... zniknął! Jak gdyby zapadł się w ziemię! Nigdzie ani śladu!

Przy pomocy sanitariuszki Jasi spenetrowaliśmy całą izdebkę - daremna fatyga!

A przecież widzieliśmy go wszystkie cztery!

Innemu powiodło się gorzej. Wyszedł sobie spod łóżka Wandzi (przy drzwiach), gdy go zobaczyłam i krzyknęłam, pokazując, gdzie jest. W tejże właśnie chwili Jasia wchodziła do naszej izby. Miała błyskawiczny refleks. Chwyciła buciór Wandzi, stojący pod jej łóżkiem i jednym energicznym ruchem trzasnęła groźnego wroga ludzkości.

Wtedy nie znano ^{tam} żadnego antidotum, a skorpiony w swym okresie godowym (czerwone) były bardzo niebezpieczne i zagrażały ludzkiemu życiu.

Harem składał się z małych izb, okalających czworokątem swego budynku małe wewnętrzne podwórko, częściowo ocienione wystającymi ku środkowi dachami. Każda izdebka posiadała niewielkie, zakratowane okienko na zewnątrz budynku. Drzwi wszystkie wychodziły na podcienie podwórka, do którego prowadziło jedne wejście, od strony budynku dawnego meczetu. Nad tym wejściem była izba, do której prowadziły schody. Tam, za "naszych czasów" była apteka Szpitala Garnizowego, za czasów autentycznego haremu to była izba dozorców.

Sala szpitalna w dawnym meczecie jedna i rozległa, zachowywała jako resztki dawnej świetności, piękne mozaiki o wzorach geometrycznych, na ścianach i mozaikową posadzkę.

Chorych (chirurgia, skorbut zwany często z rosyjską cynką) było tu bardzo dużo. Legowiska swe mieli na ziemi. Ci, którzy się tam nie mieścili, leżeli także w namiotach rozbitych na dziedzińcu zewnętrznym, między meczetem, a haremem.

Moja kochana siostra pracowała, już później, w locie, po odbytych kursach, jako pielęgniarka właśnie na tym oddziale w meczecie.

Ne pamiętam już, czyim towarzyszem z zesłania był młody chłopak o niepopularnym imieniu Dolcio cierpiący na brak wykształcenia, ale, w przeciwieństwie do swego imiennika Adolfa na cały świat sławnego z okrucieństwa, Dolcio miał dobre serce i nieprzebraną ochotę uszczęśliwiania chorych.

Miał też znajomą w ruskiej aptece i mieszkankom naszej sali zaproponował załatwienie kupna kosmetyków spod lady.

- Panno Alinko ! - zwrócił się do mnie uroczyście. Może pani ma życzenie ? ... Można nawet i krem i szminkę i czernidło do brwi... Niech pani wyzna co ? Ja już załatwię !..-
- A, dajże pan spokój ! Gdzieżby ona tam takie paskudztwa używała ! Nie widzi pan, że to porządna dziewczyna ? ! -

przyganiła mu sanitariuszka Jasia, która solidnie o nas dbała i zjawiała się pilnie podczas czyichś odwiedzin.

- O, ja przecież nie chciałam urazić !! Tylko zrobić przysługę !!
bronił się zmieszany, aż mi się żal zrobiło biedaka.

- Wie pan co ? ... Ja mam swoje marzenia, tylko nie wiem, czy nie będą przekraczały pańskich możliwości....? odważyłam się

- Będę się starał ... A co to ma być ? ... - pytał trochę niepewnie, pewnie zaniepokojony o co chodzi.

- Proszek do zębów i lusterko ... - bo nie mam wcale, żadnego!
A szczoteczkę do zębów już mam (po dwóch latach!), tylko żadnego proszku ... Jeśli to nie będzie zbyt trudne ... -

- Ach, nie ! To mają ! Sam widziałem. Przyniosę ! To będzie całkiem bez kłopotu ! Bo wszyscy tylko lecą na te szminki ! -
cieszył się.

Nazajutrz promieniał jak sama radość.

- Mam ! Panno Alinko ! Mam ! I proszek i lusterko ! -

- Bardzo mnie pan tym uszczęśliwił ! Na serio ! Dziękuję !...-
i sięgnęłam do swych oszczędności.

- A, co to, to nie ! Ja bym się śmiertelnie obraził ! Toż to groszowe wydutki ! Nawet nie godne na prezent ! To ja mam dziękować, bo ja by nigdy nie wymyślił, że o czymś takim akurat panna Alinka marzy ! ... -

- A teraz, to już pan wie nawet, z czego jestem szczęśliwa !
Dziękuję ! I zęby mam czym szorować i lusterko, że nie tylko uczesać się jest przy czym, ale nawet i krawat zawiązać ! ... -

24 maja, w Zielone Świątki ogłoszono nam, że po Mszy Świętej, wiele z nas odmaszeruje na Górkę. Wróciłam ze szpitala poprzedniego dnia. Wanda właśnie przyniosła z poczty list od Rodziców. Pisał Tato, Mama się dopisała. Pierwszy list - wielka radość dla nas.

Już przeprowadzili się od Tasi, której tak podobał się koń, narysowany przez Włodka, że go sobie zatrzymała. Zamieszkali gdzieś w innej stronie miasteczka, dość blisko pani Kobalowej, którą ledwie pamiętałam z widzenia. Była tam z córką Tosią, chyba w wieku pomiędzy Wandzi, a moim. To dobrze...

Ojciec pytał o nasze cywilne ubrania ... - Już pisałam, że nie mogłyśmy wysłać ... Szkoda bardzo ! ... Coś tam Delegatura Polska zaczyna działać.

Mama trzyma się. Znajomi dopytują, pozdrawiają ...

Mój Boże ! A jak tam jest naprawdę ? ...

My tu szczęśliwie mamy tę żywność z kotła, a Oni ? Czy jadają każdego dnia ? ... Zbyt dobrze pamiętałam jak bywało.. Gdybyśmy mogły zabrać Ich tutaj ! ... Trudno przewidzieć, co lepiej ...

Przed obiadem odmaszerowałyśmy "na Górkę". Rzeczy: plecak, chlebaki dowieziono na "jaszczkach". Trochę się nasza polszczyzna zachwyciła rusycyzmami, czasem nawet wplatałyśmy wyraz kazachski lub uzbecki, pewnie nie tyle nawet w pośpiechu, czy niedbałości o czystość mowy ojczystej, ile dla podkreślenia egzotycznego folkloru.

Kazachski i uzbecki są nawet dość podobne, a wiele wyrazów występuje w obu językach (także i w tatarskim), przy zróżnicowanej wymowie.

Kazachski "dobry" - dzaksy i zły: "dziaman". Uzbecy wymawiają odpowiednio: "jaksy" i "jaman". Ata - ojciec, ojczyzna, ani - matka, chyba w tych trzech językach brzmi tak samo. Może wybudowane na Górcie "ule" miały coś wspólnego z nazwą domu - po kazachsku "iż". Placki - podpłomyki wszędzie nazywały się "nan", tak jak i chleb.

Na Górcie przydzielono nas, właśnie przybyłe z Ośrodka Zapasowego, do czwartej kompanii. Dostałam się, jako ósma, do czteroosobowego namiotu, razem z panną Janeczką Sokołowską, też przysłaną do Ośrodka Szkoleniowego na kurs Unitarny. Nie pamiętam mej siostry w tym namiocie. Chyba Wanda została w Guzarze, bo pracowała na poczcie.

Ledwie urządziłyśmy sobie pokotem te swoje legowiska na ziemi i pousiadały na nich, zmęczone marszem, lub położyły się, gdy nagle lunął deszcz. Gwałtowny, obfity i tak wściebki, że wkrótce już ze wszystkich stron podciekał nam do namiotu, zmuszając do szybkiego zwijania koców i znoszenia wszelkich żołnierskich własności na wybrzuszenie gruntu przy środkowym słupku namiotowym.

Na ten żywiołowy deszcz mieszkanki tego mojego namiotu odpowiedziały z miejsca żywiołowym humorem.

"Mokro mi ! Oj, jakoś dziwnie mokro mi !" - zaśpiewała Władka na melodię tanga "Tęskno mi", co stało się punktem wywoławczym i rozpętało całą lawinę kawałów na temat deszczu, opowiadań i przagadywań sobie wzajemnie tak, że nawet do pewnego stopnia wybuchy śmiechu zagłuszały hałaśliwy stu-

kot ciężkiej ulewy ~~o~~ napięte namiotowe płótno.

- Mamy szczęście, że Mańka - "Bądź - z - Miasta" nie mieszka w naszym namiocie - zawołała Baśka Mniszkówna.

- Mańka - "Bądź - z - Miasta" ?, a któż to taki ? - pytałam.

- A to czemu, szczęście ? - odezwała się Bronka Skrzycka.

- "Bądź z Miasta", bo tak ciągle mówi, chora na to, że jest z zapadłej wsi ! A szczęście, bo ona się boi burzy i wtedy klnie jak szewc ! ... -

- Wiecie, raz coś tam jej powiedziałam na temat peleryny, a ona mi na to: "Nie mówi się peleryna ! Niby jesteś z miasta i nie wiesz, że się mówi peleryna ?!" - opowiadała Władka

- "Nie lij descu, nie lij !"

Bo cię tu nie trzeba !" ... - zaczęła panna Janeczka i reszta podchwyciła pieśń na odzegnanie ulewy. Widocznie jednak pieśń owa skutkowała u nas, gdzie górale wyśpiewywali ją z pomyślniejszym skutkiem. Azjatycki deszcz nic sobie z niej nie robił, nie poczuwał się do obowiązku !

Przycupnęliśmy na skrawku suchej ziemi przy słupku, na stosie sort mundurowych.

Mnóstwo kawałów sypnęło się z rękawa, a jeden zapamiętałam dokładnie, wyjaśnię dlaczego.

- Zagadka ! Słuchajcie, która zgadnie ? Dlaczego Wedel nie miał dzieci ? ... -

- Pewnie był za stary ? ... -

- Nie ! -

- A może nie miał żony ? - próbowałam

- Nonsens ! -

- A może miał dzieci ? ... -

- Nie ! Nie miał ! Bo miał czekoladowy interes ! -

- Nonsens ! Właśnie powinien mieć dużo dzieci, bo dzieci przepadają za czekaladą ! - zawołałam z wielkim przekonaniem, ale rozbrykane współmieszkancki ryknęły, że to najlepszy kawał.

- Ojej ! Ta, ja to pewnie jestem z tych, którym nie wolno opowiadać kawałów w piątek ! ... - lamentowałam

- A to niby dlaczego ? - dopytywała się Jadzia Malewska.

- No, bo gdy ktoś taki zrozumie, na czym wic polega, to może się roześmiać w głos, w niedzielę, w kościele ! A nie ucho- dzi ! ... -

Świetne to były dziewczęta !

Jadzia Malewska była nauczycielką w Wilnie już przez kilka lat przed wojną. Właśnie we wrześniu miała wyjść za męża, gdy nagła mobilizacja oddaliła jej życiowe plany, zdawało się, że na parę miesięcy. Drobną i niepozorną Jadzia nie minęła się z powołaniem i stale miała na oku kilka młodszych dziewcząt, do opiekowania się nimi. Ostatnio była to czarnula, zwana małą Jadzią, którą przeniesiono do miasta. Teraz Jadzia Malewska zaopiekowała się mną. Muszę bezstronnie wyznać, że miała z każdą z nas, swoich podopiecznych, kłopoty, całkowicie odmienne, ale przejmowała się nimi prawdziwie.

Najbliższą koleżanką Jadzi była Bronka Skrzycka. Również dobry kompan, pomocna i bezpośrednia, mniej więcej w wieku Jadzi (dwadzieścia kilka lat). Średniego, raczej wyższego wzrostu i średniej tuszy, z porcelanowo różową cerą, typową dla rudych, z wijącymi się włosami jasno rudymi lub rudo blondynastymi i trochę chropawym głosem. Konkretna i praktyczna Bronka.

Z wdzięcznością wspominam zwłaszcza te dwie, bo ratowały mnie często, gdy słabłam, lub nawet mdlałam, w to okropne lato na tej niesamowitej Guzarskiej Górce; takie kochane przyjazne i pełne poświęceń, a jeszcze martwiły się o to moje, wątpliwe w tym czasie zdrowie.

Janeczka Sokołowska znacznie bardziej naładowana pogodnym usposobieniem była głównym filarem samopoczucia psychicznego, starała się zarazić wszystkich optymizmem. Nie wątpię, że był wypracowany i narzucony sobie oraz otoczeniu. Instykt samoobrony, jaki starała się wywoływać i w nas pomagał przebrnąć przez rozmaite przeciwności losu.

Najbliższa Janeczce temperamentem była nieduża szatynka, której tutaj nadaję imię umowne "Władka", bo nie mogę sobie właściwego przypomnieć. To ona opowiadała o tej "peluryście", która w naszym namiocie zyskała sobie prawo obywatelstwa, za każdym razem bawiąc nas na nowo. Władka zwierzyła nam się, że w tym naszym całym babskim wojsku czuje się dzielnie, niczym "Dzielny Wojak Szwejk" na Tyłach", jako, że jest pod urokiem Szwejka i jego sposobu na przetrwanie i sposobu na życie. Z tych głównie względów nazywałyśmy ją czasem Szwejkkiem, a raczej "naszym Szwejkkiem", bo pierwowzoru nie przypominała niczym. Potem ktoś to podchwycił i uznano nas za "namiot Szwejków".

Baškę Mniszkówną widzę we wspomnieniach zawsze z dwiema menażkami, w kolejce do kuchni, po zupę. Ten pierwszy raz całkowicie mnie zaskoczył i wprowadził w zdumienie nie do opisanie.

Stojąca w kolejce przede mną Baška doszła już do kotła. Kucharka "ciapnęła" jej zupkę do jednej menażki i nabrała następną chochlę, dla następnej osoby, gdy Baška podstawiała błyskawicznym ruchem drugą menażkę.

- A ta, to niby dla kogo !? - huknęła groźnie kucharka

- Dla Baški Mniszek ! - odpowiedziała zapytana skwapliwie

- A tanta pierwsza ? -

- A, to dla mnie ! A dla Baški Mniszek to teraz ja będę zawsze brała, bo ona słaba i obiecałam ! Prawda, Alu ? - zwróciła się do mnie - Ona może poświadczyć ! - wyjaśniła kucharce.

- Prawda ? -

- Tak jest ! - stanęłam na wysokości zadania, bo musiałam to przyznać, a zrobiłam to niezwłocznie, poważnie i z czystym sumieniem, czym skazałam się automatycznie na stałego świadka Baški przy pobieraniu posiłków z kuchni.

W Poniedziałek Zielonych Świąt Wanda^{u siebie u Ośrodka Zapasowym} miała wartę. A na Górkę przyjechali kapitanowie: pan Marcin i pan Bazio, aby pannę Janeczkę i mnie porwać na pół dnia z wizytą do pana Korczewskiego, bo coś niedomagają. Po miłym popołudniu odwieźli nas bryczką.

Janeczka opowiadała na wesoło o potopie w naszym namiocie i panowie radzili okopać namiot ściśle dookoła dość głębokim rowem, więc potem w namiocie zachęcałyśmy się wszystkie nawzajem do roboty, a w braku saperek, czy jakichkolwiek łopat, obliczałyśmy pracownie ile godzin, dni i tygodni zajęłoby nam wygrzebywanie rowu łyżkami ! Na razie poprzestałyśmy na tych obliczeniach, ale na przyszłość ... póki życia, póty nadziei !

We wtorek, 26 maja, pisałam, a we środę wysłałam dwa listy do Rodziców.

Pod datą czwartkową zapisałam jedno słowo: "Biegunka".

Nie spodziewałam się, że mnie dopadnie. Zawsze myłam ręce przed jedzeniem, surowych owoców nie jadłam, wody nie

piłam, cały czas pamiętając o przestrzeganiu higieny w trosce o zdrowie, z nadzieją na przyszły wyjazd po Rodziców, gdy tylko podadzą termin ewakuacji.

Choroba dopadła mnie nagle. Za tym garbem, który stanowił obramowanie terenu naszego obozu, wzdłuż lewego (od wejścia licząc) boku, a równoległe do prawej granicy terenu obozowego, którą tworzył arik, ciągnął się długi i głęboki rów. Na nim w poprzek poprzierzucane leżały deski, w równych odstępach. Wszystko pod gołym niebem, całkowicie na widoku, od obozu tylko osłonięte grzbietem pagórka. To był ustęp dla pięciu kompanii ochotniczek ! Co najmniej pół kompanii, mogło korzystać z niego równocześnie !

Pierwszy raz ujrzałam to niezbędne dla ludzi "miejsce us-
tronne", gdy po uroczystej przysiędze padła komenda:

- Rozejść się!-

Jak na umówiony sygnał wszystkie kompanie runęły właśnie w
kierunku na ten wydłużony pagórek. Oczywiście i nasze najbliż-
sze rzędy podały tam iście owczym pędem.

Nie mogę powiedzieć, że oczekujący nas widok mnie zachwycił:

- Wandziu?... - zatrzymałam się, zawahałam.

- Trudno! Jak w lagrze.... Tyle, że przynajmniej nie stoją
strażnicy z bagnietami!... - stwierdziła wciąż jeszcze nie-
zdolna do całkowitego odpędzania pewnych skojarzeń.

- Ależ tam można wpaść!-

- Ta, pewnie! Trzeba uważać!.....-

Przy tym wszystkim roje much różnego gatunku!

Nic dziwnego, że biegunka panowała powszechnie:

- Idź do pani doktor! Musisz dbać jakieś lekarstwo!-
podpowiedziała mi Jadzia Malewska.

Namiot pani doktor sąsiadował z namiotem oznaczonym Czer-
wonym Krzyżem. Izba Chorych znajdowała się na samym końcu te-
renu obozowego, na skraju pochyłości prowadzącej do ariki,
trochę mniej stromej i bardziej rozciągniętej niż w dalszym
jego biegu wzdłuż placu apelowego i następnie wzdłuż kuchni:

Panią doktor poznałam od razu. Była następną po doktor Ma-
gońskiej, naszym lekarzem, a raczej, jak się we Lwowie wtedy
mówiło naszą dbktorką z wczesnego dzieciństwa: pani Kosińska.
Dość wysoka, szczupła, z drobną twarzą i uważnym spojrzeniem.
Przypomniała mi sobie też:

- Biegunka, powiadasz? A ile razy na dbbę?.....-

- Nie wiem, nie liczyłam, ale dużo razy:....-

- Dam ci te proszki. I policz, bo od tego zależy leczenie.

- Przyjdź jutro rano...-

Zgłosiłam się, gdy minęła dbba:

- No, i jak?- zapytała pani doktor.

- Czternaście razy w ciągu dnia i trzy razy w nocy - wys-
tękałam jednym tchem.

- Ojej! - roześmiała się.

- A nic ci się nie pomyliło? - powątpiewała pielęgniarka:

- Nie! Zapisywałam kreski, po jednej za każdym razem:....-
przyznałam.

- Bardzo słusznie!! Trzeba też innym tak dbradzić! - przyj-

mowały to z humorem, wypisując stan chorych do raportu.

- Przeniesiesz się do Izby Chorych! Od razu.-

- Tak jest. Dziękuję. -

Wciśnięto mnie do tego namiotu przy samych drzwiach, bo już było dość ciasno. Nie najlepsze miejsce, jak się wkrótce przekonałam. Każda chora biegnąc z "potrzebą" przebiegała moje legowisko, a jedna potknęła się o moje nogi, gdy mnie sen zmorzył. Leżało się bowiem na ziemi.

Izba Chorych nie posiadała własnego "ustępu" i chodziło się na tę pochyłość, gdzie trzeba było dobrze uważać, jak się stąpa.... Much chyba jeszcze więcej!....

Zdawało mi się, że to już samo dno.... Ale "nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej!..."

Sensacyjna wiadomość przeraziła nas swoją grozą. W rowie kłocznym, tam za pagórką znaleziono zwłoki noworodka! Nikt nie zgłaszał się wcześniej do pani doktor, więc podejrzewano, że to nie był przypadek. Komendantka Myślakowicz po naradzie z komendantkami innych kompanii zarządziła badanie lekarskie, obowiązkowe dla wszystkich: Kij w mrowisko!... Jednak musiałyśmy wszystkie przez to przejść!

- Wiesz, Jadzi! - zwierzałam się, gdy Malewska wpadła na chwilę dowiedzieć się, co ze mną - czuję się strasznie upokorzona, że musiałam przez to badanie przejść i tyle wstydu się najeść!...-

- Bądź szczęśliwa, że nie miałaś się czego wstydzić...- zaczęła ze smutkiem - bo poprzednia moja podopieczna...-

- Jadzia "mała"? -

- Ach, dziewczyno, aż nie chcę o tym mówić!...-

- Coś złego się stało ...- zrozumiałam:

- Powiem ci, bo wiem, że nikomu nie zdradzisz... a jesteś jeszcze młoda i czasem łatwoliwna:... Jadzi! zaopiekował się major, kolega jej ojca. Zapraszał, trochę podkarmiał... Wiesz, oficerowie mają swoje przydziały żywnościowe z tych dostaw z Anglii, no i żołd wyższy niż nasze dekadówki (osiem (?) rubli na dekadę): Właściwie to mają pensję oficerską! Ten major pewnego razu objął ją i zaczął tłumaczyć, że się nią zaopiekuje, aby nie głodowała, bo przecież rozumie, że młoda, że te nasze zupki są ledwie wystarczające, aby przeżyć, że się nią zajmie, aby jej niczego nie brakowało i tak ją

wzruszył i rozczulił, że aż dała się wykorzystać!... Ledwie ukończyła osiemnaście lat!,... Znałam jej matkę!... - Jadzia omal się nie rozpłakała.

- I co ona teraz zrobi? - zmartwiłam się, aż zdrętwiała z przerażenia i z przykrości: znałam tę dziewczynę, szkoda jej!... -
- Wiesz, po tym wszystkim, gdy wychodziła, włożył jej coś do kieszeni. Czowała się bardzo upokorzona, ale na pociechę myślała sobie "ale za to się najem! Najem wreszcie do syta". A gdy sięgnęła do kieszeni, znalazła tam... kawałek sera! Taki angielski, żółty ser!... Przyleciała do mnie i strasznie się spłakała... Prawdę mówiąc, płakałyśmy razem... Taki łajdak! Pan major - "przyjaciel" ojca Jadzi! A ta naiwna dziewczyna... za kawałek sera... - To straszne. To hańba! I to Polak tak zrobił?, Polce? Na obczyźnie? Dziewczynie, która przez dwa lata prawie ginęła z głodu i nie może, nie miała siły, aby znieść ten głód dalej!... Byłam wstrząśnięta całym tym wydarzeniem i grzechem głupiej Jadzi i jej rozpaczą, chociaż bardziej przedmiotem tej rozpaczki było rozczarowanie co do zysku niż sam fakt czynu. Pewnie o tym pomyślała później - z goryczą.

Głód był motorem wielu takich przypadków. Słyszało się o tym niejedno. Wiele przejawiano i zbyt uogólniano, rozciągając złą opinię na ogół zagłodzonych dziewcząt: Było wręcz przeciwnie! Ten mały procent psuł reputację całym rzeszom porządnych dziewcząt, czy też wiernych żon, którym ani w głowie było „złe prowadzenie się”, nawet za jedzenie w okresie głodu.

Muszę jednak powiedzieć, że we Lwowie i na terenach zajętych przez ZSRR aresztowane zostały prostytutki za swą profesję, w Związku Radzieckim niedozwoloną. Potem amnestia sierpniowa 1941 roku także i je zwolniła z więzień i z łagrów, i one od razu wyruszyły do Polskiego Wojska: Nie sądzę, aby wszystkie zrezygnowały ze swojego sposobu zarabiania... Zanim więc zostały zidentyfikowane i zwolnione z Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet, co przeważnie miało miejsce dopiero w Iranie, one po prostu zagubiły się w tłumie, a to nie wpływało korzystnie na reputację ochotniczek!

Znałam bardzo wiele ochotniczek i mogę powiedzieć, że my między sobą wiedziałyśmy, jaka która jest i powszechna opinia naszego środowiska oceniała i bojkotowała te, które przekraczały przyjęte ogólnie granice przyzwoitości, zgodnie z oby-

czajowością przedwojennej Polski. Takich wyjątków było naprawdę niewiele.

Po dwóch dniach pobytu w Izbie Chorych okazało się, że mam czerwonkę! Już owocowały drzewa morwowe, których kilka rosło nad arikiem i dziewczęta zajadały się tymi owocami. Ja nie. Nawet nie skosztowałam. Jednak choroba mnie nie ominęła! Nie miałam sobie nic do zarzucenia pod tym względem. Trudno.

Wanda była w tych dniach na koncercie w Sztabie. Spotkała tam porucznika ~~Sz~~achowicza, który poważnie i życzliwie wypytywał o nasze rodzinne problemy, aby wreszcie doradzić wysłanie na razie Rodzicom zaświadczenie o przynależności do rodzin wojskowych. Też uważał, że sprowadzić Ich, wobec panujących epidemii, byłoby wielkim ryzykiem. Najlepiej byłoby przed samą ewakuacją, no i oczywiście po zlikwidowaniu epidemii.

Wandzia pracowała na poczcie aż do rozpoczęcia Kursu Unitarnego na Górcie;

W sobotę 30 maja nasze kompanie na Górcie miały wieczorem ognisko. Śpiew piosenek żołnierskich wywabił z namiotu parę chorych, mnie też. Stanęłyśmy nieco na uboczu, by choć chwilę popatrzeć i posłuchać. Dla mnie to było pierwsze ognisko PSWK.

Między piosenkami Danka Niedzielska dźwięcznym i donośnym głosem deklamowała "Alarm" Słonimskiego w kompletnej ciszy przejętych słuchaczy, a oprócz naszych pięciu kompanii "babskich" byli liczni zaproszeni żołnierze. Wszyscy przeżywalismy treść tej poezji. Wielu pochodziło z miast bombardowanych znacznie mocniej niż wsie, ale wspomnienie Września trafiało do wszystkich.

Potem były jeszcze jakieś skecze i scenki, ale żadna z nich tak nie wbiła mi się w pamięć jak ten przejmujący dreszczem "Alarm": Występowały: jaśniutka blondynka Zosia Nęcka, długa i ciemna Halina Naśuto i średnia szatynka Kryśka Lubańska. Potem znów Danka deklamowała "Defiladę" Michała Zielińskiego

Dalszych pieśni już nie mogłyśmy dłużej słuchać, bo nas wzywano do Izby Chorych. Długo w noc towarzyszyła mi melodia:

... "Wojenka, cudna pani,
 Żołnierzy swych nie pieści,
 Gdy kulą w piersi nie zrani,
 To zgubi gdzieś bez wieści..."

Na ogół w codziennym wirze zajęć nie było czasu na dłuższe rozmowy. W Izbie Chorych było go zbyt wiele.

Tam wśród opowiadań dogadałam się z Baską Jaegier, że spędziła jedno lato w Skolem nad Oporem razem z moją zmarłą przyjaciółką Stefą Strożak. Baški brat, który wyjechał pierwszym rzutem ewakuacyjnym do Iranu już zdążył podać jej przez kogoś list, że jest w Teheranie "gdzie jest mu bardzo dobrze, a ludzie żyją, jak ludzie". Cieszyliśmy się z tego wszystkiego.

Czarna pani Irka, z odrastającymi lédwie po tyfusie wko-
sami, chora na czerwonkę, zagadnięta przez którąś z pań o męża, zbyła pytanie odpowiedzią, że od czasu mobilizacji nie ma znaku życia od niego, czy choćby o nim.

- Musiała pani bardzo młodo wyjść za mąż? -

- Tak. Miałam dwadzieścia lat... W lecie 1939 roku -

A potem, gdy się zdarzyło, że byliśmy tylko trzy w namiocie, zebrało się jej na zwierzenia:

- To bardzo źle, gdy dziewczyna wie zbyt mało o małżeństwie:

Nie powinno się nam było tego robić... Powinna wiedzieć znacznie więcej, niż to całe nasze tak zwane dobre wychowanie uważało za przyzwoitość!:-

- Tak, ale to takie trudne sprawy... Jak możemy o nie pytać? - rozważałam:

- Tym powinna zająć się matka, ale ona sama też najczęściej nie była odpowiednio przygotowana - dodała pani Natalia.

- Są jeszcze książki... Ale kiedy ja wzięłam do ręki książkę medyczną, starsza siostra, nauczycielka, zmusiła mnie do dania słowa harcerskiego; że nie będę jej czytała "w trosce o czystość mej duszy"!:- przyznałam się.

- I co? Dotrzymałaś?:-

- Ta, pewnie! Słowo harcerskie zobowiązuje! Wolno mi było tylko ścierać kurz z książek na tej całej półce w etażerce!:- śmiałam się nie bez goryczy:

- Coś takiego! A to ci dopiero!:-

- No, właśnie! - pani Irka podjęła temat: - Mówi się dziewczynie, że wiedzieć o "czymś takim" to grzech, a potem jakże często popada w prawdziwe tarapaty z powodu niewiedzy!:- Albo w głębokie rozczarowanie... Ja sama byłam pewna, że małżeństwo to mniej więcej nieustająca randka, wzdychanie przy księżycu i słuchanie czułych wyznań serdecznych, za co kobieta stara się odwdziżyć dobrym gotowaniem smacznych potraw i

prowadzeniem domu....-

- I rozczarowała się pani....-
- Z miejsca! Zaczęło się od guziczka, bo mi oderwał przy staniczku... Uderzyła mnie myśl: "co za zezwierzęczenie"! i tego wstrętu już nigdy nie zdołałam przezwyciężyć... W przedtem go kochałam! Byłam pewna, że kocham go całym sercem! Tylko, że nie"tak"!... Może byłoby inaczej, gdybym wcześniej wiedziała więcej, nauczyła się rozumieć... Sama nie wiem... I nie wiem, jak będzie, kiedy się spotkamy... Jeśli się kiedyś spotkamy...-

- A on? Jak on potem?...-

- Był zdziwiony, chyba zawiedziony...-

- Macie teraz oboje czas na przemyślenie - stwierdziła pani Natalia, pomijając tamte wątpliwości, czy się kiedyś spotkają:- I pani będzie bardziej dojrzała, niż wtedy, i mąż też pewnie niejedno przejdzie i doświadczy. Życie samo rozstrzygnie takie sprawy... Czas robi swoje...-

Rozstania, rozłąka, spotkania... Miałam o czym myśleć przez cały następny dzień; gdy zostałam w namiocie sama, po odesłaniu do szpitala tych, które zachorowały wcześniej.

Drugiego czerwca zostałam odesłana do Szpitala Garnizowego Nr II, gdzie w budynku szkolnym mieścił się oddział zakaźny. Sala Nr 13 była na prawym końcu dość długiego korytarza. Był to pokój przejściowy, za którym znajdowała się jeszcze jedna sala Nr 14 z ośmioma ciasno, ledwie wciśniętymi łózkami. W naszej łóżek nie było, tylko legowiska na ziemi. Na rozpostartym w całości kocu, przykrytym prześcieradłem leżały dwie dorosłe osoby, albo dwoje dzieci. Na początku. Później po cztery osoby a nawet po pięć na dwóch sąsiadujących kocach.

W sali zastałam już Baškę Jaegier.

- Chodź, tu zwolniło się miejsce koło mnie! - nawoływała mnie na drugą połowę swego prześcieradła, robiąc mi miejsce tuż przy przejściu do drzwi od sąsiedniej sali.

Po drugiej stronie tego przejścia leżała niejaka pani Czeka. Młoda. Cywil, mówiono że Żydówka.

- Czerwonka? - zapytała mnie.-

- Tak, czerwonka. To wszystko czerwonka też?-

- No, przeważnie. Tylko ta dziewczynka w samym kącie ma świnkę.

- O, Boże! - ledwie stłumiłam jęk.

Dziewczynka w kącie siedziała oparta o ścianę. Twarz obrzmiała, tak, że prawie oczu nie widać, zaś szyja z jednej strony sięgała do połowy ramienia, a z drugiej była tak niesamowicie spuchnięta, że o dłoń wystawała poza szczupłe dziecięce ramię. Usta małej ledwie otwartą szpareczką usiłowały chwycić powietrze, niczym ryba wyjęta z wody. Po rozpalonych i jak gdyby rozdmuchanych niczym balon, policzkach bieduli spływały łzy. Sylwetka dziecka przypominała świński łeb...

- Biedne dziecko!... Jak jej można pomóc?... - Wymowne rozłożenie rąk było całą odpowiedzią.

- Ona już nawet nie może przełykać. Wszystko wycieka... powiedziała Basia.

- Ma kogoś z bliskich?... -

- Chyba już nie... -

W tej sali dużo było dzieci. Z Górzaru i z okolicy. I polska ludność cywilna także. Leczenie bardzo ograniczone znikomą liczbą leków o niewystarczającym asortymencie. Brak środków opatrunkowych, środków dezynfekujących, środków do utrzymania czystości, naczyń, sprzętu, wszystkiego co pozwalałoby powstrzymać epidemię.

- W tamtej sali jest przeważnie tyfus brzuszny a plamisty na drugim końcu korytarza, ale tak naprawdę to właściwie już nie dajemy rady z rozdzieleniem pacjentów według chorób

- mówiła pielęgniarka, którą zapytałam, gdy przyniosła lekarstwa.

Ja otrzymałam je dopiero po wizycie lekarskiej. Naszą salą opiekował się doktor Turk. Klęcząc nademną zbadał mą bolesną powłokę brzuszną, na wszelki wypadek jeszcze mnie opukał i zapisał: bizmut z tanalbiną trzy razy dziennie, kleik z ryżu bez soli dwa razy dziennie i herbatę, bez cukru oczywiście trzy razy dziennie, ewentualnie więcej, jeśli tylko będzie, byle nie całkiem zimna.

- Przysługują też pani suchary, ale proszę je sobie składać, a nie jeść chociaż przez kilka dni, aż do jakiej takiej poprawy - doradzał.

- Tak jest. Dziękuję - powiedziałam z wdzięcznością, bo wiedziałam, że mógł mi ich nie zapisać, abym się nie skusiła i nie odchorowała.

Nazajutrz naszą salę odwiedził doktor Kogan.

- O ? Przeniosła się pani tutaj ? To już czy nie lepiej było u nas, w haremie ? - powitał mnie, przechodząc wzdłuż mego legowiska.
- Jeszcze lepiej byłoby w obozie, gdybym mogła wybierać, - odpowiedziałam zgodnie z głębokim przeświadczeniem.
- Znasz tego doktora ? - pytała Basia.
- Tak. Leżałam na porażenie słoneczne. On jest świetnym lekarzem, wszyscy bardzo go cenią - informowałam, gdy był w sąsiedniej sali.

Nadszedł doktor Türk i zwrócił się do doktora Kugana gdy wracali:

- O, to jest właśnie ten wspaniały przypadek ślinianek przyusznych, który chciałem koledze pokazać. W życiu nie widziałem tak potężnego mumsa ! -
- Faktycznie... co tu można zrobić ? ... - zastanowił się doktor Kogan półszeptem.
- Nic... Nie mamy nic... - padła odpowiedź, gdy wychodzili. Genia leżała cichutko.
- Mój Boże ! Czy to dziecko jeszcze słyszy ? ... -
- Nie. Już nie słyszy, nie widzi, tylko cierpi ... - odpowiedziała mi pani Czekałowa
- Biedactwo ! ... - Czy musi aż tak cierpieć ? ... -

Genia Markot, lat jedenaście, zmarła na mumsa dnia 4 czerwca 1942 roku w czwartek Bożego Ciała.

Piątego czerwca - śmierć małej Zosi.

W nocy - śmierć Janka Derwisza.

Te trzy zapisy o śmierci figurują w moim małym notesiku. O Zosi nie mogę uzupewnić, bo nie pamiętam:

Janka Derwisza, długiego i chudziutkiego czternastoletniego chłopca przywieziono wieczorem i z braku miejsca ułożono wzdłuż przejścia, prowadzącego od korytarzowych drzwi, czyli w poprzek naszych nóg. My już leżałyśmy po cztery na jednym przesćcieradle, z tym, że moje dawne miejsce dano jakiejś ^{małej} dziewczynce, aby łatwiej tamtędy można było przechodzić, a ja przenosiłam się w ten kąt po Geni, pod samą ścianą.

Śniło mi się, że jestem w grobie, ale nie we wspólnym, do jakich chowano w Guzarze, lecz we własnym. Ciężki i zimny kamień wbił moje nogi, przygnięzione tak, że mi aż drętwiały. Usiłowałam wyrwać je spod tego nagrobnego kamienia i nie mogłam.

Złana potem obudziłam się jeszcze nieprzytomna, odurzona

kószmarnym snem i ciężkim zaduchem chorych ciał. Nogi ! Oprzytomniałam. Zmarznięte nogi chciałam inaczej ułożyć, ale nie mogłam. Ścierpły.

- Muszę usiąść i je rozmasować ! - doszłam do wniosku.

Powoli, starając się nie obudzić przyciśniętej do mnie sąsiadki (ależ ciasnota), trzymając się jedną, potem dwiema rękami ściany, zdążyłam jakoś usiąść, ale nóg nie zdołałam poruszyć.

- Co za licho ? - zastanawiałam się i po omacku rękami dosięgłam nóg.

- O Boże ! ... - opanowałam z trudem okrzyk, który zgasł, z nim powstał.

- Co to ? Kamień nagrobny, ciężar, zimny !

Nie ! ... Nogi ! Sztywne i zimne ! Martwe ! O, Boże ! To ten biedny chudzielec ! Janek Derwisz ! ... Nie żyje ! Umarł ! ...

Na moich nogach umarło biedne dziecko ! ... -

Zerwałam się z wielkim wysiłkiem i rozmasowałam stopy tak, abym jakoś mogła pokuśtykać na nich, przekroczyłam po ciemku zwłoki biedaka i poszłam boso dyżurnej pielęgniarce zameldować o tej śmierci.

Ksiądz odwiedzał chorych codziennie.

Gdy ktoś chciał się spowiadać, klękał na ziemi i jeśli chory mógł, to również klęcząc wyznawał swe grzechy księdzu na ucho. Komunię Świętą nosił ksiądz na piersiach i rozdawał, gdy o to proszono. Msza święta w niedzielę odprawiana była na niewielkim szpitalnym podwórku, gdzie chętnie uczestniczyli wszyscy, kto tylko mógł.

Korytarze wypełniały się coraz bardziej legowiskami nowych chorych. Oprócz wymienionych wcześniej było dużo chorych na żółtaczkę zakaźną, papatacz, pelagrę, malarię. Lekarzy było brak. Pielęgniarki, po parotygodniowym kursie nie nadążały obowiązkowo, sanitariuszki nie nadążały z obsługą chorych, a sanitariusze dodatkowo obciążeni byli wynoszeniem zwłok.

Kilka pełnych "jaszczyków" dziennie wywożono daleko poza miasteczko, gdzie za cmentarzem przedkłużano długie, głębokie rowy, do którego zwożono zmarłych. Początkowo w szpitalnej bieżni i owiniętych prześcieradłem. Potem kolejno rezygnowano z jednego i drugiego, bo nie można było nastarczyć. I potrzebne były dla tych, którzy jeszcze żyli.

Po drugiej stronie szkolnego podwórka mieściły się ustępy.

Drewniane, z drzwiami. Odgrodzono dla kobiet i mężczyzn. Prymitywne, okropne, ale były. Odkazane wapnem z chlorem. Obie z Basią korzystałyśmy z nich zbyt często, zadowolone jednak z tej samodzielności.

Większość chorych zmuszona była do używania wiader, wspólnych, znajdujących się w salach i na korytarzach, albo z mniej licznych szpitalnych basenów, jak na przykład tej sala 14, znajdującą się za naszą. Sanitariuszki nie były w stanie wszystkiego tego uprzątnąć za każdym razem, zaganiane i starające się ratować kogo tylko było można, karmić, poić, podmywać i wysadzać.

Zdarzyło się, gdy już także i korytarz był przepełniony leżącymi chorymi, że jakaś bardzo chora staruszka zmarła nagle właśnie wtedy, gdy usiadła na takim wiaderku. Nie było puste... Wywróciło się, gdy zmarła z niego spadała. Zawartość pociekła na legowiska leżących w pobliżu chorych, z których dwie zdążyły się same odsunąć w bezpieczne miejsce, ale trzecia nie zdołała, bo była zbyt słaba.

Krzyk i płacz, wołanie powtarzane z ust do ust ściągnęły sanitariuszkę. Zaszokowana tym, co zastała i tym, co miała jeszcze po tym wypadku do zrobienia, całkowicie wyszła z siebie.

- Cholera! To już nie można było umrzeć o tych pięć minut wcześniej? Koniecznie trzeba było akurat na tym cholernym wiadrze, abym ja to całe cuchnące cholerstwo musiała teraz zbierać? Czym? Szmatą i rękami! Cholera! Sanitariuszka to już nie człowiek, do cholery? Jak tak można umierać w ten sposób? No, jak?... - krzyczała pleniąc się i płacząc i dźwigając żywą ofiarę do umycia z tego "cuchnącego cholerstwa".

- Boże, zmiłuj się! - jęczałam przeskakując tamtędy, za Baśką, bośmy obie biegły tamtędy na podwórko, z pośpiechem, aby zdążyć do ustępów.

- Nie jęcz !! My, dzięki Bogu, jeszcze same możemy nadażyć !!..

- No, co prawda, to prawda... Trzeba i za to podziękować... Nie przychodziło mi to nigdy do głowy... A teraz widzę, że wcale tak nie musi być! Człowiek nie zdaje sobie sprawy i nie docenia tak wielu dóbr, które ma... Dopiero po stracie, dopiero wtedy... - myślałam i uczyłam się cenić wszystko; co tylko nie było złem, wszystko, na co nawet nie zwracałam wcześniej uwagi, bo zdawało mi się, że to tak zwyczajnie jest,

czyli musi, niemal musi być. Zresztą po prostu nie zastanawiał się człowiek nad tyloma sprawami!

Tak... Kiedyś... Kiedy życie było zwyczajnym codziennym i normalnym życiem w normalnych czasach... Które chyba były przed wiekami... Czy to możliwe, że kiedyś jeszcze wrócą?

Czy my wrócimy? Czy doczekamy?

Już tak wielu nigdy nie wróci... Nie doczekali! Nawet nie mają własnych grobów. Tak są zsypywani do wspólnego rowu, którego nawet służby porządkowe nie nadążają po każdym transporcie zasypywać ziemią... Niektórzy odeszli bezimiennie, przywiezieni nieprzytomni, nieznani nikomu. Inni pozostali na spisie, o którym nie wiadomo, jak długo przetrwa... Może też zostali w czyimś sercu, lub chociaż w czyjejś pamięci, by później ulec zapomnieniu!

A te dzieci z naszej sali... Biedactwa przecierpiały dwa lata w nieludzkich warunkach, aby teraz, prawie w przededniu zmiany ich, jednak to swoje biedniutkie życie utracić! Biedne, małe, niewinne ofiary wojny; Biedne osieroczone ich matki! Ileż one przecierpiały dotychczas i co jeszcze je czeka?

Nienasycona wojna tyle pochłania ofiar każdego dnia! W tej małej mieścinie widzę tylko mały wycinek okrucieństw tej wojny. Do jakiej potęgi trzebaby to podnosić, aby objąć cały ogrom tragedii ludzkiej? Czy, gdyby to człowiek przeżył, będzie mógł kiedykolwiek coś z tego zapomnieć?

A nasi? Najbliżsi?... Wszystkie wątki najróżniejszych myśli tłoczyły się do głowy, zdawały się osłabiać resztki sił fizycznych i równocześnie umacniać w upartym trzymaniu się życia, dla ratowania Ich...

Pielęgniarka Kryśka przyszła kiedyś z lekarstwami, bez zwykłej u niej powagi na twarzy:

- Chyba coś panią rozbawiło, panno Kryśko? sądownie podchwytliwie pani Czekałowa

- Aha!! Czasem się zdarzy coś śmiesznego... -

- Niech nam siostra opowie! -

- Ojej, koniecznie! Chcemy się pośmiać! -

- Przywieziono taką staruszkę i doktor pierwszy raz z nią rozmawiał:

" - A na co babciu się skarżycie? -

- A nie, nie!... A gdzieżbym ja się tam skarżyła! -

Umyli mnie, przebrali w czystą koszulę, dali kaszkę..

- Jakże się jeszcze skarżyć?... -
- A co wam, babciu, dolega?... -
 - A, no jest trochę twardo na tej ziemi, ale to już się człowiek powinien przyzwyczaić, no nie? I kawałek prześciera-
dka nawet jest... -
 - Babciu, a co was boli? - dopytuje doktor.
 - Boli mnie wszystko. I brzuch i wszystkie kości i ręce i no-
gi i głowa... wyliczała
 - A gdzie najpierw zaczęło boleć? ... -
 - A, to jeszcze tam, na posesi, jak to tu gadają! ... -
 - Biegunkę to macie? - doktor już chciał się dowiedzieć.
 - A, panie doktorze! Toż ja chodzić nie podołam!
Gdzieżbym tam biegała?... -
 - No, a czyści was? -
 - Tak, wyczyścili, wymyli, dali koszulę czystą!... -
 - Babciu! Za przeproszeniem sraczkę nie macie? -
 - Ajajaj! Jeszcze jak! Okropnie! Wszystkie bebechy chcą
się ze mnie, no, tego... razem z kiszki!... - i staro-
wina aż się rozbeczała.
 - No, to trzeba było mówić od razu!... - doktor ją pogładził
po ręce, aby się uspokoiła.
 - Ale jak ja by takie brzydkie rzeczy śmiała mówić do pana
doktora? Nie chciała ja pana obrazić! A pan taki dobry!
I staruszka pocałowała go w rękę! - śmiała się Kryśka, a
my z nią.
 - A doktor? -
 - A doktor zawołał:
 - "Babciu! Ja nie ksiądz! Mnie się w rękę nie całuje! Ja
Żyd! - i śmiał się całą gębą!"
 - Żyd? Faktycznie? - którąś zapytała
 - Tak! I doktor Turk i doktor Kogan też. Obaj -
 - I co ta staruszka?... -
 - Ze zdziwienia przestała beczeć i tylko wymamrotała "A to
co człowiek ma zrobić, kiedy Żyd jest taki dobry, jak sam
Probaszcz?!" -

Niestety na sali choroby panoszyły się, niosąc wiele smutku. Czteroletnia Ewunia Kaczorowska, która leżała już właściwie na przejściu, tak, że przechodzono ponad nią, czuła się coraz gorzej. Matka odwiedzała ją raz dziennie, przycho-
dząc piechotą z domu odległego o kilka kilometrów. Nie mogła

zostać i zatrzymać się w Guzarze, bo miała jeszcze inne dzieci.

Ewunia chora na czerwonkę była bardzo wychudzona, wycieńczona i słabiutka. Dość dużo spała. Dostawała kleik, który ledwie trochę jadła, jeśli się ją karmiło. Sucharów (a był to wysuszony chleb) nie ruszała, więc jej składałam do woreczka. Piła dość chętnie, ale po troszeczkę.

W sobotę były jakieś przetasowania na sali i przy tej okazji przeniosłam Ewunię obok siebie. Wydawało się, że stan jej zdrowia nie ulega zmianie.

W niedzielę przyszła na naszą salę Wanda Szamraj, z obozu na Górcy, ochotniczka, w wieku około osiemnastu lat. Z biegunką. Ulokowana w pobliżu przejścia, dość szybko usnęła.

Tymczasem z Ewunią było gorzej. Lekarza, ani pielęgniarki nie znalazłam, więc sama starałam się jakoś pomóc małej. Była tak słaba, że nie miała siły mówić i nie mogłam się dopytać, czego chce, czy potrzebuje. Próbowałam podczas kolacji podtrzymać ją jedną ręką, w pozycji prawie siedzącej, aby drugą nakarmić biedulenkę choć trochę kleikiem. Nic z tego. Nie przyjmowała pokarmu. Potem to samo z herbatą. Nie mogła pić. Zwróciła.

Starałam się jakoś ją ułożyć. Oddychała z trudem i z ci-
chutkim, bezsilnym jękiem. Myślałam, że może coś jej z garderoby podłożyć pod głowę, aby choć odrobinę mniej niewygodnie jej było. Właśnie wtedy weszła sanitariuszka i zobaczyła:
- Co robisz, idiotko? ! Nie widzisz, że dziecko kona? Daj jej spokojnie umrzeć! - zawołała do mnie
- Doktora! Prędszej! Ratunku! - zerwałam się.
- Nic nie pomoże... Dziwił się sam, w jaki sposób to dziecko jeszcze żyje... Już od paru dni wiedział, że koniec... - powiedziała.

Biedna, mała Ewunia! Miała tylko dwa lata, gdy trafiła do tego transportu. Ile już to dziecko przeszło i wycierpiało w swoim króciutkim życiu! Połowa życia na zesłaniu!... A ta matka jak musiała o ten byt swoich dzieci walczyć!... Biedna kobieta. Nawet nie jest przy dziecku w tej ostatniej godzinie.

Niestety! Ta ostatnia godzina przeciągnęła się na kilka bardzo ciężkich godzin. Zrujnowany organizm dziecka walczył gasnącymi siłami o prawo do życia. Śmierć silniejsza, przemo-gła. Ewa Kaczorowska, cztery lata, zmarła o godzinie pierwszej

zostać i zatrzymać się w Guzarze, bo miała jeszcze inne dzieci.

Ewunia chora na czerwonkę była bardzo wychudzona, wycieńczona i słabiutka. Dość dużo spała. Dostawała kleik, który ledwie trochę jadła, jeśli się ją karmiło. Sucharów (a był to wysuszony chleb) nie ruszała, więc jej składałam do woreczka. Piła dość chętnie, ale po troszeczkę.

W sobotę były jakieś przetasowania na sali i przy tej okazji przeniosłam Ewunię obok siebie. Wydawało się, że stan jej zdrowia nie ulega zmianie.

W niedzielę przyszła na naszą salę Wanda Szamraj, z obozu na Górcy, ochotniczka, w wieku około osiemnastu lat. Z biegunką. Ulokowana w pobliżu przejścia, dość szybko usnęła.

Tymczasem z Ewunią było gorzej. Lekarza, ani pielęgniarki nie znalazłam, więc sama starałam się jakoś pomóc małej. Była tak słaba, że nie miała siły mówić i nie mogłam się dopytać, czego chce, czy potrzebuje. Próbowałam podczas kolacji podtrzymać ją jedną ręką, w pozycji prawie siedzącej, aby drugą nakarmić biedulenkę choć trochę kleikiem. Nic z tego. Nie przyjmowała pokarmu. Potem to samo z herbatą. Nie mogła pić. Zwróciła.

Starałam się jakoś ją ułożyć. Oddychała z trudem i z ci-
chutkim, bezsilnym jękiem. Myślałam, że może coś jej z garderoby podłożyć pod głowę, aby choć odrobinę mniej niewygodnie jej było. Właśnie wtedy weszła sanitariuszka i zobaczyła:
- Co robisz, idiotko? ! Nie widzisz, że dziecko kona? Daj jej spokojnie umrzeć! - zawołała do mnie
- Doktora! Prędszej! Ratunku! - zerwałam się.
- Nic nie pomoże... Dziwił się sam, w jaki sposób to dziecko jeszcze żyje... Już od paru dni wiedział, że koniec... - powiedziała.

Biedna, mała Ewunia! Miała tylko dwa lata, gdy trafiła do tego transportu. Ile już to dziecko przeszło i wycierpiało w swoim króciutkim życiu! Połowa życia na zesłaniu!... A ta matka jak musiała o ten byt swoich dzieci walczyć!... Biedna kobieta. Nawet nie jest przy dziecku w tej ostatniej godzinie.

Niestety! Ta ostatnia godzina przeciągnęła się na kilka bardzo ciężkich godzin. Zrujnowany organizm dziecka walczył gasnącymi siłami o prawo do życia. Śmierć silniejsza, przemo-gła. Ewa Kaczorowska, cztery lata, zmarła o godzinie pierwszej

w nocy, dziewiątego czerwca, w poniedziałek, 1942 roku:

Nazajutrz pani Kaczorowska trzykrotnie naprzód weszła, potem wbiegała i wybiegała z naszej sali rzucając po zdaniu lub parę:

- A gdzie Ewunia ? To nie ta sala ? Pomyliło mi się ? -

- Gdzie moja Ewunia ? Nie ma jej tutaj ? -

- Co, to jednak ta sala ! Gdzie przenieśli Ewunię ? -

Wzięłam rzeczy małej:

- Proszę pani... - starałam się jak najłagodniej -

- Nie !... - ryknęła bezbrzeżną rozpaczą, rzuciwszy wzrokiem na moją wyciągniętą rękę.

- To Ewuni... Proszę to zabrać... Bardzo proszę... -

wręczyłam, wprost włożyłam jej do rąk woreczek z sucharami dziecka i małą, białą chusteczkę z zieloną, szydełkowaną koronką.

- To Ewuni... - przekonywałam nagle uciszoną, otepiałą z bólu matkę.

- Kiedy ?... -

- O pierwszej w nocy ... -

- O pierwszej w nocy... - powtórzyła zastanawiając się nad czymś

- o pierwszej ... - i odeszła cicho.

Ewka Epsztejn, mała, czarna i kędzierzawa, jak większość Żydówek, leżała gdzieś naprzeciw, po tej stronie drugiej ode mnie, za przejściem, gdzie upychano większość dzieci. Chyba już miała osiemnaście lat, skoro była w wojsku!

- Wiesz, w transporcie ze Lwowa, trzynastego kwietnia 1940 roku, jechała z nami pani Ewa Kiestenbaum, żona oficera z dwójkiem dzieci: Czy to twoja rodzina ? - zapytałam - Bo bardzo jesteś podobna do niej -

- Nie, chyba nie.. Czy też Żydówka, może jakaś dalsza rodzina..-

- Tak -

- Ja jestem z Częstochowy: Uciekliśmy we wrześniu stamtąd: A tamci ? - zainteresowała się

- Ze Lwowa. -

- I co się z nimi stało ? - Nie wiesz ? :-

- Chyba jest w Urdzarze, to miasteczko rejonowe: Była przez półtora roku w sowchozie Tas-Bułak, rejon Urdżar obłast Semipałatyńsk, tam gdzie i my...: Bardzo solidna osoba...:-

- To miło słyszeć - zauważyła z lekkim sarkazmem, którego wolałam nie podchwycić:

- I ma świetne dzieci, bardzo dobrze wychowane. - Opowiedziałam o naszej podróży w wagonie, o Zimieńce i Lolku, który deklamował "Lokomotywę" Tuwina, aby uspokoić małą, dwuletnią siostrę, jak przystało na starszego, czterolatniego, brata.

Nie tylko Ewa, ale także leżące obok niej chore dzieci słuchały z zainteresowaniem opowiadania o tamtych dzieciach:

- A ta ich matka, to jaka jest? - zapytała

- Wspaniała. Spokojna, opanowana, wytrwała i bardzo opiekuńcza... - zaczęłam

- Przystojna? -

- Bardzo. Czarnowłosa, dość wysoka, świetnie zbudowana i ma coś takiego w swej postawie, co narzuca szacunek... - relacjonowałam.

- Przyjaźniłaś się z nią? - sondowała Ewka

- No, właściwie nie. Pani Ewa przyjaźniła się z drugą żoną oficera, który był kolegą jej męża i znały się dawno... -

- Też Żydówka? -

- Tak, pani Fanny Finkler. Miała córkę Helenkę, chyba ośmioletnią. Obie te panie miały własne, macierzyńskie tematy...
A ja miałam swoje rówieśniczki; rozumiesz... -

- A tę moją imienniczkę to tak dobrze wspominasz... - zastanawiała się Ewka.

- Niezależnie od tego, co już ci opowiedziałam, mogę jeszcze coś dodać. Otóż pani Ewa, gdy już nas wyładowywano z wagonów, samorzutnie podeszła do mojego Ojca i pożyczyła mu dwieście rubli, tylko z tego, jedyne powodu, iż usłyszała, że na cztery osoby mamy w gotówce razem dwadzieścia cztery ruble...
Prócz tego mieliśmy nędzne trzy tobołki rzeczy, dające się łatwo umieścić (każdy) w jednej ręce.

- Nie mogę przyjąć! Nie wiemy dokąd i na co nas wiozą, ani kiedy będę mógł to pani oddać! - tłumaczył się mój Tata!

- Odda mi pan po wojnie! Albo we Lwowie - odpowiedziała

- Ależ pani ma dzieci!... -

- I wszystko, co tylko miałam w domu, oprócz mebli. Przeżyjemy za to... -

- No, to ci teraz powiem, że to pewnie była córka mojego dalszego kuzyna! Wiesz my w jakiś sposób jesteśmy wszyscy z sobą spokrewnieni!... -

- Aleś mnie wysondowała! -

- Wybacz, ale my już z natury jesteśmy zawsze trochę nieufni wobec obcych... - przyznała ze śmiechem - No, teraz już nie będę, bo sama wiem, co o tobie myśleć! Umiesz być wdzięczna... -
- Daj spokój ! Istnieją takie ludzkie dobre czyny, których się nie zapomina ! Trzeba je sobie zatrzymać w pamięci i ratować się wtedy, gdy trudno pogodzić się z jakimiś podłościami, aby człowiek nie stracił wiary w człowieka ! Takie wspomnienia, to prawdziwy skarb !...- wpadłam w zapał.
- Ho, ho ! A taki wykład, to już prawdziwa filizofia! Czeka! Opowiem to wszystko tamtej Ewie Kiestenbaum, jeśli tylko się kiedyś spotkamy !... -
- "Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem może"... - zacytowała pani Czekałowa, która nie mogła nie słyszeć tej rozmowy.

Ewka wyzdrowiała i opuściła naszą salę szpitalną wcześniej odemnie. Wróciła do obozu.

Wanda Szamraj przez pierwszych parę dni spała, gdy tylko nie była zmuszona "latać" do ustępu. Potem zaczęła już trochę interesować się życiem w okół siebie.

Dość wysoka, ciemna blondynka z włosami po trwałej ondulacji, o niemal kobiecej budowie, miała żywe usposobienie sangwinika. Pochodziła z Wileńszczyzny:

Zwykle siedziałyśmy we trzy, z Baską lub we cztery z Ewką i opowiadały sobie, co tylko przyszło nam na myśl.

Od kilku dni, wieczorami, wpadał Mietek Freudenberger, służbowo, ze Szpitala Garnizonowego Nr I i zwykle wstępował do Wandy Szamraj i Baśki, z którymi już wcześniej się znał.

Wanda opowiedziała nam, że on stracił oko w kopalni złota, gdzie został deportowany po dostaniu się do niewoli rosyjskiej, we wrześniu 1939 roku z całą grupą absolwentów liceum w Brodach, którzy właśnie byli na obowiązkowym obozie Przysposobienia Wojskowego. Nosił czarną opaskę i pocieszał się, że któryś z doktorów obiecał mu za granicą tak dobrać oko szklane, że nie będzie ^{można} odróżnić. Nie poruszałyśmy nigdy tego tematu:

Po całodziennych upałach, gdy trudno było wyjść na podwórko rozżarzone słońcem, po całym dniu i nocach przemordowanych w zaduchu i ciasnocie chorych ciał, przynajmniej wieczorem mogłyśmy choć trochę zaczerpnąć tchu na podwórku. Zwykle wtedy Mietek zatrzymywał się przy nas na pogawędkę.

Dał się poznać, jako wspaniały chłopiec, koleżeński bezpośredni, a uczynny. Można było o wszystkim z nim porozmawiać, wykazywał zdrowy rozsądek i dobrą orientację w wielu dziedzinach, miał też właściwe poczucie humoru i równocześnie wielką wrażliwość na wszelkie ludzkie niedole.

Ucieszyliśmy się więc wszystkie, gdy 15 czerwca awansował i został przeniesiony do Izby Przyjęć Szpitala Garnizonowego Nr II. Nie szczędząc starań gdzieś zdobywał i pożyczał nam polskie książki do czytania. Nie było to rzeczą wcale łatwą! Po pierwsze, że książek było bardzo mało, po drugie, że rzadko ktoś chciał wypożyczyć książkę do oddziału chorób zakaźnych.

Oczywiście, czytało się wszystko, co tylko można było zdobyć, co w rękę wpadało. Trafiły się nam:

Vicky Baum "Studentka"

Wanda R. "Szatańskie złoto"

Marczyńskiego "Mississippi"

Sam fakt, że można było poczytać, oderwać się od niełatwej terażniejszości i własnych myśli, kłopotów i wspomnień, że można było obcować z książką - co się tak rzadko traflało - to już było coś nadzwyczajnego! Już mniejsza o to, że nie były to perły literatury! I tak trafiły do nas, jako niespodzianka, cieszyły, jak to było możliwe tylko w takich warunkach:

- Tam w "haremie", to przynajmniej się, Alu, nasłuchałaś różnych piosenek, kiedy kompania przed waszym oknem ćwiczyła marsz ze śpiewem, a tutaj, to już tylko te jęki z korytarza... - powiedział.

- A, tak! Co dzień zaczynali swój repertuar od tej piosenki (ludowej?), której wcześniej nie znałam:

"Rano, rano, ranusienko,

Rano po rosie, rano po rosie..."

(I tu padała komenda: "Trzy! Cztery!")

Wyganiała Kasie wołki

Rozwidniało się

("Trzy! Cztery!")

Rozwidniało się !...!"

Zawsze mi ta piosenka będzie się kojarzyć z pobytem w Szpitalu Garnizonowym Nr I !

- A kompania szoferska śpiewa inaczej:

- "...Nyganiała Kasia Jasia !" - śmiała się Wanda Szamraj.
 - Pośpiewajmy coś cicho - poprosiła Baśka
 - Znacie "Wierzby płaczące ?" - pytałam i popłynęła melodia.
 A potem tango "Tęsknota".

"...Idę ciągle w twoją stronę,
 Przez gościńce niezmiernone..."

- A te znacie ?

"...Śpij mój synku, śpij żołnierzu,
 Twoi koledzy tu leżą...
 Będziesz spokojny już tu,
 Na grób twój krzyż ci dali
 Wirtuti Militari..."

zanucił Mietek refren, który tak nam się bardzo podobał, że poprosiliśmy o zaśpiewanie całej piosenki, a potem o jej tekst:

Nigdy i nigdzie więcej jej nie słyszałam. Ale wspomnienie tej piosenki zawsze w pamięci łączy się z tym wspaniałym chłopcem, który nie bacząc na swe osobiste nieszczęście starał się wszędzie dostrzec tych, którym mógłby w czymkolwiek pomóc, czy ulżyć i spełniał to tak zwyczajnie i dyskretnie, jak tylko potrafił ktoś, kto wiele przecierpiał, lecz serca nie utracił, ale je uszlachetnił. Taki był Mietek Froudenberger z Brodów, rocznik 1921. A to jego ulubiona piosenka:

Kołysanka

- W suterynach daleko za miastem,
 W suterynach, gdzie nędza i głód,
 Nad niewielką kolebką niewiasta,
 Tuląc dziecię, nuciła do snu:
 Śpij syneczku, śpij laleczko,
 Mama pobiegnie po mleczko,
 Nakarmi i napoi cię,
 A dobry Pan Bóg w niebie,
 Da, że wychowam ciebie,
 Aj, luli, luli synku mój
 Lat dwadzieścia minęło spokojnie,
 Syn jej wyrósł - robotnik i zuch,
 Po ulicach wieść krąży o wojnie,
 A w warsztatach niepokój i ruch,
 Syn powraca do domu zmęczony
 Mówi: mamó ja idę na bój,

A gdy usnął tą myślą dręczony,
Matka jak niegdyś, nuciła do snu:

Śpij syneczku, śpij sokole,
jutro wyruszysz na pole,
Na krwawą walkę, na bój.
A ja się będę modliła,
Zebym ciebie nie straciła,
Aj, luli, luli synku mój.

Na cmentarzu wojskowym za miastem,
Gdzie rząd krzyży czernieje jak las,
Nad żołnierską mogiłą niewiasta,
Tak jak niegdyś modliła się znów:

Śpij syneczku, śpij żołnierzu,
Twoi koledzy tu leżą,
Będziesz spokojny już tu,
Na grób ci też krzyż dali,
Virtuti Militari,
Aj luli, luli synku mój.
Na grób ci też krzyż dali,
A życie odebrali,
Aj luli, luli synku mój."

W dniu 11 czerwca zmarły dwie dziewczynki na naszej sali: Bulkowska i Szczepańska. Na czerwone, przy ogólnym wyliczeniu zagródzonych organizmów.

Mietka Niedzielska leżała na sali, gdzie były chore na tyfus. Także pani Stasia Krukowa, którą znałam jeszcze z Tak-Bułaku. Miała piękne, czarne włosy i grube warkocze upinała w koszyczek na karku, a teraz... wygoloną głowę, z ledwie odrastającym puszkciem: Mietkę też ostrzyżono do minimum. Oczywiście, że to dodatkowa przykrość! Ale, gdy choroby pochłaniają życie ludzkie, trzeba się cieszyć jeśli poprzestają tylko na włosach! Łatwo było mi tak rozumować, skoro swoje włosy miałam!:::

W sobotę ktoś mi przyniósł list od Wandzi, cieszyłam się bardzo. Miała nadzieję na przepustkę, więc przez całą niedzielę wypatrywałam. Niestety przepustki nie otrzymała.

We wtorek, 16 czerwca, zostały wypisane ze szpitala Basia Jaegler, równocześnie z Mietką Niedzielską i razem odjechały na Górkę.

Trafił im się szczęśliwie jakiś wózek z czymś tam, jadący do Ośrodka Szkoleniowego PSK. To bardzo dobrze się złożyło, bo z tego szpitala w szkołę, do naszego obozu było conajmniej sześć kilometrów !! Bardzo osłabione nie doszłyby w każdym razie... Może najwyżej do Ośrodka Zapasowego PSWK, naprzeciw sztabu, około 2 km.

Tak pilnie zażywałam ten swój bizmut z tanalbiną, skąpo żywiłam się tylko kleikiem ryżowym bez soli i cukru oraz gorzką herbatą, że poprawa była znaczna, toteż doktor pozwolił mi od paru dni po trochu jeść suchary, a od 16.IV przeniósł na dietę ogólną. Przeważnie była to zupa ryżowa, ale z ziarnami ryżu i osolona, więc bardzo mi smakowała i musiałam się pilnować, aby brać początkowo połowę porcji. Także te suchary, uskładane pilnie i z bohaterskim wyrzeczeniem się ich co dzień, teraz chrupałam, lub moczyłam w zupce bardzo oszczędnie, wydzielając je sobie przezornie skąpą ręką, aby się nie przejeść po długiej, ścisłej diecie, no i ... aby zaoszczędzić, gdyż zbyt dobrze pamiętałam, jak to się nieustannie chciało jeść, przy dobrym zdrowiu i nader skromnych racjach w obozie.

Po wyjeździe Baśki i Ewki zostałam z Wandą Szamraj właściwie same między dziećmiakami. W tej salce, chyba nawet mniejszej od sąsiedniej, gdzie zmieszczono z trudem osiem łóżek, w tej naszej przejściowej "trzynastce", w najgorszym okresie leżało nas na ziemi pokotem dwadzieścia osiem osób. To wtedy, gdy już chłopców tu przynoszono, bo nawet w korytarzach nie było miejsca. Były takie doby, gdy w nocy musiałyśmy się "na komendę" przewracać na drugi bok, gdy któraś ścierpła i już nie mogła w danej pozycji wytrzymać. To właśnie było w ciągu tego okresu, gdy zmarł Janek Derwisz.

Najczęściej śmierć kosiła nocami i dopiero rano okazywało się, że wciśnięte, martwe i już zupełnie zimne ciało leżało między żywymi, co czasem przyjmowane było z całkowitą apatią. Czasem którejś ze starszych dzieci siadało na szczątkowym, a zmierzwiłonym posłaniu, by bez słowa przetasować w półzdziwieniu wszystkich towarzyszy niedoli, z niemym pytaniem w przerażonych oczach:

- Kto następny?... Kogo teraz wyniosą, tym razem?...-

W niedzielę, 14 czerwca, zmarła Janka Sukiennik. Leżała w kąci przy ścianie, po drugiej stronie drzwi, czyli naprzeciw mnie. Przywieziona ze Szkoły Junaczek. Wysoka na

swój wiek, czternaście lat, wychudzona i szermiała, szaroblond włoski splecione w dwa biedne mysie ogonki.

Jeszcze coś mówiła, do dziewczynki leżącej obok, nikomu nie przyszło na myśl, że już z nią tak źle... Tamta po chwili coś do niej powiedziała i gdy rzuciła na nią okiem... zobaczyła z przerażeniem, że już nie żyje! Cichutko zmarła na naszych oczach, czego nikt nie zauważył. Nikt nie usłyszał ostatniego tchnienia...

Wandzia Szamraj zwierzyła mi swą tajemnicę:

- Wiesz, nikomu się nie przyznałam, ale... piszę wiersze ... Chciałabym ci je pokazać, tylko się boję, że wydam ci się śmieszna... - zaczęła z niezwykłym u niej oniesmieleniem.
- To się nie bój, bo ja też... - zrewanżowałam się zaufaniem za zaufanie.
- Ala !! Ach, jak to dobrze !! Wspaniale !! Jakie miałam szczęście, że trafiłam na ciebie! - entuzjasmowała się, wybuchowo jak zwykle, tracąc od razu całą tę poprzednią treść.
- Ta, joj !! Od razu "szczęście" !! - śmiałam się, sama trochę zażenowana.

Zamieniłyśmy się swoimi zeszytami, wygrzebanymi z dna chlebaków, pomiędzy przyborów toaletowych i bielizny i zajęły się lekturą.

Proste, najczęściej nieporadne wierszyki Wandy, miały jednak wiele polotu i duży ładunek emocjonalny. Powstawały tak samo z tęsknoty za ziemią rodzinną, za światem lat dziecięcych, za przeszłością daleką i bezpowrotną. Niektóre nabrzmiałe były buntem, na nadmiar codziennych cierpień. Te chyba były najlepsze:

- Ojejku !... - wyrwała mnie z zamyślenia - Co ty sobie pomyslisz o tych moich nieudolnych gryzmołach ! Ty rzeczywiście piszesz wierszyki, a ja... sama teraz widzę, że to moje pisanie nie ma sensu !... - czuła się bardzo speszona.
- No, wiesz !! Musisz pisać ! Sama czujesz, że musisz ! Popatrz tylko, ile uczuć wyrażasz w tych fragmentach - mówiłam z przekonaniem
- Ale ile jest całkiem nieudanych !... - martwiła się.
- To nic nie szkodzi ! To na razie ! Takie pierwsze próby ! Nie od razu Kraków zbudowano ! -
- Ale twoje są inne, takie "niechropowate"...
- Czekaaj, czekaaj! Ty mówiłaś sama, że byłaś dopiero w drugiej

gimnazjalnej... -

- Tak, od września 1939 roku... -

- Czyli przed wojną zdążyłaś ledwie ukończyć pierwszą klasę, jeszcze tyle książek wspaniałych, tyle pięknej poezji dzieliło cię odemnie ! Przecież ja już byłam w liceum! A i tak te moje wierszyki nazywam najczęściej rymowanymi tylko!.. -

- W takim razie, jak moje byś nazwała?... -

- Pierwszą próby lub pierwsze kroki... -

- Więc myślisz, że warto ? ... - wahała się między nadzieją, a powątpiewaniem.

- Ależ oczywiście ! Przecież piszesz z własnej potrzeby, z wewnętrznego przymusu. Słuchaj ! Wiem, że ani te moje, ani te twoje nie są (na razie: nie martw się) arcydziełami poezji. Ale to nie o to chodzi. Prostu człowiek coś przeżywa i chce to zmieścić w słowach. Więc to są nasze myśli, nasze przeżycia. Nie liczy się w tym wypadku piękna forma literacka, bo to nie o to chodzi. Jeszcze. Liczy się autentyczność. Szczerość wypowiedzi, usiłowanie wypowiedzenia tego, co właśnie nas nurtuje, co się chce z siebie wyrzucić niejako. Aby się temu przypatrzeć. Albo zatrzymać jakieś wrażenie. Zachować na kiedyś. Może dla samokontroli... -

- Nigdy tak o tym nie myślałam... - zasmęciła się.

- Chyba ja też... Dopiero teraz, bo staram ci się to jakoś wyjaśnić. Pisałaś żywiołowo. A teraz patrzysz na wszystko jakby z perspektywy. Co dzień jesteśmy starsze i wciąż zdobywamy nowe doświadczenie życiowe. Zmieniamy się, dorastamy i nasze sądy też. A w tych wierszykach znajdziesz siebie z tamtego czasu, to jest ważne. Pisz daty. Kiedyś będziesz miała możliwość porównania... -

- Ojej, jak ty poważnie do tego podchodzisz... - śmiała się

- Analizujesz; jak nasza pani klasówkę ! -

- Poddaję się - byłam w liceum pedagogicznym... -

- Ha ! Tu cię many! - triumfowała.

- No, właśnie. Pewnie dlatego tak serio podchodzę do naszej pisaniny. I z taką dużą tolerancją. To przecież nikomu nie szkodzi, że ktoś sobie coś pisze! To jest taki właśnie jeden ze sposobów na życie ... -

- Chyba, że szkoda papieru... -

- T a, skąd ? Właśnie, że nie ! Jeśli to mi pomaga, jeśli ty odczuwasz nieprzepartą potrzebę pisania, to nie widzę przeszkód.

- Ostatecznie pisze się dla siebie... -
- Ale gdyby tak kto złapał, to by człowieka wykpił !... -
przeraziła się.
 - Dyskretny i dobrze wychowany nie czyta cudzych tajemnic.
A, gdy przypadkiem znajdzie to ktoś mądry, to nie wykpi! Jeśli
ktoś głupi, to mi nie zależy !... -
 - Postaram się to zapamiętać - zgodziła się.
 - Wiesz... człowiek nie żyje w próżni, tylko w jakiejś epoce,
w jakiejś przestrzeni i w jakimś otoczeniu. Dlatego jest z
tym wszystkim związany... A potem jego przeżycia i pamiąt-
ki po nim są odzwierciedleniem życia w danej epoce. Są, mo-
gą być nawet dokumentami tej epoki... - rozważałam głośno,
ale zawołano nas z podwórka na wizytę lekarską:
 - Chodźmy ! - ocknęła się Wanda - Chodźmy, bo ja jeszcze nie
mam zamiaru zostawiać pamiątek po sobie ! Choćby miały być
dokumentami epoki ! Wolę jeszcze trochę pożyć i wrócić nad
Wilejkę !... - ruszyła.
 - Tak, tak ! I opowiadać wnukom, które nie będą potrafiły na-
wet uwierzyć, jak to babcia była w Wojsku i trafiła kiedyś
do szpitala !... - śmiałyśmy się, szczęśliwe, że wkrótce
opuścimy to smutne miejsce na własnych nogach i nie podzie-
limy losu tylu biedaków, których szpital nie zdołał urato-
wać.

We czwartek odwiedziła mnie Wandzia, moja siostra. W piątek, 19 czerwca zostałam wypisana, zdrowa już, razem z Wandą Szamraj. Wyruszyłyśmy ze szpitala trochę zwolnionym marszem i doszłyśmy aż do Sztabu, gdzie odwiedziłyśmy moją siostrę. Nie posiadała się z radości, że już najgońsze za mną. Potem udało nam się złapać jakiegoś Uzbeka ze starym wózkiem i starym osiołkiem. Za cenę moich sucharów (trudno!) zgodził się zawieźć nas do obozu, na Górkę. Oczywiście, Uzbek, a nie osioł:

Który z nich jadł te suchary, nie wiem, ale przez całą sobotę i Wanda Szamraj (która nie posiadała takich oszczędności) i ja, wspominałyśmy owe suchary z tęsknotą, bowiem nas nie zaprowiantowano, bo to obowiązywało uprzedzenie o dobrej wcześniej, ze szpitala suchego prowiantu nie otrzymałyśmy, bo nie wolno ze szpitala wynosić żywności, więc po prostu nie miałyśmy co jeść !

- Wiesz co ? To taka obowiązkowa "powtórka z diety" ! -

musiałam nadrabiać miną.

- Przyznam ci się, że wolałabym powtórki z obiadu ! A tu ~~człowiekowi~~ te kucharzyce nawet głupiej galop-zupki nie chcą wydać! - narzekała
- E, taka zupka ! I tak można było zjeść połowę, bo reszta osadza się z błotem arikowym na dnie menażki... - pocieszałam rozgoryczoną.
- No, to co ? Tego się nie musi jeść ! Jak się ostoi i odpowiednio przechyli, to prawie całe to błoto arikowe zostaje w rogu menażki ! Tak samo, - jak z herbatą !...
- Dobrze, że przynajmniej tej herbaty dały nam po pełnej chochli ! Chociaż tyle ! Dobrze i to !... - starałam się zaga dać głód.
- A, no, dobre ! Ale swoją drogą, to świątwno, aby tak traktować wracające ze szpitala chore dziewczęta ! - złościła się.

- Już nie chore, tylko wyleczone !... -

- Wyleczone, na pół żywe !... - narzekała, a ja doszłam do wniosku, że mamy prawo się przespać, albo przespać ten nadmiar apetytu. Trafiliśmy do innego namiotu, niż przed chorobą. Mieszkały tu między innymi pani Natalia, która pod swe opiekuńcze skrzydła przytuliła Jadzię Ossolińską, od czasu wyjazdu z sowchozu, gdzie spędziły razem półtora roku.

Wysoka i raczej szczupła Jadzia, ciemna blondynka, upinała warkocze z tyłu głowy. Przed wojną była chyba w trzeciej gimnazjalnej. Bystra, odcytana i dowcipna, dała się poznać podczas kursu świetliczarskiego, na który została skierowana razem z panią Natalią.

Przez jakiś czas w tymże namiocie mieszkała też Mańka-Bądź - z - Miasta, którą zapamiętałam dzięki krawatowi.

Pani Natalii pewnego razu kłopot sprawiał krawat uprany i nieprasowany, którego jakoś nie mogła zawiązać sobie w sposób zadawalający. Pożyczyłam jej swe lusterkó, większe od przeciętnego kieszonkowego, Jadzia je trzymała, a krawat urządziła fanaberie.

Mańka-Bądź - z - Miasta siedziała na swym posłaniu i z ziemi spoglądała z póżuśmieszkiem ku górze.

- Pani to jest z miasta ?... - zapytała dość z głupia frant panią Natalię.

- Tak... -

- Pewnie pani nosiła kapelusze ... - wzdychała, nabierając ochoty do rozmowy.
 - O, bardzo lubiłam ładne kapelusze... - rozmarzyła się zagadnięta. wciąż wiążąc krawat.
 - I musiała pani mieć zegarek... - domyślała się Mańka Bądź z Miasta
 - Pani Natalia sprzedała zegarek dopiero na tę podróż do Wojska. Był sliczny! - włączyła się Jadzia, jako naoczny świadek.
 - No, to niech pani już nie szarpie tego krawata! - zdecydowała Mańka - Bądź - z - Miasta - Ja zawiążę na sobie, a potem pani go nawlecze na siebie! - oznajmiła wstając i biorąc nieszczęsny krawat z rąk zaskoczonej pani Natalii.
- Zawiązała porządnie, ściągnęła i włożyła na panią Natalię, na której przesunęła wąskim końcem tak, że węzeł wypadł tam, gdzie trzeba.
- Świetnie! - przyznała Jadzia Ossolińska.
 - Dziękuję! - pani Natalia uśmiechnęła się do Mańki - Bądź - z - Miasta, która wydeła usta, a wzięwszy się pod boki, parsknęła z triumfem:
 - Miastowa! Kapeluszowa! I zegarkowa! A taki krawata nie zawiąże! -

W tę sobotę "niezaprowiantowaną" nasz obóz odwiedził ksiądz biskup Józef Gawlina, który był naczelnym kapelanem naszych jednostek wojskowych. Był w stopniu generała. W niedzielę zapowiedziano bierzmowanie w kaplicy sztabu w Guzarze.

Wieczorem było zorganizowane ognisko, na którym byłam tym razem od początku do końca. Tym razem między piosenkami zwiększono humorystyczne scenki rodzajowe.

Duże powodzenie miała Ochotniczka - Kaziczka, paradująca w dwóch prawych buclorach, wyfasowanych jako ostatnie dwa egzemplarze z magazynu. Odstawiła musztrę w tych buclorach, zdobywając liczne oklaski, a potem jeszcze scenkę z warty.

Energicznie wołała: "Stój, kto idzie?!". powtarzając to kilkakrotnie, ale bezskutecznie, bo młody podchorążak (dziewczyna z doprawionymi wąsikami) uparcie dążył do celu, aż zdenerwowana Ochotniczka Kaziczka zaczęła:

- Stój! Bo...bo...bo... -

- "Będę strzelać?!" - trochę pytał, a trochę podpowiadał intruz, kpiąc w żywe oczy, bo wiadomo, że nie miała broni.

- Bo będę płakać !!... - zawołała, co się strasznie wszystkim podobało.

Ja ze swej strony w najbliższym sąsiedztwie odstawiłam propagandę, dzięki której poproszono, aby Danka Niedzielska zadeklamowała "Alam" Słonimskiego, a potem jeszcze także i "Defiladę" Michała Zielińskiego. Dowodziłam, że nie wszyscy to słyszeli, ^{a teraz} dużo było gości na ognisku, a poza tym takiej poezji nie słyszy się często, a przecież warto.

Nie dała się prosić i wzbogaciła program, nagrodzona wdzięcznymi oklaskami.

Na to ogniśko przybył Mietek Froudenberger ze Zbyszkim, kolegą Wandy Szamraj. Wysoki, długi i wesoły. Wieczór przy ognisku i w tym towarzystwie minął nam bardzo przyjemnie.

21 czerwca, niedziela, moje imieniny. Jakaś ochotniczka przyniosła mi z miasta list od mojej siostry wraz z prezentem imieninowym w postaci czterech jajek. Luksus! Wzruszająca jest ta moja Wandzia! Chudzielec się z niej zrobił okropny, ledwie się trzyma na nogach, a dla mnie wymyśliła sobie aż taki prezent! Jaka szkoda, że jest daleko i nie możemy razem urządzić sobie uczyty!!

Ještěm jednak jeszcze słaba: Nie poszłam na Mszę, ani na uroczyste bierzmowanie do kaplicy Sztabu, bo to zbyt daleko: Wszystkie współmieszkanke poszły: Także obie siostry Jankowskie z naszego namiotu: Janka, chyba w wieku 18 - 19 lat i starsza o kilka lat od niej, Hela, jeszcze bardziej spokojna i bardziej zaradna od Janki. Podobne do siebie, blondynki, długowłose.

Cały dzień spędziłam samotnie, głównie leżąc w namiocie, ale trochę też nad arikiem, w cieniu morw, gdzie pisałam list do Rodziców. Ciągłe robiło mi się słabo.

Wanda odwiedziła mnie nazajutrz, z czego obie cieszyłyśmy się bardzo: Przez te moje choroby i pobyty w szpitalach porozdzielano nas, a moja nieobecność na kursie unitarnym zdyskwalifikowała mnie całkowicie, tak jak gdyby to było z mojej winy! Na wszystkie rodzaje kursów typowano tylko ochotniczki, które już zostały przeszkolone na kursie unitarnym.

Miałam nadzieję, że po unitarnym razem ze swą siostrą dostanę się na kurs pielęgniarstwa. Z tym zamiarem szłam do

571

wojska. W Liceum Pedagogicznym we Lwowie przeszłam tygodniową praktykę szpitalną, w licealnym programie nauczania był też przedmiot: przysposobienie wojskowe. Oprócz tego w bar-
cerstwie. Teraz byłam zbyt słaba i zahukana, aby to odpowiednio wyeksponować. Owszem, wspomniałam cichutko i nieśmiało i przyjąłam do wiadomości, że "tym nie ma co zawracać głowy!" Czekałam więc zafrasowana, co ze mną zrobią, podczas, gdy Wanda już po unitarnym była ^{wytypowana} na kursie pielęgniarskim w mieście i już miała praktykę i dyżury pielęgniarskie w I Garnizonowym Szpitalu, w meczecie.

Po odwiedzinach Wandy, wracając do namiotu zasłabłam tak, że zemdlałam. To już nie pierwszy raz.

23 czerwca, imieniny Wandy. Niestety, nie mogłam się wybrać do niej, taka byłam słaba. Dostałam zwolnienie z zajęć i przeleżałam parę dni!

Otrzymałam wiadomość z miasta: Wanda jest chora na żółtaczkę zakaźną!! A ja nawet nie mam jak ją odwiedzić!

27 czerwca uroczystości z okazji Sw. Władysława: Ktoś nam przyniósł taki wierszyk:

"Droga do dom pójdzie gładko,
Bo prowadzi nas trzech Władków,
Pierwszy: bywsi wojewoda,
Drugi: z boku stał, a sakoda!
I ten trzeci, w ranach cały
Doprowadzą nas do chwały!"

Oczywiście kolejno mowa o prezydencie Raczkiewiczu, generale - Wodzu Naczelnym Sikorskim, oraz o generale Andersie.

Wieczorem miałam temperaturę 38,4°C. Znow omdlenie! Nazajutrz i przez parę następnych dni: 38°C, potem 37,5°C, czułam się fatalnie, ale nie wiedziałam sama, co mi było, bo nic się nie wyklwako! Najgorzej martwiłam się tym, że nie mogłam wybrać się do Wandy i nie wiedziałam jak się czuje, tylko któraś ochotniczka zawiadomiła mnie, że moja siostra pozostaje w obozie, a nie leży w szpitalu!

29 czerwca: Z tamtej strony arika młoda Uzbecka nawiązała ze mną rozmowę, a w wyniku tej znajomości przyprowadziła dwie starsze nieob i sprzedawała im swoje cywilne rzeczy, właściwie dokładniej mówiąc, głównie bieliznę. Pozostawiłam sobie tylko koszulkę nocną, bo nie fasowałyśmy niczego do

spania i opalacz, który mi Wandzia dała, a uszyła go z popielatego, harcerskiego płótna, kiedyś dawniej:

Za sprzedaną bieliznę zdołałam uzyskać aż 65 rubli, które dałam Wandzi, aby dołożyła do spłaty długu pani Banszełowej.

30 czerwca przyniesiono mi list od Wandy, a w nim list od Rodziców z dnia 13 czerwca i od Eli Wojciechowskiej z dnia 16 czerwca. Ogromna radość.

Lipiec 1942

- 1.VII. Ogólna poprawa, już nie gorączkowałam. Pisałam listy do Rodziców i do Eli.
- 2.VII: Przepustka na odwiedzenie Wandzi w meczecie. Pracuje. Mówi, że czuje się lepiej i bierze zastrzyki.
- 3.VII: Otwarcie kursu świetliczarskiego: Zostałam komisyjnie zakwalifikowana, na podstawie jedyne go dokumentu: szkolnej legitymacji tramwajowej, wydanej przez Liceum Pedagogiczne we Lwowie w 1939r. Prócz tego był taki "egzamin weryfikacyjny": Przyjęto mnie wyjątkowo bez tego kursu unitarnego (który nota bene śnił mi się już po nocach), z zastrzeżeniem, że uzupełnię przy okazji. Tej łaski dostałam dlatego, że właściwie mało zostało dziewcząt, czy kobiet, które skończyły bodaj gimnazjum czteroletnie, co już w Wojsku przyjęto za "cenzus"

Całe masy wywiezione ze wschodnich terenów Polski zmieściły w swej liczbie znaczny procent ludności wiejskiej, najczęściej pozbawionej szkolnictwa średniego. Ochotniczki ze średnim wykształceniem wybierały pielęgniarstwo i łączność, tymbardziej, że te kursy już organizowano. Bez cenzusu nie kwalifikowano na świetliczarki. Dlatego darowano mi ten unitarny:

Zdzisław?

Kierownikiem Kursu był porucznik Jerzy Bałandiuk, nauczyciel z Zaleszczyk, którego znałam już z podróży Ajaguz - Guzar. Zajęcia prowadził bardzo solidnie, poczynawszy od przedstawienia nam na początku całego programu i wszystkich zagadnień.

Wdzięczne byliśmy mu wszystkie, że zgodził się na prowadzenie wykładów i pogadank w cieniu tych paru morwowych drzewek nad arikiem, które były najmniej nasłonecznionym

skrawkiem ziemi w całym obozie, prażącym się na słońcu, dochodzącym nawet do $+60^{\circ}\text{C}$ w godzinach szczytu.

Tubylcy pracują od czwartej rano do dziesiątej lub nawet dziewiątej, a potem od piątej po południu do dziewiątej wieczór. Te godziny od dziesiątej do piątej są latem konieczne dla wypoczynku, jeśli się nie chce organizmu wykończyć przegrzaniem. Pot spływa z człowieka, pragnienie pali, siły słabną kompletnie.

Nam ostatecznie po przypadku z porucznikiem Klarem dano przerwę od jedenastej do czwartej.

Porucznik Klar był postrachem wszystkich pięciu kompanii na Górcie. Oficer zawodowy, ćwiczył nas w mustrze, a był w tym bardziej katolicki niż sam papież. Surowy i bezwzględny chciał "z tej zbieraniny bab" zrobić prawdziwe wojsko! Wymagał bezwzględnej dyscypliny, posłuszeństwa natychmiastowego i dokładnej punktualności.

Cała awantura wybuchła z powodu śniadania. Pobierało się je w ustalonej kolejności według kompanii, ze zmianą co tydzień. Trzy kucharki nalewały jednocześnie ochotniczkom do jednej mienazki zupkę śniadaniową, do drugiej herbatę, z czym szło się do namiotów.

Po śniadaniu ochotniczki miały obowiązek umyć swe mienazki w ariku i ustawić je w ustalonym szyku w namiotach, puśte i zamknięte, ustawione w "głowach" posłania.

Te kompanie, na które przypadała początkowa kolejność zdążyły to wszystko wykonać. Ostatnia częściowo dawała radę pobrać śniadanie i donieść do namiotu, gdzie już nie było czasu na spożycie posiłku, ale przeważająca większość nie mogła zdążyć nawet dostać tego śniadania, bo już był gwizdek na ćwiczenia.

Piąta kompania zwróciła się z prośbą o wydłużenie czasu przeznaczanego na śniadanie, co porucznik zbył wzruszeniem ramion. Wobec tego ochotniczki uznały, że przynajmniej wszystkie pobiorą swoje śniadanie, aby chociaż je przynieść do namiotu, jeśli już nie da się zjeść i trzeba na czczo gonić na ćwiczenia, to w każdym razie mieć tę swoją skąpą porcyjkę, gdy się wróci z ćwiczeń, a nie tracić jej całkowicie.

Przecież kuchnia nie miała zapasowych kotków i nie przechowywała niewydanej zupy! Wylewano ją do arika, aby gotować obiadową! Przecież to karygodne marnotrawstwo przy panującym,

i stałym niedożywianiu i tak już niedokarmianych od kilkunastu miesięcy ludzi:

Jak uradziły, tak zrobiły, wbrew regulaminowi zostawiając pełne menażki w namiocie.

Pan porucznik stał na placu ćwiczebnym i patrzył na zegarek: Piąta kompania biegiem zjawiała się na zbiórce z półgodzinnym opóźnieniem! I tak się uwinęły! Znacznie szybciej niż można było oczekiwać, ale wszystko załatwiały biegiem.

Pan porucznik prowadził musztrę wściekły.

Po skończonych ćwiczeniach rzucił rozkaz:
- Z wyjątkiem piątej kompanii, rozejść się! Kompania piąta baczność! Karna musztra za spóźnienie! - Już ja was nauczę moresu! -

Karna musztra była czterokrotnie dłuższa od czasu spóźnienia: trwała dwie godziny! Od dwunastej, bo wtedy zajęcia trwały do samego południa, do drugiej godziny! W najgorszy skwar!... Przeciętnie temperatura przekraczała wtedy w słońcu 50°C, a nieraz sięgała 60°C:

I tym niedożywnym lub wprost wygłodzonym dziewczętom i kobietom, które już tak wiele przeszły, tym siostrom Polkom i matkom Polkom ten wspaniały oficer urządził dwugodziną musztrę! Oto, jakie rzucał komendy:

- "Lotnik!! Kryj się!! Padnij!! Powstań!! Padnij!! Czołgać się!! Powstań!! Biegiem marsz!! Padnij!!" -

Tak przez dwie godziny! A poprowadził całą kompanię spory kawał od obozu, aby czasem którejś komendantce nie wpadł do głowy pomysł interwencji. - Poświęć te dwie godziny, ale was szlak trafi! - krzyczał.

- No! Dałem im szkołę! Już ja im pokazałem, co to znaczy niesubordynacja w Wojsku! Zapamiętajcie sobie raz na zawsze! - zacierał ręce z zadowolenia, chwając się komendantkom, że z tych bab zrobi wojsko:

Dowlokły się do obozu z największą trudnością. Kilka zemblało, niedotarłszy do swych namiotów. Kilkanaście zachorowało na porażenie słoneczne. Pani doktor natychmiast zażądała odwiezienia do szpitala. Kilka w najgorszym stanie, kilkanaście zatrzymała w Izbie Chorych, tragicznie przepełnionej.

Spośród odesłanych do szpitala trzy zmarły. W codziennym pokłosie śmierci zagubiły się trzy życia... jakże tragicznie, niepotrzebnie stracone!

Przez bezduszną głupotę i tępą złośliwość ! Wstyd i żal.

- Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy ! - powiedziała jedna z pań, gdy któraś z młodych dziewczyn sypnęła przekleństwami pod adresem sprawcy tych nieszczęść. Nikt ich życia nie wskrzesi...

Porucznik Klar zmarł w Teheranie w 1942 roku z końcem tegoż lata, którego nie przeżyły tamte wymusztrowane jego ofiary.

Myślę, że jego okrucieństwo było jednym ze skutków wojny, która wielu pozbawiła człowieczeństwa.

W każdym razie po tej karnej musztrze w obozie na Górze jednak wydłużono czas wydawania posiłków oraz przerwę południową, która przedtem trwała tylko od dwunastej do trzeciej. Czas na musztrę też przeznaczano w godzinach mniejszego upału. Nie wątpię, że w znacznym stopniu była w tym zasługa pani doktor Kosińskiej:

Nasz kierownik kursu świetliczarskiego był wręcz przeciwnieństwem porucznika Klara. Pan Bałandruk starał się nie tylko chronić nas od żaru, oszczędzać nam wszelakich wysiłków fizycznych. Więcej ! Starał się uczynić wykłady interesującymi, udzielał wielu praktycznych rad na temat organizowania pracy w świetlicy i w sumie cały kurs był bardzo przyjemny, chociaż nałożony tak wielką ilością godzin zajęć, jak tylko to było możliwe, za co byliśmy wdzięczne doceniając ich wartość:

Znowu nas trochę przetasowano w namiotach. Tym razem, pamiętam, mieszkałam z Jadzią Malewską i Bronką Skrycką, z panią Natalią i Jadzią Ossolińską i z obiema Jankowskimi. Pozostałych osób z tego czteroosobowego namiotu nie pamiętam, ale pamiętam, że było nas dwanaście, bo któraś dowcipnie nazwała nas: "Dwanaście apostołek oświaty i kultury", inna dowodziła, że wystarczy skromniejsza nazwa: "Tuzin świetliczarek spod jednego płótna (namiotowego)".

A najbardziej pamiętam tę naszą dwunastkę z okazji dzielenia porcji dożywiania, która trafiała do nas w soboty.

Podoficer służbowa zwoływała dyżurne z każdego namiotu i rozdzielała nam to dożywianie. Pamiętam najbardziej puszkę sera i cukier. Ser żółty, angielski, bardzo smaczny, przypadał w ilości jednej puszki na dwa namioty.

Puszka była wielkości spodka od szklanki, wysokości na dwa palce. Po otwarciu dzieliło się ser na dwa równe krążki, z których każdy trafił do jednej dwunastki. Na osobę był wycinek wielkości jednej dwunastej, czyli mniej więcej tak duży, jak połówka naszego trójkątnego serka topionego, ale niższy.

Przy tym serze Bronka dowodziła, że to jest raz na ząb, a Janka radziła lizać go do wieczora! Tylko Jadzia Malewska rzuciła na mnie wymownym spojrzeniem i westchnęła z wielkim smutkiem:

- Tak, to właśnie był taki ser... Połówka!... -

- Boże, znikuj się! - szepnęłam, myśląc o tej przykrewnej tajemnicy "małej" Jadzi...

Cukier wydzielano kubeczkami na każdy namiot, co na miejscu okazało się, że osłodzi nam życie w ilości dwie i pół łyżeczki mierzone na płasko, tygodniowo, na osobę. Herbatę z kotła dawano nam bez cukru, ale już dawno zdażyłam się przyzwyczaić, bo w Kazachstanie, za cały czas pobytu cukier pojawił się trzykrotnie i można było, jeśli ktoś miał szczęście, trafić na dostawę i w dodatku jeżeli wystarczyło, kupić aż dwieście pięćdziesiąt gramów! To brzmi znacznie lepiej niż dwadzieścia pięć deko tylko!

Czterokrotnie trafiły się tam cukierki - landrynki, sprzedawane w takiej samej ilości „konfietki”

Skoro nauczyłam obchodzić się bez cukru, to była okazja, by go komasować na przyjazd Mamy. Uszyłam więc z kawałka chusteczki biały woreczek na cukier. Wielkości pół kartki pocztówkowej, bo obliczyłam słusznie, że i tak więcej nie układam, oszczędzając dwie i pół łyżeczki tygodniowo, jeśli oczywiście będzie. Wszyłam na nim zieloną nitką podpis "Ala" i strzegłam przed wilgocią i piaskiem, ciesząc się i marząc o wypełnieniu i ofiarowaniu, choć takiej odrobiny słodczy Mami, której życie tak wiele goryczy niosło wciąż jeszcze!

Czasem dawano nam konserwę mięsna "Corned beef" - wędzona wołowina; w kawałkach, smaczna i na zimno i na gorąco, najlepsza z cebulą, jeśli kogoś stać było na taki luksus. Z tego "corned beefu" porcja na osobę była kostką, mniej więcej objętości łyżki stołowej. To jednak już należało do rzadkości:

Przyjmowałyśmy te frykasy dość skwapliwie:

Wiedziałyśmy jednak, że każda taka jedna porcja, wydzielana nam na dwa tuziny żywych apetytów jest w kantynach oficerskich wydawana w całości tygodniowo na jedną osobę. Uznawałyśmy przewagę zapotrzebowania mężczyzn na większą ilość kalorii; co do mnie nigdy nikomu nie zazdrościłam, tak aby mieć coś czymś kosztem, ale nie mogę bujać, abym nie chciała trochę więcej mieć także i ja. W takim sensie, że nie chcę "zamiast" kogoś, ale chciałabym "oprócz" kogoś, też.

Trudno upierać się przy twierdzeniu, że takie wiadomości ogólnie nie powodowały wrażenia niechęci, albo wręcz chęci zysku poprzez zawieranie znajomości. Nie zawsze kończyły się bezinteresownie, czasem wprost niechlubnie i tragicznie.

Żołnierzy oczywiście kamiono nie po oficersku, ale jednak lepiej niż "baby czy też pestki", bo mężczyznom trzeba więcej. Faktycznie mieli trudne ćwiczenia i więcej wysiłków fizycznych, poza tym niemal wszyscy przeszli więzienia i lagry, podczas, gdy nasza płec w znacznej wielkości tylko zesłania.

To wszystko trzeba było przyjąć do wiadomości i dostosowywać się. Najgorzej jednak opadło nas rozgoryczenie na dystrybucję żywności systematycznie dosyłanej nam z Wielkiej Brytanii, gdyśmy na własne zobaczyły w Krasnowolsku całe jej wyładowane ze statków sterty, gnijące w upale, przy których nasi koledzy trzymali straż, aby tego nikt nie jadł.

Konserwy mięsne zakopywano, bo "strzelały", co nie odstraszało głodnych. Ludzie truli się śmiertelnie tym zepsutym i zmarnowanym jadłem, na którego wykorzystanie brakło transportu. To było częściowo niedopatrzeniem, a częściowo chęcią porobienia zapasów na później, naszych, polskich wojskowych władz "Komendy Placu" w Krasnowolsku.

Zdaje się, że na każdej wojnie nie brak takich, tragicznych w skutkach, nonsensów.

Wracajmy jednak do kursu świetliczarskiego, który był najlepszym okresem i wiąże najprzyjemniejsze wspomnienia z całego mego pobytu w PSK na terenie ZSRR:

Trwał od dnia trzeciego do dwudziestego pierwszego lipca włącznie, zakończony egzaminami teoretycznymi i praktycznymi:

Od dnia 6 lipca wiele czasu poświęcała nam pani Jakubowska, która trafiła do nas z Wielkiej Brytanii. Omawiała z nami różne formy pracy i te zajęcia świetlicowe, o których nie mówił jeszcze porucznik Bałandiuk. Na przerwach nie odmawiała nam relacji o wrażeniach z Wyspy, co potrafiła przedstawić nam obrazowo i ubarwić dowcipem.

Doceniała oddziaływanie na psychikę poprzez poezję i pieśni, z których wiele nowych nauczyła nas, przywożąc je do Azji z Europy. Niektóre pochodziły z Żołnierskiego Teatru "Czołówka", a wszystkie aktualne i takie właśnie specjalnie potrzebne. Przyswoiliśmy sobie melodię, zapisały teksty, śpiewały z przyjemnością i z powodzeniem.

Trochę pani Jakubowska, trochę pan Bałandiuk poświęcili czas na zajęcia praktyczne związane z urządzaniem propagandy wizualnej w świetlicy i w obozie. Ciekawe i konkretne rady, pomysły, propozycje, wprowadzanie zmian, uaktualnienia, dostosowanie do najrozmaitszych potrzeb. Świetne.

Oto teksty piosenek dla nas nowych:

Maszerują chłopcy drogą,

Trąbka larum gra.

A na polu błyszczą kwiecie,

Oj, dana, dana,

Znowu w krwawy bój idziecie...

Łuną płoną już

Najpiękniejsze z wszystkich

Paki białych róż

Wojenko, wojenko !

Pójdź razem z nami, z żołnierską piosenką

Tak, jak przed laty chodziłeś na bój.

Nie zaznasz z nami smutku, ani lęku !

Na każdej warcie razem ze mną stój.

Chodziłeś z nami, wojenko, przez morza

I borem, lasem, jak szedł żołnierz twój,

I zaprowadzisz pewnie nas, wojenko,

Do polskiej chatki, do lubej, tam pod okienko:

Jak to na wojence ładnie

Dziś tu, jutro tam...

Zwiedził Jaśko kawał świata!...

Oj, dana, dana,

Wiosną, gdy zakwitnie,

Zbożem polski łan
Wróci, ucałuje
Jak za dawnych lat...

Wojenko, wojenko !...

Melodia dobra do marszu, chwytliwa, tekst pełen zwrotów czy wyrażeń z dawnych piosenek żołnierskich, które znałyśmy od dzieciństwa i przypominały nam je i nasz kraj, bardzo zaktualizowana i śpiewne jej brzmienie sprawiły, że ta piosenka na naszym kursie z miejsca się przyjęła. Inne ochotniczki też chętnie ją poznały.

Na znaną nam melodię Wizji Szyldwacha, którą w przedwojennym gimnazjum śpiewaliśmy we francuskim oryginale, powstała też piosenka o polskim, dość wymownym tekście i szczególnie popularnym refrenie:

Wrócimy tam

1. Jeden nas łączy smutek, jeden łączy ból,
Jedna tęsknota do tych lasów, łąk i pól,
Jedna nas łączy dola, dobra, albo zła,
W Polaku Polak dziś na pewno brata ma.
2. Porzućmy swary, troski, zwarci bądźmy dziś,
Niechaj nas wszystkich jedna dzisiaj łączy myśl,
Trąbka pobudkę gra, wiarę dziś każdy ma,
Bóg nam swą pomoc da..

ref: Wróćmy tam, dokąd serce tak tęskni i marzy,
Wróćmy tam wszyscy razem i młodzi i starzy,
Wróćmy tam, aby zerwać Ojczyźnie kajdany,
Wróćmy tam, gdzie nasz dom, gdzie nasz kraj
kochany !

Również podobała nam się piosenka przywieziona ze Szkocji, słowa i melodia Adama Kowalskiego.

- 1) Panienczko szkocka, szkocka, szkocka,
Nie rób do mnie oczka
Nie rób, nie.
Skusić mnie nie uda ci się,
Bo ja w Polsce mam Marysię,
Za Marysią, Marysienką
Tęsknię całe dnie

Panienczko szkocka, szkocka, szkocka,
 Nie rób do mnie oczka,
 Nie rób, nie !

2. Panienczko ruda, ruda, ruda,
 Nie bierz mnie na cuda,
 Nie bierz mnie!
 Jeszcze mnie zawiódą losy,
 Do dziewczyny jasnowłosej,
 Do Marysi, Marysieńki,
 Co wygląda mnie!
 Panienczko ruda, ruda, ruda,
 Nie bierz mnie na cuda,
 Nie bierz mnie!

W ogródku pod jabłką
 Luba czeka mnie
 Nie cieszy jej dziś słońko
 Myśl za morza mknie!
 Powrót z wojny zdrowy
 Mój żołnierzu,
 Zza dalekich mórz
 Powrót!
 Na oczkach zapłakanych
 Pocałunek złóż!

Bardzo nam się podobała piosenka Feliksa Konarskiego (tekst i muzyka), którego "Pięciu chłopców z Albatrosa" śpiewało się nie tylko na koloniach i obozach harcerskich czy PW przed 1939r. Była to "Droga do Warszawy", rytmiczna o bardzo melodyjnym i śpiewnym refrenie.

1. But cięży kamieniem na nodze
 I tyle jest przeszkód na drodze,
 I kule, i bomby, i ogień, i krew,
 I męka, i rozpacz, i gniew
 Łyk wody w rozgrzanej manierce,
 A w pieśni tłuczące się serce...
 Przed nami tęsknota i żal,
 i wciąż niekończąca się dal...
 I lasy i rzeki, i góry
 I gwiazdy, i słońce, i chmury

I miasta kąpiące się w łzach,
 I śnieg, i błota, i piach!
 Wciąż naprzód, wciąż dalej i dalej,
 Choć grunt pod stopami się pali,
 Choć cięży karabin i but,
 Przez boje przez znoje, przez trud!

Ref. Świat..świat.. wielki jest świat,
 A droga jest ciężka i długa,
 Idą chłopcy szlakiem krwawym,
 Do dalekiej... do Warszawy ...
 Raz, dwa..., lewa, prawa ...
 Coraz bliżej jest Warszawa !
 A Warszawa tęskni: A Warszawa czeka,
 Kiedy przyjdą chłopcy malowani,
 Chłopcy w Warszawie zakochani,
 Kiedy przyjdą chłopcy malowani,
 Chłopcy w Warszawie zakochani!

2. Ktoś idzie i zęby zaciska,
 Bo wierzy, że chwila jest bliska,
 Gdy matce swej powie, że wrócił, że jest,
 Że więcej nie będzie już żez!
 Ktoś nuci półgłosem piosenki,
 I widzi przed sobą Łazienki,
 I Zamek, i Wisłę, i Most,
 I już nie narzeka na los!
 Choć krwawią pęcherze na nogach,
 Myśl jedna wlatuje do Boga,
 By kres nadszedł męce i łzom
 By każdy mógł ujrzeć swój dom!
 Ktoś kulę zniemacka w pierś dostał...
 Ktoś jęknął i upadł... i ..został...
 To zdarzy się jeszcze nie raz!
 A jednak dojdziemy na czas!

Ref. Świat... świat... wielki jest świat...
 Szczególnie melodyjny był ten fragment refrenu zaczy-
 nający się od słów:

" A Warszawa tęskni,
 A Warszawa czeka
 Kiedy przyjdą chłopcy malowani... "

Oczywiście wiedzieliśmy, że Warszawa nie tylko "tęskni i czeka", ale walczy: na zorganizowane Podziemie, lecz prócz tego cała ludność walczy różnymi sposobami i to nawet nie o przetrwanie jedynie. Walczy, aby zadawać ciosy wrogowi, utrudniać i niedać się zastraszyć ani zgnębić! O tym nam mówiono:

Niezależnie od tego, ta zwrotka była tak śliczna i liryczna, że chwytła za serce..

W sobotę 10 lipca miałyśmy ostatnie zajęcia z panią Jakubowską, aż szkoda, bo zawdzięczałyśmy jej bardzo dużo. Dzięki się z nami swą wiedzą i doświadczeniem niemal po koleżeńsku i w ogóle była fantastyczna. Pożegnałyśmy ją z żalem:

Wieczorem było ognisko z ubożuchną częścią artystyczną na rzecz potańcówki, która mnie nie interesowała. Przesiadła się do mnie bardzo miła Ania Olechowska, pochodząca z Łodzi. Młodsza o parę lat ledwie zaczęła gimnazjum w 1939r. Przegawędziłyśmy cały wieczór.

15 lipca, środa. Byłam gońcem w Sztabie. Spotkałam porucznika Lachowicza.

Sytuacja była ogromnie niepewna. Sprawa sprowadzenia Rodziców szalenie ryzykowna. Leżałam przecież w szpitalu zakaźnym przez osiemnaście dni! Jeden taki dzień wystarczał, aby człowiek się dość napatrzył na te ludzkie nieszczęścia i zrozumiał całą tragedię, jaką niesie epidemia! A tu ich było aż tyle równocześnie !!

Zakończyłam obowiązki gońca i wracając odwiedziłam Wandę: Znowu łamałyśmy sobie głowę i znowu nie zdecydowały się na sprowadzenie Ich jeszcze. Tymczasem: Jeszcze nie:

Czwartek spędziłam w świetlicy, trochę na zajęciach w przygotowaniu czegoś w rodzaju afisza zapraszającego na ognisko, trochę na dyskusji o organizacji imprez: Nie dostałam przepustki do Wandy.

Odwiedziłam ją w sobotę, bo dostałam przepustkę, jako że na noc wyznaczono mi wartę.

W poniedziałek, 20 lipca. (Czesławy: Cesi Szakalskiej) przyszła kartka od Rodziców. Czekali na naszą decyzję, starali się nas uspokoić: abysmy się o Nich nie martwiły !... Mój Boże !... Odpisałam listem poleconym i wysłałam swe pierwsze zdjęcie w mundurze. Napisałam też do Eli Wojciechowskiej i do Janki Goryluk, w Urdźarze.

We wtorek, 21 lipca zdałam egzamin z odbytego kursu świetliczarskiego. Dobrze mi poszło chociaż czułam się bardzo osłabiona.

Po południu wyznaczono mnie na służbową kompanii: Latanie z rozkazami: Kontrola porządków: Meldunki z Izby Chorych itp. Wieczorem "herbatka" na zakończenie kursu. Właściwie raczej wieczorek świetlicowy, niż autentyczna herbatka, ale nastrój pod hasłem pieśni i piosenek, czyli bardzo miły.

A nad arikiem, gdy skoczyłam się schlapać, spotkałam tę młoda Uzbekkę, która zorganizowała mi niedawno sprzedaż bielizny. Tym razem przyniosła mi upominek na pamiątkę: cieniusieńką, miedzianą bransoletkę z blaszki, której końce zakrąglone, nie schodziły się ze sobą i lekko można ją było wsuwać na rękę. Prościutki deseń był jakby wyrysowany szpi-kuloem.

Tym podarkiem sprawiła mi niespodziankę, ale trochę kłopotliwą, zupełnie nic nie miałam, co mogłoby się nadać do pozostawienia jej jako pamiątki po mnie! Kompletne dziadostwo! Ani nic, aby choć poczęstować!

A tę bransoletkę ... ktoś mi ukradł!

I znów warta nocna, z 25 na 26 lipca. Widocznie już w tym okresie nie mdlałam tak często, jak wtedy, gdy mnie trawiła gorączka, w drugiej połowie czerwca.

W niedzielę mogłam mieć przepustkę, po warcie, ale czułam się jakaś zmordowana i nie prosiłam o nią. Potem żałowałam bardzo, bo wieczorem ktoś mi przyniósł wiadomość, że Wandzia jest chora.

Pomaszerowałam tam w poniedziałek, 27.VII (Natalii). Przeraziłam się wyglądem mojej bieduli! To jeszcze nic, że strasznie spalona słońcem, a kolor tej opalenizny brudno - brunatno - szary; To jeszcze mało, że wychudzona! Tak osłabiona, że ledwie panując nad łzami, poprosiła:

- Wiesz co, Aluniu? Może byśmy się poszły wykapać w ariku? :

- Dobrze! Pewnie, bardzo chętnie: po tym marszu ... -

- A ty byś mi pomogła ... - uśmiechnęła się słabo.

Od tamtej naszej kąpieli w kaźni, w artylerii; już zdążyłam się oswoić z koniecznością kąpania się bez stroju w całym większym, czy mniejszym, zespole ochotniczek:

Po prostu dawano nam bardzo skąpo wyliczony czas na kąpiel w ariku, więc pędziliśmy do niego i pośpiesznie zrzuciwszy

mundury i bielizną (tak!) myły się "od a do zet", wtłoczone w błogosławiony (choć błotnisty) arik. Aby prędzej! Aby jak najwięcej się zanurzyć i ochlapać!

W Ośrodku Zapasowym w Guzarze nad arikiem, w obrębie obozu, ale po przeciwnej stronie, rosło dość duże drzewek morwowych. Stanowiły skąpy, symboliczny parawan. Przynajmniej ludziłyśmy się początkowo, a potem udawały, że się łudzimy, iż nas zakrywa przed ludzkim wzrokiem.

W tym miejscu, gdzieśmy się kąpały, droga polna nie przebiegała wzdłuż "naszego" arika, toteż na ogół tamtędy ludzie nie przechodzili.

Zdawało się jednak, że nadszedł jakiś stary Uzbek, albo i paru staruszków (młodych o tej porze dnia spotykało się bardzo rzadko). Czasem przystawali ze śmiechem i żywą gestykulacją, pewnie uradowani widokiem nimf (najczęściej dość kościstych!), jakiego w życiu nie mieli okazji oglądać:

Pierwszy raz, zaskoczona podobną wizytacją, aż usiadłam w tym błotku, aby się skryć po szyję. Niestety, nie było czasu, koleżanki ponaglały, a i Wandzia zawołała do mnie z brzegu!

- Wyłaż! Masz ręcznik! Tak dużo jest nas tutaj, że to i tak wszystko jedno, czy zobaczą ciebie, czy nie ciebie. I tak nas nie znają, a my nie mamy wyboru! Ani kiedy, ani gdzie! Zawień się w ręcznik i pośpiesz się!... -

I tak się, rada - nie rada - musiałam z tym "otrzaskać".

Teraz, gdy poszłam z moją chorą siostrą, ona poprosiła:
- Umyj mi plecy... nie mogę sobie już poradzić... taka słaba... -

Byłam tym wstrząśnięta. Taka zawsze dzielna! I taka sprawna! Świetny piechur, trochę narty... To ja byłam tą niezdara pod względem gimnastyki: Wanda - nigdy!

- Tak, już, już... - brałam się do roboty, gdy nagle aż mnie zatkalo z przerażenia:

- Wandziu! A na czym ty właściwie siedzisz? ... -

- A, właśnie, że już nie mam na czym... Zostały mi same końcówki... i strasznie mnie boją... - poskarżyła się i rozpłakała z bezsilności. Oczywiście i ja też..

Uskładłyśmy razem, po tej kąpielu, Wandzia jakoś tak bokiem i znów wałkowały ten niewyczerpany temat ściągnięcia Rodziców i Cioci Izy.

Patrzyłam na te biedne: skórę i kości, które jeszcze były moją siostrą i serce miałam w gardle.

- Chyba masz zanik mięśni? - odważyłam się.

- Tak... - przyznała ze skruchą - popatrz! -

Dłoń położyła wierzchem do góry, drugą chwyciła skórę z tej dłoni i postawiła tę skórę, jak jakiś wyrostek lub płetwę grzbietową u ryby. I skóra stała!

- Zrób z tym coś! - zdenerwowałam się.

- Już! - rozłożyła tę skórę na jej właściwe miejsce, rozciągnęła i przyklepała.

- Już! - sapnęła - a z rąk się łuszczy, jak rybia łuska! -

dodała, pociągając ręką po skórze zewnętrznej części przedramienia.

- Faktycznie! Co to jest? Łuszczyca? - coś wygrzebywałam z jakiejś pamięci:

- Nie, nie! To tylko pelagra. O widzisz: możesz poznać, że w przedramieniu są dwie kości. Zanik mięśni. Zanik elastyczności skóry. Rogowacenie i łuszczenie się... - zaczęła wykład chociaż nie była ^{jeszcze} pielęgniarką po kursie!

- Jezus, Maria! Z czego? Co robić! Wanduś! Ratuj się przecież jakoś!... - wołałam

- Tak, tak! Wiesz, kupuję miseczkę mleka zsiadłego co dzień!

Czuję, że mi to bardzo dobrze robi... Niebardzo mogę jeść...

- A masz pieniądze? - zmartwiłam się.

- Tak, tak! Już zwróciłam pani Bąszelowej i trochę mi zostało, z tego, cośmy posprzedawały... To głównie brak witamin... Ale z tego się jakoś "wylizę", nie martw się... -

Dobrze jej mówić: "nie martw się"! - myślałam, wracając na Górkę, całkowicie przybita. Przecież Ona wygląda jak gdyby już - już się wykańczała!! Jezus, Maria! Jak nie wyjeździe najbliższym transportem, to może nie przeżyć! Dopiero co po żółtaczce, a już pelagra! Po wzięciu i łagrze... Co robić? Z Wandą? Z Rodzicami? Przy tych chorobach!...

W szpitalu, wiadomo, umierało nawet po kilkadziesiąt osób, za mojego pobytu tam. I to nie wszyscy chorowali długo..

Jadzia Ossolińska, z naszego kursu świetliczarskiego i z naszego namiotu... Pełna życia i pomysłów, dzielna i rezolutna Jadzia... Raptem przez trzy dni twierdziła, że czuje się "niezbyt" i wykładów nad arikiem słuchała siedząc w nim, w wodzie. W przerwach od zajęć wcale nie chciała z wody wylazić.

- Zaraz. Teraz nie ! Nie mogę. Muszę pobyć w wodzie. Jeszcze trochę... - i żadne argumenty, nawet pani Natalii, z którą była bardzo zżyta, nie pomagały.

Wreszcie pani Natalia zaprowadziła Jadzię do pani doktor.

- Właśnie odsyłam do szpitala. Dołącz do nich. Oto skierowanie ! - zdecydowała pani doktor sprawdzwszy temperaturę ponad 39° C u Jadzi.

Na drugi dzień przyszła wiadomość o jej śmierci. Grom z jasnego nieba. ! Trzy dni - i - już ? Mówiono, że to papataczi, coś w rodzaju tropikalnej gorączki, wywołanej wrogimi nam drobnoustrojami...

.. Nie pamiętam danych personalnych Jadzi, ale była młodszą, ode mnie, która ukończyłam dwadzieścia lat. Takie młode życie... Strasznie nam było jej szkoda, a na panią Natalię aż żal było patrzeć...

Na takich rozmyślaniach doszłam do naszego obozu i natknęłam się na jego komendantkę, panią Makłowicz. Skorzystałam, że zapytała o Wandę i wyłuszczyłam jej nasze rozważania dotyczące przywiezienia Rodziców do Uzbekistanu, wobec zapowiedzianej drugiej fazy ewakuacji do Iranu. Nie pominęłam choroby Wandzi i moich poważnych obaw o nią.

Przeanalizowała to wszystko ze mną dość wnikliwie i uważnie i poradziła mi, abym namówiwszy siostrę na wyjazd do Iranu, sama dla siebie postarała się o zezwolenie na wyjazd po rodzinę:

- Mogę cię dopisać do listy Plutonu Likwidacyjnego i wyrazić zgodę na wyjazd do Kazachstanu na twoim podaniu do sztabu; Jeśli, jak mówisz, porucznik Lachowicz w sztabie weźmie twoją sprawę w swe ręce, będziesz mogła niezwłocznie wyruszyć. Może nawet zdążysz wrócić, zanim ta ewakuacja ostatecznie dojdzie do skutku, bo to się też może przeciągnąć... Oczywiście, jeśli już jesteś na tyle zdrowa i silna ... - dodała.

- Tak. Teraz ja jestem tą silniejszą z nas dwóch. Właściwie to tak chorowałyśmy na zmianę... Mój pobyt w szpitalu nas rozdzielił ... -

- Tak, wiem, podczas kursu unitarnego ... No, i jak się czujesz po tym świetliczarskim ?... -

- Był wspaniały, ciekawy, praktyczny, przyjemne wykłady i za-

jęcia i wykładowcy... - cieszyłam się, że komendantka może to usłyszeć prywatnie.

- I co w końcu: ustalono wam nazwę? Będziecie "światliczankami", czy "światliczarkami"? - uśmiechnęła się.

- Pani Jakubowska popierała nazwę "światliczanki", że to ładniej brzmi, bardziej "światliście". I mówiła, że Warszawiacy są tego zdania. Zobaczymy, co się przyjmie... -

- Czy, to takie ważne?... - zastanawiałam się, myśląc znów o Jadzi, która już nie pójdzie na ten swój światliczarski, czy światliczański przydział...

W nocy znów miałam wartę, za co w dzień: przepustkę. Pomaszerowałam do Wandy, potem ze swym podaniem do Sztabu:

Wciąż teraz odbywałam warty, w tym po parę zmian nocnych. Jakoś ze zdrowiem rzeczywiście było mi lepiej i dawałam radę dość częstym wyprawom do Guzaru i tym wartom.

Obóz nasz miał różne zajęcia i ćwiczenia, ale nikogo nie wysyłano do jednostek wojskowych "na przydział" (czyli do pracy według powierzonej funkcji), gdyż ewakuacja miała nas objąć jako Ośrodek Szkoleniowy PSWK w całości, jak jednostkę.

Mieszkałyśmy mniej więcej w tym samym składzie w namiocie. Kiedyś, prześcielając swe legowisko, złożone z samych tylko koców, i zabierając je do trzepania poza namiotem, znalazłam pod swym kocem, na ziemi, złotą obrączkę. Szeroka i dość gruba oraz wypukła, stara, z datą i inicjałami wygrawerowanymi od spodu. Starsza od obrączki mojej Mamy.

- Patrzcie !! Znalazłam obrączkę !! - pokazałam.

- Pokaż !! Złota naprawdę !! -

- Autentycznie !! -

- Ale masz szczęście !! - zakrzyczały mnie współmieszkanki.

- Kto tu mieszkał przede mną? - martwiłam się, ale nie mogłyśmy tego ustalić.

- Wobec tego idę do komendy: niech ogłoszą w rannym rozkazie! - zdecydowałam

- Zgłupiałas? -

- No, wiesz !! Znalazłaś, to twoja !! -

- Gdyby któraś wcześniej szukała, to byś wiedziała, komu oddać. A tak - nonsens! -

- Zaraz, zaraz !! Chwileczkę !! Przecież to jest cudza własność!

- Gdybym ja sobie zatrzymała, to po prostu byłaby kradzież !! -

- Wiesz co? - pani Natalia włączyła się do dyskusji - Zgłoś,

że masz, a jak właścicielka do ciebie się zgłosi, to jej oddasz. A jeśli się nie zgłosi, to zatrzymasz, bo już pewnie wyjechała - poradziła.

- Dobrze ! Idę ! -

Weszłam, zameldowałam się w komendzie, gdzie siedziały dwie komendantki w stopniu podporucznika. Wyjaśniłam, że proszę o ogłoszenie w rozkazie porannym o znalezionej obrączce.

- Dobrze - Ogłosimy - Zostaw ją ! - odezwała się jedna

- Połóż tutaj ! - wskazała druga.

- Tak jest ! - położyłam i odmaszerowałam.

- Jak tak mogłaś ? Zgłupiałaś ? - zirytowała się na mnie Janka, gdy stanęłam w namiocie

- A niby co innego miałam zrobić ? - burknęłam.

- Ojej, trzeba było powiedzieć, że nie masz jej przy sobie, tylko w namiocie i dasz właścicielce, gdy tylko się zgłosi! - tłumaczyła Hela Jankowska, niczym kretynowi, zresztą ponieważ widząc, że wykrzyknik jej siostry nie uszczęśliwił mnie zbyt.

- Właśnie ! Właścicielka powiedziała ci, co tam było i jest wygrawerowane. I wtedy byś zwróciła - pani Natalia przekonywała mnie.

- Oj, ta jaj ! Czego się martwicie ? Przecież jeśli nie znajdzie się właścicielka, to mi tę obrączkę komendantki oddadzą ! - uspakajałam je, zawstydzona, że mnie uznały za nierozgarniętą, a dwie komendantki podejrzewają o możliwą nieuczciwość.

- Tak sądzisz ? - Bronka jawnie powątpiewała.

- Oby ! Szkoda, że nie zatrzymałaś i nie rozegrałaś tego lepiej... - odezwała się Jadzia Malewska, która właśnie nadeszła i dowiedziała się o czym mowa - Teraz to już nie jest takie pewne ... A przecież chcesz jechać po Rodziców... Nawet w Guzarze jest paru Żydów polskich, którzy kupują złoto za niezłą gotówkę... Tak mogłoby to ciebie poratować...

I chorą Wandę ... -

- Faktycznie, .. Ale myślę, że ludzie są uczciwi. I albo właścicielka się ucieszy, albo ... ja... -

Rano ogłoszono znalezienie cennej zguby.

Po dwóch dniach, gdy cicho było na jej temat, w namiocie nadal roztrząsano. W końcu Hela Jankowska wzięła mnie za rękę:

- Chodź ! Pójdziemy do komendy i zapytamy , -
- A, tak, tak. Znalazła się, taka starsza pani ... Nie była u ciebie ? Nie ? Mówiła, że ci podziękuje ... - odezwała się jedna z komendantek
- Wczoraj przeniosła się do kompanii w Guzarze... Prosiła by ci podziękować ! ... - dodała druga pani podporucznik, odwracając do mnie głowę, bo siedziała tyłem do wejścia przy stole, na którym było pełno wszelakich frykasów dostępnych na bazarze: placki uzbeckie, suszony ser owczy, kiście winogron, duży kawon i parę melonów. Aż ślinka ciekła ... -
- Wiesz, takiej uczyty, jak żyję, tutaj nie widziałam ! Ani takich zaskoczonych min naszych pań komendantek ... -
- Hela cedziła przez zęby, gdy wyszliśmy z ich namiotu.
- Oj, jaka z ciebie naiwniaczka ! Aż szkoda !... kiwała głową z politowaniem.

- Czy sądzisz, że ... - urwałam, nie chciałam uwierzyć.

- No, ta, pewnie ! Jeszcze wątpisz ? - zełościła się na mnie.

Nie wiem, czy miała rację... Czyżby ?

Wspomniałam winogrona. Otóż przypomniało mi się, że kiedyś, gdy odwiedziłam Wandzię w Guzarze i ona miała wolny czas, poszliśmy razem do wskazanej nam lepianki uzbeckiej i tam zamówiliśmy winogrona, które gospodarz sprzedał nam prosto z krzaka ! Po parę pięknych, dorodnych i bardzo słodkich kiści. W dodatku wziął za nie dość tanio. Prawdziwa uczyta !

W Kazachstanie, a dokładniej mówiąc " u nas w Kazachstanie " (!) winogron nie było.

Jeszcze pętałyśmy się po obozie, miały warty, dyżury, przepustki, jakieś zajęcia, jakieś ćwiczenia, ale już byłysmy pod wrażeniem niepewności jutra, bardziej niż kiedykolwiek.

Sprzeczne pogłoski o ewakuacji krążyły w Wojsku i wśród cywilów, budząc niepokój i potęgując przykre poczucie ciągłej tymczasowości. Gdy mijał upał samorzutnie nieraz gromadziłyśmy się nad arikiem, by trochę pośpiewać.

Ogniska na Górcze, te uroczyste i oficjalne odbywały się zwykle z jakiejś okazji. Zdarzały się też organizowane samorzutnie, bez przygotowanego wcześniej programu, po prostu spontanicznie wypełniane przeróżnym śpiewem, czasem niespodziewaną jakąś recytacją, czy opowiadanymi " ad hoc" kawałkami , a nawet kupletami.

Kiedys, któraś z ochotniczek odczytała list pod tytu-
łem "Oświadczyzny" (którego autora nie znam)

O, Pani !

Do serca mego otchłani

Wpadł grot igliczny Amora !

Nadeszła pora

Bym wyznał, co śnię na jawie,

W strzeleckiej klęcząc postawie:

Kocham Cię szczerze !

Jak apel, lub wieczerzę !

Jak tę przepustkę do miasta,

Jak paczkę z domu,

Pełną ciasta,

Którą w nocy zjadam

(Po kryjomu).

Jeśli mi powiesz: "Tak" !

Me serce uleci jak ptak

I o mej miłości

Przez wszystkie środki łączności

Ogłoszę w dziennym rozkazie !

Jeśli zaś powiesz: "Może"...

Drogą służbową

Złożę

Podanie

Do Ciebie

O pokochanie

A jeśli powiesz: "Nie" !

Do ataku ruszę

Przy dodatkowym uczuć mych ładunku

Skruszę

Przedpole Twej duszy !

A jeśli powiesz : "Precz". !

Poblednę

Magazynowo schowam

Serce moje biedne,

Marzeniom pasy przykróczę

I wzięwszy na barki

Tornister cierpienia

Wyruszę w smutku

Na nocne ćwiczenia "...

W ciszy, brzmiającej jeszcze ostatnimi słowami wiersza, nagle dał się słyszeć piskliwy głos:

" - Z inną ? - " nagrodzony salwą śmiechu.

A potem śpiewano aktualne kuplety, w których moim skromnym zdaniem największy twórczy udział można było przypisać Krysi Lubańskiej. Wykonawczyniami oprócz niej była Zosia Nęcka i Halina Nasuto, zwykle występujące razem, jako że Zosia, drobna jasna blondynka, zabawnie kontrastowała z długą i czarwłosą Haliną, oraz siostry Niedzielskie:

"Guzar - piękne miasto,
Polskie od wiek - wieków !
Choć ostatnio tu przybyło
Zbyt wielu Uzbeków "

W dowolnym repertuarze różne grupki zaczynały swoje ulubione piosenki, najczęściej podchwytywane przez całą zebraną rzeszę:

"Musiałam cię zostawić...
Pojechać w świat daleki,
Za lądy, morza, rzeki,
Może na wieki,.."

zaczęła Jadzia i cały namiot dał początek smutnej melodii tanga:

A potem Hela i Janka Jankowskie:

"Kiedyś w tłumie miniemy się,
Przejdiesz obok, nie widząc mnie
I bez spojrzeń i bez słów
Będziemy znów
Jak obcy ludzie..."

Bronka zaintonowała bardziej optymistyczną pieśń:

"I choć jesteśmy tak daleko, .
Tyle nas dzieli wsi i miast
To każde z nas jest pod opieką,
Milion złotych, dobrych gwiazd !..."

Alinka Arczyńska i Nela Zielińska szczególnie lubiły melodyjną:

"To ty, to imię twoje
Jest sensem życia,

To życia treść.
 Toś ty marzenie moje
 I wielkie szczęście
 Cudowna pieśń...
 Toś ty, już wiem na pewno:
 Szarżysz życie zmieniała w baśń !
 Toś ty moją Królową
 Z cudownej bajki,
 A jam twój paż !:.."

Niedzielskie zaczynały na dwa głosy:

"Dziś tu, a jutro tam:
 Ja ciągle jestem w drodze...
 Po chwili rozkaz mam,
 Więc " serwus!" Znów odchodzę...!"

Kazia ciągnęła z przejęciem:

"Świat cały, jak za mgłą
 A nocą my we dwoje,
 Nienasycone drżą
 Gorące usta twoje !:.."

A nasz namiot, na widok zbliżającej się służbowej zaczął chórem:

"Czas do domu, czas !
 Już wołają nas
 Matka z progu
 Do wieszczerzy
 Dzwonek z wieży
 Do pacierzy !
 Czas do domu, czas
 Już wołają nas !"

I rozchodziliśmy się do namiotów, zanim gwizdek wezwał wszystkie kompanie do wspólnej modlitwy przed capstrzykiem.

28 lipca skończyłam dwudziestoczworgodzinną służbę wartowniczą i skorzystałam z przepustki, aby pójść do Sztabu z podaniem i odwiedzić Wandę. Długo, chora dostawa zwolnień lekarskich z obowiązków służbowych i "pokładała" się w namiocie, oczywiście na swym kocu, na ziemi:

Bardzo źle wyglądała i tak samo się czuła. Zgodziła się na moje propozycje i na staranie się o mój wyjazd po Rodziców i Ciocę Izę, abym Ich przywiozła do Uzbekistanu, wobec zbliżającego się terminu ewakuacji do Iranu.

Znów omówiłam ten projekt z porucznikiem Lachowiczem, opowiedziałam o rozmowie z komendantką Makłowicz i zgodził się poprzeć moje podanie, skoro takie rozwiązanie zdawało się być lepszym od innych. Nikt nie mógł za nic ręczyć.

29 lipca, Marty, środa.

Wizyta generała Andersa zapowiedziana nam rankiem zmobilizowała nasze obwoze władze do szczególnie wnikliwej inspekcji całego terenu, porządkowania wszystkiego, co tylko się znajdowało w obozie, oczywiście łącznie z wnętrzem namiotów.

Mała Ryfka, krótka i sękata, milowymi krokami przemierzała plac apelowy wzdłuż i wszerz, obleciała każdy namiot, aby jeszcze tu i ówdzie wytknąć zdarzające się usterki, czy niedociągnięcia w sposobie poukładania w nim rzeczy.

- A to co ma znaczyć? - skrzeczała hałaśliwie - te czarne buciory są zakurzone! Pisać palcem można po nich!

Wyczyścić to natychmiast! Karny raport za to się należy!...- i już pikowała gdzie indziej.

- Aj, waj! Kahny hapoht! - przedrzeźniała jej żydowski akcent i takąż wymowę. Mańka - Bądź z - Miasta.

- Najlepiej jak się szczotkę zanurzy w pyłe węglowym... ale trzeba ją popluć porządnie! - doradzała Janka Jankowska.

- No, to jazda! Chodź! Chodźcie! ... - i po chwili poleciałyśmy pod magazyn kuchenny, każda z parą ćwiczebnych buciorów, uzbrojone w czarne szczotki do butów. Brązowe szczotki były do brązowych półbutów, obowiązujących do galowych mundurów.

- A cóż to za najazd! -

- Jak ta szarańcza, zleciały się do tego pyłu!

- Ta, to utrapienie z nimi! Znowu was ta Ryfka przegania? - wołały kucharki

- Nu, też to pani podporucznik, przephaszam: podporucznik! - Mańka Bogdi z Miasta używała sobie misternie, plując z satysfakcją: no włoskie szczotki.

- Ta, czy ona zdurcała? Alboż to generał ogólnie tam po tych namiotach? Gdzieżby się tam patrzył na to nasze działo? - oburzała się kucharka, ale już nie słuchałyśmy

jej argumentacji, tylko biegiem szurały do namiotu, aby ustawić te lśniące buciory rzędem "w nogach" naszych legowisk. "W głowach" lśniły prostokąty zamkniętych menażek, ustawionych przepisowo na chlebakach, opartych o plecaki, spakowane w równe kostki. Wszystko to stało jak mur, wzdłuż ścian namiotu.

Na przeraźliwy gwizd służbowych gwizdków wysypałyśmy się biegiem z namiotów, dopinając twarde, skórzane pasy na wełnianych frenczach mundurów galowych, lub nakładając czapki z daszkiem, po drodze.

Po krótkiej chwili z namiotów komendantek wyszedł cały ich sztab, maszerując parę kroków za komendantką obozu, panią Makłowicz.

- Baczność ! -

Przeszła dość szybkim krokiem wzdłuż całego czworoboku wszystkich zgromadzonych kompanii, lustrując ochotniczki wprawkowym okiem.

- Spoczni! ! -

- Generał nadjedzie lada chwila - poinformowała nas któraś z komendantek kompanii.

Cały sztab komendantek odmaszerował do swych namiotów.

- Goniec ! Wystąp ! - zawołała Ryfka, by polecić rozstawienie gońców przed symboliczną bramą obozową, tak aby wcześniej zaalarmowano zbliżający się wehikuł z generałem, zanim się zbliży do stóp Górki.

- Uf ! Możliwy chociaż pas rozpiąć ! - sapnęła któraś w pobliżu.

- A, no, tyle to się zdąży ! ... -

- Upał na sto dwa ! ... -

- Koszuła się lepi ... -

- A pończochy grzeją, aż mi w półbutach robi się mokro !... -
Słychać było szepty i wzdychania.

- Jezu, żeby już prędzej ! Żeby wytrzymać ! ... - myślałam mozolnie, ocierając z czoła pot, zalewający mi oczy.

- Jedzie, czy nie jedzie ? ... -

Coraz trudniej było stać w miejscu. Wreszcie tu i ówdzie robił się ruch bo mdlały ochotniczki u szeregach. Inne same ledwie żywe, łamały szyki, biegły po muniarki, po wodę, wyciągały zemdlone z szeregów.

Po dobrej godzinie padła komenda:

- Rozejść się ! Ale być w pogotowiu ! -

W namiotach padłyśmy na swych posłaniach w umundurowaniu.

- Alarm ! Alarm ! -

Gwizdki i wołania rozległy się po jakimś kwadransie.

- Baczność ! -

I znów:

- Spoczni ! -

Czekanie...

Źdawało nam się, że popelina koszul i wełna mundurów pali nas żywym ogniem, a pragnienie osłabiało do reszty.

- Ojej ! ... Jak mi się kolana trzęsą ! ... - któraś jęknęła

- A, mnie się chyba mózg już gotuje, ale "taki" nic nie mówię ! - zwierzyła się inna.

- Jedzie ! Już ! - gońcy alarmowali.

Sztab komendantek wysunął się z namiotów i we właściwym szyku pomaszerował w kierunku warty przy pseudo - bramie wejściowej.

Wjechał samochodzik

Wysiadło parę osób. Salutowanie, meldowanie powitanie i cała grupa przechodzi przed front naszych szeregów, ustawionych potrójnie w prostokątną podkowę.

- Czołem ochotniczki ! - zawołał, salutując, generał Anders.

- Czołem, panie generale ! - wyskandowały nasze kompanie, podchwyciwszy jego energiczny ton tak, jak gdybyśmy nie były smażone tu żywcem przez prawie dwie godziny, nie licząc krótkiej przerwy w namiotowym piecu.

Generał zaczął swój obchód .

Równym i sprężystym, lecz raczej zwolnionym krokiem maszerował wzdłuż naszych szeregów, przez cały czas salutując całą dnionią, w ten sam angielski sposób, w jaki nas uczono (bo nosiliśmy angielskie mundury). Idąc lustrował to nasze babskie wojsko tak, że dosłownie każdej z nas, mijając, zdołał głęboko zajrzeć w oczy.

- Chyba aż sięga do duszy, tak przenikliwie, jak gdyby umiał jednym rzutem oka przejrzeć, co się w niej dzieje ... - pomyślałam, gdy już przeszedł. - Każdą twarz spenetrował, nawet mnie tu, w trzecim szeregu... I to z takim wyrazem, jak gdyby już człowieka dawno i dobrze znał, a nie tak jak się ogląda kogoś pierwszy raz ... Jak gdyby sobie i przy-

pominał i starał się zapamiętać ! ... - analizowałam swą wra-
żenia, podczas gdy generał przechodził dalej na czele całej,
asystującej mu świty, od swego adiutanta począwszy, poprzez
kolejne nasze komendantki, od najstarszej rangą, do najmłod-
szej.

A potem wygłosił do nas swoje przemówienie.

Stanął naprzeciw nas i przez chwilę zdawał się oczeki-
wać na zebranie myśli.

Patrzyłam.

- To historyczne wydarzenie ! - przeleciało mi przez głowę.

Przypatrzyłam się generałowi. Dość wysoki, sprężysty,
sprawia wrażenie wysportowanego, raczej szczupły. Furażerka
na wystrzyżonej głowie. Opalony. Twarz poważna, uważny ba-
dawczy wzrok. Ubrany - ach ! Boże ! - siatkową koszulkę ko-
loru khaki, z krótkim rękawem ! - Jak wspaniale musi być
przewiewna ! Ciemny krawat ... My mamy jasne. Ciemny ładniej
kontrastuje... Krótkie spodnie - szorty ! Pewnie drelichowe,
jasne khaki, tak jak koszulka. Opalone, zdrowe, męskie nogi.
Skarpety ! Półbuciki. Boże ! W tak lekkim stroju wygląda jak
"młody bóg" ! E... musi mieć kilka lat po czterdziestce, bo
walczył w Wielkiej Wojnie ... "Bóg Wojny" ... Ośmiokrotnie,
jak mówią ranny...

I stoi taki świeży i lekki naprzeciw tej całej naszej
masy przegrzanych do ostateczności i wypoconych ciał, na któ-
re ponawlekać nam kazano po parę kilogramów hermetycznie zam-
kniętej odzieży, aby nas tu smażyć w niej na tym nieludzkim
słońcu, aż do upadłego... Ależ nas hartują ! ... Bezlitoś-
nie !... Boże, litości ! Aby dostać do końca :

- Ochotniczki ! ... Drogie ochotniczki ! Po wielu trudnych
przejsiach z całym ogromnym poświęceniem zgłoszyście się
na wezwanie Ojczyzny, aby ofiarować swoje życie i swoją
pracę pomocniczej służbie dla Polskiego Wojska, które się
odradza daleko poza granicami naszego rodzinnego Kraju.
Bardzo wiele przeszłyście w ciągu tych ostatnich lat, ale
nie załamaliście się pod brzemieniem niezliczonych trosk..
Przeciwnie. Umocnił się w nich wasz hart ducha, hart du-
cha polskich kobiet i polskich dziewcząt !...

Niechże on nadal was wspiera w dalszej ciężkiej naszej
drodze do Kraju ! Nie będzie to droga najkrótsza, jakiej spo-
dziewaliśmy się. Sytuacja polityczna tak się skomplikowała,

że nasza Polska Armia częściowo, jak wiecie, już przeniesiona, nadal będzie ewakuowana na inne ziemie obce, gdzie otrzyma broń, której tutaj jeszcze nie dostała, bo brakło, gdzie zostanie właściwie przeszkolona, wyposażona i przygotowana do walki z wrogiem.

Do walki o Wolność i o Ojczyznę !

W najbliższym czasie i was czeka ta ewakuacja. I wy dołączycie do tamtej części Wojska Polskiego, która wypełni luki w okrążeniu wroga przez armie aliantów, tak aby we właściwym czasie otoczyć go silnym pierścieniem i zmusić do kapitulacji i wyrzucić z naszej ziemi raz na zawsze !

Wiele jeszcze dróg czeka polskich tułaczy, ale wszystkie prowadzą do Kraju, o który walczymy...

Drogie ochotniczki !

Znam dzieje waszych ostatnich lat, wasze cierpienia w więzieniach, lagrach i na zesłaniu. Wiem dobrze, że spotkałyście pogardę, głód i nędzę różnego rodzaju. Wiem, w jakich ciężkich warunkach obozują nasze jednostki w Guzarze, gdzie chyba najcięższe warunki przypadły wam, tu, w tym obozie na Górcie... Zdaję sobie też sprawę z tego, że ponad te wszystkie cierpienia, najbardziej, trapi was ogromny niepokój o wasze rodziny, o najbliższych i wszystkich drogich waszym sercom. Modlicie się o ich życie, często nie wiedząc nawet gdzie są, nie mając kontaktu od wielu miesięcy, albo nawet od lat.

Wiele polskich rodzin rozrzuconych po całej ziemi Związku Radzieckiego stara się śledzić wiadomości o naszym Polskim Wojsku - całą ich nadzieję na ocalenie... Nie zawiedziemy tej nadziei ! Całym sercem jesteśmy z nimi i teraz i potem, gdy już nas granice oddziela od nich.

Kochane ochotniczki ! Polki nasze serdeczne !

Do was się zwracam z apelem, jak do sióstr, matek, córek naszego narodu ! Pamiętajcie o tych tysiącach Rodaków pozostających tutaj ! Będziemy usiłowali wszystkich stąd ewakuować, wszystkich pozbierać i zabrać stąd, gdzie klimat jest dla nich tak bardzo nieodpowiedni, a warunki jeszcze bardziej pogorszyły się wobec wojny z Niemcami.

Rozumiecie, że same już tylko choćby ogromne przestrzenie stanowią wielkie przeszkody do pokonania, że to wszystko będzie jednak, niestety, rozciągnięte w czasie... chociaż czas nagli i liczy się każdy dzień...

Tymczasem wy już będziecie w innym kraju, w innych krajach, gdzie ludzie będą was wypytywali o dzieje wasze i o wasz los od czasu Września 1939r.

Apeluję do waszych dobrych serc i do waszych umysłów i do waszej lojalności wobec tych pozostających tutaj naszych rodzin. Nie oskarżajcie ! Nie wołajcie o sprawiedliwość ! Nie informujcie o tym, jakie miałyście w tym kraju życie, na jakie skazano was tu bytowanie, jak wyglądały lata poniewierki, głodu, rozpacz, harówki ponad siły i oderwania od ojczyzny i rodziny ...

Tego nie mówcie ! Nie opowiadajcie ! Nawet naszym sprzymierzeńcom, aliantom: - nie! ... Nie ! ... Jeszcze nie teraz ! Nie czas. Zostają tu tysiące Polaków, których chcemy wydosłać. Nie wolno nam zamykać im drogi wyjścia ! Opowiadania o naszych przeżyciach bardzo łatwo mogą się dla nich stać przeszkodą nie do przebycia. Potraktowane jako wroga propaganda staną im na drodze i ją zamkną. Nam tego robić nie wolno ! Musimy utrzymać śprzymierzenie ze Związkiem Radzieckim i razem walczyć przeciw Niemcom. Nie wolno nam teraz psuć tych stosunków z trudem nawiązanych. Rozumiecie ? Od waszej postawy, od każdej z was tak bardzo dużo zależy, będzie zależało.

Wkroczymy na kolejne ziemie obce, gdzie cały świat będzie obserwował nas, Polaków, was Polki ! Ponieście w świat honor Polski i własny hart ducha i gorące serca, pamiętając o obowiązkach wobec Ojczyzny i rodaków.

Wierzę w was gorąco ! Wierzę, że nasze drogi doprowadzą nas do domu i spotkamy się wszyscy w Wyzwolonej ! ... "

Takie było gorące przemówienie generała Andersa do ochotniczek w Guzarze. Staralam się oddać jak najwierniej jego treść i charakter i sądzę, że chociaż przedstawiłam je swoimi słowami, to jednak tak myśli i sens treści nie odbiegają od oryginału prawie zupełnie. Przypuszczam, że nawet podchwyciłam coś ze stylu autora.

Jego słowa trafiły nam do przekonania, a chociaż ciała nasze były nader mdłe, to jednak ochoczy duch chłonał chciwie wszystkie wyrazy zrozumienia naszej doli i czepiał się każdego promyka nadziei, a wiara i zaufanie do generała, który " przeszedł swoje " na tej ziemi obcej, z której nas wyprowadzał, bardzo mocno podtrzymywały nasz polski hart ducha. Hart ducha Polek, którym udzielono wyraźnie całkowite votum zaufania;

Nazajutrz od świtu ćwiczyliśmy "Pożegnanie Generała": Na placu ćwiczebnym ustawiono nas w ten sposób, że po kilka tworzyliśmy wielkie drukowane litery, które razem stworzyły napis widziany z lotu ptaka. Każda ochotniczka miała ściśle określone miejsce. Na komendę rozchodziliśmy się do namiotów i na gwizdek zbiegały, ustawiały momentalnie w wyznaczonych miejscach.

Polecono nam ubrać się w spódniczki i popelinowe bluzki, bez krawatów, z rozpiętymi kołnierzykami, oraz w półbuty, bez pończoch (nota bene i pasów do nich!).

- Musi, co generał skrytykował nasz wczorajszy występ w galowych mundurach! - zauważyła Mańka - Bądź-z-Miasta.
- Ta, pewnie! Jak tak przechodził, to musiał widzieć w szeregach, że niejednej pot zalewał oczy, a nawet nie mogła się wytrzeć, kiedy stała "na baczność"! - potwierdziła Hela Jankowska.
- Każda ochotniczka weźmie swoją białą, wełnianą podkoszulkę. Trzeba trzymać ją w obu rękach za oba końce! Na komendę wnieść ręce do góry tak, aby te koszulki tworzyły kształtne litery, widoczne z lotu ptaka! -

Cwiczyliśmy też i to, aż wypadło równo i bardzo efektownie

- Ochotniczki, które nie tworzą napisu, będą stały w czworoboku, jako obramowanie dla tego napisu. Na komendę chwycić koszulkę prawą ręką za ramiączka, wnieść rękę do góry na całą długość ramienia i zataczać koła: od przodu do tyłu! Raz, dwa! Raz, dwa! - Przećwiczone.

Yulu Tuż przed godziną odlotu generała Andersa do Jangi - ~~Juku~~ ogłoszono zbiórki. Wybiegaliśmy wystrojone na letniaka, niosąc białe podkoszulki i ustawiły się w szyku.

- Baczność! Spocznij! Obowiązuje cisza! -

Wadsłuchiwałyśmy niezbyt długo, bo już wkrótce dał się słyszeć warkot samolotu i po chwili z daleka ukazał się śmieszny i mały dwupłatowiec, lecący w naszym kierunku.

Padła komenda i nim samolot zbliżył się nad naszą Górkę, już koszulki wzniesiono w górę.

"Bóg Cię prowadź, Generale!" bielił się napis w obramowaniu białego prostokąta machającego bielą.

Samolot trzykrotnie okrążył Górkę, w ostatnim przelocie zniżając lot nad środkiem naszego placu ćwiczebnego, na który

sfrunęła zrzucona biała kartka z napisem:

" I nas wszystkich - do Wolnej Polski !

W: Anders "

Samolot odleciał, a my jeszcze nie chciałyśmy się rozjeść, jeszcze łudziły się, że może zawróci, ale gwar wzniosł się taki, iż z pewnością nikt nie usłyszałby warkotu silnika. Odleciał.

Cieszyłyśmy się kartką od generała, cieszyły sprawioną mu niespodzianką, cieszyły wczorajszym spotkaniem, przeżywanym z lepszą świadomością niż wymordowane do ostateczności poprzedniego dnia i cieszyły, że tym razem wszystko poszło szybko i sprawnie bez tego upiornego przegrzania nas w tych hermetycznych mundurach.

A do tych wszystkich naszych mniejszych, czy większych radości dorzucono nam jeszcze jedną, i to niewątpliwie niebywałą, skoro aż poświęciłam jej zapis w malutkim notesiczku:

" Na kolację był kompot !" z suszonych (z pestkami) winogron, czyli z " kisz - miszu ". Tak uczczono ten uroczysty fakt historyczny, jakim była wizyta generała Andersa w Ośrodku Szkoleniowym Pomocniczej Służby Wojskowej Kobiet w Guzarze na Górcie.

Wartę miałam tego dnia od 14-tej do 24-tej, po godzinie, z przerwami. Napisałam do Rodziców kartkę o swym planowanym przyjeździe po Nich, aby Ich uprzedzić, by zdążyli się przygotować i skontaktować z Ciocią Izą.

31 lipca 1942 r. w dalszym ciągu pełniłam wartę. Po południu przywieziono ochotniczki z Guzaru, aby je dołączyć do Ośrodka, jako przeznaczone już do ewakuacji do Iranu. W tej grupie znalazła się też Wanda.

Jeszcze nie zdążyłyśmy się nacieszyć sobą, że jesteśmy razem, kiedy zwołano " kadrę zapasową ", do której i ja już się zaliczałam, ponieważ zrezygnowałam z tej ewakuacji, aby pojechać po rodzinę.

Teraz nas odwieziono do Guzaru, do dawnego Ośrodka Zapasowego, przy Sztabie.

Smutne było nasze krótkie pożegnanie. Wandzi żal się zrobiło, że uległa moim namowom i prośbom i zdecydowała się nie wypraszać od ewakuacji. Bała się też, czy dam sobie sama radę, bo pamiętała jak się nachorowałam i jak słabłam i mdlałam

po parę razy dziennie, w tym najgorszym okresie. Uspokajałam ją, że to już minęło. Teraz ona sama była znacznie słabsza ode mnie. Dlatego też byłam bardzo zadowolona, że to właśnie Ona wkrótce już będzie za granicą, gdzie lekarstwa, opieka lekarska, wyżywienie, a z pewnością i warunki bytu umożliwią jej powrót do zdrowia.

W niedzielę, 1 - go sierpnia, odwiedziłam Wandę na Górcce. Miałam przepustkę, nie musiałam się śpieszyć, mogliśmy sobie posiedzieć pod morwami, odsapnąć, porozmawiać, nawet wykąpać się w ariku, gdzie stale ktoś korzystał z wody i kąpieli.

Podczas takich wspólnych kąpieli już się przyzwyczałam nie przejmować nieskromnością nagości (czyjejs oczywiście) i nie zauważać jej prawie. Tym razem jednak mimo woli coś strasznie dziwnego zwróciło i zaprzętnęło moją uwagę, zmuszając do pewnej dociekliwości. Niedawno bowiem w namiocie miała miejsce niecodzienna dyskusja na temat którejś z ochotniczek, że jest hermafrodytą.

- A to co znowu takiego ? - zastanawiałam się w głos.

- Obojniak ! Po prostu obojniak - któraś wyjaśniała, co mi absolutnie niczego nie wytłumaczyło.

Musiałam mieć widocznie nader inteligentny wyraz twarzy, bo inna zauważyła:

- Patrzcie: ona nie rozumie ! No, to jest taki osobnik dwupłciowy. Trochę mężczyzna, a trochę kobieta. Już wiesz ?...-

- Aha ... - starałam się nie wyglądać głupio, ale nie mogłam sobie wyobrazić, ani tego faktu, ani rezultatów, jakie on z sobą przynosi danemu " osobnikowi ".

A tu właśnie w kąpieli niechcąc (słowo daję!) zauważyłam, że z dziewczyny (kościstego chudzielca, nawiasem mówiąc), coś wisi... Przerażona, pokonując głębokie zażenowanie, zdecydowałam się od razu wziąć byka za rogi i dowiedzieć się, co to właściwie jest. Może to jest owe obojnactwo ?

- Przepraszam cię bardzo, ale ... coś z ciebie wisi ... -

wystękałam, zmuszając się do tonu, który miał być rubaszny,

- Ojej !... To kiszka stolcowa mi wypada, bo się nie ma jak trzymać, bo tak schudłam ... - jęknęła zagadnięta i rozbezczała się.

- Och ! Nie płacz ! Już niedługo... W Iranie nas dokarmią i wyleczą, zobaczysz... No, nie płacz... Przepraszam cię

bardzo... - było mi strasznie przykro i żal biedaczki.
Czułam się jak podła idiotka.

- Tak, tak, ja wiem... To nie mnie jednej... Wiele z nas, żywych kościotrupów, ma ten kłopot... Przestań i ty beczeć. Ja wiem, że nie chciałaś mi zrobić przykrości... Tylko, że człowiek zrobił się taki nieodporny na ból, a to wszystko boli... - Biedny, bardzo biedny, żywy kościotrup !...

W poniedziałek, 2 sierpnia późnym wieczorem alarm.
- Pakować się ! Zaraz podjedzie ciężarówka i wyjeżdżamy. Namioty zostawić ! Ekwipunek własny zabrać. Zbiórka w pełnym rynsztunku za dziesięć minut ! Rozejść się ! - Padały zdania pospieszne.

Wyjaśnienia dopiero uzyskaliśmy w samochodzie. Otóż cofnięto wszystkim ochotniczkom w Guzarze zezwolenia na wyjazd po rodziny, likwidując całą tę naszą kadre zapasową.

Postanowiono całą likwidację pozostawić w rękach kadry zapasowej w Jangi - Juku, aby już tylko sam Sztab zajął się sprowadzaniem oraz ewakuowaniem rodzin wojskowych do Iranu.

- To dość logiczne - relacjonowała pani podporucznik, która już się nie zmieściła, z innymi komendantkami w szoferce.
- Dlaczego ? - martwiłam się, tym bardziej, że już nazajutrz miałam otrzymać wszystkie gotowe już dokumenty i diety i wyruszyć do Kazachstanu

- Bo pomyślcie: mamy swe dywizje rozproszone po całym Uzbekistanie : Jangi-Juk to Sztab Naczelny, Ługowoje - ~~szsta~~ ^{Dziesiąty} Dywizja, Karkin - Bałasz - szósta, Trockoje, Guzar - piąta, Karwine - siódma, Czok - Pak - ^{Dziesiąta} ~~piąta~~ Dywizja ... i tak dalej. Jeśli tam żołnierze, czy ochotniczki pozostawione w kadrze zapasowej, poprzywożą swoje rodziny, to znowu będą Polacy w rozsypce. I w chwili ewakuacji znów trzeba będzie ich ściągać, zwozić i zbierać... A tak, jak się już tym zajmie Jangi - Juk, to już będzie to wszystko razem, tam, na miejscu.

- Cała ta kadra zapasowa z tych wszystkich wyliczonych miejscowości mogłaby zwozić rodziny sama wprost do Jangi-Juku... - argumentowałam całkowicie zdezorientowana tą logiką.

- Ba !! Taka decyzja, to i taki rozkaz ! Służba nie drużba !... -

- Już " góra " wie, co robi !... -

- Nasz generał na głowę na karku !... -

Wyładowaliśmy się na Górcie wśród ciemności i spędziły

noc pod gwiazdami, bo namioty były szczelnie pozapełniane, tamtymi dowiezionymi w sobotę.

Obie z Wandą, rade ze spotkania, martwiłyśmy się o Rodziców, do których znów napisałam kartkę. Tym razem o tym, że cofnięto mi zezwolenie na przyjazd, ale zostaną wysłane papiery i dokumenty upoważniające Ich ^{do} opuszczenia Kazachstanu i przyjazdu do Uzbekistanu, na co zostaną dołączone bilety kolejowe oraz trochę pieniędzy. To samo napisałam do Eli W. na wszelki wypadek, aby Ich zawiadomiła.

Potem dodano obozowi kilka namiotów, więc Wanda ze swej ciasnoty wprowadziła się do "mojego", gdzie też zamieszkały zaalarmowane przeze mnie: Jadzia Malewska, Bronka Skrycka, Wanda Szamraj i Hanka Libera oraz parę innych, mniej mi znanych, które nie przyłgnęły do tej naszej paczki.

Wyjazd samochodami ciężarowymi z Górki na stację kolejową odbywał się wieczorem, 10 sierpnia, w kilku turach. Poprzedzony został wydaniem nam kompletnego wyposażenia ochotniczki, tak że każda z nas posiadała aż podwójny ekwipunek: dwa plecaki pełne sort mundurowych, dwie peleryny, które razem spięte tworzyły kompletny namiot dwuosobowy, w sumie aż sześć koców, po dwie menażki i nanierki itd itp.

- Każda ochotniczka jest odpowiedzialna za oba komplety ekwipunku, które ma przywieźć do miejsca przeznaczenia! - wyjaśniono.

- Zamienimy się teraz w wilbłądy dwugarbne! - śmiała się Bronka.

- Ty przynajmniej jesteś na to dość wysoka, ale ja?! - zafrasowała się Jadzia Malewska, jeszcze niższa od swojej siostry.

- Jak my sobie faktycznie poradzimy z tymi ciężarami? - martwiłam się szczerze.

- Będziemy sobie pomagać! - uspakajała Hanka Libera, a Wanda Szamraj dorzuciła:

- Albo znajdziemy kogoś do pomocy! -

Noc spędziłyśmy pod gwiazdami, na tych swoich plecakach, rozłożonych na całym terenie przy stacji kolejowej.

Załadowane wczesnym rankiem wyruszyłyśmy z Guzaru we wtorek 11 sierpnia (Zuzanny) pociągiem towarowym, wyposażonym w podwójne "mary" do spania. Nasz wagon, nr 42, znajdował się mniej więcej w środku pociągu.

Wpakowano nas tam tak strasznie dużo, że do spania kładliśmy się i na tych piętrowych parach i środkiem wprost na podłodze tak gęsto i ciasno, iż obracać się na drugi bok można było tylko równocześnie z sąsiadkami z obu stron. Robiliśmy to na komendę.

Porządkową w naszym wagonie została Zosia Nęcka. Energicznie komenderowała umiejscowieniem bagaży, tak aby zajmowały jak najmniej przestrzeni, a równocześnie nie wymagały długich poszukiwań przez swe właścicielki.

Podróżowałyśmy przy rozsuniętych drzwiach z obu stron wagonu. Wciasnocie, brudzie, upale i zaduchu, pod rozprężonym słońcem, głodne, zmordowane, nękanie pragnieniem.

Nade wszystko jednak tragiczną uciążliwością był brak już nawet nie ustępu, czy chociażby rury wylotowej, na którą tak narzekano w drodze do Kazachstanu, lecz kompletny brak chociażby jakiegos otworu w podłodze, jakiegokolwiek dziury, przez którą mogłybyśmy użyźniać ziemię poza pociągiem. Nic podobnego! Po prostu nie było i koniec! To nie był wagon dla ludzi!

Gdy pierwsze potrzeby organizmów stały się zbyt naglące znalazło się wyjście z sytuacji.

- Ani to eleganckie, ani malownicze, ale ... nie ma rady!

Trzymajcie mnie z całej siły za ręce! Po dwie za każdą rękę! A ja kucnę, wychylę na zewnątrz odwrotną stronę medalu ... - podjęła ta pierwsza desperatka.

- Zwariowałaś?! To niebezpieczne! ... - ktoś zaprotestował

- A co mam zrobić? Muszę! ... Trzymajcie! ... -

I tak to już się załatwiało.

- A ja myślałam, że taka podróż, jak ze Lwowa do Urdżaru, to już jedna z najgorszych ... Ale ty, Wanduś, miałaś jeszcze gorszą, przez te solone śledzie i brak picia... -

- No, tobie też nie było zbyt wygodnie przez tę noc zamkniętej w ustępie, gdyśmy jechały na gapę do wojska! Wylazłaś z tego smrodu całkiem zaczadzona ... - skwitowała moja siostra.

- Właściwie "nigdy nie jest tak źle, aby nie mogło być gorzej!..." - przypominałam sobie.

I rzeczywiście!

Było! ... Już nazajutrz

Gdzieś na jakiejś stacji pozwolono nam wysłać po kilka

osób po wodę. Nasz wagon ponapełniał wszystkie manierki, z całkowitym poczuciem niebywałej szczęśliwości.

Niestety ! Pochorowaliśmy się wszystkie. Biegunka tak nas dopadła, że wciąż tylko było słycać rozpaczliwe i przynaglające wołania:

- Trzymajcie mnie ! Prędszej ! Mocno ! -

- Pośpiesz się, bo i ja muszę ! ... -

Co do mnie, to już pierwszego wieczora paliła mnie gorączka, czułam się podźwigana, bolały " wszystkie kości i wnątrżności ", głowę miazdżył dokuczliwy ból. Nie rzucałam się na wodę, skapo wydzielalam sobie po troche suchary, poza którymi prawie nic nie jadłam. Ale czułam się fatalnie i gorączka kompletnie ścinała mnie z nóg. Ęeb, oczywiście pękał z bólu. Wreszcie, gdzieś w głuchym stepie zatrzymano pociąg.

Ze wszystkich, pootwieranych przez cały czas na oścież wagonów, wysypało się mrowie ludzkie. Na oślep po obu stronach pociągu, biegiem, kilka, czy kilkanaście kroków.

Ja też, owczym pędem. W biegu Wandzia podała mi czapkę, którą zdążyła chwycić, zanim zeskoczyła z wagonu.

- Na, masz !... -

- Fajnie !... -

Pobiegliśmy za innymi. Sąsiadujące z naszym wagony wypełnione były ochotniczkami, ale tam gdzieś dalej, czy bliżej byli żołnierze ! Mężczyźni !...

Zdażyłam zauważyć, że dziewczęta, kucając, nasuwają sobie czapki na twarz.

- Bardzo słusznie ! - pomyślałam i zrobiłam to samo.

Tymczasem obie lokomotywy już gwizdały: i ta z przodu, która ciągnęła, i ta z tyłu, która popychała.

- Prędszej ! Prędszej ! - wołano.

Całe ludzkie mrowie, niezależnie od stanu uporządkowania garderoby na sobie, rzuciło się w stronę pociągu, w biegu poprawiając odzież ...

- Podsadźcie mnie, jestem lekka ! Podam wam rękę z wagonu !...-

- Się robi ! ... -

- I ty lekka, też skacz w górę ! ... -

- Podaj rękę ! ... -

- Uf ! ... -

- Mogliby częściej zatrzymywać... -

- Mogliby ogłosić, że mężczyźni z jednej strony pociągu, a

kobiety z drugiej ... -

- Ojej ! Kto tam się na co patrzy ? ... -
- Ciekawe, ile to dni potrwa ? ... Czy człowiek dojedzie żywy ? ... -
- Dojedzie, dojedzie ! Złego licha nie weźmie ... -
- To jak w tej piosence ! Zaśpiewajmy:

„ Może nie wszyscy, ale dojdziemy !

Może nie wszyscy... Jak zechce Bóg.

Ale napewno wszyscy będziemy

Szukać powrotnych do Polski dróg ! ” -

zaczęła Zosia Męcka, ale jej głosik, tłumiony szorstkim stukotem kół, jakoś bezradnie zatrzępotał nad wymęczonym tłumem i unilkł niezasilony przez nikogo.

Podróż trwała cztery doby. Najdłużej ciągnęła nam się przez pustynię Kara Kum (zwaną pustynią głodową), która swą szarą jednostajnością męczyła wzrok i budziła uczucia bezradności i beznadziejności. Tam postoje urządzano kilka razy dziennie.

Wreszcie Krasnowońsk !

Wymarzone morze - czyli praktycznie ujmując - wreszcie kąpiel ! Po tych dniach upału jest co zmywać z naszych utłuczonych i wysmażonych we własnym sosie biednych ciał ! - myślałam. A; no: " Człowiek myśli - Pan Bóg kryśli " !

Gdy dotarłyśmy do morza, ból głowy zdawał się całkowicie zmiążyć wną czaszkę.

- Nie będę myła głowy ! - oznajmiłam Wandzi.
- Dobrze, skąpnij się prędiutko. Ja ci pomogę, aby to było prędeż, bo przecież gorączkowałam przez całą tę podróż...- martwiła się.
- A ja ci wymyję plecy - starałam się też przydać.

Było to moje pierwsze w życiu spotkanie z morzem, ale nie miałam dość sił, aby się tym wzruszyć.

Uwinęłyśmy się dość prędko, ale okazało się, że ta morską woda nie nadaje się do używania mydła. A jeszcze gorzej, że po powierzchni jej pływa gęsta, lepka i ciemna ciecz, którą trzeba z siebie zmywać piaskiem i starać się spłukiwać zaczerpniętą jakoś z głębi, co nie było zbyt łatwe.

Owszem, ochłodziłyśmy się wprawdzie, ale równocześnie strasznie była męcząca ta cała kąpiel.

- Nie myłycie głów? A, to szczęśliwie! - zwróciła się do nas Jadzia, usiłująca rozczesać włosy, zlepione gęstą mazią.

- Ratzunku! Mnie się zrobił kołtun na głowie! - lamentowała Wanda Szamraj, zawsze tak dbała o swą ondulację.

- A ja nie mogę nawet wbić grzebienia w moje kudły! - skarżyła się Bronka Skrzycka, kędzierzawa, ruda blondynka, o bardzo gęstych włosach. - To klęska! ... -

- Tak, to ropa naftowa... - ktoś oznajmił

- Ha, niby dobra na insekty, ale ... -

Dziewczęta dokonywały cudów, aby dostać morską wodę spod warstwy ropy i setnie się umordowały, zanim zdołały przynajmniej z wierzchu przygłodzić posklejane kołtuny.

- Ależ wam się udało!... - podziwiała naszą przezorność.

- Przypadkowo... Przez mój ból głowy... - przyznałam.

- Trzeba zdobyć zwyczajną wodę! Nie morską! -

- Nie ma!... -

- Jak to: nie ma? -

- Właśnie przed chwilą przechodziła tędy służbowa i informowała nas: Tutaj nie ma słodkiej wody wcale. Dopiero z morskiej biorą i destylują - A nas jest tak dużo, że ledwie wystarczy po kwaterce na osobę... -

- Po kwaterce? ... -

- Ile razy dziennie?... -

- Raz, tylko raz dziennie! I wydzielać będą według kompanii, każdemu osobiście i pod kuratelą komendantki kompanii!... -

- O, Jezu! ... - na samą wiadomość zrobiło mi się słabo.

- Wodę macie brać do manierek i zatykać, aby tam się co nie dostało, jeśli chcecie ją mieć do picia! ... - usłyszałam dalszy ciąg informacji.

Długo stałyśmy w niesamowitej kolejce po wodę, wydzielaną nam skąpą miarką kwaterkową wprost z destylatora. Wydawano każdemu osobiście, aby nikt nie pobrał więcej niż raz.

Potem same sobie wydzielałyśmy bardzo oszczędnie, doceniając wodę pod tym skwarnym niebem, tak jak ludzie na pustyni. Była ciepła i zdawało się, że jest pozbawiona wilgoci!

Na rozprażonym piasku rozkładałyśmy swe bagaże, montowały namioty, usiłowały stworzyć jakiś cień, aby w nim chociaż skryć głowy, które po ciężkim dniu wreszcie wieczorem można było złożyć do snu.

15 sierpnia, Matki Boskiej Zielnej.- Ciekawe, czy tam w Kraju mogą święcić ten dzień? Na wsi wilo się wianki z polnych ziół i kłosów... Całym obozem harcerskim, czy też całą kolonią szkolną wędrowało się do kościółka wiejskiego, gdzie wystrojona ludność całej parafii uczestniczyła w uroczystej mszy, procesji i w odpustowym festynie... Czy to tak rzeczywiście kiedyś bywało? Teraz... czy to tam możliwe? A co robią Nasi? Gdzie są i w jakich warunkach?... -

Gwizdki pobudki przerwały wspomnienia i rozważania.

Rocznice Cudu nad Wisłą spędziłyśmy nad wschodnim brzegiem Morza Kaspijskiego... Trochę za daleko, -jak na mój gust!..

Nie było księdza i nie było mszy świętej w to święto.

Kręciliśmy się między obozem, brzegiem morza (ostrożne mycie) i destylatornią, przemierzając sypkie piaski całego terenu.

Jadłyśmy jakieś tam skromne śniadanie, gdy podszedł do nas starszawy pan major.

- Panie pozwolą, że się przedstawię: Nowina - Nowicki, Mam tu swoje miejsce pobytu w sąsiedztwie i już wczoraj chciałem porozmawiać, ale widziałem, jakie jesteście zmęczone...-

- O, tak. Po tej całej podróży i niefortunnej kąpieli... -

- No, właśnie. Dlatego dziś przychodzę... Mówią, że do portu nie będzie samochodów i trzeba będzie przemaszerować!..-

- Podobno to cztery kilometry? -

- Pięć! Całych pięć, bitych pięć kilometrów!... -

- Ojej! - zmartwiłam się poważnie.

- No, właśnie!... A ze mnie to się ostatnio zrobił taki zbieracz... To po wyjściu z lagru, gdy człowiek miał tylko tyle, co na sobie... A teraz mam już trochę gratów i jakieś pamiątki... Ale jestem po chorobie bardzo słaby, więc muszę z nich zrezygnować. O, widzicie panie: tu i tam ludzie porzucili dość dużo rzeczy, aby ich nie dźwigać. Ja też wykożyłem to wszystko... Ale zrobiło mi się tego żal wyrzucać, zawsze to pamiątki... Może choć coś zechcecie sobie panie z tego wybrać dla siebie, na pamiątkę po mnie... Proszę bardzo, zróbcie mi tę przyjemność... -

Tak gawędził i przekonywał, że poszłyśmy zobaczyć te jego pamiątki, z którymi łatwiej było mu się rozstać, powierając je nam, a nie mógł pogodzić się z myślą porzucenia ich na piasku.

Każda z nas coś sobie wybrała. Wandzia wzięła uzbecką ludową szkatułkę drewnianą, wykonaną w kształcie walca, wznoszącego się na jednej nóżce, o okrągłej podstawie. Szkatułka miała szczelne wieczko. Całość malowana w kolorach tarakota ze złotym i z brązem. Ja wybrałam sobie krzyżyk, bo był z Polski. Nieduży, czarno - srebrny, ale dość ciężki. Bronka ucieczyła się jasikiem, ale miała wątpliwości:

- Panie majorze ! Przecież to nie jest ciężkie ... -
- Może i racja. Osobno, to każda rzecz zdaje się niezbyt duża, czy niezbyt ciężka, tylko że razem, to tak ziarnko do ziarnka... Ale może pani śmiało wziąć, bo mam drugi jasiczek i nie będę pozbawiony wygód !... -

Podziękowałyśmy i zabrawszy po pamiątce, nie dziwiły się, że właścicielowi żal było wyrzucać cokolwiek. Same też byłyśmy w takiej sytuacji, że człowiek nawet nie ma co liczyć z tych własnych rzeczy, więc wiedziałyśmy, rozumiąły świetnie, jak miało się ochotę cokolwiek mieć na własność:

Wracając do siebie zwróciłyśmy uwagę na wiele rozmaitych przedmiotów, porzuconych wprost na piasku.

- Wiesz, Wanduś, z czym mi się to kojarzy ? ... - zapytałam
- Właśnie też myślałam... - zaczęła
- Obraz! " Pochód na Sybir " ... -
- Tak... Skazańcy brodzą po śniegu i zrzucają swe tobołki, bo nie mają siły ,... -
- Właśnie ! Czy wiesz, że Mama pamiętała ten obraz ? Jak nas zabierali i chciałam z Tatą pakować, więc znosiłam rzeczy, o których myślałam, że się nam przydadzą (zresztą sama odzież), to Mama odbierała mi je i odrzucała, bo:
 - " Kto to wszystko będzie dźwigał ? Kto będzie miał siły ? Zostaw, to tu, będzie dla Dzidki. A tam nie udźwigniemy i będziemy to rzucać na śnieg !... " ~
- Biedna Mama !... Co teraz Oni zrobią ? Co z nimi będzie ?...- Wanda zdradziła swe niepokoje.
- Dziewczyny ! To Mietek ! Przeszedł nam pomóc ! - wpadła na nas rozpromieniona Wanda Szamraj, przedstawiając nam jakąś uśmiechniętą, dwumetrową tyczkę, zakończoną na szczycie furazerką na bakier.
- Pierwsza rzecz, to trzeba zrobić trochę cienia ! - zdecydował z zapalem.
- Bardzo słusznie ...-

- Ba ! Ale niby jak ? -
- Przyniosę jakieś patyki i wykorzystamy peleryny ! - wołał już oddalając się pośpiesznie.
- Zobaczycie , jak będzie fajnie ! On jest bardzo opiekuńczy!- Wanda Szamraj chwaliła znajomego. Miała rację. Stworzył nam cień pod rozpiętymi pelerynami , a nawet przyniósł chyba z pół manierki wody ! Z własnej pilności zbudował też mur z naszych dodatkowych plecaków, dzięki czemu już nam tak nie wiało piaskiem w oczy. Przy tym cały czas podżartowywał, lub coś nucił, aż wszystkim zrobiło się rażniej. Wanda Szamraj była uszczęśliwiona.

Moja siostra zaś, jakoś przetrzymała trudy podróży i uciążliwości postoju znacznie lepiej niż obawiałam się, że to zniesie. Była bardzo dzielna.

Wyznaczono mi w nocy wartę, gdzieś na skraju obozowiska. Bardzo gęsto porozstawiano te nasze posterunki wartownicze, pod gołym niebem, bo całe to nasze terytorium, na którym rozprzestrzeniło się nasze królestwo na piasku, nie było niczym oddzielone od pozostałej reszty świata.

Chodziłyśmy więc, wartowniczkami, po tych kilkanaście kroków tam i z powrotem, zresztą bez większego przekonania o konieczności pełnienia tych wart i o realnej potrzebie, poza trzymaniem się tradycji wojskowej.

Potem, wartowniczkami z dalekiego, przeciwległego końca naszego obozowiska opowiadały, że aż do nich słychać było detonacje.

- Co za detonacje ? Myśmy nie słyszały... - zaciekawiłam się.
- A, to z tych magazynów żywnościowych ... Nie wszystko już zakopano w piasek i wiele konserw nagrzaných w tym upale teraz wybuchają ! ... -
- Mój Boże ! Tak marnować żywność ! W takim strasznym okresie ! ... -

Nie mogłyśmy tego zrozumieć ani wybaczyć !

W niedzielę już był ksiądz i odprawił Mszę Sw. Uczestniczyłyśmy wszystkie z naszej paczki, ale ja zaskabłam i zemdlałam.

A potem gdzieś się Wanda dowiedziała, że do osiedli ludzkich jest około trzy kilometry i postanowiła wybrać się po wodę. Wyruszyła z Bronką Skrzycką i z Hanką Liberą. Wzięła swoje i moje manierki oraz ostatnie nasze prywatne rzeczy:

czerwoną ryneczkę, którą nam Mama dała na podróż i prawie litrowy garnuszek, a także swoją i moją koszulkę nocną, przysyłane nam w paczkach ze Łwowa, gdzie je Dzidce dla nas uszyła z nowego płótna Fela Hussówna, jedna z przyjaciółek z drużyny starszoharcerskiej.

Po paru godzinach wróciły, wymęczone okrutnie, ale nie z próżnymi rękoma.

- Zdobyłam ! Zdobyłam wodę ! Aż dwie menażki ! - sapała Wanda, siląc się na swobodne ożywienie.

- Kochanie ! Tyle się nachodziłeś ! ... -

- Ale mamy wodę ! I jeszcze dwie menażki wina ... -

- Wina ? -

- Tak. Łatwiej o wino: chętnie sprzedają. O wodę znacznie trudniej. -

- Ona niemalże wypłakała tę wodę dla chorej siostry ... - szepnęła mi później Bronka.

- Mój Boże ! ... - dławik mnie wstyd, że tyle sprawiam kłopotu. I z tą wieczną gorączką w pociągu i z tym zemdleniem, ...

- Hej, gdzie tu jest chora ? Meldowano chorą ! - dopytywała się służbowa.

- To ta - wskazano na mnie.

- No, to masz twój przydział, bo to tylko dla chorych: cztery daktyle ! A za godzinę zbiórka chorych pod komendą ! Cześć ! -

- Dziękuję ! - zdążyłam zawołać za odchodzącą.

- Wanduś, bierz ! - podawałam daktyle

- No, wiesz ! Zjedz sama ! To tylko dla chorych ! -

- Wcale nie zjem, jeśli nie chcesz się podzielić ! Jeszcze tyle się nachodziłeś, a taki z ciebie chudzielec ! -

- Nie marudź, tylko jedz. Musisz być silna ! -

- A ty nie ? Musisz, chociaż te dwa ! Proszę cię ! -

- Nie i nie ! No, przestań ! Nie becz ! Wezmę jednego... -

W końcu pobeczaliśmy się obie przy tych słodkich daktylach, rozgoryczone na cały świat.

Piłyśmy wodę z dodatkiem wina i wypoczywały na piasku, z głową w cieniu przesuniętego już baldachimu z peleryny.

A potem gwizdki zwoływały zbiórki, osobno dla chorych, przed namiotem komendy.

Słońce już odbyło trzy czwarte swej dziennej drogi, czyli przestało przypiekać swą maksymalną siłą, ale

powietrze wciąż jeszcze mocno nagrzane, rozpalony piasek i przywiewany od morza piekący odór ropy naftowej, nie ułatwiały oddychania pełną pierśią.

Tłumek chorych pod namiotem komendy jeszcze się rozrastał, gdy już wyjaśniono nam, o co chodzi.

- Najbardziej chore pojedą razem ze swymi rzeczami, naturalnie z tym podwójnym ekwipunkiem, do portu. Skłębowe są odpowiedzialne za to, że nie wolno brać więcej bagażu, niż na każdą chorą przypada ! -

- A reszta ? -

- A te zdrowe ? ... -

- A to już nie wasza rzecz ! Będą miały zbiórkę osobno !...-

Wydało mi się to mocno podejrzane,

Wróciłam do Wandy i całej paczki.

Okazało się, że dodatkowy ekwipunek mają złożyć w oznaczonym miejscu, pod okiem warty. Cały zaś rynsztunek własny ma zostać przy właścicielkach. A potem wyszło na jaw, że mają z tym całym rynsztunkiem własnym maszerować do portu ! Pięć kilometrów !

Pełny plecak, a na nim zrulowane trzy koce, pełny chlebak i dwie manierki - też doradzano pełne, aby po drodze było co pić ! W pełnym umundurowaniu, oczywiście !

To prawda, że już chyba nie było około +50 - +60°C, ale około czterdziestu mogło być !

- Chodź, Wanduś ! Przecież wytłumaczymy, że jesteś chora !

Wystarczy popatrzeć na tę skórę i kości !... - Namawiałam gorączkowo i pośpiesznie pociągnęłam siostrę pod namiot komendy.

- Nie była zapisana przy rannym raporcie ! - odszczeknięto, na moje petycje.

- Ale teraz czuje się znacznie gorzej ! Przecież wystarczy popatrzeć ... - nie ustępowałam

- Chora ? Naprawdę taka bardzo chora ? -

- Tak, właśnie ... -

- No, to zameldować w Izbie Chorych ! Zostaje ! Nie nadaje się do ewakuacji. Ciężko chorych nie wolno wywozić ! -

- Ale my z siostrą musimy być razem ... -

- Nie zawracajcie głowy !... -

- Chodź, Ala, chodź !... - Wanda odeszła.

Poszłam za nią.

- I co my zrobimy ? Co robić ?... - gorączkowałam się
- Pojedziesz samochodem , a ja pomaszzeruję ... -
- Z tymi ciężarami ?... - Nie mogę na to pozwolić ! ... -
- A czy jest inne wyjście ? ... -
- Wiesz, to przynajmniej ja wezmę twoje rzeczy, plecak i chlebak. A ty weźmiesz swoje dwie manierki ! Choć przynajmniej tyle ... -
- Ale ci nie pozwolą, sama wiesz ... - twierdziła
- Chodź ! Spróbujemy !! -

Ostatecznie udało mi się tylko przemyścić Wandy plecak (z tymi kocami przytroczonymi na nim przepisowo), zamiast mojego chlebaka. Jechałam więc z dwoma plecakami, a Wanda pomaszzerowała z dwoma chlebakami, co na początku pewnie wydało się wielką ulgą, ale na przestrzeni tych pięciu kilometrów musiało się " unieść ". Żałowałam, że nie zdążyłyśmy przepakować ich tak, aby przynajmniej wyjąć z chlebaków menażki, bo były dość ciężkie. Biedula uspakajała mnie, że w porównaniu z innymi i tak miała znacznie mniejszy ciężar i czuła się " jak ta hrabinią " !:

Wieczorem w porcie już ładowano nasze Wojsko na stateczek towarowy, drobnicowiec " Żdanow ". Nam kazano też wchodzić, każdej z tym podwójnym wyposażeniem, aby nie zostawić. Tymczasem jeden samochód z samymi bagażami nie dojechał, nie znalazłyśmy tych dodatkowych swoich bagaży do późnego wieczora i wobec tego któraś z komendantek kazała nam zostać:

- O świcie znajdziecie rzeczy i wtedy wejdziecie.
- Zdążycie, zdążycie, nie bójcie się, już się upewniłam.
- I rzeczy tamtamt waszych koleżanek także przyniesiecie.
- A one wam już zajmą miejsce koło siebie!... - zapewniała.

Wobec tego nie wchodziłyśmy już na trap, tylko zeszkłyśmy na dół, na nabrzeże i szukały jakiegoś miejsca, gdzie mogłybyśmy złożyć te manatki, które przyjechały ze mną.

- Tam wydają zaprowantowanie - ktoś nam pokazał.
- Dziękujemy -

Poszłyśmy i pobrały. Głównie suchary (wysuszony w kostkach chleb) i nie pamiętam, co tam mogło jeszcze być oprócz tego.

Przenocowałyśmy na piasku, który nad ranem zrobił się wilgotny i zimny. Gdy tylko zaczęło się rozjaśniać, ruszyłyśmy na poszukiwanie, zostawiwszy rzeczy pod opieką przygodnego

sąsiedztwa. Łaziłyśmy, jak pokamane. Szczególnie odczuwałyśmy ból kości kończyn, tym bardziej, że przemarzyłyśmy. Poza tym byłyśmy niewyspane. Wieczorem bowiem długo nie mogłyśmy zasnąć. Wandzia z pewnością głównie z powodu przemęczenia. Mnie denerwowały głośne rozmowy i śmiechy tych niedobitków, czekających podobnie jak my na odnalezienie niedowiezionych na czas rzeczy.

Opowiadano sobie, że wartownicy sowieccy nie pozwalają zaokrętować nikogo, kto nie wchodzi na pokład po trapie o własnych siłach.

- "Balnojk? Eto nie lzia!" (Chory - a więc nie wolno!)

Zaradni wojacy polscy pociągali wino z butelki, dwóch kolegów brało chorego pod rękę i na trap wkraczali tym głośniejsze śpiewając, im bardziej chory nie mógł wlec nóg i się zataczał.

- A strażnicy? Co na to? - ktoś się dopytywał.

- Oni? Kazali sobie chuchać! ... -

- No, i co? -

- A, no, przynajmniej sobie powąchali, że ktoś pił! ... -

- Dobrze i to! -

- Dla nich dobre i to! - pokpiwały oczajdusze.

Miejsca miałyśmy tyle, że kręciłam się swobodnie z boku na bok. Aż usłyszałam, że moja dzielna siostrzyczka popłakuje w ciemnościach i stara się to zatuszować wycieraniem nosa... Zbyt częstym i zbyt długim... Tak... Zbyt wiele się na nią zwałiko, zbyt wiele nazbierało... I zbyt mało nadziei...

Odnalazłyśmy o świcie cały ten zagubiony bagaż i Wandy i całej naszej paczki. Nosiliśmy to po kilka kroków, stawiały, wracały po następne i tak, aż do podnóża trapu. To samo z moimi rzeczami z miejsca noclegu. No, i z tym kolejno już miałyśmy przekraczać Rubikon, gdy któraś już nas z góry ujrzała i wyszła naprzeciw, do strażnika, więc dbiej donosiłyśmy po kolei, aż na koniec już tylko z własnym wyposażeniem wchodziłyśmy na trap. Tej zaokrętowanej nie pozwolono wrócić na dół.

- Odjeżdżamy ... Odpływamy, a ~~ona~~ zostają! ...

Już nie tysiące kilometrów ziemi, ale i morze i granice będą nas dzielić ... Mój Boże! ... Zmilkuj się; zmilkuj! ... - nie wytrzymałam. Nie zdołałam się opanować.

- Ala, nie płacz! Nie wolno! Proszę cię! - powiedziała

moja siostra, sama przeżykając kzy...

- " Bolnoje ? Bolnoje ? " - strażnik nachylił się nade mną, gdy z trudem wspinałam się w górę

- Nie !! Nie!-

- " A to za czom eta ślozy ? " Jeszcze ja nie widział, żeby kto płakał jak stąd odjeżdża... - dziwił się szczerze, nie mógł pojąć !

- Mama ! Mama tu zostaje !-krzyczałam z rozpaczą, już niepomna munduru, nie panująca nad sobą, zrozpaczona aż do ogłupienia.

- " Aa... poniał... poprawno "... - usłyszałam przez wszystkie młoty walące w skroniach.

- Chodź !... - Wandzia chwyciła mą dłoń i pociągnęła za sobą na statek. - Chodź !... -

Pierwsza w życiu podróż statkiem!...

Czy ja kiedyś wogóle śmiałam o tym marzyć ? Chyba nie. Chyba nawet nie śmiałam. Albo może jeszcze w takich latach, gdy się wierzyło w latające dywany i czarowne lampy Alladyna. Przydałaby się !...

Stateczek tak nieduży, że nawet tam, na dole, patrząc z ziemi dziwiłam się, gdzie się pomieści " tyle luda" ? Bo obserwowałam przez dość długi czas, kiedy szli i szli i szli... - Gdzie się to wszystko pomieści ? - pytałam.

No, więc zobaczyłam na własne oczy: gdzie ! Więcej ! Przechodząc przez upchany na gęsto ludzki tłum często nawet dotykem mogłam się przekonać gdzie i jak się to pomieściło...

Bronka halowała nas do naszej kwatery.

Przeszliśmy przez otwarty pokład, przeważnie wyłożony polskimi ciałami ludności cywilnej oraz resztkami jej dobytku w jakichś tobołach, czy walizkach, lub koszach. Dzieci przeważnie jeszcze spały, powciskane między rzeczy lub ludzi. Ścieżka między tym wszystkim była wąska, czasem zatarasowana przez czyjeś nogi, lub przeszkody z gatunku martwej natury, skrajnie różnej od tej, którą tak chętnie przedstawiają artyści malarze na swych obrazach.

Potem przechodziliśmy przez wąski korytarz, schody, znów korytarzyk i miejsce pod pokładem dość obszerne, prawie jak średnia izba. Po jakimiś drzwiami kolejka wzdłuż ściany. Stąd dalej prowadziło około dziesięciu schodków w dół do jakiegoś ponurego kubryka, czy schowka.

- To tutaj ! - obwiściła Bronka.
- O, jesteście ! - odezwał się głos Jadzi Malewskiej, gdzieś z kąta na prawo od schodków - Tu jest miejsce dla was - wołała z ciemności
- Ta, gdzie ? - nie rozumiałam
- O, tu ! - pokazała, przesuając się bliżej ściany.
- A tutaj jeszcze i ja śpię i Hanka Libera - dodała Bronka
- Nie mogę sobie tego wyobrazić - przyznałam
- A, to nic ! Jeszcze nie musisz. A potem się przekonasz... - Ruch już panował i gwar.
- Lepiej siedzieć, bo leżeć za ciasno ... - któraś doszła do wniosku.

Upchałyśmy z Wandzią swoje rzeczy, dziewczęta poprzy-
nosiły tamte, odnalezione i pousiadałyśmy, gdzie i jak się
dało. Mnie męciły te schodki, ale zbyt wąskie, aby nie wsta-
wać, kiedy ktoś nimi chciał przejść, więc nie można było sie-
dzieć wcale, bo chodzono stale w górę lub w dół:

- Gdzie tu jest ustęp ? - zapytała Wanda
- A, to tam, na górze - któraś powiedziała
- Tam, gdzie stała ta kolejka - dodała Bronka
- Kolejka ? To niedobrze ! Muszę pójść ... -

Przyznałam jej rację i poszłam za dobrym przykładem.

Było jeszcze raczej wcześnie. Żadnej pobudki, ani apelu.
ani nic z tych rzeczy nie organizowano, z powodu braku miej-
sca. Wobec tego nieliczne ochotniczki jeszcze leżały, więk-
szość wolała siedzieć, bo to mniej niewygodnie i rozmawiały,
bo cóż innego można było robić w ciemnym i zatłoczonym kubry-
ku ?

W pobliżu naszego kącika było małe okragłe okienko, w
stronę pełnego morza. Było tak duszno że je otworzono:

Po półgodzinnym czekaniu w ogonku dotarłyśmy do celu,
czyli ustępu. Ciasny, nieoświetlony, z wylotem bez sedesu i
muszli. Uf !! Tylko jedna kabina - na nie wiadomo ile osób !
I. to ciemna całkowicie.

Wróciłyśmy do swej mysiej nory, bo nie było sensu pę-
tać się w tłoku, ani celu, aby wyjść na pokład przeszkadzać
ludziom przełazaniem ponad leżącymi:

Gryzłyśmy po trochę suchary, siedziały na plecakach,
rozmawiały, drzemały, wzdychały w myślach do Pana Boga:

Wreszcie statek zaczął się mocniej chybotać, gwizdać,

trzeszczeć i szczekać, a w końcu nie było już wątpliwości, że rusza.

- Dziewczyny !! Chodźcie !! Grają nam na pożegnanie !! :-:- -

Rwetes i hałas zrywających się i śpieszących zagłuszył dalsze wołania. Zdołaliśmy i my wydostać się na pokład, jak gdyby wystrzelone przez tłum popychający nas z wnętrza. Wystrzelone, jak korek z butelki.

Ponad głowami tych zgromadzonych przy burtach zdażyłam jeszcze zobaczyć i zdołałam usłyszeć. Oto wojskowa orkiestra Czerwonej Armii pod batutą jakiegoś dyrygenta, grała nam na pożegnanie:

" Jeszcze Polska nie zginęła "...

a tłum na statku podchwycił melodię i zagrzmiął nasz hymn narodowy z taką siłą, że aż miałam wrażenie, że drętwieję od stóp do głów w tej postawie na baczność, z przejęcia, że musieli nas uznać, że uroczyście nas żegnają, że oni nam grają ten hymn, za którego odśpiewanie nie szczędzili kar... Zorientowałam się zaskoczona, że i ja śpiewam, drę się na całe gardło, zresztą tak samo, jak nasze ochotniczki i rodziny cywilne i dzieciaki, te większe bardzo przejęte.

Następnie odegrano wolno i poważnie znaną nam pieśń rosyjską :

"Szyroka strana moja rodnaja."

Tak nas żegnano na tej pierwszej na szlaku tułaczym ziemi obcej, na której znaleźliśmy się " rzuceni losem wojny ", ale nie z własnej woli. Wbrew niej.

Co do mnie, przeżyłam na niej dwa lata i cztery miesiące (13.IV.1940 - 17.VIII.1942), niejednokrotnie niemal o włos od zakończenia swej ziemskiej wędrówki, ale widocznie nie nadszedł jej kres.

Jeszcze, póki na statku radzieckim, liczy się tak, jak gdyby na ich ziemi, bo też w ich władaniu.

Na pełnym morzu już w ten pierwszy dzień podróży w poniedziałek 17.VIII coraz więcej z nas zapadało na chorobę morską. Także większość nie wygrzebała się z biegunki, nabytej w podróży pociągami, jeśli nie wcześniej. W naszym kubryku była nasza kompania. Inne popychane po wszystkich możliwych i niemożliwych pomieszczeniach, magazynkach, czy mysich dziurach, też schodziły się do tego "naszego" ustępu.

Także i cywile z dziećmi i mężczyźni.

Po południu, po dwóch godzinach stania w kolejce do ustępu, zemdlałam. Dość długo mnie cucono, z poświęceniem na to wody (!), a gdy już przyszkam do siebie, wspaniałomyślni ludzie w kolejce przede mną sami zaproponowali, że mnie przepuszczą. Przyjęłam to z prawdziwą wdzięcznością, ale z błaganiem, aby siostra weszła ze mną, bo jestem słaba i boję się upaść. Nikt nie zaprotestował, wobec tego skorzystałyśmy z tak szalonej okazji. Obie !

A dziewczyna, która w kolejce stała tuż za nami, czekała na swoje wejście następne dwie godziny ! Nie przesadziłam ani o minutę !

Wreszcie raz spełniło się przysłowie: "Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło !"

Otóż po tym moim zemdleńiu kobiety narobiły dużo ruchu, poprzez naszą komendantkę i komendanta transportu, aż do kapitana statku, tak że wreszcie otworzono nam ustęp przeznaczony dla załogi, z tym tylko zastrzeżeniem, że oczywiście załoga wchodzi bez kolejki. Ale nasza kolejka rozładowała się już na połowę ! Oznaczało to czekanie już tylko dwugodzinne... - Cholera ! Nie zdążyłam ... Przez tę biegunkę...

Wybaczcie mi, ale muszę tu się przebrać, oporzędzić... i... wyrzucić majty przez okno ... - któraś pierusza to przeżyła.

- Ojej ! Przecież masz je wpisane w kartę mundurową ! Conajmniej karny raport za brak sort mundurowych !... -

- No, to co ? Muszę wyrzucić ! Przecież nie ma ani gdzie, ani czym uprać !... - Najwyżej zapłacę - będą mi potrać z żółdu... -

- Bardzo słusznie ! Nie możemy się tutaj dodatkowo truć... -

I tak się dusimy od zaduchu i upału !... -

- Za okno ! Do morza !... -

Ten pomysł z konieczności przydawał się coraz częściej także i innym:

- Phi ! Ostatecznie wieziemy podwójne sorty, czyli w sumie każda ma po trzy pary białych, wełnianych i po trzy jedwabne pary khaki w każdym plecaku ! Razem tuzin ! Musi wystarczyć !... -

- A w nocy są mniejsze kolejki... -

- Dobrze i to. Przynajmniej jak jedna pójdzie, inne będą mogły się obrócić na drugi bok !... -

- A mnie się zdawało, że tamta podróż z Guzaru do Krasnowod-
ska, to już jest najgorsza... - rozmyślałam, pełna prze-
rażenia na myśl, jakie podróże czekają Naszych Najbliższych:

We wtorek, 18.VIII. straszne wydarzenie odebrało nam
resztki fantazji i chęci do nadrabiania miną.

Na pokładzie, gdzie warunki ludności cywilnej wraz z
dziećmi, były bardzo trudne, zdarzył się tragiczny wypadek.

Młoda matka nie posiadała nocniczka dla swego dziecka.
Synek jej zachorował na biegunkę. Trzymała go ponad burta,
aby się zakatwił. Malec spojrzął w dół i przestraszył się
tak, że nieoczekiwanie rzucił się jej w ręce i nie zdoła-
ła go utrzymać. Wpadł do morza, prosto pod śruby okrętowe.
Zginął na miejscu.

Miał trzy latka, czyli w pieluszkach wiozła go w tran-
sporcie do Kazachstanu, czy na Syberię... Szczęśliwie prze-
żył wszystkie tamte niedole: Kobieta jechała do Iranu za mę-
żem, który ją odnalazł po wyjściu z więzienia i lagru i spro-
wadził do Uzbekistanu, dokąd dotarła już po jego ewakuacji
do Iranu. Nie wiem, czy widział osobiście żonę i synka, czy
tylko zdołał korespondencyjnie nawiązać kontakt. W każdym ra-
zie oczekiwał ich w porcie w Pahlawi. Wyniesiono ją w kafta-
nie bezpieczeństwa. Zwariowała.

Ostatnią przystań tej pierwszej na naszym szlaku obczy-
zny, opuściliśmy schodząc ze statku, przy akompaniamencie
obłądnych krzyków i tragicznych, wrzaskliwych wybuchów śmie-
chu młodej kobiety, którą nieszczęście doprowadziło do szaleń-
stwa.

Było to we środę, dziewiętnastego sierpnia, tysiąc
dziewięćset czterdziestego drugiego roku, w irańskim porcie
Pahlawi, na południowym brzegu Morza Kaspijskiego.

Alicja Bober

Testamenty pisane

/Książki z rękopisami/

Trzynastego kwietnia / 1940 r. /

Żegnaj, miasto najdroższe!
Żegnaj, domu rodzinny!
Sercem drętwym od bólu
Żegnam kraj lat dziecinnych...

Późną nocą przybyli...
Jeszcze dobrze przed wschodem.
I do dworca nas wiozą
Przez nasz Lwów... Samochodem.

Wiozą nocą, dyskretnie.
Wśród eskorty pod bronią.
A współczesną "kibitkę"
Liczne, też pełne, gonia.

Tętni miasto ich szumem
Zolbrzymiałym wśród ciszy.
Jęk bezgłośny serc ludzkich
Każdy sercem swym słyszy.

Z Życzakowa mkną wozy,
Z Czarnieckiego, z Legionów...
Ileż rodzin Polaków
Wyrzucono z ich domów?

Z mroku biegną ulice:
chcą zatrzymać nas w pędzie...
Żal Ci, Lwowie! swych dzieci!
Jak nam żal Ciebie będzie...

Jeszcześmy w Twych objęciach,
A już żal i tęsknota,
Już żre rozpacz za Tobą!...
Czyż... do końca żywota?

Noc pobladła od grozy:
"Boże?... Naszych gdzieś wleką!...
Prosto ze snu, w noc ciemną,
Na zesłanie: daleko!...

W nieporęcznym tobołku
Pochwyconym w pośpiechu,
wzięło się parę rzeczy...
Wartych płaczu i śmiechu!

W tak naiwnym tobołku
Praca życia całego!...
Pędzisz, losie, w niewolę!
Po co? Na co? Dlaczego?...

Nad fontanną Maryja
Zamodlona w bezruchu
Śle nam szept niesłyszalny:
Podtrzymanie na duchu.

Wały wyszły z za rogu,
Plac Mariacki legł w poprzek:
Niech tu stanie samochód!
Niech do Dworca nie dotrze!

Bo czekają pociągi
I bydlęce wagony,
By wygnańców stąd wywieźć
W azjatyckie gdzieś strony.

Najeżyły się s^ordze
Stare Lwy Ratuszowe :
"Patrz, Neptunie!
Patrz, Diano:
Jakie dzisiaj tu łowy!"

Noc pobladła od grozy...
Brzask nad miastem poszarzał,
Cieniem oczy podkreślił
Na zsiniałych nam twarzach.

Świt odsłania ulice,
Przed sklepami kolejki...
Nagły strach, skamieniały,
Zastygł w ból szczery, wielki

Oniemiały kościoły
 Dech wstrzymały dzwonnice...
 A im bliżej Grodeckiej,
 Głośniej dudnią ulice.

Głosów ludzkich nie słyhać
 Uwięzione drżą w kłtani...
 Boże! Widzisz, a nie grzmisz!?
 Lwowie! Módl się za nami!...

Nocy! Nocy kwietniowa,
 Przerażeniem spowita!
 Co opowiesz Historii,
 Jeśli o nas zapyta?...

Dworzec jest! Czerniowiecki.
 Tłum, krzyk, wrzaski, wołania...
 Wśród nieludzkiej scenerii
 Swit się blady wyłania.

Żegnaj, nocy upiorna!
 Tyś ostatnią we Lwowie!...
 Żegnaj, miasto serdeczne!
 Tyś Ojczyzną, Tyś zdrowiem...

Żegnaj mi już młodości,
 Złudne plany, nadzieje...
 I ty, śnie o miłości,
 Chyba mi nie zadniejesz.

Niby drzewo wyrwane
 Z własnej ziemi z korzeniem,
 żyć będziemy z trudnością,
 Silni - tylko wspomnieniem.

Na zagładę skazani
 Was żegnamy w te słowa:
 My za życia... lub ...później,
 Leżąc wrócimy do Lwowa!

Śpij, synku mały, spokojnie:
Niech omijają twój sen
Koszmary o strasznej wojnie:
Swist bomb, huk ruin i lęk.
Złóż jasną główkę na ziemi...
Siostrzyczka oook już spi.
Noc nas okryje stepowa
I niech nam Polska się sni.

Spij, synku, masz już lat cztery,
Prawdziwy z ciebie już zuch.
I jutro, w drodze przez góry,
Pomagać nam będziesz mógł.
Kres mąk w wagonie bydlęcym..
I przeorzmiał już stukot kół.
Tobołki złożymy na "arbę"
I nie my pociągniemy, lecz wół.

Spij i ty, dzielna córęczko.
Do szkoły isc miałaś, za rok...
Dziś ziemia zastąpi łóżeczko.
Pod główkę weź dwoje rąk.
wasz tatus, nawet w więzieniu
Wciąż modły za nas śle.
Nie płacz, on pewnie nic nie wie,
Jak nam dziś bardzo jest źle...

Śpijcie już, wszyscy zesłańcy,
Niech was pokrzepi ten sen.
Po trzech tygodniach w pociągu
czeka też ciężki dzień.
Spocznijcie, nim słońko wstanie...
Mój Boże, to już maj!...
Zacniemy jutro litanię:
Za więźniów, nasz powrót i Kraj.

Coś ziemia obca: Kazchstan,
Gwiazdzista, jak w Polsce noc...
Polskiego ducha nie złamie
Żadna zaborcza moc!

Wiatr azjatycki tu hula,
Na zachód stępem mknie...
Niech niesie do Kraju wołanie,
Że serce do Lwowa się rwie.

Tęsknota

/Tas Bułak, V. 1940 r./

Gdy mrok otula dalekie góry,
Cichą, wieczorną godziną,
Z tęsknotą wszystkie myśli moje
W dal, do Ojczyzny płyną.

I taki wielki żal mnie chwyta
I ból bezbrzeżny ściska,
Że tak daleko stąd ta ziemia
Najdroższa mi i bliska.

I tak mi tęskno i tak smutno,
Że wciąż swe serce pytam,
Czyli w przeczuciu swoim nie wie,
Czy kiedyś Kraj powitam?

I widzą piękną, polską wiosnę,
Co tchnieniem życie budzi.
I dobre, jasne, zżane twarze
Polskich, życzliwych ludzi.

I słyszę smętne te piosenki,
Co na wsi lud nasz śpiewa.
I widzę góry, widzę wody,
Swe kwiatki i swe drzewa

I to pogodne nasze niebo,
Co się uśmiecha rzewnie...
A Bóg - tam - z nieba żal mój widzi
I' da mi wrócić pewnie.

List

/ Tas Bułak , VI. 1940/

To samo słońeczko, co mnie - Ciebie grzeje
 i swym dobrym blaskiem rozbudza nadzieje.
 Te same promyki, co mnie - Ciebie gładzą,
 Więc ja je poproszę, może coś poradzą?..
 Czekasz, tak daleko... list idzie miesiące...
 Niech wezmą promyki, by podać przez słońce.
 i niechaj w tym liście, co pisałam z duszy,
 każdy dobry promyk jedną łzę osuszy...
 i poda Ci list mój, który Ci opowie:
 Jak tęsknię za Tobą i myślę o Lwowie.

Wspomnienia

/ Tas Bułak, zima 1940/

w nocy bezsennej czarne godziny
 myśl ma ulata daleko stąd:
 Za góry, rzeki, w inną część świata:
 W mały, zaciszny, dawny mój kąt.

Tam wśród zieleni domek się bieli,
 Skłoniwszy czoło pod wielki dach.
 i słońko świeci i kwiaty pachną
 i roje wróbli swiergoczą w bzach.

wszędzie tak jasno i tak pogodnie...
 w powietrzu ciepły czuje się wiew.
 I niemal słyszę dawne melodie,
 jak przebrzmiałego dzieciństwa śpiew.

i godzinami snuję wspomnienia
 Z dawnych, dalekich, minionych dni,
 Aż w końcu myślę, że to snem było,
 który mi teraz tylko się śni.

Czar dawnych wspomnień krzepi swą siłą:
 Pomoże przetrwać, by wrócić znów!
 Choćby to nawet nierychło było,
 Powitać dom swój, powitać Lwów!...

Wandzi

/ Tas Bułak 23. VI. 1940 r. /

W małej, jak klatka, celi, o pustych, mokrych ścianach,
 Siedzisz tak długo, długo, sama, stroskana.
 Siadasz cichutko w kącie, na twarde swe posłanie
 I patrzysz w górę, w okno, na drugiej ścianie.
 I dumasz wciąż i tęsknisz: za słońcem, za kwiatami
 I za wolnością swoją - tam- za kratami...
 I wśród tej głuchoj ciszy słyszysz słowa pociechy,
 Widzisz gdzieś, poprzez ściany, dobre uśmiechy.
 Mówią ci czyjeś oczy, że martwić się nie trzeba!..
 Ty patrzysz wprost przez okno: na skrawek nieba...
 Tak płyną dnie i noce w tęsknocie twej, zadumie,
 A każdy z nas tak dobrze Twój ból rozumie.
 I każdy z nas myśl snuje i Tobie ją Zasyła,
 By ci mniej było smutno, byś dzielną była. sercem
 I dziś, w Twe imieniny, dawniej pełne radości, ~~życzymy całym~~
 Życzymy całym sercem Twójjej wolności.
 I brak nam Ciebie bardzo i też dość smutków mamy,
 więc Ci tymbardziej życzeń moc zasylamy.

Deszczowa niedziela

/Tas Bułak, dn. 6.x. 1940/

Deszcz pada wciąż i pada,
 Tłucze się, w okno bije,
 Zimny, nieustępliwy,
 A wiatr bez przerwy wyje,
 Szaleje, to się miota
 Wyjść ludziom z domu nie da...
 Do okien nam zagłada
 Zmartwienie, głód i bieda.
 Sto osób w jednej izbie,
 Wszyscy razem słóczeni:
 każdy "mieszka" na skąnym
 legowisku, na ziemi.
 Dalej kuchnia malenka,
 z jednym piecem kuchennym...
 Byle strawę uwarzyć,
 znów przeżywasz ghennę...
~~A wiatr gwizdże, stepowy~~

A deszcz dudni po dachu,
A wiatr gwiżdże stepowy
A zgnębieni luzziska
Cncą pod dach chronić głowy,
woda przez dach przecieka
Do miednicy, szaflika,
A chłód późnojesienny
Nas do głębi przenika.
Siedzę w kącie, na ziemi
I słucham deszczu łkania,
A płacz szybki okiennych świat cały mi przesłania.
Lubiłam kiedyś deszcze
tam, u nas, w naszym domu:
Choć deszcz padał sobie,
Nie było źle nikomu.
Siostra smętne melodie
Grała na fortepianie,
A ja śledziłam z okna
Deszczowych łez padanie.
Tam deszcz tak samo padał,
Lecz tak inaczej było...
wiatr zawył jakoś tęsknie
I bardziej się ściemniło.
I straszna beznadziejność
Zalała serce strugą,
Że ani się uporać:
Z rozpaczą i z szarugą.
Tak się ponuro wlecze
Deszczowa ta niedziela,
Jak gdyby razem z słońcem
Zniknęła też nadzieja...
Deszcz pada wciąż i pada,
Tłucze się, w okna bije,
A w sercu mym głoś jakiś
Do wtoru z wiatrem wyje.

/ Tas Bułak, I. 1941 r./

słoneczny wiersz

Przed wami, na dywanie,
 Na kwiaty kolorowe,
 Wskoczy przez okno słońce,
 Poranne i majowe.

Promyki będą igrać,
 tańczyć, pląsać przed wami,
 Aż zapragniecie słońca:
 Pójdziecie z promykami.

Wyjdziecie, przez ulice,
 Dłoń w dłoni, równym krokiem,
 A słońce na was spojrzy
 Śwym jasnym, ciepłym wzrokiem,

Bo nasze, polskie słońce,
 Tak pełne jest dobroci,
 Że zda się, iżby chciało
 Kraj cały nam wyłocić.

Pójdziecie aż za miasto,
 W rahnej słońca powodzi.
 Na łąki, w stronę krzywczyc...
 Razem, szczęśliwi, młodzi.

Wejdziecie na tę drogę,
 Co w jasność poprowadzi,
 A słońce się usmiechnie,
 I włosy wam pogładzi,

I da wam swej pogody
 Użyczy swej jasności..
 zaczniecie dnie słoneczne,
 Dnie szczęścia i radości.

A wojna już przeminie!
 w pamięci ją skreślicie!
 I przyszłość was obdarzy
 Słonecznie jasnym życiem.

Smutek

/ Tiki Bułak V. 1941 r. /

W wielkim stepie, otulonym w ciszę,
 wiatr nieśmiało trawami poruszył.
 Słuch wytężam: a może usłyszę
 coś, co łzy tęsknoty mej osuszy?

może piosnka jakaś tu zagosci
 i ojczystą melodią zadźwięczy,
 sercu memu da chwilę radości:
 Niech nie boli, niejka już, nie jęczy!

może słowa jakies, pełne treści
 tu przyplyną i zostaną ze mną,
 A po tym, co wiatr mi wyszeleści,
 Już nie będzie tak pustó, tak ciemno.

Może w ciszy usłyszę, odczuję
 Serca rytm, co rwie się w moją stronę?
 I usmiechnąć wtedy się spróbuję
 I podniosę oczy załzawione?

Nie!.. nie serca rytm mi wiatr przywiewa,
 Nie przynosi ni głosów, ni tonów..
 Z myślą o mnie nikt ni gra, ni śpiewa...
 Nic nie słyszę, prócz cmentarnych dzwonów.

Mogila

/ Pamięci Mietka Kusyka 1920 - 1939 /

/ 1940 r /

Jak Ty umierałeś, nie dzwony Ci grały
 I nikt nie zapłakał nad Tobą,
 Lecz nad całym Lwowem bombowce warczały
 I piekło szalało nad Tobą.

Na Twojej mogile łąką kwiaty zroszone,
 łączy lśnią od promieni słońca.
 A pod Krzyżem kwiaty są biało-czerwone
 I napis brzmi : "Młody obrońca..."

" Słoneczko, Boże Oko,
 Oko dnia Bożego..."
 Ty widzisz, jak tu smutno
 I ty wiesz, dlaczego...

Ach, zamien mnie w pajaczkę!...
 Czepię się twych promieni.
 A ty mnie stąd przeniesiesz
 Do mej rodzinnej ziemi.

Przelecę step, nam wrogi,
 Fustynię, jeziora, rzeki
 I jeszcze dziś dolecę
 Do utęsknionej, dalekiej!..

" Słoneczko, Boże Oko!"...
 Idziesz tam cztery godziny!
 Więc nie odmawiaj prośbie
 Tak nieszczęśliwej drobiny...

Nostalgia życie wypija.
 Niedługo mi tutaj świata.
 Do swej cncę tulić się ziemi,
 Nicią babiego lata.

W polski wtopiony krajobraz,
 Wsłuchany w ludowe pieśni,
 Niech szczęśliwy pajaczek
 Wwe babie lato prześni.

Ostatnie swe westchnienie
 Śląc do ciebie wysoko,
 Pożegnaj cię, bogosławiąc:
 " Słoneczko, Boże Oko!"...

Noc zimowa

Mysli moje, zbyt ulotne
 I te rymowanki !
 Wypełniajcie długie noce
 I ciemne poranki.

Noc kazachska serce skuła
 zgrabiałą obręczą.
 Śpi lepianka, a mieszkańcy
 Przez sen często jęczą.

Czy śni im się, że ich nocą
 Wywlekają z domów?
 Lub, że pociąg w dal ich niesie,
 Nieznaną nikomu?

Czy w śnie burzan icn zaskoczył
 Gdzieś, w bezkresnym stepie
 I zamiecią syberyjską
 Mróz człowiekiem trzepie?

wiatr zawzięcie w komin dmucha
 I szatańsko wyje:
 - Kto śmie jęczyć nocą ciemną?!
 Kto tam jeszcze żyje!?-

- Boże, ratuj!- czyjś gros szepcze:
 - Daj powrotu dożyć!
 Byle kości utrudzone
 W polskiej ziemi złożyć!....-

Tak : niech spełnią się dni nasze
 Tam, pod polskim niebem!
 Tam nas Święty Piotr powita
 I solą i chlebem!...

Chato, wioskowa chato!
Skryta pod strzechny czapą,
otulona na zimę
Słomianą zachatą!

Wiosną bielona wapnem
na przyłot bociana,
Latem tyś w malwy strojna,
W jesień złotem owiana...

Chato bosej pastuszki
Troszkę większej od gąsek...
Chato, pełna obrazków,
Odpustow, ch pamiątek.

W twoje ściany zbyt często
Trud się krył i zmęczenie.
|| czy małych okienek
Zagładała złe cienie...

Chatko biedna i prosta,
Tak jak lud twój ubogi!
Jasne szczęście zbyt rzadko
Wstępowało w twe progi...

Przed twym progiem, ze studni,
Żuraw czerpie cud-wodę,
Pod okapem jaskółki
Latem wróżą pogodę,

A na płocie, dokoła
spią brzuchate gliniaki.
Pod podbiałem kokoszka
wysiada kurczaki.

Chato z sadem drzew starych,
Chato, z małym podwórkiem,
Z szarym kotem na progu,
Z budą psią, no i z Burkiem..

Chato, rzewny widoczku,
 Z wierzbą tuż przy strumyku!...
 W medalionie mych wspomnień
 Noszę cię, jak w skarbczyku...

Byłaś domem biedoty...
 Dziś - pałacem się zdajesz!
 Niedościgłym marzeniem,
 Snem tęsknoty za Krajem...

Mowy polskiej kolebko,
 I swą tradycją bogatą...
 Chato, wiary ostojo!
 Biała polska chato!...

Obczyzna

/ Tas Bułak 1940 r./

Słońce nas tu wykańcza, stepowe.
 Wiatry dań nam zdzierają znad głowy,
 Śnieg chce żywcem pogrzebać w tej ziemi!...
 Latem tutaj i zimą... ginimy!...

U nas: w Polsce każdy słomkieni się cieszył,
 Bo tam słońce nie dobija, lecz leczy.
 Wiatr deszcz niesie i nasiona rozsiewa,
 Zas śnieg puchem ziemię- matkę ogrzewa.

Tak... Tam, w Kraju, wszystko inaczej!
 Tak się pragnie powrócić, zobaczyć!...
 Bo dopiero tutaj, obczyzna,
 Dała poznać nam treść słowa: "Ojczyzna"!...

Tyle serca, bogactwa w tym słowie,
 Że jest droższe, niż skarby, niż zdrowie...
 A żyć bez niej trudno: tak właśnie,
 Jak starcowi, gdy mu nagle wzrok zgaśnie...

Placuszek

Rozsadzą głowę
Myśli grobowe:
Tłoczą się tłumnie, natrętne.
Chmury gradowe,
Wichry stepowe,
Chłodne i głodne i wstrętne.

Kropla zwątpienia
W rozpacz się zmienia
Choć serce nie chce jej słuchać...
Ludzkie plemienia
W hieny zmienia
Wojenna zawierucha!

Człęk człowiekowi,
Jak wróg wrogowi,
Najsroźszym jest chyba katem!..
Gdzież te zasady,
Co dają rady,
By bliźni bliźniemu był bratem?

Tu nawet dziecko
Można zdradziecko
Oszukać na okruch chleba!
Každy w potrzebie...
"Wszystko dla siebie!"
O, czasy! O, ludzie! O, nieba!

Już nie jest w stanie
Żadne wołanie
Poprawić coś, czy odmienić...
Gorycz zaleje:
Wiarę, nadzieję,
Pośród serc: twardych kamieni!...

Gdy w myślach biadam,
Matyldzia wpada

Z uśmiechem i z weselem:
 -Dwa placki miałam!
 Jeden schowałam!
 Macie: zawołaj Elę!-

I drobną ręką
 W kieszonkę sięga:
 Placek, czy serce na dłoni?
 Dobra dziewczuszka!...
 Jej dar placuszka
 Od wszystkich zwątpień mnić bronie.

Pieśń zesłańców

/ Tas Bułak 1940 /

Dzień za dniem szybko mija,
 Prędko ucieka czas,
 A my wciąż w tej krainie,
 Gdzie zły los rzucił nas.
 Chcemy wrócić najprędzej
 Do ziemi swej, do miast!
 I nie oglądać więcej
 Czerwonych flag i gwiazd.

O, Tas Bułaku! O, Sigisbaju!
 Jak nam tu ciężko i smutno żyć!
 Chcemy najprędzej wrócić do Kraju,
 Lecz o powrocie nam ani śnić!

Słońce pali nas latem,
 Zimą gnębi nas mróz.
 O każdej porze roku
 Doskwiera straszny głód.
 Lecz wciąż walczymy z losem!
 I nie poddamy się:
 Duch przecież w nas ochoczy,
 choć ciało nader mdłe.

O, Tas Bułaku! O, Sigisbaju!
 Nie damy, by nas wchłonął step!
 Dopomóż, Panie, wrócić do Kraju!
 Wysłuchaj polskich błagań zew!

Choć w pracy niewolniczej

Tracimy resztki siły,
 Będziemy Polakami!

Będziemy Polakami!
 Do krwi ostatniej kropli żył
 I nic nas nie odmieni,
 Bo zachowamy twarz!
 Wrócimy do swej ziemi!
 Tak nam dopomóż, Ojczy nasz!
 O, Tas Bułaku! O, Sigisbaju!
 Zesłanie minie, jak zły sen!
 I powrócimy wszyscy do Kraju!
 Nadejdzie kiedyś taki dzień!

Loczek

/ Tiki Bułak, V. 1941 r. /

Loczku czarny, loczku kędzierzawy!
 Lwowski wietrzyk lubił brać cię w płas...
 Ja cię, loczku, też strasznie lubiłam,
 Lecz się przyznać nie śmiałabym wciąż.

Stepie szary, kazachstański stepie!
 Więżysz nas tu - Tak daleko Lwów!
 A tam wietrzyk igra z czarnym loczkiem,
 Lecz nie ujrzę tego nigdy znów!..

O, młodości! Smutnaś na zesłaniu,
 Gdzie luksusem jest powszedni chleb...
 Głód, samotność, żar, step, stado owiec,
 Łzy tłumiące nieskończony śpiew...

Chłopcze miły, chłopcze mój daleki!
 Dzieli nas czas, dzieli ziemi szmat!...
 Łatwiej by mi zamknąć tu powieki,
 Gdyby wiedzieć, żeś mi też był rad...

Śnił mi się w nocy cały bochen chleba!...
I byłam taka szczęśliwa!
Mama Krzyż na nim zakreśliła nożem,
Tak, jak na jawie to bywa...
Bez drżenia ręki odkroiła sporą,
Pachnącą, chrupiącą piętkę
I żartowała przy kromkach bielutkich,
Że pewnie na wszystkie mam chętkę...

A siedzieliśmy, jak dawniej : przy stole!...
Działo się więc to tam, w domu...
Nikt się nie martwił, że chleba nie starczy...
I nie zabrakło nikomu!...
A choć się jadło bez smarowania,
Lecz z nabożenstwem ; ~~prawdliwie~~ do woli!
I momentalnie całkiem zapomniałam,
Co to głód znaczy : jak boli...

Śnił mi się w nocy bochen chleba, cały!...
Chleb polski, najlepszy w świecie.
Pachnący taki, tak smaczny i... własny!
Jak tylko we śnie się plecie...
Wtem mnie chłód zbudził, śpiącą na polepie,
Zdrętwiałą z zimna nocnego
I szept mej Mamy, zwiniętej pod płaszczem:
- Daj, Panie, chleba naszego!...-

O, daj nam, Panie, chleba powszedniego,
Lub choć snów takich : najwięcej...
Niechaj sny krzepią nasze nikłe siły,
Mart ducha, słabnących w nęczy.
Dodawaj mocy, by dotrzeć, doczekać
Tego, co bardziej, niż chleba,
Wszystkim zesłańcom i Rodakom w Kraju
I Polsce - by istnieć -porzeba.

Śnił mi się w nocy chleba cały bochen...

Niechaj znów jeszcze się przyśni...

Niech z nami będzie, niech nas nie omija,
Gdy trudno skreslić go z myśli.

Śnił mi się w nocy bochen chleba, świeży,

Że nas sytością napełniał!
 i był dzielony wszystkim, jak należy...
 A czasem... sen się spełnia!...

motyw / z Kasprowicza/

Tas Bułak 1941

" Chaty rzędem na piaszczystych wzgórkach "
 " tą samą " idą "drogą"
 Prosto do kościółka,
 Gdzie szereg Świętych Pańskich,
 O natchnionych twarzach,
 Błogosławi modlitwom
 Wiernych u ołtarza.
 Pod dzwonn_{ic}ą uczepiony.
 z grubym sznurem w dłoni,
 Stary dzwonn_{ic} dzwon kołysze
 i dzwoni i dzwoni...
 Zasłuchały się topole
 i wierzby przydrożne,
 W tym dzwonienu dźwięcznych dzwonów,
 W melodii nabożnej.
 Bieg wstrzymały szybkie wiatry,
 Przystanęły w pędzie.
 Roztańczyły się motyle
 Wśród kwietów na grzędzie.
 Nad strumykiem rosochate
 Wierzby swe łby chylą:
 Rozmodliły się szeptliwie,
 Urzeczone chwilą...
 Chaty rzędem przycupnęły
 W drodze do kościółka,
 A dzwonienie płynie do nich,
 Po piaszczystych wzgórkach.
 Krzyż przydrożny opiekuńczo
 Wyciąga ramiona...
 A westchnienia płyną w niebo,
 Wygrane na dzwonach...
 Taki motyw w sercu noszę,
 Tęsknotą skreślony...
 Oby jeszcze kiedyś w życiu
 Usłyszeć te dzwony!..

Płyną myśli moje
O słońca zachodzie
Za słońkiem, na zachód,
Tam, gdzie ono schodzi.

Płyną myśli moje
Nieprzebraną rzeką.
Niosą morze tęsknot
Daleko, daleko,

Płyną ponad stepem
Pustym, złym, okrutnym
I nie jest im lekko
W zamysleniu smutnym
Myśli zadumane
I niedomyślane,
Niosą w dal wspomnienia
Lat niezapomnianych.

Wrywane z serca,
Wydarte wprost z duszy,
Płyną kłęby myśli,
Pełne różnych wzruszeń.
Step śpi martwą ciszą,
Co aż w uszach dzwoni...
Cnocy się wiatr zerwał,
Myśli nie dogoni.

Żar ich nie zatrzyma,
Ni głusza stepowa,
Gdy tak myśli płyną
Do mojego Lwowa...
To serdeczne imię
To serdeczne miasto...
Tam płyną me myśli,
Nim na wiek tu zasną...

Płyną myśli, płyną,
Daleko: do Lwowa,
Nim je step milczący
W swej głębi pochowa...
Płyną myśli moje,
Rodniebne, po niebie,
Do Ciebie, me miasto
Najdroższe, do Ciebie!...

Słońce trawy wypaliło,
W skwarze omdlał step.
Owce kaszląc, szczypią ziemię...
Zgasł piosenki śpiew.

Dokądkolwiek okiem sięgnąć,
Wszędzie pustka wkrąg!
Nie ma świadków, oprócz Boga,
Mych przyziemnych mąk...

Żar się praży bezlitosny!
Piersiom braknie tchu...
W oczach szary step wiruje:
Trzewia szarpie głód...

Przystanęły chore owce.
W tak upalny dzień,
Tuląc się, stanęły murem,
Kryją swe łby w cień :
Jedna drugiej go użycza,
Chowa łeb pod brzuch.
Solidarne instynktownie!
Powstrzymały ruch.

Za godzinę przyjdzie pora :
Czas z powrotem iść,
By z zmroku, z /głodnym!/ stadem
Znów na fermę przyjść.

I wyciągnąć się, na glinie...
/ Dadzą pluskwy spać?.../
Przecież trzeba będzie jutro
Znów przed brzaskiem gnać!

Brak tym rymom wdzięku wiersza...
Skąd by się wziął czar?...
Słońce leje się wprost z nieba,
Jak piekielny żar!

Wiekiem wloką się godziny
U zbolałych nóg,
Nim opuchłe się dowloką
Na lepianki próg.

Drżą Matczyne ręce... puste: gdzieżby chleb, skąd sól?...
- Wiesz, mam wrzątek...wypijemy!, przeżykamy ból.
Patrzą oczy... głodne oczy z zatroskanych lic...
Boże, ratuj! Co poradzić? Nie ma nic! nic... Nic.

Drzewo polskie

Drzewo polskie, drzewo!
Żywe we wspomnieniu!
Jak dobrze by było
Znaleźć się w twym cieniu!...

Na chropawą korę
Kłaść swe obie dłonie,
Rozpaloną głowę
W twym zaciszu chronić,

Czcic wzniesione w niebo
Konarów ramiona,
Z gałązek utkaną
Podniebną koronę...

Wszłuchać się, jak szepczesz
Tajemnie, srebrzyscie...
I wiosną nabrzmiałe
Witać pierwsze liście.

Drzewo polskie, drzewo!
Czyś brzozą, czy gruszą,
Sama myśl o tobie
Tęsknoty porusza:

Arcy-cud natury!
Żywy od stuleci...
Z tych bezdrzewnych stepów
Do ciebie myśl leci;

Do ciebie tęsknoty,
O tobie marzenia,
By spocząć na wieki
Tam : u twego cienia...

Czy jeszcze cię ujrzę?
Czy szum twój usłyszę?
Czy będziesz strażnikiem
Mojej wiecznej ciszy?

Drzewo polskie, Drzewo!...

Moja Ojczyzna

/ Urdżar, zima 1941 r. /

Moja Ojczyzna
 Jest tak daleko:
 Za siódmą górą,
 Za siódmą rzeką,
 Za siódmym lasem,
 Za siódmym morzem...
 I tak mi do niej
 Tęskno, mój Boże!

Jest tak daleko : stąd
 Na zachódzie!...
 O powrót do niej
 Modlę się co dzień.
 I choć nas od Niej
 Lata już dziela,
 Zawsze zostanie
 Naszą nadzieją.

Moja Ojczyzna
 Jest za Uralem!...
 I myślę o Niej
 Z bólem i z żalem,
 Wciąż ją wspominam,
 Stale pamiętam:
 Moja jedyna,
 Najlepsza, święta!..

"Moja Ojczyzna"
 To takie słowa,
 Które wzruszają
 Ciągłe od nowa,
 Które z szacunkiem:
 Z rzadka, się szepczę ,
 Bo przepełniają
 Stęsknione serce.

Moja Ojczyzna,
 Choć jest wspomnieniem,
 To kompas życia,
 Cel i dążenie

To mój rodowód
Z dziada, pradziada.
Moja tęsknota,
Moja nostalgia...

Wiosną się stroi
Jabłonó kwiatem...
Złoci od ranów
Cudownym latem.
Jesienią plonem
Hojnie obdarzy,
Zimą się Gwiazdką
Nad domem zarzy.

Ludzie przyjaźni są
I życzliwi.
Każdy pomoże,
Gdyś nieszczęśliwy,
Gotów się dzielić
Sercem i chlebem
Tylko tam, u nas:
Pod polskim niebem.

Tylko w Ojczyźnie
Jestem "u siebie",
Gdzie dłoń pomocną
Znajdziesz w potrzebie,
Gdzie nie zabraknie
Mych chętnych dłoni,
Jesli się uda
Powrócić do Niej...

Ojczyzno moja!
Módl się za nami:
Giniemy w stepach
Tobie wyrwani!...
Chorzy z tęsknoty,
Głodni... u wroga...
O twoją Wolność
Błagając Boga.

/ Tiki Bułak, 1941 r./

" Antologia Liryki Polskiej "

wodę dźwiga się z rzeki,
 Która w stepie zastygła.
 Sól ... jest... jeśli zdobędziesz :
 kradzioną - / z karmy bydła! /...

Jak wznieść się nad codzienność?
 Utrzymać ducha w niebiosach,
 Jadając raz na dobę :
 Drobinę... łuski z prosa?...

Chleb śni się dniem i nocą...
 śnionym zapachem wwierca
 Do mózgu, że aż boli,
 jak skowyczące serce...

I jak tu żyć poezją?!...
 Jak wiersze pisać jeszcze:
 W mrowiu zażartych pluskiew,
 wśród wszy i pcheł i kleszczy?...

Z czym jeszcze przyjdzie walczyć?
 Co jeszcze nas tu czeka?!...
 I jak tu się ratować:
 w Foezji świat uciekać?...

A jednak : Borowego
 Ta cudna "Antologia"
 Za chleb mi jest, sól, wodę
 I za nic jej nie oddam.

Śpiewa o czystym wierszem!
 i jest wprost wodą życia.
 Choć znam niemal na pamięć,
 wciąż darzy czymś, zachwyca.

Bledną nędze, maleją:
 Głód, ból, mróz...- wszystko minie,
 Skoro żyje Poezja,
 Która nigdy nie zginie!

Już nieważna dzisiejsza
 zła codzienność człowieka...
 nie czas grzęznąć w rozpacz :
 rzecież Przyszłość nas czeka!

Fraszka smutki i troski!
 Kto by o nych pamiętał,
 gdy przemawia Poezja
 swoją siłą zaklętą!

Rdzennie polska, liryczna,
 Całym sercem nas krzepi!
 To głos naszej Ojczyzny:
 Nie da zginąć nam w stepie!

Jest nam tu za drogowskaz,
 Jak dalekie posłanie,
 że się ugiąć nie wolno,
 Lecz przetrzymać zesłanie!...

Być może, po latach... wielu..
 Ktoś spyta: " Jak to-ście przeszli?..."
 Czy pojmie, że nas ratował
 Tomik polskiej Poezji?...

Ze głodnym, biednym, steranym,
 Na skraju bycia - niebycia,
 Serdeczny tom " Liryki"
 Powracał impuls życia...

Ślę tysiąc błogosławieństw
 z tragicznej naszej oddali,
 Tym, którzy taką książkę
 Do Kazachstanu przysłali.

/ Łolkowi Sawkiewiczowi /

Bezczesny step wichrowe łka nam piesni.
Bezbrzeżny żal w bezgrzeszny wraca świat.
Bezsilna myśl minione lata pieści...
W bezduszną noc bezdenny smutek wpadł.

Bezduśny los wśród obcych, bezlitosnych,
Bezsilnym tak w kość daje, jeszcze kpi!...
Bezczynnym rękom żal traconych godzin...
Bezdomnym ludziom dom się własny śni:

Był kiedyś biały dom!
Była kiedyś cała rodzina...
Zwyczajne życie zwyczajnych ludzi...
Dziś to jak baśń wspominam :
Ogród warzywny, kwiaty, motyle,
Uśmiech Rodziców, śmiechy dziecięce...
Zwyczajne życie... Nie trzeba więcej :
Niedostrzegane to było szczęście.

Teraz to się rozumie...
Dopiero teraz docenia,
Gdy bezpowrotnie minęło.
Gdy już go nie ma...
Było zwyczajnie, normalnie,
Bezpiecznie...
kto sobie zdawał sprawę,
Że mogłoby być inaczej?
Że tak nie musi być
Wiecznie?...

Przez beznadziejny step
Wiatr bezustannie gna...
A serce jest bezbronne
I łka,
Bezgłośnie łka...

Krajobrazy

Gdybym umiała malować tak pięknie,
 Tak właśnie pięknie, jak cały świat widzę,
 Wciąż malowałabym barwami tęczy
 Moją Ojczyznę.

Swojskie krajobrazy, strojne w polskie drzewa,
 Drzewa ukochane, najpiękniejsze w świecie:
 Zimą wysrebrzone całą gamą bieli,
 W odcieniach zieleni w lecie.

Małe, wiejskie chaty, pod wysoką strzechą,
 Przy nich smukłe malwy : czerwone, różowe,
 A nad płotem wielkie, dumnych słoneczników
 Promienne głowy.

W podwórku studzienka, kilka kur i kogut,
 Buda psa-kundelka, który chaty strzeże...
 Dalej wiejska droga, nad nią Krzyż przydrożny,
 Wsłuchany w pacierz.

W wyłożonym polu śmieszny strach na wróble,
 W wielkim kapeluszu, zsuniętym na czoło.
 Nad rzeką młyn wodny, wśród wierzb siwiejących
 I młyńskie koło.

Kręci się wytrwale, mozolnie obraca,
 Aż się woda perli, aż się woda pieni
 I srebrem zabłyśnie i tęczą zaśpiewa
 W blasku promieni.

Zieleń łąk soczystych, pełnych dzikich kwiatów
 I pól szachownice, złotem powleczone...
 Łany kartofliska, błękit lnu w rozkwicie,
 W długich zagonach.

Ludzi utrudzonych swą codzienną pracą,
 Gdybym potrafiła - chciałabym malować...
 Oddałabym piękno, którego nie zdołam
 Wyrzucić w słowach...

Taka piękna ziemia, O tylu kolorach!
 Niepodobna w niczym stepowej szczyżynie...
 Liliową zadumą snuje się tęsknota
 Ku mej Ojczyźnie!...

Moje miasto

Moje najdroższe miasto:
 Niepowtarzalny Lwów...
 Kraina lat dziecięcych,
 Młodzieńczych snów i złud
 I polska wieś daleka,
 Wtopiona w łany pól,
 Są pieśnią mojej duszy,
 Którą wyśpiewał ból...
 Miasto jedyne w świecie,
 Jak długi cały świat,
 Gdzie człek człękowi sercem,
 Gdzie człek człękowi : brat,
 Ostatnią da koszulę,
 Ostatni dzieli kęs...
 I własnym sercem dźwignie,
 Choćby z najgorszych klęsk.
 Teraz tam w każdym domu
 Kogos bliskiego brak:
 Wichura nas wojen na
 Porz^opedzała w świat...
 Lecz się nie damy złamać!
 Lwowski w nas przecież duch!
 Choćby na krańcach świata,
 W pamięci żyje Lwów!...
 Ta miłość przewycięży
 Wojennych losów krąg.
 I powrócimy wszyscy!
 Zewsząd ...i...nawet; stąd!
 Zlecimy się do Lwowa,
 Ze wszystkich świata stron,
 Bo to nasza Ojczyzna:
 Lwów - nasz rodzinny dom!

Eli na pożegnanie

/ Urdżar, marzec 1942 r. /

W szare godziny, w długie wieczory,
Gdy dusza mrokiem i smutkiem wezbrała,
A serce pełne było tęsknoty -
Tys śpiewać zaczynała.

I swoją piosnką wnet opanowałaś
Smutne me serce i duszę mą rzewną,
Ze wnet me myśli już w inny tor biegnęły,
Z Twoją melodią śpiewną.

W ciemne godziny, w puste wieczory
Wsiąkały ciche, jasne, dobre dźwięki
I napełniały duszę melodią
Pogodnej Twojej piosenki.

Twoja piosenka

/ Urdżar, marzec 1942 r. /

Twoja piosenka umiała płakać,
Gdy sercu było żałośnie.
I Twoja piosenka uśmiech swój miała,
Umiała śmiać się radośnie.

Twoja piosenka lubiła tony
zawsze tak pełne pogody.
Twoja piosenka, nowa czy stara,
Nigdy nie wyjdzie z mody.

Twoja piosenka, Twoja piosenka,
Z serca początek brała.
Twoja piosenka, Twoja piosenka
Do serca mego trafiała.

/ Eli Wojciechowskiej /

Żołnierzowi Września

Kiedys defiladą przechodził przez miasto,
 W wizję przyszłej wojny kierując swój wzrok,
 Tłumy cię witały, kwiaty i uśmiechy
 I serca rytmiczne, jak żołnierski krok.

"Chłopcy malowani!" - szliście w bój z piosenką!..
 W przedwrześniowym słońcu srebrzyła się stal.
 Z werwą zawadiacką i z śmiercią pod rękę...
 Znów : " na pola chwały"... - młodzież - jak na bal!

" Jak to na wojence!..." huczała piosenka.
 W takt do niej koniki stukały o bruk...
 Trębacz, properczyki, szabelki u boku...
 A naprzeciw :... czołgi i bomby i wróg!

" Wojenko, wojenko! Cóżes ty za pani?..."
 Żes Armię zamuchnęła w kilkanascie dni!?...
 Wojsko rozprószone, żołnierze- bezbronni!-
 Ci, co nie szczędzili ni życia, ni krwi...

Lecz się nie uwiążesz, Ty, Polski Żołnierzu!
 " Póki my żyjemy..." - Polska musi żyć!
 Szedłeś na tułaczkę, lub do partyzantki,
 By na wszystkich frontach o wolność się bić!

Moja Mamo

Za swe
 zbyt wcześnie
 półsieroce
 dzieciństwo
 i od zarania
 zaharowane
 lata młode
 brałaś sobie
 na losie
 odwet
 stworzyłaś
 dzieciństwo
 Twych córek
 stubarwne
 w ogrodzie
 wśród kwiatów
 jarzyn
 owoców
 i motyli
 Szyłaś nam
 sama
 kolorowe
 sukienki
 batystowe
 bufiaste
 falbaniaste
 perkalikowe
 sportowe
 nowe
 czy przerabiane
 o jakich
 Twoje przesmutne
 dziecięce lata
 ani śniły
 torby
 pełne prowiantów
 dźwigałaś
 z placu Krakowskiego
 albo
 aż z Rynku
 gotowałaś
 smażyłaś
 piekłaś
 bez chwili
 spoczynku
 aby prędeej
 aby poszyć jeszcze
 i wyplewić grządki
 i kończyć konfitury
 i robić porządki
 Stawałaś
 przed wielką balią
 i szorowałaś
 ciężkie pranie
 na tańce
 i łapałaś
 deszczówkę
 płynącą
 z rynny
 na płukanie bielizny
 i na mycie
 naszych włosów

aby były
 puszyste
 myte wywarem
 z orzechowych
 liści
 zascielając
 pleciem
 i dużą płachtą
 wielki stół
 podwórzowy
 bo na powietrzu
 mniej
 boli głowa
 i machałaś
 żelazkiem
 aby rozżarzyć
 węgiel drzewny
 aby pewniej
 dobrze
 prasować
 A wieczorem
 dla wypoczynku
 zasiadałaś
 do codziennego
 cerowania
 naszych ponczoch
 i swoich
 i Babci
 i skarpet Ojca
 i swoich braci
 a gdy zmęczonym
 oczom
 i rękom
 zbyt trudno
 było
 igłę nawlekać
 z westchnieniem
 odkładałaś
 drewniany grzybek
 mówiąc
 czas kończyć
 bo jutro
 mam dużo
 roboty
 Jeśli
 Bozia
 da
 doczekać
 Czasem znów
 stukałaś igłą
 w półną
 napiętą
 na tamborku
 i różnobarwne
 kwiaty
 wykwiły
 spod wzorków
 I dom zdołałaś
 w poduszki
 w makatki
 i w serwety
 Madonnie

przy wiecznej
 lampce oliwnej
 zmieniałaś
 świeże
 bukiety

A w niedziele
 wieczorem
 przy lampie
 naftowej
 czytałaś
 książkę
 łzami znacząc
 strony
 największych
 wzruszeń
 i szkła
 przecierałaś
 ze szczęścia

Albo
 wkładałaś
 radiowe słuchawki
 na uszy
 i zaśmiewałaś się
 z pomysłów
 Tońcia
 i Szczepcia

I to pamiętam
 jak kolejno
 stroiłaś nas
 do Komunii
 jak upinałaś wieniec
 i mirtowy wianek
 i podpowiadałaś mi
 zbyt trudne
 "abyśmy się stali
 godnymi
 obietnic
 Pana
 Chrystusowych"

i marzyłaś
 że kiedyś
 będziesz
 stroiła
 swe córki
 w ślubne
 welony

tego jednak
 Bozia
 nie dała Ci
 doczekać

to już
 nie było
 Ci dane

Ty zawsze
 jak i Babcia
 widziałaś
 biedniejszych
 dawałaś im
 żywność
 i odzież

I nigdy
 nikt
 kto prosił

bez wsparciaa
od nas
nie odszedł

A kiedy
spotkałaś Julkę
w nięszczęściu
na skraju
rozpacły

Tyś
nauczyła ją
szycia
aby mogła
wziąć się
do pracy

Później
w ciężkie lata
bezrobocia Ojca
modlitwa
Twą była
ostoją
praca
obroną
Twoją

Wciąż byłaś
dla Babci
najlepszą
córką
dla nas
najlepszą
Matką
dla Ojca
najlepszą
żoną

Przetrwałaś
kryzys
rozłąkę
i pewnie
mogłabyś
żyć już
spokojna

lecz wtedy
właśnie
wybuchła
druga
w Twym życiu
światowa
wojna

I Twoje ręce
przezyste
zawsze spracowane
wielekroć
sparzone
spieczone
pokłute agrestem
którego
nikt inny
nie chciał zrywać
a wszyscy
bardzo
lubili

Twoje ręce
na ostatek

z przymusu
 rozpaczliwie
 bezczynne
 w bezruchu
 beznadziejnie
 marzyły
 o najmniejszej
 odrobinke
 pracy
 o najmniejszym
 chleba
 okruchu
 gdyby tak
 był
 chleb

Twoje ręce
 bezsilne
 kryły twarz
 kryły oczy
 oczy stęsknione
 za Krajem
 swym miastem
 i Domem

oczy
 wygłodzone
 niezdolne
 do płaczu
 spłowiłe
 od łez

Nie było nikogo
 kto
 dałby
 nadzieję
 tym oczom
 nikogo

Nikogo
 kto
 mógłby
 pomóc
 tym
 rękom

nikogo
 kto
 mógłby
 chociaż
 ucałować
 te ręce

Nawet
 nikogo
 do pożegnania
 mnie
 nie było
 tam
 też
 moja
 Mamo
 Kochana

Wybacz

Mojemu Ojcu

Od najwcześniejszych mych dziecięcych lat,
Wciąż żądna bajek, stale ich niesyta,
szłam gdzieś za Tobą w baśniowy świat,
Zanim się jeszcze nauczyłam czytać,
A Tyś cierpliwie co dzień na dobranoc
Po dniu niełatwym, po dniu pracowitym,
Baśń opowiadał na ten dzień wybraną,
By mi odkrywać światy nieodkryte.

Ileż to bajek znały Twoje palce!...
Całymi dniami wybierając czcionki,
Jak błyskawice biegały po kaszcie,
Gdy, jako zecer, drukowałeś książki.
Tak świat Twej pracy, bezkresny, książkowy,
Stał nam się bliski i tak dobrze znany,
Że aż porywał, uderzał do głowy,
Fascynujący i niezapomniany.

Tyś nas wprowadzał w książek tajemnice,
Uczyłeś, że są plonem ludzkiej pracy,
Którym się przejąć można i zachwycać...
Zaczęłam patrzeć na książkę inaczej.
I już wiedziałam, że ona poradzi,
Jest przyjacielsko wyciągniętą dłonią,
Objaśnia, uczy, potrafi prowadzić
I jak najczęściej warto sięgać po nią.

I tak, jak Mama uczyła nas życia,
Od pierwszych kroków, wcześniej : od zarania,
Tak Ty, mój Ojciec, świat nam upiększyłeś,
Przez miłość książki i radość czytania.

Potem Cię kiedy., na przełomie zdarzeń
Prosiłam, abys wszystko pisał /skrycie/,
A Tyś na styku rozpaczy i marzeń
Rzekł : "-Naszą dolę samo pisze życie.
Staraj się - rzekłeś- sens tych lat rozumieć:
Na bieg wypadków miej oczy otwarte,
A czas, jak autor, snuć będzie opowieść
Co dzień wpisując nową życia kartę...-

A gdy nas straszna, wojenna lawina
Strącała w przepaść z egzystencji szczytu,
Tyś kazał wierzyńcom w szczęśliwy koniec
Historii życia...i ...w celowość bytu.
I wspominałeś książki o zesłańcach,
Jak to latami trwali na Sybirze
I jak nadzieję, gdzieś na ziemi krańcach,
Sercem wspierali w strasznych dziejów wirze.

Ty w czas tak smutny, jak koniec tragedii,
Walcząc o życie słabych sił ostatkiem,
W ostatnim liście zdołałeś się jeszcze
Dzielić nadzieją... dzielić, jak opłatkami...
Mój Ojczy!...